



Josie Lloyd  
Emlyn Rees

N

# JESTEŚMY RODZINA.

200

|||



tata  
à  
tata

# Lloyd Josie & Rees Emlyn

## Jesteś my rodziną

*Laurie Vale, młoda malarka, pewnego dnia przypadkowo odbiera telefon w domu rodziców. Okazuje się, że nieznajoma rozmówczyni jest siostrą jej ojca, o której istnieniu nie miała pojęcia. Nieoczekiwanie na jaw wychodzą bolesne tajemnice, skrywane głęboko przez pół wieku. A wszystko zaczęło się dawno temu, pewnej strasznej nocy, gdy Stepmouth, rodzinne miasteczko Vale`ów, ogarnęła wielka powódź, po której nic nie było takie jak przedtem.*

## Rozdział I

Londyn, współcześnie

Choć Laurie Vale należała do osób obdarzonych dobrą intuicją i często wyczuwała pewne sprawy, dość długo nie potrafiła uwierzyć, że jej pierwsza od ponad dziesięciu lat wystawa może naprawdę okazać się sukcesem. Stojąc w kącie galerii, gdzie ukryła się na chwilę, by wypić w spokoju kieliszek szampana, obserwowała gości, krążących po jasno oświetlonym wnętrzu i podziwiających płótna, które osobiście zawiesiła na świeżo pobielonych, ceglanych ścianach. Była zbyt ogłupiała ze zmęczenia, żeby czuć podniecenie, niemniej rosnący gwar rozmów o sztuce, brzęk kieliszków i nieprzerwany stukot eleganckich pantofli o wypolerowaną posadzkę powoli napełniały ją satysfakcją. Wybuchy śmiechu wybijały się ponad kubańską salsę wybraną na oprawę muzyczną.

Jak zwykle w samym środku najlepszej zabawy przyszła Roz, agentka, a zarazem przyjaciółka Laurie. Pomachała jej od progu i błyskawicznie przemknęła przez salę. Ubrana była w wysokie botki i sięgający podłogi kozuch, ale jej strój nie zdradzał śladu kontaktu z zimną, lutową mżawką. - Wspaniała frekwencja - stwierdziła, podając Laurie wielki bukiet pięknych róż. Zdjęła kozuch, ukazując sukienkę wyjątkowo kusą, nawet jak na małą czarną. - Taksówkarz zupełnie się pogubił. Czy to naprawdę jest jeszcze East End?

- Tylko na to było mnie stać - tłumaczyła się Laurie całując przyjaciółkę i odbierając od niej kwiaty i olbrzymi kożuch
- Bnck Lane jest dosłownie kawałek drogi stąd. słowo Roz wzięła z tacy szampana, mierząc kelnera taksującym spojrzeniem.
- Och, to i tak bez znaczenia. Przyszło chyba z pięćdziesiąt osób. To dobrze.
- Wiem, ale i tak czuję się jak w tym telewizyjnym programie „Mamy cię!” - wyznała Laurie. - Cały czas myślę że gdzieś za ścianą siedzą ludzie, którzy tylko czekają, aż coś sknoć.
- Nie bądź śmieszna. Kochana, to się dzieje naprawdę Sprzedałaś już coś?
- Jest kilku zainteresowanych - stwierdziła Laurie rozglądając się, gdzie odłożyć kwiaty i kożuch. - Widzisz tam-tego faceta w tweedowej marynarce? - skinęła w kierunku przeciwległego kąta, gdzie pogrążony w rozmowie z innym gościem mężczyzna stuknął palcem wskazującym o wargi - Myś o tym wielkim zachodzie słońca dla jakiegoś prywatnego klubu w Soho - wskazała głową wielki czerwono-pomarańczowy obraz dominujący na jednej ze ścian. - Może dałam za wysokie ceny?
- Tylko nie udzielaj zniżek. Nie daj się - poradziła Roz Jej oczy rozblęły, kiedy oceniała tłum. Uwielbiała takie imprezy. - A gdzie twój chłopaczek?
- „Chłopaczek” na pewno nie było odpowiednim określeniem dla Jamesa.
- On ma dwadzieścia osiem lat. Według twoich standardów to staruszek - zwróciła jej uwagę Laurie
- Ale według twoich to dzieciak - stwierdziła Roz i policzyła na palcach. - Sześć lat różnicy.
- Pięć i pół.
- A nie mówiłam, że młodsi faceci są fantastyczni? James jest po prostu boski. Założę się, że ma świetną kondycję...

Laurie potrząsnęła głową. Nie zamierzała dać się wciągnąć w dyskusję na temat swego życia seksualnego, chociaż był to ulubiony temat przyjaciółki.

- Na pewno jest dużo lepszy niż sama wiesz kto - dodała Roz. - Bogu dzięki, że wreszcie udało ci się o nim zapomnieć.

Laurie nie zaszczyciła tej uwagi komentarzem - wiedziała, że to tylko specyficzna próba dodania jej otuchy. Być może przyjaciółka uznała, że upłynęło już dość czasu od tych pamiętnych wakacji, by mogła być szczerą. W końcu wycieczka, która zakończyła się dla Laurie tragicznym romanssem, odbyła się trzy lata temu. Jednak jej tyle czasu zajęło samo rozważanie możliwości związania się z kimś innym i niezależnie od tego, co myślała Roz, nie była jeszcze gotowa o tym mówić. Szczególnie dziś. Nie teraz, kiedy wszystko szło tak dobrze.

- Wiesz co? Muszę włożyć kwiaty do wody i wrócić do gości - stwierdziła. - Dzięki za rozesłanie zaproszeń i w ogóle za wszystko. Tyle dla mnie zrobiłaś. Wszyscy tyle dla mnie zrobiliście - przecież Janey znalazła to miejsce, Toby załatwił wino, a agencja Heather wynajęła mi personel za darmo. Wsparcie moralne i tak dalej - jestem wam taka wdzięczna...

- Przyjaciele, moja droga - to twoja nowa rodzina - odparła Roz. Objęła Laurie ramieniem i uścisnęła mocno, a następnie pomachała do Janey i Heather.

Na górze, w małej kuchence, Laurie nalała sobie wody do plastikowego kubka i spróbowała chwilę odetchnąć. Co się z nią dzieje? Dlaczego czuje się tak osaczona przez ten tłum na dole? Przecież tylu jej przyjaciół przyszło, żeby ją wesprzeć. Być może zawinił kontrast pomiędzy dotychczasową samotną pracą a tym nagłym wystawieniem na widok publiczny. Może to dlatego czuje się tak niepewnie.

Nagle pożałowała, że celowo zniechęciła ojca do przyścia tutaj.

Dlaczego to zrobiła? Czy dlatego, że jest samolubna i nie chce się nim opiekować? Albo że krępuje ją to, jaki

jest zwyczajny? A może po prostu dlatego, że jego samotne przybycie podkreśliłoby tylko boleśnie nieobecność matki, a chciała mu oszczędzić pełnych współczucia pytań na temat żałoby?

Napiła się wody. Dręczyło ją poczucie winy. Wiedziała, ile dzisiejszy wieczór znaczyłby dla jej matki, ale wiedziała również, jeśli miała być ze sobą absolutnie szczerą, że to poczucie straty nie dotyczy Jean Vale, kobiety, która zmarła prawie rok temu, a wcześniej żyła we własnym, urojonym świecie. Dotyczyło raczej ideału, który nigdy nie istniał, fantazji o matce, która przyszlaby tu dzisiaj, pełna wdzięku i elegancka, i z miejsca podbiła serca wszystkich jej przyjaciół. Tęskniła za kobietą, która przytuliłaby ją publicznie, zachęcała do dalszych wysiłków, dodała jej otuchy i kupiła jeden z obrazów, dając innym przykład.

Ale prawdziwa Jean Vale taka nie była. To znaczy może byłaby taka, gdyby nie chorowała od lat, powoli gnijąc od środka, aż wręcz nie można się było do niej zbliżyć. Laurie wylała resztę wody do zlewu. Powinna była zrobić wtedy więcej. Powinna była wziąć na siebie ten ciężar, zamiast pozwolić ojcu opiekować się matką samotnie, a gdy nadchodził koniec, czuwać przy jej łóżku w hospicjum.

Wiedziała dobrze, że upór ojca, jego naleganie, żeby prowadziła normalne życie i nie angażowała się w opiekę nad matką, wynikały z miłości, ale i tak odczuła jego postawę jako odrzucenie. Zupełnie tak, jakby trzymano ją na odległość ramienia, jakby chroniono przed czymś, przed czym wcale nie chciała być chroniona. Takie samo uczucie miała wtedy, gdy jako jedenastolatkę rodzice wysłali ją do szkoły z internatem. Westchnęła. Byłoby o tyle łatwiej, gdyby miała rodzeństwo - kogoś, z kim mogłaby podzielić się swoim smutkiem. Ale zawsze była całkiem sama, więc nie było sensu rozczulać się nad sobą czy żałować, że nie stało się inaczej. Miała

przecież przyjaciół i niezależność. Być może Roz ma rację. Może przyjaciele rzeczywiście są lepsi niż rodzina.

Popatrzyła na wrzucone do zlewu róże. Nie wolno jej zawieść przyjaciół. Od lat powtarzała, że po raz ostatni spróbuje zarobić na życie swoją twórczością, i właśnie dziś miała szansę pokazać światu, jaką jest artystką. Nie może jej zmarnować.

Kiedy James obudził ją następnego ranka, nie miała pojęcia która jest godzina. Wróciła na jawę z męczącego, napędzanego alkoholem snu, ponieważ pieścił delikatnie jej uda. Uśmiechnęła się, przeciągnęła z lubością i wyprężyła pod kołdrą, czując jego wilgotny język.

Westchnęła cicho, gdyż pomimo bólu głowy zaczęło ogarniać ją podniecenie. Przez chwilę zastanawiała się, ile kobiet musiał wcześniej obudzić w ten sposób James Cadogan, żeby dojść do takiej perfekcji, ale nie miało to dla niej znaczenia. Przez trzy miesiące, odkąd się widywali, celowo ani razu nie zapytała o jego poprzednie przygody miłosne. A co ważniejsze, on też nie pytał. Postanowiła, że ten zwózek będzie wolny od bagażu przeszłości i - jak na razie - udawało się to osiągnąć.

- Dzień dobry - powiedział dziesięć minut później, wynurzając się spod kołdry i gwałtownie łapiąc powietrze, podczas gdy Laurie powoli przychodziła do siebie po orgazmie. Dysząc radośnie, z impetem opadł obok niej, walnąwszy głową w poduszkę. - Boże, jak mi się chce pić! - dodał prawie natychmiast, siadając i czochrając grzywę gęstych czarnych włosów, które po tym zabiegu zaczęły sterczeć na wszystkie strony. W jednej chwili odrzucił kołdrę i stanął po swojej stronie futonu, na owczej skórze służącej za dywanik. Laurie nie zdołała powstrzymać śmiechu. - Co się stało? - Spojrzał na nią z uśmiechem.

Potrząsnęła głową. Nie potrafiłaby mu wyjaśnić, dlaczego uważa, że jest taki zabawny i dlaczego tak odświeżająco działa na nią jego brak powagi. Siadając na futonie i podciągając pod kołdrą kolana, stwierdziła, że lubi jego podejście do seksu, to, że traktuje go zawsze wyłącznie jako kolejną z jego - czy w tym przypadku jej - zachcianek, które po prostu należy zaspokoić. Pomimo modnych ubrań i fryzury oraz obiecującej kariery producenta muzycznego James był w głębi ducha równie prymitywny jak jaskiniowiec. Gdy już zaspokoił jedną potrzebę, zabierał się za kolejną. Co w tej chwili oznaczało jakiś napój.

Obserwowała jego gładkie pośladki, kiedy szedł przez sypialnię, omijając rozrzucone na podłodze śmieci. Był całkowicie zadowolony ze swego ciała, jakby ta smukła sylwetka

O długich, chudych nogach i harmonijnym torsie była rzeczą najoczywistszą w świecie. Pomyślała, że pewnie nawet przez myśl mu nie przeszło, ile ma szczęścia, że jest tak przystojny i wysportowany. Podobał jej się ten brak próżności.

Natychmiast nakazała sobie przestać. Postanowiła przecież, że nie będzie tego robić, nie będzie analizować Jamesa ani własnych uczuć do niego, ani rozkładać na czynniki pierwsze jakichkolwiek aspektów jego osobowości, bo inaczej wszystko się znowu straszliwie pogmatwa.

Spróbowała skoncentrować się na terażniejszości i poskładać razem wydarzenia, których finałem było przebudzenie się w łóżku Jamesa.

Przypomniała sobie, jak o czwartej nad ranem, po kawie z bajgłem na Brick Lane, zapakował ją do taksówki, i że była zbyt pijana i zbyt zmęczona, żeby protestować przed pozostaniem w jego mieszkaniu, choć teraz bardzo tego żałowała. Rzecz nie w tym, że nie lubiła sypiać z Jamesem. Po prostu dużo bardziej wolała robić to we własnym łóżku.

To na pewno przez snobizm. Chociaż James zajmował największy pokój w mieszkaniu, które dzielił z kolegami, dla niej było tu coś stanowczo zbyt „studenckiego”, przede



wszystkim ta ciągle zmieniająca się liczba lokatorów, których przyjmował w zasadzie bez żadnego sprawdzania. Nawet teraz słyszała odległe bębnienie - w pobliżu ktoś grał na bongo.

Znajdująca się na dole sypialnia Jamesa była duża i pełna przeciągów. Cała pomalowana została na biało, łącznie z podłogą, ale zrobiono to w tak wielkim pośpiechu, że powstały liczne smugi i nierówności, jak na tablicy pomazanej kredą przez dzieci. W jednym końcu pokoju znajdowało się duże okno, którego zasłony ani razu za pamięci Laurie nie zostały odsłonięte. Pod nim, na rachitycznym biurku, piętrzyła się plątanina kabli i wzmacniaczy, a o ścianę stała oparta gitara elektryczna. Obok chwiały się niebezpiecznie stos płyt CD i taśm magnetofonowych. Dalej straszły ohydna biała szafa i komoda, z których na wszystkie strony wylewały się ubrania. Stała tu również kartonowa sylwetka, przedstawiająca naturalnej wielkości Elvisa w szczytowym okresie kariery w Vegas. W nocy rzucała na sufit dziwne, falliczne cienie. Resztę pokoju zajmował wielki futon, na którym teraz siedziała Laurie. Otaczały go stosy książek i magazynów, brudne skarpetki i trzy lampy woskowe, w których wosk zastygł w dziwaczne, podobne do embrionów, kształty.

James wrócił z butelką wody Evian, którą znalazł w kącie obok sprzętu stereo.

- Chcesz trochę? - zapytał. Wypił łyk i wyciągnął do Laurie rękę z butelką.

- A ile tam stała? - spytała rozbawiona faktem, że choć ochoczo wymienia z Jamesem płyny ustrojowe, ma obiekcje co do zwietrzałej wody mineralnej.

Wypił kolejny łyk i spojrzał na naklejkę butelki, jakby mógł tam znaleźć potrzebne informacje.

- Nie mam pojęcia - stwierdził. - Na pewno nie dłużej niż kilka miesięcy. Uniósł zachęcająco gęste, ciemne brwi, ale potrząsnęła głową. Wtedy wzruszył ramionami, wślizgnął się pod kołdrę

i przytulił Laurie mocno, układając lodowate stopy na jej nogach.

- A więc, moja Znacznicy Sztuki, jak tam kac? - spytał, znów zaczynając ją pieścić.

- Szkoda, że mi o nim przypomniałeś - jęknęła, czując nagły przypływ mdłości. Gdy sięgała ponad nim po wzgardzoną butelkę, jej wzrok padł na mały podróżny budzik stojący na podłodze. - Kurde - mruknęła, opadając na gładką pierś Jamesa.

- Co?

- Miałam się spotkać z Tamsin na śniadaniu.

- Tamsin... Tamsin? - James najwyraźniej próbował dopasować jakąś twarz do tego imienia.

- Moja współlokatorka - wyjaśniła Laurie z uśmiechem, choć poczuła się dotknięta. Ona pamiętała w s z y s t k i c h jego przyjaciół.

- A tak. Taka blondynka. Laurie przewróciła oczami.

- Obiecałam, że się z nią dziś zobaczę. Muszę jechać do domu i wziąć prysznic.

- Nie jedź - poprosił James, ciągnąc ją z powrotem pod kołdrę. - Możesz wziąć prysznic u mnie.

- W twojej łazience?

- Tak, bo co?

- Powiem tylko tyle, że cenię sobie komfort nieco bardziej niż ty. Może ma to jakiś związek z wiekiem. Oczywiście możesz jechać ze mną. A potem moglibyśmy...

Ale James zamknął już oczy i naciągnął kołdrę aż pod brodę. Laurie wstała z łóżka i włożyła wczorajsze ubranie. Czuć je było zwietrzałym dymem z papierosów.

- Na razie, śpiochu - szepnęła, odgarniając mu włosy i całując w czoło. - Zadzwoń do mnie, jak oprzytomniejesz.

Laurie podziwiała Tamsin. Były przyjaciółkami od przedostatniej klasy college'u, gdzie razem paliły papierosy, czytały poezje, malowały paznokcie na czarno i ganiały za nieodpowiednimi chłopakami. Od tamtej pory Tamsin przeszła dużo gruntowniejszą przemianę niż Laurie: zajmowała imponujące stanowisko doradcy prawnego, które zmuszało ją do latania pierwszą klasą po całym świecie. Chodziła nawet z pewnym przystojnym pilotem.

Dwie godziny później siedziały w swej ulubionej kawiarni na Borough Market, omawiając wczorajszą wystawę. Tamsin, szczupła drobna blondynka, ubrana była w błękitny kaszmirowy sweter, do którego założyła złote dodatki. Laurie była nieumalowana i miała na sobie pochłapane farbą spodnie, a wilgotne włosy wepchnęła pod włóczkowy kapelusz.

- Sporo ludzi się interesowało, ale nic nie sprzedałam oprócz tego wielkiego zachodu słońca - opowiadała Laurie. - A i to zawdzięczam wyłącznie Roz - dodała, niemal kładąc się na stole i przypominając sobie zdarzenia z poprzedniej nocy.

- Szkoda, że mnie tam nie było - po raz trzeci powtórzyła Tamsin.

- Przestań - poprosiła Laurie, wyciągnęła rękę nad stołem i położyła ją na ramieniu przyjaciółki. - Przecież nic nie mogłaś poradzić na to, że lot się spóźnił. Wiem doskonale, że przyszłabyś, gdybyś mogła.

- Może chociaż kupię jakiś obraz, żeby ci się podlizać?

- Nie bądź śmieszna. Moje obrazy i tak wiszą w całym mieszkaniu. Nie ma sensu ich kupować. - Laurie usiadła prosto, bo nadeszła kelnerka z wielkim talerzem bananowych naleśników z syropem klonowym. - A skoro mówimy o mieszkaniu, to prysznic znowu chyba nawala. Jak dostanę jakieś pieniądze z wystawy - jeśli jakieś dostanę - może trochę tam odnowię. Co o tym sądzisz?

Tamsin nie odpowiedziała, tylko napiła się mrożonej kawy, a potem przesunęła palcem po krawędzi stołu. Nabierając

na widelec porcję naleśnika, Laurie zauważyła wyraz jej twarzy. Coś w minie przyjaciółki kazało jej odłożyć widelec i wytrzeć usta.

- Dobra, gadaj - powiedziała, rzucając Tamsin krótkie spojrzenie i przysuwając sobie koktajl owocowy.

- Co? Och, to nic poważanego, naprawdę. Laurie odsunęła szklanę.

- Czy ma to coś wspólnego z kapitanem Mikiem? - wypowiedziała to imię głębokim głosem, przyciągając brodę do szyi tak, że zrobił jej się drugi podbródek. Zwykle Tamsin bawił ten żart, ale nie dziś.

- Postanowiliśmy zamieszkać razem - wykrztusiła.

- Przecież... myślałam, że wy dopiero... - Laurie urwała. Miała zamiar powiedzieć „zaczynacie się spotykać”, ale jakie miała prawo oceniać?

Jeśli to była prawdziwa miłość, Tamsin na pewno natychmiast się przeprowadzi. Laurie uśmiechnęła się, poderwała z miejsca i

przechylając się przez stół, niezdarnie uściskała przyjaciółkę. - Wow! - zawołała.

Tamsin odwzajemniła uścisk.

- Wiem, czy to nie wspaniale? Sama co chwila się szczypię, żeby sprawdzić, czy nie śnię.

Laurie usiadła na powrót, nadal się uśmiechając, ale w głębi ducha poczuła smutek. Widziała, jak coś takiego przydarza się prawie wszystkim jej przyjaciółkom. Zapewne już wkrótce odbędzie się wystawny ślub, potem będzie ciąża i dziecko i za mniej niż rok nie będzie już miała nic wspólnego z Tamsin. A pomimo tego, co opowiadała o wystawie, czuła się teraz jeszcze bardziej zawieszona w próżni niż przedtem.

- Więc... - zaczęła, patrząc w talerz. Nowina całkiem odebrała jej apetyt.

- Wszystko się teraz zmieni - stwierdziła Tamsin radośnie, wzruszając ramionami. Potem zaczęła opowiadać, jak Mike wystąpił z romantyczną propozycją wspólnego zamie-

szkania. Stało się to w kokpicie boeinga 747, akurat podczas przelotu nad Alpami.

Myśli Laurie wybiegały już jednak naprzód. Prawie dziesięć lat temu kupiły wraz z Tamsin małe mieszkanie. Wówczas spłata hipoteki do spółki z przyjaciółką wydawała się dużo bezpieczniejsza niż z facetami, z którymi się wtedy umawiały. Poza tym mieszkanie było tanie i jego zakup nie niósł ze sobą ryzyka, a taki układ jak do tej pory odpowiadał im obu, ostatnio zaś, ponieważ Tamsin spędzała coraz więcej czasu poza domem, Laurie miała mieszkanie prawie wyłącznie dla siebie. Sama myśl o konieczności znalezienia współlokatora napełniła ją przerażeniem.

- Co zamierzasz w związku z mieszkaniem? - spytała, delikatnie sprowadzając przyjaciółkę na ziemię.

- Więć, chodzi o to, że... Wiem, jak u ciebie krucho z forszą. Więć pomyślałam... razem pomyśleliśmy, że może to my się tam wprowadzimy

- wyjąkała Tamsin. - Czy może wolisz mnie spłacić? - dodała pospiesznie. - Jeśli tak, to my kupimy sobie coś innego, a ty zatrzymasz mieszkanie.

Zaczerwieniła się mocno, najwyraźniej czując się winna. Laurie popatrzyła na nią uważnie, ale przyjaciółka uciekła wzrokiem. Obie wiedziały doskonale, że wykupienie udziału Tamsin przez Laurie raczej nie wchodzi w grę.

- Chodzi o to, że ruszyłaś już sprawę swojej twórczości i... przecież czekałam już dość długo, aż...

- Aż co?

- No wiesz... zyskasz jakąś stabilizację.

Laurie poczuła się ogłuszona. Miała takie uczucie, jakby nagle porzucił ją ktoś, kogo uważała za prawdziwego przyjaciela. A nawet gorzej, poczuła wstyd, że zwierzała się Tamsin z tylu spraw. Do tej pory uważała, że współlokatorka bardzo jej pomaga uporać się ze smutkiem po śmierci matki, zamętem w życiu uczuciowym oraz niepewnością

związaną z karierą. A teraz wyglądało to tak, jakby Tamsin czekała po prostu na właściwy moment.

- Chyba lepiej będzie, jeśli to ty zatrzymasz mieszkanie. Jeśli oczywiście chcesz - odezwała się w końcu. - Spróbuję się wyprowadzić.

Tamsin uśmiechnęła się z wyraźną ulgą.

- Wiedziałam, że tak się właśnie zachowasz. Ustalę wszystko z adwokatem. Uporządkowanie papierów zajmie jakiś miesiąc, ale oczywiście wcale na ciebie nie naciskam.

- A ponieważ Laurie milczała, dodała szybko: - To co będziesz robić? Gdzie zamieszkaasz?

- Coś wymyślę.

- Cała ty - roześmiała się Tamsin, kończąc tym samym temat. - Jesteś taka zaradna. Zawsze możesz przecież zamieszkać u Jamesa, prawda?

Laurie zdobyła się zaledwie na cień uśmiechu.

- Nie bardzo.

Na moment zapadła cisza.

- Tak. A co robisz w przyszłą niedzielę? Bo widzisz, zaprosiłam na lunch rodziców Mike'a i chciałam go zorganizować w domu. Oczywiście zapraszam i ciebie, i Jamesa.

- Nie, dzięki. Chyba pojedę do ojca.

- A jak on się miewa? - spytała Tamsin głosem pełnym współczucia.

- Och, świetnie - odparł Bill Vale wesoło, kiedy w następnym tygodniu Laurie zadała mu to samo pytanie. - Nigdy nie czułem się lepiej - dodał, ale zaraz się poprawił:

- Oczywiście biorąc pod uwagę sytuację.

Laurie zastanawiała się, ile razy przećwiczył tę odpowiedź. Nie potrafiła określić, czy jej ukochany, choć nieco deprymujący ojciec udaje, żeby jej nie martwić, czy też rzeczywiście jest tak, jak mówi. W tym jego zarzekaniu się

z pewnością tkwiło ziarno prawdy: miał zaróżowione policzki i przybrał nieco na wadze, czego bardzo potrzebował przy swoim wzroście. Siwe włosy zaczesał gładko do tyłu, a ubrany był w kraciastą koszulę z czerwonym krawatem, rozpinany sweter i szare spodnie. W milczeniu weszła za nim do małego szeregowego domku, w którym mieszkał samotnie w Tunbridge Wells.

- Jak było? - spytał, mając na myśli wystawę, kiedy znaleźli się w przytulnym saloniku.

- Ciężko. Szkoda, że nie przyszedłeś.

- Wiesz, nie chciałem ci przeszkadzać - zażartował, ale zauważyła, że czuł się dotknięty. - Nie ma się czym przejmować, będziesz miała jeszcze mnóstwo wystaw.

- Sama nie wiem - odparła, siadając na beżowej kanapie.

- Napijesz się czegoś? - Szurając skórzanymi kapciami po zielonym dywanie, ruszył w kierunku małego barku, gdzie lśniły ustawione rzędem eleganckie szklanki. Po latach uczenia matematyki w szkole w Canterbury zachowywał się zawsze bardzo oficjalnie, i Laurie czuła się u niego nieodmiennie bardziej gościem niż córką.

Skinęła głową, a potem zdjęła kapelusz. To nie był dla niej dobry tydzień. Decyzja Tamsin w sprawie mieszkania i konieczność zwinięcia wystawy sprawiły, że zaczęła czuć się nieszczęśliwa i straciła całą pewność siebie. Ale bez sensu byłoby prosić ojca o pociechę. Nigdy nie rozumiał, że Laurie pragnie tylko, żeby jej wysłuchał, a nie żeby rozwiązał wszystkie jej problemy. Wiedziała, że gdyby teraz podzieliła się z nim szczerze swymi zmartwieniami, wliczając w to rychłą bezdomność, na pewno spróbowałby na nowym komputerze przygotować zestawienie jej wydatków, potem pogubiłby się w nich i wreszcie sięgnął po książeczkę czekową. A ona miała nadzieję, że czeka go jeszcze przynajmniej kilkanaście lat zdrowia na emeryturze, i chciała, żeby pieniądze przeznaczył dla siebie, a nie na wyciąganie jej z kłopotów finansowych.

- Zarobiłaś masę pieniędzy? - spytał.

Nienawidziła kłamać, ale nie mogła się zdobyć na wyznanie, że po wystawie jest koszmarnie zadłużona.

- Chodziło raczej o wyrobienie sobie nazwiska, a nie o pieniądze - wyjaśniła.

Wydał westchnienie przypominające nieco chrząknięcie

1 usiadł w fotelu, zdjęwszy z siedzenia niedzielną gazetę.

- Cóż, twoja matka od początku wiedziała, że masz talent. Warto starać się realizować marzenia.

- Tak, wiem, ale dobrze by było zacząć też na nich zarabiać, chociaż na najskromniejsze utrzymanie - odparła ponuro, nim zdołała ocenzurować swoją wypowiedź.

- W końcu do tego dojdzie, przekonasz się. Coś ci się trafi. Coś lub ktoś. Laurie zjeżyła się na tę uwagę. Wiedziała, że próbował jej w ten sposób pomóc, ale jego optymizm zawsze z jakichś powodów podkopywał jej wiarę we własne siły. Coś w tej ślepej ufności ojca wprowadziło ją teraz w złość. Zupełnie jakby to miało być przeznaczenie. Jakby wszystko było właśnie takie łatwe.

- Co robiłeś ostatnio? - zmieniła temat i napiła się ginu z tonikiem.

- Mieliliśmy masę roboty w zarządzie Wspólnoty Mieszkańców, bo Trevor Sandler zrezygnował ze stanowiska przewodniczącego na czas operacji biodra i musieliśmy szukać zastępcy...

Później, kiedy pomagała mu przygotować lunch, poczuła się zaskoczona tym, jak szybko i mądrze nauczył się żyć samotnie. Tylko raz wspomniał o jej matce, ale zaraz urwał, zaczerpnął powietrza i popatrzył w zaporowane okno.

- Pewnie siałaby coś teraz w ogrodzie - stwierdził smutno. - Dawniej mieliśmy zawsze pełno żonkili.

- Wiem - odparła Laurie miękko. Zauważyła, jak pogłębiły się zmarszczki wokół jego oczu. Potarł ręką krzaczaste, siwe brwi.



- Daj spokój - powiedział tak, jakby to Laurie okazywała smutek. - Na pewno nie chciałyby, żebyśmy się rozklejali. To nie ma sensu. Skinęła głową, choć było jej przykro, że to już koniec rozmowy. Zapewne wyraźniej nie potrafił okazać, że tęskni za żoną. Tylko tyle był w stanie uzewnętrznić. Choć może rzeczywiście czuł tylko tyle, pomyślała - i to nie po raz pierwszy - Laurie. Być może po prostu miał szczęście należeć do ludzi, którzy niczego nie przeżywają głęboko.

Już dawno temu nauczyła się, że jej ojciec uważa wszelkie okazywanie uczuć za głupie i dziecinne. Nawet po śmierci matki nie widziała, żeby płakał. Zachowywał stoicki spokój, dzielnie trzymając w obliczu nieszczęścia fason, jaki zawsze - bez powodzenia - usiłował wpoić córce. Jednak była pewna, że na swój sposób kochał matkę. Tyle że ich związek oparty był raczej na spokojnym partnerstwie, a nie na namiętności.

Zawsze okazywali sobie uczucia jedynie przelotnym muśnięciem ręki, zrobieniem herbaty drugiej osobie, albo za pomocą tysiąca drobnych rytuałów, jakie sobie stworzyli. Nigdy nie widziała, żeby zrobili coś spon-tanicznego, jak na przykład wspólny taniec, nigdy też nie przyłapała ich na całowaniu się, czym chwaliły się często jej przyjaciółki.

Kiedy była w szkole, zawsze wyobrażała sobie, że gdy jej nie ma, rodzice prowadzą jakieś sekretne życie. Ale kiedy wracała do domu, od razu widziała, jak śmieszne były takie przypuszczenia. Rezerwa matki i jej widoczne zadowolenie z małżeństwa nie pozwalały Laurie przez te wszystkie lata zapytać o jej prawdziwe uczucia. Teraz było na to za późno. Już nigdy się nie dowie, co naprawdę czuła jej matka. Nie potrafiła też zacząć takiej rozmowy z ojcem.

Po lunchu poszedł do sąsiadów po nowiny w sprawie Wspólnoty Mieszkańców. Laurie zaproponowała, że będzie mu towarzyszyć, ale nie chciał nawet o tym słyszeć. Kiedy

została sama, opanował ją znajomy stan pełnej poczucia winy nudy, która sprawiała jej niemal fizyczny ból. Gałęzie wybujałej brzoskwini rosnącej w ogródku ojca uderzały

O drzwi patio, jakby ktoś bębnił palcami po stole. Budki dla ptaków, umieszczone na ścianie szopy, wydawały się wilgotne i puste.

Ojciec wprowadził się tutaj, kiedy oddał matkę do hospicjum, i może dlatego dla Laurie nigdy nie był to dom, choć meble pozostały te same i pełno tu było znajomych przedmiotów. Fotografia ślubna rodziców w srebrnej ramce: jej matka, prawie czterdziestoletnia, w skromnym białym kostiumie, wyglądała na zażenowaną; zdjęcie szczęśliwej i szczerbatej Laurie na pierwszym rowerze; modele samochodów, które budował ojciec i jego kolekcja powieści sensacyjnych w przeszklonej gablocie. Dopija drinka i poszła do kuchni posprzątać po lunchu. Szkielet kurczaka leżał obok zlewu na desce do krojenia, a talerze i miski ustawione były obok w porządku stos.

Na ścianie nad niewielkim stołem zawieszona była korkowa tablica pełna pocztówek. Laurie przyjrzała się im - niektóre były stare i pogniecione, inne całkiem nowe. Nagle zauważyła róg kartki, którą sama kiedyś wysłała do rodziców, i zamarła.

- Nie - powiedziała głośno, odrzucając to od siebie. Nie wolno jej o tym myśleć. Nie wolno pozwolić, żeby on znowu nią zawładnął. Ale już podchodziła do tablicy, zdejmowała kartkę i odwracała.

*Kocham rodzice! Tu jest wspaniale. Jestem z Roz, Heather i resztą, ale poznałam kogoś. Jestem zakochana! I taka szczęśliwa. Opowiem Wam, jak wrócę. Jeśli wrócę. To wreszcie TO. Jestem w raju. L.*

Przez chwilę czuła złość na ojca, że zatrzymał tę kartkę. Jak śmiał przechowywać pamiątki, skoro ona wszystkie

swoje zniszczyła? Ale nie mogła go za to winić. Musiał być taki szczęśliwy, czytając jej słowa mamie.

Myśl o tym - świadomość, że w pewnym sensie zawiodła rodziców, tak jak zawiedziono ją samą - sprawiła, że Laurie znowu poczuła wściekłość. Podarła kartkę na drobne kawałki i wrzuciła do kosza na śmieci. Na jej strzępach wylądował szkielet kurczaka - potem szybko zatrzęsnęła szafkę pod zlewem.

Podobnie jak alkoholik czy narkoman, musiała sobie radzić z resztkami poprzedniego życia. Pokonać je, a nie poddać się im. Nie może pozwolić, żeby wróciły wspomnienia. Zatarła dłonie, w myślach gratulując sobie, że opanowała niebezpieczną sytuację. Koniec. Raz na zawsze. Teraz miała Jamesa. Jamesa i nowe życie. Mogła wpaść raz, ale to już przeszłość.

Była z powrotem na właściwej drodze i miała przed sobą przyszłość.

Nagle, ku jej zaskoczeniu, zadzwonił telefon. Pobiegła do gabinetu, gdzie stał najbliższy aparat, i rzuciła się na wielkie, drewniane biurko, by podnieść słuchawkę, równocześnie rejestrując, że ojciec kupił sobie nowy stolik pod komputer.

- Pięć, cztery, dziewięć, zero - powiedziała, naśladowując ojcowski sposób odbierania telefonu.

- Halo, czy zastałam Billa? - spytał niepewnie kobiecy głos.

Laurie uśmiechnęła się do siebie w milczeniu, gdy przyszła jej do głowy szokująca myśl. Czyżby ojciec znalazł sobie nową kobietę? Czyżby się z kimś umawiał? Może to dlatego wygląda tak zdrowo i jest taki zadowolony? Nie, to niemożliwe. Nie u Billa Vale.

Ale może...? Może jednak zostało w nim jakieś życie...?

Rozprostowała skręcony kabel od słuchawki i obeszła biurko, żeby usiąść w skórzanym obrotowym fotelu ojca, zadowolona, że ma z kim porozmawiać.

- Wskoczył gdzieś na chwilę. Mogę w czymś pomóc? Jestem jego córką.

Po drugiej stronie telefonu zapanowała długa cisza. Tak długa, że Laurie popatrzyła badawczo na słuchawkę, a następnie odezwała się ponownie.

- Halo? Jest tam pani?

- Tak, jestem.

- Mam powtórzyć tacie, że kto dzwonił?

- Czy możesz mu powiedzieć... możesz mu przekazać wiadomość?

- Oczywiście. Proszę mówić - obróciła pustą kopertę leżącą na skórzanej zielonej podkładce na biurko i wyszarpnęła długopis z pojemnika.

- Proszę mu powiedzieć... proszę mu powiedzieć, że Tony... że Tony nie żyje.

- Tony? - powtórzyła Laurie. To imię nic jej nie mówiło. - Przepraszam, czy to był przyjaciel ojca?

- Nie - odparła kobieta. - Ale chcę, żeby wiedział. Pogrzeb jest w przyszłym tygodniu. Jeśli będzie chciał przyjechać, powiedz mu, że... - kobieta zamilkła. Laurie już miała zamiar ją zachęcić, ale odezwała się ponownie sama. Jej głos był teraz bardziej formalny, jakby nad sobą zapanowała. - Powiedz mu, żeby zadzwonił.

Laurie zapisała wiadomość i numer telefonu, usiłując pojąć dziwny ton głosu swej rozmówczyni.

- Dobrze, przekażę tacie - zapewniła łagodnie. - Czy zostawi pani swoje nazwisko?

- Proszę powiedzieć, że dzwoniła Rachel.

- Rachel - powtórzyła Laurie, zapisując. - Będzie wiedział, kim pani jest?

- O tak.

- Jest pani jego przyjaciółką? - nalegała.

- Nie - odparła Rachel powoli. - Nie jestem jego przyjaciółką - urwała. - Jestem jego siostrą.

Teraz to Laurie zamilkła. Poczowała, jak krew napływa jej do policzków i jak poci jej się dłoń, w której trzymała słuchawkę.

- Siostrą?!

- Nigdy o mnie nie wspominał? - spytała Rachel. Głos Laurie załamał się.

- Proszę posłuchać, nie wiem, kim pani jest, i przykro mi z powodu pani straty, ale sądzę, że zadzwoniła pani pod niewłaściwy numer. Mój ojciec nie ma siostry. To pomyłka.

- Nie, to nie jest pomyłka - odparła kobieta ze znużeniem. - Przykro mi, że tak cię zaskoczyłam. Wiem, że to musi być trudne. Ty jesteś Laurel, prawda?

- Nie rozumiem... - Laurie urwała. - Tak, nazywam się Laurel Vale...  
Laurie.

- Nazwał cię po naszej mamie.

Laurie z trudem przełknęła ślinę. To była prawda, rzeczywiście nazwano ją po babci, ale skąd do diabła mogła ta kobieta, ta Rachel, wiedzieć...

- Laurie, czy możemy się spotkać? - spytała Rachel. - Nie przypuszczam, żeby twój ojciec przyjechał na pogrzeb Tony'ego, ale tak bym chciała z tobą porozmawiać. Poza tym powinnaś poznać rodzinę. Już czas.

## Rozdział II

Stepmouth, marzec 1953

O dziewiątej rano życie na głównej ulicy Stepmouth toczyło się już pełną parą. Zimne podmuchy wiatru wdzierały się tu od strony wybrzeża, a jaskółki śmigały między kominami i spiczastymi dachami sklepów o frontonach pomalowanych na żywe kolory. Słysząc było krzyki kormoranów i mew ścigających się na lodowatym błękicie nieba.

Ludzie zbijali się w grupki: na przystanku autobusowym, gdzie próbowali się rozgrzać, uderzając o ramiona dłońmi odzianymi w rękawiczki, palili papierosy, rozprawiali o koniecznych zakupach i czekali na przyjazd autobusu; i przed sklepem Vale'ów, gdzie wymieniali plotki, przepisy kulinarne i kartki żywnościowe albo gruchali nad niemowlętami ukrytymi w ciepłych głębinach wózków.

Nieco dalej, pod falującą markizą sklepu rybnego Mark Piper, łysy i brodaty rybak, oraz jego żona, Eileen, targowali się ze Stephenem Able, ubranym w wysokie gumowe buty kapitanem „Mary Jane”, który właśnie przyciągnął z nadbrzeża wózek pełen ryb, homarów i krabów.

Przed budynkiem pubu Channel Arms mężczyźni o czerwonych twarzach, w poplamionych czapkach z daszkiem i przepoconych podkoszulkach, wytaczali z warczącej ciężarówce beczki piwa. Po szybach kancelarii notarialnej Ack-royd & Partners, które mył właśnie Nick Meades, spływały brudne mydliny. Główną ulicą w kierunku wzgórza Sum-

merglade przejechał błyszczący, czarny citroen - zupełnie jak wóz z filmu o gangsterach, pomyślał Tony Glover, kiedy samochód go mijał. Tony stał kilka metrów od kolejki na przystanku autobusowym, obejmując w pasie Margo Mitchell, z którą chodził już dwa i pół tygodnia.

Z otwartych drzwi piekarni napłynął zapach świeżo upieczonego chleba, który doprowadzał go do szału. Słuchając burczenia swego żołądka, pożałował, że zrezygnował ze śniadania, które proponowała mu przed wyjściem matka.

Ale nie miał wtedy czasu do stracenia, bo Margo Mitchell nie należała do dziewczyn, którym każe się czekać. Szczególnie jeśli obiecało się jej całodniową wyprawę na zakupy do bogato zaopatrzonych sklepów pobliskiego Barnstaple. A już szczególnie jeśli się chciało zrobić na niej takie wrażenie, żeby w końcu zgodziła się rozpiąć biustonosz, strzegący jej piersi jak twierdza, i pobaraszkować gdzieś na łąkach - na co miał wielką nadzieję.

Żeby się tu dostać na czas, musiał z zabójczą szybkością zjechać na rowerze stromą, zdradliwą i pełną zakrętów drogą, która prowadziła do Stepmouth z jego wioski, położonej pięć kilometrów w górę doliny rzeki West Step.

Ale warto było, to pewne. Margo była tego warta. Tony wdychał jej słodkie perfumy o zapachu cytryny i całował kapryśne, różane usta, od czasu do czasu odsuwając się i mierząc ją wzrokiem.

Była urocza, to fakt. Miała na sobie wełniany sweter kremowego koloru i błękitną sukienkę z torlenu, a jej złote włosy, zebrane w dwa kucyki, odsłaniały pożyczoną od matki parę srebrnych kolczyków. Nawet jeśli nie miała wiele wspólnego z Tonym, to i tak istniało dość innych powodów, żeby prowadzić się z dziewczyną, która wyglądała jak ona. - Na przykład te cycki, wielkie jak piłki plażowe - rozmarzył się w zeszłym tygodniu Pete, najlepszy przyjaciel Tony'ego.

- A tymi ustami na pewno swobodnie wciągnęłyby przez słomkę piłkę golfową - dodał z westchnieniem ich wspólny przyjaciel Arthur. Zatem Margo to była prawdziwa szprycha. Oraz najładniejsza dziewczyna, z jaką Tony się kiedykolwiek umawiał. Nie żeby sam był pozbawiony urody. Był wysoki - miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu - bardzo zwinny, co zostało mu z okresu, gdy boksował się w szkolnej drużynie (to znaczy, nim go wyrzucili ze szkoły). Przechodził właśnie okres ekscentrycznej elegancji i dlatego ubrany był dziś w czarny szynel zapięty pod samą szyję (w ulubionym stylu Richarda Burtona), zaprasowane w kant szare spodnie oraz wypolerowane czarne buty ze skóry. Miał błyszczące błękitne oczy, w takim odcieniu jak morze, kiedy ogląda się je ze szczytu klifu w bardzo słoneczny dzień. „Cud-miód” zawsze mawiała

O nich matka. Oraz ciemne i bardzo długie rzęsy.

Ale choć był przystojny od urodzenia, robił, co mógł, żeby to zmienić. Na twarzy nosił przegląd wszystkich kłopotów, w jakie się kiedyś wpakował. Jeden z przednich zębów miał wyszczerbiony od otwierania butelek z piwem, o co się zawsze zakładał, a zeszłego lata, kiedy popisował się na plaży przed turystkami, źle ocenił głębokość pływowego jeziora i skacząc, złamał sobie nos o skałę. Na lewej skroni widniała długa na dwa centymetry blizna, pamiątka po bójce, w którą się wdał we wrześniu zeszłego roku, akurat w swoje siedemnaste urodziny - przez tę właśnie bójkę wyleciał ze szkoły, co położyło kres wszelkim nadziejom na dalszą naukę.

Siniaki i blizny go nie martwiły. Natomiast wydalenie - tak, to wciąż go wkurzało... Od tamtej pory zmywał naczynia w Sea Catch Cafe. Szorował je co dzień do połysku, dzięki czemu miał teraz ramiona twarde jak stal. Uważał, że należy wyglądać na twardziela, i to takiego twardziela, żeby ludzie nie szukali kłopotów. Dlatego właśnie zaczesywał do tyłu wybrylantynowane ciemne włosy, tak samo jak człon-



kowie londyńskich gangów na zdjęciach widywanych w gazetach. Uważał też, że dziewczyny lubią, jak facet wygląda na twardziela, takiego jak w filmach. Sądził, że sporo wie o kobietach. Na przykład, jak je skłonić do uśmiechu, chwając ich fryzurę albo nową sukienkę. Wiedział też z doświadczenia, że pierwsze randki służą ostrożnym pieszczotom, kolejne porządkiem obmacywaniu, a co zdarzy się później, jest tylko kwestią szczęścia.

Natomiast nie wiedział jeszcze na pewno (choć zaczął to już poważnie podejrzewać), czy Margo Mitchell - z którą nigdy nie wyszedł poza wstępne pieszczoty - jest rzeczywiście flirciarą pierwsza klasa.

- Kochasz mnie, Tony? - szepnęła mu teraz w ucho. - Kochasz? No powiedz, kochasz mnie?

Zwykle od takich pytań (głupich, babskich i egzaltowanych) dostawał wysypki, ale ponieważ Margo zapytała go o to po raz dziesiąty w ciągu ostatnich pięciu minut, wzruszył tylko ramionami.

- Czemu nie porozmawiamy o czymś innym? - spytał dokładnie tak samo jak przy poprzednich dziewięciu razach. Odsuwając się od niej nieco, włożył w usta papierosa i sięgnął do kieszeni po zapalniczkę.

- Ponieważ...

Ale Tony'emu nigdy nie było dane poznać przyczyny, bo akurat w tym momencie spojrzał w górę - jego wzrok przyciągnęło jakieś przelotne mignięcie koloru, dokładnie nad głową. A tam, na obłożonym z farby, chwiejnym balkonie sali parafialnej - który górował nad przystankiem, a poza tym właśnie był w trakcie remontu - stały dwie dziewczyny. Ich identyczne żółte apaszki trzepotały na wietrze niczym jaskrawe motyle skrzydła.

Przyłapał je na tym, że go obserwują - zamarły zaskoczone i przez chwilę gapiły się na niego w milczeniu. Znał

je: Pearl Glaister i Rachel Vale. Obie - jedna jasnowłosa, druga ruda - prawdziwe ślicznotki, znane doskonale wszystkim miejscowym chłopakom w wieku Tony'ego.

Rudowłosa Rachel Vale, młodsza siostra Billa, córka Edwarda i Laurel, była śliczna jak dziewczyny na rozkładówkach w „Picture Post” i nienawidziła Tony'ego z całego serca. Nigdy, od czasu śmierci swego ojca osiem lat temu, nie odezwała się do niego nawet jednym słowem. Prześliczna Rachel Vale o ostrym języczku jedynie mówiła o Tonym, i to zwykle tak, żeby słyszał. Głównie informowała innych, co myśli o nim i jego rodzinie. Bo poza tym nie chciała nawet na niego patrzeć, a kiedy spotykali się na ulicy, przechodziła ostentacyjnie na drugą stronę. No to czemu teraz tak się na niego gapi? - pomyślał.

W tej samej chwili znalazł odpowiedź. Bo kiedy oderwał wzrok od oczu Rachel, zauważył otwartą puszkę z farbą, którą trzymała dokładnie nad jego głową, czekając, aż gęsta zawartość zacznie się z niej wylewać. Puszka powoli wyslizgnęła się z jej rąk. Specjalnie czy przez przypadek? Nie potrafił określić. Niemniej spadała teraz pionowo, otwarta, prosto na niego.

Nie miał czasu odskoczyć. Zamiast tego padł na ziemię, odpychając lecącą puszkę uderzeniem otwartej dłoni.

Kiedy przetoczył się na bok, zobaczył, jak puszka koziółkuje w powietrzu - raz, drugi - a biała farba rozpryskuje się z jej brzegów jak iskry z ognistego koła. Kiedy się zatrzymał - prawie w rynsztoku - obejrzał stłuczoną rękę i płaszc: nic, nawet kropli farby.

To się nazywa szczęście...

I wtedy właśnie usłyszał krzyk.

Nie musiał nawet patrzeć na Margo, żeby wiedzieć, że to ona krzyczy. Zabrał ją tydzień temu do kina na *Afrykańską królową* z Bogartem i Katherine Hepburn i całą drugą połowę seansu poświęcił na francuskie pocałunki, próbując rów-

nocześnie posunąć się nieco dalej, ale wyrywała mu się za każdym razem, kiedy muzyka zaczynała się wznosić, sugerując napięcie, i piszczała histerycznie przy pojawieniu się każdego nowego lamparta.

Jednak ten nowy krzyk - trwający już trzy sekundy i coraz wyższy, jak syrena alarmu lotniczego - zdecydowanie bił na głowę jej poprzednie popisy wokalne, tak co do długości trwania, jak i tonacji. To był prawdziwy krzyk, a nie kinowy, pełen autentycznego przerażenia. Kiedy podnosząc się, spojrzał na Margo, nietrudno mu było dostrzec przyczynę. Choć z pewnością nie można było tego samego powiedzieć o twarzy Margo Mitchell - tej prawie wcale nie było teraz widać.

Tony zamrugął oszołomiony. Jego piękna księżniczka zniknęła, a jej miejsce zajęła zjawa o twarzy jakby pokrytej serwatką.

W końcu Margo zabrakło tchu i na ulicy zapadła cisza. Ludzie, którzy stali opodal niej w kolejce do autobusu, odsuwali się teraz gwałtownie.

Otworzywszy szeroko oczy, Margo wyjrzała zza białej jak u clowna maski. Samotna, żałosna bańka farby wyrosła i pękła w kąciku jej ust.

Potem dziewczyna zaczęła się kołysać w tył i przód i zawodzić, a ramiona zwisały bezwładnie u jej boków.

Tony spojrzał na balkon, ale Rachel Vale i jej współpracniczka uciekły. Nie mógł w to uwierzyć. Po prostu nie mógł uwierzyć w to, co Rachel Vale zrobiła Margo. Ani w to, co próbowała zrobić jemu.

- Dobra! - krzyknął, wstając. Nie zamierzał puścić im tego płazem.

Znajdzie je i zmusi, żeby przeprosiły. I Margo, i j e g o. I żeby zapłaciły za ubranie Margo. I...

- Już, kurwa, nie żyjesz! - usłyszał i w tej samej chwili cios w szczękę powalił go na plecy.

Czterdziestopięcioletni Bernie Cunningham o twarzy jak ziemniak i uszach jak kalafiory zajmował się hodowlą świń,

ale z zamiłowania był knajpianym rozrabiaką. Miał siłę per-szerona i wytrzymałość muła.

- Wstawaj - warknął teraz, ściągając pochlapaną farbą marynarkę i ciskając ją do rynsztoka. Stał nad Tonym, a jego nogi wyrastały z chodnika niczym pnie drzew. - Myślisz, że taki z ciebie żartowniś, co Glover? Że zrobisz ze mnie frajera i oblejesz mnie farbą? Wstawaj, gnoju, ale to już!

Tony odpełził kawałek na plecach.

- To nie jest tak, jak pan myśli - powiedział, czując, jak pod wpływem napięcia tężeją mu mięśnie twarzy. - Nie rzuciłem w pana tą puszką... To we mnie rzucono i ja ją tylko odepchnąłem...

Ale Cunningham nie słuchał.

- Margo! - zawołał Tony. Ona musiała widzieć, co się naprawdę stało. - Powiedz mu! Powiedz mu, że to nie ja! - błagał.

Jednak Margo też nie słuchała. Nawet nie zamierzała poczekać i zobaczyć, co będzie dalej. Biedna, zszokowana Margo uciekała właśnie do domu, do mamy.

Tony poszukał wsparcia w twarzach ludzi, którzy zgromadzili się wokół, tworząc niewielki tłumek, ale nikt nie patrzył mu w oczy. Jakby się nie liczył, pomyślał. Jakby to, co się z nim stanie, też się nie liczyło.

Wstał z trudem.

- Panie Cunningham... - zaczął.

Cunningham odchrząknął i splunął na ziemię, pomiędzy stopy Tony'ego.

- Dość gadania - powiedział, przysuwając się na odległość ciosu, a następnie skinął na niego uniesionymi w postawie bokserskiej pięściami. Tony gapił się zahipnotyzowany, jak wielki mężczyzna kołysze się lekko z boku na bok niczym orangutan w klatce. Z tłumy dobiegały okrzyki zachęty.

Pierwszy cios - prosty - uderzył Tony'ego w skroń, odrzucając mu głowę do tyłu. Poczł ból. Dostał juź w życiu wiele razy: od brata, ojca albo na ringu. Automatycznie przyjął właściwą postawę. Osłonił twarz pięściami. Przycisnął łokcie do ciała, chroniąc żołądek i żebra. Przełknął krew, która zebrała mu się na języku. Zacisnął szczęki i napiął szyję.

To tylko jeden prosty, powiedział sobie, obserwując teraz Cunninghama jak jastrząb. Wiedział, że gdyby z tej odległości dostał sierpowym, z całą pewnością byłby to nokaut. Zauważył błysk w oczach Cunninghama.

Sprawdzał go, to wszystko. Bawi się nim po prostu, zanim go zabije.

Tony czuł teraz uderzenie adrenaliny. Skupił się nie tylko na twarzy Cunninghama, ale i na reszcie jego ciała, dzieląc je na części jak rzeźnik wołową tuszę, zapisując w umyśle silne i słabe strony przeciwnika, jego pięści, łokcie, zęby i oczy.

Przed następnym prostym Cunninghama zdążył się uchylić. Kolejnemu zdołał zejść z drogi. Więć przynajmniej facet nie będzie z nim robił, co zechce. Podniesiony na duchu tą myślą, spróbował sztuczki, której nauczył się na ringu w szkole. Rzucił się gwałtownie do przodu, zamarkował cios z lewej i zmusił Cunninghama do obronnego sierpowego, który zupełnie odsłonił jego prawy bok. Wykorzystał ten moment, waląc przeciwnika mocno w okolice ucha.

Tłum zafalował ze zdumienia.

A Cunningham tylko się roześmiał.

Tony mógł teraz uciec. Logicznie rzecz biorąc, nawet powinien. Dla Cunninghama to była tylko zabawa. Co z tego, że Tony zdołał mu raz przywalić? Był przecież tylko tępym gnojkiem, któremu należało dać nauzkę.

Ale Tony nigdy w życiu nie uciekał, przed nikim. Ani przed bratem, ani przed żadnym z chłopaków, którzy w ciągu ostatnich ośmiu lat chcieli sobie jego kosztem wyrobić

reputację. W tym mieście żyło zaledwie tysiąc osób i gdyby raz uciekł, wszyscy by się o tym dowiedzieli.

- No dalej, ty tłusty draniu - zawołał drwiąco do Cunnin-ghama. - Pokaż, na co cię stać!

Cunningham wyświadczył mu tę przysługę. To, co mu pokazał, było kombinacją ciosów, która zapewniła mu udział w dwóch finałach rozgrywek bokserskich, kiedy służył w wojsku, i jeden tytuł mistrza w rozgrywkach hrabstwa: lewy sierpowy, a potem prawy podbródkowy. Oba ciosy okazały się celne, a Tony zachwiał się i upadł. Jego policzki przywarł do chodnika. Słyszał szum, jakby wezbranej rzeki, ale wiedział, że ten dźwięk pochodzi z wnętrza jego czaszki. Coś gorącego spływało mu do gardła. Od-kaszlnął i poczuł słodkawy smak. Kiedy dotknął nosa, jego palce zostały dosłownie zalane krwią.

- Wstawaj - huknął Cunningham. - Jeszcze z tobą nie skończyłem! Tony spróbował skupić wzrok na rozmazanej sylwetce Cunninghama, która drgała nad nim jak odbicie na pomarszczonej wiatrem tafli jeziora. Spróbował wstać, ale kończyny odmówiły mu posłuszeństwa, zupełnie jakby były z gumy. Cunningham ruszył na niego i gwałtownie postawił go na nogi.

Wtedy, nie wiadomo skąd, zjawiła się Rachel Vale. Oderwała ich od siebie, wciskając się między nich jak łom.

- Zostaw go - usłyszał, jak zwraca się do Cunninghama.

- Ty?! - Cunningham był zaskoczony. - Kto by pomyślał, że właśnie ty... Usuń się, dziecińo, bo...

- Bo co? - spytała ostro. - Też mnie uderzysz? Spróbuj mnie tylko tknąć, a zawołam brata. On...

Szum potoku znów napełnił uszy Tony'ego. Poczuł mdłości. Osunął się z powrotem na chodnik, teraz już świadom obecności gapiów, którzy przysunęli się bliżej, żeby popatrzeć.

- On mówi prawdę - usłyszał głos Rachel Vale. - To nie była jego wina, tylko moja. Ja...

Tony przetoczył się do rynsztoka i wymiotował.

Następne, co zarejestrował, to to, że Rachel pomaga mu wstać. Po raz drugi w tym dniu, w tym życiu, Tony Glover i Rachel Vale spojrzeli sobie w oczy. Potem, podtrzymując go, ruszyła z nim razem ulicą, coraz dalej od Cunninghama i gapiów.

- Nie przejmuj się - mówiła. - Zaraz poczujesz się lepiej. Już za chwilę na pewno poczujesz się lepiej.

Powtarzała to w kółko, prowadząc go obok sklepu, gdzie sprzedawali ryby z frytkami, pod łopoczącym szyldem pubu, a potem, skręciwszy na końcu ulicy w lewo, wzdłuż nadbrzeża i przez parking, aż wreszcie dotarli na cmentarz św. Judy.

Posadziła go na niskim kamiennym murku cmentarza. Stopniowo świeże morskie powietrze przywróciło mu jasność myśli i ostrość widzenia.

Rachel wyciągnęła z kieszeni spódnicy chusteczkę i wcisnęła mu ją w rękę.

- Nie gap się na mnie - powiedziała. - To niegrzecznie. Ale nie mógł się nie gapić. Wiedział, że jest ładna, ale nigdy nie widział jej z bliska, nie z aż tak bliska. Zauważył, jaką miękką ma skórę i że jej włosy wcale nie są po prostu rude, tylko mają głęboki, rudobrunatny odcień. Jej nos, oczy, usta... wszystko w niej było ostre i złe. Ale pod tą maską - gdzieś w zielonych jak mech oczach - wyczuł jakąś miękkość, schowaną, rozmyślnie ukrytą. Ukrytą przed nim. Dałby teraz wszystko, żeby zobaczyć jej uśmiech.

- Trzymaj głowę do góry i ściśnij sobie grzbiet nosa - poleciła. - To zatrzyma krwawienie. Uczyli mnie tego w szkole.

Zbierając ręką długą plisowaną spódnice, żeby jej nie podrzeć o kamienie, usiadła obok na murku i popatrzyła na ogromne wzgórze Summerglade, wznoszące się wysoko w niebo za granicami miasta.

- Słyszałeś, co powiedziałam Cunninghamowi - odezwała się po chwili. - To była moja wina. Nie twoja. Zapłacę za strój twojej dziewczyny...
- A od kiedy to masz dość pieniędzy, żeby płacić za coś takiego? - zapytał ją półprzymkniętymi oczami; spojrzał na jej ubranie, ładne, ale niedrogi, takie samo jak większości młodzieży w mieście. - Niech zgadnę, brat ci pożyczę, ponieważ to mój największy wielbiciel...
- Nie waż się nawet o nim wspominać - warknęła, odwracając się, żeby na niego spojrzeć. - Niech cię głowa nie boli o to, skąd wezmę pieniądze. Skoro mówię, że zapłacę, to zapłacę. Mam u ciebie dług, a nie chcę ci być nic winna. Rozumiesz? - Jej oczy zabłysły. - Nie chcę ci być winna ani pensa!
- A ja nie chcę twoich pieniędzy, skoro przeprosiłaś - odparł. Poczzerwieniała.
- Nie powiedziałam, że przepraszam, tylko że mam u ciebie dług. Nie żałuję tego, co zrobiłam, tyle że nie tak to miało wyglądać.
- Nie tak? Skrzywiła się.
- Nie chciałam zrzucić na ciebie całej puszkę. To był wypadek. Chciałam ci wylać na głowę kilka kropli. Żebyś wyglądał jak głupek.
- Co za ulga...
- Czemu? - spytała, mrużąc oczy i przekrzywiając głowę na bok. Uśmiechnął się do niej smutno.
- Bo przez chwilę myślałem, że może mnie nie lubisz, czy coś. Popatrzyła na niego zaskoczona. A potem zrozumiała, że żartuje, i nagle napięcie zniknęło z jej twarzy. Parsknęła śmiechem.
- Wiesz co? - powiedziała. - Może i nie jesteś takim draniem.



- Dlaczego dziś? - zapytał nagle.

- Co dlaczego?

- Dlaczego właśnie dziś chciałaś mnie oblać farbą? Spojrzała na swoje gołe, kościste kolana.

- Nie wiem. Ponieważ wujek Pearl ma klucze do sali parafialnej. Czasami zakradamy się tam na papierosa, a dziś znalazłyśmy farbę, którą zostawili robotnicy. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że... - wzruszyła ramionami, znów czujna.

- Dlatego, że?

Nagle rozległ się klakson. Oboje spojrzeli na parking i zobaczyli Christophera Asbury, który chodził kiedyś do tej samej klasy co Tony. Pochodził z bogatej rodziny, a ojciec ufał mu na tyle, żeby pozwalać jeździć samochodem w weekendy.

Na siedzeniu pasażera, obok jeszcze jakiegoś faceta, siedziała Anne, dziewczyna, z którą czasami prowadziła się Rachel. A przez tylne okno wystawiała głowę jej niedawna współniczka, Pearl Glaister.

- Rachel, chodź! - zawołała Pearl.

Rachel zsunęła się z murka i wygładziła spódnice.

- Dlatego, że? - powtórzył Tony. Jej oczy rozbłysły nagłym ogniem.

- Dlatego, że jak cię tam zobaczyłam z Margo Mitchell, chciałam ci zetrzeć z twarzy ten zadowolony z siebie uśmiech...

- No to ci się udało.

- Tak - stwierdziła. W końcu zobaczył, jak opuszcza ją gniew, a na jej twarzy pojawia się uśmiech, który tak bardzo chciał zobaczyć. - Udało mi się, no nie? - I pobiegła do samochodu, zostawiając go samego.

Żeby dotrzeć do wioski Brookford, Tony Glover musiał piąć się na rowerze stromą i krętą szosą przecinającą wzgórze

Summerglade, a następnie jeszcze parę kilometrów przez wrzosowisko odchodzącą od szosy boczną drogą.

Skreślił koło czarno-żółtej budki telefonicznej, stojącej na rogu jego ulicy. Brookford Cottages. Osiem szeregowych domków, własność lokalnego samorządu. W 1936 roku Tony urodził się tu pod numerem 8, ostatnim domku w szeregu, tym pomalowanym na czerwono.

Przed domem stał stary vauxhall należący do jego ojczyma. Przez ostatnie kilka miesięcy Tony uczył się prowadzić ten samochód, a zaledwie wczoraj wieczorem przeglądał mapy, planując, gdzie zabierze Margo na zmotoryzowaną randkę. Teraz raczej nie miał na to szans.

Dał nura w prześwit między wysokimi, pobielonymi wapnem sztachetami płotu po prawej stronie budynku. Jego matka prała bieliznę dla kilku pensjonatów w Stepmonth, więc ogród stanowił prawdziwy labirynt mokrych prześcieradeł i powłoczek. W powietrzu unosił się zapach proszku do prania.

Don, ojczym Tony'ego, uniósł głowę znad starego radia, przy którym majstrował, siedząc na tylnych schodach domu.

- Chryste - jęknął na widok twarzy pasierba.

Był to duży, powolny mężczyzna o twarzy pokrytej pokrzywką, przez co wyglądał zupełnie jak pijak, choć wcale nim nie był. Pracował jako elektryk w hydroelektrowni Wa-tersbin, a Tony lubił go i mu ufał. I to już od chwili, kiedy pięć lat temu Don poinformował go, że zamierza się ożenić z jego matką.

Teraz ojczym przycisnął do ust pokryty szramami palec. Odłożył na bok lampę radiową, którą właśnie czyścił, wstał i obciągnął sweter i koszulę, które uniosły się nieco na niewielkiej wypukłości jego brzucha.

Czteroletni bliźniacy, przyrodni bracia Tony'ego, grali w kulki w kącie podwórza, ale zerwali się z ziemi na jego widok. Fizycznie stanowili przeciwieństwo swego ojca, byli zwinni jak Tony, a ponadto posiadali w ruchach pewną wy-

tworność, która miała w sobie coś ulotnego, coś, co zawsze przypominało Tony'emu matkę. Obaj mieli kruczoczarne włosy i równe grzywki. Matka przycinała im je co sobotę po kąpieli, wyrównując do brzegu miski, którą zakładała im w tym celu na głowę.

- Co ty robiłeś? - zawołał Mikey. Ubrany był w zniszczone sznurowane buty w brązowym kolorze, niebieski sweter w serek i odziedziczone po starszych braciach szare flanelowe spodnie. Podbiegł bliżej, żeby się przyjrzeć Tony'emu.

Jego identycznie ubrany bliźniak Adam przybiegł za nim. Chłopcy stanęli ramię w ramię i w milczącym podziwieniu oglądali twarz Tony'ego ciemnymi, inteligentnymi oczami.

- Ktoś cię uderzył - stwierdził Adam. - Ktoś go uderzył. Spójrz, tato. Spójrz, Mikey. - Oczy napędnęły mu się łzami.

- Ktoś uderzył Tony'ego!

- Kto? - zapytał Mikey. Rozejrzał się po ogrodzie, jakby sprawca jeszcze się tu krył. - Kto to zrobił? Gdzie on teraz jest? Dlaczego to zrobił?

Tony zawsze chciał, żeby malcy byli z niego dumni w taki sposób, w jaki on sam nigdy nie mógł być dumny z Keitha. Natomiast wcale nie chciał, żeby oglądali go w tym stanie.

- Nic mi się nie stało - próbował ich uspokoić.

- No pewnie. Dopiero ci się stanie, jak cię matka zobaczy

- stwierdził Don. Lekko poklepał bliźniaków po łopatkach.

- Wracajcie do swoich kulek. Chcę porozmawiać z Tonym. Chłopcy z ociąganiem odeszli i przykucnęli na powrót

przy starej sękatej gruszy. Poszeptali chwilę do siebie, a potem Adam zaczął zgarniać na kupkę metalowe kulki z łożysk i błyszczące kulki ze szkła, Mikey zaś wyrysował palcami na ziemi linię, z której mieli strzelać.

- Z czego się cieszysz? - spytał Don zaskoczony uśmiechem pasierba.

- Z niczego - odparł Tony. - Po prostu ja też grałem tam w kulki z Keithem, jak byliśmy mali. - Uśmiech zniknął

z jego twarzy, kiedy odwrócił się do Dona. Don nie chciał słuchać o Keicie. Nikt nie chciał.

- Lepiej się doprowadź do porządku - poradził mu ojczym. Lawirując między poszwami i prześcieradłami, dotarli do drewnianej szopy na końcu podwórza, gdzie mieściła się wygodka. Don odkręcił kran, który wyrastał obok niej z ziemi, zupełnie jak młode drzewko.

- Trzymaj!

Z metalowego pudełka przybitego do ściany wygodki wyjął popękaną kostkę antyseptycznego mydła i podał ją pasierbowi. Tony włożył ręce pod wodę i namydlił porządnie.

- Kto ci to zrobił? - spytał Don.

- Cunningham.

Lecąca z kranu woda uderzała z hałasem o tworzące się na ziemi błoto.

- Bernie Cunningham? - syknął Don z niedowierzaniem. - Chryste, Tony.

Po co z nim zadarłeś?

- Nie zadarłem. To nie była moja wi...

Przerwało mu niemelodyjne pogwizdywanie. Don szybko zakręcił kran i obaj popatrzyli na siebie niespokojnie. Wśród łopocących prześcieradeł zbliżała się do nich matka To-ny'ego, ciągnąc za sobą pusty wiklinowy kosz na pranie. Miała czterdzieści siedem lat, o cztery mniej od Dona. Ubrana była w brązową sukienkę, starą i przepoconą, a jej starannie uczesane czarne włosy ukryte zostały pod bawełnianą chustką w biało-czerwoną kratę.

Wyciągnęła rękę, żeby odpiąć klamerki i zdjąć suche prześcieradła ze sznura, i w tym momencie zauważyła męża i syna stojących w milczeniu przy kranie.

W jednej chwili znalazła się przy nich.

- Obiecałeś mi przecież! - krzyknęła do Tony'ego. - Obiecałeś mi, że nie będziesz się bił! Już nigdy! - Spojrzała z obrzydzeniem na zaschniętą krew na jego twarzy.

Don stanął między nimi.

- Poczekaj chwilę, Sissy - powiedział uspokajająco.
- Nie wiemy jeszcze, co się stało. On mówi, że to nie była...
- Doskonale widzę, co się stało - krzyknęła, odpychając Dona i przysuwając twarz do twarzy Tony'ego. - Znowu się bił, to wszystko. No jazda! - Przeszyła Tony'ego wzrokiem.
- Spróbuj tylko zaprzeczyć! Adam i Mikey zaczęli płakać.
- Spójrz na nich! Zobacz tylko, co robisz nam wszystkim
- wysyczała.
- Przepra... - zaczął Tony. Gwałtownie potrząsnęła głową.
- Nie! To nie ma sensu!

Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia i pocieszyć. Nie chciał jej widzieć w tym stanie. A jeszcze bardziej nie chciał, żeby czuła się tak przez niego.

- Proszę - powiedział błagalnie.

Cofnęła się, jakby wbił jej w ciało igłę. To, co zobaczył w jej oczach, to była nienawiść, a nie rozpacz. Zwróciła się teraz do Dona.

- Pamiętasz, co powiedziałam zeszłym razem - rzuciła.
- Nie musisz tego robić - odparł Don. - Za sześć miesięcy i tak pójdzie do wojska.
- Nic mnie to nie obchodzi. Nie mam zamiaru jeszcze raz przez to przechodzić - wypluła te słowa, jakby przeżuwała je od miesięcy. - Ani mi się śni. Jest taki sam jak...

Zamknęła usta i odwróciła wzrok, ale Tony i tak usłyszał to, czego nie powiedziała. Taki sam jak Keith. To właśnie miała na myśli.

Poczuł nagle lodowaty chłód. Odsunął ją na bok i pobiegł do domu.

- No dalej! - krzyczała za nim. - Wynoś się! Wynoś się i nigdy nie wracaj! Nie obejrzał się - nie śmiał się obejrzeć. Tak bardzo się myliła. Przecież wcale nie zaczął bójki, przecież nie złamał

danego jej słowa, że nie będzie się więcej bić. Ale najbardziej się myliła, sądząc, że jest taki sam jak Keith. Keith? Nawet już nie wiedziała, kto to jest Keith.

Wpadłszy do domu, Tony minął pachnącą stęchlizną spiżarnię i pełną parą kuchnię, po czym wbiegł na rozchwiane schody.

Jego pokój, który dzielił z bliźniakami, sąsiadował z pokojem matki. Z plakatów na ścianach spoglądały na niego twarze bohaterów komiksów, Roya Rogersa i Dana Dare. Potknął się o przebitą skórzaną piłkę i kopnął ją mocno na bok, rozbijając przy okazji fatalnie pomalowany model żaglowca „Golden Hind”, który stał na podłodze obok kubła na śmieci. Czuł się tu jak Guliwer. To już nie był jego pokój, dawno z niego wyrósł. Było o niego za dużo w tym pokoju, w tym domu, stanowił ostatnią pamiątkę po nieudanym małżeństwie. Matka, Don, bliźnięta... prowadzili własne życie, a on powinien się wynieść i zacząć wreszcie swoje. Matka myliła się co do niego, ale w jednym miała rację: im szybciej się stąd wyniesie, tym lepiej dla nich wszystkich.

Na schodach rozległy się kroki, a w chwilę potem matka zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni, aż zatrzęsła się cienka ściana oddzielająca oba pokoje. Tony ciągle jeszcze nie potrafił całkiem odpuścić. Ciągle jakiś impuls nakazywał mu iść do niej, porozmawiać z nią, pogłodzić ją po włosach i pocieszyć. Tak, jak to zawsze robił, będąc dzieckiem.

Ale teraz nie kryła się tam przed ojcem. Jego ojciec umarł pierwszego stycznia 1939 roku na przeziębienie, którego nabawił się, śpiąc po pijanemu w rynsztoku przez całą noc sylwestrową. Ani nie przed bratem Tony'ego, ponieważ Keith już od ośmiu lat siedział w więzieniu.

Nie, teraz uciekła tam przed nim, przed Tonym. I tylko w jeden sposób mógł jej udowodnić, że nie jest taki jak jego ojciec i brat. Musiał zrobić coś, czego oni nigdy nie zrobili. Czyli zostawić ją w spokoju.

Spod łóżka wyciągnął worek żeglarski i zaczął wrzucać do niego najważniejsze rzeczy: do połowy przeczytany egzemplarz *Hrabiego Monte Christo*, słoik brylantyny, grzebień, brzytwę, mydło do golenia i lusterko. Na wierzch wrzucił swoje ubrania.

Kiedy podniósł głowę, zobaczył w progu Dona.

- Uspokoiła się - oznajmił jego ojczym. - Daj jej kilka godzin i...

Ale zabrakło mu słów, ponieważ obaj wiedzieli, że to nieprawda. Matka Tony'ego należała do kobiet, które zawsze dotrzymują słowa. Udało jej się usunąć ze swego życia Keitha, a teraz postanowiła się pozbyć również Tony'ego.

- Gdzie się podziejesz? - spytał Don.

- U dziadka.

- Ale tam...

- Mnie wystarczy.

- Pożyczyć ci jakieś pieniądze?

- Nie, dzięki. Bliźniaki...? - Tony zarzucił worek na ramię.

- Kazałem im zostać w ogrodzie.

- Pożegnasz ich ode mnie? Wyjdę frontowymi drzwiami.

- Ale...

Tony był jednak stanowczy.

- Mama nie chce, żebym się z nimi zadawał, więc me będę, póki jej nie udowodnię, że się myli. Nie uwierzy w żadne moje słowa, więc muszę jej to pokazać. Dowiodę jej, kim jestem. I kim nie jestem.

Popatrzyli na siebie.

- Powodzenia - powiedział Don, wyciągając rękę. Uścisnął jego dłoń i wyszedł.

Tony dygotał, siedząc na połamanym bujanym fotelu ustawionym w kącie szopy dziadka. Owinięty był w dwa swetry, płaszcz i ciężki koc, a głowa nadal bolała go po bójce. Deszcz

bębni o dach z blachy falistej, a wiatr zawodził jak potępieniec. Dziadek zawsze nazywał ten budynek szopą, choć był on zdecydowanie solidniejszy. Znajdował się jakaś milę na wschód od Brookford, a stał na kawałku bezużytecznego gruntu, który farmer Doodley podarował dziadkowi jako wyraz wdzięczności za to, że uratował mu życie, wyciągając go spod kół traktora. Zdarzyło się to jeszcze przed urodzeniem Tony'ego. W szopie dziadek hodował kiedyś kurczaki i króliki, a w późniejszych latach życia chronił się tu przed zrzędzeniem żony. Na haku wbitym w sufit wisiała stara latarnia sztormowa, migocząc w przeciągu i posykując w wilgotnym, zatechłym powietrzu. Dopalały się w niej resztki nafty. Mogła zgasnąć w każdej chwili. Tony nie zamierzał pozwolić, by przygnębiła go sytuacja, w jakiej się znalazł. W świetle lampy migotała prawdziwa galaktyka drobinek kurzu, a życie nadal pełne było możliwości. Wiedział, że dobrze zrobił, odchodząc. Znalazł się na rozdrożu, nie w ślepej uliczce. Oczywiście, jeśli chce tu zamieszkać, będzie musiał porządnie uszczelnić szopę. Ale to już postanowione. Nie było sensu wydawać zarobionych w kawiarni pieniędzy na wynajmowanie pokoju w mieście. Nie, skoro niedługo nadejdzie lato. Na zewnątrz szopy znajdował się kran z bieżącą wodą i zlew. Jeśli sprawi sobie piecyk gazowy i materac do spania, będzie tu całkiem znośnie. Poza tym i tak nie zostanie tu przecież na zawsze. Sześć miesięcy to wszystko. Don miał rację. Za sześć miesięcy stanie przed komisją rekrutacyjną, która na pewno uzna go za zdolnego do odbycia służby wojskowej, a wtedy pojedzie do Aldershot na szkolenie. A potem gdzieś w świat. No bo przecież wszystko jest możliwe. Musi tylko przetrwać te sześć miesięcy.



Lampa zgasła, a Tony się wzdrygnął. Nim się zdążył powstrzymać, zaczął myśleć o domu. Widział w myślach jadalnię i tańczące na kominku pomarańczowożółte płomienie, słyszał radio. Widział, jak Don pali fajkę, i słyszał z góry głos matki układającej bliźniaków do snu.

Tylko jego tam nie było. Był tutaj, zmarznięty, głodny i całkiem sam. Spróbował pomyśleć o czymś miłym, co pomogłoby mu zasnąć.

Wyobraził sobie Margo, że leży obok niej na ciepłej plaży, bawiąc się czerwoną jedwabną wstążką w jej złotych włosach, że przyciska wargi do jej ust.

Ale ta myśl wyślizgiwała mu się jak piskorz. Margo Mitchell nie chciała się już z nim spotykać. To właśnie powiedziała mu jej matka - stojąc na progu domu i celując w niego szczotką jak bagnetem - kiedy po bójce Tony poszedł przeprosić dziewczynę.

- Nie chce z tobą nigdy więcej rozmawiać - oświadczyła mu stanowczo. Owinął się ciasniej kocem.

I nagle przypomniał sobie Rachel Vale, śliczną, rudą Rachel Vale.

- Dlatego, że? - zapytał ją, kiedy siedzieli na cmentarnym murku.

- Dlatego, że jak cię tam zobaczyłam z Margo Mitchell, chciałam ci zetrzeć z twarzy ten zadowolony z siebie uśmiech...

Uśmiech powrócił teraz wolno na jego twarz, tyle że nie był zadowolony z siebie, ale pełen zdumienia. Bo chociaż Tony Glover uważał się za znawcę kobiet, ta jedna konkretna wprawiła go w zakłopotanie. Można oblać kogoś farbą z nienawiści, ale czy można to zrobić z zazdrości?

Kiedy Rachel patrzyła na niego z balkonu kościoła, zazdrość z pewnością była ostatnią rzeczą, o jakiej myślała...

I o jakiej myślał też Tony Glover, zapadając w głęboki i pełen marzeń sen.

## Rozdział III

### Somerset, współcześnie

Rachel Glover porzuciła stertę nieotwartej korespondencji i odebrała telefon, przeklinając w duchu konieczność odbycia kolejnej rozmowy. Dzwonił Anton Philippe.

- Właśnie się dowiedziałem o tragedii. - Jego głos, o silnym francuskim akcencie, brzmiał wyjątkowo szczerze. - Ledwie mogę uwierzyć. Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje.

- Tony lubił robić z panem interesy - odparła równie szczerze Rachel, zdejmując okulary.

- To był jeden z moich najlepszych klientów. Taki wspaniały człowiek. I prawdziwy przyjaciel...

- Jestem panu ogromnie wdzięczna za telefon...

- Jeśli tylko będę mógł w czymś pomóc...

Dlaczego ludzie zawsze mówią takie rzeczy? - zadała sobie w duchu pytanie Rachel. Być może to odruch. Taka bezpieczna oferta pomocy bez żadnych konsekwencji, bo przecież ani Anton, ani nikt inny nie zdoła przywrócić Tony'ego do życia. Ani zmniejszyć jej bólu.

Oczywiście, gdyby była teraz w formie, zapewniłaby Antona, że to on rozwinął w niej i Tonym miłość do sztuki i że dzięki temu zyskał sobie dozgonną wdzięczność i lojalność jej męża. Potem okrasiałaby rozmowę kilkoma anegdotami i wspomnieniami o ich sławnych lunchach w Paryżu, póki Anton nie wzruszyłby się do łez. Dziś jednak zupełnie nie miała nastroju na tak finezyjne zabiegi.

Słuchając kondolencji, patrzyła na abstrakcyjny obraz wiszący nad kominkiem z białego marmuru. Kupił go Tony specjalnie po to, żeby zawiesić w tym miejscu: w salonie nad kominkiem, w Dreycott Manor, ich wiejskiej posiadłości w Somerset. Wtedy malarz ledwie ukończył szkołę, ale dziś wystawiał się w galerii Tate Modern, a sam obraz był wart majątek. I wisiał tu już od piętnastu lat. Ostatnio postanowiła jednak przenieść go do mieszkania w Londynie, gdzie zamierzała spędzać teraz większość czasu. Nie było sensu siedzieć na wsi i odgrzebywać wspomnienia. Poza tym, gdyby tu została, zaczęliby ją nękać goście spragnieni widoku nieutulonej w żalu wdowy. A wcale nie czuła się wdową. Jeszcze nie.

Sam fakt, że pomyślała o przeniesieniu obrazu, że chciała to zrobić i że zapewne to zrobi, przez chwilę napęłniał ją dziwnym podnieceniem. Taka reakcja na śmierć męża była zaskakująca, nawet dla niej samej. Zupełnie jakby znów stała się niegrzeczną uczennicą, jakby odwołała się do tej najbardziej buntowniczej części swej natury i zaczęła robić wszystko na przekór Tony'emu, żeby się na nim zemścić. Za to, że on na przekór niej wziął i umarł. A przecież nigdy wcześniej nie przeciwstawiła mu się na serio. Nigdy, przez wszystkie lata ich małżeństwa. To było naruszenie samych fundamentów, na których zbudowała sukces ich związku - kompromisu i pozostawiania decyzji Tony'emu, przynajmniej teoretycznie. Natomiast teraz chciała go sprowokować, chciała go rozzłościć, zupełnie tak, jakby mogła wywołać jakąś jego reakcję. Nie potrafiła jeszcze pojąć, że w żaden sposób nie zdoła już tego dokonać. To było po prostu niemożliwe.

Wzdrygnęła się i usiadła ciężko na szerokim parapecie wykuszowego okna salonu. Zakończyła rozmowę naciśnięciem czerwonego przycisku na słuchawce, po czym spojrzała na swego syna Christophera, który siedział na kanapie przy kominku i nalewał kawę z porcelanowego dzbanka. Na dywanie za jego plecami leżał smutny Springer spaniel Tony'ego, Benson.

Oprócz ognia płonącego na kominku nic w tym pokoju - który przecież zawsze był najbardziej przytulny w całym domu - nie przynosiło dziś Rachel ukojenia. W kącie stał błyszczący fortepian, a na nim oprawione w ramki fotografie całej rodziny. Poza tym umieszczono tu cztery niskie, wygodne i obite kremową skórą kanapy, a przy obu wykuszeniach oknach - z których rozciągał się widok na trawniki i leżący za nimi, skryty we mgle padok - wisiały ciężkie zasłony. I wszędzie, we wszystkich wazonach, stały przyniesione przez rodzinę i przyjaciół kwiaty. Powietrze aż ciężkie było od zapachu lilii i róż.

- To był Anton - wyjaśniła. Kiedy jej najstarszy syn pochylił się nad tacą, zauważyła, że zaczynałysię na czubku głowy. Rude włosy odziedziczył po niej. Ale jej były nadal gęste i kasztanowe, dzięki comiesięcznym wizytom u zaufanej fryzjerki w Knightsbridge, natomiast jego zawsze stanowiły tylko ich bledszą, rudawą kopię. Christopher od lat, w zasadzie od czasu, kiedy jako dziecko śpiewał w chórze, zaczesywał je zawsze tak samo: gładko do tyłu.

Jej syn, stwierdziła w duchu Rachel, otwierając kolejną grubą, kremową kopertę z leżącego obok niej stosu, nie starzał się korzystnie. Była zdania, że najlepiej wyglądał w wieku lat siedmiu. I wcale mu nie pomogło, że kiedy dorósł, nabrał napiętego, pokerowego wyrazu twarzy właściwego adwokatom. Miał teraz czterdzieści parę lat i nadal zachowywał pewne podobieństwo do ojca, ale w rysach jego twarzy nie było nic z tej surowości czy charyzmy, dzięki której Tony wydawał się taki przystojny.

- Szybko się go pozbyłaś - stwierdził Christopher, podchodząc do niej i podając filiżankę. - Jesteś pewna, że dasz sobie ze wszystkim radę sama? Chętnie będę odbierać telefony, jeśli tylko się zgodzisz.

Rachel udała, że nie słyszy. Przyjęła kawę, nie podnosząc głowy znad kolejnej kartki z kondolencjami.

- Od Richardów. Nie stać ich było na nic lepszego? Te okropne wiersze, które drukują na kartkach... Uch. Są takie złe, że sama mam ochotę umrzeć.

- Przynajmniej przysłali kartkę i kwiaty. Gdyby tego nie zrobili, tobyś ich...

- Wiem, no wiem. Skreśliłabym ich pomimo trzydziestu lat przyjaźni.

- Nie wiem, czego ty oczekujesz, mamo.

- Niczego. Absolutnie niczego nie oczekuję.

- Ale...

- Christopher, postaraj się mnie zrozumieć. Kiedy ktoś mi okazuje współczucie, jest źle. A kiedy milczy, jest jeszcze gorzej. Zrobiłam się, jak to nazywał twój ojciec, trudna.

Christopher nie odpowiedział i w Rachel odezwało się poczucie winy.

Trzaskanie ognia na kominku wydało jej się nagle niezwykle głośne.

- Nie widziałam dziś Lucy - powiedziała w końcu. Lucy była jej synową. Christopher odchrząknął.

- Jest trochę zmęczona. Dziecko nie chciało spać. Napila się kawy i delikatnie odstawiła filiżankę na spodeczek. Wrzaski Thomasa wyrwały ją w nocy z ciężkiego snu, który zawdzięczała sporej dawce środków nasennych.

- Powiedziałam Lucy, że już czas, żeby mu narzuciła jakąś rutynę - stwierdziła.

- Wiem - odparł Christopher, a w jego głosie pobrzmiwała dezaprobata.

- Nie patrz tak na mnie. Mówię to, co trzeba wreszcie powiedzieć. Sami kręcicie na siebie bat.

- To nie takie proste, mamo.

- Na litość boską, przecież to tylko dziecko! Nie trzeba ulegać wszystkim jego zachciankom. Im szybciej zaczniecie go kontrolować, tym łatwiej będzie wam z nim wytrzymać.

Christopher najwyraźniej ugryzł się w język, a Rachel spróbowała opanować irytację. Już widziała w duchu, jak syn daje upust swojej frustracji na gorze, przy Lucy, jak chodzi w kółko i rozprawia o swej niemożliwej matce. Nie obchodziło jej to. Gdyby tylko Christopher choć raz się jej przeciwstawił! Ale nigdy nie było go na to stać, i pewnie już nigdy nie będzie.

- Powiedz mi, że się ze mną nie zgadzasz, a więcej o tym nie wspomnę. Christopher nie patrzył jej w oczy.

- No właśnie. Dzieci potrzebują stanowczości - stwierdziła, a ironia zawarta w jej słowach nie umknęła uwadze ani jej, ani jej syna. Sięgnęła po leżący obok stos kopert i wróciła do ich przeglądania.

Kiedy wreszcie została sama, westchnęła i ponownie zdjęła okulary. Potarła palcami brwi, a potem dolne powieki, które były dziś wyraźnie opuchnięte. Ale i tak była pewna, że nie wygląda tak źle, jak się czuje. Ludzie, którzy widzieli ją po raz pierwszy, sądzili na ogół, że niedawno przekroczyła pięćdziesiątkę; nawet nie podejrzewali, że jest o ponad dziesięć lat starsza.

- Wiem, no wiem - powiedziała na głos, do Tony'ego. - Byłam zirytowana, ale nie masz pojęcia, ile rzeczy trzeba jeszcze załatwić. Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, wyobrażając sobie spojrzenie, jakie rzuciłby jej Tony. Niemalże czuła jego obecność. Jakby to wszystko było tylko niesmacznym żartem, a on sam nadal żył.

- To straszny stres. Wszystko przez ciebie.

- Mamo? Z kim ty rozmawiasz?

Zaskoczona Rachel dopiero teraz zauważyła, że z progu obserwuje ją jej młodszy syn.

- Nick! - zawołała, wstając. - Nie słyszałam, kiedy przyjechałeś. Podeszła, żeby się przywitać, i położyła mu ręce na ramionach. Był mocno opalony - śmierć ojca przerwała mu wyprawę na narty. Jego jasne włosy spłwiałały na słońcu, a choć zbliżał się już do czterdziestki, nadal miał w sobie urok playboya, odpowiedni do jego frywolnego stylu życia. Pocałowała go w policzek i miała właśnie zapytać, czy ktoś z nim przyjechał, ale nagle wyrwał mu się szloch. Kiedy cofnęła głowę, ujrzała na jego twarzy rozpacz.

Jęknęła w duchu i przytuliła go do siebie, a on oparł się na niej mocno. Nie przywykła do płaczących mężczyzn. Tony nigdy nie płakał - chyba że z radości. Ze wszystkim, co przyniosło mu życie, radził sobie z odwagą i żelazną siłą woli. Więc dlaczego jego dzieci nie były takie jak on i nie potrafiły wziąć się w garść? Poza tym, skoro Nick zachowywał się w ten sposób, wołała nie myśleć, w jakim stanie przyjedzie na pogrzeb Claire. Ile razy dzwoniła do niej w zeszłym tygodniu do Palmy, głos Claire brzmiał tak, jakby pogrążona była w skrajnej rozpacz.

W końcu Rachel udało się uwolnić z objęć syna. Wzięła go za rękę i zaprowadziła na kanapę przy kominku. Benson, który wstał na widok Nicka, ponownie zwinął się w kłębek na dywanie. Popatrzył na nich obojętnie i prychnął.

- Przepraszam - powiedział Nick, kiedy Rachel podała mu papierową chusteczkę wyciągniętą ze srebrnego pudełka stojącego na gzymsie kominka. - To dlatego, że nie zdążyłem się z nim pożegnać. Nie było mnie przy nim i on się już nigdy nie dowie, że...

Czemu jej to nie poruszyło? Dlaczego nie czuła nic, poza dziwnym poczuciem odrealnienia? Niemalże miała ochotę roześmiać się i powiedzieć synowi, że to tylko kolejny kawał Tony'ego. ^

- Ja też nie mogę w to uwierzyć.

- Ale jak... jak my będziemy bez niego żyli?

- Damy sobie radę - zapewniła go, ale nawet dla niej samej te słowa zabrzmiały fałszywie. Dlatego zaczęła wypytywać Nicka o jego wyprawę na narty, ale syn, zwykle tak zmienny i podatny na sugestie, dziś nie dał się odwieść od tematu. Odejście Tony'ego najwyraźniej wprawiło go w panikę.

- A ty? A firma? Kto teraz będzie prowadzić Ararat?

- Nie sądzę, żeby dużo się miało zmienić. - Rachel zjeżyła się lekko. Nick najwyraźniej zapomniał, że Ararat Holdings nie był jednoosobowym przedsięwzięciem. Że jego rodzice założyli go i prowadzili wspólnie. Starając się nie okazać urazy, odsunęła się nieco od syna. - Nie ma się czym martwić.

- Ale czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy go sprzedali? Żebyś mógł położyć rękę na pieniądzach, pomyślała Rachel gorzko, zauważając tę liczbę mnogą.

- Nie. Nie mogłabym sprzedać Araratu. Nie planowaliśmy tego z twoim ojcem.

Nie chciała teraz rozmawiać o interesach. Nie teraz i z całą pewnością nie z Nickiem. Ararat Holdings należał tylko do niej i do Tony'ego. Nie miał nic wspólnego z ich synami. Dawno temu oboje z Tonym postanowili, że dadzą dzieciom wykształcenie i pozwolą im iść własną drogą.

Christopher, najwyraźniej pod wpływem losu swej starszej siostry, Anny, wybrał wąską i prostą ścieżkę prawa. Natomiast Nick zmieniał zajęcia równie często jak samochody, a Rachel straciła rachubę, ile razy Tony musiał go wyciągać z kłopotów.

Przyszło jej do głowy, że zapewne teraz, po śmierci ojca i odmowie sprzedaży firmy, Nick będzie oczekiwał, że go w niej zatrudni. Ale choć kochała młodszego syna, uważała, że nie jest to najbardziej godne zaufania z jej dzieci. Ararat był dla niej zbyt cenny i odniósł zbyt wielki sukces, aby mogła sobie pozwolić na popełnianie takich błędów. Nic, o przyszłości firmy zadecyduje sama, jedynie z pomocą



obecnego dyrektora finansowego, Sama Delamere, prywatnie męża jej wnuczki.

Nie mogła jednak powiedzieć tego Nickowi, ponieważ zawsze był taki zazdrosny o Claire i jej męża. Nigdy nie pogodził się z tym, że wnuczka była ukochanym skarbem Tony'ego i że to Sama ojciec traktował zawsze jak ulubionego syna.

Bo Sam był protegowanym Tony'ego, który nauczył go zarządzać firmą od podstaw. Najpierw pozwolił mu kierować kilkoma pensjonatami, potem przejął kontrolę nad butikami w hotelach, aż wreszcie Sam osiągnął obecną pozycję i pomagał rozszerzać portfolio nieruchomości Araratu. I to Tony zaaranżował jego spotkanie z Claire. Od początku popierał ten związek, a ich ślub, który odbył się dwa lata temu, był dla niego ziszczeniem marzeń.

Stąd Rachel najbardziej logicznym krokiem po śmierci męża wydawało się przekazanie zarządu firmy Samowi. Wiedziała, że dla niej samej byłby to chyba zbyt wielki wysiłek, a skoro Sam i tak samodzielnie kierował wszystkimi działaniami Araratu z biura na Majorce, naturalne wydawało się również powierzenie mu stanowiska Tony'ego. Był jedynym członkiem rodziny, którego osądowi ufała bez zastrzeżeń. Był jej opoką i im szybciej tu przyjedzie, tym lepiej.

- Ale czy nie sądzisz... - nalegał Nick.

- Nick, kochanie, czy musimy teraz rozmawiać o interesach? - wpadła mu w słowo. - To był dla mnie pracowity poranek i jestem nieco zmęczona... Musiała zachować siły na pocieszenie Claire, zamiast trwonić je na usprawiedliwianie się przed synem. To Claire będzie jej najbardziej potrzebować.

- Oczywiście. Straszny ze mnie samolub. Moja biedna. Musisz się czuć okropnie.

Na górze, w sypialni, Rachel zdjęła pantofle i cicho przeszła po grubym dywanie do garderoby. Kiedy otworzyła jej drzwi, automatycznie włączyło się światło, ukazując rzędy markowych kostiumów i butów, a także półki pełne sportowych ubrań, które nosiła na wsi.

Weszła do garderoby i zaczęła przeglądać stroje, chcąc wybrać coś odpowiedniego na pogrzeb. Wiedziała, że powinna raczej pojechać do Londynu i kupić coś specjalnego na tę okazję, ale jej oszczędna natura zawarła pakt przymierza ze znużeniem, jakie ogarniało ją na samą myśl o tym, co czeka ją w przyszłym tygodniu. Wiedziała, że wszyscy będą na nią patrzeć, ale była również pewna, że Tony pierwszy odradzałby jej kupno nowego stroju na jego cześć. Szczególnie skoro sam nie będzie mógł go zobaczyć.

Wyciągnęła dwa kostiumy i rzuciła je na krzesło, po czym nagle zatrzymała się i potarła twarz. Równie dobrze mogła się sama przed sobą przyznać, po co tu naprawdę przyszła. Wzięła głęboki oddech, uklękła i wyciągnęła pudło na kapelusze, które odszukała już prawie tydzień temu. Być może dlatego, że nigdy, przez ostatnie pięćdziesiąt lat, nie zgłębiła do końca swych uczuć, jej pierwszą reakcją na śmierć Tony'ego było zwrócenie się do brata, Billa. Jakby prowadził ją autopilot, przyjechała do Somerset, weszła do domu, poszła na górę i natychmiast odszukała to pudło. W środku znajdowała się teczka zawierająca dokumenty zebrane dla niej przez prywatnego detektywa, ciągle uaktualniane nowymi danymi na temat miejsc pobytu brata.

Była to jedyna tajemnica, jaką miała przed Tonym. Tajemnica, którą od zawsze trzymała zamkniętą w szafie. Kiedy rozkładała papiery na łóżku dzielonym jeszcze niedawno z mężem, czuła, że kręci jej się w głowie. To, co robiła, było gorszą zdradą, niż gdyby przespała się tu z kochankiem.

Od dawna wyobrażała sobie, że w dniu, kiedy ponownie skontaktuje się z bratem, przeszłość zostanie w jakiś cu-

downy sposób wymazana. A dzwoniąc do niego, działała pod wpływem silnego impulsu, absolutnie pewna, że Bill osobiście odbierze telefon. Zakładała, że w jakiś sposób wyczuje, iż znalazła się w prawdziwej potrzebie, i będzie gotów przybyć jej na ratunek.

Natomiast zupełnie nie oczekiwała, że telefon odbierze jej bratanica, Laurel - czy raczej Laurie, jak wołała być nazywana. Widziała jej imię w notatkach prywatnego detektywa, ale nigdy nie myślała o niej jak o rzeczywiście żyjącej osobie. Jednak dźwięk głosu Laurie, jej podejrzliwość i wyraźne zmieszanie przywróciły Rachel poczucie rzeczywistości. To nie był świat fantazji, w którym Bill przybiegłby do niej i wybaczał. To była nieprzyjemna i skomplikowana sytuacja i natychmiast uświadomiła sobie, ile już czasu upłynęło od ich zerwania. Próbowwała nawiązać kontakt z Laurie, ale po zakończeniu rozmowy czuła, że zrobiła z siebie idiotkę. Jak na kogoś, kto odniósł sukces jako przedsiębiorca, mądrze grając na rynku i doprowadzając sztukę negocjacji do perfekcji, zrobiła wyjątkowo niezręczne posunięcie. Pierwsza wyciągnęła rękę i naraziła się na odrzucenie. A jeśli Laurie nie przekaze wiadomości Billowi? A jeśli on nie przyjedzie na pogrzeb? Wiedziała, że jej telefon mógł równie dobrze wzbudzić w Billu wściekłość. Co będzie, jeśli teraz, po śmierci Tony'ego, zyska pewność, że na zawsze straciła i Billa? Tyle czasu żyła tym cieniem nadziei. A jeśli się teraz rozwieje? Wzdrygnęła się. Sama myśl o tym była okropna. Więc żeby nie myśleć, zaczęła przeglądać papiery wypełniające pudło - głównie wycinki z gazet na temat powodzi, pochodzące sprzed pięćdziesięciu lat i nieco wyblakłe. Nadal odczuwała na ich widok wstrząs - zdjęcia domów, które niegdyś znała tak dobrze, porwanych przez wodę, rozbite samochody przewrócone kołami do góry i zagrzebane w błocie na głównej ulicy. I to najgorsze: drzewo koło mostu

Nadbrzeżnego, gdzie, kiedy wody opadły, znaleziono ciało jej matki, zaplątane w gałęzie.

Były też fotografie obdartych powodzian w prowizorycznym obozie założonym przez wojsko. Nawet na tych marnej jakości zdjęciach z gazet widać było udręczony wyraz twarzy bezdomnych ludzi. Pamiętała to wszystko tak dokładnie, jakby się wydarzyło wczoraj.

Wzięła do ręki paczkę nieotwartych listów, zaadresowanych do Billa, które wysyłała od czasu powodzi. Zawsze wracały do niej z naklejką ZWROT DO NADAWCY. Pod nimi leżała jedyna ocalała fotografia, przedstawiająca ją z bratem i rodzicami. Przysłał ją przyjaciel rodziny, już po powodzi. Zdjęcie było pożółkłe, zupełnie jak relikw z innej epoki, a zrobiono je w latach czterdziestych, jeszcze w czasie wojny - ojciec w mundurze, matka z uśmiechem przytrzymuje ręką kapelusz, a jej włosy uwięzione są w modnej wówczas siatce. Rachel, mała dziewczynka w prostej bawełnianej sukience i sandałkach, stoi obok Billa, trzymając go za rękę, a on uśmiecha się do niej. Wyglądają jak ideał rodziny.

Przez ostatnie dni czuła się taka zagubiona, ale tkwiła w niej jedna myśl: jedyna dobra rzecz, jaka może wyniknąć ze śmierci Tony'ego, to osiągnięcie jakiegoś pojednania z bratem. Po odejściu męża tylko Bill łączył ją z przeszłością, a tkwiło w niej przecież tyle nierozwiązanych spraw. Tyle rzeczy musiała jeszcze zrozumieć.

Zamknęła na chwilę oczy, czując lekki zawrót głowy. Wszystko, co dotyczyło przeszłości i przyszłości, było takie płynne, jakby to, co dotąd brała za pewnik, w każdej chwili mogło ulec zmianie. Aż do zeszłego tygodnia była z Tonym na zawsze. To był przecież fakt.

Dlatego teraz zaczęła kwestionować wszystkie inne fakty dotyczące jej życia. Fakt, że od tak dawna żyła tylko przyszłością. Fakt, że nigdy nie mówiła o przeszłości a ni nie

pogodziła się z tym, co się wydarzyło podczas powodzi w Stepmouth. Fakt, że dawno temu obiecała Tony'emu nigdy nie wspominać o Billu, jakby ten zakaz mógł ją powstrzymać od myślenia o nim. Ale wreszcie, po raz pierwszy w życiu, mogła się przed sobą przyznać do najważniejszego z tych faktów - że nigdy nie przestała myśleć o Billu ani go potrzebować, ani pragnąć, żeby jej wybaczył i zrozumiał. Teraz zdana była na jego łaskę. Póki do niej nie zadzwoni albo nie da jej innego znaku, może tylko czekać.

Następnego ranka Rachel wpadła w najczarniejszą depresję. Dziecko znowu nie dało jej spać, ale i tak właściwie nie mogłaby zasnąć. Ubrała się wcześniej i ukryła w gabinecie, gdzie splótłszy dłonie na kolanach, powoli kołysała się w wielkim fotelu Tony'ego, patrząc na lotniczą fotografię wiszącą na ścianie. Przedstawiała Sa Costa, starą *finca* na Majorce, którą odnowili wspólnie z Tonym. To był ich prawdziwy dom, ale dziś ten widok, zamiast napęlić ją miłymi wspomnieniami i chęcią natychmiastowego wyjazdu, sprawił, że poczuła się tak, jakby w jakiś sposób zdradziła życie, które zbudowali sobie wspólnie z Tonym.

Tony wypełniał wszystkie jej myśli. Niemalże widziała go przed sobą, jak ją beszta za to, że zbyt pochopnie zadzwoniła do brata, zupełnie nie bacząc na konsekwencje. W myślach próbowała mu wyjaśnić, jak się czuje, ale przerywał jej wyjaśnienia swym gniewem. Tak rzadko na serio kłócili się przez te wszystkie lata, lecz kiedy umarł, mogła go sobie wyobrazić jedynie w złości. Zaczęła wspominać nieliczne chwile, kiedy naprawdę się pokłócili, i poczuła się jeszcze bardziej winna i zawstydzona.

Była niemal pora lunchu, kiedy Brenda, gospodyni, zapukała do drzwi gabinetu i przerwała jej rozmyślania. Brenda była niska, miała kręcone siwe włosy i odkąd Rachel

pamiętała, zawsze nosiła podomkę, również i dziś. Wsunęła głowę przez drzwi, a jej pozbawiona makijażu twarz była pociesząco swojska.

- Telefon do pani - oznajmiła. Nigdy nie pozbyła się szkockiego zaśpiewu pomimo wielu lat spędzonych w Somerset. - Nie słyszała pani dzwonka?

- Gdzie się wszyscy podziali? - spytała Rachel.

- Christopher z Lucy i dzieckiem wyszli, a Nicka wysłałam na spacer z biednym Bentonem. Napije się pani herbaty?

Rachel uśmiechnęła się ze znużeniem. Lata pracy w tym domu sprawiły, że Brenda rozumiała ją instynktownie. Pokiwała głową, a potem podniosła słuchawkę telefonu.

- Tak?

- Rachel? Mówi Laurie. Laurie Vale. Rozmawialiśmy wczoraj.

Rachel gwałtownie wyprostowała się na krześle i przycisnęła słuchawkę obiema rękami do ucha.

- Nie wiem, czy dobrze robię... Chyba naprawdę oszalałam... - głos Laurie był wzburzony. Rachel próbowała ją sobie wyobrazić, ale nie potrafiła. Ciągle widziała w myślach jedynie młodszą wersję samej siebie. - Wcale pani nie znam. Jest pani dla mnie kompletnie obcą osobą i pewnie nawet nie powinnam z panią rozmawiać, ale postanowiłam przyjechać na pogrzeb... jeśli pani sobie tego życzy - wyrzuciła z siebie Laurie.

- Oczywiście, że sobie życzę - wykrzyknęła Rachel. - A... a twój ojciec? Mówiłaś Billowi, że dzwoniłam?

- Wyjaśnię to pani, jak się zobaczymy.

- Ale... ale przyjedziesz? Och... - Rachel uśmiechnęła się po raz pierwszy od tygodnia. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę rozmawia ze swoją bratanicą. Czuła się zupełnie tak, jakby jej dano drugą szansę.

Po zakończeniu tej krótkiej rozmowy, podczas której zdołała przekonać Laurie, żeby przyjechała w przeddzień po-

grzebu i została na noc, pochyliła głowę i przycisnęła usta do telefonu. -  
Dziękuję - wyszeptała.

Telefon Laurie dał Rachel ten zastrzyk energii, którego tak potrzebowała, i pomógł jej pozbyć się uporczywych myśli o Tonym. Wróciła do swojego zwykłego stanu nadefektywności i przygotowała dla Laurie najlepszy pokój gościnny, a potem uporządkowała otrzymane kwiaty, przyjęła mnóstwo telefonów i przez kilka godzin bawiła się z Thomasem, żeby Lucy mogła się wyspać.

Następnego ranka do Dreycott Manor napływał nieprzerwany strumień pełnych współczucia gości - przyjaciół rodziny, życzliwych ludzi z wioski. Rachel radziła sobie z nimi z pełnym powagi wdziękiem, ale ich smutek nie miał na nią wpływu. Wiedziała, że wszyscy przyglądają jej się podejrzliwie, szczególnie Christopher, który najwyraźniej obawiał się, że wpadnie we wczorajszy „trudny” nastrój i kogoś obrazi.

Wyjechała po Laurie za wcześnie i zaparkowała swego mercedesa coupé na parkingu przy stacji kolejowej. Wyłączyła silnik, wyjęła z torebki srebrną puderniczkę i przyjrzała się badawczo swojej twarzy, wyrównując na wargach ciemnoczerwoną szminkę.

Próbowała sama przed sobą udawać, że przyjazd Laurie to nic takiego. Po prostu kolejne nazwisko na coraz dłuższej liście gości zaproszonych na jutrzejszy pogrzeb. Jednak teraz, siedząc w samochodzie, czuła, że spotkanie z Laurie to wielki krok na drodze do naprawienia przeszłości. Wszystko zależało właściwie od tego, czy zdoła nawiązać kontakt z tą nieznaną młodą kobietą. Jeśli uda jej się przekonać do siebie Laurie Vale, może pewnego dnia odzyska również Billa. A jeśli odzyska Billa - cóż, wtedy być może wszystko znowu będzie miało sens.

Kiedy pociąg zatrzymał się przy peronie, słyszała, jak wali jej serce. Wsiadła z samochodu i po raz pierwszy od dnia śmierci Tony'ego poczuła się samotna. Z każdym krokiem w kierunku stacji coraz mocniej uświadamiała sobie, że rusza nieznaną ścieżką, oddalając się od wszystkiego, co dzieliła z mężem. Nagle odwróciła się i spojrzała na samochód. Było już jednak za późno na ucieczkę. Musiała przez to przejść, niezależnie od konsekwencji.

A potem zobaczyła Laurie, stojącą samotnie u wejścia na parking. Jej podobieństwo do Billa, widoczne nawet z tej odległości, sprawiło, że zabrakło jej tchu. Laurie ubrana była w długi, bezkształtny wielokolorowy płaszcz z włóczki, długi szalik owinięty wokół szyi oraz wielkie, czarne sznurowane buty. Była ruda, włosy miała ścięte bardzo krótko, tak że jej mocno zarysowane kości policzkowe i wielkie oczy w kształcie migdałów stanowiły dominujący element twarzy. Rachel czuła, jak serce podejżdża jej do gardła, kiedy unosiła rękę, żeby do niej pomachać.

Oczekiwała, że Laurie będzie wysoka, ale gdy spotkały się w połowie drogi, okazało się, że bratanica jest od niej niższa.

- Witaj, Laurie - powiedziała, nie bardzo wiedząc, czy powinna ją uściskać, czy raczej podać rękę. - Jestem Rachel. Twoja ciotka...

Planowała ukryć swe zdenerwowanie, rozpoczynając przyjacielską pogawędkę i przy okazji wypytać o Billa. Ale coś we wzroku tej młodej kobiety sprawiło, że zabrakło jej słów i poczuła się obnażona. Po raz pierwszy od lat oblała się rumieńcem.

A potem, ku zaskoczeniu Rachel, Laurie roześmiała się, przerywając napięcie.

- Przepraszam - wybuchnęła, najwyraźniej podenerwowana. - Zawsze się śmieję, kiedy się denerwuję. Tylko że... jesteś taka zupełnie inna niż tata. To znaczy, nie chciałam być niegrzeczna, ale oczekiwałam siwej starszej pani...



Rachel również się roześmiała, głównie z ulgi. Zrozumiała teraz w pełni wielkie ryzyko, jakie podjęła, zapraszając Laurie. Co by zrobiła, gdyby bratanica okazała się zastraszona albo nieśmiała, albo wymagająca? Albo agresywna? Albo zła? Miała ochotę uściskać tę obcą kobietę z wdzięczności za to, że jest taka normalna.

- Uwierz mi, gdzieś tam w środku jestem właśnie taka - odparła.

- Och, przepraszam. Jestem taka niedelikatna. Przepraszam, ale...

- Nie przepraszaj - przerwała jej szybko Rachel. - Nie znałeś go, a poza tym mam dość tego, że wszyscy cackają się ze mną jak ze śmierdzącym jajkiem. Słuchaj, mamy trochę czasu przed powrotem do domu. Może pójdziemy do pubu i przez chwilę nie będziemy smutne?

Rachel już od kilku lat nie była w tym pubie, ale czuła, że powinna zabrać Laurie właśnie do starej, krytej strzechą karczmy. Nie tylko chciała się popisać tym obrazkiem rodem z idealnej wioski, ale również poznać bratanicę na neutralnym gruncie i usunąć jej skrępowanie.

Tony przychodził tu na bilard albo na drinka z synami, kiedy przyjeżdżali na Boże Narodzenie. Kiedy Rachel uniosła zasuwkę i stanęła na starych, rozchwianych schodach, woń dymu papierosowego, zmieszana z zapachem płonącego w kominku drewna oraz piwa, tak silnie przypomniała jej Tony'ego, że przez chwilę nie mogła złapać tchu.

- A więc? Czy jestem taka, jak oczekiwałaś? - spytała, kiedy usiadły przy stoliku w pobliżu kominka. Rozmawiały swobodnie w drodze do pubu i sporo się dowiedziała o życiu Laurie w Londynie. A teraz chciała skierować rozmowę na nieco ważniejsze sprawy.

- Nie miałam pojęcia, czego oczekiwać - odparła Laurie. - O twoim istnieniu dowiedziałam się zaledwie kilka dni temu.

Rachel napiła się białego wina.

- A jak się miewa Bill?

Bardzo chciała, żeby to pytanie zabrzmiało zwyczajnie, a nie rozpaczliwie, jednak nie zdołała zapanować nad głosem. Choć od chwili spotkania marzyła, żeby zapytać Laurie

O jej ojca, dopiero teraz znalazła potrzebną odwagę. Bratanica westchnęła.

- Jest bardzo zły i zdenerwowany. Nigdy wcześniej się z nim nie kłóciłam. Zabronił mi się z tobą widywać. Powiedział, że zrujnujesz mi życie, tak samo jak jemu. Przykro mi, jeśli zabrzmiało to ostro, ale powinnaś znać prawdę.

Rachel pokiwała głową, czując, jak coś ściska ją w środku. Ale przecież sama czegoś takiego oczekiwała, więc nie powinna czuć się zawiedziona, napomniała się w myślach. W końcu nadal pozostawała nadzieja. Poza tym była przecież Laurie, odważna młoda kobieta, do której natychmiast poczuła sympatię.

- Więc dlaczego przyjechałaś? - spytała.

- Bo byłam ciekawa - wyznała Laurie. - Widzisz, zawsze chciałam mieć dużą rodzinę, ale byłam jedynaczką. Żadnych kuzynów, żadnego rodzeństwa, nikogo. I tak samo ze strony matki. Nie mogę zrozumieć, dlaczego tata ukrywał przede mną twoje istnienie. Udawał, że jesteś... no nie wiem. Ale najwyraźniej nie jesteś taka, za jaką on cię uważa.

Rachel uśmiechnęła się lekko, współczując Laurie i wyczuwając jej zmieszanie.

- Sądzę, że Bill ma powody, żeby być na mnie zły.

- Jakie? O co się pokłóciliście?

- Głównie o mamę. Ma błędne wyobrażenie o jej śmierci. i o tyle innych rzeczy, że już straciłam rachubę.

- Ale przecież twoja matka - to znaczy moja babcia - zginęła w tej wiosce, gdzie się wychowaliście, prawda? Podczas powodzi? Czy może to również kłamstwo?

- Nie, to prawda. Przynajmniej tyle ci powiedział.
  - Pokazywał mi wycinki z gazet. Nazwisko babci było na liście ofiar - Laurie urwała. - O mój Boże! - powiedziała nagle.
  - Co się stało?
  - Teraz sobie przypominałam. W gazecie napisali, że babcia zginęła, ale jej syn i córka ocaleli. Tata mi wyjaśnił, że to błąd w druku. A to chodziło o ciebie! Nigdy mu tego nie wybaczę.
  - Nie mów tak, Laurie. Wszyscy musimy się nauczyć wybaczać. Ale bratanica nie słuchała.
  - Jesteś tylko ty, prawda? Nie mieliście innego rodzeństwa? Czyli nie ma innych ciotek i wujów, o których mi nie powiedział?
  - Nie, jestem tylko ja.
  - A co z dziadkiem Edwardem? Tata mówił, że zginął na wojnie.
  - Podczas wojny, tak...
  - Powiedział, że został zastrzelony. Nigdy nie chciał podać żadnych szczegółów.
  - Żadne z nas nie lubi o tym mówić - ucięła Rachel ostro, po czym złagodziła swoją reakcję uśmiechem. - Ale nie martw się. Twój ojciec się zjawi, jestem pewna.
  - Nie. Znam go. Widziałam jego minę. Zabije mnie, jak się dowie, że tu jestem.
- Rachel pochyliła głowę.
- Nie chciałam powodować kłótni. Naprawdę. A przy okazji, wcale nie zamierzam rujnować ci życia.
- Potem rozmowa potoczyła się dalej i Rachel zaczęła przekazywać Laurie informacje o swojej rodzinie. Czuła się dziwnie, opisując ludzi, których znała tak dobrze. Chciała zaprezentować wszystkich w jak najlepszym świetle, żeby Laurie ich polubiła. Bo ona sama już zdążyła poczuć sympatię do córki Billa.

- A Tony? Nic chcę być wścibska, ale jak... jak umarł? - spytała w końcu Laurie.

- Miał atak serca. To się stało bardzo szybko.

- Przykro mi.

- Byliśmy na urlopie... - Rachel nikomu o tym nie opowiadała, nawet Christopherowi i Nickowi. - Myślałam, że się wygłupia. Z początku sądziłam, że to tylko żart. A potem... potem nagle odszedł.

Dlaczego mogła opowiadać o tym Laurie, skoro przy własnych dzieciach nie była w stanie zmusić się do wyrażenia jakichkolwiek uczuć?

Dlaczego łatwiej przychodziła jej szczerłość wobec obcej osoby, i to młodziej od niej o połowę? Kiedy Tony odszedł, nie miała się komu zwierzyć, ale w jakiś sposób czuła, że Laurie jest na tyle obca w jej rodzinie, że można jej powiedzieć prawdę. Ogromną ulgą było móc o tym mówić. I być sobą po raz pierwszy od śmierci Tony'ego.

- Byliście sobie bliscy? - spytała Laurie.

Rachel spojrzała na nią zaskoczona, że mogła zadać takie pytanie.

- Och, Laurie - powiedziała, czując ból w piersiach, a w jej oczach nagle pojawiły się łzy. - Nawet nie masz pojęcia...

## Rozdział IV

Stepmouth, marzec 1953

Vale otarł wierzchem dłoni pot z bladego, piegowatego czoła, po czym niecierpliwie przeczesał palcami kudłate, ciemnokasztanowe włosy. Był wysokim i krzepkim mężczyzną, a wilgotna od potu koszula przylepiała się do jego szerokich ramion i pleców.

Raz po raz uderzał mocno motyką w ziemię, pomalutku posuwając się naprzód, przecinając korzenie jeżyn, ścinając pokrzywy i wzruszając jałową glebę. Zatrzymywał się na chwilę jedynie po to, żeby podnieść i rzucić w pobliski żywopłot kamienie i kawałki skał, na których motyka krzesła iskry.

Bill miał miłą i otwartą twarz o ostro zarysowanych kościach policzkowych, krótkim prostym nosie i budzącej zaufanie, kwadratowej szczęce. Jego urok burzyły tylko jasnobrązowe oczy, które, zamiast być łagodne jak u sarny, wydawały się twarde jak tekowe drewno.

Kiedy dotarł do końca wyznaczonego za pomocą rzędu palików i sznurka prostokąta, wyprostował się. Wbił motykę w ziemię i obserwował, jak jej trzonek drga pod wpływem uderzenia, zupełnie jak włócznia. Był wykończony, ale i tak w kącikach jego ust czaił się uśmiech. Lubił być tutaj sam, z dala od miasta i sklepu, odpowiedzialny tylko za siebie.

Kawałek ziemi, który uprawiał, należał do samorządu. Jeszcze w czasie wojny pole położone na grzbiecie wzgórza Summerglade rozparcelowane zostało na trzydzieści działek.

Kilka tygodni temu była tu jedynie płatanina chwastów i kłujących krzewów. I to z winy Billa, bo zaniedbał działkę po śmierci ojca. Teraz doprowadził ją już na powrót do porządku i w zasadzie pozostało tylko jej obsianie.

Nagradzając się za wysiłek, wyciągnął z kieszeni płaską tabliczkę mlecznej czekolady Nestle, odwinął ją z folii i włożył kawałek do ust, smakując powoli rozpuszczającą się na języku rozkoszną słodycz.

Ojciec Billa wziął tę działkę w uprawę, kiedy na Boże Narodzenie 1944 roku armia odesłała go do domu. Odłamek niemieckiego pocisku rozciął mu twarz na długości jakichś dziesięciu centymetrów i wytopił lewe oko, jakby to był kawałek lodu. Nigdy nie używał otrzymanego w szpitalu szklanego oka. Wolał nosić brązową, skórzaną klapkę.

- W ten sposób wyglądam jak pirat, a nie jak dziwadło - wyjaśnił Billowi, kiedy siedzieli tu pewnej słonecznej niedzieli, a przez Europę nadal przetaczała się wojna. - Ludzie się tak nie gapią.

Bill zawsze uwielbiał ojca.

- Gapią się, bo jesteś bohaterem, tato - zapewnił. - Dlatego że to dzięki tobie i ludziom takim jak ty wygramy wojnę.

Siedzieli na zwalonym drzewie we dwóch, odpoczywając po długim popołudniu poświęconym na wykopki buraków, ziemniaków i cebuli. Podmuchy wiatru przywiewały do nich zniekształcone strzępki rozmów sąsiadów z miasta, uprawiających swoje działki. Owady brzęczały, leniwie dryfując w ciepłych prądach powietrza.

- Jeśli wziąć pod uwagę, ile miałem szczęścia, to zabawne, że obchodzi mnie, co myślą ludzie - ciągnął ojciec Billa, zupełnie jakby jego syn w ogóle się nie odezwał. - Ale obchodzi.

Ubrany był w stare brązowe sztruksy i znoszony czerwony sweter („dziurawiec”, jak go zawsze nazywał ze względu na liczne przetarcia).

- Szczęścia?

- Ci dwaj, którzy byli ze mną, kiedy trafił w nas pocisk, nie przeżyli. Bill nigdy nie był w stanie spokojnie myśleć o tym, jak jego ojciec leżał cały we krwi, gruzie i kurzu w wiejskim domu zburzonym przez niemiecki pocisk. Choć nigdy w życiu nikomu źle nie życzył, bardzo chciał zrobić coś złego tym draniom, którzy skrzywdzili jego ojca. I to bardzo złego. W przyszłym roku miał obchodzić osiemnaste urodziny, ale wszyscy mówili, że do tego czasu wojna już się skończy i nie będzie z kim walczyć.

- Żałuję, że mnie z tobą nie było, tato - powiedział. - Tak bym chciał ci wtedy pomóc.

- A ja nie żałuję.

- Dlaczego?

- Ponieważ ktoś musiał tu zostać i opiekować się twoją matką i siostrą.

- Ale...

Ojciec spojrział na niego ostro.

- Mówię serio. A jeśli chcesz mi pomóc, to to jest najlepszy sposób.

Zawsze się nimi opiekować. Czuwać nad nimi. Być tu, kiedy będą cię potrzebować. Choćby nie wiem co.

- Ale przecież wróciłeś...

- Powiedziałem: choćby nie wiem co.

- W porządku, tato - powiedział Bill. - Zawsze będę się nimi opiekować.

Choćby nie wiem co.

Z wiatrem napłynął do nich trzask gałązek i zapach palonych liści. Mniej więcej sto jardów dalej jakaś przeraźliwie chuda osoba wymachiwała kocem nad ogniskiem. Bill obserwował, jak maleńkie, szare chmurki dymu unoszą się w górę, stopniowo coraz bardziej oddalając się od siebie. Zupełnie jak znaki dymne Indian - pomyślał.

- Dobry z ciebie chłopak - powiedział ojciec i wstał. Matka Billa pochylała się nad krzakami malin, wyciągając nagie ramiona, a białe szelki jej fartucha błyszczały

w siońcu. U jej stóp siedziała ośmioletnia Rachel, której włosy, czerwone jak płomień, spływały aż do pasa. Bill obserwował, jak ojciec idzie powoli w ich kierunku. Obok Rachel stał wyłożony ściereczką koszyk, z którego dziewczynka wykradała garście malin, za każdym razem kiedy matka odwracała się do niej tyłem. Zauważywszy ojca, zapiszczała, poderwała się i czmychnęła co sił w nogach.

- Stój, złodziejko! - wykrzyknął ojciec teatralnie, po czym rzucił się w pogoń.

Ich śmiech był zaraźliwy, więc Bill też się uśmiechnął, patrząc, jak gonią się wśród krzaków malin i wokół grządki z sałatą.

Ale ten śmiech już przebrzmiał.

Od tamtego dnia minęło dziewięć lat, a zwalone drzewo, na którym siedział wtedy Bill, dawno spróchniało. Popatrzył ponuro na opuszczony skrawek ziemi, na którym niegdyś bawiła się cała jego rodzina.

- Choćby nie wiem co - powiedział na głos. Po czym odwrócił się i popatrzył w dal.

Widok ze szczytu wzgórza Summerglade przypominał fotografię lotniczą. Poniżej, na wprost Billa - na północy - znajdował się jego dom w Stepmouth, a dalej Kanał Bristolski. Wzdłuż wybrzeża - na wschód i zachód - ciągnęły się wrzosowiska, całe w pastelowych odcieniach zieleni i brązu.

Summerglade leżało pomiędzy dwiema głębokimi dolinami rzek East Step i West Step. Koryta rzek, zasilane setkami dopływów odprowadzających wodę ze wzgórz Exmoor, obniżały się już na tym odcinku o ponad dwie mile. Nurt, na ogół spokojny, okresowo wzbierał po deszczach, a ponieważ spadek robił się coraz większy, powstawały kaskady, a woda mknęła od jednego niewielkiego wodospadu do drugiego, jakby spływała po schodach.

Kilka metrów niżej, prawie u stóp wzgórza, bliźniacze rzeki łączyły się w miejscowości Watersbind, gdzie ich ener-



gię wykorzystywała hydroelektrownia. Ze wzburzonego, spienionego zbiornika wypływała już tylko jedna rzeka, Step, która mijając wielki kamienny łuk mostu Watersbind, mknęła w dół kolejnego, trzydziestometrowego, pełnego bystrzy spadku, po czym wyrównywała bieg i z szumem przecinała dolinę Step, docierając do miasteczka Stepmouth. Przez jego centrum płynęła głębokim kanałem.

Miasto rozciągało się na wschód i zachód od ujścia rzeki. Od północy ograniczała je szara powieka skalistej plaży, a dalej wielkie zielone oko morza. Rozdzielone części Stepmouth łączyły ze sobą dwa mosty; most Południowy przekraczał rzekę tam, gdzie wpływała do miasteczka, a most Nadbrzeżny tam, gdzie wlewała się do morza.

Grupa przygarbionych domków i pensjonatów skupiła się po obu stronach jej koryta, jak dzikie zwierzęta u wodopoju. Wśród nich znajdował się i sklep spożywczy Vale'ów, gdzie Bill pracował i nad którym mieszkał. Mieścił się w dwupiętrowym szeregowym domku z cegły i był jednym z pierwszych sklepów, jakie napotykało się na głównej ulicy miasteczka. Bill urodził się tam dwadzieścia sześć lat temu, w 1927 roku.

- Ale tam nie umrę - oświadczył. Zaskoczyło go, że wypowiedział te słowa na głos.

Przerażeniem napawała go myśl o przykuciu na resztę życia do tego małego kawałka świata, choć równocześnie wątpił, czy kiedykolwiek zdoła stąd odejść. Już raz próbował. I poniósł klęskę.

Miał swoją szansę w 1948, kiedy po odsłużeniu wojska zaczął studiować budownictwo na uniwersytecie w Durham. Wytrwał tylko sześć miesięcy, a potem wrócił do domu prowadzić sklep. Wyczerpanie... To właśnie wypisane było na czole jego matki i to pogłębiało cienie pod jej oczami. Choć nie poskarżyła się ani razu, zrozumiał to w momencie, kiedy ją zobaczył, pod koniec drugiego semestru

w Durham. Prowadzenie sklepu i wychowywanie Rachel okazało się dla niej zadaniem ponad siły. Więc rzucił studia.

Dziś nadal nie mógłby - nie chciałby - odejść, póki był im potrzebny. Przynależał to ojcu.

Nie może tu umrzeć, ale zapewne umrze.

Kiedyś wyobrażał sobie, że cały ten krajobraz pokrywają konstrukcje jego projektu. Marzył o wspaniałych mostach przerzuconych nad rzekami, o molo, które przyćmiłoby molo w Brighton, liniach kolejowych wspinających się na wzgórze i gmachu opery sięgającym nieba.

Pod łóżkiem nadal przechowywał szkice, razem z połamaną deską kreślarską i jedynym zdjęciem Susan Castle, dziewczyny, z którą zaręczył się na uniwersytecie. Zerwała z nim, kiedy rzucił studia. I nigdy tu nie przyjechała.

Ale dość marzeń. I uzalania się nad sobą. Spojrzał na posrebrzany zegarek o pękniętym szkiełku. Ojciec nosił ten zegarek w dniu swej śmierci, a Bill nigdy nie oddał go do naprawy, bo chciał, żeby mu przypominał o tym, co się tu stało za każdym razem, gdy sprawdzał, która godzina. Nigdy nie chciał zapomnieć ojca.

Podszedł do starego, czarnego motocykla marki Norton, który doprowadził do porządku z pomocą swojego kumpla Richarda Homera. Wsiadł na siodełko, zapalił silnik i ruszył na przełaj w stronę drogi. Było już wpół do ósmej: czas wracać do sklepu i rozpocząć dzień pracy.

U podnóża Summerglade Bill przejechał prosto przez skrzyżowanie, a dalej w górę głównej ulicy. Mniej więcej w jej połowie, przed świeżo odnowioną salą parafialną, dwóch uczniów biło się na niby na tle plakatu z filmu *Viva Zapata!* przyklejonego do pomalowanego na zielono przystanku autobusowego. Na nadbrzeżnym parkingu na końcu ulicy widać było kilka samochodów.

Bill skręcił w prawo i przejechał pod zwisającymi nisko gałęziami wielkiego dębu, trafiając prosto w alejkę, która oddzielała sklep Vale'ów od sąsiedniego sklepu z artykułami żelaznymi, należącego do Gilesa Weatherly'ego.

Wyłączywszy silnik, postawił motocykl na podpórcie zaraz za samochodem dostawczym Gilesa, a potem skręcił sobie papierosa. Nabrał tego zwyczaju w wojsku. Miał wtedy nadzieję zobaczyć świat, a może nawet walczyć, ale skończył w koszarach w Yorkshire, ucząc się polerować buty, by potem w nich maszerować.

Boczne drzwi prowadziły z alejki prosto do mieszkania, ale Bill poszedł najpierw na małe podwórko za domem. Zdjął koszulę i zmył brud z rąk i twarzy pod kranem z lodowato zimną wodą. Kiedy się wytarł do sucha, zajrzał za ogrodzenie, które zbudował jego ojciec, żeby razem z siostrą mogli się tu bezpiecznie bawić, gdy byli mali.

Poniżej, w kanale, połyskiwała rzeka Step. Co kilka metrów nad jej powierzchnię wystawały głazy, szare i śliskie jak foki. Bill kochał dźwięk szmerzącej wśród nich wody. Wychował się na nim. Całkiem dosłownie. Jego sypialnia, wsparta na rozporach, została wybudowana nad podwórzem. Znajdowała się teraz dokładnie nad jego głową, sięgając aż nad rzekę.

Podobnie było we wszystkich szeregowych domkach stojących po obu stronach rzeki. Ponieważ nie mogły rozbudowywać się do przodu ani na boki, wysuwały się coraz bardziej do tyłu. Do tego stopnia, że odległość pomiędzy budynkami na wschodnim i zachodnim brzegu rzeki nie była obecnie większa niż sześć metrów.

W kuchni pachniało pastą do podłogi i środkiem odkażającym o zapachu leśnym. Suche gałązki lawendy zwisały z belki przecinającej na pół niski, otynkowany na biało sufit. Gazowy piec działał równie dobrze jak pięć lat temu, gdy go zainstalowali. Mosiężne garnki i patelnie, stalowe łyżki wazowe i noże połyskiwały na ścianie.

Bill przeszedł przez salon i znalazł się w ciemnym korytarzyku. Tu odkrył, że jego matka, ubrana w gruby niebieski szlafrok, siedzi cierpliwie na ostatnich stopniach schodów. Pani Vale miała czterdzieści sześć lat i nadal była ładna. Miała ciemne włosy, a na twarzy wieczny uśmiech, który przykro kontrastował z głębokim smutkiem czającym się w jej oczach.

- Dzień dobry, Williamie.

- Mamo... - pochylił się, żeby ją pocałować, a potem zdumiony zmarszczył brwi. - Co ty tu... - chciał powiedzieć „robisz”, ale już zdążył zgadnąć. Wyprostował się. - Rachel!

- wrzasnął, patrząc w górę schodów.

- Szkoda gardła - stwierdziła pani Vale. - Nie słyszy.

- Chciałaś powiedzieć, że nie chce usłyszeć - odparł Bill.

- Jak długo tu czekasz?

- Och, niezbyt długo... widzisz, chciałam zobaczyć, czy będę mogła... - nie patrzyła na niego i domyślił się, że w ten sposób chce oszczędzić Rachel kłopotów. A tak naprawdę pewnie siedziała tu co najmniej pół godziny.

- Powinna zejść ci pomóc.

- Ale przecież już jesteś - odparła szybko. - Więc może po prostu...

- Po prostu co, mamo? Będziemy udawać, że nic się nie stało? Ze Rachel wcale nie jest samolubna i leniwa? Rachel!

- zawołał znowu w kierunku schodów. Nadal brak odpowiedzi.

- Byłeś dokładnie taki sam w jej wieku - próbowała go uspokoić pani Vale.

Bill nie słuchał. Wcale nie byli do siebie podobni. On pracował; Rachel unikała pracy, jak mogła. Tak wyglądały fakty.

- Wiedziała, że zaniósł wczoraj twój fotel do Gilesa

- stwierdził. - Mówiłem jej o tym, nim poszłaś do łóżka. I wiedziała, że z samego rana jadę na działkę, więc będzie musiała dziś wstać i ci pomóc.

Wózek inwalidzki jego matki. O tym fotelu mówił. Jedno koło zaczęło się zacinać, więc zaniósł go po sąsiedzku do Gilesa Weatherly'ego, żeby go naprawił.

Od chwili gdy pani Vale straciła władzę w nogach, robiła wszystko, żeby stać się samodzielną. Była metodyczną kobietą, nieskazitelnie prowadziła rachunki sklepowe, poza tym opracowała system, który dawał jej prawie pełną zdolność poruszania się po domu. Miała dwa wózki inwalidzkie, jeden na dole, a drugi na piętrze, i samodzielnie potrafiła pokonać schody. Oprócz tego poranka, kiedy - jak Rachel doskonale wiedziała - musiała obyć się tylko jednym.

- Zaraz zniósę ci go na dół - powiedział Bill.

Kiedy tylko matka zniknęła w kuchni, żeby przygotować śniadanie, Bill wbiegł z powrotem na górę i obrzucił gniewnym spojrzeniem drabinę prowadzącą na strych, do pokoju siostry. Popekana, pomalowana na żółto kłapa strychu była zamknięta, a przyczepiona do niej kartka, nabazgrana koślawym charakterem pisma Rachel, głosiła:

*Pokój Rachel. Wstęp wzbroniony. Tobie również, Bill.*

- Samolubna kretynka - warknął pod nosem.

Wspiął się po drabinie i bezceremonialnie uderzył w klapę dłonią. Z ponurą satysfakcją patrzył, jak odskakuje gwałtownie i wali w podłogę obok.

To ją czegoś nauczy, pomyślał. Będzie potulnie siedzieć i słuchać.

Ale kiedy wspiął się do ciemnego, pachnącego potpourri pokoju, przekonał się, że Rachel nawet nie drgnęła. Na jej twarzy malował się wprost anielski spokój. Właściwie wszystko w niej - od posagowych fałd białego prześcieradła, okrywającego jej ciało, po zdrowy rumieniec na policzkach

- traciło świętością, jakby wcale nie była śmiertelniczką, tylko aniołem, który zstąpił w nocy z niebios.

Co wkurzyło Billa bardziej, niż był w stanie wyrazić.

Zerwał cienką zieloną zasłonkę ze świetlika i pokój zalało słońce.

Rachel nawet nie drgnęła.

Pochylił się, żeby nią potrząsnąć, ale zamarł w pół ruchu, bo do głowy wpadł mu lepszy pomysł. Bill wcale nie był okrutny i, pomimo złości, kochał swoją młodszą, niezdolnie wywyższającą się siostrę. Ale był pewien, że mały wstrząs dobrze jej zrobi. Pochylił się niżej. Zbliżył usta do jej ucha... nabrał tchu... a potem...

Był to wspaniały ryk, prawdziwie królewski, jak ryk dwóch wygłodzonych bengalskich tygrysów walczących o zdobycz. Taki ryk, który sprawia, że naczynia spadają z półek. Ryk zdolny zburzyć mury Jerycha, napędzić bożą trwogą leniwą, bezduszną siedemnastoletnią dziewczynę i pokazać jej, kto tu jest panem.

Poza jedną drobną kwestią: to Rachel ryknęła, nie Bill.

Dokładnie w chwili, gdy Bill napęlił płuca i otworzył usta, żeby wrzasnąć z całej siły w jej ucho i śmiertelnie ją wystraszyć, jego siostra otworzyła oczy i sama wydała przeraźliwy wrzask.

Odskakując gwałtownie, Bill walnął głową w belkę sufitu, z której posypał się kurz.

- Wstawaj! - krzyknął, pocierając uszy.

- Wstałam! - odkrzyknęła. I - jak się przekonał - była to prawda. Zerwała się, odrzucając prześcieradło, i skoczyła do niego w pogniecionej białej nocnej koszuli. - Wynoś się stąd!

- Co?

- Wynoś się! - powtórzyła. - Już!

- Posłuchaj... - zaczął.

- Nie, to ty posłuchaj. Wiesz doskonale, co jest napisane na drzwiach. Wiesz doskonale, że nie wolno ci tu wchodzić.

Próbował zachowywać się spokojnie, jak dorosły.

- Nie wyjdę, póki nie wysłuchasz, co mam do powiedzenia.

- No to dalej, mów. Gadaj, ile chcesz, a potem zjeżdżaj stąd - patrzyła na niego spode łba.

- Zdajesz sobie sprawę, co zobaczyłem, jak wróciłem z działki?

- Niech zgadnę. Bombę atomową? - spytała.

- Nie - odparł, ignorując jej sarkazm. - Mamę. Siedziała na schodach. Rachel wykrzywiła usta.

- Niesamowite. Naszą własną matkę. W naszym własnym domu. I co? Chcesz za to medal?

- A wiesz, dlaczego tam siedziała?

- Oświeć mnie.

- Ponieważ byłaś, kurwa, zbyt leniwa, żeby wstać i znieść jej na dół wózek - warknął.

- Nie waż się kłać przy mnie - ostrzegła.

- A to czemu?

- Bo też kurwa zacznę!

Nagle wyraz jej twarzy się zmienił.

- Ale dlaczego mama potrzebowała pomocy, żeby wsiąść na wózek? Och!

- zamarła na chwilę. - Przecież zabrałeś wczoraj drugi wózek do Gilesa. A ja miałam... cholera... - skruszona, zakryła dłonią usta. - Przepraszam - powiedziała. - Przepraszam, zapomniałam.

Miał ochotę powiedzieć więcej. Że przepraszam nie wystarczy. Że powinni się nawzajem wspierać, bo jeśli nie będą, to wszystko - i sklep, i rodzina - się rozpadnie. I że jego obowiązkiem jest opiekować się nimi i zapewnić im bezpieczeństwo. I że właśnie dlatego wrócił do domu. Ale powiedział tylko:

- Powiedz to mamie.

Nie było sensu pouczać Rachel. Doskonale wiedział, co ona o nim myśli: że jest wścibski, małostkowy i nudny. I że

nie chce, by jej zastępował ojca, ponieważ jest już dość dorosła, żeby radzić sobie sama.

Patrząc na nią teraz, zaczynał rozumieć, że zapewne ma rację.

Bill miał dziś po południu tylko dwie dostawy do klientów, a kiedy wyruszał na sklepowym rowerze, żeby je zawieźć, był gładko ogolony, miał czyste paznokcie, jego wykrochmalona koszula układała się w ostre krawędzie, a niesforne włosy zostały okiełznane za pomocą mokrej szczotki. Pod każdym względem prezentował się równie porządnie i czysto, jak ich sklep.

Główna ulica miasteczka była prawie pusta: poranne zakupy dobiegły już końca i ludzie poszli na lunch. Mocna mieszanka zapachów piwa, jabłeczniaka i papierosowego dymu unosiła się z okien pubów Channel Arms i Smuggler's Rest, a ze sklepu Capitan Ahab, gdzie sprzedawano ryby z frytkami, zalaływała ostra i kwaśna woń dorszy oraz wieprzowej kiełbasy.

Bill jechał powoli. Pomachał do siwego Johna Mitchella, który wychylał się z okna na piętrze, by podać żonkile rosnące w skrzynce zawieszanej nad frontowymi drzwiami pomalowanymi na jaskrawy pomarańczowy kolor.

Na rogu Bay Street zatrzymała go rozplotkowana i pokryta plamami wątrobowymi pani Carver. Chciała, żeby przypomniał matce o spotkaniu Koła Gospodyń, wyznaczonym na sobotę po południu.

Na końcu głównej ulicy skręcił w prawo i zaczął podskakiwać na brukowanym nabrzeżu, lawirując wśród kotów, które ucztowały na walających się wokół różowych wnętrzościach makreli. Był właśnie odpływ. Łodzie rybackie spoczywały przekrzywione w brunatnym błocie przystani po lewej ręce Billa, a wokoło unosił się słony smród schnących sieci.



Żołądek podskakiwał mu jak na sprężynach, kiedy przejeżdża! po kamiennym garbie mostu Nadbrzeżnego. Zaszarżował, jak rycerz na koniu, prosto w stado morskich ptaków, które ze skrzekiem i oburzonym trzepotem wzbiły się w powietrze.

Pierwszą dostawę - herbatę, kawę i czekoladowe kocie języczki Cadbury - zawiózł do funkcjonalnego, ale wyjątkowo pozbawionego wyrazu ratusza z czerwonej cegły, który tulił się do kościoła pod wezwaniem Świętej Hildy. Bill, jego matka i siostra należeli do tej parafii, odkąd pamiętał. Zeszłej niedzieli przez dwadzieścia minut stał za wózkiem matki w chłodnym cieniu rzucanym przez dzwonnice kościoła, spoglądając na nieskazitelny granitowy krzyż ustawiony na grobie ojca. Druga dostawa była również do stałego klienta: Sea Catch Cafe. Od trzydziestu lat prowadził ją Ałun Jones wraz z żoną, choć ostatnio pojawiły się plotki - szerzone przede wszystkim przez samego Jonesa, który chciał przejść na emeryturę i wrócić do rodzinnej Walii - o wystawieniu lokalu na sprzedaż. Tyle że musiał jeszcze przekonać do tego swą żonę, Mavis. Nie było komu przekazać rodzinnego interesu, gdyż ich jedyna córka i spadkobierczyni w gorszący sposób uciekła w czasie wojny z Amerykaninem.

Sea Catch Cafe mieściła się w trzypiętrowym budynku, dwukrotnie szerszym niż sklep Vale'ow, położonym na przeciwległym brzegu rzeki. Na dole znajdowała się kawiarnia i restauracja. Państwo Jones mieszkali na górze, gdzie było również kilka pokoi do wynajęcia.

Bill oparł rower o boczną ścianę budynku, obok kubłów na śmieci, które otaczała woń gotowanych ziemniaków i smażonej cebuli. Wetknął sobie pod pachę brązową, papierową torbę sklepową wyciągniętą z rowerowego kosza i właśnie miał zapukać, ale nim jego palce dotknęły powierzchni drewna, drzwi otworzyły się i stanął w nich Tony Glover. Jego twarz natychmiast poszarzała.

- Nadal tutaj? - spytał Bill. Utkwił uporczywe spojrzenie w oczach Glovera. - Ałun jeszcze cię nie wywalił? Nie dał ci wymówienia? Glover w milczeniu potarł czoło.

- Ale na pewno w końcu ci je wręczy - ciągnął Bill. - Coś sknocisz. Zobaczysz. Nie zdołasz się powstrzymać. A wtedy nikt inny cię tu nie zatrudni. I wreszcie zrozumiesz, że czas się stąd wynosić.

Glover opuścił rękę. Wtedy Bill zobaczył jego podbite oko, znajdujące się nad nim rozcięcie i stłuczony nos.

- Komu jestem winien kolejkę w pubie? - zapytał.

- Co?

- Kto ci nakopał? - uściślił Bill.

- Potknąłem się.

Bill chciał przyłożyć Gloverowi tak samo jak ten ktoś, kto go pobił.

Bardzo chciał. Uznał jednak, że w ten sposób stałby się taki sam jak on.

Stałby się taką samą bestią.

Wepchnął torbę w rękę Glovera.

- Powiedz Ałunowi, że tu jest wszystko - powiedział. Popatrzył ostro na Glovera. - I pospiesz się albo złożę na ciebie kolejną skargę.

Kiedy Bill otworzył drzwi sklepu Vale'ow, odezwał się ostry dźwięk dzwonka. Wszedł. Biało-czarna szachownica podłogi, którą umył dziś rano, była nadal nieskazitelnie czysta. Znajome towary tworzyły symetryczne stosy na półkach: wielkie słoje ze słodyczami, zupy i warzywa w puszkach, sosy w butelkach, słoiki rozpuszczalnej kawy i kakao, paczki smalcu i kaszy manny, pudełka proszku do szorowania, płatków mydlanych i płatków owsianych.

Pani Macgregor wcisnęła się do sklepowej budki telefonicznej i ściskając z całych sił czarną słuchawkę, wygłaszała cotygodniowe kazanie na temat zdradliwości alkoholu swo-

jemu synowi Arthurowi, który przeniósł się trzy lata temu do Bristolu. Za wypolerowaną ladą, na starej sklepowej drabinie stała Rachel, sięgając po butelkę syropu kawowego i esencję z cykorii stojące na najwyższej półce. Zniosła je na dół i wybiła sprzedaż na kasie sklepowej. Następnie włożyła butelki do torby i podała je z uśmiechem Normanowi Millerowi.

- Witam - powiedział Norman uprzejmie, uchylając kapelusza. Miał syna w jego wieku, Alana. Alan poszedł na uniwersytet w tym samym czasie co Bill, a teraz mieszkał w Londynie, miał dobrą pracę w banku, śliczną żonę i małego synka.

- Strzeżcie się Bristolu - oświadczyła zagadkowo pani Macgregor, wychodząc ze sklepu za panem Millerem. - To miejsce próby, gdzie grzechy...

Ponieważ w sklepie było duszno, Bill otworzył ponownie zamknięte przez nią drzwi wejściowe, a potem odwrócił się do siostry, która przeglądała jakieś pismo. Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego, jakby poranna kłótnia w ogóle nie miała miejsca. Nastolatki, pomyślał. Nie rozumiał ich nawet wtedy, kiedy sam był w ich wieku, więc teraz tym bardziej nie miał na to szans.

Rachel zamknęła pismo. To był magazyn „Illustrated” ze zdjęciem Marilyn Monroe na okładce. Aktorka lśniła od diamentów, a ubrana była w głęboko wyciętą czerwono-czarną koronkową suknię.

- Co sądzisz? - spytała Rachel, przysuwając zdjęcie Marilyn do swojej twarzy tak, żeby miał porównanie.

- O diamentach? - zażartował. - Tak, byłoby ci w nich do twarzy.

Przewróciła oczami.

- Mówię o włosach. Myślisz, że powinnam się przefarbować na taki blond?

- A uszczęśliwi cię to?

- Może w ten sposób zdobędę nowego chłopaka.

Postanowił pominąć milczeniem słówko „nowego”, z którego wynikało, że już jakiegoś miała.

- Jesteś za młoda, żeby mieć chłopaka - stwierdził.

- A ty za stary, żeby nie mieć dziewczyny - docięła mu.

- A ja? Czy jestem w odpowiednim wieku, żeby mnie ktoś obsłużył?

Bill odwrócił się i spojrzał na stojącą za nim kobietę. W jej twarzy było coś znajomego i przez chwilę myślał nawet, że już ją kiedyś widział, ale potem doszedł do wniosku, że się myli.

Musiała być w jego wieku. W ręku trzymała małą czarną skórzaną walizkę, oklejoną podróżnymi nalepkami. Wyglądała niesamowicie nowocześnie. I... elegancko? Czy to było odpowiednie słowo, żeby opisać taką kobietę? - zastanawia! się Bill. Ponieważ jej strój - niemożliwie krótka spódnica i pasujący do niej, błyszczący błękitny żakiet, spięty w talii szerokim białym paskiem - uszyty był w sposób, jaki widuje się jedynie w pismach o modzie, a nigdy w tym sklepie, nigdy na tyle blisko, żeby go dotknąć. Nie żeby zaraz miał dotykać, pomyślał i zaczerwienił się.

- Cześć - powiedziała, uśmiechając się pogodnie.

Bill otworzył usta, ale nie zdołał wykrztusić ani słowa. Zrobiła krok w jego kierunku. Potem jeszcze jeden. A potem zajrzała mu w oczy.

- Wszystko w porządku? - spytała. Jej akcent był zbliżony do amerykańskiego, ale bardziej miękki. Pewnie kanadyjski, pomyślał.

- Ja...

Kiedy patrzyła na niego, a właściwie przesywała go wzrokiem, poczuł, że koniecznie musi powiedzieć coś interesującego - że taka kobieta zasługuje na interesującą odpowiedź, a nawet jej oczekuje - i że będzie rozczarowana, jeśli ją zawiedzie.

- Ja...

- Czy on zawsze się tak zachowuje? - kobieta zwróciła się do Rachel.
- Nie, tylko w dni powszednie, niedziele i święta - odparła Rachel.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Zabawne.

Odstawiła walizkę i najwyraźniej straciła zainteresowanie Billem.

Zaczęła rozglądać się po sklepie. Miała krótkie włosy, jasne i mocno skręcone, oraz jaskrawy czerwony kapelusz, w tym samym kolorze co szminka i lakier do paznokci. Na podbródku, po lewej stronie szerokich, wygiętych w luk ust, widniał niewielki pieprzyk.

- Cukierki - oznajmiła, zatrzymując się przed przeszkloną częścią lady, gdzie wystawione były droższe słodycze.

- To znaczy, słodycze - poprawiła się. - Muszę coś kupić. Na prezent.

- Może ja... - zaczęła Rachel.

- ... pani pomogę - dokończy! za nią Bill. Przeszedł za ladę i odsunął stanowczo Rachel, ignorując pełne oburzenia spojrzenie, jakie mu rzuciła. Stanął naprzeciw kobiety i kiedy przyglądała się starannie ułożonym pod szklaną taflą tabliczkom czekolady, patrzył na jej odbicie w szybie.

- Idę na przerwę - oznajmiła Rachel.

- Nie spiesz się - odparł Bill, nawet się nie oglądając.

- Może poproszę tę dużą tabliczkę czekolady Rowntree

- zdecydowała kobieta, pukając w szybę paznokciem.

- Oczywiście - Bill uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem. O rany, pomyślał. Co za uśmiech.

- Tylko musi się pani najpierw zarejestrować - dodał, starając się opamiętać.

- Zarejestrować?

- Zarejestrować kartki. Nim pani coś kupi.

- Żartuje pan, prawda? - spytała.

- Cóż... Nie.

- To znaczy, że nie mogę po prostu zapłacić?
- Nie - odparł. - Słodczyce nadal podlegają racjonowaniu.
- Słodki Jezu! - jęknęła. - Przecież to się w pale nie mieści! Pewnie nawet sam Bóg Ojciec nie mógłby nic kupić bez kartek?
- Istotnie - odparł Bill, próbując opanować uśmiech.
- Cholera jasna. Chryste. Przepraszam... - Machnęła ręką. - Za przeklinanie. I bluźnierstwa. Powinnam się od tego odzwyczaić, skoro wróciłam do domu.

Wzruszył ramionami. Nie wiedział, co powiedzieć. Rzecz w tym, że podobały mu się jej przekleństwa.

- Do domu? - spytał.
- Właśnie. - Jej szare oczy przeszukiwały znajdujące się za nim półki. - Nie sądzę, żeby puszka sardynek była odpowiednim prezentem, nie sądzi pan?
- Nie.

Znów spojrzała na niego, nagle poważniejąc.

- Nie mam pojęcia, co robić. Przyjechałam aż z Nowego Jorku i nie mam prezentu. Boże, ależ ze mnie kretynka. - Rzuciła ostatnie spojrzenie na tabliczkę Rowntree, po czym westchnęła i odwróciła się do wyjścia.

Nagle przyszło mu coś do głowy.

- Proszę zaczekać.
- Tak?
- Mam pomysł.

Popatrzyła na niego wyczekująco.

- Tak?
- Proszę wybrać czekoladę, a ja potracę ją z mojego przydziału na przyszły tydzień.
- Nie - odparła stanowczo. - Nie mogłabym.

Ale on nagle poczuł, że rzeczywiście chce to dla niej zrobić.

- Nalegam.

Wyjął spod lady czerwono-białą tabliczkę i wyciągnął w jej kierunku. Popatrzyła na czekoladę.

- Muszę przyznać, że wybawia mnie pan z dużego kłopotu - stwierdziła. -  
A co z pana racją?

- Przeżyję. Prawdę mówiąc, nie przepadam za słodyczami - skłamał.

- Tak? Och, no to zgoda - rozpromieniła się. Wzięła czekoladę i włożyła  
do kieszeni żakietu. - Ale tylko pod warunkiem, że panu za nią zapłacę.

- Nie wolno mi brać pieniędzy za niezare... - zaczął wyjaśniać.

- Nie, nie, zapłacę, jak już zarejestruję tu swoje kartki. No wie pan, jak już  
je dostanę.

- Och. A jak długo zamierza tu pani zostać?

- Jakiś czas - roześmiała się nerwowo. - Może nawet dłuższy, kto wie?

Wyszedł zza lady.

- Daleko pani idzie?

- Nie.

- Może zaniosę pani walizkę? - zaproponował.

- Dziękuję, ale nie. Spuścił oczy, zakłopotany.

- Przepraszam. - Dotknęła jego ramienia. - Nie chciałam, żeby tak to  
zabrzmiało. Kiedy indziej chętnie bym się przeszła w pana towarzystwie,  
ale jak mówiłam, dawno mnie tu nie było i przyjechałam bez uprzedzenia.

- W porządku. Rozumiem.

Uśmiechnęła się do niego słodko, a potem poklepała się po kieszeni.

- Dzięki za czekoladę. - Wyciągnęła rękę. - A przy okazji, jestem Emily.

Uścisnął jej rękę. Była zimna, ale i tak miał ochotę potrzymać ją dłużej.

- Bill.

Popatrzyła mu prosto w oczy, po czym dodała:

- Emily Jones.

Wzruszył ramionami, jakby mu to nic nie mówiło, choć nie była to prawda. Emily Jones. Córka Aluna i Mavis, właściciele Sea Catch Cafe. Emily Jones, która wywołała w mieście skandal, sprzeciwiając się rodzicom i uciekając pod koniec wojny z amerykańskim lotnikiem, choć ledwie skończyła osiemnaście lat.

Więc jednak ją rozpoznał, choć tak bardzo się zmieniła w ciągu tych ośmiu lat. Nie znali się, kiedy tu mieszkała, ale pamiętał doskonale, jak ludzie wtedy plotkowali i że jej matka zachowywała się zupełnie tak, jakby była w żałobie. Rozważał przez chwilę, czy wie, co się stało z jego ojcem, czy wie o tym o wiele większym skandalu, który wybuchł tutaj, w tym sklepie, zaledwie miesiąc po jej ucieczce. Ale jej beztronski uśmiech zdawał się temu przeczyć.

Myślał potem o tym uśmiechu przez resztę dnia.

- No to witaj w domu, Emily Jones - powiedział.

- Pod warunkiem, że moja matka uzna, że nadal mam dom, do którego mogę wrócić - odparła. - Odpukać! - Postukała mocno knykciami o ladę. - To na szczęście.

- Powodzenia. - Szczerze jej go życzył. - Mam nadzieję, że wkrótce znowu się zobaczymy - dodał równie szczerze.

- Dzięki. Na pewno.

Podszedł za nią do drzwi, a potem patrzył, jak odchodzi. Usłyszał, jak do sklepu wraca Rachel.

- Kto to był? - spytała.

- Przyjezdna - stwierdził, nie odrywając oczu od Emily Jones, póki nie skrzyła na rogu ulicy i nie znikła.



## Rozdział V

Somerset, współcześnie

*Sam* Delamere wpatrywał się w zalaną deszczem przednią szybę samochodu. Czuł dym papierosowy, którym przesiąknęła Claire. Pomiedzy halą przylotów a parkingiem zdążyła wypalić dwa marlboro.

- Co to, zlot automobilklubu angielskich kretynów? Zjedź z drogi, bałwanie! Na pobocze! - wrzasnęła Claire na kierowcę zardzewiałego minimorrisa, który, nieświadomy jej gniewu, wytoczył się na wyboistą drogę tuż przed nimi. - Wiesz, dlaczego tak nie znoszę angielskiej wsi? - zwróciła się do Sama, który prowadził samochód. - Ponieważ pełno tu pierdolonych angielskich głupków, którzy...

- Przestań - poprosił Sam.

- Co przestań?

- Wiesz dobrze, co.

- Najwyraźniej nie. Bo gdybym wiedziała, tobym się, kurwa, nie pytała, o co ci chodzi.

- Właśnie o to - wyjaśnił Sam. - O przekleństwa. Nic chcę, żebyś tak mówiła przy Archiem. Ani kurwa, ani pierdol. Dobrze?

- Przecież przed chwilą sam to powiedziałaś - zakpiła.

- Tylko po to, żeby ci wyjaśnić, o co mi chodzi.

- Ale powiedziałaś.

Westchnął, odgarniając z opalonego czoła proste jasno-brązowe włosy. No proszę. Znowu to samo. Znowu próba

srowadzenia rozmowy do poziomu dziecinnej sprzeczki. Robiła tak za każdym razem, kiedy tylko poczuła się w defensywie. Miała dwadzieścia osiem lat, zaledwie o siedem mniej niż Sam, ale czasami czuł się przy niej bardziej jak jej ojciec, którego nigdy nie znała, niż jak mąż.

Choć instynkt nakazywał mu walkę, postanowił nie reagować. Claire uwielbiała konflikty i z pewnością wykorzystałaby jego reakcję, żeby rozwinąć tę wymianę zdań w kłótnię na pełną skalę. Nie zamierzał do tego dopuścić, nie dzisiaj, nie teraz, kiedy był pewien, że potrzebuje jego wsparcia.

Postarał się spojrzeć na sytuację obiektywnie: Claire szukała konfliktu, a on po prostu znalazł się na linii strzału. Po śmierci swego dziadka, Tony'ego, była zła i zdenerwowana, a ten atak stanowił jedynie próbę poradzenia sobie z bólem. Rozumiał ją. Też był zdenerwowany.

- No dobrze - stwierdził. - Przekląłem. I źle zrobiłem  
- wiedział z doświadczenia, że najłatwiej było zakończyć sprzeczkę, jeśli pozwoliło się Claire myśleć, że wygrała.

- Źle - przytaknęła. Jasnoblękitne oczy Sama pociemniały.

- Więcej tego nie zrobię. I byłbym ci wdzięczny, gdybyś ty też postarała się nie kłąć.

Claire odwróciła się i popatrzyła na Archiego. Siedział przypięty do fotelika dla dzieci, na tylnym siedzeniu wypożyczonego dwie godziny temu na lotnisku w Luton samochodu.

- Archie i tak nic nie rozumie. Prawda, dziecinko? - zwróciła się do ich dwuipółletniego syna tym dziwacznym, śpiewnym tonem, którym się zawsze do niego odzywała. Wyciągnęła rękę i przyklepała jego sztywne brązowe wioski, które natychmiast uniosły się z powrotem, jak trawa po burzy.

- Swawolić, miętolić czy pierdolić... jemu jest wszystko jedno, prawda, słoneczko? To tylko głupie słowa, które mówią dorośli...

- Ja mam jo-jo - oznajmił Archie, pokazując jej jaskrawożółtą zabawkę, którą Sam kupił mu na lotnisku w Palmie. - Chcę do dziadzi i bisi - dodał.

Takimi imionami określał rodziców Sama.

- Nie dzisiaj. Dzisiaj jedziemy do babci Rachel - powiedziała Claire.

- Dziadzi i bisi - powtórzył Archie. Ton głosu Claire stał się twardy.

- Powiedziałam, nie dzisiaj.

- Dziadzi i...

- Wystarczy, Archie - warknęła. - Bądź już cicho. Archie zaczął płakać.

- Mamusia chciała powiedzieć, że pojedziemy do nich innym razem - łagodził Sam. - Niedługo. Tata niedługo cię tam weźmie, dobrze?

- Oni go psują - stwierdziła Claire. - Dlatego zawsze tak się do nich wyrywa.

- Skąd wiesz? - spytał. To była zawołowana aluzja do faktu, że Claire odwiedziła jego rodziców tylko raz po narodzinach Archiego. Choć zabierał tam syna co kilka miesięcy, ona zawsze znajdowała wtedy jakąś wymówkę, żeby nie jechać.

Jęknęła.

- Proszę, nie zaczynamy tego teraz - poprosiła.

Sam wyprzedził minimorrisa i ruszył szybciej wiejską drogą. Wiał wiatr.

- Kocham cie, mamo - oznajmił Archie. Claire uścisnęła jego kolanko.

- A ja kocham ciebie, kwiatuszku.

Sam spojrział we wsteczne lusterko i zobaczył, że Archie uśmiecha się do niego. Poczul, jak topnieje mu serce.

- Twoi rodzice mają przynajmniej dość przyzwoitości, żeby mieszkać w mieście - stwierdziła Claire. - Nigdy w życiu nie zrozumieję, czemu babcia i staruszek kupili tę straszną kupę gruzu na końcu świata.

Żeby mogli cię posyłać do tej drogiej szkoły dla dziewcząt w sąsiedztwie, brzmiała odpowiedź, którą Sam znał, ale której nie zamierzał udzielić. Ponieważ wyrzucono cię ze szkoły dla cudzoziemców na Majorce za sprzedawanie trawki koleżankom. Ponieważ twoi dziadkowie bali się, że zrobisz się taka, jak twoja matka. Która porzuciła cię zaraz po urodzeniu i która przedawkowała na jakiejś mecie w Paryżu zaledwie rok później. Zmiana miejsca i ekskluzywna szkoła nic Claire nie pomogły, stwierdził Sam w myślach. Wyrzucono ją również i stąd, kiedy została przyłapana w ciemni fotograficznej w niedwuznaczej sytuacji z nauczycielem muzyki. Wróciła wtedy na Majorkę, a Rachel i Tony, zamiast ją ukarać, kupili jej apartament w starej części Palmy, głównego miasta na wyspie. Okna apartamentu wychodziły na przypory i dach zbudowanej z piaskowca katedry La Seu. I tam właśnie Sam ją poznał.

Skręcili z wiejskiej drogi w długi, prosty, pokryty szronem podjazd prowadzący do Dreycott Manor. Pod kołami zaszeleścił żwir. Sam odwrócił się do Claire i zobaczył, że po jej twarzy płyną łzy. Zatrzymał samochód, wziął ją za rękę i delikatnie uściśnął. Krople deszczu bębniły głośno o dach.

- Nigdy nie pomyślałam, że on może umrzeć. Nigdy. Ani razu - powiedziała Claire, wycierając oczy i rozmazując sobie po policzkach tusz do rzęs. - Myślałam, że staruszek jest niezniszczalny.

- Wiem. - Sam pracował dla Tony'ego od prawie dziesięciu lat. A Tony, który traktował Claire jak córkę, odnosił się do niego zawsze jak do jednego z własnych synów. Być może nawet lepiej niż do syna, przynajmniej tak twierdziła Claire.

Nadal trzymał ją za rękę. Patrzyli przed siebie na aleję wysadzaną pozbawionymi o tej porze roku liści kasztanowcami, zakończoną szeroką i symetryczną georgiańską lasadą Dreycott Manor. Przed domem zaparkowany był jedynie

zniszczony, niebieski ford należący do Brendy, co oznaczało, że reszta rodziny - Rachel, Nick, Christopher i Lucy

- wsiadła już zapewne do swoich mercedesów i aston martinów i wyruszyła do kościoła, żeby powitać żałobników.

- Czy wyglądam okropnie? - spytała Claire.

- Nie.

Jej długie czarne włosy spięte były elegancko na czubku głowy, ale Sama martwiła jej ziemista cera. I ciemne worki pod oczami. I chudość - skutek zbyt wielu zarwanych nocy i papierosów. Uścisnął mocniej jej rękę.

- Wyglądasz tak samo pięknie jak zawsze - zapewnił ją.

- Równie pięknie jak w dniu, kiedy cię poznałem.

Związek Sama i Claire rozpoczął się z hukiem. Wskoczyli do łóżka już pięć minut po spotkaniu, pewnego ciepłego popołudnia we wrześniu 1994 roku.

Kiedy Sam obserwował, jak Claire rozpiną mu spodnie w chłodnym, wyłożonym terakotą przedpokoju apartamentu w Palmie, nie przypuszczał, że nadal będą razem prawie dziesięć lat później.

Uznał to spotkanie za przygodny seks. Coś takiego zdarzyło mu się kilka razy po skończeniu uniwersytetu, zwykle w następstwie wieczorów spędzonych na całowaniu się z przesiąkniętymi dymem papierosowym i często pijanymi nieznanymi dziewczynami w hałaśliwych londyńskich klubach. Nigdy natomiast nie zdarzyło mu się to na trzeźwo, nigdy tak szybko i nigdy w środku dnia. Ani w ten sposób.

Kiedy odrzuciła z twarzy długie czarne włosy - nie znał jeszcze wtedy nawet jej imienia - jęknął gardłowo i pomyślał, że jest bardzo piękna. I że brązowe oczy i opalona skóra nadają jej niebywale egzotyczny wygląd, szczególnie w porównaniu z cichą, bladą dziewczyną, z którą zerwał w Londynie zaledwie miesiąc wcześniej.

Zauważył na jej kostce małej tatuaż w kształcie uśmiechniętej buźki. Zastanawiał się, czy jego wykonanie bolało i z kim była, kiedy kazała go sobie zrobić. Zastanawiał się również, czyjego nowy płyn po goleniu nie miał przypadkiem właściwości afrodyzjaku. To by wyjaśniało ten, w przeciwnym razie zupełnie niewytłumaczalny, choć szczęśliwy, obrót zdarzeń. Rozważał również jej wiek.

- Kiedy po raz ostatni uprawiałeś seks z wysportowaną seksowną dziewiętnastolatką? - spytała go skromnie zaledwie minutę wcześniej. Nie sypiał z żadną dziewiętnastolatką od czasu, kiedy sam był w tym wieku, czyli od siedmiu lat. Zawsze uważał, że takie dziewczyny nie mają wiele do powiedzenia na interesujące go tematy. I vice versa. Prawie wszyscy jego znajomi byli od niego dużo starsi. Zawsze starał się zaprzyjaźnić z ludźmi, którzy już osiągnęli sukces.

Tyle że teraz, kiedy ta zupełnie obca dziewczyna stwierdziła, że bardzo pragnie się z nim przespać, a następnie poprowadziła go korytarzem do swej sypialni, pchnęła na zmięte białe prześcieradła, włączyła zawieszony pod sufitem wentylator, a potem powiedziała mu, że wygląda wspaniale i chce, żeby ją wziął tu i teraz, odkrył, że to nieprawda. Bo w rzeczywistości bardzo interesowało go to, co miała do powiedzenia ta właśnie, konkretna dziewiętnastolatka.

- Claire - odparła, kiedy dwie godziny później leżeli w kąpieli, stykając się stopami.

- Sam - przedstawił się (choć o to nie prosiła). Przyszedł do niej zapytać o numer telefonu do gazowni, ponieważ nie podłączono kuchenki w znajdującym się piętro niżej apartamencie, do którego się właśnie wprowadził. Nadal próbował pojąć, jak to się stało, że spokojne popołudnie zmieniło się niemal w historyjkę z filmu porno. Popatrzył na Claire poprzez unoszącą się z kąpieli parę i głęboko wciągnął w płuca pachnące aloesem powietrze. - Czy ty zwykle hmmm... - zaczął.

Dokończyła za niego:

- ... sypiasz z facetem, jeszcze zanim ci powie, jak się nazywa? Nie. Ale zawsze miałam na to ochotę.

Z kranu kapąły krople, tworząc wielobarwne zmarszczki na oleistej powierzchni wody. Może kłamała, pomyślał. Może zawsze robiła takie rzeczy. Może to nimfomanka i w ten sposób zdobywa facetów. Albo przeciwnie, mówi prawdę. Może rzeczywiście ma dziewiętnaście lat i jest ciekawa, czy pikantne, pokazywane w telewizji romanse można przeżyć w rzeczywistości. Wiedział na razie trzy rzeczy: że ma ujmujący uśmiech, że nadal uśmiecha się do niego i że on też jest ciekaw.

- Chciałbym cię jeszcze kiedyś zobaczyć - powiedział.

- Mnie całą? - zażartowała.

- Miałem na myśli kolację. Że może gdzieś razem pójdziemy. Jestem tu nowy, mogłabyś pokazać mi wyspę. Pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać i poznać się trochę. No wiesz, zrobić to, co ludzie zwykle robią, zanim wylądują razem w kąpielni... - Natychmiast zaczął się zastanawiać, czy nie okazał zbyt wiele zapału, czy jej to nie odstraszy.

Popatrzyła badawczo na jego twarz, mniej więcej tak, jak jubiler ogląda szlachetny kamień, chcąc się przekonać, czy jest prawdziwy. Przesunęła palcami nóg po jego stopach.

- Być może - odparła w końcu, wstając i wychodząc z wanny.

Po jej złotej skórze woda spływała strużkami na podłogę z terakoty.

- Być może tak czy być może nie? - spróbował uściślić.

- Być może szybciej, niż myślisz...

Miała rację. Wyszedł od niej pół godziny później, a po dalszych trzech godzinach znów znalazł się u jej boku w ekskluzywnej restauracji na nadbrzeżu. Trącając się z nią kieliszkiem chianti, dyskretnie szeptał jej do ucha: - Od

początku wiedziałaś, prawda, ty wariatko? - na co ona tylko roześmiała się w odpowiedzi.

Ponieważ rzeczywiście od początku wiedziała, kim był. Ponieważ odgadła to w chwili, kiedy jej powiedział, że wprowadził się do apartamentu piętro niżej. Ponieważ wiedziała, że jej dziadek przeznaczył ten apartament dla swojego nowego pracownika. Uwiedzenie Sama było dla niej tylko częścią ryzykownej gry, gry, którą przy kolacji nadal z nim prowadziła, kiedy wsunęła rękę pod obrus i zaczęła nią przesuwając po jego udzie.

Po drugiej stronie stołu siedział Tony Glover, prezes Ararat Holdings, nowy szef Sama i dziadek Claire czy raczej staruszek, jak go nazywała. Pomiedzy Tonym a Morganem Cole, dyrektorem finansowym Araratu, zajęła miejsce jego żona i partnerka w interesach, Rachel.

Kiedy Sam skończył szeptać Claire do ucha, zauważył, że Tony uśmiecha się do niego. Rozpoznał ten uśmiech. Aprobata. Tony uśmiechnął się tak samo, kiedy sześć tygodni temu, po aż pięciu spotkaniach kwalifikacyjnych, Sam przyjmował stanowisko do spraw dyrektora marketingu. W tym uśmiechu kryta się również pewność siebie. To dzięki niej Tony wiedział z góry, że Sam nie zamierza odrzucić propozycji pracy w jego firmie.

Pod koniec kolacji poprosił go, żeby odprowadził Claire do domu, a Sam zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie oferowano mu czegoś więcej niż tylko stanowiska pracy.

- Sam, Claire to mój maty skarb, więc zaopiekuj się nią dobrze - poprosił Tony.

Wróciwszy do apartamentu Claire, napili się szampana i gdzieś do czwartej śmiali z numeru, jaki wykręciła, a potem, do piątej, uprawiali seks. O szóstej nad ranem zakocha! się w jej głosie, w śródziemnomorskim upale, w kształcie jej piersi, dotknięciu jej języka, zapachu jej prześcieradeł i w olejnym obrazie klasztoru świętego Bartłomieja wiszą-



cym na ścianie jej sypialni. Zakochał się nieprzytomnie w jej życiu i miał nadzieję, że pewnego dnia stanie się ono również jego życiem.

Kiedy obudził się w południe i zobaczył promienie słońca przefiltrowane przez muślinowe firanki w oknie, zaczął fantazjować o tym, że zbuduje sobie przyszłość na tej pięknej wyspie niedaleko wybrzeża Hiszpanii.

Jeśli powiedzie mu się w pracy i z tą szaloną, intrygującą, pijaną, piękną i uprawiającą gierki dziewczyną, wtedy kto wie, jak bardzo inne i zaskakujące stanie się za kilka lat jego życie?

Czy nie dlatego porzucił pracę w City i zdecydował się tu przenieść? Bo chciał, by jego los był inny niż życie kolegów-maklerów, którzy podążali wiecznie tą samą nieciekawą, choć dochodową ścieżką kariery? I czy nie dlatego zerwał ostatnio ze swoją dziewczyną, z którą chodził już ponad trzy lata? Bo ona marzyła o wygodnym i bezpiecznym życiu na przedmieściach, a jemu na samą myśl o czymś takim chciało się wyc?

Pochylił się i delikatnie pocałował w usta śpiącą Claire. Ta dziewczyna w ciągu niecałej doby potrafiła przewrócić jego świat do góry nogami i dać mu dokładnie taki start w nowe życie, jakiego pragnął. Miał wielką nadzieję, że przy niej codziennie będzie się czuł tak, jakby zaczynał wszystko od początku w zupełnie nowym świecie.

Prawie dziesięć lat później nadal jej pożądał. Była to jedna z niewielu spraw w ich związku, która nie uległa zmianie. Siedział na obcym łóżku w obcej sypialni w Dreycott Manor, ubrany w sztywną białą koszulę i wiązał czarny jedwabny krawat, obserwując, jak Claire kończy się ubierać na pogrzeb Tony'ego. Przyglądał dłońmi włosy.

Usiadła obok i wciągnęła wysokie, skórzane buty, po czym wstała i odwróciła się do niego plecami.

- Kochanie, bądź aniołem - poprosiła.

Kiedy zapinał suwak jej prostej, czarnej sukienki, czuł, jak drży.

Rozpłakała się, kiedy Brenda zaprowadziła ich do tej rzadko używanej i raczej nędznej sypialni w starym skrzydle dla służby, na tyłach domu.

Panowała tu atmosfera beznadziei i zaniedbania. Sypialnia przypominała Samowi pokój, w którym się wychował w nowoczesnej posiadłości rodziców. Czuł się tu tak, jakby został uwięziony we wnętrzu westchnienia.

Znał doskonale upodobanie swojej żony do dramatyzowania i emocjonalnej nieuczciwości, ale rzadko kiedy widział ją równie szczerze załamana. Nigdy też nie zdarzyło się, żeby tak bardzo straciła pewność siebie. Zupełnie jakby odejście Tony'ego zachwiało jej światem w posadach, a ona nie potrafiła znaleźć oparcia dla stóp.

Pocałował ją lekko w kark. Przez chwilę przytrzymała tam jego głowę, żeby dodać sobie otuchy, a potem puściła go i podeszła do wiszącego na ścianie wielkiego, pokrytego nalotem lustra.

- Lepiej, żeby to był ktoś naprawdę wyjątkowy - powiedziała, zaczynając się malować. Rzuciła mu wymowne spojrzenie. - Ciągłe nie mogę się z tym pogodzić. Cholerne kukułcze jajo.

„Nowa kuzynka”. Tak Brenda określiła intruza, którego rzeczy zostały umieszczone w największym i robiącym najlepsze wrażenie pokoju gościnnym od frontu. Tym, który należał do Claire, kiedy chodziła do szkoły w sąsiedztwie, i tym, w którym zawsze mieszkała z Samem, kiedy przyjeżdżali z wizytą.

- Nie chcę żadnej nowej kuzynki!

- No wiesz, jeśli ująć tę kwestię czysto technicznie, to to nie jest twoja kuzynka - wyjaśnił Sam. - To córka twojego wujecznego dziadka, czyli twoja...

- Nic mnie to nie obchodzi, nawet jeśli to jest jakaś moja kurewska matka chrzestna - warknęła Claire. - Nie powinno

jej tu być. A szczególnie nie w moim pokoju. Wśród moich rzeczy - westchnęła. - Staruszek byłby tym zbulwersowany. Nie pozwalał nawet wspomnieć imienia Billa. I na pewno nie życzyłby tu sobie jego córki. Sam znał historię zerwania Tony'ego i Rachel z jej bratem, Billem, tak jak wszyscy, czyli niezbyt dokładnie, ponieważ oboje zawsze byli niezwykle powściągliwi, jeśli chodzi o szczegóły. Wszystko obracało się wokół jakiejś kłótni sprzed pięćdziesięciu lat, dotyczącej śmierci matki Rachel. Choć, jak zrozumiał Sam, ta śmierć była wynikiem wypadku, dlatego nie miał pojęcia, z czego wynikało całe zamieszanie. Rozumiał jednak, że Rachel najwyraźniej czyni pierwsze kroki w kierunku rodzinnego pojednania, i stąd ich zesłanie na tyły domu.

- Ale najwyraźniej Rachel jej sobie życzy - zwrócił uwagę Claire. - Inaczej by jej nie zaprosiła.

- Widać jest tak zrozpaczona, że nie wie, co robi.

- Jakoś w to wątpię. - Rachel była chyba najbardziej trzeźwą osobą, jaką Samowi zdarzyło się spotkać. Poleciał do niej do Biarritz w dniu śmierci Tony'ego, zabierając ze sobą prawnika. Chciał ją pocieszyć i pomóc jej załatwić liczne sprawy urzędowe, lecz niepotrzebnie się o nią martwił. Rachel, uzbrojona jedynie w telefon, poradziła sobie doskonale ze wszystkim, łącznie z transportem ciała Tony'ego do Anglii, nim Sam w ogóle do niej dotarł. Jej odporność i niespożyte siły wzbudziły w nim prawdziwy szacunek.

- Brenda powiedziała, że jak ona ma na imię? - spytała Claire. - Laura? Louise?

Sam też nie wiedział. Był zajęty wnoszeniem po schodach rozbrykanego Archiego i dotarły do niego tylko strzępy rozmowy Brendy i Claire.

- W każdym razie jakoś na L - stwierdziła jego żona.

- Może jest miła - wyraził przypuszczenie. - Brenda mówiła, że jest od ciebie tylko o kilka lat starsza, więc - kto wie? Może się jeszcze zaprzyjaźnicie?

- Jasne, a świnie potrafią latać. - Claire zapaliła papierosa. - Pewnie jej chodzi o pieniądze. Nawet na pewno. Dowiedziała się, ile staruszek był wart, i wykombinowała sobie, że stać nas na prezenty.

- Tego nie wiesz. - Włożył marynarkę.

- Istotnie. Ale nie mogę znaleźć innego powodu, żeby dawno zaginiona krewna miała się zakradać na pogrzeb. A ty?

- Nawet jeśli to rzeczywiście jest przyczyna jej przyjazdu, i tak przecież nic nie dostanie - zrobił unik Sam.

- Skąd wiesz?

- Bo wcześniej jest Rachel. I ja.

Nie zamierzał powiedzieć tego głośno. Ale powiedział. Claire zaś była obdarzona dobrą intuicją. Jej oczy rozbłysły zainteresowaniem.

- Rozmawiała z tobą, tak? - spytała, odwracając się, żeby na niego spojrzeć, a wszystkie rozważania o „nowej kuzynce” natychmiast wywietrzały jej z głowy.

Zgasiła papierosa na ozdobnym, pamiątkowym talerzu, którego używała jako popielniczki, i podbiegła do niego. Złapała go za klapy marynarki i przyciągnęła do siebie, zaglądając mu głęboko w oczy.

- Poprosiła cię, żebyś prowadził z nią Ararat zamiast wujka Chrisa albo Nicka, prawda?

Dobrze zgadła. Rachel wezwała Sama dziś rano i zaproponowała mu pięć procent udziałów w firmie oraz stanowisko dyrektora zarządzającego. Od tej chwili, pod zwierzchnictwem zarządu - w którym zasiadać mogli inni członkowie rodziny - i Rachel jako prezesa, przyszłość Araratu leżała w rękach Sama.

Po części oczekiwał czegoś takiego. Wiedział, że ze wszystkich członków rodziny ma najlepszą pozycję do przejęcia kierownictwa firmy.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że Rachel byłaby w stanie sama ją poprowadzić, ale wyglądało na to, że już nie chce. Przez ostatnie dwa lata coraz

bardziej wycofywała się z interesów, podobnie jak Tony. Chciała, żeby oboje nacieszyli się swoim majątkiem, nim staną się na to za starzy. W rezultacie Sam zaczął czerpać z pracy dodatkową satysfakcję, ponieważ dano mu wolną rękę w budowaniu strategii Araratu. Skupił się na scentralizowaniu administracji firmy w Palmie, równocześnie umacniając obecność firmy w rejonie Morza Śródziemnego. Zawsze kochał urozmaicenie w pracy, dlatego natychmiast zaczął poszerzać swą wiedzę, interesował się też osobiście nawet najdrobniejszymi szczegółami każdego aspektu działalności firmy, od rachunków hoteli i willi, po imiona i nazwiska wszystkich czterystu pracowników. Jego bezpośrednie podejście przyniosło widoczne efekty. Zwiększył zyski firmy o prawie trzydzieści procent. Tony i Rachel byli tym uszczęśliwieni, ale nie zaskoczeni. Sama zaś cieszyła każda chwila tej pracy.

Dlatego właśnie tego ranka nie wahał się przyjąć oferty Rachel. Słuchając o korzystnych warunkach, jakie mu proponowała, w duchu przysięgł sobie, że nie zawiedzie okazanego mu zaufania. Rachel postanowiła, że resztę rodziny poinformuje o wszystkim dopiero po pogrzebie, i poprosiła, aby jej przy tym towarzyszył. A także nie mówił nic wcześniej nikomu, tylko przygotował sobie krótkie wystąpienie.

- Wiedziałam! - zapiszczała Claire. Objęła Sama w pasie i oparła czoło o jego pierś. - Tak ciężko pracowałeś! Jestem z ciebie taka dumna. I z nas - spojrzęła na niego oczami pełnymi łez. - Staruszek mi mówił, że zamierza przekazać ci firmę, odchodząc na emeryturę. Tak żałuję, że nie dożył chwili, żeby ci samemu o tym powiedzieć.

Sam przytulił ją mocno, obejmując ramionami jej drżące ciało, dokładnie tak samo, jak trzy lata temu, kiedy wrócił z Francji, żeby jej powiedzieć, że zakochał się w kimś innym i że zamierza od niej odejść.

X. Jego X. Tak o niej teraz myślał. Ta inna kobieta. Kobieta, w której się zakochał - w której myślał, że się zakochał - w niecałe trzy tygodnie na południu Francji w lecie 2000 roku. X, zupełnie jakby chciał ją wykreślić ze swych myśli. X, jakby nie istniała, ale w jego świecie przecież nie istniała. X. Spalił jedyne jej zdjęcie.

Choć żył z Claire już od kilku lat, nie byli małżeństwem. Oczywiście nie stanowiło to jakiegokolwiek usprawiedliwienia dla tego, co zrobił.

Wiedział, że niewierność nie ma nic wspólnego z małżeństwem, natomiast wiele z miłością. Więc albo nie kochał Claire na tyle mocno, żeby pozostać jej wierny, albo kochał lub pożądał X bardziej niż Claire. Zaraz po zakończeniu tego romansu próbował myśleć o X jak o syrenie, która zjawiała się w jego życiu i której pieśni nie był w stanie się oprzeć. Szybko jednak stwierdził, że to marna wymówka. To była wyłącznie jego wina. Zupełnie jak nastolatek, wyobraził sobie, że miłość jest najważniejsza. Na chwilę poczuł się wolny i poniosły go emocje. Ale tylko na chwilę. Ponieważ natychmiast dorósł, a rzeczywistość postawiła mu określone wymagania.

Przed tym romansiem Sam mieszkał z Claire w małej *finca* w górskim miasteczku Deia na północnym wschodzie Majorki. Ich nowy apartament w Portals Nous - nieskończenie bardziej modnym niż Palma, przynajmniej w opinii Claire - przechodził właśnie długi proces adaptacji do jej gustu.

Od ich spotkania minęło sześć lat. Popołudnia spędzane razem w pachnącej aloesem kąpieli dawno już ustąpiły miejsca jego obowiązkom służbowym i jej zobowiązaniom towarzyskim.

W tygodniu on pracował, a ona nie. Wieczorami, po kolacji, którą jedli zwykle z jej rodziną i przyjaciółmi (z którymi często rozmawiali więcej niż ze sobą), Sam jechał do domu, a Claire zostawała na mieście. A w te rzadkie weekendy, kiedy miał wolne, samotnie wędrował przez górskie gaje

oliwne, a Claire jechała nad morze i spędzała czas na plaży albo w hotelowych barach.

Wiedział oczywiście, że coś jest nie tak. Problem polegał na tym, że nie wiedział co. W każdym razie nie było aż tak źle, żeby trzeba było coś z tym pilnie robić. Mieli z Claire różne zainteresowania i nie miał pojęcia, co mogłoby ich do siebie na powrót zbliżyć. Życie z nią nie dawało mu szczęścia, ale nie był też nieszczęśliwy. Zwykle dobrze się dogadywali, jak przyjaciele. Czasami dobrze się razem bawili. Od czasu do czasu ją wielbił. A poza tym zawsze był przecież seks, nieodmiennie dobry seks. Jeśli połączyć to z pracą, którą kochał, oraz z szefem, który z całego serca popierał ten związek, powstawało całkiem atrakcyjne status quo. Potem, w 2000 roku, poznał X. Na dnie basenu w południowej Francji. To było zupełnie tak, jakby nagle odkrył, że potrafi oddychać pod wodą, jakby w jego życiu wydarzył się cud.

Nadzorował wtedy ostatnie fazy budowy jednego z hoteli Araratu w pobliżu Cannes i wykorzystał okazję, żeby odwiedzić trzy pobliskie wille, również stanowiące własność firmy. Nie widział Claire od ponad dwóch tygodni, a nie rozmawiał z nią od czterech dni.

X zatrzymała się w jednej z willi razem z grupą przyjaciół. W nocy z basenu przy willi uciekła cała woda. Kiedy zawstydzony przedstawiciel Araratu, który woził Sama po okolicy, próbował rozwiązać ten nieprzewidziany problem przez telefon, Sam zszedł do wyschniętego basenu, żeby osobiście sprawdzić, co się stało.

A ona już tam była, ubrana w sarong zawiązany wokół opalonych bioder. Stała okrakiem nad szczeliną w dnie basenu i zaglądała w nią ciekawie. Kiedy spojrzała na Sama, oboje się uśmiechnęli. (Po tygodniu Sam przekonał i ją, i siebie, że to dlatego, że byli sobie przeznaczeni, a miesiąc później starał się sobie wmówić, że było to tylko zauroczenie, spowodowane głównie upałem).

- Jak sądzisz, co się stało? - spytała. - Trzęsienie ziemi?

- Jeśli tak, to trwa chyba nadal - chciał odpowiedzieć, ponieważ patrząc w jej oczy, czuł, jakby ziemia się pod nim kołysała.

Pragnął tego trzęsienia ziemi. Uświadomił to sobie po zaledwie godzinie rozmowy z tą kobietą. Chciał, żeby jego cenne status quo zadrżało w posiadach. Chciał dalej czuć się tak ożywiony, chciał sobie przypomnieć, jak to jest z kimś flirtować. Nagle zapragnął wyrwać swoje życie uczuciowe z zastoju, ruszyć naprzód i zobaczyć, co się kryje za zakretem.

Wrócił tam następnego dnia, rzekomo w sprawie basenu. I jeszcze następnego, tym razem już bez wymówki. Kiedy go tam nie było, tęsknił za jej uśmiechem, za jej głosem, za tym, co mu opowiadała o swoim życiu. Zaprosił ją na drinka, potem na kolację, a potem, kiedy jej przyjaciele zaczęli się pakować, poprosił, żeby została jeszcze tydzień. Chwilę, w której wyraziła zgodę, uznał za najszcześniejszą w swoim życiu.

Nim się ze sobą przespali, powiedział jej o Claire. I o Ararat Holdings.

Wyjaśnił, że nie potrafi już określić, gdzie kończy się jego życie służbowe, a zaczyna rodzinne. Że zagubił się gdzieś pośrodku, rozciągnięty pomiędzy jednym a drugim. I że zrozumiał, że pozwolił, aby jego namiętność napędzała jego ambicję. Żył jakby połową życia, kłamstwem. Zupełnie jakby się powoli dusił. A X była dla niego jak tlen, tak jej powiedział. Była niezwykła, przy niej i on też potrafiłby być niezwykły. Powiedział, że dzięki niej przypomni sobie siebie.

Jeśli będzie chciała, porzuci dla niej to wszystko. Obiecał jej to. Wróci i powie Claire, że zakochał się w kim innym i że odchodzi. Powie to również Tony'emu i Rachel, a potem złoży rezygnację. Chciał być z X dla niej samej, a nie z powodu tego, kogo znała czy gdzie mieszkała. Wróci do Anglii,



do niej. I jeśli będzie chciała, zaczną razem od nowa. Musi tylko powiedzieć tak...

Kościół wypełniali już żałobnicy, kiedy Sam przyjechał tam z Claire. Nie patrząc na opalone i twarde twarze, należące do zamożnych kobiet i mężczyzn w średnim wieku, którzy siedzieli cicho i poważnie w kościelnych ławkach, czekając na początek uroczystości, poprowadził Claire przejściem i posadził ją koło Rachel na długiej dębowej ławce przy samym ołtarzu, zarezerwowanej dla najbliższej rodziny.

Claire ucałowała babcię, szepcząc jej coś do ucha, a Sam pochylił się i dotknął jej ręki. Nieruchome krople deszczu lśniły jak cekiny na jej kapeluszu.

Usiadł i popatrzył na prostą, drewnianą trumnę Tony'ego. Otaczały ją misterne kompozycje z kwiatów, a obok stał żeliwny pulpit, przy którym niedługo odczyta pożegnanie.

W tym samym rzędzie, po drugiej stronie przejścia, siedzieli dwaj identyczni bliźniacy, w wieku około pięćdziesięciu lat. Obaj patrzyli prosto przed siebie. Sam domyślił się, że to przyrodni bracia Tony'ego, którzy mieszkali w Kanadzie i których nie znał osobiście, ponieważ przed laty Tony stracił z nimi kontakt.

Jego szef nigdy nie opowiadał o swojej młodości. Zupełnie tak, jakby kryła w sobie coś, co chciał pogrzebać, o czym chciał zapomnieć.

Organy wezbrały tonami Bacha i Sam znowu spojrzął na trumnę. Na zewnątrz zagrzmiało.

Był to pierwszy pogrzeb, który coś dla niego znaczył. Pogrzeby dalekich, ledwie znanych krewnych, raczej go nie poruszyły. Miał szczęście: oboje jego rodzice nadal żyli i mieli się dobrze, grali w golfa, oglądali w telewizji telenowele i jadali gotowe obiady odgrzewane w mikrofalówce. Podobnie jego brat Tom, który sześć lat temu wyjechał do Australii,

żeby być ze swoją dziewczyną. Nawet wszyscy dziadkowie również mieli się bardzo dobrze.

Dotarł do niego przesłodzony zapach lilii. Wzdrygnął się. Z trudem mógł znieść myśl, że Tony, jego prawdziwy przyjaciel, który mu ufał i który tyle go nauczył, po prostu odszedł. Po raz pierwszy, odkąd dowiedział się o jego śmierci, poczuł, że ma ochotę się rozpłakać.

Pomyślał o Archiem, o tym, jak chętnie poświęciłby własne życie, żeby go chronić. Więc między nimi była jak stal, a wykuła się w chwili, gdy Claire powiedziała mu, że jest w ciąży. I tuż przed tą chwilą, w której miał jej powiedzieć, że zrywa ich związek.

Kiedy Claire zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła brzuch do jego brzucha, jego myśli wypełnił obraz dziecka, które w sobie nosiła. Jak mógł rozpocząć własne nowe życie z X, skoro nowe życie, stworzone przez niego i od niego uzależnione, zaczęło już rosnąć w Claire?

Z każdą mijającą sekundą czuł, jak opuszczają go siły, aż w końcu nie wystarczyło mu ich, żeby cokolwiek powiedzieć.

Chyba dobrze zrobił. No bo czy nie miał racji, zrywając wszelki kontakt z X? Odrzucając to inne życie, które mogliby ze sobą dzielić, po to, żeby zostać ojcem? Wszystko poza tym było jedynie nieziszczalnym marzeniem, fantazją odległą od nurtu prawdziwego życia.

Powtarzał to sobie, kiedy przeprowadzali się z Claire do nowego domu w Portals Nous. Powtarzał to sobie zawsze od tamtej pory. Dzień po dniu. Tydzień po tygodniu. Miesiąc po miesiącu. Aż w końcu uwierzył, że to prawda.

Spojrzał na Claire. To była jego rzeczywistość, ta kobieta, która urodziła mu dziecko, kobieta, dla której spróbuje być lepszym mężem i której ślubował wierność.

Wiedział, że ich związek nie jest doskonały. Podejrzewał, że go zdradzała, jakiś rok temu, ale nie miał dowodów. Wi-

dział ją raz w barze La Bóveda w Palmie z innym, młodszym i przystojniejszym mężczyzną. A kiedy wieczorem wrócił do domu, skłamała, że cały dzień spędziła na jachcie ze swoją najlepszą przyjaciółką, Sadie. Innym razem, kiedy wrócił wcześniej z pracy, zobaczył, że ten sam mężczyzna wychodzi z ich bloku i zatrzymuje taksówkę. Nigdy jednak nie oskarżył o nic Claire. Po tym, co sam zrobił, uważał, że nie ma prawa.

Organy zamilkły ze świstem, a pastor zajął miejsce przy pulpicie. O witraże bębnił deszcz. Zaczęła się msza.

Kiedy przyszła kolej Sama, podszedł do pulpitu i stanął twarzą do żałobników. Wyjął kartkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i rozłożył. Zapisał na niej starannym pismem wiersz Christiny Rossetti, który Tony znał na pamięć.

Przeczytał go teraz po cichu, dla przypomnienia.

*Me serce jest jak pieśń skowronka, Którego gniazdo łąka kryje. Me serce jest na kształt jabłoni, Która owocem swoim żyje. Me serce jest jak młoda tęcza, Która się nurza w morskiej toni. Lecz szczęście w sercu mym pełniejsze, Gdy czuję dotyk twoich dłoni\*.*

Schowwał kartkę, odchrząknął i spojrzał na ławkę, z której przed chwilą wstał. Zamierzał patrzeć wprost na Rachel Glover, gdy będzie recytował ten wiersz, patrzeć na nią tak, jakby była jedyną kobietą w całym wszechświecie. Żeby te słowa stały się naprawdę jej.

Ale okazało się, że patrzy na X. Jego X. Na tę drugą kobietę, w której się zakochał - w której myślał, że się

Przekład Monika Wyrwas-Wiśniewska.

zakochał - w niecałe trzy tygodnie na południu Francji latem 2000 roku. Tylko że teraz - kiedy zobaczył ją siedzącą pomiędzy Christopherem i Nickiem, niemal tak blisko, że mógł jej dotknąć - nie myślał już o niej wcale jako o X. Ale jako o Laurie, Laurie Vale, kobiecie, której niegdyś obiecał swe życie i którą następnie zdradził.

## Rozdział VI

Stepmouth, marzec 1953

*Au!* - krzyknęła Rachel, czując ukłucie pod kolaniem.

- Stój spokojnie - wymamrotała Laurel Vale, wyjmując z ust ostatnią szpilkę.

Rachel stała na krześle w saloniku na tyłach sklepu. Na zewnątrz było już ciemno. Żółte, szklane abażury zawieszonego na łańcuchu żyrandola zalewały niewielki pokój ciepłym światłem. W kominku posykiwał dogasający węgiel, a ze stojącego na kredensie radia dobiegała zapowiedź wieczornego koncertu.

Rachel mogła stąd dostrzec falującą w przeciągu pajęczynę rozpiętą na dwóch starych maskach przeciwgazowych, spoczywających na kredensie. Warstwy kurzu zebrały się na górnych częściach ram portretu zmarłego króla i owalnego lustra. Pomyślała, że powinna bardziej się przyłożyć do porządków, nim Bill również zauważy ten kurz. Ale skoro dostrzegła go dopiero, stojąc na krześle, pewnie wytrzyma do wiosennych porządków, zarządzanych przez matkę co roku na początku kwietnia. Spojrzała w dół. Laurel Vale siedziała na wózku inwalidzkim. Na czarną sukienkę narzuciła szarą podomkę, a włosy miała upięte i schowane pod jedwabną, różowo-fioletową chustką. Pochylona, spoglądając badawczo zza okularów w szylkretowej oprawie, starannie podpinała zakład nowej sukienki Rachel. Obok niej, na przystawce do stołu, stała

nowa elektryczna maszyna do szycia oraz puszki po herbacie w których przechowywała szpulki nici, jaskrawe kolorowe wstążki, guziki i kawałki koronki. Ścinki czerwonego mate-nału z nowej sukienki leżały rozrzucone na brązowym linoleum jak płatki kwiatów.

Rachel uniosła do nosa nadgarstek, ale zapach różanej wody kolońskiej, którą poperfumowała ją Anne, już wywietrzał Poczowała tylko zapach puddingu i gotowanej kapusty, którą bez apetytu zjadły z matką na kolację. Przeniosła wzrok na papierową formę rękawa leżącą na stole, a potem na rzucone obok zdjęcie modelki, która podkreślała swą przesadnie cienką talię, ujawszy się pod boki. Wyglądała tak, jakby świat nic jej nie obchodził, a Rachel spróbowała naśladować jej pozę, ćwicząc promienny uśmiech w górnej połówce ściennego lustra.

Poczowała na nogach ciepłe, stanowcze ręce matki i posłusznie obróciła się na krzesło, stając teraz twarzą do przeciwległej ściany. W radiu zaczęła się któraś symfonia Beethovena. Na półce nad drzwiami do przedpokoju stał rząd mosiężnych małych, które niegdyś należały do jej dziadka Obok drzwi znajdował się ogromny kredens pełen chińskiej porcelany i powieści Dickensa, które czytywała matka Pomimo zachęty, Rachel nie sięgnęła do żadnej z nich. I wołała me myśleć, co by powiedziała pani Vale, gdyby się dowiedziała, że pod poduszką ukrywa *Forever Amber*, pikantną powieść, która ostatnimi czasy krążyła po szkole. Matka wyprostowała się na wózku.

- Już.

Nareszcie wolna, Rachel zeskoczyła z krzesła i zakręciła biodrami tak, że spódnica zakołysała się z szelestem wokół jej kolan.

- Co sądzisz? - spytała, wkładając ręce w umieszczone z przodu kieszenie i tańcząc wokół małego szmacianego chodnika.

Matka zsunęła z szyi centymetr krawiecki i roześmiała się. Zdjęła okulary i położyła je na stole. Choć bez nich wyglądała dużo młodziej, czarne kręcone włosy wyglądające spod chustki poprzetykane były na skroniach siwizną, a wokół miękkich, brązowych oczu rysowały się głębokie zmarszczki. Tylko jej szyja świadczyła o tym, że nadal jest kobietą w kwiecie wieku - długa, gładka i dumna, zawsze ozdobiona była prostym srebrnym krzyżykiem. Często ścisnęła go w dłoni, jak talizman.

Rachel popatrzyła na swą żałośnie płaską klatkę piersiową i cmoknęła z niezadowoleniem.

- Szkoda, że jestem taka płaska.
- Wyglądasz dobrze - stwierdziła matka, wprawnie zwiijając centymetr.
- Wyglądam jak chłopak.

Laurel Vale zamknęła oczy i potrząsnęła głową w znajomym geście irytacji. Głęboka zmarszczka między jej brwiami pogłębiła się jeszcze bardziej, kiedy zmierzyła Rachel wszystkowiedzącym spojrzeniem.

- Musimy się zadowolić tym, co nam dano - powiedziała. - Nie należy życzyć sobie czegoś innego. Masz piękne nogi swojej babci. Czego chcesz jeszcze?

Rachel popatrzyła na swoje nogi, po czym mimowolnie rzuciła spojrzenie na nogi matki, nieruchome pod kraciastym szalem okrywającym jej kolana. Ona też kiedyś - nadal - miała piękne nogi, tyle że nie działały. Zbijało to ją z tropu. Początkowo w głębi ducha podejrzewała nawet, że matka udaje. Że po prostu straciła wolę chodzenia. Żeby uczynić z tego swego rodzaju oświadczenie.

Była to jednak tylko dziecinna fantazja. Laurel Vale miała żelazną wolę i dumę lwicy, a kiedy co wieczór Rachel pomagała jej pokonać schody, w jej milczącym cierpieniu nie było nic udawanego. Wiedziała, że matka nie znosi być zdana na czyjąś pomoc. Radziła sobie z taką siłą i godnością,

że Rachel czasami w ogóle zapominała o jej kalectwie. W porównaniu z wieloma innymi osobami Laurel Vale była zaskakująco sprawna.

- Pearl dostała nowe pończochy - oznajmiła.

- W tym miesiącu nie stać nas na nowe pończochy.

- A namalujesz mi z tyłu szwy na tych, które mam? - poprosiła Rachel, oglądając się na nią przez ramię i pokazując wymownie swą bladą łydkę.

- Matka Anne tak zrobiła.

- Nie interesuje mnie, co robi matka Anne. Nie będziesz wyglądać, jak...

Rachel popatrzyła na nią wyzywająco, chcąc skłonić do przekleństwa albo do powiedzenia brzydkiego słowa. Ale wiedziała, że to na nic.

- ... jak sama wiesz kto - dokończyła matka. - A teraz wyskakuj z tej sukienki, przesyję ją, jak będziesz się kąpać.

Przez uchylone drzwi Rachel mogła zobaczyć cynową wannę ustawioną koło kuchennego pieca. Wiedziała, że jak wejdzie do kuchni, jej oddech zacznie się zamieniać w obłoczki pary.

- Nie moglibyśmy wnieść wanny tutaj? Tu jest cieplej.

- Nie.

To było jedno z tych specjalnych „nie”. „Nie” pani tego domu. „Nie”, które znaczyło nie i nie wymagało żadnych dodatkowych wyjaśnień.

Zwinnym ruchem pani Vale odwróciła wózek, otworzyła szerzej drzwi i zjechała po niewielkim podjeździe do kuchni. Zimne powietrze owiało nogi Rachel. Matka podniosła z pieca ciężki czajnik i wprawnie wlała wodę do wanny.

- Chodź. No już, z życiem! - zawołała zza tumanu pary, kiedy Rachel zdejmowała sukienkę i układała ją starannie na krześle. - Nim twój brat wróci i też będzie się chciał wykąpać.

Nie było sensu się z nią spierać. W piątek zawsze wypadła kąpiel, a Laurel Vale przestrzegąca w swym domu higie-



ny. Rachel zastanawiała się, czy ona kiedykolwiek byłaby zdolna złamać narzuconą sobie rutynę. Niechętnie weszła do kuchni, trzęsąc się z zimna.

- Umyć ci głowę? - spytała matka.

- Sama umyję - odparła zażenowana. Nie lubiła być traktowana jak małe dziecko.

Pani Vale skinęła głową i pojechała w stronę drzwi.

- No to cię zostawiam.

- Mamo! - zawołała za nią Rachel. - Dzięki za sukienkę. Jest śliczna.

Matka na wpół odwróciła się na wózek. Jej twarz była smutna.

- Szkoda, że twój ojciec nie może zobaczyć, jak wyrosłaś - powiedziała.

Zważywszy, jakim problemem był w tym domu brak ojca, jak na ironię Rachel wcale go nie pamiętała. Choć nigdy nie przyznałaby się do tego ani Billowi, ani matce, im częściej przyglądała się jego fotografii stojącej na przykrytym koronkową serwetką stoliku przy wielkim, mahoniowym łóżku w małżeńskiej sypialni, tym bardziej wydawał się jej odległy. Aż w końcu pogodziła się z tym, że to czarno-białe zdjęcie zastąpiło jej wszystkie wspomnienia o nim.

Nie wątpiła (matka opowiadała jej o tym dostatecznie często), że ojciec ją kochał, ale nie miała na to żadnych namacalnych dowodów - żadnych pamiątek, listów, kosmyka włosów czy ozdoby. Wiedziała, że powinna bardziej za nim tęsknić i że to okropne stracić jedno z rodziców, ale matka cierpiała wystarczająco za nie obie. Dlatego Rachel już dawno zdecydowała, że pozostawi jej całą żalobę, a sama skoncentruje się raczej na życiu. W końcu w tym domu czaiło się tyle wspomnień, że przyszłość wydawała się dużo bardziej interesująca.

Nie zamierzała mówić nikomu - nawet najlepszym przyjaciółkom, Anne i Pearl - o swoich zamiarach, ale zaplanowała już sobie całą przyszłość: najpierw daleka podróż (szczególnie atrakcyjna wydawała się Afryka), niezwykle podniecający romans z kimś nadzwyczajnym i egzotycznym (po którym nastąpi bardzo wystawny ślub), nieograniczone bogactwo (w ostateczności zadowoli się dużym domem w mieście i samochodem z szoferem) i, co najważniejsze, ona sama również odniesie sukces w jakiejś dziedzinie.

Dość się naczytała o Florence Nightingale i Emily Pankhurst, aby zdobyć pewność, że więcej ją łączy z takimi kobietami jak one niż ze spokojnymi, opiekuńczymi paniami domu, z którymi jej matka spotykała się w Kole Gospodyń. Nie, pomyślała, splatając palce i przeciągając przed sobą ramiona, nie dla niej było życie skoncentrowane na przygotowywaniu trzech posiłków dziennie i szorowaniu ganku. Jeśli jej się uda, to inni będą za nią gotować i sprzątać.

Zanurzyła się w wannie, rozpuszczając mydło w dłoniach. Wiedziała, że Bill będzie wściekły, jak zobaczy mętną wodę i rozpaćkane mydło, ale była zbyt zajęta marzeniami, by się tym przejmować. Pewnego dnia zamieszka w domu z prawdziwą łazienką, w której będą wielkie złote krany i masa luster. Nie miała pojęcia, jak to osiągnie, ale była pewna, że jej się uda. Musi jej się udać. Może Bill był stworzony na właściciela sklepu i praworządnego obywatela Stepmouth, ale ona na pewno nie. Wiedziała też, że nic się tu nigdy nie zmieni. Po śmierci ojca, jeszcze nawet przed procesem, przypuszczała, że wyniosą się stąd i zaczną gdzieś życie od nowa. Sądziła, że tutaj ludzie będą ich traktować jak wyrzutków i że za każdym razem gdy wejdą do sklepu, przypomną sobie, co się tu stało. Że Vale'owie na zawsze będą tym napiętnowani.

Matka zużyła całe niewielkie oszczędności, jakie zostawił im ojciec, na odnowienie, odmalowanie i zabezpieczenie

sklepu. Wtedy właśnie zaczęła się jej obsesja na tle zabezpieczeń. Trzy zamki we frontowych drzwiach, trzy w tylnych, dwa na każdym oknie. Zamieniła sklep w twierdzę, bezpieczniejszą niż Bank of England, kiedy zaś uznała, że nikt już nigdy nie zdoła się tu włamać - a klucze dzwoniły na kółku przyczepionym do jej paska jak dzwony na trwogę - postanowiła, że będą żyć jak dawniej. Ignorowała wszelkie przeszkody i wszelkie współczucie, zupełnie jakby jej determinacja i siła woli były w stanie wymazać to, co się tu stało.

I udało jej się. Po pewnym czasie sprawy istotnie zaczęły się toczyć tak, jakby nic nie zaszło. Choć początkowo ludzie odwiedzali sklep jak miejsce zbrodni, wkrótce o tym zapomnieli. Dzięki prostej rutynie, codziennym czynnościom, otwieraniu i zamykaniu sklepu, pojawianiu się i znikaniu tych samych klientów zaczęło ich otulać - warstwa za warstwą - coś na kształt cieniutkiej bibułki, jakiej używa się do zawijania najdelikatniejszej porcelany, aż po jakimś czasie zniknęła pod nią cała tragedia, przytłoczona ciężarem normalności.

Nigdy nie rozmawiali o tym w domu. To, co się wydarzyło, pozostało w nich, ale pod powierzchnią. W ciągu dnia, w sklepie, matka zachowywała się uprzejmie i wesoło, a w nocy, po zmyciu naczyń po kolacji, znikła w swoim pokoju.

Dopiero wtedy z całą mocą objawiała się jej rozpacz. W odgłosach stłumionego płaczu i gorących modlitw, dobiegających zza zamkniętych na klucz drzwi sypialni. W czarnych sukienkach suszących się na sznurze po praniu. W ciężkiej, dusznej ciszy zalegającej w rocznicę śmierci ojca albo dni jego urodzin, czy rocznicę ich ślubu. W religijnych haftowanych gobelinach, oprawionych i zawieszonych wzdłuż schodów, a poświęconych bez wyjątku pamięci ukochanego Edwarda Vale.

Czasami Rachel pragnęła znaleźć sposób na uwolnienie matki od tej rozpacz, a Billa od jego wściekłości. Chciała,

żeby choć raz poczuli się naprawdę szczęśliwi. Ale to było niemożliwe. Kiedy ogarniało ją przygnębienie, dochodziła do wniosku, że brat i matka zasługują na siebie. Matka chciała odczuwać rozpaczą, a Bill chciał pozostać wściekły. Tacy już byli. Cóż. Za to ona jest zupełnie inna. Usłyszała trzaśnięcie drzwi i wołanie Billa.

- O, jesteś - dobiegł ją rozpogodzony głos matki. Skrzywiła się, wyobrażając sobie, jak brat pochyla się nad wózkiem, żeby ją pocałować w policzek. Czasami niedobrze jej się robiło od tego przywiązania matki do Billa. Usłyszała, jak któreś z nich wyłącza radio.

- Umieram z głodu - stwierdził Bill.

- Zostawiłam ci kolację w piekarniku.

Rachel skrzyżowała ramiona na piersiach i zanurzyła się głębiej w kąpieli.

- Wypraszam sobie - warknęła, kiedy brat wtargnął do kuchni.

- Ale...

- Wynoś się!

- No to się pospiesz.

Kiedy brat wyszedł, Rachel wyciągnęła z wody jedną nogę, wyginając stopę jak baletnica, i obejrzała uważnie swój goleń. Potem z uśmiechem sięgnęła po brzytwę Billa, którą zwinęła z ubikacji, i zaczęła golić nogi. Nie zamierzała się spieszyć. Nie był jej ojcem i nie miał prawa nią komenderować. Przynajmniej raz Bill Vale będzie musiał jej ustąpić. Handlarze starzyzną pojawili się w sobotę wcześniej rano. Rachel usłyszała dzwonek zawieszony u ich wozu i odgłos końskich kopyt na głównej ulicy, jeszcze nim Bill zaczął wołać, żeby wstała i pomogła mu wynieść stary materac. Zignorowała jego wezwanie i nakryła głowę poduszką. Natychmiast jednak przypomniała sobie, że ma dziś iść na tańce.

Nie było sensu niepotrzebnie denerwować Billa, bo jeśli przesadzi, brat gotów storpedować jej plany.

Na niebie nie było ani jednej chmurki, a ptaki ze świergotem goniły się nad rzeką. Bill stał przed sklepem, obok przejścia między budynkami, podpierając pochylony materac. Miał podwinięte rękawy koszuli.

- O! Wstałaś? - zdziwił się.

- Przepraszam, że nie zeszałam szybciej, ale szukałam marchewki dla konia - powiedziała, wymachując zwiędłym warzywem, które po drodze wyjęła ze stojącego przy tylnym wejściu wiadra na odpadki, dodawane potem do kompostu.

Bill chciał zrobić jakąś złośliwą uwagę, ale Rachel wskazała ze śmiechem na drugą stronę ulicy. James Peters wypadł właśnie z domu, w biegu naciągając na ramiona szelki, po czym popędził zbierać koński nawóz do wiadra na węgiel. Rzecz jasna na potrzeby swoich róz.

- Dzień dobry, James - zawołał Bill, ale sąsiad był zbyt zajęty, by odpowiedzieć.

- Powinniśmy sprzedawać koński nawóz w sklepie - stwierdziła Rachel, klepiąc wielkiego perszerona i karmiąc go marchewką. - Zbilibyśmy na tym majątek.

Bill roześmiał się, podtrzymując materac.

- Matka się raczej nie zgodzi. Pomóż mi z tym materacem, dobrze?

Wróciwszy do domu, Rachel pomogła matce wstać i rozmasowała jej zdrewniałe w nocy krzyż. Potem sprowadziła ją na dół, do kuchni, gdzie brat przygotował już smażone jajka na bekonie. Przy śniadaniu przeglądała gazetę, a kiedy Bill za dziesięć dziewiąta otworzył okiennice sklepu, wszyscy byli w całkiem dobrym humorze.

Od samego otwarcia w sklepie zapanował duży ruch. Wszyscy chcieli kupić niezbędne zapasy na weekend, nim zaczną przyjeżdżać autokary z turystami. Chwila spokoju nastąpiła dopiero koło dziesiątej.

- Jadę zrealizować dostawy - oznajmił Bill, rozwiązując fartuch, który często nosił w sklepie. - Są tylko dwie w mieście i jedna do Jonesów. Powinienem zaraz wrócić. Jak przyjdzie Ralph z nabiałem, powiedzcie mu, żeby zaczekał.

- Ja pojadę. - Rachel wyskoczyła zza lady i zastąpiła Billowi drogę do drzwi. - Pozwól jechać mnie.

- Nie. Wolę, żebyś została i pomogła mamie. Tylko naprawdę została, a nie poleciała na plażę z Anne i Pearl.

- No ale przecież lepiej, żebym to ja pojechała, skoro czekasz na Ralpha?

- nalegała Rachel. - No daj - zaczęła wyjmować paczki z rąk Billa. - Pozwól mi.

- Nie - uciał Bill, odbierając jej paczki. Rachel zwróciła się do matki.

- To niesprawiedliwe. Zawsze powtarza, że powinnam więcej pomagać, a jak chcę coś zrobić, to mi nie pozwala.

- Pozwól jej jechać, Bill - powiedziała Laurel Vale, przecierając ładę. - Lepiej będzie, jak zostaniesz.

- Świetnie. - Bill wepchnął paczki w ramiona Rachel z taką siłą, że aż się zachwiała. - Ale masz wracać prosto do sklepu. Dziś przyda się tu każda para rąk.

- Oj, nie bądź taki nieufny.

- To daj mi powód, żebym ci zaufała - syknął Bill.

- Przestańcie się kłócić - przerwała im matka. - Bill, wystarczy.

Rachel było głupio, że tak ją intryguje Emily Jones. No, ale wszystkie dziewczyny, jakie znała, były w jej wieku, a ich matki... cóż, były po prostu matkami. Oprócz paru ekscent-ryków wszyscy w Stepmouth wydawali się tacy przygnębiająco zwyczajni. Nikt tu nie pretendował do nowoczesności, dlatego pojawienie się Emily było jak powiew świeżego powietrza, czy wręcz nadziei, prosto z zewnętrznego świata. Tego, do którego Rachel zamierzała pewnego dnia należeć.

- Hej! - zawołała kilka minut później Emily, witając Rachel we frontowych drzwiach Sea Catch Café. Jej akcent brzmiał cudownie egzotycznie. - Gdzie twój brat?

- Jest zajęty w sklepie. Wiesz, że względu na pogodę i turystów. Przyjechałam zamiast niego. - Rachel zsiadła z roweru i oparła go o ścianę budynku.

Emily westchnęła.

- Nie dziwię się, że chciałaś się wyrwać. Dziś naprawdę czuć już wiosnę w powietrzu...

Wyglądała jeszcze bardziej efektownie, niż Rachel to zapamiętała. Miała na sobie białą, obcisły sweterek i niebieską spódnicę, które na jej krągłym ciele prezentowały się zupełnie jak na modelce. Wczoraj to właśnie ją starała się naśladować Rachel. Kręcone blond włosy Emily zostały spięte z boku śliczną niebieską spinką, a usta miała pomalowane na ciemnoróżowo. Paliła długiego papierosa o złotym ustniku - tej marki nigdy tu wcześniej nie widziano. Rachel nigdy dotąd nie chciała być do nikogo podobna, oczywiście oprócz Marilyn Monroe, ale to się nie liczy, bo ją można było zobaczyć tylko w filmach. Natomiast teraz marzyła o tym, żeby być taka jak Emily.

Wyjęła niewielką paczkę z koszyka umocowanego na kierownicy roweru i podała ją właścicielce Sea Catch Café.

- Chyba wszyscy będziemy dziś zajęci - stwierdziła Emily, podziękowawszy za dostawę. - Powinnaś tu kiedyś przyjść z rodziną coś przekazać. Wiem, że teraz to tylko zwykła kawiarnia, ale zamierzam z niej zrobić bistro albo restaurację. - Machnęła ręką w kierunku wnętrza domu.

- Zastanawiam się, czyby nie zatrudnić tu wieczorami jazz-bandu. I urządzać potańcówki. Jak sądzisz?

Rachel nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Nie wiedziała, co to jest bistro, i nigdy w życiu nie była z rodziną w restauracji. Poza tym nigdy nigdzie nie wychodziła z matką, chyba że w odwiedziny do przyjaciół albo do kościoła, a ten

jedyny raz, kiedy wybrali się na wycieczkę autobusem, zabrali ze sobą pasztet rybny i kanapki z mielonką. Jedzenie w restauracji z jazzbandem wydało jej się szczytem ekstrawagancji. Z doświadczenia wiedziała jednak, że otworzenie czegoś takiego wywoła w mieście skandal.

- Brzmi wspaniale.

- Bistro czy restauracja?

- Nie wiem, co to jest bistro.

Emily roześmiała się, ale wcale nie protekcjonalnie.

- Bistro? Coś w rodzaju baru. W Nowym Jorku było jedno, zupełnie fantastyczne. Często tam chodziłam. Mieli tam małe kabiny, gdzie można było usiąść, zjeść hamburgera i wypić koktajl, a w każdej takiej kabinie stała maleńka szafa grająca.

- Mam zamiar pojechać kiedyś do Nowego Jorku. - Rachel zamierzała to tylko pomyśleć, a nie powiedzieć na głos.

- Spodoba ci się tam - zapewniła ją Emily, jakby to oświadczenie było rzeczą najnormalniejszą pod słońcem i całkowicie możliwą do zrealizowania. - Musisz koniecznie wjechać na szczyt wieżowca Empire State. Och, i pójść do Macy'ego. Nie uwierzysz, co to za sklepy. Jest masa miejsc, które bezwzględnie powinnaś zobaczyć.

Umilkła. Rachel czuła, że Emily na nią patrzy, ale była zbyt zakłopotana, żeby odwzajemnić jej spojrzenie. Nie śmiała rozwodzić się o swoich planach. Emily zgasiła papierosa na progu.

- Co robisz dziś wieczorem? - spytała, zmieniając temat. - Co w ogóle można robić w takim miejscu w sobotę wieczorem? Nie udało mi się jeszcze tego odkryć.

- Idę na tańce. Tu niedaleko.

- Lepsze to niż nic - stwierdziła. - A w co się ubierasz?

- Mama uszyła mi sukienkę.

- Wejdz na chwilę - powiedziała Emily z uśmiechem, jakby właśnie wpadła na jakiś pomysł. - Być może mam coś dla ciebie.



Rachel nigdy wcześniej nie była w Sea Catch Cafe, ponieważ ten lokal przeznaczony był wyłącznie dla turystów. W środku było przestronniej, niż przypuszczała, a na stołach leżały czerwone obrusy. Całą jedną ścianę tworzyły okna wychodzące na płynącą w dole rzekę. W skrzynkach kwitły żółte i fioletowe bratki. Było tu trochę jak w górach, jak na zdjęciu narciarskiego domku, które widziała w jakimś czasopiśmie.

- A oto mój najlepszy przyjaciel - stwierdziła Emily. Wzrok Rachel powędrował za jej spojrzeniem, do umieszczonych na tylnej ścianie służbowych drzwi, które właśnie się otworzyły. Serce zabiło jej mocno. W drzwiach stanął Tony Glover, wycierając ręce w ścierkę. Zamarł, kiedy ją zobaczył.

- Tony, mój wybawca w kuchni - ciągnęła dalej Emily. - Nie mam pojęcia jak bym sobie bez niego poradziła. Myślę, że kiedyś będzie z niego świetny szef kuchni. Znacie się?

Emily nie wiedziała.

Ta świadomość uderzyła Rachel z taką siłą, że zagapiła się na nią w osłupieniu. Nie wiedziała. Nie miała pojęcia, co zaszło między Vale'ami i Gloverami. Nie знаła tych milionów powodów, dla których ona, Rachel, nigdy nie powinna zostawać sama z Tonym Gloverem. Czy powinna jej powiedzieć? Czy powinna rozwiać jej złudzenia? Szukając odpowiedzi, spojrzała na Tony'ego. Oddzielał ich od siebie padający z okna snop słonecznego światła, w którym lśniły unoszące się w powietrzu drobiny kurzu. Kiedy ich oczy się spotkały, odczytała w nich to samo pytanie i nagle zabrakło jej tchu.

W jednej chwili jej uprzedzenia gdzieś zniknęły. Znów miała to samo uczucie co po bójce, że zdarta została jakaś zasłona i że patrzy teraz na prawdę. Ponieważ nie dało się zaprzeczyć, że stojący przed nią Tony Glover wygląda normalnie. Wcale nie jak nic niewart drań ani jak postrach

miasteczka. Wygląda po prostu jak ktoś, kogo zatrudnia Emily, kogo lubi, szanuje i komu ufa. Poza tym był niezaprzeczalnie przystojny, kiedy tak stał koło okna, a słońce oświetlało jedną stronę jego twarzy.

- No więc? Znacie się czy nie? - ponownie spytała Emily. Patrzyła raz na Rachel, raz na Tony'ego, wyraźnie zdezorientowana.

- W pewnym sensie - odparł Tony. Potarł policzek. Emily skinęła głową.

- Dobrze. No to sobie pogadajcie. Za chwilę wrócę - powiedziała, otwierając drzwi na korytarz.

Kiedy Emily wyszła, powietrze pomiędzy nimi stało się tak naładowane napięciem, że Rachel nie była w stanie się odezwać. Spróbowała sobie wyobrazić, że zostali przeniesieni do jakiegoś górskiego kurortu, daleko od Stepmouth i ludzi, którzy ich znali. To wcale nie było trudne. Choć nie powiedzieli jeszcze ani słowa, już teraz czuła, jakby się unosili we własnym, prywatnym świecie, gdzie nie obowiązują żadne dotychczasowe reguły.

- Jak twoja twarz? - spytała wreszcie. Siniaki najwyraźniej już znikły.

- Dużo lepiej.

- Tak jak mówiłam, przykro mi. - Chciała, żeby jej głos zabrzmiał twardo, nawet surowo, ale zamiast tego zabrzmiał po prostu sucho.

- Nie ma sprawy. Wywalili mnie z domu. Ale był już czas, żebym się wyprowadził... żebym się usamodzielniał. Więc chyba zrobiłaś mi przysługę. Moja mama, wiesz, ona nie toleruje bójk.

Kiedy dotarła do niej ta zaskakująca informacja, Rachel zmierzyła go badawczym spojrzeniem. Matka Tony'ego, ta wiedźma, ta wstrętna i bezwstydna kobieta, miała jakąś moralność? Wyrzuciła syna z domu za bójkę?

- To gdzie teraz mieszkasz? - spytała.

- W szopie, wiesz, na ziemi Dooleya. Dał ją mojemu dziadkowi za uratowanie mu życia.

W Rachel uderzył kolejny grom z jasnego nieba. Zatem istniał jakiś Glover, który uratował życie?

- Tak?

Emily pojawiła się tak nagle, że Rachel aż podskoczyła.

- Proszę - powiedziała bez tchu, wręczając jej małą, kwadratową paczuszkę.

Rachel oderwała wzrok od Tony'ego. Paczka była w czarno-białą kratkę. Ozdabiał ją rysunek pochylającej się kobiety, a przezroczysty kawałek celofanu ujawniał zawartość: parę cieniutkich nylonów ze szwem.

- Najlepsze, jakie można dostać - stwierdziła Emily, uśmiechając się do Rachel.

- Nie mogę... - Rachel zaczęła się jąkać, zdumiona jej hojnością.

- Daj spokój. Twój brat zrobił mi wtedy wielką przysługę, dał mi dla matki czekoladę. Więc jestem mu dłużna, ale ponieważ wiem, że nie znosi słodczy, więc...

- Co? - zdumiała się Rachel. - Przecież on uwielbia czekoladę! To jego najukochańsza rzecz na świecie. Powiedział ci, że nie lubi?

Na twarzy Emily pojawił się tajemniczy uśmiech.

- Nieważne - ucięła. - Ale dzięki. Znajdę w takim razie jakąś czekoladę dla niego. A tymczasem to dla ciebie. Wszystkie dziewczyny potrzebują nowych pończoch. Przynajmniej wszystkie, jakie do tej pory znałam. Rachel nie mogła znaleźć odpowiedzi. To były najpiękniejsze nylony, jakie w życiu widziała. Anne pozielenieje z zazdrości.

- Załóż je dzisiaj na tańce. Dziewczyna musi czasami włożyć coś specjalnego, żeby zrobić na chłopcach wrażenie. - Emily mrugnęła do Rachel i spojrzała wymownie przez ramię, na drzwi kuchni. Ale Tony już zniknął.

- No? Powiedz coś - zażądała, nadal podniecona swoim prezentem.

- Dziękuję - wykrztusiła Rachel.

Wyszędłszy z kawiarni, Rachel wsiadła na rower i ruszyła w dół boczną uliczką. Kiedy uznała, że już jej nie widać, wyciągnęła ukrytą w kieszeni paczkę papierosów. Z oddali dobiegał ją brzęk masztów łodzi rybackich zacumowanych w przystani oraz odległy pomruk samochodu zmieniającego bieg na moście Nadbrzeżnym. Znacznie bliżej słyszała niemal bicie własnego serca.

Zaciągnęła się głęboko papierosem, myśląc o tym, jak wspaniale wyglądała dziś Emily. A potem, wbrew woli, jej myśli wypełnił obraz Tony'ego: twarz oświetlona z jednej strony słońcem, wwiercające się w nią ciemnoniebieskie oczy. Tony Glover. Nagle zapragnęła, żeby stanął tu przed nią naprawdę. Chciała stawić mu czoło, walczyć z nim, zmusić go, żeby jej wyjaśnił, dlaczego czuje się przy nim taka zdenerwowana i zakłopotana.

Zamknęła na chwilę oczy, wdychając dym papierosowy i czując lekki zawrót głowy. I coś jeszcze: kiedy myślała o twarzy Tony'ego, poczuła taką miękką, ciepłą falę w żołądku.

Otworzyła gwałtownie oczy, jakby ją ktoś przyłapał na gorącym uczynku. To niemożliwe. Nie mogła pragnąć Tony'ego Glovera. Po prostu nie mogła. Wyrzuciła papierosa i drżąc, poprowadziła rower z powrotem na drogę. Nie mogła żywić takich uczuć do kogoś tej krwi. Nie wolno jej! Ponieważ jego krew była zła, na wskroś zła. To ona zniszczyła jej rodzinę. To jego brat, Keith Glover, włamał się w środku nocy, w kominiarce na twarzy i ze śrutówką w ręce, do sklepu Vale'ow i otworzył kasę w poszukiwaniu pieniędzy. To Keith Glover został zaskoczony przez jej ojca, który

zszedł na dół w pizamie. To Keith Glover strzelił do niego z bliska, a potem patrzył spokojnie, jak ojciec pada martwy na podłogę, odsłaniając stojącą za nim, przerażoną żonę. I to Keith Glover, nim uciekł, strzelił raz jeszcze, roztrzaskując kości miednicy Laurel Vale i czyniąc z niej kalekę do końca życia.

## Rozdział VII

### Majorka, współcześnie

Laurie wysiadła z taksówki przy bramie Sa Costa i z radością wciągnęła głęboko w płuca balsamiczny zapach południowego upału. Ładna, młoda kobieta, która czekała na nią na zakurzonej, wysadzonej cyprysami drodze, podeszła do samochodu, powiedziała coś szybko po hiszpańsku do kierowcy, po czym odwróciła się do Laurie.

- Dzwoniła do mnie pani Glover. Jestem Maria - przedstawiła się, wyciągając rękę. Miała czarne, kręcone włosy, sukienkę w kwiatki i modne okulary przeciwsłoneczne. Natomiast Laurie w każdym calu czuła się Angielką za granicą - mrugała zupełnie jak dezorientowany kret, który wynurzył się w tym miejscu spod ziemi - prosto z ponurej, zimowej, londyńskiej mżawki.

- Pracuję w biurze Ararat Holdings w Palmie - wyjaśniła Maria, kiedy kierowca otworzył klapę bagażnika i zaciągając się papierosem, obszedł samochód, żeby wyciągnąć torby Laurie. - Niestety podjazd właśnie został świeżo wyasfaltowany, więc nie możemy podjechać pod samo wejście.

Maria zapewne pracuje z Samem, natychmiast przemknęło przez myśl Laurie. Poczowała dreszcz podniecenia, jakby ta świadomość pozwoliła jej zajrzeć przez wąską szczelinę w świat Sama - świat, który znajdował się teraz tak przerażająco blisko, że niemal mogła go dotknąć. Być może Maria nawet mu wspomniała ojej przyjeździe na Majorkę...

Natychmiast przywołała się do porządku i zajęła zbieraniem bagażu. Chyba oszalała. Jak mogła w ogóle coś takiego pomyśleć? Przecież nie zamierzała pozwolić cholernemu Samowi Delamere ponownie wdrzeć się w swoje myśli. Przecież nie po to tu przyjechała. I nie chciała mieć z nim absolutnie nic wspólnego. Przyjechała tu na zaproszenie swej nowej, cudownej ciotki i nikt - a już zwłaszcza Sam - nie zepsuje jej świeżo nawiązanych stosunków rodzinnych.

- Podejźmy na piechotę - powiedziała Maria, odejmując pięć euro z sumy, jaką Laurie zamierzała wręczyć kierowcy. - Cena dla miejscowych - wyjaśniła. - Dla rodziny.

Laurie schowała pieniądze z powrotem do portmonetki, po raz kolejny dochodząc do wniosku, że wpływy Rachel mają dziwnie mafijny charakter. Nie miała pojęcia, jaki był Tony, ale jej ciotka bardzo przypominała ojca chrzestnego i z taką łatwością i wdziękiem brała wszystko, czego zapragnęła, że po prostu nie można było jej odmówić. Zresztą i tak nie zamierzała odrzucić zaproszenia: położona na Majorce willa Rachel do jej wyłącznej dyspozycji na lato, żeby mogła popracować! Propozycja przyszła w tak niesamowicie odpowiednim momencie, że po prostu nie można było się jej oprzeć.

Zatem przybyła na miejsce, a wszystkie poprzednie wahania i wątpliwości nagle rozwiązały się w zamglonym powietrzu Majorki. Kiedy taksówka odjechała, wzbijając za sobą chmurę kurzu, Laurie zauważyła, jak wielki panuje tu spokój. Ciszę zakłócał jedynie świergot ptaków w konarach drzew i rytmiczny szept cykad.

- Pani Glover była bardzo dobra dla mojej rodziny. Dlatego bardzo się zmartwiliśmy wiadomością o śmierci pana Glovera. Wszystkim nam jest bardzo, bardzo smutno z tego powodu - powiedziała Maria, otwierając ozdobną żeliwną furtkę umieszczoną obok elektronicznie otwieranej bramy. - To musiała być dla pani ogromna strata.

Laurie prawie jej nie słuchała, ponieważ dużo bardziej zaintrygowała ją sama willa. Bugenwilla w kolorze budyniu malinowego porastała mur ciągnący się wzdłuż wąskiej drogi dojazdowej, a za bramą widać było kwitnące kaktusy i niewielkie palmy zasadzone wzdłuż zakręcającego ostro podjazdu; miało się wrażenie, że prowadzi prosto do dżungli. Laurie była tak zachwycona widokiem, że zbyt późno dotarło do niej, iż Maria składa jej kondolencje i rzuca na nią spojrzenia pełne bezgranicznego współczucia.

- Och tak - wyjąkała, czując się jak oszustka. - To był okropny szok. Żeby ukryć zakłopotanie, pochyliła się i wyciągnęła rączkę wielkiej walizki na kółkach, a na ramię zarzuciła sobie równie wielką torbę z płótnem, pędzlami i farbami - przywiozła nawet młotek do zbijania ram obrazów.

Furtka zatrzasnęła się za nimi. Kiedy Laurie ruszyła za Marią samym brzegiem nowego podjazdu, otoczył ją ciężki aromat kwiatów zmieszany z zapachem iskrzącego się w słońcu asfaltu. Usłyszała powolne pulsowanie ukrytych zraszaczy, a poczuła się tak, jakby ją nagle przeniesiono do tajemniczego ogrodu oddalonego o miliony kilometrów od jej pełnego problemów dotychczasowego życia.

- Wszystkim nam bardzo brakuje pana Glovera - ciągnęła Maria. - Zawsze się o nas troszczy! i bez niego nic już nie będzie takie samo. Kochał ten dom. Kiedy go kupił, to była zwykła ruina. Mój ojciec mówi, że przez pięćdziesiąt lat budynek stał pusty. Ale oczywiście zna pani tę historię.

Minęły zakręt podjazdu i Maria zamilkła, ponieważ Laurie aż zatrzymała się z wrażenia na widok Sa Costa. Stary wiejski dom był po prostu wspaniały. Ściany z cegły tonęły w czerwonych kwiatach, które otaczały również framugę drzwi, a przed wejściem rosły trzy wysokie palmy o pokarbowanych pniach i ogromnych liściach. Dalej, za starannie przyciętym żywopłotem, dostrzegła obrośniętą winoroślą



zewnątrzną jadalnię, wyposażoną w ogromny grill. Było to miejsce z gatunku takich, jakie widuje się jedynie w katalogach najbardziej ekskluzywnych biur podróży. I chwilowo należało do niej. Tylko do niej.

- Musi być pani bardzo szczęśliwa... Ma pani taką cudowną rodzinę - powiedziała Maria, poczekawszy, aż Laurie się z nią zrówna.

- Dopiero niedawno się zbliżyliśmy - wymamrotała Laurie, ale Maria nie wzięła tej uwagi dosłownie. Natomiast otworzyła frontowe drzwi i spojrzała na mały, złoty zegarek.

- Tak mi przykro, że zostawię panią teraz samą, ale muszę wracać do biura. Mój kuzyn, Fabio, oczyści basen i jeśli będzie pani chciała, zajmie się zakupami. Kiedy Gloverowie tu mieszkają, zawsze przywozi im z targu świeże ryby i owoce.

W oczach Laurie był to prawdziwy raj. Nie będzie nawet musiała jeździć po zakupy. Dokładnie tak, jak obiecała Rachel. Zostanie tu sama i nikt jej nie będzie przeszkadzał.

Maria oddała jej klucze, a następnie wyjęła z torebki wizytówkę.

- Dante, ogrodnik, przychodzi codziennie, ale prawie nie mówi po angielsku. Gdyby miała pani jakieś problemy albo chciała o coś zapytać, proszę do mnie zadzwonić.

- Dziękuję. Jestem pani bardzo zobowiązana.

Maria uśmiechnęła się i pomachała jej ręką, spiesząc w stronę bramy.

- Proszę się tu dobrze bawić - zawołała.

Kiedy Laurie została sama, otworzyła ciężkie frontowe drzwi i westchnęła, gdy ogarnął ją chłód panujący w domu. Wystrój hallu był prosty: podłoga z terakoty, a na białych ścianach gustownie oprawione, abstrakcyjne obrazy. Zatrzymała się na chwilę, żeby obejrzeć stojącą na szafce czarno-białą

fotografię, i z uśmiechem rozpoznała Christophera i Nicka jako małych chłopców. Pożałowała, tak samo jak w Dreycott Manor, kiedy w przeddzień pogrzebu Tony'ego oglądała podobne zdjęcia, że na tych miłych rodzinnych fotografiach nie ma i jej wizerunków. Ale można jeszcze odrobić stracony czas, pomyślała, odstawiając zdjęcie. Stary drewniany zegar tykał w rytm jej kroków, kiedy ruszyła w kierunku marmurowych schodów oraz kilku ciężkich, znajdujących się za nimi, dębowych drzwi. Nieśmiało otworzyła pierwsze z brzegu. Jej oczom ukazał się wielki, otwarty salon, w którym stały wygodne ratanowe kanapy, liczne krzesła oraz wielki, wiejski stół na osiemnaście osób. Z sufitu zwisały ogromne drewniane wentylatory. Dalej, za łukowatym przejściem, widać było kuchnię, gdzie stary piec sąsiadował z nowoczesną kuchenką, a na błyszczącym barku, przy którym można było zjeść śniadanie, stała niewielka, przenośna szafa grająca. Ale największe wrażenie robiła tutaj przeszklona ściana, w której umieszczono drzwi. Laurie przeszła na palcach przez jasny dywan, przesunęła ciężkie skrzydło i wyszła na taras. Dopiero wtedy uświadomiła sobie w pełni, jak wspaniała jest Sa Costa. Rozciągał się stąd niesamowity widok na wielki basen i wypielegnowane trawniki, a dalej, poprzez sklepienie utworzone przez drzewa oliwne, eukaliptusy i cytryny, na wielką przestrzeń błękitnego, połyskliwego morza w dole. Laurie przypomniała sobie, że Rachel wspominała coś o ścieżce prowadzącej przez gaj na plażę, ale wtedy przyjęła, że ciotka mówi o plaży publicznej. Ani przez chwilę nie podejrzewała, że Rachel ma na myśli prywatną plażę, należącą do willi. Miała ochotę skakać z radości, ale równocześnie czuła się winna. Dla Rachel było to takie proste i oczywiste, że Laurie tu przyjedzie popracować, ale ona sama czuła się tak, jakby przyjęła bez otwierania prezent, zaniósł go do domu i od-

kryła, że jest to coś absurdalnie drogiego. Skąd miała wiedzieć, że willa Rachel będzie tak wspaniała?

- O mój Boże! - wykrzyknęła na głos, wdychając głęboko ciepłe powietrze i obserwując tańczące przed nią motyle. Podskoczyła, kiedy koło jej ucha przeleciał zimorodek.

Nagle ciszę przerwał dzwonek jej komórki. Dzwoniła Roz, która była tak samo jak Laurie podekscytowana faktem, że przez kilka miesięcy przyjaciółka będzie pracować za granicą. Bardzo ciekawił ją wygląd willi, a poza tym podczas wystawy wydusiła dla Laurie kilka zleceń i niepokoiła się, czy jej podopieczna już się za nie zabrała. Chciała również poznać wszystkie szczegóły pogrzebu Tony'ego i dowiedzieć się więcej o nowej rodzinie przyjaciółki. Laurie wszystko jej chętnie opowiedziała. Oprócz jednej ważnej sprawy.

Jakoś nie mogła się zmusić, żeby opowiedzieć Roz o spotkaniu z Samem. Wątpiła, czy zdoła sprawić, by zabrzmiało to obojętnie, a wiedziała, że jeśli przyjaciółka wyczuje jej zmieszanie, nie zejdzie łatwo z tematu. Była również pewna, że gdyby dowiedziała się o Samie, na pewno nie poparłaby jej decyzji wyjazdu na Majorkę, gdzie - przynajmniej teoretycznie - będą tak blisko siebie.

- To kiedy przyjeżdża do ciebie James? - zapytała Roz, gdy Laurie skończyła opisywać jej widok z tarasu.

- Daj mi odetchnąć! Dosłownie w tej chwili przyjechałam. Poza tym James jest zajęty. Pracuje nad albumem, który ma się ukazać w przyszłym miesiącu.

- Biedactwo. Nie będziesz się nudzić? Nie chcę, żebyś nam uciekła z jakimś czyścicielem basenów.

Laurie roześmiała się.

- Nie ma mowy. Pamiętaj, że mam masę pracy.

- Cóż, jeśli zapragniesz towarzystwa, zawsze jestem gotowa wskoczyć w samolot. Nie zapomnij do mnie zadzwonić. Już zaczynam za tobą tęsknić.

Laurie wyłączyła telefon. Pomimo wesołych żartów z Roz czuła się winna, że nie powiedziała jej całej prawdy. Takie samo paskudne uczucie prześladowało ją od chwili, kiedy powiedziała ojcu, że wyjeżdża popracować „do willi przyjaciółki”. Objęła rękami ramiona, czując nagłą złość. Jak to się stało, że z najuczciwszej osoby pod słońcem zmieniała się raptem w kogoś, kto potrafi bez zmrżenia oka kłamać dwóm osobom, którym ufa najbardziej w świecie?

Nie miała jednak wyboru. Jej stosunki z ojcem stały się nieznośnie napięte, odkąd wyznała, że pojechała na pogrzeb Tony'ego. Nie chciała ich dodatkowo zadrażniać.

- Mówiłem ci, żebyś nie wymawiała przy mnie imienia tej kobiety - powiedział jej ojciec, wciągając ze świstem powietrze, kiedy Laurie zadzwoniła do niego po powrocie z Somerset.

- Ale, tato, Rachel nie jest taka zła, jak...

- Nie mogę ingerować w to, co robisz ze swoim życiem, Laurel - przerwał jej. - Nie mogę zabraniać ci robić rzeczy, których nie pochwalam. Ale wiedziałas, jakie mam zdanie na ten temat, a mimo to pojechałas, wbrew mojej woli. Zraniłas mnie tym umyślnie i głęboko. Jeśli chcesz, abyśmy pozostali w dobrych stosunkach, proponuję, żebyś nie rozmawiała ze mną na ten temat.

Była to bezpośrednia groźba równie przejrzysta, jak woda w basenie poniżej. Kazał jej wybierać: on albo Rachel.

- Zachowujesz się nierozsądnie - zarzuciła mu wtedy.

- A ty prowokacyjnie. Ja nie chcę zrywać z tobą stosunków. Gdyby tak się stało, byłbym niepokieszony, ale twój upór może do tego doprowadzić, jeśli nadal będziesz się zadawała z tą kobietą...

- Więc nie chcesz się niczego o niej dowiedzieć? Jak jej się powodzi albo co ja czuję? Ani jaka jest reszta rodziny? Mojej rodziny?

- Nie, nie chcę.

- Ale...

- Muszę teraz wyjść - powiedział gwałtownie i odłożył słuchawkę. Cóż, jego strata, stwierdziła w myślach Laurie i z powrotem weszła do willi. Skoro nie chciał zrozumieć, że Rachel jest miła i wspaniałomyślna, to jego problem. Nie zamierzała mu pozwolić zniszczyć tych świeżo nawiązanych stosunków rodzinnych z powodu jakiejś absurdalnej urazy, o której nie chciał nawet mówić. Nie, raczej sama postara się nadrobić stracony czas i cieszyć się nowo uzyskanym statusem członka zamożnej rodziny.

Pochłonawszy karton soku brzoskwiowego znaleziony w dobrze zaopatrzonej amerykańskiej lodówce, wyruszyła na zwiedzanie willi. Przechodziła z pokoju do pokoju, podziwiając panujący tu dobry gust i nienaganną czystość. Zupełnie jakby to był stylowy hotel, a nie dom mieszkalny.

Dopiero kiedy weszła na górę, znalazła dla siebie odpowiednią sypialnię. Rzuciła się na wznak na łóżko, przykryte ładną, zielono-białą narzutą i kołysała lekko na miękkim materacu, patrząc na drewniane krokwie sufitu. Potem odwróciła głowę i wyjrzała przez okienko, którego białą framugę otaczały czerwone kwiaty. Widać było przez nie odległe, skaliste szczyty gór Tramuntana.

Było tu tak spokojnie i pogodnie, że postanowiła pójść po walizkę i natychmiast wpakować swoje beznadziejnie sfatygowane ubrania do szafy i komody, mebli, które niewątpliwie były cennymi antykami. Jak już się rozgości, może przestanie się czuć tak onieśmielona przez ten dom.

Nagle... Wprost nie mogła uwierzyć, że nie zwróciła na to od razu uwagi. Stało na niewielkim drewnianym stoliku, było takie oczywiste i tym bardziej szokujące. Zeskoczyła gwałtownie z łóżka, chcąc uciekać. Bo z fotografii na stoliku patrzą na nią Sam i Claire, uśmiechnięci radośnie w dniu swego ślubu.

Złapała oddech i zmusiła się, żeby obejść łóżko i wziąć fotografię do ręki. Jak przez mgłę zajrzała w te jasnobłękitne oczy, które niegdyś poznała tak dobrze. Przypomniała sobie spotkanie na pogrzebie. A potem, co było znacznie gorsze, pomyślała znowu o tej chwili, kiedy widziała Sama po raz ostatni przed pogrzebem.

To było trzy lata temu. Trzy długie, smutne i trudne lata, które zostały wymazane z jej życia w tej samej chwili, gdy zdradziła ją własna pamięć, udowadniając dobitnie, jak bardzo się dotąd oszukiwała. Myśli o Samie cały czas czaiły się gdzieś w zakamarkach jej umysłu, równie wyraźne jak zawsze, czekając tylko na okazję, by się uwolnić i znów wziąć ją w posiadanie.

To był upalny wrzesień. Idealny wrzesień, ale właśnie dobiegał końca. Kiedy w hali lotniska w Nicei po raz ostatni wzywano pasażerów odlatujących do Anglii, Sam Delamere tulił Laurie jak zakochany nastolatek. Rozpaczliwie całował jej powieki, nos, podbródek, uszy, aż zaczęła się śmiać przez łzy. Byli ze sobą tak blisko, tak intymnie, że miała uczucie, jakby jego skóra była jej skórą, jak gdyby, podczas tych trzech tygodni, które spędzili razem, stali się jedną osobą. Myśl o rozstaniu, o konieczności oddychania innym powietrzem niż on, była najboleśniejszym doświadczeniem w jej życiu.

- Kocham cię, Laurie Vale - powiedział. - Jesteśmy sobie przeznaczeni. I przyrzekam ci, że spędzimy razem resztę życia. Przyrzekam, słyszysz? Powiedz, że słyszysz.

- Słyszę, najdroższy. Sam, ja tego nie zniosę. Oparł czoło o jej czoło.

- Nie potrafię się z tobą pożegnać - stwierdził. - To śmieszne, ale nie potrafię.

Pokręciła głową, a on otarł łzę z jej policzka.

- Wszystko załatwię - zapewnił ją miękko. - To zajmie najwyżej tydzień, a potem przyjadę i znów będziemy razem.

Oprócz bólu rozstania Laurie poczuła nagle falę litości - czy może poczucia winy? - w stosunku do tej drugiej kobiety, Claire. Sam wracał do domu, żeby z nią zerwać. Laurie została już kiedyś porzucona i wiedziała, jakie to będzie trudne dla nich obojga. Nawet jeśli istotnie, jak twierdził Sam, ten związek już praktycznie nie istniał.

- Bądź dla niej dobry - poprosiła. - Nie rań jej bardziej, niż będziesz musiał.

Skinął głową. Rozumiał. Megafon powtórzył pilne wezwanie dla wszystkich pasażerów odlatujących do Anglii. Przywarła do niego z całych sił.

- Idź. Odejdź jak najszybciej. Im szybciej odejdziesz, tym szybciej będziemy znów razem - powiedział, a ból w jego głosie sprawiał, że krajało jej się serce.

Tuż po powrocie do Anglii była w stanie takiej euforii, że wprost nie mogła się powstrzymać, by nie opowiadać wszystkim o miłości swego życia. Zaczęła planować wspólną przyszłość z Samem. Wiele rozmawiali o miejscach, w które chcieliby pojechać, więc teraz wpadła w obsesję obmyślania podróży dookoła świata; taka podróż mogłaby rozpocząć ich wspólne życie.

Po kilku dniach w mieszkaniu pełno było katalogów i przewodników turystycznych, a także ogłoszeń o mieszkaniach na sprzedaż w pięciu różnych dzielnicach na wypadek, gdyby Sam wolał się najpierw przeprowadzić. Czekał, aż do niej zadzwoni z wiadomością, że już jedzie, przemeblowała mieszkanie, które dzieliła z Tamsin, oceniając wszystko pod kątem tego, jak on to zobaczy. Zorganizowała nawet przyjęcie na jego cześć, żeby mógł poznać od razu wszystkich jej przyjaciół.

Potem, kiedy jej nowe życie powinno już trwać od dobrych dwóch dni, dostała pocztówkę. Taką taną pocztówkę, bez żadnego określonego znaczenia czy podtekstu, przedstawiającą

zatokę w Palmie. Na odwrocie napisane było: *Przepraszam. Nie mogę Ci nic wyjaśnić, ale nie możemy być razem. Nie próbuj się ze mną kontaktować. Nie spotkamy się nigdy więcej. Najlepiej zapomnij. I dbaj o siebie. Sam.*

Kiedy raz po raz odczytywała tę wiadomość, nie mogła oddychać.

Zrozpaczona obracała kartę w dłoniach, próbując zgłębić jej sens.

Najlepiej zapomnij? Zapomnij? Jak mogłaby zapomnieć?

To nie miało sensu. Przecież był dla niej stworzony. Sprawiał, że się śmiała, sprawiał, że tryskała życiem, jakby w tych chwilach, które z nim spędziła, stawała się najlepszą z możliwych wersji samej siebie.

Rozkwitała przy nim, inspirował ją. Kiedy byli razem, przychodziły jej do głowy najlepsze pomysły. Oczywiście, że był to szalony romans, ale on ją przecież kochał... Zapewniał ją o tym dostatecznie często...

Nie chcąc uwierzyć, wmawiała sobie, że musiało się stać coś strasznego i że Sam potrzebuje jej pomocy. Próbowwała dzwonić na wszystkie jego numery telefonu, ale żaden nie odpowiadał. Nie włączała się nawet automatyczna sekretarka. Potem jego numer komórkowy został zlikwidowany. Zadzwoiła do operatora i dowiedziała się, że nie jest już jego własnością.

W końcu dotarła do niej prawda. Ta pocztówka nie była pomyłką czy jakimś zaszyfrowanym błaganiem o pomoc. Nie został okaleczony w jakimś okropnym wypadku i nie leżał w śpiączce, nie mogąc się z nią skontaktować. Prawda była taka, że wrócił do domu, do Claire, i natychmiast wysłał do Laurie pocztówkę. I że myślał dokładnie to, co tam napisał: naprawdę nie chciał, żeby się z nim kontaktowała. Cokolwiek razem przeżyli, dobiegło końca. Na zawsze.

Rozdzierał ją tępy ból. Cała jej wiedza, osąd, sama podstawa jej osobowości nagle zatonęły, jak wywrócona do góry dnem łódka. Roz i Tamsin, Heather i Janey próbowały ją



przekonać, że wakacyjne romanse zawsze kończą się w ten sposób, ale Laurie nie dawała się pocieszyć.

Jak mogła się tak pomylić? Cały czas kłamał. Te głębokie dyskusje na temat sensu życia, które prowadzili aż do świtu, były tylko na pokaz. Ten uczuciowo i fizycznie zdumiewający seks to była zwykła lipa. Zakochała się w kłamcy i mogła za to winić jedynie siebie.

Laurie wyszła z sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Te czarne dni. Czarne dni, które z całych sił starała się zostawić za sobą. I zostawiła. Dziś myślała o kobiecie, która szłochąła na lotnisku w Nicei, jak o kimś zupełnie obcym.

Uwolniła się przecież od Sama, przypomniała sobie stanowczo. Uczucia, których doświadcza, wynikają wyłącznie z tego okropnego zbiegu okoliczności. Ponowne spotkanie musiało przywołać przeszłość. Ale przeszłość tym właśnie była: przeszłością. Rozpamiętywanie jej w nieskończoność nic nie da.

Wszystko uległo już zmianie, przypomniała sobie, przebierając się w przedpokoju w sarong i porzucając na środku podłogi otwartą walizkę. Wprawdzie wymagało to nieco wysiłku umysłowego, ale już go przecież dokonała. Nie zamierzała bez końca snuć się po domu Rachel jak przestraszona służąca, zamierzała się tu dobrze bawić. Teraz przede wszystkim musi popływać. To oczyści jej umysł, usunie emocje i bolesne wspomnienia, do których nie miała zamiaru wracać.

Dopiero w połowie drogi w dół stromą, wyboistą ścieżką wśród drzew podniosła głowę i po raz pierwszy ujrzała piaszczystą zatoczkę poniżej, a ten widok sprawił, że natychmiast zapomniała o tym, co czuła w sypialni. Plaża była zupełnie pusta, nie licząc zdezelowanego hangaru na łodzie, usytuowanego wśród skał nieco ponad poziomem morza. Może ten hangar nada się na pracownię? - pomyślała. Byłby doskonały.

Dyszając radośnie, resztę drogi przebyła biegiem, rozwiązując sarong i rzucając go na piasek. Potem wbiegła w ciepłą wodę, nurkując pod niewielkimi falami. Kiedy na powrót stanęła na nogach, palce jej stóp zanurzały się w piasku morskiego dna, a jej skóra mrowiła pod dotknięciem morza.

Och, do diabła, pomyślała, rozglądając się wokoło, a następnie zdjęła kostium kąpielowy, zwinęła i rzuciła na piasek. Czas trochę pożyć. Kiedy unosiła się na plecach na wodzie, jej uszy napełnił szum morza, a na skórze czuła promienie słońca.

Ale myśli nie dawały się tak łatwo uciszyć. To wszystko - ten dom, prywatna plaża, nowa rodzina - było zbyt dziwne. Po co pojechała na pogrzeb Tony'ego? Co to za dziwny traf sprawił, że pożegnała zmarłego człowieka, którego nigdy nie знаła? Nadal nie mogła tego pojąć. Myślała o Tony'm, tym utraconym wuju, patrząc na widok, który niegdyś na pewno go cieszył, a potem pomyślała o jego trumnie w małym kościele w Somerset.

Nagle poczuła, jakby czas się cofnął. Tłumaczyła sobie, że to halucynacja, że to nie może być Sam, tylko ktoś inny, związany z rodziną Rachel, Tony'm, tym miejscem, trumną stojącą na środku kościoła. Jednak sposób, w jaki ścisnęło się jej serce, wskazywał wyraźnie, że to rzeczywistość. Że ten człowiek, który się spóźnił, człowiek, który teraz przemawiał, był tym, który złamał jej serce.

Kiedy słuchała, jak czytał wiersz miłosny, cały czas patrząc na Rachel, w jej żyłach wezbrała adrenalina. Spojrzała w bok, na ciotkę, która ścisnęła rękę młodej kobiety. Czy ona i Sam...?

Nie mogła patrzeć. Ironia słów wypowiedzianych przez Sama wzbudzała w niej odrazę. Jak śmiał mówić o miłości? Jak śmiał mówić o niej w ten sposób, jakby to była prawda?

Jak śmiał być związany z Rachel? Rachel to przecież nowo odzyskana ciotka, a on wszystko zepsuł!

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie patrzeć, jak po zakończeniu pożegnania wraca na swoje miejsce w ławce, zupełnie jakby był głową tej rodziny. Rachel nachyliła się i pocałowała go lekko. Potem, kiedy siedząca przy nim kobieta uśmiechnęła się smutno i pogładziła jego policzek, jakaś część Laurie umarła.

Gdy msza dobiegła końca, ruszyła wzdłuż ławki w kierunku czekającej na nią Rachel. Ciotka wyglądała pogodnie w czarnej sukience i kapeluszu, ale jej oczy zdradzały rozpacz.

- Laurie - powiedziała, wyciągając do niej obie ręce. - To jest Claire.

Laurie zmusiła się, żeby automatycznie odwrócić głowę w kierunku ładnej kobiety stojącej przy boku ciotki. Oczywiście, że to była Claire.

Kiedy Rachel wspomniała o niej wczoraj wieczorem, Laurie w ogóle nie przyszło do głowy, że to może być ta Claire. Ale skąd miała wiedzieć?

Sam nigdy jej nie podał nazwiska swojej dziewczyny. Która teraz stała tu we własnej osobie.

- A ty jesteś Laurie - stwierdziła Claire.

Pląkała podczas mszy, miała spuchnięte oczy i czerwony nos, ale Laurie i tak zauważyła jej nieskazitelną cerę i eleganckie, długie ciemne włosy, wynik regularnych wizyt w salonach fryzjerskich. Im dłużej przyglądała się swej nowej krewnej, tym mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że jest to zupełnie inny rodzaj kobiety niż ona sama. Reprezentowała ten typ, którym Sam podobno pogardzał: typ wypielegnowanej dziewczyny, dla której wygląd zewnętrzny znaczy więcej niż wewnątrz. Niemniej Laurie od razu poczuła się przy niej stara i niemodna.

Tysiące pytań wypełniły jej głowę. A jeśli Sam jej powiedział? Jeśli Claire wiedziała wszystko o ich romansie? A jeśli

zrobi teraz scenę? Ogarnął ją strach. Nie chciała, żeby jej wiarygodność została podważona w oczach Rachel. A już szczególnie nie tutaj.

- Tak mi przykro z powodu Tony'ego - powiedziała chrapliwym głosem, potrząsając ręką Claire. Czuła, że młoda kobieta patrzy na nią badawczo, ale nie miała pojęcia, ile o niej wie. - To musi być dla ciebie okropne... Umilkła, ale Claire to nie przeszkadzało. Z entuzjazmem szarpnęła Sama za ramię.

- To mój mąż, Sam - przedstawiła go, wypychając do przodu. - Musisz jeszcze poznać naszego syna, Archiego. Został w domu. Uznaliśmy, że nie należy go zabierać na... Sam, to ona, Laurie, ta tajemnicza kuzynka. Sam Delamere. Po takim czasie, w najbardziej nieoczekiwanym miejscu na świecie, Laurie stanęła twarzą w twarz ze swym byłym kochankiem. Który był żonaty. Z tamtą. Z Claire. Z dziewczyną, której podobno nie kochał, choć najwyraźniej kłamał. I mieli dziecko.

Kiedy Laurie wyobrażała sobie ponowne spotkanie z Samem, nigdy nie brała pod uwagę, że mógł zostać ojcem. Ta wiedza wypełniła ją taką zazdrością, że musiała zacisnąć dłoń w pięść, by się powstrzymać od wymierzenia mu policzka.

- Miło cię poznać, Laurie - powiedział. Poufałość, z jaką wymówił jej imię, napełniła ją wściekłością, a poczucie zdrady omal jej nie udusiło. Przez jedną chwilę miała ochotę powiedzieć coś niemądrego, zerwać tę maskę z jego twarzy. Poczula, że Rachel na nią patrzy i czas nagie jakby się zatrzymał. Wyobraziła sobie, że odwraca się do ciotki i mówi jej wszystko, co wie o Samie. Że to kłamca. Krętacz. Drań.

Jednak zdążyła już zostać schwytana w sieć jego kłamstw.

Skonsternowana i bezsilna pogodziła się z tą oportunistycz-ną strategią, nie zdradzając rosnącego w niej napięcia. Zmusiła się, by ująć jego wyciągniętą rękę w swoją spoconą dłoń. Kiedy się dotknęli, jej ciało pokryło się gęsią skórka.

- Cześć - odparła. Patrzyła na jego klatkę piersiową. Nie mogła się zmusić, żeby spojrzeć wyżej.
- Jedziemy do krematorium - oznajmiła Rachel.
- Tylko najbliższa rodzina - dodała Claire. - Ale oczywiście możesz jechać z nami...

Laurie gwałtownie pokręciła głową.

- Jedziemy w co najmniej dwa samochody - dodała Rachel prosząco, ale jej zwykła rzeczowość najwyraźniej znikła, jakby to Claire przejęła teraz dowodzenie.

- Lepiej poczekam na was w domu - wymamrotała Laurie. Claire wzięła Rachel pod rękę, żeby wyprowadzić ją z kościoła.

- Jesteś pewna, że tak będzie lepiej? - spytała, patrząc na nią z troską. Laurie uśmiechnęła się bez przekonania i przytaknęła. - No to porozmawiamy później - obiecała Claire, oglądając się na nią przez ramię. - To nie potrwa długo.

Sam ruszył za nimi, a mijając Laurie, spojrzął na nią. Tylko przez moment. Przelotne spojrzenie, a jednak odczuła je tak, jakby z bliska strzelił z pistoletu prosto w jej pierś. Obserwowała, jak w dziwnie zwolnionym tempie zamrugał powiekami i ruszył dalej.

Oczywiście, że uciekła. Nie miała wyboru. Była zbyt przerażona tym okrutnym zbiegiem okoliczności, zbyt zaskoczona i wstrząśnięta tym obrotem losu, który ponownie postawił na jej drodze Sama. Nie była w stanie spojrzeć w oczy Rachel czy prowadzić zdawkowej rozmowy z Claire.

Kiedy wróciła w bezpieczne miejsce, do Londynu, postanowiła wykluczyć na dobre Rachel ze swego życia. Ojciec miał rację.

Dostatecznie długo żyła bez ciotki, żeby wiedzieć, iż doskonale sobie bez niej poradzi. Co dobrego mogłoby wyniknąć ze stosunków z rodziną, w której Sam odgrywał tak ważną rolę? Zmusiła się zatem do skupienia uwagi na Jamesie i znalezieniu mieszkania, żeby Tamsin mogła jak najszybciej zamieszkać z Mikiem.

Nikomu nie powiedziała o swoim spotkaniu z Samem, ale jego obecność znowu zaogniła się w jej wnętrzu jak zadra. Potem wyznała ojcu, że pojechała na pogrzeb, a jego upór jeszcze bardziej wyprowadził ją z równowagi.

Po czym nagle, w samym środku tego wszystkiego, zadzwoniła do niej Rachel i zaproponowała wyjazd na wakacje do willi na Majorce. Laurie przeraziło, jak bardzo w porę przyszła ta propozycja. Nie podjęła decyzji od razu, ale kiedy odłożyła słuchawkę, przemknęła jej przez głowę sadystyczna, niedobra, ale słodka myśl. Przyjęcie propozycji Rachel było świetnym sposobem odegrania się na Samie. Doskonałym sposobem ukarania go za to, co jej zrobił.

Fakt, że była teraz ulubioną bratanicą Rachel, że będzie mieszkać właściwie pod nosem Sama - choć nie miała zamiaru się z nim widywać - sprawi, że codziennie będzie musiał pamiętać o swym oszustwie. Sama jej obecność na Majorce wystarczy, żeby się skręcał ze strachu. Tym razem to jego będą dręczyć pytania bez odpowiedzi. Tak, pomyślała, sprawi, żeby Sam Delamere na własnej skórze przekonał się, jak to jest. Właśnie dlatego oddzwoniła do Rachel i z wdzięcznością przyjęła jej propozycję. Następnego dnia, z pomocą Jamesa, przeniosła swoje rzeczy z mieszkania do magazynu i natychmiast poczuła się lepiej. Miała dom na lato, a James obiecał, że przyjedzie do niej, jak tylko wygospodaruje trochę czasu.

Unosząc się na falach, Laurie uświadomiła sobie, że jej zimna potrzeba odegrania się na Samie nie umywała się nawet do realiów mieszkania w domu Rachel. Już teraz zbiło ją to z tropu, a była tu przecież zaledwie godzinę.

Zanurzyła nogi w wodzie, odgarnęła włosy z twarzy i wstała. Nie chciała poparzyć sobie skóry zaraz pierwszego dnia, choć miała ochotę unosić się tak w nieskończoność.

Powoli wyszła z wody, pełna zdecydowania. Przyjęła propozycję Rachel, a potem tu przyjechała, niezależnie od tego, czy sprawiła to rozpacz, zemsta czy chciwość, czy też mieszanka wszystkich tych uczuć. Miała pracować.

Kiedy podniosła z piasku swój sarong, spostrzegła, że ktoś idzie w dół ścieżką. Szybko rozpoznała elegancko uczesaną i ubraną w markowe ciuchy kobietę, która machała do niej energicznie, i z przerażeniem uświadomiła sobie nagle, jaka będzie cena pobytu w Sa Costa: Claire Delamere przyszła do niej z wizytą.

## Rozdział VIII

Stopmouth, kwiecień 1953

Większość facetów, których Tony znał - ze szkoły, pubu albo z sal bilardowych - rozmawiało wyłącznie o sprawach praktycznych: dokąd pójść, jak się tam dostać i co robić, jak już się tam będzie. Faceci zawsze zajęci byli niszczeniem lub budowaniem czegoś. Albo wymienianiem burkliwych uwag na temat schematów czy rysunków przedstawiających coś innego. Albo upijaniem się, żeby nie musieli już ani myśleć, ani mówić.

Natomiast dziewczyny... Dziewczyny mogły mówić o wszystkim. Nawet o tym, czego nie można dotknąć, jak nastrój, sny, albo plotki. Daj dziewczynie godzinę, a wypełni ją słowami. A Tony to właśnie lubił najbardziej: słuchać. I za tym najbardziej tęsknił, kiedy wyrzucili go ze szkoły. Był dobrym uczniem i gdyby go nie wylali, na pewno z łatwością zdałby egzaminy. Nawet teraz czytywał dwie książki tygodniowo: powieści, opowiadania, relacje z podróży. Uwielbiał uczyć się nowych rzeczy i słuchać opowieści o miejscach, w których nigdy nie był. Dlatego tak lubił pracować ze swoją nową szefową, Emily Jones, która potrafiła mówić szybciej niż komentator wyścigów konnych i widziała więcej, niż był w stanie sobie wyobrazić.

- Chociaż, ściśle mówiąc, nie nazywam się już Jones. Było słoneczne przedpołudnie. Tony i Emily siedzieli na ganku z tyłu Sea Catch Café. Obierki zalegały u ich stóp jak



strużyny, a obok stało pogieęte metalowe wiadro pełne ziemniaków. Na skraju podwórza szumiała rzeka.

- Nie w oczach Boga - ciągnęła Emily. Miała na sobie luźne dzinsy i białą koszulę z krótkim rękawem, którą związała w talii na węzeł. - I nie w oczach mojej matki. Według niej, jeśli wychodzisz za kogoś za mąż i przyjmujesz jego nazwisko, to już na zawsze. Nawet jeśli jest to ktoś, kogo zupełnie nie pochwała. I nawet jeśli okazuje się, że ten ktoś to kawał kutasa.

Tony zakrztusił się łykiem gorącej słodkiej herbaty. Emily mówiła o swoim byłym mężu, Bucku, amerykańskim żołnierzu, z którym po wojnie wyjechała do Stanów. I z którym się potem rozwiódła, i od którego uciekła z powrotem do domu.

- Tego ostatniego oczywiście jej nie powiedziałam. To znaczy nie dosłownie, bo tylko by się popłakała. Chociaż pewnie nawet nie wie, co to takiego kutas - dodała w zamyśleniu. - Nie wiedziałyby, co to, nawet gdyby jej go włożyć w rękę, wiesz.

Tony parsknął śmiechem.

- Co cię tak śmieszy? - spytała, zaciągając się papierosem, i uśmiechnęła się, ponieważ doskonale wiedziała co: jej przekleństwa i wulgaryzmy. Nauczyła się ich, gotując w restauracji wuja Bucka w New Jersey, gdzie pracowała przez sześć wieczorów w tygodniu, pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku. A teraz nie mogła się ich pozbyć. Podobnie jak akcent, przylgnęły do niej na zawsze.

- Zdaniem mamy, Bóg nie uznaje rozwodów, więc ona również nie.

Według niej nadal nazywam się Emily Drane. I pozostanę Emily Drane aż do śmierci. Drane - powtórzyła cierpko. - Samo nazwisko powinno mnie ostrzec, że Buck to kupa gówna.

Tony uśmiechnął się.

- Wyjdiesz jeszcze raz za mąż? - zapytał, przyjmując od niej pobrudzonego szminką papierosa.

- Może. Jeśli pojawi się właściwy facet. Ale nie zamierzam się spieszyć. -  
Z wiśni rosnącej na środku podwórza sfrunął kos. Płatki białych kwiatów  
wybuchły w powietrze zupełnie jak pocisk przeciwlotniczy. - Nie, jak raz  
się natniesz, zaczniesz się spieszyć powoli.

Tony strząsnął popiół z workowatych niebieskich spodni, które nosił  
zwykle w kuchni.

- A randki?

- A co? - spytała z fałszywą skromnością. - Znasz kogoś, kto chce mnie  
zaprosić?

Tony zaczerwienił się. Do rozmów z nową szefową trzeba było  
przywyknąć. Jej rodzice tylko wydawali mu polecenia.

- Nie - odparł. - Ale ktoś cię na pewno zaprosi. Faceci musieliby upaść na  
głowę, żeby nie próbować - dodał szczerze. Gdyby był o kilka lat starszy i  
gdyby nie pochłaniał go tak bardzo ktoś inny, pewnie sam spróbowałby  
szczęścia.

- Jak ktoś mnie zaprosi i będzie mi się podobać, to pewnie się umówię.  
Tylko tym razem nie będę brać zabawy za miłość, wiesz. Nie tak jak z  
Buckiem. A ty? Umówiłeś się już z Rachel Vale?

To pytanie padło tak znienacka, że serce nagle zaczęło mu się tłuc o żebra  
i tylko gapił się zakłopotany na Emily. Tym razem to ona się roześmiała.

- Bo u ciebie to tylko kwestia czasu - wyjaśniła. - Albo to ona cię  
zaprosi... - Szturchnęła go żartobliwie w bok. - Daj spokój, nie bądź taki  
spięty. Widziałam, jak na siebie patrzycie, kiedy tu przyszła. A raczej jak  
na siebie n i e patrzycie, a to jeszcze bardziej wymowne...

Tony aż się skrzywił na wspomnienie tego straszliwego skrepowania, gdy  
zostali z Rachel sami w kawiarni. Emily poszła wtedy po pończochy.

Pamiętał je. Leżał potem bezsennie w szopie dziadka, wyobrażając sobie  
Rachel tańczącą w cudzych ramionach, na zabawie, na którą nie poszedł,  
bo

nie chciał trwonić pieniędzy. Wyobrażał sobie, jakie te nylony są w dotyku... i jaka ciepła byłaby pod nimi jej skóra...

- Założę się, że się zgodzi - dodała Emily. - Założę się, że siedzi teraz i czeka, aż ją gdzieś zaprosisz. Powinieneś się pospieszyć. Bo na pewno nie będzie czekać w nieskończoność, jest na to za ładna. Nim się obejrzysz, ktoś inny zastuka do jej drzwi i stracisz swoją szansę.

- Skąd wiesz, że w ogóle mam jakąś szansę? - Po raz pierwszy przyznał się komuś, że myśli o Rachel. To było zupełnie jak spacer po cienkim lodzie, który w każdej chwili mógł się pod nim załamać.

- Nie wiem. I ty też nie.

- Zapomnij o tym - powiedział bardziej do siebie niż do niej. - To się nigdy nie uda.

- Dlaczego?

- Ponieważ między mną a rodziną Vale'ów zaszło coś, o czym nie masz pojęcia.

- Na przykład to, co twój brat zrobił panu Vale? Albo to, że pani Vale jeździ na wózku? I że Bill Vale obwinia o wszystko ciebie, bo nie ma tu twojego brata?

- A więc słyszałaś - stwierdził. Oczywiście, że słyszała. To miasto było za małe na tajemnice. To, że nigdy z nią o tym nie rozmawiał, nie świadczyło o niczym.

- Tata mi powiedział - wyjaśniła.

- No to już wiesz, dlaczego między mną a Rachel nic nie może zająć.

- Tata mówił również, że dobry z ciebie chłopak. Sumienny pracownik. I ja się z nim zgadzam.

- Niektórzy tak tego nie widzą.

- Na przykład Bill Vale?

- I jego matka.

- Ale nie Rachel?

- Nie wiem. - Przypomniał sobie, jak siedzieli z Rachel na cmentarnym murku po bójkę z Cunninghamem. Czy to

naprawdę zazdrość skłoniła ją do zrzucenia na niego puszki z farbą? Czy też oszukiwał sam siebie? - Może.

- Więc sprawdź.

Wyrzucił niedopałek. Nie chciał sprawdzać, bo mogło się to okazać tylko jego złudzeniem.

- Musisz myśleć pozytywnie - zabrzmiało to tak, jakby czytała w jego myślach.

Chciał, żeby miała rację, żeby wystarczyła sama chęć. Ponieważ marzył o tym, by znowu zobaczyć Rachel Vale, znowu z nią porozmawiać. Albo chociaż jeszcze raz zobaczyć jej uśmiech.

- Bill mnie zabije, jeśli się do niej zbliżę - stwierdził.

- Nie, jeśli będziesz miał dobry pretekst...

- To znaczy co?

Ale Emily już wstała, przeciągnęła się i wygładziła dzinsy.

- Czas wracać do pracy - powiedziała.

W kuchni z krokwi pod sufitem zwiisał arsenał rondli, a pęczki bazylii, rozmarynu, pietruszki i tymianku leżały na blacie kuchennym, rozsiewając gęsty i zawieszisty zapach. Emily obejrzała cienkie ciasto na makaron, które, nim wyszli na przerwę, Tony rozwałkował starannie pod jej nadzorem na poplamionej, drewnianej stolnicy. Wcześniej widywał taki makaron jedynie w puszkach.

Nie czekając na polecenie, zdjął z krokwi głęboki rondel i nappełnił go do połowy zimną wodą. Guy Mitchell śpiewał w radiu *Look at that Girl*, a Tony nucił wraz z nim, krojąc ziemniaki na ćwiartki, żeby się szybciej ugotowały, i wrzucając po jednym do garnka. Piętrzyły się na jego dnie jak kulki waniliowych lodów.

- Jedzenie dla owiec w drodze - oznajmił, stawiając rondel na piecu.

Owce. Tak Emily nazywała turystów, którzy przychodzili do Sea Catch Café, dlatego że zachowywali się jak stado i zawsze chcieli jeść to samo, w nieskończoność.

Wywieszane w oknie lokalu menu w kolorze sepii nie zmieniło się przez te osiem lat, które Emily spędziła w Ameryce. Były tu wszystkie podstawowe i nieciekawe brytyjskie potrawy: herbata z kruchym ciasteczkiem, tost z dżemem i oczywiście ziemniaki. Ziemniaki ze wszystkim: pieczone ziemniaki z wątróbką i cebulą; gotowane ziemniaki z kapustą i flakami; frytki z rybą w piątki; tłuczone ziemniaki z kurczakiem w niedzielę.

- Ale my to zmienimy - poinformowała Emily Tony'ego zaraz pierwszego dnia, kiedy matka pozwoliła jej przejąć kuchnię. - Po troszeczkę. Ty i ja. Razem nauczymy tych buraków, jak się jada.

Poprzednio wszystkie jego obowiązki były raczej niewdzięczne: szorowanie podłogi, przygotowywanie warzyw, zmywanie. Gotowała matka Emily, a jej ojciec prowadził kawiarnię.

- Nie chcę, żebyśmy pracowali dalej w ten sposób - zdecydowała Emily. - Chcę cię wyszkolić na kucharza. Chcę móc na tobie polegać, jak mnie tu nie będzie, i mieć pewność, że oboje potrafimy samodzielnie przyrządzić potrawy godne królów.

Nie żeby zbyt wiele koronowanych głów dobijało się już teraz do ich drzwi, przyznała. Nie póki lokal wygląda tak pospolicie i nijako. To się jednak zmieni. Państwo Jones obecnie naprawdę planowali przejść na emeryturę i wrócić do Walii, a Emily zamierzała odkupić od nich ten lokal za pieniądze, które dostała po rozwodzie od Bucka. Wtedy będzie mogła robić, co jej się spodoba.

- Marinara - oznajmiła teraz, skinąwszy na Tony'ego. - Podstawowy pomidorowy sos włoski. - Wstawiła wodę w żeliwnym czajniku i z brązowej papierowej torby wysypała na blat kilka pomidorów, po czym zaczęła nacinać je na krzyż z obu stron. - W ten sposób skórka łatwo odejdzie, jak je sparzymy - wyjaśniła.

Tony uwielbiał z nią pracować. Zmuszała go do używania nie tylko rąk, ale i mózgu, codziennie uczyła go nowych

technik kucharskich i przepisów. Ale musiał jej coś powiedzieć, coś, co jak się obawiał, poważnie skomplikuje jej plany. Za bardzo ją lubił, żeby dalej oszukiwać.

- Wiesz, że będę musiał odejść, jak skończę osiemnaście lat? - spytał. - To znaczy we wrześnie. Będę musiał iść do wojska.

Kiedy to w końcu z siebie wyrzucił, poczuł ulgę. A jeśli ona go z miejsca zwolni, cóż, przynajmniej był szczery, przynajmniej to ona go zawiedzie, a nie on ją.

- Aha - podała mu nóż i wskazała trzy ząbki czosnku.

- Więc po co mnie tego wszystkiego uczysz? - spytał i zaczął siekać.

- Ponieważ nadal będzie tu dla ciebie praca, jak wrócisz. Powiedziała to tak po prostu, choć jemu nigdy nawet nie przyszło do głowy, że mógłby o to prosić.

- Mówisz poważnie? - zapytał.

- Dlaczego w to wątpisz?

- Nie wiem. - Ale wiedział: ponieważ nie sądził, że jest w jej oczach coś wart.

- Szybko się uczysz, Tony. Będzie z ciebie dobry szef kuchni.

Oczywiście, że chcę, żebyś wrócił.

Z kieszeni dzinsów wyciągnęła notes i zaczęła w nim pisać tęym ołówkiem.

Tony uniósł do nosa listek bazylii, żeby ukryć uśmiech. Szef kuchni. Podobało mu się brzmienie tej nazwy. O ile armia nie wyśle go do Korei czy w jakieś inne miejsce, gdzie go szybko zabiją, kto wie, może będzie miała rację? Może tu wróci i podejmie u niej pracę? A potem... może kiedyś dorobi się nawet własnej restauracji?

Wyrwawszy kartkę z notesu, Emily wyciągnęła z szuflady kredensu kopertę.

- Muszę cię wysłać po sprawunki - powiedziała. - Ale czuć cię czosnkiem, więc najpierw idź umyć ręce. Potrzymaj je stalową łyżką, to usunie zapach.

- Czy to jakiś żart? - warknęła Rachel Vale. Jej policzki pokryła purpura, zupełnie jakby ją ktoś spoliczkował.

Miała potargane i wilgotne włosy, ponieważ właśnie myła je nad kuchennym zlewem, kiedy Bill zawołał, żeby przypilnowała sklepu, bo on musi przyjąć na podwórzu dostawę węgla. Żyłka pulsowała jej gniewnie na szyi, tuż nad kołnierzykiem rdzawej, kraciastej sukienki z przymarszczonym karczkiem. Kiedy opuściła ramiona i zacisnęła dłonie w pięści, przypominała Tony'emu Calamity Jane z historyjki, którą kiedyś czytał. Kowbojka zbiła w niej na kwaśne jabłko dwóch facetów, którzy próbowali ukraść jej konia.

- Co? - spytał Tony. Rzuciła mu list.

- To!

Na ladzie, obok listu, leżała koperta, w której Tony go przyniósł.

Wypisane na niej było pochyłym pismem Emily imię Rachel. Wziął list, zastanawiając się, co też takiego napisała jego szefowa, że wywołało aż taką reakcję.

*Kochana Rachel!*

*Chciałbym się z Tobą umówić.*

*Spotkajmy się dzisiaj przy wieży kościoła Świętej Hildy o siódmej wieczorem, żeby ustalić szczegóły.*

*Twój pełen nadziei Tony Glover*

Przełknął ślinę. Zamrugął. Ponownie przeczytał list, a potem patrzył na niego, nie wierząc własnym oczom, zbyt oszołomiony, by coś powiedzieć. Umówić się? Emily powiedziała mu, że to lista zakupów. Przy kościele o siódmej? I kazała mu dostarczyć tę kopertę Rachel jak najszybciej (Ale nie Billowi - zaznaczyła i teraz Tony zrozumiał dlaczego). Twój pełen nadziei? Czy ona oszalała? Chyba ją zabije! Za kogo się uważa, żeby tak się

wtrącać w jego życie? I to kto, ona, rozwódka z Ameryki... Od kiedy to została specjalistką w sprawach sercowych? Poczul, że jest mu niedobrze z zażenowania. O Chryste, co ona narobiła?

- No? - Rachel dźgnęła list palcem, jakby to było jego oko.

Tony poczul od niej zapach szamponu, którego widocznie nie miała czasu dokładnie spłukać. To był SiMkrin, używała go również jego matka, ale nawet ta swojskość nie przyniosła mu ulgi.

- Mogę wyjaśnić - zaczął.

Wtedy uświadomił sobie, że nie może. To znaczy może, oczywiście.

Może potwierdzić podejrzenia Rachel, że to żart. Może jej powiedzieć, że to żart Emily i jej pismo. Ale Rachel najprawdopodobniej mu nie uwierzy albo dojdzie do wniosku, że Emily nie jest zdolna do takich numerów. I pomyśli co innego: że to był jego żart, jego charakter pisma i że zrobił to, bo chciał być wobec niej okrutny.

- O co chodzi? Kot ci odgryzł język?

Usta Tony'ego otworzyły się, zamknęły, po czym otworzyły ponownie. Żołądek mu się skurczył. Nawet jeśli powie prawdę, a Rachel mu uwierzy, i tak będzie dotknięta i uzna, że padła ofiarą okrutnego żartu. A tego nie chciał.

Szczególnie że nie miało to nic wspólnego z okrucieństwem. W taki pokręcony sposób Emily chciała mu po prostu pomóc. „Nie, jeśli będziesz miał dobry pretekst”, powiedziała na ganku. I właśnie to mu teraz dała. Pretekst.

- Bo jeśli sądzisz, że możesz po prostu tu przyjść i robić ze mnie głupią, to grubo się mylisz - oświadczyła Rachel, przedzierając list na pół. - Chyba nie sądzisz, że dam się na to nabrać? Nie jesteś chyba aż tak tępy, żeby sądzić, że przyjdę pod kościół i dam twoim kumplom okazję do śmiechu!

- Ja...



- Bo tak się nie stanie. A wiesz dlaczego? Ponieważ cię nie lubię, Tony Glover. Ani trochę cię nie lubię. Jesteś arogancki. I głupi. I równie przystojny jak świński zadek - dokończyła triumfalnie. - No i co teraz powiesz?

Tony miał ochotę powiedzieć, że jest wyjątkowa. Nawet kiedy mówi mu takie rzeczy. Nawet jeśli mówi je w taki sposób. Nawet jeśli rzeczywiście życzy mu śmierci. Czuł, że skupia się na nim cała siła jej osobowości, tak jak szkło powiększające skupia promienie słoneczne. To było cudowne. Wręcz pożałował, że sam nie napisał tego listu. Nagle zapragnął być równie szalony jak Emily Drane. Tyle że teraz Emily nagle przestała mu się wydawać szalona.

- To nie jest żart - odparł. I mówił prawdę. To już nie był żart. Wziął oba kawałki listu, złożył je razem i obrócił na ladzie w jej stronę. - Chcę się z tobą umówić. - Powiedział to powoli, tak żeby nie pozostawić żadnych wątpliwości.

Z zaplecza sklepu wyszedł Bill Vale.

- Co ty tu robisz? - zapytał Tony'ego z kamienną twarzą. Tony zrozumiał, że stracił swoją szansę. Już nie zdoła przekonać Rachel, że przed chwilą mówił prawdę: ona nadal będzie uważać, że to część żartu. Nagle drgnął i mimowolnie spojrzął na porwany list leżący na środku lady, choć wcale tego nie chciał. Zupełnie, jakby niepatrzenie na list mogło sprawić, że Bill go nie zauważy. Ale było już za późno.

Obaj sięgnęli po niego równocześnie. Jednak Rachel okazała się szybsza. - To od Emily - wyjaśniła bratu, cofając się i zasłaniając list ramieniem. - Lista zakupów. Zadzwoń i powiedz, że wysyła swojego... - spojrzała na Tony'ego z wyraźnym obrzydzeniem - ... „chłopaka” z listą. A jemu udało się ją nawet podrzeć po drodze...

Tony nie mógł uwierzyć własnym uszom. Dlaczego go kryła? Przecież wystarczyło, żeby dała list bratu, a potem tylko usiadła i podziwiała pokaz fajerwerków, jaki tu wybuchnie.

- Dwa funty mąki kukurydzianej - wyliczała, udając, że czyta z kartki - i dwie puszki mleka skondensowanego...

- Poczekaj na zewnątrz - polecił Tony'emu Bill. - Wszystko jedno, dla kogo załatwiasz sprawunki, tu nie masz wstępu. Wynoś się. Zaraz ci przygotuję zamówienie Emily.

- Tony Glover! - zawołała za nim Rachel.

Pakowała zakupy do kartonowego pudełka. Uniosła w górę podarty list, żeby i on, i Bill mogli go zobaczyć. Tony tak właśnie podejrzewał. Że tylko się z nim drażniła. A teraz powie wszystko bratu.

- Odpowiedź brzmi „tak” - powiedziała.

- Odpowiedź na co? - zdziwił się Bill.

- Na pytanie z listu.

- Jakie pytanie? - dociekał Bill.

- Nieważne - odparła Rachel, sięgając po paczkę mąki. Kiedy do Tony'ego dotarło znaczenie jej słów, poczuł, że jeśli o niego chodzi, nigdy w życiu bardziej się nie myliła.

Tony chyba po raz dziesiąty popatrzył w głąb cmentarza, a potem na zegar na kościelnej wieży, wokół której nietoperze uganiały się bezszelestnie za owadami, przemykając przez perłową tarczę księżyca jak błyski przez powierzchnię studni. Liście jaworów zwisały nieruchomo z gałęzi, czarne jak smoła. Zegar wskazywał minutę po siódmej: Rachel Vale się spóźniała.

Albo w ogóle nie zamierzała przyjść. To było przecież bardziej prawdopodobne. Że zmieniła zdanie albo że od początku w ogóle nie zamierzała się z nim spotkać. No bo kto powiedział, że nie obmyśliła własnego żartu i nie kazała mu tu czekać jak głupkowi, żeby się poczuł tak, jak ona w sklepie?

Tony spróbował zastosować się do zasady Emily i myśleć pozytywnie, ale nic mu z tego nie wyszło. Raczej obawiał się

najgorszego, bo nagle Rachel stała się dla niego zbyt ważna, by ją stracić. Dlaczego? - zapytał sam siebie. Dlaczego właśnie ona? Skąd ta niewiarygodna potrzeba, żeby ją zobaczyć? Czy robił to dla siebie, gdyż sądził, że nigdy jej nie zdobędzie, a zdobycie jej oznaczałoby, że może zdobyć wszystko?

Czy może robił to dla niej? Ponieważ uczynienie jej szczęśliwą odkupiłoby ból, jaki sprawił jej jego brat? Czy o to tu chodziło? O przebaczenie? Zadośćuczynienie?

A może robił to dla nich obojga? Bo może razem byliby w stanie osiągnąć szczęście, które zawsze będzie im się wymykać, jeśli pozostaną z dala od siebie?

Zadrżał. Prawda była taka, że nie wiedział. Choć nie miało to znaczenia. Po raz ostatni wyteżył słuch, próbując wyłowić jakikolwiek dźwięk, który świadczyłby, że Rachel nadchodzi. Bezskutecznie. Był tutaj całkiem sam. Czekał obok popękanej i zbutwiałej drewnianej ławki stojącej po przeciwnej stronie cmentarza niż grób Edwarda Vale. W dniu pogrzebu, osiem lat temu, matka Tony'ego nie pozwoliła mu iść do szkoły.

Zatrzymała go w domu i zasłoniła wszystkie okna. Chociaż chciał wyjść. Tłumaczył jej, że nie ma nic do ukrycia. Ale ona odparła, że to nic nie da. Teraz wyglądało na to, że miała rację, a Emily się myliła.

Perspektywa długiej jazdy na rowerze do szopy dziadka działała na niego przygnębiająco. Przez ostatnie kilka dni starał się jak najbardziej opóźnić swój powrót do szopy. Wczoraj też wolał zostać z Petem i Arthurem w klubie bilardowym Bay Road aż do zamknięcia, czyli do jedenastej wieczorem.

Nie mógł znieść samotności, choć Donowi powiedział coś wręcz przeciwnego, kiedy ojczym wpadł w zeszłym tygodniu sprawdzić, jak mu się wiedzie.

- Twoja matka czuje się winna - poinformował go Don. - Jeszcze tego nie powiedziała, ale znam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć.

Po tym oświadczeniu wszystko, co Tony mu pokazywał

- piec, jaki sobie sklecił, izolacja szopy i cynowa wanna

- stało się bez znaczenia, jak dziecięce klocki. Skoro jego matka chciała, żeby wrócił, dlaczego nie mogła mu tego po prostu powiedzieć? Dlaczego nie mogli o tym porozmawiać i wszystko sobie wyjaśnić?

Wiedział dlaczego: podzieliły ich nie słowa, ale czyny. Jego czyny.

Musiał więc wytrzymać. Musiał jej pokazać, że potrafi poradzić sobie sam. Jak dorośli. Żeby móc wrócić, musiał jej udowodnić, że potrafi żyć samodzielnie.

Ruszył zarośniętą ścieżką wśród nagrobków w stronę bramy kościoła.

Nagle zeszywniał.

Trzask.

I znowu. Trzask gałązki. A potem syknięcie. I znowu. Aż w końcu dotarło do niego, że ktoś szepce jego imię.

- Tony? Jesteś tu, Tony?

Kiedy ją zobaczył - stała w cieniu marmurowego nagrobka

- miał ochotę podskoczyć z radości, ale nie pozwolił sobie na to. Najpierw musiał sprawdzić, czy przyszła tu z tego samego powodu co on. Wyszedł z cienia, żeby go mogła zobaczyć.

- Tutaj - szepnął.

Zamierzał powiedzieć coś zupełnie innego: „Jesteś piękna” i „Nie przestałem o tobie myśleć od czasu tej bójki”, coś, co byłoby szczerą prawdą, ale powiedział tylko: „Tutaj”. Ponieważ teraz liczyło się jedynie to, że przyszła.

Zbliżyli się do siebie i stanęli twarzą w twarz. Ich oddechy zmieszały się w zimnym, wieczornym powietrzu. Miała włosy szesane do tyłu i przytrzymane białą opaską, a ubrana była w gruby sweter z dekoltem w serek i apaszkę. Jej pełna blasku skóra miała dokładnie kolor księżycy.

Wydawała się eteryczna, jakby tu przybyła z innego, piękniejszego świata. Wiedział, że tak właśnie zapamięta ją aż do śmierci.

- Udało ci się wyrwać?

- Powiedziała mamie i Billowi, że muszę pożyczyć od Pearl podręcznik... - zabrakło jej tchu. Była podniecona... A może przestraszona?

- Uważasz, że oszalałem, prawda? - zapytał. Jej oczy rozbliły.

- A czy nie dlatego tu jestem?

- Dlatego że lubisz szaleńców?

- A może dlatego, że też chcę oszaleć...?

Bill... Keith... Wszystko, co Tony planował jej o nich powiedzieć, o tym, jak wpłynęli na życie ich obojga, nagle przestało być ważne. Nie chciał teraz o tym mówić. Nie chciał, żeby ich bracia wykradli im tę chwilę. Chciał, żeby należała tylko do nich.

Rachel podeszła bliżej i przyjrzała mu się tak uważnie, że przez jedną, szaloną chwilę miał wrażenie, że zamierza go pocałować.

- Wyglądasz dziwnie - stwierdziła, wyciągając mu krawat na wierzch marynarki.

Roześmiał się. Kiedy to zrobił, przynajmniej część napięcia ustąpiła, a wyraz jego twarzy złagodniał.

- To znaczy, nie chciałam powiedzieć, że wyglądasz źle - wyjaśniła. - To nie to. Po prostu wydajesz się starszy. Pewnie przez ten krawat.

Powiedziała „starszy”, ale domyślił się, że chciała powiedzieć „nudny”.

Wiedział, że założenie krawata było błędem, ale nie miał wyboru.

- To prezent - wyjaśnił. - Od Emily.

Emily przygotowała go dla niego, kiedy wrócił ze sklepu Vale'ów. Żeby nie wyglądał, jakby się przez cały dzień pocił w kuchni, powiedziała.

Kazała mu skorzystać z łazienki na górze, pożyczyła mu też wyprasowaną błękitną koszulę. Obciął paznokcie, uczesał się i tak długo polerował buty, aż zaczęły błyszczeć jak górski kryształ. Potem wymusił na Emily obietnicę, że nikomu nie zdradzi, że zamierza się

spotkać z Rachel Vale. I że nigdy - pod żadnym pozorem

- nie powie o tym ani słowa Billowi Vale.

- Przyjaźnicie się? - spytała Rachel. Przyjaźnili się? Miał taką nadzieję.

- Na ile to możliwe pomiędzy szefową a pracownikiem

- odparł.

- Chciałabym mieć pracę - stwierdziła.

- Kiedyś będziesz miała.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Niekoniecznie. Mogę bogato wyjść za mąż. Albo sama się wzbogacić i przejść na emeryturę w wieku trzydziestu lat.

- To prawda - wiedział, że żartuje, ale przypomniał sobie, jak mu stawiała dziś czoło w sklepie. Pomyślał, że pewnie będzie w stanie osiągnąć wszystko, na czym jej będzie zależeć.

- Lubisz swoją pracę? - spytała. - Wolisz ją od szkoły? Nigdy dotąd nie porównywał tych dwóch rzeczy.

- Nie ma chyba między nimi wielkiej różnicy - odparł.

- I tu, i tu chodzi o uczenie się, o zdobywanie wiedzy, która pozwoli ci iść dalej.

- Czyli dokąd?

- Nie jestem pewien. - Uśmiechnął się. - Stawiasz masę pytań.

- Próbuję cię rozgryźć.

- I dlatego przyszedłeś? - spytał.

- Nie wiem. Nie powinnam była. W ogóle nie powinno mnie tu być.

- Żadnego z nas nie powinno tu być. Spoważniała.

- Na ten temat możemy zadyskutować się na śmierć

- powiedziała. - Myślałam o tym, jak tu szłam.

- I o czym jeszcze?

- Że trzeba było stalowych nerwów, żeby zrobić to, co ty dzisiaj. Żeby wejść do naszego sklepu i zaprosić mnie na randkę.

Oraz niespodziewanej pomocy, pomyślał Tony.

- I że żadne z nas by tu nie przyszło, gdyby tego nie chciało - dodała. Popatrzyli na siebie w milczeniu. Czuł, jak ta chwila mu się wyślizguje, ale nie mógł wymyślić nic, żeby ją zatrzymać.

Rachel zadrżała.

- Zaraz będę musiała wracać - stwierdziła. - Inaczej mama i Bill zaczną zadawać pytania...

Tony poczuł się zdruzgotany, nieszczęśliwy. Umknął jej spojrzeniem.

- Więc pewnie się zobaczymy przy jakiejś okazji... Nagle złapała go za klapy marynarki.

- Pocałuj mnie - zażądała szeptem.

Nim się zorientował, nim zdołał uczynić jakiś ruch, ich wargi zetknęły się w pocałunku. Zamknął oczy. To było takie uczucie, jakby szybował w powietrzu.

Oderwała się od niego nagle, jakby ją coś odrzuciło. Kiedy się cofała, trafiła obcasem na pęknięty wazon, na wpół ukryty w kępie żonkili. Z pobliskiego nagrobka bez zmrużenia oka obserwowała ich biała sowa.

Tony całował się wcześniej z mnóstwem dziewczyn, ale nigdy w ten sposób. Nie potrafił wyrazić, jak bardzo czuł się z nią związany, wręcz w niej zatopiony. Chciał, żeby to trwało w nieskończoność.

Rachel wyciągnęła ręce i rozwiązała mu krawat, najpierw ściągając węzeł w dół, a potem całkiem go rozplątując, aż zwisał mu z szyi jak wąż.

- Tak jest lepiej - stwierdziła. - Tak wyglądasz bardziej znajomo. Choć tak naprawdę to wcale cię nie znam.

Ta uwaga sprowadziła go z powrotem na ziemię.

- Mogę go zatrzymać? - spytała, ściskając nadal krawat w rękę.

- Myślałem, że ci się nie podoba.

- Bo mi się nie podoba. - Przysunęła materiał do twarzy i wciągnęła przez niego powietrze. - Ale będzie mi o tobie przypominał.

Pocałowała go mocno w usta.

- Muszę już iść - powiedziała.

Ostateczność tego stwierdzenia wywołała u niego atak paniki.

- Kiedy cię znów zobaczę? - wyrwało mu się. Nagle zapomniał o wszystkim, czego się nauczył o dziewczynach,

O tym, że zawsze należy zachować przy nich rezerwę. Nagle najważniejsze stało się to, żeby Rachel nie miała wątpliwości, jak bardzo chce ją znów zobaczyć. Mieszkali w tym samym mieście przez całe życie; już dość czasu stracili.

- Sam zdecyduj. Napisz do mnie znowu.

- A co z Billem? - spytał, pamiętając, jak bliski był dziś jej brat przejęcia listu. Z drugim mogło się już tak nie udać.

Rachel rozejrzała się i zatrzymała wzrok na wazonie leżącym u jej stóp.

- Włóż list tutaj - powiedziała, klękając. Postawiła wazon

i przycisnęła go dla pewności płaskim kamieniem. - A ja ci odpiszę. Od teraz to jest nasze miejsce.

Pocałowała go po raz ostatni, a potem ścisnęła mu dłoń tak mocno, że aż zabolęło.

- Zawsze bądź taki romantyczny - szepnęła mu na ucho. A potem znikła, po prostu rozplynęła się w ciemności.



## Rozdział IX

### Majorka, współcześnie

Przez świetlik wpadały promienie słońca, a zimny prysznic wyłączył się automatycznie w momencie, kiedy Sam spod niego wyszedł. Zmieszana z pianą woda zniknęła w odpływie, a w powietrzu unosił się zapach rumiankowego żelu do kąpieli. Sam pozwolił, by woda skapywała z niego na wyłożoną białymi płytkami podłogę. Popatrzył uważnie na swoje odbicie w podświetlanym lustrze do golenia, po raz pierwszy zwracając uwagę na delikatne zmarszczki w kącikach oczu.

Kurze łapki. Tak nazywała je matka, kiedy w dzieciństwie wskazał je na jej twarzy. Przypomniawszy sobie, jak stara mu się wówczas wydawała. A kiedy obliczył, ile miała wtedy lat, uśmiechnął się do siebie. Pewnie właśnie przekroczyła trzydziestkę, tak jak on teraz. Miała przed sobą jeszcze tyle życia. Zastanawia! się, czy o tym wtedy myślała. I czy podejrzewała, jak szybko minie ten czas.

Zmarszczki od śmiechu, a nie kurze łapki, stwierdził, obserwując, jak się pogłębiają, gdy się uśmiecha. Albo zmarszczki od śmiechu, albo za mało kremu do opalania. Na pewno nic związanego z wiekiem, zapewnił sam siebie. Ani ze stresem. Odgarnął do tyłu włosy i zaczął pocierać skronie opuszkami kciuków, tak jak go nauczyła lekarka. Stres rodzi się w mózgu, powtórzył sobie w myślach.

Poszedł sprawdzić, co robi Archie. Choć minęło zaledwie dziesięć minut, odkąd położył go do łóżka i poczytał mu

bajeczki, maty już zasnął. Sam stał przez chwilę, nasłuchując jego oddechu. Synek leżał zwinięty w łóżeczku, przytulony do pluszowego misia panda. Bez względu na to, jak niewiele sensu miało czasami życie Sama, Archie zawsze mu przypominał, że tkwi w nim jakiś cel. Wrócił myślami do poranka, do momentu, kiedy Archie wślizgnął się do sypialni i złapał go za palce, powtarzając szeptem „tata wstawaj, tata wstawaj”, póki nie zwłókł się wreszcie z łóżka. W kuchni powycinali kromki chleba w rybki, a potem Sam opiekł je i nakładał na nie jajecznice. Odkrył, że Archie nie lubi już jadać platków z plastikowej miseczki. Woli porcelanową, „jak dolośli”. Sam uśmiechnął się, ale był to smutny uśmiech. Ponieważ oto właśnie, na jego oczach, z każdym nowym słowem, jakie Archie zdołał opanować, upływało jego życie. Z każdą godziną, dniem, rokiem.

- Śpij słodko, mój królewiczu - powiedział cicho, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Wycierając się ręcznikiem, ruszył do sypialni, którą dzielił z Claire. Noc była tak parna, że miał wrażenie, jakby cały czas się pocił. Dobroczynne skutki zimnego prysznica zdążyły już zniknąć. Nastawił klimatyzację na maksimum. Włączyła się z lekkim stuknięciem i zaczęła cicho szumieć. Pozwolił, by ręcznik zsunął mu się do stóp. Stał nago pod zawieszonym na suficie wiatrakiem wentylatora i przez adamaszkowe zasłony patrzył na oświetlone sylwetki jachtów zacumowanych u stóp wioski, rufami do nadbrzeża Puerto Portals.

Jeden z nich, trzydziestopięciometrowy motorowy jacht o nazwie „The Dark Angel”, Claire odziedziczyła po dziadku (nieoficjalnie; według prawa jacht należał do firmy).

To na tym jachcie, koło Biarritz, umarł Tony. Ale dziś miało się tam odbyć przyjęcie, którego gospodarzami byli Claire i Sam, a oba pokłady zostały już udekorowane czerwonymi (ulubiony kolor Claire) balonami. To była ich rocz-

nica ślubu, przesunięta o kilka tygodni ze względu na śmierć Tony'ego. Claire świetnie sobie radziła z organizowaniem rocznic, a właściwie z organizacją wszelkich przyjęć. Dzisiejsza uroczystość miała być jednak znacznie skromniejsza, niż planowała, ponieważ - jak zaproponował Sam - usunęli z listy gości rodzinę. Żeby nie przywoływać wspomnień o pogrzebie Tony'ego, wyjaśnił.

Jego żona siedziała na brzegu łóżka ubrana w czerwony koronkowy pas do pończoch i stanik od kompletu. Sam kupił ten zestaw w jej ulubionym sklepie na Westbourne Grove, kiedy ostatnio pojechał służbowo do Londynu. Kremowy jedwabny szlafrok, który miała na sobie, gdy wrócił z partyjki squasha, leżał rzucony niedbale na szorstki, sizalowy dywan. Dyskretnie ukryte głośniki pulsowały niskimi tonami. Naprzeciw niej, na ścianie w kolorze złamanej bieli, umieszczony został telewizor, jeden z trzech, jakie kazała zainstalować w tym liczącym pięć sypialni apartamencie. Na płaskim ekranie migało „MTV Dance”, a Claire wpatrywała się w niego nieruchomym wzrokiem. Bez makijażu, w migoczącym, sinym świetle, wyglądała jak wampir.

Pokój, utrzymany w tonacji szaro-beżowej, sprawiał dziwnie anonimowe wrażenie. Urządziła go Claire, która zawsze lubiła zajmować się projektowaniem wnętrz. Odkąd Sam ją znał, powtarzała, że pewnego dnia zajmie się tym zawodowo. Chciał, żeby to zrobiła. Ponieważ całą opiekę nad Archiem powierzyła niani, Isabel Salvador, widać było, że macierzyństwo daje jej niewiele satysfakcji. Więc czemu nie miałyby się zająć czym innym? Dałoby to im nowy temat do rozmowy, coś innego niż sprawy domowe i plotki... Ambicje, praca... Sam był zdania, że każdy powinien mieć coś takiego. To były wartości, które cenił, które ceniłby w niej. Jednak zawsze kiedy proponował jej pomoc w urzeczywistnieniu tego pomysłu, podchodziła do tematu niechętnie. Powtarzała, że to nie

jest odpowiednia pora, a sposób, w jaki to mówiła, kazał mu podejrzewać, że właściwa pora nigdy nie nadejdzie.

- Co sądzisz? - spytała, kiwając do niego stopą. Pomalowała sobie paznokcie u nóg na złoto.

Fragment wspomnienia z dzieciństwa nagle wyłonił się z zakamarków umysłu Sama. Jadł czekoladę i oglądał telewizję na kolorowym telewizorze, który ojciec przyniósł do domu pewnego deszczowego popołudnia tuż przed gwiazdką.

- Wyglądasz jak dziewczyna Bonda - odparł.

Claire uśmiechnęła się. Pochlebił jej? Rozbawił? Nie potrafił określić.

- Złotopalca - zanuciła prowokacyjnie na melodię tematu z filmu *Goldfinger*, po czym założyła nogę na nogę tak, żeby zauważył, że nie ma na sobie majtek. - Albo Pussy Galore - zażartowała. Zaczęła chichotać, kiedy przebiegł wzrokiem po jej opalonych udach. - Więc powiedz mi, mężu, czy po tylu latach małżeństwa nadal masz ochotę mnie schrupać? Kochali się - tak to nazywał, ponieważ chciał w to wierzyć - w klimatyzowanym wnętrzu, a nad nimi powoli obracał się wentylator. Pod sam koniec poczuł, jak paznokcie Claire zagłębiają się w jego ramiona. Miała zamknięte oczy, usta zaciśnięte. Nauczył się, że namiętność potrafi zniewolić. Z miłością albo bez niej. Z miłością wielką lub nie.

- Mocniej - nakazała. Zobaczył, że otwiera oczy. - Spójrz na mnie, Sam. Spójrz mi w oczy.

Serce waliło mu jak młotem. Zrobił, jak mu kazała. Musiał jej udowodnić, że jej pragnie. Musiał to udowodnić również sobie. Zupełnie tak, jakby każdym swym ruchem w jej wnętrzu próbował ich do siebie zbliżyć, scementować. Chciał, żeby stali się jednością. Chciał, żeby stopili się w jedno jak dwie substancje chemiczne, które tworzą razem nierozkładalny związek.

Przetoczyli się po łóżku. Przywarła do niego, pochyliła się nad nim, a nefrytowy naszyjnik kołyszący się między jej szpiczastymi piersiami, uderzał go raz po raz w twarz i pierś. Zaczął gorączkowo całować jej twarz. Poruszał się teraz szybciej, mocniej, aż wreszcie wytrysnął.

Opadła na łóżko.

- Wszystkiego najlepszego na dalszej drodze życia - wydyszała.

Leżał obok niej, oddychając ciężko, przywołując w myślach ten moment, kiedy nagle otworzyła oczy i kazała mu na siebie patrzeć. Strużka potu spłynęła mu po szczęce i szyi.

I wtedy go to dopadło. Kiedy wzięła go za rękę i uścisnęła ją mocno. W tym momencie, który powinien stanowić chwilę doskonałej jedności. Serce nagle na moment mu zamarło, po czym zaczęło walić w zawrotnym tempie. Całe powietrze uciekło mu z płuc jak płomień. Czuł się schwyty w pułapkę, jakby się znalazł pod wodą. Na czole zebrały mu się kropelki potu. Odwrócił się tyłem do Claire, żeby nic nie zauważyła. Instynkt nakazywał mu się schować pod łóżkiem, zwinąć w kłębek na podłodze. Uciekaj od niej, zdawał się krzyczeć. Ale stłumił go w sobie. Wiedział, co się dzieje. Ta sama słabość dopadła go w chwili, gdy na pogrzebie stanął za pulpitem i nagle zobaczył Laurie Vale. To tylko strach. Musi go opanować. Bo jeśli nie zdoła, znowu dojdzie do ataku paniki: będzie tak trwał, bez tchu, zdezorientowany, przerażony i ze ściśniętym żołądkiem w nieskończoność.

Wiedział, co będzie dalej, ponieważ to właśnie przydarzyło mu się po pogrzebie, kiedy Rachel ogłosiła reszcie rodziny zgromadzonej w Dreycott Manor wiadomość, że Sam przejmuje kontrolę nad Araratem, po czym poprosiła go, żeby powiedział kilka słów. Zaczął się wtedy jąkać jak nigdy, a na widok zaniepokojonych spojrzeń rodziny zdołał przeprosić i wyjść. Zamknął się w łazience i dopiero tam dopadła go prawdziwa panika.

- Sam, nic ci nie jest? - spytała teraz Claire.

Walenie basów w głośnikach jeszcze się wzmogło. Powoli - jeden, dwa, trzy, cztery - Sam policzył do dziesięciu. Skupił się na zegarze wiszącym na ścianie, powtarzając sobie, że ten ból jest psychosomatyczny. Minie. Na pewno. W swoim czasie. Podobnie jak lęk. I to przeczucie, że zaraz zostanie zdemaskowany, które chodziło za nim krok w krok od czasu pogrzebu Tony'ego. W swoim czasie to wszystko minie, zapewnił sam siebie w myślach.

Poddał się badaniom natychmiast po powrocie na Majorkę. Te najpoważniejsze sprawy: rak, choroba serca - badania (ekg, krew) wyszły poprawnie. Firmowa lekarka upatrywała przyczynę tego epizodu w stresie. Nic dziwnego, zważywszy, co się stało z Tonym, stwierdziła. Kazała mu potem opowiedzieć, co mu się śni, i zapytała, czy czasami czuje się tak, jakby tracił kontrolę nad swoim życiem. Kiedy zaprzeczył, zaleciła mu więcej odpoczynku, mniej alkoholu (nie, żeby z tym przesadzał) i dużo snu. I cierpliwość. Ponieważ czas to najlepsze lekarstwo.

- Sam? - dotarło do niego zaniepokojenie, obecne już teraz w głosie Claire (nic jej nie mówił o swej wizycie u lekarza).

Osiem, liczył dalej. Dziewięć... Sekundowa wskazówka zegara posuwała się naprzód. Ból cofnął się z jego piersi równie szybko, jak się pojawił, zupełnie jakby wypuściła go z uścisku jakaś ogromna ręka. Ramiona rozluźniły się. Serce zwolniło. Głęboko wciągnął powietrze i zamknął oczy.

Najwyższym wysiłkiem woli zmusił się, żeby odpowiedzieć.

- Nic mi nie jest.

Kiedy odwrócił się w stronę Claire, miał na twarzy wymuszony uśmiech. Po chwili uśmiech stał się prawdziwy, ponieważ uświadomił sobie, że przynajmniej na razie pokonał to coś - zmartwienie, strach - dokładnie tak, jak go zapewniła lekarka. Potem pojawił się gniew, gniew na własną słabość.

- Co się stało? - spytała.

- Nic.

- Nagle zamarłeś - popatrzyła na niego uważnie - a twoja twarz nabrała bardzo ciekawego koloru.

Wstał, podniósł z podłogi ręcznik i otarł nim pot z czoła. Usiadł na brzegu łóżka.

- Chyba się odwodniłem - schrypnięty głos uprawdopodobnił to kłamstwo.

Przyglądała mu się sceptycznie.

- Jesteś pewien, że to tylko to?

- Tak.

Wzięła z toaletki butelkę wody Evian.

- Masz, napij się.

Wypił ją duszkiem, cały litr.

- Odzyskujesz kolory - stwierdziła. - Dobrze, że ci pomaga.

- Dlaczego?

- Grać w squash w taką pogodę, a potem się pieprzyć... nic dziwnego, że tak się poczułeś.

Odetchnął głęboko. No właśnie. Miał wymówkę i nawet jej nie wykorzystał. Grał po pracy w squash z Gunterem, swym przyjacielem i współpracownikiem. Przegrał pięć razy z rzędu (były to jedyne zwycięstwa Guntera we wszystkich ich dotychczasowych meczach).

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się zadowolony, że stać go na żarty z tego epizodu. Bo rzeczywiście było go na nie stać: czuł się normalnie, a jego serce biło miarowo. Zupełnie tak, jakby nic się nie stało.

- Trochę głupio, no nie? - stwierdził.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Wyraźnie się odprężyła.

- Choć to niewątpliwie utrzymuje cię w dobrej formie. - Uklękła za nim na łóżku i pogładziła po muskularnych ramionach. Zaczęła masować mu kark. - Nadal jesteś strasznie spięty. Martwisz się dzisiejszym przyjęciem?

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno. Czym miałbym się martwić?

Pominięła to pytanie milczeniem. Oboje wiedzieli czym. Tym niezwykłym zachowaniem po pogrzebie, kiedy Rachel poprosiła go, żeby powiedział kilka słów. Po wyjściu z łazienki wyjaśnił, że się nie jękał, tylko zakrztusił, ponieważ prawie połknął gumę do żucia. Nie sądził jednak, żeby ktoś mu uwierzył. A teraz nawet zdobył na to dowód.

- Niczym - odparła Claire. - Dziś nie musisz wygłaszać mowy.

- Przecież mówiłem, że się nie martwię - warknął. Nikt dotąd nie wspominał przy nim o tamtym incydencie. Miał cichą nadzieję, że został zapomniany, że zniknął przytłoczony większym nieszczęściem. Ale oczywiście wszyscy o nim pamiętali. Claire o nim pamiętała.

- No nie bądź taki - zganiła go, po czym zaczęła rozważać przyczyny: - Skoro to nie przyjęcie tak cię stresuje, to zastanawiam się, co to może być? - Nie podobała mu się kpina w jej głosie. A jeszcze mniej spodobało mu się pytanie, jakie mu po chwili zadała: - No bo chyba nie masz dalej bzika na punkcie Laurie Vale?

Poczuł, jak w opuszkach palców znowu zbiera mu się napięcie. Musiał uważać na odpowiedź. Claire była bystra. Właśnie ta cecha przyciągnęła go do niej przede wszystkim. Ale i on był bystry, na tyle bystry, żeby wiedzieć, że nie może po prostu zlekceważyć jej pytania jako przejawu pustej ciekawości albo z troskania żony.

Czy już stała się podejrzliwa? O to bał się najbardziej. Czy zdradził go język ciała, kiedy przedstawiał się Laurie na pogrzebie, jakby była nieznajomą? Czy Claire zaczęła się zastanawiać, dlaczego omija wzrokiem piękną nową krewną? Czy może raczej zauważyła strach w jego oczach, kiedy wczoraj wieczorem powiedziała mu o przyjeździe Laurie na wyspę? Czyżby intuicyjnie postawiła właściwą diagnozę



tam, gdzie nie udało się to lekarce? Że powodem jego niepokoju jest kobieta, która ponownie pojawiła się w jego życiu i miała moc, aby je zniszczyć?

Na szczęście, odpowiadając Claire, nie musiał udawać zdegustowania ostatnimi wydarzeniami.

- Nie mogę uwierzyć, że nawet się mnie nie poradziła.

- Kto?

- Rachel. Nie mogę uwierzyć, że wynajęła tej kobiecie willę, nie mówiąc mi ani słowa.

Laurie Vale miała zostać w Sa Costa przez całe lato. Tak przynajmniej głosił wczorajszy e-mail od Rachel.

- A po co miałyby ci mówić? - spytała Claire, nadal masując mu kark. Bo nie chcę, żeby Laurie Vale mieszkała w pobliżu nas. Tak brzmiała prawda, której nie mógł wyznać.

- Bo mogłem już tam przecież zaprosić kogoś innego - odparł. To również była prawda. Wielu kontrahentów Araratu zatrzymywało się w przeszłości w Sa Costa. Choć dla Tony'ego i Rachel był to dom rodzinny, zawsze traktowali tę nieruchomość również jako doskonałe narzędzie w interesach. Z jego pomocą można było przypieczętować każdą umowę. - Kogoś ważnego - dodał.

- Rachel najwyraźniej uważa, że Laurie jest kimś ważnym.

- Rachel prawie jej nie zna.

Pięćdziesiąt lat. Tyle trwał rozłam pomiędzy rodziną Laurie a rodziną Claire. Trzeba było szczęścia Sama, żeby Rachel akurat teraz postanowiła przerzucić most nad przepaścią. I żeby to Laurie Vale pierwsza zgłosiła się na ochotnika, by po nim przejść.

- Zmieniłeś zdanie na jej temat - stwierdziła Claire.

- Dlaczego?

- Bo przedtem mówiłeś, że może nawet zostaniemy przyjaciółkami - przypomniała mu. - Nie przekonywałeś mnie przypadkiem do tego przed pogrzebem staruszka?

- A ty wtedy spytałaś, czy świnię potrafią latać - odparł, wspominając tę rozmowę. - I pewnie miałaś rację: to ewidentnie mała poszukiwaczka skarbów, która przyjechała tutaj sprawdzić, czy zdoła coś wyszabrować.

- No proszę, najwyraźniej jest trochę prawdy w tym, co mówią o władzy...

- Palce Claire nacisnęły mocno napięty mięsień na jego karku.

Szarpnął się z bólu, po czym odwrócił w jej stronę.

- Moim zadaniem jest chronić firmę.

Uśmiechnęła się zadowolona, że tak łatwo udało jej się go sprowokować.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nagle zrezygnowała. Przetoczyła się na drugi koniec łóżka, zapaliła papierosa i popatrzyła na niego z rozbawieniem.

- Co? - zapytał.

Śmigła wentylatora rozbiły cienką smużkę wydychanego przez nią dymu.

- To, co właśnie powiedziałeś o Laurie Vale... o tym, że to poszukiwaczka skarbów...

- O co chodzi?

Uśmiech Claire znacznie się rozszerzył.

- Zapomniałam cię uprzedzić...

Nie spodobał mu się wyraz jej twarzy.

- O czym?

- Że będziesz miał okazję powiedzieć jej to w oczy... Sam zamarł.

- Nie rozumiem - stwierdził.

- Przyjdzie dziś na przyjęcie. A nim zaczniesz protestować, od razu ci powiem, że już za późno. Zaprosiłam ją, a ona przyjęła zaproszenie.

O dziewiątej trzydzieści Sam stał na mostku „Angel”. U jego boku, w osłoniętym od wiatru pojemniku, płonęła cytronelowa świeca, sprawiając, że powietrze pachniało jak

w gajach cytrynowych, po których spacerował w okolicach Deia. Kiwał głową, udając zainteresowanie dyskusją, jaką prowadził paryski prawnik Araratu Luc Laporte z największym pośrednikiem w handlu jachtami na wyspie Jamie Doddem na temat zalet łodzi produkowanych przez dwóch konkurujących ze sobą producentów jachtów motorowych.

Sam również pływał, ale w przeciwieństwie do Jamiego i Luka nie lubił jachtów motorowych. Miał łódź o nazwie „Flight”, na tyle małą, że można nią było samotnie pływać po zatoce. Czasami, kiedy wypływał w pogodny dzień, gdy jego skórę pieściły gorące promienie słońca, wiatr wydymał żagle, a na rumplu czuł mocny opór morza, wręcz przytłaczała go panująca tu prosta harmonia.

W takich chwilach miał wrażenie, że szczęście polega na tym, żeby w ogóle nie myśleć. Szczęściem jest być. We właściwym miejscu albo z właściwą osobą. I nie czuć potrzeby zadawania sobie na ten temat pytań, na czym przyłapywał się ostatnio codziennie - a nawet kilka razy dziennie.

Ostatni raz był na pokładzie „Angel” z Tonym. Jedli lunch i planowali, w jaki sposób zyskać solidną bazę w powstającym właśnie przemyśle turystycznym w Chorwacji. Wszystko wówczas wydawało się dużo prostsze. I takie osiągalne. Popijając bez entuzjazmu szampana, myślał o Tonym i życzył mu wszystkiego najlepszego na tamym świecie.

Tony kochał ten jacht. A raczej kochał pokazywać się na nim. Sam uśmiechnął się na wspomnienie, jak jego teść potrafił beztrąsko zużyć paliwo za tysiąc dolarów tylko po to, żeby przepłynąć z Palmy do starego miasta Ibizy i zacumować „Angel” koło ulubionej restauracji Rachel, serwującej owoce morza. Po czym jadł z żoną obiad i wyruszał jachtem z powrotem do domu.

Pod tym względem Sam był jego przeciwieństwem. Zawsze kiedy udawało mu się wyrwać Claire z miejskiego życia, wiozł ją do mniej znanych restauracji na wzgórzach,

gdzie mogli zjeść w spokoju. Czuli, że wtedy rozmawiają ze sobą naprawdę, czego nigdy nie udawało im się osiągnąć w domu. Zupełnie jakby w takich chwilach, kiedy całkiem odrzucali życie, jakie wspólnie sobie stworzyli, potrafili na powrót stać się tymi ludźmi, którymi byli przy pierwszym spotkaniu.

- Rzecz w tym, Jamie, że obecnie nadszedł właściwy moment na inwestycje - stwierdził Luc. - Teraz nikt tego nie będzie robił. - Z jego cygara ukruszył się popiół i opadł wolno na pokład. - A ty co o tym sądzisz, Sam?

Obaj, Luc i Jamie, spojrzeli na niego, oczekując wsparcia. Sam odgadł, że rozmowa zesłała z jachtów na inny temat, ale nie miał pojęcia na jaki.

- To może okazać się trudne - wykręcił się od odpowiedzi. - Ale może warto? Jestem ciekaw, co obaj o tym sądzicie.

Jamie skinął na roznoszącego szampana kelnera i podjął temat.

- Uważam, że to zbyt wielkie ryzyko - oświadczył. - Dużo bezpieczniej będzie...

Sam spojrzeniem powstrzymał kelnera od napełnienia jego kieliszka. Nie chciał pić. Nie czuł potrzeby świętowania. Chciał zachować czujność.

Rzucił spojrzenie na schodki prowadzące na pokład i przekonał się, że Laurie nadal tam stoi, przepytywana przez stadko rozgadanych przyjaciółek Claire. Wszystkie, podobnie jak jego żona, ubrane były w obowiązkową czerń, tylko Laurie miała na sobie prostą, białą sukienkę. Widział, jak wchodząc na pokład, zdjęła sandały na płaskim obcasie.

Uważał, że jest piękniejsza od nich wszystkich, piękniejsza niż Claire, i nienawidził samego siebie za tę myśl.

Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i wróciła do rozmowy, zupełnie jakby był tylko cieniem.

Zemsta? Złośliwość? A może zabawa? Nie potrafił określić, co stanowiło motyw jej przyjazdu tutaj. Ale ani przez

chwilę nie wierzył, że przyjechała na Majorkę pracować. W przeciwieństwie do Rachel. I Claire.

- W końcu to rodzina - stwierdziła Claire, broniąc się przed jego pretensjami, że zaprosiła Laurie na ich rocznicę. - Poza tym w ten sposób mogę ją mieć na oku - dodała Irzeżwo. - No i babcia mnie o to prosiła. Nie, nie miał pojęcia, czemu Laurie tu jest. Natomiast jedno wiedział na pewno - że nie pozwoli jej na zrobienie sceny. Nie tutaj, nie przy tych ludziach. Nie dopuści też, żeby osiedliła się na wyspie - jego wyspie - jak jakaś bomba zegarowa, która w każdej chwili może wybuchnąć i zrujnować mu życie. Kółko kobiet zebranych wokół Laurie otworzyło się, gdy Claire wskazała dziób jachtu. Laurie ruszyła w tamtą stronę, znikając Samowi z oczu. Poczekał, aż Claire odwróci się do niego tyłem.

- Panowie, musicie mi wybaczyć - powiedział i zbiegł schodami na pokład, a następnie ruszył w kierunku dziobu. Odgłosy przyjęcia powoli pozostały za nim. Nagle zatrzymał się.

Była tam, stała samotnie na dziobie, patrząc na wejście do portu.

Sylwetka na tle śródziemnomorskiego, nocnego nieba. Natychmiast nasunęły mu się popularne skojarzenia

*'litanie, Kochanka Francuza* - romantyczne i z góry skazane na klęskę.

Chciał do niej podejść, załatwić to z nią jak najszybciej. Ale istniało zbyt duże prawdopodobieństwo, że ktoś nakryje ich tu razem, skąpanych w świetle księżycy jak para kochanków. Którymi przecież kiedyś byli.

Dlatego cofnął się i ukrył w cieniu rzucanym przez pustą slerówkę.

Czekał.

Obok „Angel”, na jachcie o nazwie „Moondance”, również odbywało się przyjęcie. Sam obserwował olśniewającego, nieskazitelnie odzianego kapitana, w czapce z daszkiem i błyszczących epoletach, który stał przy trapie i witał

przybywających gości. Muzyka z obu jachtów ścierała się ze sobą gdzieś w połowie drogi i stapiała w dziwny konglomerat: salsa z „Moondance” i francuskie piosenki z lat sześćdziesiątych wybrane przez Claire.

Gdziekolwiek spojrzął - czy to na „Moondance”, czy na rufę „Angel” - widział uśmiechniętych ludzi, toasty wznoszone szampanem w wysokich, kryształowych kieliszkach, wykwintne kanapki i ogniki papierosów, wyglądające na tle czarnego morza jak robaczki świętojańskie.

Kiedy w końcu usłyszał zbliżające się do niego ciche kroki Laurie, wyszedł z cienia i zastąpił jej drogę.

Zaskoczona, położyła rękę na piersi, a kiedy go rozpoznała, przybrała pełen goryczy wyraz twarzy.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

- Naprawdę?

- Wiesz, że musimy.

- O czym?

W każdej chwili mogła do nich niepostrzeżenie podejść Claire i usłyszeć jego słowa.

- O nas - syknął.

- A jest jakieś my?

- Tak. Nie. - Nie wiedział, co powiedzieć. - Kiedyś było. Jej twarz nie wyrażała nic.

- Z tego, jak się zachowałeś na pogrzebie mojego wuja, można by wnosić, że się nigdy wcześniej nie spotkaliśmy.

Cała sytuacja wydała mu się nagle dziwnie odrealniona. Tak samo się czuł, stojąc za pulpitem na pogrzebie Tony'ego i nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Jakaś jego część nadal nie chciała przyjąć do wiadomości, że Laurie rzeczywiście jest spokrewniona z Claire. Ani że stoi teraz przed nim. Ale naprawdę stała i nic nie mogło tego zmienić. Czy tego chciał, czy nie. Zrządzenie losu, z którym musiał sobie jakoś poradzić.

- Przepraszam - powiedział i nawet dla niego te słowa zabrzmiały całkiem nieodpowiednio.

- Przepraszasz?
- Tak.
- Za to, że udawałaś, że mnie nie znasz?
- Tak.
- I za coś jeszcze?
- Co?
- Słyszałaś.

Po raz pierwszy podniosła głos.

- Słuchaj... czy możemy...? - wskazał otwarte drzwi sterówki.

Dokończyła za niego:

- ... skończyć rozmowę w środku?
  - Tak.
  - Po co? Zakończyłeś nasze stosunki już dawno temu. Skąd przypuszczenie, że mam ci jeszcze coś do powiedzenia?
  - To ja muszę ci powiedzieć parę rzeczy.
  - Żebyś mógł poczuć się lepiej? Zapomnij. Spróbowała go ominąć, ale jej nie pozwolił.
  - Zejdź mi z drogi - zażądała.
- Nic nie myśląc, złapał ją za nadgarstek.
- Proszę... tylko na chwilę.
  - Puść albo zacznę krzyczeć - ostrzegła. Zobaczył w jej oczach bezwzględność, jaką dotąd widywał jedynie u rywali w interesach. Obawiał się, że to on ją tego nauczył. Chyba oszalał, sądząc, że zdoła ją namówić, by po cichu wróciła do domu i zniknęła z jego życia. Ale może zawsze zachowywał się przy niej jak szaleniec?
  - Przecież po to się tu zjawiłaś, prawda? - odparł. Postanowił się nie poddawać i przynajmniej zmusić ją, by zrozumiała, co chce mu zrobić. - Żeby krzyczeć. Żeby się na mnie odegrać. Żeby powiedzieć wszystkim, jakie ze mnie rzadkie gówno. Żeby mnie zniszczyć.
  - A winiłbyś mnie za to?

- Nie. - Nawet na moment nie zawahał się przed taką odpowiedzią, ponieważ wiedział, że po tym, co jej zrobił, ma pełne prawo do zemsty. - Ale chciałbym cię powstrzymać.

- Daję ci dwie minuty - zdecydowała i weszła do sterówki, ocierając się lekko o niego.

W środku paliły się tylko pomarańczowe światła awaryjne oraz luminescencyjne wskaźniki, zielone i żółte. Poza tym panowała ciemność. Sam był zadowolony, że nie może zobaczyć jej twarzy. To mu ułatwiało sprawę. Stała, opierając się plecami o koło sterowe.

- Więc? - spytała.

- Po co się tu zjawiaś, Laurie?

- Ponieważ Claire, to znaczy twoja żona - poprawiła się z naciskiem - mnie zaprosiła.

- Nie. Chodzi mi o wyspę.

- Ponieważ zaprosiła mnie Rachel, twoja szefowa, a moja krewna.

Poczuł narastającą irytację.

- Pytam, po co naprawdę tu przyjechałaś.

- Zeby pracować. - Roześmiała się nieprzyjemnie. - A myślałeś, że to z twojego powodu?

- Nie byłem pewien.

- I czujesz się teraz głupio?

- Dlaczego?

- Bo nie wiesz, co się dzieje. Bo nie wiesz, dlaczego ktoś coś robi.

Dlaczego ktoś robi coś tobie.

- Laurie, nie jestem zabawką - powiedział.

- Doprawdy?

- Nie.

- Zapewne masz rację. - Tu, w ciemności, słuchając jej oddechu, czuł się tak, jakby leżał przy niej w łóżku, rozbudzony, w środku nocy. - Ale ja wtedy byłam zabawką, prawda? Dla ciebie.

- Nie.



- Tak się właśnie czułam, wiesz? Potem. Kiedy do mnie napisałeś. Chyba że nie pamiętasz? Bo tak to jest z zabawkami, prawda? Jak się znudzą, przestają być ważne. Więc się je porzuca i wraca do normalnego życia. Ale on pamiętał. Miał takie wrażenie, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj.

- Napisałem dlatego, że nie miałem odwagi do ciebie zadzwonić.

- Nie miałeś odwagi zadzwonić - powtórzyła powoli. - Ale miałeś odwagę, żeby mnie przelecieć. Prawda? Żeby się ze mną pieprzyć. A nawet żeby mi powiedzieć, że się we mnie zakochałeś. - W jej głosie narastało niedowierzanie i gorzycz. - Ale nie żeby do mnie zadzwonić. Taki dorosły biznesmen jak ty. Nie miałeś odwagi.

Tu się jednak myliła. Jeden telefon... Wiedział wtedy, że jeden telefon wystarczyłby, żeby porzucił Claire. Nie mógł zaryzykować, ponieważ w ten sposób stałby się draniem. A tego za wszelką cenę chciał uniknąć.

- Masz pojęcie, jak ja się czułam? Czy możesz sobie chociaż wyobrazić, jak ja się czułam po tym, co mi zrobiłeś?

Przypomniał sobie, jak się poczuł, kiedy zobaczył ją na pogrzebie Tony'ego. Jej widok - ten pierwszy rzut oka - nappełnił go takim szczęściem, że chciał ją zawołać, podbiec do niej i uściskać na oczach wszystkich. Ale wtedy - równie szybko - przypomniał sobie, jak bardzo ją zranił, i zaczął się palić ze wstydu.

- Nie miałem wyboru.

- Zawsze jest jakiś wybór.

Czuł do siebie obrzydzenie za to, co zrobił. Nagle stracił pewność, który facet byłby gorszy, ten, który zdradziłby Claire, czy ten, który zdradził kobietę, którą kochał.

- Musisz wyjechać - powiedział. - Musisz stąd teraz odejść i wyjechać z wyspy.

- To moja sprawa, co zrobię - odparła po chwili. - Nie masz prawa niczego mi nakazywać.

Popatrzyli na siebie.

- Czy byłeś już zaręczony, kiedy mnie poznałeś? - spytała nagle. - Czy już wtedy postanowiłeś, że resztę życia spędzisz z Claire?

- Nie - odparł, a potem, nim zdążył się powstrzymać, z powodu jakiejś rozpaczliwej potrzeby oczyszczenia się, dodał: - I nie byłem też wtedy ojcem. Nawet nie wiedziałem, że nim będę. Ale to już się stało, nim cię poznałem, a Claire powiedziała mi, że jest w ciąży, dopiero kiedy wróciłem.

- Laurie! - usłyszeli stłumione wołanie z zewnątrz.

- Zrobiłem to, co uważałem za słuszne - dokończył, a następnie otworzył drzwi i zawołał: - Tutaj, Claire!

- No proszę, sami we dwoje - stwierdziła Claire, stając w drzwiach i mrużąc oczy, żeby dostrzec coś w ciemności.

- Jak para kochanków.

- Wyjaśniałem właśnie Laurie... - zaczął Sam.

- ... jak się steruje jachtem - wpadła mu w słowo Laurie.

- Tłumaczył mi, jak trafić tam, gdzie się chce. I jakie to dzisiaj łatwe.

Claire jakoś nie zwróciła uwagi na czający się w tych słowach gniew.

- Sam, jesteś okropnie nudny - upomniała go żartobliwie, a potem objęła ramieniem i pocałowała w policzek.

- No już, dość się nagadaliście we dwoje. Czas, żebyście wrócili i pomogli mi rozkręcić przyjęcie.

## Rozdział X

Stepmouth, kwiecień 1953

Uuu!

Rachel aż podskoczyła, kiedy Tony wypadł zza murka i objął ją w pasie. - Przestraszyłeś mnie! - Chciała udawać, że jest obrażona, ale poczuła, że się rumieni. Więc odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

Ukradkiem wsunęła do kieszeni list sprzed dwóch dni, zdumiona teraz własnymi wątpliwościami, czy ziści się to, co w nim było napisane.

Przecież się ziściło. Tony był tutaj, dokładnie tak jak obiecał. Przed kaplicą baptystów w sobotę, punktualnie o dziesiątej. Dotrzymał słowa. Oszczędził jej udawania, że czeka tu na Pearl. Oszczędził jej odpowiedzi na wścibskie i dociekliwe pytania. Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem.

Tony ubrał się specjalnie na tę okazję. Wzruszyło ją, że zrobił to dla niej, tak jak ona ubrała się dla niego. Miała na sobie swoją ulubioną czerwoną spódnicę, białą bluzkę i białą opaskę na włosach. On ubrany był w niebieską koszulę z krótkim rękawem, rozpiętą pod szyją. Widać było, w którym miejscu zaczynają się włosy na jego piersiach.

Przygryzła wargę, zaskoczona i zawstydzona tym, jak bardzo go pragnie. Zastanawiała się, czy wic, ile o nim myślała przez te okropne trzy dni, jakie upłynęły od ich ostatniego spotkania. I że podczas wiosennych porządków gryzmołała w kurzu jego imię.

Była pewna, że umrze ze wstydu, jeśli Tony odkryje rozmiar jej dziewczęcych fantazji, które zapewne malują się wyraźnie na jej twarzy. Spróbowała wyglądać skromnie, ale nie była w stanie ukryć podniecenia, jakie budziło się w niej na sam jego widok. Tony zajrzał jej w oczy, najwyraźniej czytając w myślach. Ich spojrzenia złączyły się, jakby przyciągane silnym magnesem.

- Chodź, nim ktoś nas tu zobaczy - powiedział, przerywając tę chwilę zapatrzenia.

Wziął ją za rękę, pomógł jej przejść przez murek, a potem poprowadził w górę stromą ścieżką, która wiła się wśród drzew za kaplicą baptystów. Rachel próbowała dotrzymać mu kroku, zadowolona, że w ostatniej chwili zdecydowała się zmienić pantofle na tenisówki.

Choć Tony dźwigał ciężki, wojskowy plecak, wszedł szybko na wzgórze i przelazł przez kolejny murek, zbudowany na jego szczycie. Zaczekał, aż Rachel go dogoni, i z uśmiechem obserwował, jak zrezygnowawszy z dumy, pochyla się głęboko, opiera ręce na kolanach i próbuje odzyskać oddech. Wkrótce ruszyli dalej, tym razem w dół, ścieżką, która właściwie była tylko dwiema koleinami, przez padok, a potem znów w górę, w kierunku zagajnika rosnącego na szczycie następnego wzgórza.

Rachel nigdy wcześniej tędy nie szła, głównie dlatego, że nigdy nie wpadło jej do głowy iść na skróty stromo pod górę. Zaledwie kilka tygodni temu Stepmouth wydawało się jej nieznośnie nudne i duszne, ale kiedy jej przewodnikiem był Tony, odkrywała w swoim rodzinnym mieście miejsca, o których istnieniu nie miała pojęcia.

Początkowo martwiła się, że nigdy nie będą się mogli bezpiecznie widywać, ale Tony wyśmiał jej obawy i zaczął ją zabierać w swoje ulubione miejsca, gdzie mogli być zupełnie sami: do nieużywanego wozu cygańskiego, ustawionego przy punkcie widokowym na wzgórzu Summerglade, na

dach stacji ratownictwa morskiego, gdzie można się było bezpiecznie opałać, do szałasów obok kina dla zmotoryzowanych, do garażu za piekarnią i, raz jeden, do swojej szopy.

Rachel uwielbiała te spotkania. Słuchając drobnych miejskich ploteczek wymienianych przez przyjaciółki, w głębi duszy pękała z dumy na myśl o tym, jaką bombę mogłaby między nie rzucić jedną wzmianką o Tonym. Ale wiedziała, że nie wolno jej się wygadać. Nikomu. Więc choć umierała z ochoty, żeby komuś o tym opowiedzieć - szczególnie Pearl - coś ją powstrzymywało. Miała wrażenie, że jeśli zacznie o tym mówić, jeśli spróbuje opisać, jak niezwykle ważne jest to, co się dzieje między nią a Tonym, zerwie wiążący ich czar.

Zatrzymała się i wygładziła włosy. Nagle dotarł do niej otaczający ich świergot ptaków, jaskrawa zieleń młodej trawy i zapach kwiatów. Tony też się zatrzymał i wyciągnął do niej rękę. Roześmiała się na widok jego entuzjazmu, podbiegła, żeby się z nim zrównać, i chwyciła wyciągniętą dłoń.

Dotarcie do szczytu musiało im zająć dobre czterdzieści minut, ale mieli wrażenie, że minęła zaledwie chwila. Byli tu zupełnie sami, jeśli nie liczyć królików czmychających przed nimi w brzozowe zarośla. Rachel spojrzała na dach kaplicy baptystów widoczny daleko w dole i na miasteczko, które stąd wyglądało jak makieta. Kiedy oglądało się je z takiego miejsca, ucieczka wydawała się dużo, dużo łatwiejsza. Nie mogła się nadziwić, że tak się martwiła. Powiedziała matce i Billowi, że jedzie z Pearl do Barnstable na całe popołudnie, i dzięki temu miała z nimi spokój. Teraz tylko musiała się modlić, żeby Bill nie wpadł na Pearl ani jej rodziców i nie odkrył kłamstwa. Nie chciała, żeby cokolwiek popsulo jej ten dzień.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział Tony, lekko zwalniając i ruszając wśród drzew w kierunku długiego żywopłotu odgradzającego łąki od drogi.

- Dokąd idziemy? - wydyszała, przeciskając się za nim przez żywopłot, w którym utorował jej przejście kijem.

- Mówiłem ci. To niespodzianka - odparł. Znaleźli się w wyschniętym rowie na poboczu drogi. Wbiegli na przeciwległe zbocze i runęli na trawę. Leżąc, obserwowali puszyste chmurki płynące po błękitnym niebie. Rachel obejrzała się przez ramię na drogę. Była zaskoczona, że znajdują się zaledwie kilka jardów od przystanku. Wiedziała, że dość trudno będzie z tego miejsca złapać autobus, ale zrozumiała, jak wcześniej Tony, że lepiej czekać tutaj niż w miasteczku.

Tony wyciągnął z plecaka niewielką lornetkę. Rzucił Rachel znaczące spojrzenie, a potem, nim zdążyła zapytać, o co chodzi, przebiegł z powrotem przez rów i wdrapał się zwinnie na rozwidlenie w pniu dębu.

- Co robisz? - zawołała, ocieniając oczy ręką.

- Pożyczyłem lornetkę od Arthura. Zobaczę stąd, kto siedzi w autobusie, kiedy wyjedzie z za zakrętu. Będziemy wiedzieć, czy jest bezpiecznie.

- Pomyślałeś o wszystkim - odparła ze śmiechem.

- Chcę cię stąd dzisiaj zabrać.

Autobus podjeżdżał pod górę bardzo powoli, na pierwszym biegu.

Miejscowe dzieci zawsze w tym miejscu wrzeszczały, bo miało się wrażenie, że autobus zaraz stoczy się z powrotem w dół. Na szczęście nic takiego dotychczas się nie zdarzyło.

Rachel pomyślała o kobietach walczących we francuskim ruchu oporu.

Podobało jej się to poczucie zagrożenia, jakie ogarniało ją zawsze, kiedy była z Tonym. Jakby cały świat był ich wrogiem, a oni samotnie walczyli o wolność. W pewnym sensie chyba nawet rzeczywiście tak było.

- Schowaj się! - krzyknął Tony, a ona szybko zsunęła się do rowu.

Słyszała, jak butelkowiezony autobus podjeżdża pod ostatnią prostą na wzgórzu. Wyjrzała na drogę przez wysoką

trawę i skrzyżowała palce na szczęście. Miała nadzieję, że w autobusie nie ma żadnych stałych klientów sklepu ani nikogo ze szkoły, w ogóle nikogo, kto mógłby narobić zamieszania, gdyby zobaczył ją z Tonym.

- W porządku. Droga wolna - zawołał Tony.

Chwilę później, kiedy zatrzymywała autobus, znalazł się u jej boku.

Mrugnął do niej, gdy wsiadali, i poprosił o dwa bilety do Wolcombe.

- No bo chcesz pojechać, prawda? - upewnił się.

- Oczywiście.

- Ale wyglądasz, jakbyś się czymś martwiła.

- To pozwól mi za siebie zapłacić - odparła, szukając w kieszeni portmonetki. Widziała, jak skąpo urządzona była jego szopa, i przypuszczała, że raczej nie ma pieniędzy na zbyciu. Dwa powrotne bilety to chyba za dużo, jak na jego budżet.

Ale Tony ją powstrzymał.

- Nie. Ja stawiam.

Kierowca zmierzył ich wzrokiem.

- Ale...

- Żadne ale. Będziemy się świetnie bawić i masz się o nic nie martwić.

Tony wydawał się taki spokojny i pewny siebie, natomiast Rachel wprost roznosiło z podniecenia, kiedy szła w głąb ciężkiego autobusu i siadała na długim siedzeniu z tyłu. To była najbardziej śmiała rzecz, jaką w życiu zrobiła. Myśl o tym, że spędzą we dwoje cały dzień, sami, z dala od niebezpieczeństw kryjących się w Stepmouth, sprawiała, że drżała z niecierpliwości.

- Pomyślałem, że zrobimy sobie piknik - powiedział Tony, poklepał swój plecak i usiadł obok niej.

Rachel uśmiechnęła się do niego i właśnie miała coś powiedzieć, kiedy wielki mężczyzna pod trzydziestkę złapał metalową poręcz nad oparciem siedzenia przed nimi i zmierzył

ich wzrokiem. Na przedramieniu miał brzydki tatuaż, a rude włosy ostrzyżone na jeża sprawiały, że jego wielka, rumiana i piegowata twarz wydawała się jeszcze większa.

- No proszę, toż to Anthony Glover - powiedział, szyderczo przeciągając samogłoski. W kącikach jego ust pojawiły się kropelki spienionej śliny. Jego oddech cuchnął zwietrzałym piwem. - Widujesz brata? Jak go zobaczysz, powiedz mu, że mam do niego słówko.

Tony przyglądał się mężczyźnie z kamiennym spokojem.

- Pilnuję własnego nosa, Douglas, i może lepiej ty też pilnuj swojego. To nie było pytanie, a z tonu głosu Tony'ego Rachel wyczuła, że jeden ruch rudzielca wystarczy, żeby wywiązała się bójka.

Położyła rękę na jego ramieniu, czując pod palcami napięte mięśnie. Owionął ją zimny strach, zupełnie jak przeciąg. Douglas popatrzył na Tony'ego, a potem przesunął wzrokiem po niej, jakby była nikim. Przez chwilę wydawało się, że zamierza powiedzieć coś obraźliwego, ale najwyraźniej jego szare komórki nie zdołały nic wymyślić, więc dał sobie spokój. Odchrząknął za to głośno i splunął przez otwarte okno. Potem zawrócił na przód autobusu.

- Powiedz mu tylko, że mnie spotkałeś - warknął, odchodząc. - Jest mi coś winien.

- Kto to był? - spytała Rachel, kiedy Douglas odszedł. Tony nadal był spięty, jakby wyciśnięto z niego cały dobry humor. Siedział sztywno obok niej.

- Nikt. Kiedyś włóczył się z moim bratem, i tyle.

- Och.

Rachel zamilkła i powiodła spojrzeniem za jego wzrokiem, wbitym w wałek tłuszczu na karku Douglasa. Teraz zrozumiała, jak to było być Tonym i mieć całe życie przekreślone przez Keitha. Nie była natomiast pewna, czy to ona powinna go teraz pocieszać.



Przesunęła palcami po powybrzuszonym siedzeniu z czerwonej skóry i położyła dłoń na dłoni Tony'ego, ale nawet nie drgnął. Chciała coś powiedzieć, żeby poprawić mu nastrój, żeby przeniknąć przez ten jego obronny mur. Żeby stał się na powrót jej Tonym, a nie tym twardym, niespokojnym chłopakiem, w każdej chwili gotowym do bójki, którego znali wszyscy.

Wyjrzała przez okno. Miała wrażenie, że palce Tony'ego parzą jej dłoń, ale nie cofnęła ręki. Widziała w szybie słabe odbicie własnej zmartwionej twarzy. Choć się dotykali, znikła cała łącząca ich bliskość. I to wszystko przez Douglasa. Wszystko im zniszczył.

A jeśli się okaże, że zawsze będzie jakiś Douglas, zawsze będzie ktoś, kto przypomni im o istnieniu Keitha? Jeśli zawsze będą reagować w ten sposób? Zaczęła wpadać w panikę. Jeśli nigdy nie zdołają zapomnieć o przeszłości? Jeśli zawsze będzie ich zmieniać w ludzi, którymi byli, nim się ze sobą związali?

Odwróciła się do Tony'ego. Nie zamierzała do tego dopuścić. Zbyt wiele ryzykowała, żeby teraz wszystko stracić. Poza tym uważała, że bycie razem wymaga usunięcia między nimi wszelkich przeszkód.

- Tony? Zastanawiałam się właśnie... Wiem, że wcześniej nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale skoro już i tak Douglas... to zastanawiałam się, czy...

- Nagle straciła odwagę. Co też najlepszego robi? Oczywiście, że wcześniej o tym nie rozmawiali, przecież sama tak postanowiła! Oboje postanowili. Ponieważ wiedzieli, że jeśli rozpoczną ten temat, być może będą musieli się rozstać.

Wiedziała jednak, że dłużej nie może zwlekać. Nawet gdyby Douglas się nie wtrącił, i tak prędzej czy później rozmowa musiałaby zejść na Keitha. Tego tematu po prostu nie można było unikać. Nigdy w życiu nie zadała trudniejszego pytania, ale im dłużej będzie odwlekać tę rozmowę, tym większy stanie się problem.

Wzięta głęboki oddech.

- Zastanawiałam się... zastanawiałam się, co czujesz w stosunku do swojego brata.

- Chcesz o nim rozmawiać? Tu i teraz?

Powiedział to tak szorstkim i rozdrażnionym tonem, że aż odsunęła się od niego. Popatrzył na swoją dłoń, z której zdjęła rękę, jakby dopiero w tej chwili zauważył, że go dotykała. Potem wbił wzrok w przestrzeń oddzielającą teraz ich palce.

- Co chcesz wiedzieć? - spytał nieco grzeczniej.

- Nie wiem. Cokolwiek. To, co będziesz mi chciał powiedzieć.

Przez długą chwilę jego twarz pozostawała ponura, zupełnie jakby się bał mówić. Czekala całe wieki i właśnie miała dać sobie spokój i zmienić temat, kiedy wreszcie się odezwał.

- Pisywał do mamy po... no wiesz. Mama zawsze wyrzucała te listy do kosza, ale on nie przestawał pisać. Miesiąc w miesiąc. Przez prawie rok listy nie przestawały przychodzić. W końcu przeczytałem jeden z nich. Rachel wstrzymała oddech. Zawsze myślała o bracie Tony'ego jako o kimś, kto został zamknięty w więzieniu, spisany na straty i zapomniany. To, że miał możliwość porozumiewania się ze światem zewnętrznym, a przynajmniej z rodziną, napełniło ją uczuciem niezdrowej fascynacji.

- Co napisał?

- Same słowa... i zdania... to się nie liczyło. Pisał o życiu w więzieniu, o tym, jak ich karmią i tak dalej. Zdziwiła mnie jego postawa. Był taki inny od tego Keitha, którego znałem.

- W jakim sensie?

Tony spojrzał przez okno, omijając ją wzrokiem.

- Nie wiem. Po prostu inny. Mądrzejszy. Starszy. Nie wypierał się tego, kim jest i co zrobił.

Spojrzał na nią niespokojnie, ale zmusiła się, żeby słuchać dalej. W końcu sama o to prosiła.

- Mów dalej.

- No więc, jak przeczytałem ten list, odpisałem mu.

- Co? - niemal wykrzyknęła to słowo.

- Pisujemy do siebie od tamtej pory.

Spodziewała się, że Tony jej wyzna, że nienawidzi swojego brata. Tego właśnie oczekiwała. No bo jak inaczej mógłby z nią chodzić? Ta nieprawdopodobna wiadomość całkowicie wytrąciła ją z równowagi, nie była jej wręcz w stanie zrozumieć. Jak Tony mógł korespondować z bratem i równocześnie widywać się z nią? To nie miało sensu.

Miała wrażenie, że obserwuje samą siebie gdzieś z góry. Do tej pory udawała, że czuje się z Tonym bezpieczna, ale teraz zaczęła myśleć o powodach, dla których nie powinno jej tu być, dla których nie powinna oddalać się od rzeczy, które zna. Słyszała, jak kierowca autobusu zmienia bieg, wyjeżdżając na prostą drogę nad brzegiem morza. Wysokie żywopłoty zdawały się przemykać za oknem z ogromną prędkością. Miała ochotę walczyć. Miała ochotę krzyczeć na Tony'ego, nawet wrzeszczeć. Jak śmiał? Jak śmiał utrzymywać stosunki z tym mordercą, z tą bestią, która zabiła jej ojca i okaleczyła matkę? Ale nie mogła. Nie tutaj, nie w autobusie. Najpierw musi wysłuchać wszystkiego, co Tony ma jej do powiedzenia. Przynajmniej tyle była mu winna.

- Czy... czy widziałeś się z nim? - pytanie zabrzmiało oficjalnie i uszczypliwie, zupełnie jakby zadała je jej matka.

- Nie, od razu mi napisał, że nie chce, żebym kiedykolwiek przyjechał na widzenie. Napisał, że nie chce, by kiedykolwiek moja noga stanęła w więzieniu.

Oczy Tony'ego błagały ją o zrozumienie, ale Rachel wydawał się teraz zupełnie obcy. Zbyt wiele sobie wyobraziła na jego temat.

- Nie patrz tak na mnie. Zupełnie jakbyś mnie nienawidziła.

- To jego nienawidzę.

- Wiem. Masz do tego prawo. Też go nienawidzę za to, co zrobił. Za to, jaki był, ale nie za to, jaki jest teraz. Bo widzisz - on się zmienił.

- Nie mógł się zmienić. Ludzie się nie zmieniają.

- Ale on tak. Dla niego to już może za późno, ale uważa, że ja jestem dobry. Że mnie się uda. Uważa, że nie powinienem wiedzieć i widzieć niektórych rzeczy. Na przykład wojny, pigułek, które brał, wnętrza więzienia. Zawsze mi pisze, żebym nie zbaczał z drogi.

Bójka, w którą wdał się Tony, przewinęła się przed oczami Rachel jak fragment filmu. A kiedy niespokojnie popatrzył na Douglasa, który wstał, by wysiąść z autobusu, wiedziała, że też powinna wstać i wysiąść.

Powinna odejść od niego i nigdy nie wracać. Powinna wrócić do domu, do matki i Billa, do ludzi, których kochała.

Jednak już teraz jakaś jej część zaczęła występować w obronie Tony'ego - jej Tony'ego. Keith Glover nie potrzebował niepokoić się o brata, bo Tony naprawdę był dobry i naprawdę nie zbaczał z drogi. Nie potrzebował kazań. I na pewno mu się uda.

- Nie rozumiem, jak możesz się z nim kontaktować - powiedziała, kiedy autobus ruszył. Tony nie spojrzał na Douglasa, który zaglądał do autobusu, stojąc na poboczu.

- To mój brat.

- Chcesz powiedzieć, że mu wybaczasz? O to chodzi? Ponieważ to twoja rodzina? - Poczła ucisk w klatce piersiowej. Przez chwilę miała ochotę zatrzymać autobus i wysiąść, a potem biec całą drogę z powrotem do domu. Nawet konieczność stawienia czoła Douglasowi wydawała jej się lepsza niż strach, który teraz czuła.

- To, że jest moją rodziną, nic ma nic do rzeczy. Zrobił rzecz niewybaczalnie złą i zasłużył sobie na taką karę. On sam pierwszy gotów jest to przyznać.

- Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć... że on żałuje?

- Oczywiście, że żałuje - odparł Tony. - Wyobrażasz sobie, jak to jest żyć z czymś takim?

- Tak - stwierdziła z goryczą. Tony przesunął dłońmi po twarzy.

- Przepraszam. Nie to chciałem powiedzieć.

Rachel skubała nitkę sterczącą z zakładu spódnicy. Czuła się taka zagubiona.

- Uważasz, że powinnam mu współczuć?

- Wiem tylko tyle, że moje życie stało się dużo łatwiejsze, od kiedy mu wybaczyłem. Jeśli wybaczasz komuś, kogo nienawidzisz, uwalniasz przede wszystkim siebie.

Przez dłuższą chwilę milczeli.

- Zobacysz się z nim, jak wyjdzie z więzienia? - spytała w końcu.

- Minie jeszcze wiele lat.

Popatrzyła na Tony'ego. Chciało jej się płakać. Wydawał się taki smutny, taki zawstydzony, kiedy siedział, patrząc na swoje dłonie spoczywające na udach. Zapragnęła znowu poczuć bliskość, jaka panowała między nimi, zanim rozpoczęli tę rozmowę. Żałowała, że ją zaczęła. Teraz wszystko wydawało się zupełnie inne.

Potem, kiedy ich oczy się spotkały, zobaczyła w jego twarzy czułość, o której istnieniu wiedziała tylko ona. To był Tony. Jej Tony. Tylko jej. Nie mogła tak po prostu od niego odejść. Gdyby to zrobiła, Keith wygrałby po raz drugi.

- Przepraszam - powiedziała i wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć. - Nie gniewam się na ciebie. Nic tu nie zawiniłeś.

- Nie nienawidzisz mnie?

- Nie. To przecież my, pamiętasz?

Pochylił się wtedy i pocałował ją, jego wargi przyłgnęły miękko do jej ust. Rachel zacisnęła powieki, pieczętując w ten sposób rodzaj milczącego paktu z Tonym i z samą sobą. Czuła się tak, jakby spadała, jakby razem skoczyli z urwiska. To, w co do tej pory wierzyła, znikło. To miejsce

zajął Tony i tylko on. Nie miała pojęcia, gdzie zaprowadzi ją wiara w niego, ale tylko ona jej pozostała.

Wolcombe nie było tak obleganym kurortem jak Step-mouth, ale szczyliło się rozległym molo, na którym zorganizowano po wojnie małe wesołe miasteczko. Rachel i Tony radośnie śmigali po zjeżdżalni na starym sznurkowym chodniku, a potem unosili się wysoko ponad morzem na diabelskim młynie wspartym na złocistych słupach. Ich śmiech wkrótce przebił się przez powagę, jaka zapanowała między nimi po rozmowie w autobusie. Kilka godzin później znów było tak, jakby nigdy nie miała ona miejsca.

Poszli aż na koniec mola - to miejsce Tony uznał za najodpowiedniejsze na lunch. Podwinął nogawki spodni i rozłożył na deskach koc wyciągnięty z plecaka. Rachel usiadła na słońcu, zwieszając nogi poza molo. Było takie wysokie, że czuła się, jakby siedziała na brzegu chmurki.

U ich stóp mewy nurkowały w falach i krążyły wokół stalowej kratownicy podpierającej molo, nawołując się głośno. Słony morski wiatr przynosił im z oddali hałaśliwą muzykę z wesołego miasteczka, poniżej zaś morze delikatnie obmywało, w niekończącym się crescendo i diminuendo, długi pas piaszczystej plaży rozciągającej się po obu stronach pomostu. Spieniona w dramatyczne białe grzywy woda uderzała o drewniane falochrony.

Rachel pochyliła się i złapała stalową poręcz molo, opierając głowę na ramionach. Czuła na twarzy wiatr, który fry-wolnie podwiewał jej spódnicę, odsłaniając uda. Zamknęła oko, w które mocno świeciło jej słońce, a drugim wpatrywała się w najdalszy fragment plaży, tam gdzie w oddali rysowały się kabiny plażowe pomalowane w spłowiałe biało-czerwone pasy. Wyglądały zupełnie jak porzucona taśma produkcyjna budek dla teatrzyków kukielkowych.

- Nie byłam tutaj od dziecka - stwierdziła, a morskie fale przyniosły jej odległe wspomnienie o ojcu bawiącym się z nią na plaży w budowanie zamków. Pamiętała swój śmiech, kiedy woda nanosiła piasek na jego stopy, a on udawał, że się przewraca na płyciźnie. Po raz pierwszy przypomniało jej się coś radosnego związanego z ojcem, więc odetchnęła głęboko słonym powietrzem, czekając, aż pojawi się więcej szczegółów. Ale to było wszystko.

- Co się stało? - spytał Tony, dotykając jej ramienia.

- Nie, nic.

- Powiedz. O czym myślałaś?

W autobusie przekonywała Tony'ego, że może jej powiedzieć wszystko.

Najwyraźniej teraz nadeszła jej kolej. Odwróciła się do niego.

- O tacie - odparła i nagle poczuła się bezbronna.

- Jaki on był? - zapytał.

- Nie pamiętam - wyznała. - Ale kiedy popatrzyłam na plażę, przypomniało mi się, jak się ze mną bawił. Zawsze się wygłupiał, żeby mnie rozśmieszyć. Nosił mnie na barana. Pamiętam, że trzymałam go wtedy za uszy, a jak je wykręcałam, to wystawiał język. - Roześmiała się, a potem oboje na chwilę umilkli.

- Szkoda, że go nie poznam.

- Ja też żałuję - powiedziała całkiem szczerze. - Polubiłby cię.

Popatrzyli sobie w oczy i nagle poczuła, że pod powiekami zbierają się jej łzy, ale żadna nie spłynęła na policzek.

- Musisz być głodna - stwierdził Tony, przerywając ten dziwny, słodko-gorzki nastrój. Zaczął rozpakowywać plecak. - Przywiozłem coś do jedzenia.

Rachel wyśmiewała potem skromność Tony'ego. To „coś” okazało się ucztą godną królowej. Najwspanialsze zaś było to, że Tony wszystko sam dla niej przygotował. Kiedy częstował ją coraz nowymi daniami:

domową sałatką z makaronu czy ąquichem z szynką, czuła się jak na wakacjach za

granicą. Gdy na koniec wyciągnął z torby ciasto kawowe domowej roboty, zaczęła się śmiać. Nigdy jeszcze nie jadła tylu pysznych potraw naraz.

- Naprawdę sam to wszystko przyrządziłeś? - Żeby zdążyć, musiał chyba nie spać całą noc.

- Emily mnie nauczyła. Jest dobrą nauczycielką. Twierdzi, że zostanę kiedyś szefem kuchni.

- Nie mam pojęcia, kto będzie jadł to, co przygotujesz - zaczęła się z nim droczyć Rachel, po czym, na widok jego zawiedzionej miny, dodała szybko: - To jest za dobre dla miejscowych.

Tony wydawał się zadowolony z jej odpowiedzi. Wyciągnął się na kocu, opierając na łokciu.

- Może pojedę kiedyś do Londynu i założę własną restaurację.

Rachel uśmiechnęła się do niego. Nigdy nie przypuszczała, że znajdzie w Stepmouth kogoś w swoim wieku, kto również ma ambicje. Kusilo ją, żeby zwierzyć mu się z własnych planów na przyszłość, ale nagle doszła do wniosku, że są strasznie dziecinne. Realność planów Tony'ego i dowód jego talentu w postaci niedawnej uczyty były znacznie bardziej ekscytujące niż jej własne pomysły. Jego marzenia o przyszłości wydawały się takie łatwe do spełnienia. W przeciwieństwie do jej planów.

- Pojadę z tobą i zostanę kierowniczką sali - zaproponowała, siadając na podwiniętych nogach.

- Chcesz być szefową?

- Czemu nie? Przecież Emily jest szefową swojego lokalu. Ja też bym mogła. Zarobiłabym dla nas majątek!

Tony uśmiechnął się, uniósł butelkę piwa imbirowego i stuknął o jej butelkę.

- Rzeczywiście, czemu nie? Za twoje szefowanie, Rachel Vale - powiedział.

Kiedy Rachel odpowiadała mu uśmiechem, poczuła się nagle bliższa realizacji swych marzeń niż kiedykolwiek wcześniej.



## Rozdział XI

### Majorka, współcześnie

*No* popatrz tylko. Jesteś zupełnie taki jak tatuś. - Rachel połaskotała Archiego pod brodą i z uśmiechem obserwowała, jak się wyrywa.

- Babcia, patrz... piłeczka! - zawołał, z zaskakującą siłą rzucając czerwoną piłkę, aż potoczyła się po stopniach tarasu, a następnie po kamiennej posadzce patio.

- Biegnij ją przynieść.

Pomachała mu, zadowolona, że znalazła wreszcie coś, co ją bawi, zadowolona, że zebrała się na odwagę i wróciła na Majorkę. I z tego, że może zająć się czymś pożytecznym, na przykład opieką nad prawnukiem, kiedy niania Claire ma wolne, a sama Claire idzie do pedikiurzystki. Dzięki temu znowu poczuła się normalnie, jakby była zdatnym do użytku członkiem rodziny, a nie kimś, kogo się unika, ponieważ łatwo go zdenerwować.

Od śmierci Tony'ego minęły cztery miesiące, a czas zaczął z nią wyczyniać zabawne rzeczy. Być może dlatego, że ani na chwilę nie opuszczało jej wrażenie odrealnienia, czuła się taka wykończona, wręcz wyczerpana żalobą. Zupełnie jakby nie była w Sa Costa od dziesięciu lat. Żałowała, że nie przyjechała tu wcześniej, zamiast znosić codziennie zimno i szarą mżawkę, a podczas bezsennych nocy nasłuchiwać wycia wiatru wokół Dreycott Manor. Choć zamierzała się przenieść do mieszkania w Londynie, jakoś nie mogła się na to zdobyć.

Ale dziś rano, kiedy obudziło ją zaglądające do pokoju słońce i kiedy usłyszała świergot ptaków budujących gniazda w zaroślach wokół domu, poczuła się nieco normalniej. Otworzyła okno, a wtedy jej zmysły napełnił zapach kwiatów i odległy szept morza. Miała wrażenie, jakby ocknęła się po wielu miesiącach śpiączki.

Siedziała tu teraz, owiewana delikatną poranną bryzą, wygrzewając na słońcu kości, i wydawało jej się, że pod jej nieobecność wszystko uległo zmianie. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy zasadzono grządkę kolczastych pomarańczowych kwiatów, wyglądających tak schludnie na tle przyciętych równo krzewów. Nie pamiętała, żeby trawniki kiedykolwiek były równie soczyście zielone, a płócienna markiza w biało-niebieskie pasy równie spłowiała. Nigdy nie widziała, by po ścianach przemykało tyle gekonów, szukających kryjówki w cieniu starej winorośli, ani żeby sama winorośl rozkwitła równie bujnie.

Nie tylko dom się zmienił, zmienił się również Archie. Choć nie zwracała na niego uwagi na pogrzebie Tony'ego, zauważyła, że od tamtej pory nauczył się całkiem poprawnie mówić i że rósł niesamowicie szybko. Gdyby tylko mogła zatrzymać czas i sprawić, aby taki pozostał, pomyślała, obserwując, jak biegnie w krótkich kraciastych spodenkach do swoich zabawek, porzuconych na drewnianym leżaku, trajkocząc coś o piłce i pociągu.

Wiedziała, że go rozpieszczą, ale miała dość obwiniania się przez lata o faworyzowanie własnych dzieci. Cóż w tym złego, że kocha go bardziej niż syna Christophera, Thomasa? Thomas bez przerwy płakał i był niemożliwie rozpuszczony, natomiast Archie miał w sobie tę samą delikatność, która charakteryzowała Claire jako dziecko i pewnie dlatego wzbudzał w niej większą opiekuńczość. Był jej dziedzictwem.

Przypomnieniem o wszystkich dobrych rzeczach, jakie zrobili wspólnie z Tonym.

Odwróciła się, kiedy za jej plecami otworzyły się przesuwne drzwi na taras i pojawiła się w nich Laurie, niosąc na tacy zaparzynkę i filiżanki. Poczula zapach świeżo zmielonych ziaren kawy i ciasta, które dziś rano przywiózł Fabio. Zebrała przeglądane właśnie papiery, żeby zrobić miejsce na małym, drewnianym stoliku.

Przyjechała tu wczoraj wieczorem na weekend. Choć Laurie zapewniała, że jej obecność wcale nie będzie jej przeszkadzać, Rachel nie była pewna, czy bratanica nie starała się po prostu być grzeczna. Nawet jeśli, pomyślała samolubnie, to przynajmniej mają wreszcie okazję porządnie porozmawiać. Laurie coraz bardziej ją intrygowała, a przez ostatnie trzy tygodnie próbowała sobie wyobrazić, jak ona tu pracuje.

- Szczerze mówiąc, na widok tego dziecka topnieje mi serce - powiedziała, wskazując głową Archiego, który rzucił piłkę na grządki kwiatów i ruszył w stronę nowego rowerka stojącego na trawniku. - Jest taki bystry.

Laurie nie odpowiedziała, ale Rachel zauważyła niechętnie spojrzenie, jakim obrzuciła chłopca, stawiając na stole tacę.

- Nie znam się na dzieciach.

- Nonsens. Myślę, że Archie cię lubi. Poza tym, jak się ma własne dzieci, jest zupełnie inaczej. Sama zobaczysz.

- Sądzę, że raczej nieprędko.

Laurie miała na sobie słomiany kapelusz z wielkim rondem i starą zieloną letnią sukienkę, która podkreślała jej piegowatą, lekko opaloną cerę.

Kiedy nalewała kawę, Rachel miała ochotę jej poradzić, żeby nie

odkładała w nieskończoność założenia rodziny. Dopiero po śmierci

Tony'ego uświadomiła sobie, jak bardzo cenny jest czas. Jednak pomimo

szczerej rozmowy, jaką odbyły dziś rano, wiedziała, że nie może sobie

pozwolić na aż taką bezpośredniość. Dziwiło ją, że tak atrakcyjna

dziewczyna jak Laurie nie była nawet zaręczona, na przykład z jakimś

przystojnym artystą. Ale może dzisiejsze młode kobiety szukają czegoś

innego?

Przecież Laurie jasno dawała do zrozumienia, że kariera jest dla niej najważniejsza.

Przez chwilę Rachel kibicowała Archiemu, który pedałował radośnie przez trawnik, domagając się uwagi.

- Wnuki są takie cudowne. Wspaniale jest mieć je przy sobie, ale najpiękniejsze jest to, że można je oddać rodzicom, jak ma się ich dosyć. Chociaż w moim przypadku nie zawsze tak było - dodała, przyjmując od Laurie filiżankę kawy.

Chciała jej wyjaśnić kilka faktów dotyczących rodziny, ale miała trudności z dobraniem właściwych słów, a ta zawoalowana aluzja nie przyciągnęła uwagi bratanicy.

Od lat nie wspominała o Annie. Claire stała się dla niej tak bardzo własną córką, że czasami zupełnie zapominała, że nią nie jest. Czy Laurie obciąży ją winą za to, co się stało? Czy pomyśli, że była dla Anny złą matką? Cóż, tylko wówczas, jeśli pozna całą historię. A nie ma przecież potrzeby informować jej o wszystkim. Wystarczy kilka szczegółów.

- Właśnie myślałam o tym, że czasami czuję się taka stara. Szczególnie kiedy obserwuję, jak szybko rośnie Archie

- powiedziała z westchnieniem. - Wiesz oczywiście, że to tak naprawdę jest mój prawnuk? Pewnie dlatego jest dla mnie taki wyjątkowy. Bo Claire to moja wnuczka, chociaż Tony i ja wychowaliśmy ją tak, jakby była naszym własnym dzieckiem. - Napiła się kawy świadoma, że Laurie słucha jej teraz bardzo uważnie. - Matka Claire, Anna, zmarła, mając zaledwie dwadzieścia lat. Claire była wtedy niemowlęciem, więc zaadoptowaliśmy ją i uznaliśmy za córkę. Dlatego jest o tyle młodsza od Christophera i Nicka.

Rachel udało się to powiedzieć tak, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Zawsze zaskakiwała ją własna umiejętność - nabyta podczas długiej kariery w biznesie

- tuszowania nieprzyjemnych faktów i przekazywania ich w taki sposób, że nawet najgorszy koszmar zmieniał się

w bajkę o szczęśliwym zakończeniu. Ale jedno spojrzenie na Laurie powiedziało jej, że nie zdołała oszukać bratanicy swym nonszalanckim tonem.

- Nie miałam pojęcia. Co się stało?

- Z Anną?

Rachel zastanawiała się, ile jej powiedzieć.

- To było tak dawno temu... Wtedy... wiesz, w końcu wszystko się ułożyło jak najlepiej dla Claire. Anna była bardzo chora i w głębokiej depresji - ze zdziwieniem usłyszała, że głos jej się załamuje. - Wiesz co? Może porozmawiamy o tym innym razem? Nie mogę teraz myśleć o Annie. Za bardzo mi to przypomina o Tonym i...

- Och, przepraszam. Tyle czasu rozmawiałyśmy, a ja cię nawet nie zapytałam, jak sobie radzisz.

Rachel zdjęła okulary od słońca i położyła je na stole. Wiedziała, że bez nich wygląda na zmęczoną i wymizero-waną. Poczowała się bezbronna, zupełnie jakby odsłoniła podbite oko.

- Zwykle udaje mi się funkcjonować prawie normalnie, ale wszystko wydaje mi się takie odrealnione. Potrafię zupełnie nagle wpaść w rozpacz. Tak jak teraz. - Z irytacją próbowała powstrzymać niespodziewane łzy. - Przez ostatnie kilka tygodni byłam taka wściekła na Tony'ego. Dosłownie wszystko doprowadzało mnie do pasji. Biedny Tony. Ciągle go o wszystko obwiniam.

- Przypuszczam, że to normalne.

Rachel pokręciła głową. Jak miała jej wyjaśnić, jakie to było frustrujące? Nienawidziła tej swojej nadwrażliwości i utraty kontroli nad emocjami. Dlaczego nie radziła sobie lepiej? Była zaskoczona, że znowu zwierza się ze swych uczuć tej młodej kobiecie. Jednak nie czuła oporów przed zaufaniem Laurie.

- Przepraszam - powiedziała, rzucając okiem na bratanicę, która siedziała spokojnie, z dłońmi splecionymi na stole przed sobą.

Laurie gestem powstrzymała jej przeprosiny i uśmiechnęła się lekko.

- Nie ma za co.

- Rozumiesz, ten przyjazd na Majorkę był dla mnie taki trudny - wyznała Rachel. - Tony i ja przeżyliśmy tu tyle dobrych chwil. Bałam się, że to będzie zbyt bolesne. I w pewnym sensie miałam rację. Tak się cieszę, że zdecydowałaś się przyjechać.

- Może byłoby lepiej, gdybyś została tu sama? Zniknę, jeśli tak będzie ci łatwiej.

- Nie, proszę.

- Wiesz, na twoim miejscu nie czułabym się winna. Uważam, że to zupełnie normalne czuć wściekłość. Przypuszczam, że to samo czuł ojciec, kiedy mama umarła, ale z nią było zupełnie inaczej. Tak długo chorowała, że kiedy w końcu odeszła, tata był na to przygotowany. Myślę, że dlatego przyszedł do siebie tak szybko.

Rachel popatrzyła w dal. Chciała powiedzieć Laurie, że Bill miał szczęście. Pożegnał się z żoną, natomiast ona nie zdążyła pożegnać się z Tonym. Czy jednak mogła oczekiwać, że Laurie zrozumie, jak okrutna jest taka niespodziewana strata ukochanej osoby? Że to najokrutniejsza rzecz, jaka się może człowiekowi przydarzyć?

Nie chciała stać się zgorzkniała, tak jak jej matka, ale ostatnio prześladowało ją uczucie, że dosięgła ją kara. Sposób, w jaki odszedł Tony, wydawał jej się nieprzypadkowy. Zbyt okrutny. Właśnie dlatego zaczęła sama ze sobą negocjować układ. Jeśli zdoła osiągnąć to, co przez całe jej dorosłe życie było niemożliwe, jeśli zdoła osiągnąć zgodę z bratem, wtedy udowodni, że nie ma rzeczy niemożliwych, a jeśli to udowodni, Tony do niej wróci i wszystko będzie tak jak dawniej. Albo przynajmniej ona sama zdoła się pogodzić z tym, że odszedł.

- Jak się miewa Bill? Powiedziałaś mu o pogrzebie i że tu przyjeżdżasz? - spytała, biorąc się w garść.

Laurie potrząsnęła głową, oparła się na krześle i złożyła dłonie na swym płaskim brzuchu. Rachel miała takie wrażenie, jakby przyglądała się samej sobie sprzed pięćdziesięciu lat. Ona też martwiła się wtedy tym samym problemem. Bill najwyraźniej wcale się nie zmienił: pozostał równie uparty jak kiedyś. I dokładnie w ten sam sposób ranił swoim uporem już drugie pokolenie. Odstawiła filiżankę na stół.

- Muszę się z nim zobaczyć, Laurie. Chodzi o to, że... Chciałabym, żebyś go tu zaprosiła. Żeby cię tu odwiedził. Nie natychmiast, ale niedługo. Możemy to razem zaplanować.

- Nie przyjedzie.

- Przyjedzie, jeśli nie będzie wiedział, że ja tu jestem. To nawet lepiej, że nie zna prawdy. Jeśli tylko go tu ściągniesz, ja załatwię resztę...

Rachel urwała. Widać było, że posunęła się za daleko. Zamierzała poczekać, aż pozna Laurie lepiej, i dopiero wtedy wyjawic swój plan, a nie wyrzucić go z siebie w ten sposób. Jej słowa zabrzmiały zupełnie tak, jakby chciała, by bratanica opowiedziała się po którejś ze stron. A przecież sama doskonale wiedziała, jak to wtedy jest.

Jednak coś w wyrazie twarzy Laurie wskazywało, że nie słucha. Prawie w tej samej chwili Rachel usłyszała głośny plusk.

Bratanica zerwała się gwałtownie, przewracając krzesło, a jej filiżanka spadła na terakotę. Nie zwróciła na to uwagi, tylko ruszyła biegiem w stronę basenu.

Rachel miała wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie.

Również poderwała się z krzesła, krzycząc tak głośno, że z drzew z krakaniem zerwały się spłoszone wrony. Archie wpadł do basenu.

Bez chwili wahania Laurie z rozbiegu odbiła się i skoczyła do wody, a jej buty i kapelusz poleciały w różne strony. Na jedną przerażającą chwilę zniknęła Rachel z oczu, ale kilka sekund później wynurzyła się, a razem z nią Archie. Posadziła go na brzegu basenu, podtrzymując za brzusek, po

czym sama wskoczyła na obramowanie obok niego. Kiedy Rachel do nich dotarła, bratanica klepała Archiego po plecach, żeby wykrztusił wodę.

- O Boże! - zaczęła histeryzować Rachel. - Miałam go przecież pilnować! O Boże. Och, Archie...

- To był wypadek.

- Jeśli cokolwiek mu się stało...

- Nic mu nie jest, naprawdę. - Głos Laurie brzmiał stanowczo. Jak mogła być taka spokojna? Rachel przyjrzała się jej uważnie. Sukienka przylegała jej do ciała, woda z włosów zalewała twarz, ale ona sama wydawała się zupełnie nieporuszona tym zdarzeniem. - No nie, Archie? Archie kiwnął głową, a wyglądał przy tym tak żałośnie, że Laurie roześmiała się cicho, po czym mocno go uściskała.

- No już. Już po wszystkim. Tylko spójrz na nas. Oboje jesteśmy mokrzy. I co na to powie twoja mama?

- Mógł utonąć - nie ustępowała Rachel. - I to z mojej winy, bo go nie pilnowałam. A Claire... Claire pomyśli, że...

Następna rzecz, jaką zarejestrowała, to to, że Laurie pomaga jej się podnieść z ziemi. Czują, jak obejmuje ją ramieniem.

- Już po wszystkim - powiedziała stanowczo bratanica. Po czym zbliżyła twarz do jej twarzy i dodała: - Przestraszyłaś Archiego. Spróbuj się uspokoić, a my się oboje wysuszymy. Wróć do domu i połóż się na chwilę. Wszystko jest w porządku. Nie róbmy z tego afery, dobrze? Rachel obudziła się z gwałtownym wzdrygnięciem. Przez otwarte drzwi salonu widziała, jak Claire rozmawia w przedpokoju z Laurie. Wstała z trudem, czując, jak głębokie zakłopotanie pokrywa ją niczym warstewka potu. Nie wiedziała, czego powinna się bardziej wstydzić: tego, że dopuściła, by Archie wpadł do basenu, tego, że tak przesadnie zareagowała



na ten wypadek, czy też tego, że z niewyjaśnionych przyczyn zapadła w sen i zostawiła Laurie opiekę nad prawnukiem. Brenda, która dbała o nią w Dreycott Manor, najwyraźniej miała rację. Powinna iść do lekarza i poprosić o coś, co doprowadziłoby ją do formy.

Wyglądziła białe, płócienne spodnie. Nigdy w życiu nie zachowywała się jak historyczka. Nigdy nie straciła głowy w obecności rodziny. Bogu dzięki za Laurie, pomyślała, ruszając do przedpokoju.

- Och, Claire... - zaczęła, ale Laurie uciszyła ją spojrzeniem.

Przebrała się w pochłapany farbą biały podkoszulek i wystrzępione dżinsowe szorty, które odkrywały jej opalone nogi i brudne bosa stopy.

Przy Claire, która stała w otwartych drzwiach ubrana w srebrzyste spodnie z surowego jedwabiu i atlasowy, wiązany na szyi srebrny top, wyglądała jak chłopczyca. Słońce połyskiwało w długich, brązowych włosach Claire, a jej świeżo pomalowane paznokcie u nóg błyszcząły w sandałkach na szpilce.

- Jak już mówiłam - ton Laurie, kiedy podawała Claire torbę, był przesadnie znaczący, przeznaczony specjalnie dla Rachel - przepraszam, że jego rzeczy są trochę mokre. Bawiliśmy się i...

Rachel zaskoczyła łatwość, z jaką Laurie wygłosiła to kłamstwo.

- Och, nie martw się - odparła Claire, patrząc obojętnie na mokrą reklamówkę, a potem na Archiego, który ubrany był w dużo za małe ogrodniczki. Rachel przemknęło pytanie, skąd Laurie je wygrzebała.

- Poszliśmy pływać - wyjaśnił Archie, patrząc na Laurie, która mrugnęła do niego i zmierzwiła mu dłonią włosy.

- Tak jest. Prawdziwy z ciebie śmiałek, prawda, młody człowieku? Claire zignorowała ich oboje, przenosząc uwagę na Rachel.

- O, jesteś. Zabieram cię na lunch, a po drodze podrzucimy Archiego do żłobka. Zarezerwowałam już stolik na dwoje w Reed.

Rachel spojrzała na Laurie.

- Och, to znaczy na drugą. Chciałam powiedzieć na drugą - wyjaśniła pospiesznie Claire, uświadomiwszy sobie nietakt.

- Dzięki, ale mam dużo pracy - odparła Laurie i dała nura na schody. - Pa, pa, Archie. Postaraj się nie wpadać w kłopoty.

Po jej wyjściu przez chwilę panowała cisza. A potem Claire uśmiechnęła się do Rachel, która uświadomiła sobie nagle, jak bardzo za nią tęskniła.

- Kochanie, czy nie możemy zostać tutaj? Mam takie wrażenie, jakbym dopiero co przyjechała. Poza tym Reed to strasznie pretensjonalna restauracja.

- Nie musimy jechać, jeśli nie chcesz. Chciałam cię tylko trochę porozpieszczać - stwierdziła Claire, ale Rachel zauważyła jej rozczarowanie. - Od wieków nigdzie razem nie byliśmy. Pomyślałam, że będzie miło...

- Dobrze, już dobrze, pójdę z tobą, ale musisz mi obiecać, że przyjedziecie jutro na kolację. Chcę spędzić trochę czasu z rodziną.

- Nie jestem pewna, czy Sam będzie mógł. Muszę sprawdzić. Z jej tonu Rachel wywnioskowała, że nie chodzi o pracę.

Popatrzyła uważnie na wnuczkę, która obserwowała, jak Archie bawi się parasolkami stojącymi w koszu przy drzwiach.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Och nic. Ostatnio jakoś dziwnie się zachowuje. - Skoro Claire o tym wspomina, musi to być naprawdę poważny problem. - Zupełnie jakby był cały czas spanikowany. To zapewne wina stresu.

Rachel wróciła myślą do pogrzebu. Przypomniała sobie, jak Sam nagle zaczął się jękać i dziwnie zachowywać, kiedy ogłosiła, że to on poprowadzi dalej firmę. Wtedy bardziej przejmowała się reakcją Christophera i Nicka, bo od razu

zauważyła, że są wściekli. Aż musiała ich obu wywołać na stronę i przypomnieć im, że Sam, w końcu też członek rodziny, zrobił dla niej i Tony'ego więcej, niż są sobie w stanie wyobrazić. Do tej pory była zła, że w taki sposób musiała ich skłonić, by poparli jej decyzję.

Natomiast kiedy dziś przypomniała sobie tę chwilę, poczuła się winna, że nie zwróciła większej uwagi na Sama, że nie sprawdziła wtedy, co mu się stało.

- Ale nie gniewa się chyba o to, że przekazałam mu firmę? Myślałam, że tego pragnie. Tony by tego chciał. Byłam pewna, że się ucieszy. Byłam pewna, że to właściwa decyzja...

- O Boże - jęknęła Claire, potrząsając głową. - Nie powinnam była nic ci mówić. Słuchaj, zapomnijmy, że o tym wspomniałam. Sam jest zachwycony awansem, tak samo jak i ja. Po prostu ma za mało czasu dla siebie, to wszystko. Ciągłe mu powtarzam, żeby zwolnił, ale sama wiesz, jaki on jest. Zupełnie przestał żeglować i chodzić na siłownię. Tylko pracuje i pracuje, i pracuje. Prawie go nie widuję.

Rachel wyczuła jej zmartwienie: Claire tak bardzo kochała Sama.

- Porozmawiam z nim - zaproponowała.

- Proszę, nie - zaprotestowała Claire, ale bez przekonania. Potem wzięła Archiego na rękę. - Poza tym nie przyszedłam tu rozmawiać o swoich problemach. Chodź, pójdziemy się zabawić.

Dopiero następnego dnia późnym popołudniem Rachel miała okazję porozmawiać znowu z Laurie w cztery oczy. Była zaskoczona, kiedy Dante, ogrodnik, powiedział jej, że bratanica przerobiła na pracownię stary hangar na łódzie. Dziwne, że wybrała do pracy takie odizolowane i trudno dostępne miejsce, skoro w domu miała równie wspaniałe światło. Kiedy Rachel ruszyła ścieżką w dół, uświadomiła sobie, że już od wieków nie była na plaży. Sa Costa miało masę zalet,

ale najwyraźniej zapomniała, jak się nimi cieszyć. Zresztą nie bardzo miała czas. Zajęły ją wizyty przyjaciół mieszkających na wyspie, matka Marii, która chciała poznać wszystkie szczegóły pogrzebu, oraz Fabio, który na motorowerze przywiózł nie tylko sprawunki, ale i swoje nowe dziecko. Poza tym złożyła krótką wizytę w biurze Araratu, by przywitać się z pracownikami.

W zasadzie cały czas pozostawała w kontakcie z biurem, ale osobista wizyta okazała się dla niej wstrząsem. Luksusowy lokal, który sama kiedyś wybrała ze względu na doskonałą lokalizację na obrzeżach starego miasta w Palmie, został zupełnie zreorganizowany. Sam zatrudnił nową sekretarkę i recepcjonistkę, a poza tym stworzył osobny dział marketingu. Rachel starała się ukryć konsternację, ale kiedy Maria wprowadziła ją do sali posiedzeń, świeżo umeblowanej nowymi, funkcjonalnymi meblami, poczuła się bliska łez. Już nie sprawowała tu władzy. Zmieniła się nawet atmosfera w firmie.

Choć wszyscy wydawali się zadowoleni, że ją widzą, z zakłopotaniem przyjmowała zaskoczone spojrzenia, jakie rzucali na nią nowi pracownicy. Poczula się tu zbędna i dlatego postanowiła skrócić wizytę. Poza tym dyskretne wypytywanie o Sama nie wskazało, że dzieje się coś niewłaściwego. Wręcz przeciwnie. Wszyscy pracownicy, z którymi rozmawiała, wydawali się zadowoleni, a interesy kwitły.

Wprawilo to jednak Rachel w jeszcze większy niepokój. No bo skoro to nie praca wywoływała u Sama stres, to w takim razie co?

Tony. To było jedyne wyjaśnienie. Podobnie jak ona, Sam zapewne jest w rozpacz. I tak samo jak ona na pewno potrzebuje odpoczynku.

Dotarłszy na plażę, weszła do nowej pracowni Laurie. Drzwi hangaru otwarte były na przestrzał, a całe wnętrze wypełniało światło i szum morza delikatnie obmywającego wybrzeże.

Laurie stała w drugim końcu hangaru, zajęta malowaniem. Była odwrócona tyłem, więc Rachel nie widziała skupienia na jej twarzy, ale nawet z tej odległości wyczuwała jej napięcie. Obok bratanicy, na odwróconej do góry dnem zardzewiałej beczce po ropie, widać było liczne palety z farbami, słój z wodą i niewielkie radio nadające chrypliwie jakiś hiszpański utwór gitarowy. Zniszczoną betonową podłogę pokrywał piasek i kilka kawałków sękatego drewna. Na środku stała stara, obłaząca z farby łódź wiosłowa wypełniona poduszkami. Na jej burcie sechł ręcznik i kostium kąpielowy.

Kilka obrazów stało opartych o ściany hangaru, niektóre podtrzymywane starymi linami zwisającymi z sufitu. Wszystkie przedstawiały ten sam temat - abstrakcyjne zachody słońca i morskie krajobrazy. Miały wspaniale dobrane kolory i genialnie uchwycone światło.

Kiedy Rachel weszła do hangaru, żeby przyjrzeć im się bliżej, Laurie wydała cichy okrzyk i podbiegła do niej, a jej policzki pokrył rumieniec. - Połowa nie jest jeszcze skończona - oświadczyła, zasłaniając Rachel widok. - Pokażę ci je, jak będą gotowe.

Rachel wycofała się na zewnątrz. Od bardzo dawna nie spotkała nikogo równie upartego jak Laurie. Cóż, zapewne od czasu, kiedy ostatni raz widziała Billa.

- Słuchaj, przepraszam za wczoraj - powiedziała, kiedy Laurie wyszła za nią z szopy. - Chyba przesadziłam w reakcjach.

Laurie wyciągnęła brudną szmatę zza paska szortów i wytarła ręce.

- Nie było sensu martwić Claire, skoro nie musiała o tym wiedzieć.

- Cóż, dziękuję. Za wszystko. Za to, co dla mnie zrobiłaś.

- Chyba powinnam zacząć przywykać do podziękowań? Skoro mam przekonać tatę, żeby tu przyjechał.

Powiedziała to nonszalancko, jakby to nie było nic wielkiego, ale Rachel widziała, że mówi serio. Popatrzyła na bratanicę, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Coś jeszcze? - spytała Laurie, najwyraźniej chcąc wrócić do pracy.

- Nie - odparła Rachel.

- To dobrze. Skończę, jak zajdzie słońce - obiecała i zniknęła w szopie.

Dopiero teraz Rachel przypomniała sobie, po co tu przyszła: żeby ją uprzedzić, że Sam i Claire będą na kolacji. Laurie wróciła już jednak do swego płótna i Rachel nie chciała jej znów przeszkadzać. Wahała się przez chwilę przed wejściem do hangaru, po czym ruszyła ścieżką do domu.

Rachel przywykła do tego, że widzi na wylot ludzi, wśród których się obraca, a jeśli nawet nie, to przynajmniej jasne są dla niej motywy ich działania. Ale kiedy przygotowywała się do kolacji, uświadomiła sobie, że z Laurie jest inaczej. Wyczuwała w bratanicy jakąś ukrytą ogromną namiętność, która ją intrygowała. Już to, w jaki sposób przekształciła stary hangar na łodzie, wskazywało na jej niezwykłą wrażliwość. Jeszcze bardziej intrygująca była jej skrytość.

Dlatego właśnie, kiedy tuż przed kolacją zadzwoniła komórka Laurie, porzucona na małym stoliku przy drzwiach, nie wahała się ani chwili.

Uświadomiła sobie własną głupotę dopiero w momencie, gdy nacisnęła zielony przycisk, odbierając tym samym połączenie. A jeśli dzwonił Bill? Ale chwilę później, kiedy przedstawił jej się James Cado-gan, wszelkie myśli o Billu wyparowały jej z głowy. Nareszcie, pomyślała, grillując czerwoną paprykę. Była zachwycona zarówno tym wspaniałym młodym człowiekiem, jak i tym, że wreszcie znalazła szczelinę w zbroi Laurie. A więc bratanica miała kochankę!

Zakończyła tę krótką rozmowę z uśmiechem. Nie tylko wraz z Jamesem obmyśliła wspólny plan, jak rozweselić Laurie i jak sprawić, żeby się odprężyła, ale i w kilka minut dowiedziała się o niej więcej niż podczas rozmowy trwającej cały ranek. Dlaczego na litość boską Laurie nigdy nie wspominała o Jamesie? Przecież to cudowny facet! Rachel była tak podniecona przygotowaną niespodzianką, że aż korciło ją, żeby pobiec na plażę i wygadać wszystko Laurie.

Nagle jednak zaczęła się denerwować. A jeśli bratanica miała powód, żeby nie wspominać o Jamesie? Miała przecież wiele okazji, żeby poruszyć temat swego życia intymnego i wyrazić swoje uczucia... Rachel zaczęła wpadać w panikę. Przeklinała się za ten poryw. A jeśli za dużo sobie wyobraziła? A jeśli wtrącając się w ten sposób, wszystko popsuje? Nie doszła do żadnych wniosków, ponieważ na podjeździe rozległ się pisk opon hamującego samochodu. Zmniejszyła ogień pod grillem i poszła otworzyć. Kiedy stanęła w drzwiach, zobaczyła, jak Claire i Sam wysiadają z jasnoblękitnego audi ze złożonym dachem, należącego do Claire. W powietrzu unosiła się lekka woń spalonej gumy. Claire zatrzasnęła drzwiczki samochodu i wpadła do domu, drobiąc pośpiesznie. Jej kroki krępowwały obcisłe dżinsy i wysokie obcasy.

- Powiedz mu, żeby przestał się wściekać - warknęła w przelocie do babci i zniknęła we wnętrzu.

Sam, który znacznie delikatniej zamknął drzwiczki od strony pasażera, ruszył ku Rachel, nadal stojącej w otwartych drzwiach. Przez ramię miał przerzuconą kremową płócienną marynarkę od garnituru; przytrzymał ją palcem zaczepionym o pętelkę wieszaka. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł z pracy.

- Cześć - zatrzymał się wyraźnie znużony i pocałował ją w policzek.

Nawet gdyby Claire nie wspomniała o niepokoju dręczącym Sama, Rachel na pewno by to teraz sama zauważyła. Mąż wnuczki wyglądał tak, jakby nagle postarzał się pod

ciężarem powierzonej mu odpowiedzialności. Jego opalona twarz stała się zdecydowanie mniej chłopcęca, a zmarszczki wokół oczu znacznie się pogłębiły. Było mu z tym do twarzy, ponieważ należał do mężczyzn, którzy z wiekiem stają się coraz bardziej atrakcyjni. Nawet z kilkudniowym zarostem wyglądał niezwykle przystojnie.

Rachel miała ochotę go uściskać i zapewnić, że niezależnie od tego, o co pokłócił się z Claire, jest z niego dumna. Towarzystwo Archiego i Claire, nie wspominając już o Laurie, przyniosło jej ukojenie, a teraz, kiedy zjawił się i Sam, jej mieszkająca na Majorce rodzina wreszcie znalazła się w komplecie.

- Sam, kochanie, strasznie za tobą tęskniłam - powiedziała szczerze, wciągnęła go za sobą do domu i zamknęła drzwi. - Tak rzadko cię widuję. Uśmiechnął się ze znużeniem i znów poczuła ten jego niezwykle czar.

- Nie można mieć wszystkiego - stwierdził. - Skoro powierzyłaś mi firmę, to czego się spodziewasz?

Rachel uśmiechnęła się w odpowiedzi. Chciała wspomnieć o swojej wczorajszej wyprawie do biura, ale doszła do wniosku, że on może to uznać za wtrącanie się. Skoro oddała mu władzę, musi mu teraz ufać. Jeśli wspomni o firmie, gotów pomyśleć, że myszkuje za jego plecami. Nie, dzisiejsza kolacja ma być wyłącznie rodzinna. Musi się nauczyć oddzielać pracę od prywatnego życia.

- Chcesz, żebym dała wam chwilę sam na sam? - spytała, zaglądając przez otwarte drzwi do salonu. Claire najwyraźniej przed chwilą wyszła na taras, bo dym z jej papierosa i zapach perfum unosiły się jeszcze w powietrzu.

- Nie - odparł Sam. - Nic się nie stało. To tylko głupia sprzeczka o Archiego - wyjaśnił nieprzekonująco. - Wiesz, jaka jest Claire, za chwilę o wszystkim zapomni. Może zrobię nam drinka?



- Świetnie.

Zaplanowana przez Rachel spokojna, rodzinna kolacja zdecydowanie się nie udała. Kiedy Laurie wróciła wreszcie z plaży, okazała przesadną irytację faktem, że Rachel nie uprzedziła jej o przyjeździe gości. Przyszła owinięta ręcznikiem, z włosami pozlepianymi w mokre strączki po wieczornej kąpieli w morzu, a z Samem i Claire przywitała się z taką powściągliwością, że Rachel poczuła lekką złość.

Gdy bratanica przebrała się i przyłączyła do towarzystwa, była dziwnie zrezygnowana i zamyślona. Rachel za wszelką cenę starała się załagodzić sytuację, ale za późno już było na przeprosiny za towarzyski nietakt.

Robiła sobie wyrzuty, że nie uprzedziła jednak Laurie o kolacji - teraz nie miała innego wyboru, jak tylko ciągnąć spotkanie dalej, jakby nic się nie stało. Jednak im bardziej starała się rozkręcić towarzystwo, tym większe wyczuwała wokół stołu napięcie. Jedynie Claire czyniła wysiłki, żeby wciągnąć Laurie w rozmowę - i za każdym razem ponosiła klęskę.

Natomiast Sam w ogóle nic nie mówił, tylko rzucał gniewne spojrzenia i pilnował grilla. Obracał w milczeniu kebaby z kurczaka i steki, napełniające powietrze aromatycznym zapachem marynaty, którą Rachel przyrządziła z rosnących w ogrodzie ziół i miejscowego wina.

Najwyraźniej nadal przeżywał sprzeczkę z żoną.

Dopiero po kolacji, kiedy noc zrobiła się chłodna, a Claire zebrała brudne talerze i poszła do kuchni, rzucając Rachel wymowne spojrzenie, ta zdecydowała się wciągnąć Sama do rozmowy.

- Pomyślałam, że powinieneś zabrać Laurie na „Flight” - stwierdziła, obserwując jego twarz w miękkim świetle stojących na stole świec.

- Założę się, że Laurie zna lepsze rozrywki niż żeglowanie...

- Nonsens. Na pewno bardzo by chciała, prawda, Laurie?

- Ja... - Laurie uniosła brwi, najwyraźniej zakłopotana. Rachel doszła do wniosku, że to przez powściągliwość Sama, ale nie zamierzała się tak łatwo poddać. Pochyliła się nad stołem i dołączyła czerwonego wina sobie i Laurie.

- Ten jacht to jego duma. Jest doskonałym żeglarzem.

- Ostatnio prawie nie mam czasu - wymamrotał Sam, zasłaniając ręką kieliszek, kiedy Rachel wyciągnęła w jego stronę butelkę. Cofnęła rękę, rozczarowana. Miała nadzieję, że po kilku kieliszkach Sam się odpręży. Tak często siadywali kiedyś na tych obitych na czerwono krzesłach, gdy z krutek otaczających zewnętrzną jadalnię rozchodził się zapach jaśminu, czyniąc to miejsce oazą spokoju. Kochała spędzać tu wieczory otoczona rodziną. To było jej ulubione miejsce. Sam kiedyś wspomniał, że jego również.

- Tym bardziej powinieneś się wybrać. Zabierz Laurie na przejażdżkę. Pokaż jej zatokę. Założę się, że nigdy nie widziała Palmy od strony morza.

- Tylko na pocztówkach - odparła spokojnie Laurie.

Sam wziął ze stołu pusty kieliszek i wpatrywał się w niego. Rachel знаła go na tyle dobrze, żeby wyczuć jego złość, ale nie mogła pojąć, co ją wywołuje. Dlaczego nie próbował okazać Laurie sympatii? To było zupełnie do niego niepodobne. Zawsze podziwiała jego umiejętność sprawiania, żeby ludzie czuli się wyjątkowi. Gdzie się podział jego urok? No cóż, nie zamierzała mu pozwolić na takie zachowanie.

- Sam, nie rozumiem, dlaczego robisz trudności. Najlepiej od razu ustalmy datę, bo inaczej nic z tego nie będzie. Ciagle będziesz miał ważniejsze sprawy...

- Rachel, to naprawdę bardzo miła propozycja, ale ja powinnam się skupić na malowaniu - przerwała jej Laurie. - Czy nie możemy...

Co się dziś z nimi wszystkimi stało? Zachowywali się zupełnie jak dzieci. No to świetnie, w takim razie będzie ich traktować, jakby byli dziećmi, i zmusi do sensownego za-

chowania, czy im się to podoba, czy nie. Przecież chodzi o ich własne dobro!

- W takim razie w przyszły wtorek - zdecydowała, rzucając niebieską, lnianą serwetkę na stół. - Sam, ty chyba za ciężko pracujesz. Chcę, żebyś sobie wziął dzień urlopu i dobrze się bawił. A ty, Laurie, też potrzebujesz odpoczynku. Nie przyjmuję żadnych protestów. W przyszły wtorek. To i tak lokalne święto, więc w pracy nie będzie problemów.

- A co będzie w przyszły wtorek? - spytała Claire. Przyniosła dla Rachel sweter.

- Sam zabiera Laurie na swoją łódź - odparła Rachel, wkładając okrycie.

- Tak? To dobrze, że nie mnie - roześmiała się Claire.

- Chyba bym nie wytrzymała. Strasznie... chłapie. Laurie, ostrzegam, że będzie cię przeganiać z miejsca na miejsce za każdym razem, jak będzie zmieniał hals.

Laurie wypła maleńki łyk wina. Nie odezwała się ani słowem. Nawet się nie uśmiechnęła.

- Jestem pewna, że to doskonale zrobi wam obojgu

- stwierdziła Rachel, mając nadzieję, że wnuczka doceni fakt, że zmusiła Sama do wzięcia wolnego. Nie przypuszczała, że to będzie aż takie trudne.

- Z całą pewnością. Ciągłe mu to powtarzam - odparła Claire, stając za Samem i całując go w czubek głowy. - Staram się zapewnić mu mnóstwo ćwiczeń, ale to nie to samo co świeże powietrze.

Sam odsunął się od niej, najwyraźniej zirytowany i zakłopotany tak jawną seksualną aluzją.

- No co? - zdziwiła się Claire.

Odsunął gwałtownie krzesło, zmuszając żonę do cofnięcia się.

- Wiecie co? Zmarzłem - oświadczył. - Chyba pojedziemy już do domu.

- Ależ mowy nie ma. - Rachel była pewna, że żartuje.

- Mam jutro rano spotkanie - wyjaśnił Sam, podnosząc się z krzesła. -  
Dziękujemy za kolację, była pyszna.  
Postawił na swoim pomimo protestów Claire i wkrótce oboje pożegnali się z Rachel i Laurie.  
- Zobaczymy się w przyszłym tygodniu - rzucił Laurie na odchodnym.  
Nie minęło nawet pięć minut od ich odjazdu, gdy bratanica również pożegnała się i poszła do swojego pokoju.  
Rachel została sama. Owinęła się szczelnie swetrem i schowała nos w jego puszystej miękkości, wdychając lekki zapach cygar. Tak silnie przypomniawszy jej to Tony'ego, że poczuła, jak obezwładnia ją smutek. Rozczuliła się nagle nad sobą.  
Dzisiejszy wieczór był katastrofą. Wszystko wokół niej się rozpadało. Nie była w stanie nad niczym zapanować i chyba dlatego czuła się taka samotna. Gdyby tylko był z nią tu Tony, wtedy Sam i Claire byłiby szczęśliwi, a Laurie...  
Laurie wcale by tu nie było, przypomniawszy sobie stanowczo. Nic dziwnego, że tak trudno im teraz odgrywać szczęśliwą rodzinę, skoro zmieniła wszystkie zasady gry.

## Rozdział XII

Stepmouth, maj 1953

Przyjaciel Billa, Richard Horner, nucąc cicho pod nosem, przeprowadza! ostatnie oględziny sportowego jowett jupitera. Miłośnie przesuwiał przy tym palcami po nawoskowanej, czarnej karoserii samochodu, którą wraz z Billem polerowali przez cały ranek.

- Richard, przecież to nie kobieta - roześmiał się Bill.

- Faktycznie - zgodził się Richard. - Ale założę się, że wiele kobiet będzie się nim chciało z tobą przejechać. Tyle że jupiter na pewno okaże się bardziej godny zaufania niż one - mrugnął do Billa. - No, ale jeśli dziewczyny będą szybsze niż samochód, to pewnie nie będziesz rozczarowany - zażartował.

Richard był najlepszym przyjacielem Billa. Niższy od niego prawie o trzydzieści centymetrów, twardy i prostolinijny, miał ascetyczną twarz i sprawiał wrażenie żylastego.

Ich przyjaźń datowała się od czasów, kiedy obaj grali w piłkę, i w szkole, i po szkole. Richard wyszkolił się w wojsku na mechanika, a kiedy cztery lata temu brał ślub ze swoją ukochaną Rosie, Bill był jego drużbą.

Jak dotąd Rosie urodziła Richardowi dwie dziewczynki, z których starsza, trzyletnia obecnie Joan, była chrześniaczką Billa. Kiedy przychodził do nich na niedzielny obiad albo szedł z nimi na plażę, miał zawsze dojmujące poczucie jakiejś straty. Ze zdumieniem przyglądał się tej rodzinie, którą

w taki cudowny sposób powołał do życia Richard. Jak to w ogóle było możliwe? I czy jemu też się to kiedyś przydarzy?

Siedzieli teraz we dwóch w garażu na Lydgate Lane, który wynajęli specjalnie po to, by doprowadzić do porządku jowett jupitera. Obaj ubrani byli w niebieskie, poplamione smarem kombinezony, pożyczone przez Richarda od blacharzy w pobliskim Tarnworth, gdzie pracował. W garażu było parno, w powietrzu unosił się zapach benzyny, lakieru i potu.

Jupiter był pomysłem Richarda. Zadzwoił do Billa z blachami, gdy tylko samochód został tam odholowany przez pomoc drogową po zderzeniu z ciężarówką. Szef Richarda poinformował bogatego, młodego właściciela samochodu, że bardziej opłaca się sprzedać go na złom, niż naprawiać.

- Przywrócić go do porządku może tylko wielka miłość, bo z całą pewnością wymaga więcej pracy i zachodu, niż jest wart - stwierdził, oglądając powyginany wrak.

I właśnie te słowa zainspirowały Richarda.

Billa nie trzeba było długo przekonywać, porwało go to wyzwanie.

Natychmiast wyobraził sobie, jak siedzi za kółkiem jupitera i mknie przez okolice. Oraz jak wielkie poczucie wolności może mu dać ten samochód.

Obaj z Richardem poświęcili na ten cel całe swoje niewielkie zapasy gotówki; większość części koniecznych do przywrócenia jupiterowi dawnej świetności wygrzebali na złomowiskach, rzadko coś kupując.

Naprawa zajęła im pół roku. Dla Billa było to sześć miesięcy nauki. Dla Richarda - sześć miesięcy szkolenia się na nauczyciela. Dla obu - sześć miesięcy godzin wykradanych rodzinom wieczorami i w weekendy.

Ale warto było. Teraz jupiter, i c h jupiter, stał się znów prawdziwą pięknnością. Wspaniałą maszyną, na którą normalnie nigdy nie byłoby ich stać. Zdobyli go na własność jedynie dzięki ambicji i trudowi. I, jak sądził Bill, nareszcie doprowadzili go do stanu używalności.

Richard nachylił się nad błyszczącym silnikiem widocznym pod otwartą maską. W zadumie pogładził czarne wąsy.

- Jak brzmi werdykt? - spytał Bill.

Richard zamknął maskę. Wyprostował się i położył na niej ojcowskim gestem obie dłonie, w taki sposób, w jaki kładł je często na główkach swoich córek.

- Ty jedź pierwszy - zdecydował, rzucając Billowi kluczyki. Bill złapał je w powietrzu.

- Możemy pojechać razem. Richard zaczął zwijać papierosa.

- Ja świetnie się bawiłem, składając go do kupy - stwierdził. - Jedź. Wiem, jak cię korci, żeby się w nim pokazać.

Mówił serio. Więc Bill zaczął ściągać roboczy kombinezon w takim pośpiechu, że nie zdjął przedtem butów i musiał przeskakiwać niezgrabnie z nogi na nogę, żeby się uwolnić. Pod spodem miał stare spodnie, szelki i niebieską bawełnianą koszulę. Pospiesznie wsiadł do samochodu i uruchomił go. Czterocyldrowy silnik o pojemności 1486 zamruczał jak kot.

Richard popukał w szybę, a kiedy Bill otworzył okno, zapytał:

- Pojedziesz się z nią zobaczyć?

- Z kim?

- Zgadnij.

- Z matką?

- Zgaduj dalej - uśmiechnął się Richard, nieudolnie naśladowując amerykański akcent.

- Och! - Bill podrapał się w policzek, usiłując ukryć rumieniec.

Emily. Emily Jones. To o nią chodziło Richardowi. Bo jego zdaniem Bill za dużo o niej mówił. Zdecydowanie za dużo, skoro była tylko zwykłą klientką ich sklepu. Choć Bill upierał się, że to prawda. Jednak musiał przyznać, że istotnie ostatnio dużo o niej myśli. I wyczekuje na jej wizyty

w sklepie. Za każdym razem, gdy u drzwi odzywał się dzwonek, podnosił głowę w nadziei, że zobaczy właśnie ją. Chociaż ich krótkie rozmowy ograniczały się w zasadzie do składania zamówień, stopniowo zaczął poznawać drobne szczegóły jej życia: że jej rodzice wyjeżdżają; że maluje nowy szyld lokalu; że cudownie jest być po raz pierwszy w życiu szefem. On z kolei opowiadał jej o miasteczku - choć sam go właściwie nie lubił - żeby spodobało jej się na tyle, by tu została.

- Na twoim miejscu przejechałbym się tym cudem przed Sea Catch Café - stwierdził Richard. - Przynajmniej ze dwa razy. A może nawet trzy. -  
Twarz rozjaśnił mu uśmiech.

- Nigdy nic nie wiadomo. Może nawet zwróci na ciebie uwagę?

- No tak, ale nie jesteś na moim miejscu - uciął Bill.

- A ja nie zamierzam się tak wygłupiać. To śmieszne.

Bo to rzeczywiście było śmieszne. Śmieszne i głupie, pomyślał Bill, przejeżdżając przed Sea Catch Café po raz piąty w ciągu tyłuż minut. Ale i podniecające. Ten strach, to przerwanie codziennej rutyny, takie marnowanie czasu, ta niepewność, co będzie dalej. Zupełnie jak wyzwolenie. Albo zabawa. Lecz czy nie zasłużył sobie na to? Czy nie stracił już bezpowrotnie wystarczającej części młodości? Czy nie widział, jak przemija, zbierając się jak kurz na oknach, parapetach i półkach sklepu Vale'ów? Czy nie nadszedł czas, żeby wzburzyć spokojne wody swego życia?

Uśmiechnął się nerwowo przez okno do przyjaciółki matki i wyjątkowej plotkarki, pani Carver. Przez ostatnie pięć minut stała oparta na parasolce przed sklepem mięsnym i z rosnącą podejrzliwością obserwowała jego przejazdy przez okulary, w których tkwiły jedynie połówki szkieł. Billa nic to nie obchodziło. Jego zachowanie mogło się wydawać dziwaczne, zgoda, ale jupiter dał mu pretekst, że



by tu być i zachowywać się w ten sposób. No bo czemu ludzie nie mieliby uwierzyć, że tylko go testuje?

Skręcił w Winstanton Parade, niknąc z oczu pani Carver, i zjechał na pobocze. To śmieszne, powtórzył. Śmieszne, żeby dorosły mężczyzna w taki sposób zachowywał się wobec dorosłej kobiety. Bo Emily Jones była dorosłą kobietą.

Żałował, że nie jest rzeczywiście takim światowcem, jakim czynił go jupiter. Żałował, że nie ma w tych sprawach więcej doświadczenia. Ale nie miał.

Prawda była taka, że nigdy nie szło mu dobrze z kobietami. Choćby przypadek Susan Castle, z którą był zaręczony na studiach. Spaprał tę sprawę własnoręcznie. Była pierwszą dziewczyną, z jaką się przespał (prawdę mówiąc, jedyną dziewczyną, z jaką się przespał), i chciał, żeby była też ostatnią. Myślał, że będą razem szczęśliwi do końca życia. Chciał, żeby im było razem tak dobrze, jak jego rodzicom. Ale kiedy nadszedł kryzys, kiedy wrócił do domu pomóc matce prowadzić sklep, a Susan zerwała z nim listownie, nawet nie ruszył się ze Stepmonth i nie próbował wpłynąć na jej decyzję. Pozwolił jej odejść. Więc co to była za miłość, skoro nawet o nią nie walczył? Może w takim razie w ogóle nie była to miłość?

Skoro tak marnie mu poszło z Susan Castle, skąd miał wiedzieć, jak mu pójdzie z kimś innym? Od kiedy wrócił do Stepmonth, umówił się zaledwie z trzema dziewczynami. I żadna z tych niedzielnych, grzecznych randek nie przekształciła się w nic bardziej konkretnego niż sztywne rozmowy i zdyszane, niezdarne pieszczoty w ciemnościach.

To była jego wina. We wszystkich trzech przypadkach to on z nimi zrywał. Nie dlatego, że były nieatrakcyjne, ale dlatego, że były naiwne. Albo normalne, jak czasami podejrzewał. Ponieważ naiwność dla ludzi w jego wieku stanowi normę. Nawet wojna ominęła te okolice, wyjąwszy pobliską bazę lotniczą. Nie spadły na nich bomby. Nie widzieli zaszytych w workach zwłok. Śmierć, jeśli tu zaglądała, spadała

miętko na wycieraczki domów, przybierając postać telegramów. Albo szeptały im o niej opiekuńcze usta rodziców.

Śmierć nigdy nie pojawiała się tu bezpośrednio, we własnej osobie.

Nigdy tak, jak tej nocy, kiedy Keith Glover wdarł się jak cyklon do rodzinnego domu Billa. I nigdy nie krzyczały o niej usta dziewięcioletniej rozhisteryzowanej siostry. I to przez połowy telefon.

Natomiast Emily Jones... w Emily Jones Bill wyczuwał coś innego. Nie tylko dlatego, że wyjechała za granicę. Raczej dlatego, że wyszła za mąż i się rozwiodła. Ponieważ doświadczyła więcej niż wszystkie dziewczyny w mieście razem wzięte.

I w tym właśnie upatrywał między nimi podobieństwa: oboje różnili się od innych ludzi. Czy to było śmieszne? Tak. Ale i bardzo pociągające.

- Ostatni raz - powiedział cicho, jakby się modlił. Rozmyślnie zapomniał, że to samo obiecał sobie poprzednim razem. Oraz jeszcze poprzednim.

Kiedy skręcił w East Street, nagle ją zobaczył: Emily Jones spacerowała ulicą równie bez troski, jakby spacerowała po łące. Nacisnął hamulec, a samochodem zarzuciło niebezpiecznie na boki. Mogłeś ją zabić, ty idioto, pomyślał, kiedy obchodziła samochód.

- No, no, no - powiedziała, zaglądając do środka. - Czyżby to był Bill Vale?

Ubrana była, jak przypuszczał, w strój roboczy: luźne brązowe spodnie schowane w stare brązowe skórzane buty, koszulę koloru khaki i biały płócienny fartuch. Niedbale, zupełnie jak wojenna ochotniczka, pomyślał, przypominając sobie te śliczne dziewczyny z Londynu, które w czasie wojny pomagały przy żniwach na okolicznych farmach. Kiedy był nastolatkiem, razem z kumplami włóczył się po polnych drogach i przelazł przez rowy, żeby chociaż rzucić okiem na ich nagie opalone ramiona i nogi.

- Cześć - wykrztusił sztywno. Planował powiedzieć jej jakiś komplement, ale odpowiednia chwila zdążyła minąć.

Uśmiechała się do siebie, oglądając samochód.

- Prawdziwy z ciebie superman, co?

Po raz pierwszy widział ją z bliska bez makijażu. Cerę miała równie bladą jak Rachel, a bez dodającego blasku cienia do powiek jej szare oczy wydawały się chytre i mądre jak u kota.

- Myślałam, że jesteś tylko sklepikarzem - ciągnęła. - Aż tu raptem twoja siostra mi mówi, że chciałeś być inżynierem. I że w domu masz pudła pełne rysunków sal koncertowych... i mostów... i innych rzeczy, które chciałeś zbudować...

- Powiedziała ci o tym?

- Jasne - odparła. - I wyglądała przy tym tak, jakby była z ciebie dumna. Powiedziała, że dawno już byłbyś sławny, gdybyś nie musiał wrócić do domu opiekować się nią i matką.

Poczuł się równocześnie zażenowany nieoczekiwanym uznaniem ze strony siostry i podniecony tym, że opowiada o nim takie rzeczy. I to Emily.

- Nie zawsze wyraża się o mnie równie pochlebnie - stwierdził.

- Powinieneś odgrzebać te rysunki. Nigdy nie należy porzucać ambicji.

Rozejrzyj się tylko... - wskazała na stojący na końcu East Street, frontem do plaży, zrujnowany pawilon kąpielowy. - Przydałby się tu twój talent. Nadałbyś temu budynkowi nieco blasku.

Po raz pierwszy od lat Bill przyjrzał się uważnie opuszczonemu szkaradzieństwu - naprawdę się przyjrzał - inaczej niż jako elementowi krajobrazu. Dach prawie już zniknął, ale ściany nadal stały, mimo że budynku nie używano od ponad dwudziestu lat. Gdyby włożyć w to nieco pracy, jeszcze coś by z niego było, pomyślał.

- Myślałam, że jesteś wczasowiczem - stwierdziła Emily.

- Co?

- Wczasowiczem - powtórzyła.

Z powodu samochodu, odgadł. Ponieważ nieczęsto widuje się tutaj takie wozy.

- To jazda próbna - wyjaśnił, trzymając się pierwotnego planu, zgodnie z którym ich spotkanie miało być zupełnie przypadkowe.

- Podobnie jak te cztery poprzednie kółka?

- Słucham?

- W ciągu ostatnich pięciu minut przejechałeś przed kawiarnią cztery razy.

O Boże. Poczuł, że tonie.

- To też była część testów? - nalegała.

Popatrzył na drewnianą okleinę tablicy rozdzielczej i złożony układ chromowanych wskaźników. Chciało mu się wyć. Obserwowała go... i to przez cały czas! Poczuł się tak, jakby znów miał siedem lat, a matka przyłapała go na wykradaniu herbatników ze spiżarni. Wcześniej obserwując z ukrycia, jak zakrada się tam ostrożnie po skrzypiącej podłodze.

- Właśnie - odparł.

Z uśmiechem patrzyła, jak wierci się nerwowo na skórzanej tapicerce przedniego siedzenia. Poczekala, aż usiądzie wygodnie, po czym zajrzała mu niewinnie w oczy. I dopiero wtedy wygłosiła swoje *coup de grace*\*.

- Więc nie chodziło ci o to, żeby zwrócić moją uwagę? - spytała.

- Nie - odparł odruchowo.

Czemu skłamał? Czy nie tego przecież chciał? Żeby rozmawiali o sobie - o możliwości bycia razem - a nie o zamówieniu na mąkę i fasolę w puszkach? Ale zakłopotanie, wywołane przyłapaniem na gorącym uczynku, okazało się nagle zbyt silne, by je pokonać.

- Szkoda - powiedziała. Zmarszczył brwi.

*Coup de grace* (fr.) - ostateczne uderzenie (przyp. red.).

- Tak?
- Bo to by było bardzo miłe. Gdybyś starał się przyciągnąć moją uwagę. Ale nie szkodzi - dodała niefrasobliwie. - Jakoś to przeboleję.
- Powiedz coś! - wykrzyknął jakiś głos w jego głowie. Powiedz coś!
- Powiedz coś! Powiedz coś! To może być twoja ostatnia szansa! Ale nim zdążył pójść za radą tego głosu, ona odezwała się pierwsza.
- Wiesz co? - Pochyliła się trochę niżej.
- Co?
- Nigdy nie jechałam takim samochodem.
- Serio?
- Serio. Ani razu. Nawet w Stanach. - Postukała paznokciami w drzwiczki. - A tu jest tyle miejsca.
- Tak.
- Nigdy wcześniej nie zauważył, jakie ma długie rzęsy.
- Którego szkoda trochę dla jednej osoby - stwierdziła.
- Tak.
- Ani jak przy oddechu poruszają się chrapki jej nosa.
- I założę się, że świetnie się nim jeździ - dodała.
- O tak.
- Patrzył teraz na jej usta, na zęby błyskające bielą spomiędzy warg.
- Teraz, powiedział sobie. Teraz albo nigdy.
- A chciałabyś... - usłyszał swój głos.
- Tak...? - Uśmiechnęła się zachęcająco. Przełknął ślinę, spięty i przygotowany na odmowę.
- Chciałabyś się ze mną kiedyś przejechać?
- Już myślałam, że nigdy nie zapytasz - odparła. Nawet nie próbował ukryć uśmiechu.
- Mało brakowało - wyznał.
- Bardzo chętnie - powiedziała.
- To może...
- ... w przyszłą sobotę? - zaproponowała.

Wtedy zauważył panią Carver. Stała koło wejścia do Sea Catch Café i obserwowała ich uważnie.

- Znajoma? - spytała Emily, idąc za jego wzrokiem.

- Mojej matki - wyjaśnił Bill. - Straszna plotkara.

- Tak?

- Niestety.

- W takim razie musimy jej dać jakiś temat do plotek - stwierdziła Emily.

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nim zdołał wykrztusić słowo, oparła ręce o otwartą szybę, wsunęła głowę do samochodu i pocałowała go lekko w usta. Cofając się, przeczesła palcami włosy. Jej policzki pokryły się różem.

- Muszę wracać do pracy - stwierdziła. W drodze do kawiarni potknęła się i prawie upadła. - Do soboty - zawołała, machając do niego ręką. - O siódmej. Nie spóźnij się! - Potem odwróciła się do pani Carver gapiącej się na nich z otwartymi ustami. - Przystojniacha, no nie? - powiedziała na tyle głośno, żeby usłyszał.

Bill siedział w samochodzie jak przymurowany. Wspomnienie jej pocałunku nadal trwało na jego wargach, jakby przysiadł na nich motyl. Kiedy w końcu odetchnął, poczuł zapach rozmarynu i tymianku. Cały świat pachniał tak świeżo.

Choć wypadła właśnie kolej Rachel na przygotowanie kolacji, ugotowała ją matka. Uparła się to zrobić. Tak samo jak uparła się, żeby usiedli do kolacji za kwadrans siódma, zamiast, jak zwykle w soboty, o szóstej. A dlaczego? Nie trzeba było być geniuszem, żeby zgadnąć.

Ponieważ dowiedziała się od Edith Carver, że jej syn jest umówiony gdzie indziej - i to z kimś, kogo zupełnie nie pochwałała.

- Wyjątkowo bezczelna - mówiła właśnie znacząco.

Bill zignorował Rachel, która uśmiechała się, zezując na niego i najwyraźniej delectując się każdą sekundą jego drogi

przez mękę. Mechanicznie przeżuwał kęsy tłustej, szarawej mieszanki wątróbki, bekonu i ziemniaków, którą matka nałożyła mu na talerz dosłownie chwilę wcześniej.

- A jeśli chodzi o tego Amerykanina... chociaż właściwie była jeszcze dzieckiem...

Oderwał kawałek chleba z okrągłego, chrupiącego bochenka leżącego na środku stołu. Zebrał nim brązowy sos z talerza, odsłaniając na moment biało-niebieski wzór w kwiatki. Sos natychmiast pokrył z powrotem tę niespodziewaną plamę koloru, zupełnie jak błoto.

- Moim zdaniem porzucenie w ten sposób ojczyzny wskazuje na lekkomyślność - ciągnęła matka. - Co najmniej.

- Wyjechała, żeby wyjść za mąż - wyjaśnił Bill.

- A potem się rozwieść.

- Nie sądzę, żeby taki miała plan, kiedy stąd wyjeżdżała. W końcu przeżyła z tym człowiekiem siedem lat.

Matka popatrzyła na niego nieruchomym wzrokiem.

- Ja zostałam z twoim ojcem aż do jego śmierci.

Bill odwzajemnił jej spojrzenie wściekły, że w ten sposób wykorzystwała przeciw niemu śmierć ojca.

- Ale to nie oznacza, że musisz nazywać jej stosunki z mężem lekkomyślnym wyskokiem - warknął.

- To jeszcze jeden powód, żebyś się trzymał od niej z daleka.

- Uważasz, że jest nieczysta, ponieważ żyła z innym mężczyzną? - spytał.

Oczy matki rozbłysły wyzywająco.

- Uważam, że jest śliczna - wtrąciła się nagle Rachel. Nie śmiała się już ani nie wygłupiała.

- Co? - spytał Bill, sądząc, że się przesłyszał.

- Emily. Uważam, że jest śliczna. I że wcale nie jest lekkomyślna. Ani nieczysta. Ani taka, jak mówi mama.

Bill z trudem mógł uwierzyć w tak otwarte poparcie ze strony siostry.

- A co ty możesz o tym wiedzieć, w twoim wieku?

- warknęła matka.

Ostatnio to pytanie Bill często miał ochotę zadać Rachel. Co tak naprawdę wiedziała? O miłości? O związkach? Na pewno więcej niż kiedyś, tego był pewien. Być może więcej, niż osoba w jej wieku powinna wiedzieć. Ponieważ zauważył zmianę, jaka w niej ostatnio zaszła. W jej oczy zakradło się rozmarzenie, które dodawało blasku całej twarzy. Czasami przyłapywał ją na wpatrywaniu się w najzwyklejsze przedmioty w domu czy sklepie - na przykład w pudełko płatków mydlanych na półce albo pękniętą płytkę na podłodze - z niewytłumaczalnym uśmiechem na ustach. Rozpoznawał te objawy. Widział je na twarzy Richarda, kiedy poznał Rosie. I we własnym odbiciu w lustrze, kiedy golił się pół godziny temu, szykując na randkę z Emily Jones.

Zastanawiał się, kto spowodował ten stan u jego siostry. Sądził, że wkrótce się dowie. W Stepmouth tajemnice szybko wychodziły na jaw.

- Nie wtrącaj się i jedz - uciszyła córkę pani Vale.

Rachel otworzyła już usta, żeby zaprotestować, ale zmieniła zdanie i zamiast tego włożyła w nie kolejną porcję zapiekanki.

- W takim razie co powiesz o mnie, mamó? - spytał Bill.

- Byłem już raz zaręczony, pamiętasz? Czy to znaczy, że też nie powinienem mieć drugiej szansy?

- To ta wstrętna dzzira z tobą zerwała, a nie ty z nią.

Wstrętna dzzira. Proszę. Nie była w stanie się powstrzymać. Zawsze w ten sposób myślała o Susan Castle. I pewnie o Emily Jones. Ponieważ zmieniły zdanie.

- Dlatego że ją porzuciłem, mamó. Dlatego że wróciłem tutaj.

Krzesło zazgrzytało o podłogę, kiedy wstawał od stołu. Włożył marynarkę - czarną z jedwabną podszewką, od jedyne go porządnego garnituru, kupionego na pogrzeb ojca



- wiszącą dotąd na oparciu krzesła. Obszedł stół i stanął koło matki. Kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, uniosła rękę i dotknęła jego twarzy. Jej palce czuć było cebulą, którą siekała, przygotowując kolację.

- Chcę dla ciebie jak najlepiej - powiedziała.

- Wiem.

Wiedział również, jak wiele straciła i jak bardzo pragnęła ochronić to, co pozostało z ich rodziny. Ale nie potrzebował ochrony. Nie przed Emily Jones. I tego właśnie matka będzie się musiała nauczyć.

Kiedy szedł do bocznego wyjścia, czuł, jak korytarz zamyka się wokół niego. Wziął bukiet polnych kwiatów - fiołków i dzwonek - z wazonu stojącego koło wieszaka na kapelusze. Zerwał je rano przy żywopłocie działki i związał kawałkiem sznurka.

- Poczekaj! - Za nim pojawiła się Rachel. Wyciągnęła z bukietu dzwonek i włożyła mu go do butonierki. Potem cofnęła się i uśmiechnęła.

- Wyglądasz świetnie - stwierdziła. Odpowiedział jej uśmiechem.

- Dzięki - powiedział. - I dzięki za to, że mnie poparłaś. Nie zapomnę o tym.

Kiedy wyszedł z domu, wyciągnął z kieszeni spodni pęk kluczy i spojrzał na najbliższe okno, zakratowane tak jak wszystkie okna sklepu. Zamki i zasuw, przynajmniej po trzy w każdych drzwiach. Cały dom miał ich tyle co bank. Albo więzienie. A kiedy zamykał drzwi, przyszło mu nagle do głowy, że zamki działają w obie strony: nie tylko bronią ludziom wejścia, ale czasami trzymają ich też w zamknięciu.

Silnik jupitera pracował na jałowym biegu, kiedy Bill czekał przed Sea Catch Café na powrót Emily. Parę chwil wcześniej wręczył jej bukiet.

Powiedziała, że chce go włożyć do wody, żeby kwiaty nie zwiędły. I pobiegła z powrotem do kawiarni tak szybko, że zaczął się zastanawiać, czy jej przypadkiem nie obraził i czy nie wyszedł na sknerę, ponieważ kwiaty nic go nie kosztowały.

Popatrzył na małą, kwadratową skórzaną torebkę, którą zostawiła na siedzeniu obok niego. Wydawała się tak bardzo nie na miejscu, nie miała z nim nic wspólnego. Jak zguba, którą powinien jak najszybciej oddać właścicielce.

Nagle z przerażeniem doszedł do wniosku, że zaproszenie Emily było błędem. Czy raczej to, że ona go zaprosiła. Nadal nie był pewien, co wtedy tak naprawdę zaszło. To samo z pocałunkiem. Czy był dla niego, czy dla pani Carver? Żeby wywołać plotki i nic poza tym?

Zobaczył, jak w jasno oświetlonym wejściu do kawiarni pojawia się krągła sylwetka. To w niej, w tej mrocznej zagadce, jaką stanowiła dla niego Emily Jones, znajdzie wszystko, czego szuka.

Głośne pożegnanie, zatrzaśnięcie drzwi i oto spieszyła do niego w odważnej spódnicy do kolan łopoczącej wokół nóg. Już miał wysiąść, żeby otworzyć jej drzwi samochodu, ale była szybsza. Dała mu znak, żeby został za kierownicą, wdrapała się na siedzenie i głośno zatrzasnęła za sobą drzwiczki.

- No więc? Gdzie mnie zamierzasz zabrać? - spytała zdyszana. Poprawiła czerwony szal na szyi, po czym obróciła się, by na niego spojrzeć.

Trzymał już w ręku bilety na tańce w Barnstaple Plaza. Uniósł je w górę, mając nadzieję, że uzna to za dobry pomysł. Do ich kupna namówiła go Rosie.

Emily bez słowa wyjęła mu je z ręki.

- „Barnstaple Plaza z dumą prezentuje Dicka Grewcocka i jego Travelling Trumpeters” - przeczytała na głos z rozbawieniem.

Do Billa nagle dotarło, jak bardzo Emily różni się od Rosie.

- Nie musimy tam jechać, jeśli nie chcesz - wyjaśnił.

- Nie, to świetny pomysł...

Zauważył, że za pomocą jednej białej spinki zdołała uczesać swe kręcone blond włosy w koczek o kształcie pączka z dziurką. Popukała w roztargnieniu biletami o srebrny naszyjnik wyłożony na bluzkę.

- Musisz świetnie tańczyć, skoro już na pierwszej randce zabierasz dziewczynę na dancing - stwierdziła. - Często to robisz?

Od 1948 roku, od czasów uniwersyteckich, ani razu. Ani razu od czasu, kiedy tańczył z Susan Castle - omal mu się nie wyrwało. Szczerze mówiąc, był przerażony tą perspektywą już od chwili, kiedy kupił bilety i zobaczył plakaty, na których roztańczone pary wirowały na parkiecie niczym ak-robaci. Wolał sobie nie wyobrażać, co jego dwie lewe nogi zrobią z butami partnerki. Przypomniało mu się, jak zeszłym razem skończyła się próba okłamania Emily, i postanowił zaryzykować prawdę.

- Nie - odparł. - Tańczę okropnie.

- No to jest nas dwoje.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, po czym równocześnie parsknęli śmiechem.

- Możemy pojechać i posłuchać muzyki - zaproponował.

- Myślisz, że to dobra orkiestra?

- Wątpię.

- A Dick Grewcock\*? Ma takie nazwisko, że...

- Nic o nim nie słyszałem... - zaczął Bill, ale urwał, bo Emily znów parsknęła śmiechem. - Och - sam też się roześmiał. - Rzeczywiście...

Włożyła w usta papierosa, a on przypalił jej go zapalką. Pomiedzy nimi kłębił się teraz zapach siarki i nikotynowy dym.

(*Ircwcock* (ang.) - przerośnięty kogut albo członek (przyp. tiurn.).

- Wiesz co? - powiedziała. - Zróbmy tak, jak planowaliśmy na początku: pojedźmy na przejażdżkę. No wiesz, za miasto. Gdziekolwiek.

- Tylko dokąd? Jest już ciemno.

- Ale nie ma chmur i świeci księżyc. Znam miejsce, które powinno być odpowiednie.

Zabrał jej bilety i przedarł je starannie na pół, pozwalając, by kawałki opadły mu na kolana jak liście. To dziwne, ale teraz, kiedy wszystkie jego przygotowania poszły na marne, przestały mu się wydawać ważne.

Szczególnie kiedy uśmiechała się do niego w ten sposób.

- Jak pani sobie życzy - powiedział, spuszcżając ręczny hamulec.

Rozmawiali podczas drogi oświetloną latarniami ulicą, a potem przez most Południowy i w górę stromego i ciemnego korytarza, jaki tworzyła Barnstaple Road. Właściwie to Bill pytał, a Emily odpowiadała. Miał do niej miliony pytań na temat tych milionów chwil w jej życiu, które przegapił.

Opowiedziała mu o swoim związku z Buckiem. O tym, jaka była młoda i narwana, kiedy poznała go na tańcach podczas wojny.

- Mówiłaś chyba, że nie umiesz tańczyć? - przypomniał jej Bill.

- Kiedy zrozumiesz, w jakie kłopoty mogą wpędzić tańce, zrozumiesz też, dlaczego już tego nie robię - odparła.

Wyjaśniła mu, jak poważnie brała wtedy samą siebie.

- Szczerze mówiąc, zachowywałam się w stosunku do Bucka tak, jakbyśmy byli pierwszymi zakochanymi ludźmi na świecie.

Wywieraliśmy na siebie potworną presję. Dlatego postanowiłam, że odtąd niezależnie od tego, co i z kim mi się przydarzy, będzie się dziać samo, w swoim tempie. Że nie będę nic wymuszać. Rozumiesz, chcę, żeby szczęście trochę potrwało, a nie zostało błyskawicznie wyciśnięte do końca, jak tubka pasty.

Co i z kim mi się przydarzy... Bill zastanawiał się, jakie są szanse, że mówiła o nim.

Zapytał, co się stało później i dlaczego opuściła Stepmouth. Wspaniale odegrała przed nim scenę, jaką zrobiła jej matka.

- Wszystko mi jedno, ile jego rodzina ma restauracji - mówiła, rozśmieszając Billa doskonałym naśladowaniem głosu swej rodzicielki. - Jesteś za młoda, żeby się z nim spotykać, i koniec dyskusji.

Potem opowiedziała mu, że Buck nazywał ją „cizią” i „laleczką” i że został zestrzelony nad Niemcami przez dwa messerschmitty.

- Więc uciekłam, żeby z nim być. W szpitalu wojskowym w Kent. Przez całe miesiące pisałam do rodziców, że wszystko u mnie w porządku, ale ukrywałam, gdzie jestem, żeby przypadkiem nie przyjechali zabrać mnie do domu. Doskonale wiedziałam, że to zrobią, jeśli się wygamam.

Po wojnie popłynęła z Buckiem do Ameryki.

- Pobraliśmy się w szpitalu w Kent, nim go zdemobilizowano. Jego dowódca nam to załatwił. Wiesz, żadnych pytań.

Emily zakochała się w Stanach, natomiast odkochała w Bucku.

Wymieniła cały szereg powodów - na przykład noce, które spędzał poza domem na pijaństwie czy jego częste romanse - które w końcu sprawiły, że odeszła.

Znajdowali się teraz powyżej miasteczka, jadąc na zachód przez wrzosowiska starą nadmorską drogą.

- Pewnie bym tam została po rozwodzie - wyznała Billowi - ale rozpad naszego małżeństwa... rozpad rodziny, którą myślałam, że z nim tworzę... spowodował, że nagle bardzo chciałam wrócić do własnej. Do domu.

Żeby zacząć od nowa.

- Nie mieliście dzieci?

- Na szczęście nie, ale kiedyś wcale tak o tym nie myśleliśmy.

Jakoś nie czui zazdrości o to, co przeżyła z Buckiem, choć może powinien. Ale opowiadała w taki sposób, jakby to wszystko zdarzyło się komuś innemu.

- Zamierzasz tam wrócić? To znaczy do Ameryki?

- Może kiedyś. To wielki kraj. Pełen możliwości. Chciałabym tam wrócić z właściwym facetem.

Od kiedy wyruszyli, nie minął ich ani jeden samochód, zupełnie jakby byli jedynymi ludźmi na świecie.

- Jak udało ci się przekonać rodziców, żeby pozwolili ci wrócić? - spytał Bill. - Twoja matka była taka wściekła... wywołałaś straszny skandal... gdzie się to wszystko podziało? Nie mogło tak po prostu zniknąć... Roześmiała się.

- Na pewno nie zaszkodziło to, że po rozwodzie zostało mi trochę pieniędzy. Szczególnie skoro tata szukał jakiegoś kupca na kawiarnię... - westchnęła. - A poważnie mówiąc, z upływem czasu ludzie wybaczą.

To się właśnie stało. I to dobrze, wiesz? Dzięki temu świat się nadal kręci.

- Cieszę się, że się dogadałaś z rodzicami - stwierdził. - Pamiętam, jak się denerwowałaś wtedy, kiedy pierwszy raz przysłaś do sklepu. Odpukałaś na szczęście...

- Pamiętasz? - Była zaskoczona.

- Kiedy do sklepu wchodzi taka piękna kobieta jak ty, nie zapomina się o tym szybko - odparł.

- Bill, jesteś słodki - stwierdziła i leciutko pocałowała go w policzek. - I potrafisz słuchać. Lubię to w mężczyznach.

Przejechali kolejną milę, ciągle pod górę. Byli już teraz powyżej szczytu wzgórza Summerglade.

- Teraz w lewo - pokierowała go. - Tam, za tym drzewem.

Głęboki cień wielkiego kasztanowca wynurzył się z ciemności. Bill skręcił w nierówną drogę, znacznie zwalniając. Nie chciał teraz złapać gumy. Kiedy przejeżdżali pod drzewem, gałęzie z hałasem szurały po szybach i dachu jupitera, zupełnie jak kocie pazurki. Jeszcze pięć metrów i Bill wyłą-

czył silnik. Wchłoneła ich cisza. W oddali widzieli morze, połyskujące w świetle połowki księżyca i migotliwych gwiazd.

- Witaj na Pustkowie - powiedziała Emily.

- Co?

- To miejsce się tak nazywa. Widziałam kiedyś na mapie.

Pustkowie... wcale tu nie było jak na pustkowie, przynajmniej nie dla Billa. To było najpiękniejsze miejsce, jakie w życiu widział.

- Spójrz na niebo. - Pochyliła się, spoglądając w górę przez przednią szybę.

- Chcesz mieć lepszy widok?

- Pewnie. - Zaczęła wysiadać.

- Nie, zaczekaj. - Zatrzymał ją.

Wysiadł z samochodu i odczepił składany dach, ściągając go w tył, za siedzenia. Potem usiadł z powrotem koło niej.

- To cudowne - stwierdziła, patrząc w górę. Poczuł, że przysuwa się do niego, opierając głowę na jego ramieniu.

- Te gwiazdy - powiedział Bill. - Kiedy byłem mały, tata mówił mi, że to anioły. Pokazywał na którąś - Bill wyciągnął rękę - i mówił coś w rodzaju: to moja ciotka Ada, a to Ivor, twój stryjeczny dziadek, który znał się na kobietach... - odchrząknął i powoli opuścił rękę. - Tylko że jak pójdziesz do szkoły, ucza cię, że to tylko gwiazdy, i potem już nigdy nie patrzysz na nie tak, jak kiedyś...

- Przykro mi - odparła. - Ze względu na twojego ojca. Już dawno chciałam ci to powiedzieć, tylko nie było okazji. Albo była, tylko nie byliśmy wtedy sami...

Bill zeszywniał. Nienawidził rozmów o ojcu, o tym, co się z nim stało.

- Mój tata napisał mi o wszystkim, kiedy pojechałam do Stanów -

ciągnęła. - Byłam w Kent, kiedy to się wydarzyło, wiesz, tam gdzie Buck

leżał w szpitalu. - Położyła rękę na nadgarstku Billa. - Pamiętam twojego

tatę z dzieciństwa. To był wspaniały i miły człowiek. Musi ci go bardzo

brakować.

- To prawda.

Znów się spał... jakby ktoś przywalał go wielkim ciężarem... i nagle poczuł, że musi to z siebie wyrzucić.

- Wolałbym, żebyś nie zatrudniała u siebie brata Keitha Glovera - wykrztusił.

- Mówisz o Tonym.

Z jej ukrytej w cieniu twarzy trudno było coś wyczytać.

- On jest niebezpieczny - nalegał. - No wiesz, dlatego wyrzucili go ze szkoły... ponieważ wdaje się w bójki...

- Wdawał się w bójki. Już tego nie robi.

- Tylko dlatego, że ostatnio pobił go Bernie Cunningham.

- Który jest pijanym zabijaką dwa razy większym od niego. Czasami ludzie zasługują na drugą szansę - stwierdziła.

- A czasami nie. Popatrzyli na siebie.

- Czy po to mnie tu przywiozłeś? - spytała nagle. - Żeby się kłócić?

Poruszyło go to pytanie.

- Nie.

- No to zakończmy tę rozmowę i wróćmy do prawdziwych przyczyn tej przejażdżki.

- Ale...

- Bill, będę prowadzić moją kawiarnię tak, jak uznam to za stosowne. I będę zatrudniać, kogo zechcę. Ale uwierz mi: jeśli Tony wykręci jakiś numer, wywalę go dokładnie tak samo jak każdego innego. - Patrzyła na niego bez mrugnięcia, nieustępliwie.

- Przyrzekasz?

- Tak.

Wiedział, że nic więcej nie zdoła uzyskać.

- Nigdy nie będziemy już o tym rozmawiać - oświadczył. Nie wiedział, czy słusznie robi, nie nalegając dalej, nic przekonując jej do swoich racji. Co by powiedziała na to jego matka? To proste. Że się myli. A ojciec? Ojciec na pew-



no polubiłby Emily i szanowałby ją za jej siłę, tak samo jak Bill. Ale jego ojciec nie żył, więc pozostawał mu tylko własny instynkt. A ten kazał mu zaufać osądowi Emily. Przez Keitha Glovera stracił już jedną dziewczynę. Nie zamierzał dopuścić, żeby różnica zdań na temat jego młodszego brata kosztowała go utratę drugiej.

- Będziemy mieć wiele innych tematów do rozmów - zapewniła go Emily.  
- Tak sądzę.

- Miłych tematów - ciągnęła. - A życie jest dużo lepsze, kiedy się skupiasz na miłych rzeczach. Mam dobre przeczucia - przysunęła się bliżej. Potem uśmiechnęła się do niego tak ciepło, że stopniał nagle cały chłód, jaki w sobie czuł. - Albo w ogóle nie będziemy rozmawiać - dodała.

To był drugi pocałunek w usta, jakim go obdarzyła, ale jemu wydawał się pierwszym. Ten poprzedni, przeznaczony dla pani Carver, skończył się prawie natychmiast, natomiast ten trwał bez końca. Tym razem Bill miał czas w pełni się nim delectować: miękkością jej warg, ich lekkim rozchyleniem i wilgotnym, elektryzującym drżeniem jej języka. Poczul na twarzy ciepły oddech Emily. Objął ją w talii, a ona zanurzyła dłonie w jego włosach.

Nagle poczuli potrzebę, żeby znaleźć się jeszcze bliżej. Wsunęła palce w jego włosy i przyciągnęła jego głowę do siebie. Kiedy odsunęła się na siedzeniu, żeby oprzeć się o drzwi pasażera, przesunął się niezgrabnie za nią, rozdzierając kieszeń od spodni o dźwignię ręcznego hamulca.

Przez głowę przelatowały mu oderwane obrazy - że jest jutro rano w kościele, że jego matka i pani Carver zauważają rozdarcie - ale wkrótce znikły. Ponieważ nic go to nie obchodziło. Ponieważ nie chciał teraz przerywać.

Przywarł mocno do ciała Emily. Jej spódnica podjechała wysoko, aż po brzeg czarnych nylonowych pończoch, ale

Emily nie próbowała jej obciągnąć. Przez chwilę mignęły mu białe majtki. A potem znów się całowali.

Skórzane siedzenie jęczało przy każdym ich ruchu. Złapała jego rękę i przycisnęła do swojej piersi. Czuł jej miękkie, ciepłe ciało pod cienkim materiałem bluzki. Wtedy pochyliła się do przodu, kładąc obie dłonie na jego piersi. Rozczapierzyła palce, wsunęła je w rękawy marynarki i zdjęła mu ją z ramion.

Zadrżała, kiedy skończył rozpinąć jej bluzkę. Pod nią miała halkę, tak gładką, że musiała być z jedwabiu. Podciągnął ją ponad jej piersi, równocześnie delikatnie wędrując pocałunkami w dół jej szyi.

Westchnęła, przyciskając biodra do jego bioder. Czuł, jak jego członek odciska się na jej ciele.

Wstała i uchwyciła się bocznego okna, żeby utrzymać równowagę.

Balansując raz na jednej, raz na drugiej nodze, zrzuciła buty, zsunęła spódnicę wraz z majtkami aż do kostek i po prostu z nich wyszła. Nagle zaczęła się spieszyć. Rozbierała go gorączkowo: odrzuciła krawat i zaczęła rozpinąć koszulę. Jeszcze dwie sekundy i dobrała się do jego spodni. Jej ręka zniknęła szybko w ich rozporoku.

Bill gwałtownie zaczerpnął tchu, uniósł się i ściągnął spodnie i slipy do kolan. Ujęła w rękę jego członek, równocześnie stając nad nim okrakiem. Kiedy w nią wszedł, westchnęła. Jej piersi, zabarwione światłem księżycy na kolor mleka, drżały. Opadła na niego miękko, oplótła go mocno udami w pasie i zaczęli kołysać się razem w równym rytmie.

Zupełnie jakby byli na łodzi. Na środku wielkiego, czarnego oceanu wrzosowisk, w jupiterze z opuszczonym dachem, a nad nimi rozciągało się nieskończone niebo. Mogli tak płynąć w nieskończoność, tylko we dwoje. Dokąd tylko zechcieli.

## Rozdział XIII

### Majorka, współcześnie

Laurie wysiadła z taksówki przy drodze prowadzącej do przystani. Odprowadziła wzrokiem samochód, póki nie znikł za zakrętem. Był wtorek rano, dzień, który Rachel, podczas tej okropnej kolacji w Sa Costa, poleciła jej spędzić z Samem na jachcie. Miał to być dzień „spokoju i odpoczynku” dla nich obojga. Cóż za ironia, pomyślała. Czuła się dzisiaj bardziej spięta niż kiedykolwiek przedtem.

Spodziewała się, że na przystani pełno będzie szykownych restauracji i ubranych w drogie ciuchy kobiet zajętych zakupami w butikach, dlatego zaskoczył ją wiejski charakter tego miejsca. Na rogu ulicy, w cieniu zrujnowanego budynku, w którym mieściła się maleńka kawiarnia, siedziały rzędem trzy stare kobiety. Rozmawiały, pilnie szydełkując. Kiedy Laurie je mijała, ogarnął ją dolatujący z otwartych drzwi kawiarni zapach paelli. Z umieszczonego na ścianie telewizora dobiegał męski głos mówiący coś szybko po hiszpańsku. Towarzyszyły mu wybuchy śmiechu na widowni.

Zwolniła, a potem zatrzymała się na rogu ulicy, czując, jak zawodzą ją nerwy. Nie powinna była tu przychodzić. Naprawdę nie powinna. W ten sposób łamała wszystkie składane sobie przyrzeczenia. Żałowała, że nie spróbowała bardziej stanowczo wykreścić się z dzisiejszej wycieczki. Na pewno dałoby się znaleźć tysiące wymówek, więc dlaczego w odpowiedniej chwili żadna nie przyszła jej do głowy?

Powinna była zadzwonić do Sama i wycofać się z tej imprezy już kilka dni temu. Albo chociaż wczoraj... Ale tego również nie zrobiła. Nogi same niosły ją w stronę przystani. W panującym upale jej skóra pokryła się warstewką potu, serce waliło jak młotem, a żołądek zaciskał się boleśnie. Było jej niedobrze, być może z powodu poczucia winy. Ponieważ była oszustką. Ponieważ żywiąc do Sama takie uczucia, zdradzała swą nową rodzinę i zawodziła jej zaufanie. Zresztą nie tylko rodzinę. No bo czy nie zdradzała w ten sposób i Jamesa? Powinna natychmiast zawrócić i uciec jak najdalej stąd.

Coś jednak zagłuszało rozsądek. Niezdrowa fascynacja wszystkim, co związane było z Samem, która najpierw zmusiła ją do przyjęcia zaproszenia Rachel na Majorkę, potem zaproszenia Claire na przyjęcie z okazji rocznicy ślubu, a w końcu do umówienia się na randkę z eks-kochankiem, okazała się zbyt silna, żeby mogła jej się oprzeć. Powtarzała sobie w myślach, że nie miała wyboru. Musiała przyjąć propozycję Rachel, ponieważ była zbyt dobra, by ją odrzucić. A potem musiała przyjąć zaproszenie Claire na przyjęcie, bo inaczej okazałaby się okropnie źle wychowana. No i musiała przecież spełnić życzenie Rachel co do wycieczki z Samem...

Czuła, że porwał ją rwący strumień wydarzeń związanych z Gloverami, z którego nie potrafiła się uwolnić, nie wzbudzając podejrzeń. Miała takie wrażenie, jakby willa Rachel stanowiła sam środek ogromnej pajęczej sieci. To prawda, chciała poznać ciotkę, ale ceną za to okazała się próba uczynienia z niej członka rodziny. A członkiem tej rodziny był również Sam, jego żona i dziecko. Mogła więc tylko grać dalej swoją rolę i udawać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Być może właśnie konieczność zachowywania się normalnie, konieczność prowadzenia gry, w której Sam był zaledwie znajomym, i ukrywania przez cały czas swych uczuć

powodowała, że emocje stawały się tak silne. Ostatnio spędziła bezsenne zbyt wiele nocy, by nadal udawać przed sobą, że Sam nic ją nie obchodzi albo że nie marzy o spotkaniu z nim.

W głębi duszy wiedziała, że bardzo, bardzo źle jest nawet myśleć w ten sposób. Dokładnie tak samo, jak od razu w chwili, gdy w dniu jej przyjazdu na Majorkę Claire zjawiała się na plaży, wiedziała, że powinna natychmiast zabrać swój bagaż i wyjechać. Miała jednak głupią nadzieję, że jeśli potraktuje Sama oziębło na jego własnym przyjęciu, jeśli sprawdzi się w jego obecności i okaże mu swoją niezależność, przyniesie jej to satysfakcję, za którą tak tęskniła. Powtarzała sobie, że w ten sposób zaspokoi potrzebę odwetu i ostatecznie odsunie Sama w przeszłość. Ale ten plan zupełnie spalił na panewce. Przeprasiny Sama, jego pospieszne wyjaśnienia, jego przerażenie, gdy tak nagle ponownie wtargnęła w jego życie, wbiły się jak nóż w jej serce i otworzyły starą ranę, która wcale nie chciała się zabiścić. Zamiast poczuć satysfakcję, znów została opętana przez tego mężczyznę, z którym kiedyś pragnęła zbudować sobie przyszłość. Zupełnie jakby wpadła w nałóg. Sam przesączył się do jej podświadomości, widziała jego twarz w każdym pociągnięciu pędzla po płótnie, jego głos bez przerwy słyszała w szumie morza.

Jednak fakty pozostały bez zmian, napomniała się z goryczą. Sam dokonał już wyboru, a jego wybranką została Claire. Teraz był żonaty, miał dziecko i stworzył rodzinę, którą mógł zniszczyć ich wspólny sekret. Dlatego ucieczka byłaby taka dziecinna. Niczego by nie rozwiązała, a tylko sprowokowała masę pytań. Na które Rachel na pewno tak długo szukałaby odpowiedzi, póki nie odkryłaby prawdy. Dlatego właśnie dzisiejszy dzień musiał minąć zgodnie z planem.

Fale uderzały lekko w betonowe nadbrzeże. Na wodzie kołysało się kilka jaskrawo pomalowanych łodzi rybackich,

a rybak z papierosem w zębach splukiwał wodą ze szlauchy pokład niewielkiego trawlera. Na płyciźnie, pod powierzchnią szmaragdowej wody, widziała przemykające czarne kształty małych rybek - grupka miejscowych chłopców łowiła je z nadbrzeża za pomocą plastikowego wiaderka i kawałka sznurka.

Na końcu drogi, tam gdzie domki ustępowały płataninie starych szop, w morze wcinał się pomost, u którego boków stały przycumowane białe jachty i motorówki. Wysoko w górze niebo miało odcień nieskazitelnego jasnego błękitu i tylko nad pokrytą wodorostami ścianą nadbrzeża tkwiła lekka chmurka, zupełnie jak woalka.

Laurie ruszyła wolno brzegiem morza, po czym weszła na pomost, przyglądając się łodziom i zastanawiając, która z nich to „Flight”. Wskazówki, jakie Sam nagrał na automatyczną sekretarkę w willi, okazały się niezbyt jasne. Czy nie byłoby ironią, pomyślała, gdyby to Sam się teraz wycofał? Czy to możliwe, żeby był równie zdenerwowany i zaniepokojony tą wycieczką jak ona?

A potem nagle go zobaczyła. Na samym końcu pomostu ładował na jacht wielką torbę, balansując z jedną nogą na dziobie łodzi, a drugą na pomoście. Miał na sobie tylko szorty khaki - jego stopy i tors były nagie, a ciemnoblonde włosy opadły mu na opaloną twarz. Zachowywał się przy tym zajęciu tak niespodziewanie chłopięco, że od razu zrozumiała, iż jest tu zupełnie sam.

I wtedy właśnie to się stało. Dokładnie tak, jak się obawiała. Zatrzymała się, żeby na niego popatrzeć, czując, jak coś się jej w środku przewraca, jak mięknią jej kolana i zasycha w gardle. Cholera! Czemu był dla niej tak diabelnie atrakcyjny? Przeklinała chemię, która kazała jej reagować na jego fizyczną obecność w taki sposób.

O Boże. Zaczęła wpadać w panikę. Po prostu nie mogła tego znieść. Jeszcze jej nie zauważył, jeszcze miała czas na

ucieczkę. Ta wyprawa jest zbyt niebezpieczna. Nie ma dość sił, żeby zostać z nim sam na sam.

Starła się myśleć o Claire. O swojej kuzynce. O swojej krewnej. Dobra, mogła uważać, że Claire jest nieco płytką i nastawioną zbyt materialistycznie, mogła jej sekretnie zazdrościć urody, ale przecież kuzynka okazywała jej wyłącznie zaufanie i to już od chwili poznania! I dokładała wszelkich starań, żeby zachowywać się wobec nowej krewnej przyjaźnie. Jak by się poczuła, gdyby odkryła, co Laurie myśli o jej mężu, stojąc tutaj, na środku pomostu? Przeważona. Przeważona i oszukana. Na litość boską, przecież Sam był ojcem jej dziecka! Laurie zamknęła na chwilę oczy, by przywołać w myślach twarz Archiego. Tak łatwo mogła zrujnować przyszłość tego uroczego małego chłopca. Ale serce nadal tłukło jej się w piersiach na samą myśl o tym, że spędzi z Samem cały dzień.

Musi się skupić na Archiem i Claire. I na obecnej sytuacji Sama. Musi być silna i starannie ukryć swoje prawdziwe uczucia. Na własne życzenie wpakowała się w tę sytuację i teraz sama musi się z niej wyplątać. Zrobi wszystko, co leży w jej mocy, żeby ochronić swój sekret, żeby nikt - a już szczególnie Sam - nie zorientował się, że czuje do niego coś poza platoniczną przyjaźnią.

Tak, pomyślała, podchodząc do łodzi. Musi wziąć przykład z Sama. Musi się zachować w tej kwestii jak dorosła osoba. Musi udawać, że wierzy, podobnie jak Rachel i Claire, że taka wyprawa jachtem dwojga ludzi, którzy dopiero co się poznali, to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. I nic poza tym.

Zacumowane po obu stronach pomostu jachty i motorówki były puste. Gdzie się wszyscy podziali? - zaczęła się zastanawiać, przestępując przez czarnego kota, który rozciągał się na betonie pomostu, grzejąc się w promieniach słońca. Jacht Sama był coraz bliżej.

Rachel powiedziała jej, że „Flight” to klasyczny słup o długości dziesięciu metrów, jakby ta informacja mogła coś dla niej znaczyć. Wtedy nie bardzo wiedziała, o co chodzi, ale teraz zrozumiała, dlaczego Sam był z tej łodzi taki dumny.

Jacht zacumowany był dziobem do pomostu, widziała więc, że jego burty są pomalowane na lśniący ciemny błękit. Wyżej, na pięknie polakierowanym pokładzie z tekowe-go drewna, wznosił się dumnie drewniany maszt z bomem, a także starodawny drewniany rumpel.

W tej samej chwili Sam wynurzył się z kokpitu i wskoczył na pokład. Laurie odchrząknęła, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Już przyszłaś? - spytał nieco nerwowo, rzucając spojrzenie na swój masywny, srebrny zegarek.

Przeszedł wśród knag na dziób, po czym zdjął z relingu płócienną koszulę z krótkim rękawem. Pospiesznie włożył ją i zapiął na dwa guziki, zakrywając opaloną pierś pokrytą pierścieniami ciemnoblonde włosów. Których niegdyś dotykała...

- Wejdz na pokład - powiedział.

Laurie zdjęła buty i wzięła w jedną rękę. Potem złapała wyciągniętą dłoń Sama i postawiła stopę na dziobie łodzi. Nie był to może bardzo dostojny sposób wsiadania na jacht, ale prędzej odgryzie sobie język, niż okaże, że się boi.

Kiedy znalazła się na pokładzie, Sam przez chwilę łapał równowagę, a potem puścił jej rękę. Nie spojrzał na nią ani się nie przywitał. W ogóle. Żadnego „cześć, Laurie, jak się masz?”, żadnych ceremonialnych pocałunków w policzek. Nic.

I dobrze. Nie chciała, żeby ją całował. Formalne zachowanie było łatwiejsze. Zresztą w pewnym sensie podał jej przecież rękę, pomagając wejść na jacht.

- Może od razu odbijemy? - zaproponował, odsuwając się od niej.

Ruszyła za nim. Wskoczył do kokpitu, a potem zniknął we włazie do kabiny, ciągnąc za sobą wielką torbę,



którą wcześniej ładował na jacht. - Nie wiem, co będzie z wiatrem, więc jeśli chcesz, żebyśmy wypłynęli na zatokę, a potem tu wrócili, musimy się pospieszyć - zawołał ze środka.

Laurie poczuła nagłą irytację. Wcale nie chciała wypływać na zatokę i wracać. To nie ona zmusiła go, żeby ją zabrał na morze. To nie był jej pomysł.

Rozzłoszczona założyła ręce na piersiach. Tyle czasu zastanawiała się, jak Sam się przy niej zachowa, ale nie przyszło jej do głowy, że kiedy zostaną sami, nadal będzie równie obcy i daleki, jak wśród ludzi, jak przy kolacji, którą jedli kilka dni temu w Sa Costa. Nagle poczuła się odtrącona.

Kiedy wrócił na pokład, spokojnie objaśnił jej budowę łodzi. Dowiedziała się, że żagle to fok i grot i że podczas zwrotów będzie obsługiwać fok. Kiedy zapoznawał ją z zasadami bezpieczeństwa na jachcie, siłą powstrzymała się od niemądrych uwag i ochoty, by pokazać wyjścia awaryjne jak stewardesa w samolocie. Sam najwyraźniej nie był w nastroju do żartów.

A potem, bez dalszych ceregieli, pomogła mu zdjąć cumy i w jednej chwili rozwinęli żagle. Kiedy łódź bez wysiłku zaczęła przecinać fale i wypłynęli na wielki przestwór morza, na którym aż po horyzont widać było białe żagle, zaczęła przyglądać się Samowi stojącemu przy sterze i zajętemu ustalaniem kursu. Oczy zasłaniały mu ciemne okulary i nie potrafiła określić, o czym myśli. Najwyraźniej nie o niej. Jak dotąd ani razu nawet na nią nie spojrział.

- Dobra. Tam płynie prom do Barcelony, więc musimy zrobić zwrot - stwierdził, obracając ster i ustawiając jacht tak, by przeciął kilwater wielkiego statku wyłaniającego się przed nimi z niepokojącą szybkością.

- Odwiąż tamtą linę, proszę.

Laurie zrobiła, co jej kazał, czując, jak wzrasta jej irytacja. Proszę! Jeśli jeszcze raz poprosi, to... Był taki ugrzeczniony, że miała ochotę kłąć głośno. Ale wtedy fok złapał wiatr,

a lina zaczęła gwałtownie wysuwać się z jej dłoni, parząc je boleśnie.

- Och! - krzyknęła i puściła linę.

- Wybieraj! Wybieraj! - zawołał Sam, kiedy żagiel zało-potał gniewnie na wietrze.

Laurie wpadła do kokpitu, sięgając na drugą stronę łodzi po linę. Łódź wykonała zwrot i grot napełnił się wiatrem po drugiej stronie jachtu.

Zacząła obracać korbą wciągarki, ale ta zacinała się, a poza tym niewygodnie było nią manewrować, kucając w kok-picie.

- Właśnie tak. Spróbuj trochę szybciej.

- Kręcę najszybciej, jak mogę - zaprotestowała, ale Sam delikatnie odsunął ją na bok.

- Przepraszam, czy mogę...? - zapytał i sprawnie wybrał resztę liny.

Laurie usiadła. Piekły ją i dłonie, i zranione uczucia. Łódź wyprostowała się, po czym minęli prom od strony rufy.

- W porządku - powiedział Sam. - Jak na pierwszy raz świetnie ci poszło.

Jak mógł zachowywać się tak protekcyjnie? Wycieczkowicze przyglądali im się z górnego pokładu promu. Laurie w milczeniu obserwowała tnące wodę stalowe śruby, a kiedy wielki statek zaczął się od nich oddalać, poczuła nagle, jak żalosne i kruche jest jej życie. Zmrużyła oczy, bo kiedy przecinali kilwater, fale wdarły się na łódź i ochlapały jej twarz.

Minęło piętnaście minut, potem pół godziny. Jeszcze raz czy dwa zrobili zwrot, kierując się ku nieznanemu celowi. Sam nadal ograniczał się wyłącznie do grzecznych prośb, żeby wykonała jakąś mało ważną czynność. A w końcu zrezygnował i z nich. Jakby mu zabrakło tematów do rozmowy. Widziała po jego twarzy, że tylko udawał skupienie na prowadzeniu jachtu i że z wysiłkiem utrzymuje uśmiech,

który miał dowodzić, że ta wspólna wycieczka po morzu cieszy go i jest rzeczą najnaturalniejszą pod słońcem.

Więc tak to miało być? Zamierzał przez cały dzień odgrywać grzecznego nieznajomego? W porządku, ona też tak potrafi. Przecież zamierzała nawet coś takiego! Niech ją diabli, jeśli spróbuje pierwsza przełamać lody.

Ale w miarę upływu czasu cisza między nimi zaczęła dziwnie rosnąć, aż stała się wielka i nadęta jak balon. Była tak namacalna, że Laurie bała się ją zakłócić w obawie wybuchu. Przyglądała się wodzie za burta, zastanawiając się, jak głębokie jest tu morze.

Opuściła rękę i przesuwała palcami po powierzchni wody, obserwując odbicie drobnych fal w lśniącej błękitnej burcie. A więc Sam naprawdę nie zamierzał nic mówić. Jego przeprosiny podczas przyjęcia najwyraźniej stanowiły zakończenie całej sprawy. Tylko tyle miał jej do powiedzenia o ich związku i najwyraźniej cieszył się, że może się zachowywać, jakby nic nigdy między nimi nie zaszło.

Poczuła zaskakujące rozczarowanie i doszła do wniosku, że straszna z niej idiotka. Straciła tyle energii, rozmyślając o nim przez ostatnie tygodnie, a zeszłej nocy nie spała, zastanawiając się, jak będzie wyglądał dzisiejszy dzień. Tymczasem on przez cały czas miał to w nosie. Nie miał jej nic do powiedzenia. Najwyraźniej nic już dla niego nie znaczyła. Nagle Sam uderzył pięścią w rumpel. Laurie była tak zatopiona w myślach, że aż podskoczyła na ten dźwięk, wracając nagle do rzeczywistości.

- Co się stało? Coś złego? - spytała.

- Wpadliśmy we flautę.

- Co?

- Straciliśmy wiatr. - Sam popatrzył na żagle, najwyraźniej zły.

Grot gwałtownie marszczył się, jakby ktoś dmuchał w niego słabo i nieregularnie. Parę chwil później opadł

zupełnie. Sam zrefował go tak, że żagiel ułożył się w porządne fałdy na bomie. Następnie to samo zrobił z fokiem.

- To co teraz zrobimy? - spytała.

- Przeczekamy. Za chwilę powinno znowu zacząć wiać. Nie ma sensu włączać silnika. Czasami tak się zdarza.

Laurie popatrzyła na swoje stopy. Łódź kołysała się powoli. Tylko lekkie uderzenia fal w kadłub jachtu przerywały zapadłą ciszę.

Wolałyby, żeby Sam dalej zajęty był sterowaniem. Przynajmniej usprawiedliwiało to w pewnym stopniu milczenie. Ale teraz? Teraz ta cisza stawała się nie do zniesienia. Zapagnęła uciec, ale wokół nich rozciągało się wyłącznie morze. A jakoś nie miała nastroju na pływanie.

- Co powiesz na piknik? - spytał wreszcie Sam. - Isabel, nasza niania, zapakowała nam suchy prowiant. Skoro i tak stoimy, równie dobrze możemy zjeść lunch.

Przeciągnął się i zbiegł po trzech schodkach do kabiny. Po chwili wystawił wielki kosz piknikowy i wrócił na pokład, odpinając skórzane paski zabezpieczające wieko.

- Boże. Szampan - jęknął, po czym przejrzał resztę zawartości kosza.

Laurie przysunęła się bliżej, siadając na brzegu kokpitu. Zauważyła, że prócz butelki szampana w koszu znajduje się bochenek chleba, kiełbaski, ser, tortille zawinięte w pergamin, chipsy, domowe ciasto migdałowe, sztućce, talerze i kieliszki.

- Wygląda na to, że mamy do picia wyłącznie szampan - stwierdził Sam, zdejmując folię z szyjki butelki, po czym spojrzał na pokrytą kroplami wody naklejkę. - I to całkiem dobry. Przykro mi.

- Nie musisz przeproszać.

- Szkoda szampana, jak nie ma czego świętować.

Było to jak dotąd stwierdzenie najbliższe prawdy. Laurie spięła się, czekając, czy Sam okaże się na tyle odważny - albo głupi - żeby powiedzieć więcej.

- Możemy wznieść toast za nasze nowe życie - zaproponowała w końcu, próbując wykrzesać z siebie entuzjazm. Chciała mu okazać, że też się stara, ale równie dobrze mógł pomyśleć, że próbowała być złośliwa.

Patrzyła, jak wyciąga korek, obracając go przy wtórze cichego syczenia szampana. Podał jej napełniony kieliszek, a następnie nalał sobie. Popatrzył przez cienkie szkło, najwyraźniej nie mając ochoty na zaproponowany przez nią toast.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa - odezwał się wreszcie.

- Tak, jestem. - Powiedziała to nieco bardziej radośnie, niż zamierzała. I właśnie wtedy, w tej chwili, kiedy Sam przygarbił się i oparł łokcie na kolanach, uświadomiła sobie, że niechcący odrzuciła pozory, jakie dotąd oboje zachowywali.

Przełknęła z trudem ślinę. Sam zdjął okulary i potarł oczy. Czowała, że go zraniła, ale musiała trzymać się wybranej linii postępowania. Musiała czymś poprzeć swoje słowa... i to szybko. W jej życiu zdarzyło się tyle nowych rzeczy, które mogła uczcić, tyle rzeczy, którymi mogła się pochwalić: James, kariera, a nawet Rachel i nowa rodzina. Z tego wszystkiego mogła być naprawdę dumna.

Jednak widząc, jak przybity jest Sam, również poczuła przygnębienie. Rozpaczliwie szukała czegoś, co mogłaby powiedzieć, ale jakoś nie potrafiła znaleźć żadnych dowodów swojego szczęścia. Poczowała się okropnie zakłopotana i z trudem zmusiła się do zastosowania strategii, którą opracowała na pomoście. Musi się skupić na żonie i dziecku Sama.

- Jesteśmy teraz innymi ludźmi - stwierdziła, starając się, żeby zabrzmiało to filozoficznie. - Życie płynie przecież dalej, prawda? Jest wiele rzeczy, które możemy uczcić. Na przykład Archie... Jesteś teraz ojcem, a to na pewno dla ciebie... nie wiem... może spełnienie? A ja maluję, a zawsze chciałam robić właśnie to... A poza tym...

Szampan w jej kieliszku pozostał nietknięty. Zapadła długa cisza. Oboje patrzyli na dno kokpitu, a jej słowa padły pomiędzy nich jak niewidzialne krople żrącego kwasu. Jeśli doda coś jeszcze, oboje utoną.

W końcu Sam uniósł kieliszek i po raz pierwszy spojrzał prosto na nią. Laurie poczuła, jak kurczy jej się żołądek. Smutek widoczny w jego oczach sprawił, że zachciało jej się płakać.

- Myślę, że powinniśmy wznieść toast za przeszłość. Za to, kim byliśmy. Teraz, kiedy zostawiliśmy te osoby za sobą, nie widzę w tym nic złego.

- Za to, kim byliśmy - zmusiła się, żeby powtórzyć jego słowa, po czym pospiesznie pociągnęła łyk szampana, czując na języku bąbelki.

Wiedziała, jak łatwo może się zdradzić, jak łatwo może wybuchnąć płaczem, ale wzięła się mocno w garść. Nie może mu pokazać, co dzieje się w jej wnętrzu, albo dopuścić, żeby uznał ją za bezbronną. Jednak czuła, jak słabnie jej determinacja, a uczucia wymykają się spod kontroli.

Sam odwrócił głowę i spojrzał w stronę łądu. W oddali miasto Palma wyrastało z gorącej mgiełki jak hiszpańska tancerka: katedra z wieżyczkami tworzyła dumną twarz, a białe łodzie w porcie poniżej - koronki spódnicy. Poszła za jego spojrzeniem i teraz razem oglądali ten widok. Nie było potrzeby wspominać o pocztówce, którą jej przysłał. Ani o drwiącej aluzji do niej, jaką uczyniła podczas kolacji w Sa Costa.

Wiedziała, że oboje o tym myślą.

- To, że ci powiedziałem, że jest mi przykro, wcale nie wystarczy. -

Zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu, a nie jak pytanie. Nie patrzył na nią.

- Nadal jesteś na mnie zła, prawda?

- Nie, nie jestem zła. Już mi przeszło - skłamała, doskonale panując nad głosem. - Teraz trochę lepiej rozumiem, dlaczego to zrobiłeś. Ale zerwałeś... zakończyłeś... W każdym razie minęło już tyle czasu.

Skinął głową. Kiedy tylko to powiedziała, nagle zapragnęła wyciągnąć rękę i dotknąć jego twarzy. Teraz, gdy na własnej skórze odczuła moc, jaka tkwiła w jego rodzinie, zrozumiała, że choć jej było ciężko, być może, ale tylko być może, jemu było jeszcze ciężej.

- Więc... - powiedziała, rozpaczliwie próbując rozpogodzić atmosferę. Nie powinni rozmawiać o przeszłości. Jeśli zaczną, na pewno zupełnie się rozklei. - Wspaniale jest mieć taką łódź... Nie miałam pojęcia, że na morzu jest właśnie tak...

- Krępująco? Potwornie? Wstrętnie?

Trzymał w ręku kieliszek szampana, a jego twarz była zaskakująco szczerą i otwartą. Wiedziała, że ją przejrzał. Odbijał jej próby prowadzenia zdawkowej rozmowy, jakby to były złe serwisy tenisowe.

- Nie powinniśmy byli się na to zgodzić - stwierdził z westchnieniem. Serce waliło jej z całych sił, kiedy na niego patrzyła.

- Więc czemu się zgodziłeś? - spytała.

- Ponieważ chciałem cię zobaczyć.

Znow poczuła się rozbrojona jego szczerością. Słowa zawisły w powietrzu jak echo uderzenia w dzwon. To wszystko było zbyt realne, zbyt bolesne. Milczała, ale Sama to nie zniechęciło.

- Myślę, że z tobą jest tak samo. Przyszłaś, bo czułaś, że musisz. A to chyba najbardziej neutralny teren, jaki nam pozostał. - Wskazał na bezmiar morza wokół nich. Miał rację.

Spuściła wzrok.

- Nie możemy...

- Rozmawiać. Właśnie to musimy zrobić.

Nagle rozzłościło ją, że Sam odgrywa rolę dorosłego, a z niej jest taki tchórz.

- A o czym właściwie chcesz mówić? - warknęła. Ta opryskliwość miała być swego rodzaju strzałem ostrzegawczym. Już raz prosił ją o rozmowę i nic im z tego nie

przyszło. Po co miałyby się zgadzać na nią raz jeszcze? Dlaczego miało być tak, jak on chce?

Ale kiedy na niego spojrzała, jego oczy zdawały się przewiercać ją na wylot.

- Nie chcesz ze mną rozmawiać?

Laurie poczuła, że coś w niej mięknie. Nie potrafiła z nim walczyć. Nie potrafiła walczyć z tym czymś, co nadal między nimi było. Pokusa była po prostu zbyt wielka.

Czuła, że na nią patrzy.

- No więc? Jak ci się wiodło? - zapytał, a jego głos brzmiał miękko, kiedy zadawał jej to najprostsze, a równocześnie najbardziej skomplikowane pytanie pod słońcem.

Przez chwilę miała ochotę skłamać, powiedzieć coś niezobowiązującego, wrócić do wcześniejszej taktyki, ale choć fizycznie tkwili na wodzie niemal nieruchomo, w ciągu ostatnich minut przebyli ogromny ocean wzajemnych stosunków. Znaleźli się razem w zupełnie obcym kraju.

- Szczerze? - spytała, choć przecież nie było wyboru.

- Nie za specjalnie.

- Ani mnie.

Laurie roześmiała się i odrzuciła w tył głowę, czując tak ogromną ulgę, że aż oczy napęłniły jej się łzami. Miała ochotę uderzyć go z całej siły za to, że z taką łatwością ją otworzył, zupełnie jak ostrygę. Ogarnęło ją poczucie niezwyklej bliskości z Samem. Na swój sposób było to dużo bardziej szokujące, niż gdyby jej teraz dotknął.

- O Boże, Sam - wykrztusiła wreszcie, poddając się.

- O Boże. Dobra. Niech ci będzie.

A potem stało się tak, jakby tych trzech lat nigdy nie było. Jakby otworzyła się w niej jakaś śluza. Powiedziała mu wszystko - o śmierci matki, o ostatniej kłótni z ojcem, o przyjaciółkach, o wystawie, o Rachel i pobycie na Majorce.

- Bardzo chciałbym obejrzeć twoje obrazy - stwierdził Sam, kiedy opowiedziała mu, jak fantastycznie pracuje jej



się w starym hangarze na łodzie. - Pamiętam twój szkicownik z Francji. Uważam, że te rysunki były świetne. Nadal go masz? Zawahała się.

- Rozmawiamy teraz szczerze, prawda?

- Mam taką nadzieję.

- Wyrzuciłam go. Nie byłam w stanie go zatrzymać. To było... zbyt trudne.

Teraz myślała o tym z żalem, ponieważ szkicownik zawierał zdecydowanie jej najlepsze rysunki i pomysły. Ich inspiracją był Sam i miejsca, które razem odwiedzili. Uświadomiła sobie nagle, że przez ostatnie trzy lata usiłowała za wszelką cenę wrócić do tego poziomu i do tej spontaniczności w tworzeniu.

Sam pokiwał głową. Poczowała ulgę, że powiedziała mu prawdę, choć wiedziała, że było to bolesne dla nich obojga. W uniesieniu, w jakie wprowadziła ją własna szczerłość, wzięła głęboki oddech i mm się zorientowała, zaczęła mu opowiadać szczegółowo, co się z nią działo po otrzymaniu jego kartki.

Niczego nie zataiła. Mówiła o swojej konsternacji i wściekłości, o tym, jak wreszcie pogodziła się z faktami. A Sam słuchał i wcale nie przyjmował jej słów jak oskarżenia. Skończywszy, uświadomiła sobie, że te sprawy przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Że to była przeszłość. I że nie czuje już goryczy. Zaczęli rozmawiać o jej obecnym życiu, o tym, co czuła, po raz ostatni próbując zaistnieć w sztuce, o tym, że straciła dom.

Nie powiedziała mu jedynie o swoim związku z Jamesem. Dlaczego? - zaczęła się zastanawiać, gdy tylko minął właściwy moment i z kolei Sam zaczął opowiadać o swoim życiu. Nie była pewna. Może nie chciała popsuć nastroju? Może dobrze było rozmawiać z Samem? Może chciała jeszcze na chwilę oddzielić ich oboje od prawdziwego świata i czyhających w nim komplikacji? Ale po co się tym martwić? To bez znaczenia. Liczy się tylko tu i teraz.

Więc słuchała, jak Sam opowiada jej o śmierci Tony'ego, o Ararat Holdings, o ciąży Claire i ich pospiesznym ślubie. O tym, co czuł, kiedy Archie się urodził. I o dręczącym go poczuciu winy, o przerażeniu, jakie go ogarnęło na jej widok wtedy w kościele, o szoku, jakim było dla niego ich ponowne spotkanie.

Nie wiadomo kiedy wypili szampana i zabrali się za jedzenie. Właśnie wtedy Laurie poruszyła kwestię ewentualnego przyjazdu swego ojca na Majorkę. Wyjaśniła Samowi, że Rachel chce się spotkać z bratem i że planują doprowadzić do tego spotkania przez zaskoczenie.

- Czuję się trochę zagubiona - wyznała z ulgą, bo wreszcie miała się komu zwierzyć. - Wcale nie jestem pewna, czy dobrze robię. Rachel tak bardzo chce się zobaczyć z tatą... Mam wrażenie, że zgodziłam się na coś, z czego w żaden sposób nie mogę się teraz wykręcić.

Sam roześmiał się i potrząsnął głową.

- Cała Rachel. Zawsze dostaje to, czego chce.

- Wiem, że ma dobre intencje, ale czuję się tak, jakbym zdradziła ojca. A on już teraz uważa, że go zawiodłam. Wkurzy się, jak odkryje, że cały czas mieszkałam u Rachel.

- Przecież ty jesteś dobrym człowiekiem, Laurie. Twój ojciec musi sobie zdawać z tego sprawę. Wie, że chcesz tylko jego dobra.

Laurie wcale nie była taka pewna swoich intencji, ale kiedy zwierzyła się ze swego lęku, poczuła się spokojniejsza.

- Tak sądzisz?

Sam uśmiechnął się do niej.

- Cokolwiek zaszło pomiędzy Rachel i twoim tatą, musisz pozwolić im rozwiązać to samodzielnie. Nie można żyć za innych ludzi ani chronić ich przed bólem. A dotyczy to zarówno dzieci, jak i rodziców.

Później, kiedy łódź nadal kołysała się w strefie ciszy, Laurie poczuła się raczej pobłogosławiona niż przeklęta. Ukry-

wała się w willi Rachel, starając się uniknąć dokładnie takiej sytuacji, ale kiedy w końcu do niej doszło, żałowała, że nie odważyła się wcześniej na to spotkanie. Kiedy leżeli obok siebie na wznak w kokpicie, patrząc na bezdenny błękitny bezmiar nieba, czuła się dużo szczęśliwsza niż w ciągu ostatnich lat.

- Co zrobimy, jeśli wiatr nie wróci? - spytała. - No bo skoro nie chcesz używać silnika...

- Nie chcę. To oszukiwanie. O ile nie rozjedzie nas jakiś prom, zbiornikowiec albo łódź motorowa, będziemy dryfować wiele dni, aż przybijemy do lądu.

- Masz na myśli bezludną wyspę?

- Niewykluczone. Na pewno jest tu jakaś w okolicy.

- I co wtedy zrobimy?

- Poczekamy, aż ktoś nas uratuje. Laurie uśmiechnęła się.

- Fajnie.

Sam uniósł się na łokciu i teraz patrzył na nią z góry.

- Zamieszkamy na łodzi, a ponieważ mam zapalki, rozpalimy sobie ognisko.

- A nie zaczniemy się nudzić?

- Na pewno coś wymyślę, żeby nas zająć.

Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć, przygniatając sobie włosy. Jej oczy rozbłysły, kiedy uśmiechnęła się do niego. Twarz Sama znajdowała się teraz zaledwie kilkanaście centymetrów od jej twarzy. Przypomniała sobie zmarszczki nad jego lewą brwią. Zdziwiła się, że mogła zapomnieć o tak istotnym szczególe.

- Może śpiewalibyśmy piosenki?

- Jasne. Albo wiązalibyśmy węzły.

- Węzły? Jak marynarze?

Jego usta były tak blisko. Czuła, jak otacza ją jego obecność, jakby zatapiała się w nim, jakby to była osmoza. A potem, w chwili krótszej niż jeden oddech, coś w ich oczach

zaskoczyło i cały świat jakby się zapadł. Milczał. Uśmiech odpłynął z jego twarzy.

- Problem w tym, że my, marynarze, czasami wiążemy tak wielkie węzły, że potem nie mamy pojęcia, jak je rozwiązać.

Nie spuszczał wzroku z jej oczu. Wystarczyłoby lekko przesunąć głowę, żeby go pocałować. Wystarczyłoby zaledwie sekunda, żeby całkowicie i na zawsze odmienić ich życie.

Ale wtedy dostrzegła odbicie swej twarzy w jego oczach. Zobaczyła, kim jest, i uświadomiła sobie, gdzie i z kim przebywa. Niezależnie od tego, w jak wielki węzeł uwikłał się Sam, nie ona będzie go rozwiązywać. Był żonaty. Miał syna. Oboje mieli zobowiązania wobec rodziny. Rodziny, która zostałaby zniszczona, gdyby Laurie usłuchała teraz tego najprostszego pod słońcem impulsu.

Uświadomiła sobie, że oto nadeszła chwila jej największej próby.

Poczuła, jak przygniata ją ciężar odpowiedzialności. Leżała zupełnie nieruchomo, wytrzymując spojrzenie Sama. A potem zmusiła się, żeby głęboko odetchnąć.

- Sądzę, że główny problem z wielkimi węzłami polega na tym, że z czasem robią się coraz bardziej skomplikowane. Dlatego trzeba je po prostu zostawić w spokoju, żeby nie poplątały się jeszcze bardziej.

- Nie można ich rozwiązać? - spytał.

- Nie.

Kiedy dotknął jej twarzy, na sekundę przytuliła policzek do jego dłoni.

Dla niej jego ręka stanowiła najwygodniejszą poduszkę świata. Zamknęła oczy.

- Nic nie mów - wyszeptała.

Czuła, że Sam gładzi ją lekko po włosach.

- Przewaliliśmy to, prawda?

Kiwnęła głową bez słowa. Nawinał sobie pasmo jej włosów na palec.

- Zawsze będę tego żałował.

A wtedy załopotowała nad nimi bandera, po czym grot wypełnił się wiatrem. Dużo później, kiedy pod kierunkiem Sama doprowadziła łódź z powrotem do Palmy, halsując przez całą drogę, czuła się zmęczona, ale dziwnie spokojna. A gdy zaproponował, że odwiezie ją do domu swoim porsche, miała wrażenie, jakby przeszła rodzaj katharsis.

Przełamawszy na jachcie lody, rozmawiali teraz swobodnie o Archiem i o tym, że Claire zapewne nie ma jeszcze w domu. Sam rozśmieszał Laurie opisem przyjaciółek żony. Opowiadał jej również o firmie i o problemach, jakie napotyka w pracy.

Dopiero kiedy dotarli do wioski i ruszyli pod górę w kierunku willi, Sam zwolnił.

- Dziękuję ci za dzisiejszy dzień - powiedział. - Nie miałem pojęcia, że tak za tobą tęskniłem. To znaczy... za rozmową z tobą...

Laurie odwróciła się do niego. Chciała powiedzieć, że czuje to samo. Ale tęskniła przecież nie tylko za rozmową. To jego obecność sprawiła, że czuła się teraz napełniona, zupełnie jak filiżanka. Przez jedną szaloną chwilę miała ochotę mu o tym powiedzieć, ale doszła do wniosku, że chyba nigdy nie będzie w stanie tego wyrazić.

- To dobrze, że nadal potrafimy rozmawiać. Że nadal jesteśmy przyjaciółmi.

Myślała, że coś powie, ale nachylił się tylko nad nią i wyjął ze schowka pilota do bramy Sa Costy. Ciężkie skrzydło otworzyło się automatycznie i w milczeniu ruszyli podjazdem. Chwilę później samochód zatrzymał się przed domem, a Laurie sięgnęła po swoją torbę, zdenerwowana czekającym ich pożegnaniem. Jednak kiedy się wyprostowała, stwierdziła, że Sam patrzy na willę.

- Drzwi są otwarte. Zamknęłaś je, wychodząc?

- Tak, mam klucze. Rachel wróciła już do Londynu. Otworzył drzwiczki samochodu.

- Chryste, od dawna się tego obawiałem - mruknął. - Rachel zupełnie nie dba o bezpieczeństwo. Mam nadzieję, że to nie złodziej, chociaż pełno ich tutaj w okolicy. Zostań w samochodzie, pójde sprawdzic, co się dzieje. Obserwowała w milczeniu, jak Sam biegnie w stronę drzwi. Odetchnęła głęboko, napełniając płuca zapachem, atmosferą jego obecności.

Nagle się ocknęła. A jeśli to naprawdę złodziej? Jeśli zrani Sama? A ona tu siedzi jak sentymentalna idiotka, marząc o tym, żeby ten dzień nigdy się nie skończył! Wskoczyła z samochodu i pobiegła do domu. Kiedy zbliżyła się do drzwi, usłyszała podniesione głosy.

- Kim jesteś, do diabła? - Sam wywijał parasolem, jakby to był rapier.

- Hej! - James wstawał z leżaka, unosząc w górę obie ręce. W jednej trzymał puszkę piwa.

Laurie podbiegła do Sama. Czowała, jak pieką ją policzki.

- James! Co ty tu robisz?

- Znacie się? - Na twarzy Sama malowało się niedowierzenie. Opuścił parasol.

James patrzył raz na niego, raz na Laurie.

- Jestem James Cadogan. Miło mi pana poznać. Opuścił ręce i niepewnie podszedł do Sama, wyciągając

dłoń. Laurie obserwowała ich obu: Sam był wyższy, a po całym dniu na morzu jego blond włosy były zmierzwione

1 sztywne od soli. James miał ciemne włosy, mokre po kąpieli w basenie, na czoło podsunął modne ciemne okulary, a jego muskularne ciało osłaniały wyłącznie slipki. Przy Samie wyglądał jak nastolatek.

- Myśleliśmy, że zakradł się tu złodziej. Jestem Sam De-lamere - wyjaśnił Sam, potrząsając uprzejmie, acz krótko ręką młodszego mężczyzny. - Byliśmy z Laurie na morzu.

- Sam, oczywiście! Słyszałem o panu. Rozmawiałem z Rachel - wyjaśnił James. - Sądziła, że będzie fajnie, jak przyjadę bez uprzedzenia, w charakterze niespodzianki. Załatwiła nawet, żeby Maria mnie tu wpuściła. - James się roześmiał i objął Laurie ramieniem. - Najwyraźniej niespodzianka się udała - stwierdził i pocałował ją w czubek głowy. Na moment zapadło milczenie.

- Odwiozłem tylko Laurie do domu - oświadczył Sam bardzo oficjalnym tonem. - Jestem pewien, że macie sobie mnóstwo do powiedzenia. Każde jego słowo Laurie odczuła jak policzek. Widziała, jak mierzy Jamesa wzrokiem, a potem rzuca jej nieodgadnione spojrzenie.

- Dzięki za wspaniały dzień - powiedział i ruszył do wyjścia.

- Sam? - zawołała za nim, ale udał, że nie słyszy. Chwilę później zniknął.

## Rozdział XIV

Stepmouth, czerwiec 1953

*To cholera!* - warknął Arthur.

Pete zachichotał, a Tony spojrzał na niego pytająco. Arthur mówił o wierzbie, pod którą siedzieli - kiedy zarzucał wędkę, żyłka zaplątała się w liście i teraz bezskutecznie próbował ją wyszarpnąć.

Chudy, podobny do łasiczki Pete i przysadzisty Arthur o grubych rysach różnili się od siebie jak dzień od nocy. Kiedy tak stali ramie w ramie, w błyszczących kurtkach przeciwdeszczowych i kaloszach, wyglądali zupełnie jak para poszukujących pracy komików. Tyle że Tony'emu wcale nie było dziś do śmiechu.

Była niedziela po południu, a oni wybrali się we trzech na ryby z zapasem piwa i kanapek, który powinien wystarczyć im do podwieczorku.

Za ich plecami wzgórze Summerglade wznosiło się prosto w niebo, ciemne, zachmurzone i pomarszczone jak powierzchnia gęstej, szarej zupy tuż przed zagotowaniem. Kilka minut wcześniej grubą warstwę szarych chmur przecięła błyskawica - zdążyli policzyć do trzech, nim przez dolinę przetoczył się odgłos gromu. Czyli od burzy dzieliły ich trzy kilometry i nadal była szansa, że ich ominie.

Tony spojrzał w niebo, teraz już prawie czarne, i zauważył dwa białe kształty, mknące szybko jak pociski.

- Co to, u licha... - zaczął, wskazując je przyjaciółom.



- Jezu Chryste - jęknął Arthur. - Wyglądają jak jakieś pieprzone rakiety kosmiczne...

Pete się roześmiał.

- Czytujesz za dużo komiksów, ty góro sadła. To odrzutowce z bazy wojskowej.

Kiedy samoloty znikły w chmurach, Tony zaczął się zastanawiać, jakie to uczucie lecieć czymś takim, opuścić miasteczko i patrzeć, jak znika w oddali, zupełnie jak kłębek kurzu. Zamachnął się bambusową wędką, którą odziedziczył jeszcze po dziadku, a żyłka, sycząc jak wąż, przeleciała nad wezbraną rzeką.

- Ładny rzut - pochwalił Pete, kiedy Tony wybierał luźną żyłkę, sprawdzając palcami jej napięcie i wyczekując nagłego szarpnięcia lub drżenia - znaku, że ryba chwyciła przynętę.

- Dzięki.

Burkliwa odpowiedź Tony'ego przypominała wszystkie jego dzisiejsze uwagi. Ponieważ wcale nie miał ochoty rozmawiać z Petem. Miał ochotę rozmawiać z Rachel, tyle że nie mógł. Bo Rachel znajdowała się teraz pod ścisłym nadzorem, zajęta powtórkami do egzaminów końcowych, które zaczynały się za niecałe dwa tygodnie.

Tony nie widział jej od dwóch dni, czyli od chwili, kiedy udało im się wykraść pięć cennych minut, gdy przywiozła sprawunki do Sea Catch Café. Dostawie towarzyszył zapieczętowany list od Billa, zaadresowany do Emily. List, który wywołał na twarzy szefowej Tony'ego gwałtowny rumieniec.

- Chodzimy ze sobą - tak określiła tę znajomość, z niezwykłą jak na nią zwięzłością, Emily, kiedy ją o to zapytał.

I dobrze się razem bawimy...

Tony też chciał się dobrze bawić, a musiał się zadowalać wykradzionymi chwilami. No i oczywiście listami, które co niedziela Rachel zostawiała mu w wazonie na przykościelnym cmentarzu. I tak od dwóch miesięcy, czyli od początku ich związku.

Dowiedział się o niej z tych listów bardzo dużo. Drobne szczegóły z jej życia w jego rozmyślaniach urastały do wagi wielkich problemów. Na przykład to, że jej ulubioną poetką jest Christina Rossetti; albo francuskie czasowniki, których uczyła się w szkole; albo że, choć lubi radio, w tajemnicy marzy o telewizorze; no i oczywiście to, że co wieczór, idąc spać, wygląda przez świetlik i marzy o tym, że on się u niej pojawi... Ale list, który trzymał dzisiaj w kieszeni spodni i który jeszcze pogłębił jego zły humor, wcale nie był od niej. Napisał go Keith, a doręczył mu go Pete (Keith zawsze pisał do Pete'a, bo gdyby napisał bezpośrednio do Tony'ego, matka na pewno podarłaby list).

Aż do tej pory Tony radził sobie ze sprawą Keitha bardzo prosto: nie myślał o tym, co zrobił jego brat. Morderstwo było dla niego tylko słowem - zmusił się nawet, żeby nie próbować sobie wyobrazić, co zaszło wtedy w sklepie Vale'ów. Oddzielił zupełnie Keitha, który popełnił morderstwo, od Keitha, który był jego bratem i przebywał w więzieniu - mniej więcej tak samo, jak jako dziecko oddzielał pijanego Keitha, który go bił wieczorami, od trzeźwego Keitha, który bawił się z nim za dnia. Jednak ostatnio zaczął się na serio martwić, że brat wyjdzie z więzienia. W liście, który Tony miał teraz w kieszeni, Keith pisał, że jego prawnik przygotowuje nową apelację.

Jeśli zaś Keith wyjdzie na wolność, to co wtedy? Czy w tym nowym życiu, które Tony budował sobie z Rachel, w ogóle jest miejsce dla Keitha? I jak będzie mógł dalej udawać, że brat nie popełnił morderstwa? To proste, nie będzie już mógł udawać. Wprawdzie kochał Keitha, ale kochał również Rachel i chciał ją chronić. Nie przed jego agresją, ponieważ szczerze wierzył, że brat się zmienił, ale przed wspomnieniami z przeszłości, które ucieleśniał.

Powinien wyjaśnić mu to wszystko w liście - zwłaszcza to, dlaczego ich drogi będą musiały się rozejść - ale wiedział, że nie potrafi.

- Jaka ona jest, ta twoja tajemnicza panna? - spytał nagle Pete.

Tony usiadł na odwróconej do góry dnem skrzynce od piwa. Zwijając żyłkę, patrzył z nieruchomą twarzą na głęboki, zalesiony parów.

Pete przeczesał palcami jasne włosy i odchrząknął.

- Zapytałem...

- Słyszałem cię doskonale - przerwał mu Tony. - Po prostu uznałem, że nie ma sensu silić się na odpowiedź.

A prawda była taka, że to pytanie bardzo go poruszyło. Ponieważ oprócz Emily z nikim nie rozmawiał o Rachel Vale.

- Z całą pewnością prowadzasz się z kimś od jakiegoś czasu - upierał się Pete. - I to bynajmniej nie z nami.

- A nie zauważyłeś przypadkiem, że teraz sam pracuję na swoje utrzymanie? - spytał Tony. - Czego o was na pewno nie można powiedzieć...

Z trudem powstrzymał się, żeby nie nazwać ich uczniaka-mi, choć tak właśnie pomyślał. Ponieważ teraz rzeczywiście się od niego różnili.

Uczyli się, a on harował. Mieszkali z rodzicami, a on radził sobie sam. Chcieli obmacywać dziewczyny, a on chciał wiedzieć, co Rachel do niego czuje.

- Znam cię na tyle długo, że z daleka widzę, co się dzieje - obraził się Pete. Zdecydowanie za długo, pomyślał Tony. Miał takie wrażenie, jakby wspomnienia o czasach, kiedy razem strzelali z procy do butelek po mleku, należały do kogoś innego. Ich życie płynęło coraz dalej, zupełnie jak rzeka u ich stóp.

- Jest ładna? - droczył się Pete. - Ma ruchliwy języczek? Kilka miesięcy wcześniej Tony radośnie zagłębiłby się w taką rozmowę. Stracił dziewictwo jako pierwszy z przyjaciół, półtora roku temu, z dwukrotnie od siebie starszą

skwaszoną australijską turystką. Potem miał wiele innych dziewczyn, a o każdej z nich chętnie opowiadał.

Tyle że Rachel Vale była inna. Właściwie od samego początku wykluczone było opowiadanie Pete'owi czy Arthurowi o seksie z nią. I to nie tylko dlatego, że jak we wszystkich innych aspektach ich związku musiał zachować tajemnicę, ale również dlatego, że Pete i Arthur po prostu by nie zrozumieli.

„To” stało się cztery tygodnie temu, ten jego pierwszy raz z Rachel. Całowali się na łóżku, które sklecił dla siebie w szopie dziadka, kiedy nagle podała mu gumkę buchniętą z gabinetu ojca Pearl podczas ostatniej wizyty u przyjaciółki.

To dziwne, ale właściwie nie miał żadnych wspomnień o ich fizycznym zbliżeniu - zdejmowaniu ubrań, niezgrabnym dopasowywaniu się do siebie ich ciał i wreszcie o samym stosunku. Wiedział, że dla niej to zbliżenie było krótkie, krępujące i bolesne. Do tego stopnia, że musieli je przerwać w połowie.

Natomiast pamiętał doskonale, co czuli, leżąc potem obok siebie na zmiętych kocach. Pamiętał muśnięcie wpadającego przez okno chłodnego wietrzyka na swej nagiej, spoconej skórze. Wyciągnął rękę do Rachel, a ona ujęła ją mocno. W chwili gdy ich palce się zetknęły, nagle napełnił go spokój, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. Zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy stał samotnie w kościele Świętej Hildy i patrzył na sklepienie. Tylko tysiąc razy większy. Jakby umierał i równocześnie przeżywał niezwykle intensywnie każdą chwilę, przeraźliwie świadomy wszystkiego, co się wokół niego dzieje. Jakby zostało mu jeszcze tylko kilka sekund życia.

- Czy też to czujesz? - zapytała wtedy.

- Tak - odparł, a ona uścisnęła jego rękę.

Popatrzył w milczeniu na przepływającą u jego stóp rzekę, tak zwodniczo ospałą, jakby jej nurt tworzyła na wpół zestalona lawa.

- A może wcale nie jest ładna? - rozważał dalej Pete. - Na pewno nie taka jak Margo Mitchell. - Mrugnął do Arthura, który w lot pojął ten sygnał.

- Dziewczyna, która ma zderzaki jak ciężarówka - zawołali chórem.

Tony uśmiechnął się, słysząc ten stary dowcip, ale był to bardzo słaby uśmiech. Wstał i ponownie zarzucił wędkę.

- I nie jak Alice Banks, co ma ponętne usta i szybko wyskakuje z majtek - ciągnął Pete. - Założę się, że nowa panna Tony'ego to prawdziwa Baba Jaga i dlatego się z nią nie afiszuje - zachichotał. - Przekonasz się, twarz

jak u prosiaka, tyłek jak u prosiaka...

Arthur parsknął śmiechem.

- Przyznaj się, Tony - nalegał Pete. - Na pewno nakładasz jej na głowę papierową torbę, jak jej wsadzasz.

- Wiecie co? - zapytał Tony.

- Co?

- Jak zamierzacie coś złowić, to się na tym skupcie. - Wepchnął z całych sił wędkę w rękę Pete'a. - A póki co zmieńcie płytę albo się zamknijcie.

- Kawał wściekłego kutasa z ciebie, Tony - stwierdził Pete. - A ta dziewczyna na pewno nie daje ci szczęścia.

Tony dopił piwo i wrzucił butelkę do rzeki. Zniknęła pod powierzchnią, a po chwili wynurzyła się gwałtownie kilka jardów dalej.

Miał dość tych tajemnic. Dość duszenia w sobie tego, co czuł. Nie wstydził się Rachel. Wręcz przeciwnie, napęniała go dumą i to właśnie dokuczało mu najbardziej. Nie chciał kłamać przyjacielom na jej temat ani zachowywać się tak, jakby wcale nie istniała. Chciał krzyczeć o niej z dachów domów, chciał poinformować cały świat, że należy teraz wyłącznie do niego.

Nagle ogarnęło go ogromne znużenie. I tęsknota. Bo Rachel stała się jedyną osobą, która go rozumiała. I jedyną, z którą nie mógł rozmawiać.

- Przepraszam - powiedział do Pete'a.

Ale nie usłyszał odpowiedzi, ponieważ właśnie w tej chwili z nieba lunął deszcz, tak silny, że wprost trudno było uwierzyć, iż to krople wody, a nie kawałki lodu.

Pobiegli, ciągnąc za sobą torby i wędkę. Potykając się i ślizgając, wspięli się po stromym zboczu i znaleźli schronienie w bukowych zaroślach.

Kiedy stali oparci plecami o to samo drzewo, śmiejąc się i dysząc, Tony zaczął się odprężać, po raz pierwszy od kilku dni. Wziął piwo, które otworzył mu Arthur, i wypił je, odchylając w tył głowę i wędrując wzrokiem w górę pnia, aż po sam wierzchołek.

Po czym uśmiechnął się szeroko, bo właśnie wpadło mu do głowy, w jaki sposób może znów poczuć się szczęśliwy.

W poniedziałek wieczorem, około dziesiątej, ulice Stepmonth były całkiem wymarłe. Minęło już dobre pięć minut od chwili, gdy Tony oparł się o szeroki, ciemny pień starego dębu rosnącego koło sklepu Vale'ow. Z gałęzi drzewa zwisały chorągiewki, pozostałość uroczystych obchodów koronacji królowej, która odbyła się tydzień temu\*. W Stepmonth zorganizowano z tej okazji uliczne przyjęcie, ale Tony nie wziął w nim udziału. Rachel spędziła święto z rodziną, a on chciał je spędzić tylko z nią.

Po raz ostatni zaciągnął się papierosem, po czym rzucił niedopałek w kierunku rynsztoka. Papieros zgasł z sykiem na mokrym, śliskim chodniku.

Deszcz padał równo przez cały dzień. W zeszłym tygodniu nie padało jedynie przez te kilka godzin, które Tony spędził z Petem i Arthurem na rybach, nim złapało ich oberwanie chmury.

Królowa Elżbieta II została koronowana 2 czerwca 1953 roku (przyp. tłum.).

Wszystko to źle wróżyło Sea Catch Café. Fala przyjezdnych klientów, na której Emily miała nadzieję przetestować swe nowe restauracyjne menu, całkowicie wycofała się ze Stepmouth. Codziennie po południu Emily zasłaniała słowo „Cafe” na szyldzie nad drzwiami mniejszą, ręcznie wypisaną tabliczką Bistro, próbując w ten sposób zwabić co bardziej przedsiębiorczych i żądnych przygód klientów. Ale co wieczór zdejmowała ją z powrotem - przynosiła niewielkie, a czasem wręcz żadne rezultaty. Buliony, sosy i puddingi, nad którymi pracowali tak ciężko przez całe dni, kończyły nieodmiennie w koszu na odpadki.

Tony szczerze jej współczuł. Z głębi serca. Okazała mu wiele życzliwości i chciał, żeby odniosła sukces. Ponadto zainwestował w kawiarnię tyle własnego czasu i wysiłku, że teraz była to również jego sprawa. Rodzice Emily przenieśli się wreszcie do hrabstwa Pembroke, więc dalsza przyszłość lokalu zależała wyłącznie od niej i Tony'ego. Dziś jednak był zadowolony, że nikt się nie zjawił, bo dzięki temu mógł wcześniej wyjść z pracy.

- Nie ma sensu, żebyśmy oboje czekali tu nie wiadomo na co - stwierdziła Emily. Chciała go podwieźć do domu - czyli do szopy dziadka niedaleko Brookford - furgonetką dostawczą, ale odmówił. Biorąc z wieszaka czarną nieprzemakalną kurtkę, wyjaśnił, że dobrze mu robi przejażdżka na rowerze.

Nie próbowała nalegać. Kilka tygodni temu zaproponowała, że pomoże mu znaleźć w miasteczku pokój do wynajęcia, ale wtedy również odmówił. Stwierdził, że woli dawać sobie radę sam, a ona przyjęła to do wiadomości i nie wtrącała się więcej w jego sprawy. Samodzielność. To była główna cecha jej charakteru. A on zaczął się do niej upodabniać pod tym względem.

Wynurzył się z cienia rzucanego przez drzewo i jeszcze raz popatrzył na jego koronę, rozciągającą się ponad dachem

sklepu Vale'ów jak gigantyczny parasol. Jeszcze raz przemyśla! czekający go skok z drzewa na dach i jeszcze raz rozważył, czy gałęzie są dość grube, żeby utrzymać jego ciężar.

To ryzykowne, niebezpieczne i głupie, powtarzał sobie, sprawdzając, czy nie zgubił kartki z wierszem. Choć w czasie przerwy na lunch i tak nauczył się na pamięć słów, które przepisał ze zbiorku poezji w miejskiej bibliotece.

- Zawsze bądź taki romantyczny.

Tak powiedziała Rachel, kiedy całowali się po raz pierwszy, na dziedzińcu kościoła. I właśnie dlatego był tutaj teraz: żeby jej udowodnić, że zawsze będzie.

Ta myśl popchnęła go do działania. Z powrotem zanurkował pod drzewo i złapał najniższą gałąź. Napiął ramiona, rozbijał nogi i nagłym rzutem tułowia znalazł się na górze, rozciągnięty wśród konarów drzewa jak mucha w pajęczynie.

Szybko przedziera! się w górę przez gęste listowie. Gałęzie trzeszczały, a z góry lala się woda. Miał wrażenie, że całe drzewo się trzęsie pod jego ciężarem. Serce biło mu szybko. Wystarczy, żeby Bill albo jego matka wyjrżeli z okna na piętrze, a zostanie odkryty. Wystarczy jeden spóźniony przechodzień i...

Zatem szybko. Szybciej, szybciej, najszybciej, jak potrafi. Spocił się, twarz mu płonęła, ale już wkrótce dotarł na sam wierzchołek drzewa, osiągając poziom dachu. Zaczął teraz przesuwać się wzdłuż gałęzi w stronę budynku, coraz bardziej oddalając się od pnia. Gałąź pod jego stopami stawała się coraz cieńsza. Gałąź, której się trzymał, ugiwała się niebezpiecznie. Ale posuwał się dalej, równomiernie rozkładając ciężar, balansując jak na linie i starając się nie poślizgnąć.

Spojrzał w dół i wreszcie zobaczył: przepelnioną wodą rynnę, brzeg dachu, śliskie, czarne walijskie dachówki i żółty prostokąt świetlika należącego do pokoju Rachel.

Wszystko w jego zasięgu...



Skacząc, w ogóle nie dopuścił do siebie możliwości upadku. Gdyby to zrobił, zawahałby się i spadł. Znaleźliby go dopiero jutro, z przetrąconym karkiem i głową rozbitą o kamienny chodnik.

Tak więc jego skok był skokiem wiary. Puścił gałąź, której się trzymał, a kiedy ta, na której stał, ugięła się mocno, rzucił się w górę i przed siebie jak kot. Wiara niosła go, pchała, prowadziła do Rachel.

Spadł ciężko na dach. Wylądował płasko na brzuchu i natychmiast zaczął się zsuwać po pochyłości. Hałas był potworny. Brzmiało to tak, jakby cała konstrukcja miała się pod nim zawalić. Rzucił się w kierunku wątlej ramy otaczającej świetlik i uchwycił się jej z całej siły. Ostatnim wysiłkiem podciągnął się na rękach i popatrzył przez szybę na Rachel, która odwzajemniła mu spojrzenie płonącym, nieruchomym wzrokiem. Pod jego stopą trzasnęła dachówka i, spadając z hałasem, uderzyła w rynnę. Chwila ciszy - a potem trzask. Rozbiła się o chodnik na dole.

Rachel błyskawicznie otworzyła okno, a on wdrapał się do środka.

Euforia, upojenie... czuł się tak, jakby nagle, w mgnieniu oka, przeskoczył z trzeźwości w stan odurzenia alkoholem.

Udało mu się.

W słabym świetle rzucanym przez lampkę stojącą na biurku skóra Rachel wydawała się niemal przezroczysta, jakby pozbawiona krwi. Długa, biała koszula nocna jeszcze potęgowała to niesamowite wrażenie.

- Zwariowałeś - wyszeptała z niedowierzaniem. Wyciągnął ręce, żeby ją objąć.

- Rachel?! - z dołu dobiegł ich męski głos. To mógł być tylko Bill.

Tony'emu ścisnął się żołądek, a Rachel oderwała się od niego, jakby trafiona pociskiem. Szybko zamknęła świetlik.

- Cholera - jęknęła. - Cholera, cholera, cholera! - rozejrzała się po pokoju.

- Rachel?! - zawołał ponownie Bill. Tym razem był znacznie bliżej. Usłyszeli szybkie kroki na schodach. Tony popatrzył na niewielką szafę w kącie pokoju. Nawet mysz by się tam nie zmieściła.

- Nic mi nie jest! - odkrzyknęła Rachel. - Nie ma się czym...

Ale kroki wcale nie zwolniły.

Tony spojrział na otwartą klapę prowadzącą na dół. Za kilka sekund wpadnie tędy Bill.

Rachel też na nią spojrzała. Wyciągnęła rękę, żeby ją zamknąć, ale złapał ją za nadgarstek i pokręcił głową.

- I tak tu wejdzie - wyszeptał.

Był tego pewien. Po takim hałasie Bill na pewno się tu wedrze. A wtedy to będzie koniec. Znajdzie go tu i wszystko zrozumie. Po czym powie matce, oboje wpadną w szal i rozerwą jego i Rachel na strzępy.

- Co się dzieje? - odezwał się kobiecy głos, zapewne matki Rachel.

Głos Billa zabrzmiał teraz jak ryk.

- Idę na górę!

Skrzypienie drabiny: zaraz tu wpadnie, pięćdziesiąt kilo samych mięśni i kości. Przerazenie w oczach Rachel. Tony jęknął. Nie powinien był tu przychodzić. Powinien cierpliwie czekać. Zapraagnął stać się niewidzialny... i nagle wpadł na pomysł, jak to osiągnąć...

- Burza - wysyczał w ucho Rachel i zanurkował obok niej, miękko i cicho stąpając po drewnianych deskach podłogi.

Za chwilę znalazł się w ciemnościach, pod łóżkiem, z twarzą przyciśniętą do ściany. Wstrzymał oddech i zaczął się modlić.

Zdyszany oddech i kroki. W pokoju był już Bill.

- Nic ci nie jest? Co się stało? Co to był z hałas?

- To burza - głos Rachel. Zrozumiała, o co chodziło Tony'emu. - Tylko burza - powtórzyła. - Coś się stało na dachu. Pewnie wiatr.

Tony czuł, jak zbiera się na nim kurz, pokrywa go, wwierca mu się w nozdrza, kręci w nosie, prowokuje, żeby kichnął. Zacisnął powieki, zmuszając się do zachowania ciszy.

- To nie mógł być wiatr... - stwierdził Bill. - Brzmiało zupełnie tak, jakby się walił cały dom...

Coś łąziło po szyi Tony'ego, powoli i delikatnie... pajak? Wzdrygnął się mimo woli, po czym zamarł w bezruchu.

Deski podłogi zaskrzypiały. Widać Bill krążył po pokoju. Tony niemal widział, jak rozgląda się badawczo i próbuje ustalić, co usłyszał. Czy mógł go zobaczyć? Czy mógł odkryć jego kryjówkę? A może już zobaczył? Czy zaraz zaczną się kaźń?

- Spójrz, to woda - powiedział Bill. - Tutaj.

Tony zamknął oczy i starał się zapanować nad oddechem. Wdech: raz, dwa. Wydech: trzy, cztery. Jaka woda? Gdzie? Czy Bill pokazuje na podłogę? Czy są na niej mokre ślady butów? Czy prowadzą do łóżka?

Tony czuł, jak jego stopy stają się ogromne. Czy drżały? Czy Bill zauważy jego buty? Czy wystają spod łóżka, błyszcząc od deszczu? Czekał na mocny chwyt za kostkę, nagłe szarpnięcie, które wyrwie go z ciemności. Wdech: raz, dwa. Wydech: trzy, cztery.

Rachel:

- Otworzyłam okno. Przez ten hałas. No i napadało do środka. To pewnie gałąź - dodała szybko. - Na pewno spadła na dach. Albo luźna dachówka... albo...

Tony usłyszał stuknięcie towarzyszące otwarciu świetlika, świst wiatru na dworze... potem poczuł zapach płynu po goleniu... tego samego, który unosił się w powietrzu, kiedy Bill przychodził zobaczyć się z Emily. W pełnym świetle dnia. Bo Bill tak właśnie zalecał się do jego szefowej. Jak normalny człowiek, a nie jak Tony. Nie w ten sposób, nie w nocy, nie jak złodziej czy przerażone zwierzę kryjące się w ciemnościach.

Kolejne stuknięcie i świst wiatru przeszedł w ciche zawodzenie. Nagle zapragnął, by go złapano, zapragnął konfrontacji. Nie był już dzieckiem. I nie powinien żyć w ten sposób.

- Skoro nic ci nie jest... - powiedział Bill.
- Nic, naprawdę - zapewniła Rachel.
- Będę mógł sprawdzić dopiero rano.
- Wiem.
- Zbyt niebezpiecznie wychodzić teraz na dwór.
- Wiem. Rano. Przystanie wtedy padać.
- Co się dzieje? - znów głos ich matki, dobiegający z dołu.
- Wracaj do łóżka, mamó - odkrzyknął Bill. - Nic się nie stało. Ty też powinnaś iść spać - zwrócił się do Rachel.
- Masz rację. Dobranoc.
- Dobranoc.

Tony poczekał, aż Bill opuści pokój: nasłuchiwał trzeszczenia desek podłogi, a potem szczebli drabiny. Dopiero wtedy zaryzykował odwrócenie głowy od ściany. Strząsnął z podbródka pajaka i popatrzył, jak umyka w cień, pomiędzy deski podłogi. Słyszał, jak Rachel delikatnie zamyka i rygluje klapę wejściową. Kiedy skończyła, wytoczył się spod łóżka i wstał.

Gdy tylko się do niego odwróciła, spróbowała uderzyć go w twarz. Jednak Tony, nadal pobudzony przeżytym strachem, okazał się dla niej za szybki i złapał jej rękę tuż przy swoim policzku.

- Za co?

Nic nie rozumiał.

- Nie powinienes tu przychodzić - syknęła.
- Chciałem ci zrobić niespodziankę - zaczął wyjaśniać.
- Chciałem być romantyczny... Myślałem, że będziesz...
- Mogłeś zginąć.
- To wcale nie było takie niebezpieczne - odparł szeptem.
- Kiedy wszedłem na drzewo...

- Nie, ty idioto - przerwała mu. - Bill by cię zabił, gdyby cię tu znalazł.  
Miał nóż.

- Nóż? Ale dlaczego?

Jej oczy zwęziły się w szparki.

- Jak możesz być takim pieprzonym kretynem?

Nigdy wcześniej nie używała takich słów. Obserwował, jak opada bez sił na łóżko. Schowała twarz w dłoniach, ale nie dość szybko, by ukryć łzy.

- O Boże - powiedział, kiedy dotarło do niego, o czym mówiła.

Nigdy nawet mu to nie przyszło do głowy. Jak mógł być taki głupi?

Złodziej w środku nocy: oto czym dla nich był. Próbował się włamać do ich domu. Do domu Rachel. I Billa. Do tego domu. W środku nocy. Po tym, co tu się stało. Po tym, co zrobił jego brat...

Ukląkł przy niej, oderwał jej ręce od twarzy. Drżała. Nie była w stanie na niego spojrzeć. Zaciśnęła z całych sił powieki, tak mocno, jak zaciśnięta jest muszla małża. Raz po raz całował jej dłonie.

- Przepraszam - powtarzał. - Nie pomyślałem... Nie pomyślałem...

Przepraszam...

- Boże - jęknęła. - Robi się z tego prawdziwy koszmar. Kiedy ją objął, jej szloch zaczął powoli zamierać. Pochyliła

się i pocałowała go lekko. Miała twarz mokrą od łez. Zdjęła mu czapkę i przesunęła ręką po jego wybrylantynowanych włosach.

Zrozumiał, że mu wybaczyła, ale poczucie winy nie znikło.

- Posłuchaj - powiedział. - Nie możemy tak dalej żyć. Oszaleję przez to. I masz rację, to zaczyna być...

- Jest dobrze - wyszeptala. - I będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

- Nie, nieprawda - przerwał jej. - To się nigdy nie zmieni. Musimy im powiedzieć. Musimy im to wytłumaczyć.

- Oni nigdy nie rozumieją. - Poczuję, jak sztywnieje w jego ramionach. -  
Boże, Tony, co my zrobimy?

Omówił nie powiedział, że nie wie. Ale nagle przypomniał sobie o tej kartce  
papieru w kieszeni i powróciła mu wiara w ich związek.

- Będziemy dalej w nas wierzyć - odpowiedział. Sięgnął do kieszeni i  
wyciągnął kawałek papieru.

- Co to? - spytała.

- Wiersz. Christiny Rossetti. Posłuchaj. To o tobie. O tobie i o tym, co  
dzięki tobie czuję.

Pierwsze cztery linijki brzmiały:

*Me serce jest jak pieśń skowronka, Którego gniazdo łąka kryje. Me serce  
jest na kształt jabłoni, Która owocem swoim żyje.*

Opuścił kartkę, ponieważ poczuł, że już jej nie potrzebuje. Zupełnie tak,  
jakby te słowa były jego słowami, a w momencie, kiedy wypowiadał je do  
niej, stawały się również jej własnością. Wyrecytował kolejne cztery  
linijki:

*Me serce jest jak młoda tęcza, Która się nurza w morskiej toni. Lecz  
szczęście w sercu mym pełniejsze, Gdy czuję dotyk twoich dłoni.*

Ale Rachel wcale się nie uśmiechnęła, choć tego właśnie pragnął ponad  
wszystko. Bo przecież o to mu chodziło i po to było całe dzisiejsze  
szaleństwo. Żeby jej pokazać, jak ją kocha, żeby jej to udowodnić czynem  
i wyrazić słowami. Dlatego wybrał ten wiersz. Ponieważ o tym właśnie  
mówił.

- Co się stało? - zapytał. - Zrobiłem coś nie tak?

Kiedyś uważał, że wiele wie o kobietach. A teraz nagle poczuł, że nic nie wie o tej jedynej, o której chciał wiedzieć wszystko.

- Nie - odparła, przytulając się do niego mocniej i obejmując go tak, jak nikt inny przed nią. - Zrobiłeś wszystko dokładnie tak, jak trzeba.

- Kocham cię - stwierdził. Odprężyła się w jego ramionach.

- Ja też cię kocham - wyszeptała.

Kiedy spojrzała na niego ponownie, z jej twarzy zniknął cały ból, a jego miejsce zajęła desperacka nadzieja. Mówiła teraz szybko, jakby opowiadała o rzeczywistości, a nie snuła marzenia.

- Kiedy skończę szkołę i wyprowadzę się z domu, to wszystko straci znaczenie.

- Ale co z dniem dzisiejszym? Co z dzisiejszym wieczorem? Co z jutrem?

- Musimy poczekać - odparła. - Poczekaasz? Dasz radę? Czy będziesz w nas wierzył tak długo?

- Wiesz dobrze, że tak.

- Więc przetrwamy.

Uśmiechnął się. Oboje się uśmiechnęli. Równocześnie. Jakby byli jednością.

- A kiedy się już wyprowadzisz z domu? - zapytał, ledwie wierząc, że się na to zdobył. Patrzyli sobie w oczy bez zmrużenia powiek. Wiedziała doskonale, o co ją zapytał.

- Pobierzemy się - stwierdziła.

- Pobierzemy się - powtórzył.

- I wyjedziemy stąd - dodała, całując go. - Do jakiegoś dużego miasta.

Zostaniesz szefem kuchni... A ja znajdę pracę jako kelnerka albo coś w tym rodzaju, póki nie wyjdiesz z wojska... wieczorami będę się uczyć księgowości... a kiedy wrócisz i nadal będziemy tego chcieli, otworzymy hotel albo restaurację... i... i będziemy jeździć w takie miejsca,

poznawać takich ludzi i robić takie rzeczy, o jakich nawet nie marzyliśmy...

Uśmiechała się teraz szeroko, rozglądając wokoło, jakby to wszystko rzeczywiście widziała, jakby jej słowa zmieniały świat wokół nich.

Wstała z łóżka i ściągnęła przez głowę koszulę nocną. Stała przed nim zupełnie naga.

Wstał, a Rachel pomogła mu się rozebrać, powoli okrążając go, aż wreszcie znaleźli się znów twarzą w twarz. Wziął w dłonie jej małe piersi, pieszcząc kciukami ich sutki. Kiedy sięgnęła między jego nogi, położył dłoń na jej łonie, delikatnie gładząc rudawe włosy. Dotknęła nosem jego nosa i pociągnęła go za sobą na łóżko. Przycisnął swe wąskie biodra do jej bioder i jęknął. Nigdy dotąd nie kochali się w prawdziwym łóżku. Bardzo tego pragnął, to było jak przedsmak tego, co nadejdzie, przebłysk przyszłości, którą kiedyś wspólnie przeżyją. Kiedy już będą mieć własny dom.

- Masz? - spytała. - Prezerwatywę? Prezerwatywy. Zawsze kazała mu ich używać, od tego

pierwszego razu. Jedna z jej szkolnych koleżanek zaszła w ciążę rok temu i musiała wyjechać. Została wysłana do krewnych i nikt jej od tamtej pory nie widział. Tony kupił paczkę gumek u fryzjera na East Street, ale nie zabrał jej ze sobą, jak skończony idiota.

- Nie - odparł.

Rozpaczliwie nie chciał teraz przerywać. Jego palce przesunęły się natarczywie po nasadzie jej ud.

- Proszę - wyszeptał. - Nic się nie stanie.

Przyłgnął do niej całym ciałem, błagając o zgodę. Za bardzo jej pragnął, żeby teraz się cofnąć. I wiedział, że tym razem będzie inaczej - delikatnie, powoli i zmysłowo - ponieważ tak właśnie zaczęły się poruszać ich ciała. Nie chciał stracić tej chwili.

Rachel skinęła przyzwalająco głową i całując go głęboko, przyciągnęła mocniej do siebie.



## Rozdział XV

### Majorka, współcześnie

Sam siedział obok Archiego prawie na samym szczycie wielkich schodów z piaskowca prowadzących do otoczonego zniszczonym murem obronnym klasztoru Świętego Bartłomieja. Cykady grały w rosnących poniżej mirtowych zaroślach, a słońce grzało mocno, pokrywając mu czoło potem. U stóp stromej góry, na której dawno temu benedyktyni zbudowali swą twierdzę, wynurzała się z połyskliwego, szafirowego bezmiaru Morza Śródziemnego wyspa Majorka.

Naciągnął na oczy czapkę baseballową. Czuł woń lawendy i dzikiego czosnku, która unosiła się z popękanej i wyschniętej ziemi, niczym zapach zupy z talerza. Cieszy! się, że są tu razem z Archiem sami, tylko we dwóch. Wiedział, że nie poświęca synkowi dość czasu, dlatego starał się to nadrabiać, kiedy tylko mógł. Tak jak dziś, w niedzielę. Wstał wcześniej i zostawił Claire pochrapującą lekko w sypialni.

Nie było trudno jej nie obudzić, ponieważ leżeli po przeciwnych stronach łóżka, jak odpychające się magnesy. Nadal spała, kiedy godzinę później wychodził z synem z domu.

- Jeśli popatrzysz w tamtą stronę, zobaczysz Palmę. - Wskazywał na wschód, gdzie dziesięć kilometrów dalej z rdzawej ziemi wyłaniały się białe domy, wyglądające stąd zupełnie jak szańce. - A kto mieszka w Palmie?

- Mama i tata?

- Bardzo dobrze. A kto jeszcze?

Archie zmarszczył brwi. Popatrzył w zadumie na swoją koszulkę, prezent od Rachel. Było na niej napisane *I V my Grandma Best*.

- Nie wiem - powiedział w końcu.

- Archie. Archie mieszka w Palmie.

- Archie! - wykrzyknął synek, uśmiechając się do Sama, jakby doskonale znał odpowiedź i tylko udawał niewiedzę. - Archie i mama, i tata. - A potem dodał radośnie: - Rodzina.

Rodzina... Sam zajrzał synkowi w oczy. Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby użył z sensem tego słowa. Przelotnie zastanowił się, czy chłopiec poznał prawidłowy kontekst w przedszkolu, czy z filmów na DVD.

Mogła go też tego nauczyć jego niania, Isabel, albo Rachel, prababcia. W ostatniej kolejności przyszedł mu do głowy on sam i Claire.

- Właśnie - potwierdził tonem pochwały. - Twoja rodzina.

- Chce mi się pić - oznajmił Archie, ciągnąc za pasek niewielkiej płóciennej torby stojącej pomiędzy opalonymi, odzianymi w sandały stopami ojca.

Sam sięgnął ręką między zapasowe pieluchy, chusteczki myjące, ciastka i rodzynki, które zapakował przed dzisiejszą wyprawą. Wyciągnął plastikową butelkę z sokiem pomarańczowym i podał synkowi.

- Bardzo proszę - powiedział.

Z tego punktu, prawie u szczytu góry, wyspa wyglądała bardziej jak mapa niż miejsce, w którym żyją prawdziwi ludzie. Sam miał nadzieję, że ten widok pozwoli mu nabrać dystansu, a może nawet obiektywizmu. Między innymi dlatego wybrał klasztor na cel dzisiejszej wyprawy z Archiem: żeby uchwycić większy obraz. Często postępował tak samo w pracy. Z całych sił pragnął odszukać drogę przez labirynt, w jaki zmieniło się ostatnio jego życie.

Dziś mu się to nie powiodło, ponieważ znów uwiodła go myśl o Laurie Vale. O tym, że była tu gdzieś niedaleko albo

sama, albo z tym Jamesem Cadoganem, który mówił jej, że jest fantastyczna, i całował ją przy basenie. Jednak obraz Jamesa zbladł szybko w myślach Sama. Pozostała jedynie Laurie.

Nie było od niej ucieczki: znowu poczuł, że go olśniła, omamiła. Jej twarz zaczęła go prześladować, nie tylko w nocy, ale i w dzień: w środku ważnego spotkania albo pod prysznicem, albo kiedy otwierał butelkę piwa. Przez cały czas nosił w sobie jej obraz, zupełnie jak odbicie na siatkówce jakiegoś jaskrawego przedmiotu, na który patrzy się zbyt długo.

W jaki sposób zdołała sprawić, że poczuł aż tyle, nic właściwie nie robiąc? Nie potrafił tego pojąć. Chciał ją pocałować, wtedy, na łodzi, gdy leżeli unieruchomieni przez flau-tę. Ta potrzeba wezbrała w nim jak wielka fala i pozwoliłby się jej unieść, gdyby otrzymał od Laurie chociaż cień zachęty. Pamiętał, jak patrzył jej w oczy i marzył, żeby je zamknęła. I żeby wiatr nigdy się nie zerwał. I żeby bezludna wyspa, o której żartowali, stała się rzeczywistością.

Archie westchnął z zadowoleniem.

- Skończyłem. - Wyciągnął do Sama pustą butelkę jako dowód swego osiągnięcia. - Gorąco mi, tato - powiedział.

- Mnie też - odparł Sam i wziął Archiego na barana. Podniósł torbę, odwrócił się plecami do wyspy i wszedł po tych kilku ostatnich stopniach prowadzących na dziedziniec klasztoru. - Co ja bym bez ciebie zrobił, Archie? - zapytał.

Zagubiłby się. Sam nie miał wątpliwości. Rozumiał teraz, że przez ostatnie trzy lata bez Laurie również czuł się zagubiony. Bez tych dwojga jakaś jego część umierała. Ale posiadanie ich równocześnie było przecież niemożliwe.

A może jednak? Postawił synka na ziemi i patrzył, jak biegnie przez żelazną bramę na dziedziniec. Wyobraził sobie jakieś inne miejsce, daleko stąd. Chłodniejszy klimat. Spacer w angielskim parku, Archie biegnie oszronioną ścieżką, Ararat jest tylko wspomnieniem, a w jego dłoni spoczywa

ręka Laurie. Inny świat, w którym istnieją inne cele. Czy naprawdę tak trudno to osiągnąć?

Przeszedł przez bramę. Nad dziedzińcem górowały platany, rzucając przyjemny cień. Bluszcz wspinał się na chłodne kamienne mury, a starzec w zniszczonych adidasach i pochłapanym farbą kombinezonie zamiatał z bruku dziedzińca kurz i suche liście miotłą zrobioną z gałęzi. Sam przywitał się z nim grzecznie, a starzec uśmiechnął się, po czym wrócił do pracy.

- Tata, tata, tata - powtarzał Archie, ciągnąc go niecierpliwie za rękę. Drzwi do kaplicy były otwarte. Sam przeszedł za Archiem pod niskim kamiennym nadprożem. W środku było chłodno, jak w jaskini. Prosty krucyfiks z kości słoniowej wisiał na pomalowanej na biało ścianie za zniszczonym dębowym ołtarzem. Światło wpadało tu przez witraż przedstawiający Chrystusa, rzucając kolorowe promienie na drewniane ławki.

Archie wdrapał się na jedną z nich i zaczął nucić. Sam popatrzył na okno, podziwiając misterność, z jaką oddano cierniową koronę Chrystusa i gwoździe przebijające jego dłonie i stopy.

Chrystus, Bóg, wieczne życie, niebo i piekło; te koncepcje pociągały Sama w młodości, ale kiedy przyszło co do czego, zabrakło mu wiary, żeby przy nich wytrwać. Żyjesz, umierasz i to jest koniec wszystkiego. Musisz szukać szczęścia i spełnienia, póki żyjesz. I powinieneś dawać szczęście, gdzie tylko możesz. Do takich wniosków doszedł.

Jednak ostatnio dręczyły go wątpliwości. Ile szczęścia mu się należy? Ile spełnienia? A jeśli oboje z Claire, będąc razem, tracą życie na częściowe szczęście? Ponownie wrócił myślą do tego młodego człowieka, z którym widział ją w Palmie i który potem wychodził z ich bloku. Człowieka, z którym Claire prawie na pewno miała romans... A jeśli, wiążąc się ze sobą, oboje odrzucali ludzi, z którymi mogliby zacząć nowe, dużo szczęśliwsze życie? A jeśli taki łańcuch pośled-

nich związków otacza cały świat, a jego zerwanie zależy od decyzji jego i Claire?

W trakcie krótkiego pobytu we Francji Laurie zdołała go tyle nauczyć... o sztuce, o historii i o tym, jak to jest być młodym. Świat stawał się taki interesujący i różnorodny, kiedy patrzyło się na niego jej oczyma.

Natomiast Claire, być może trochę ze względu na swój młody wiek, gdy się poznali, ale na pewno również dlatego, że zawsze bardziej interesowały ją plotki przyjaciółek niż to, co można znaleźć w gazetach i książkach, nigdy nie nauczyła go niczego.

- Co to? - zapytał Archie.

Sam spojrzął na pokryty świecami pulpit, który wskazywał synek. A co z Archiem? Czy właściwe byłoby pozostawianie go z Claire? Bo chyba zniszczył już bezpowrotnie swoje małżeństwo, dowodziła tego siła uczuć, jakie żywił do Laurie. Czy zatem kres związku z Claire jest nieunikniony? Czy to małżeństwo musi się wkrótce skończyć wśród goryczy i wzajemnych oskarżeń? Czy naprawdę chce, żeby taka przyszłość czekała jego syna?

Poczuł, jak Archie szarpie go za koszulę.

- Tata, co to?

- Świece - odparł.

- Świńce? - zachichotał zdumiony Archie, nie wiedząc, czy Sam przypadkiem nie wymyślił tego słowa, albo nie stroi sobie z niego żartów. Sam wziął go za rączkę, która ufnie spoczęła w jego dłoni, i poprowadził do pulpitu, na którym w małych, szklanych uchwytych stały świece modlitewne.

- Zapalają je dobrzy ludzie - wyjaśnił. - Żeby pamiętać o innych ludziach, których kochali.

- Dobrzy ludzie?

- Tak.

Archie wyrwał się Samowi, podbiegi do ołtarza i zaczął palcem wodzić po jego brzegach.

Dobry? Zły? Nawet Sam nie był już pewien, co oznaczają te słowa. Czy był zły dlatego, że myślał to, co myślał? Czy wybór, który będzie właściwy dla niego, okaże się zły dla wszystkich innych? Nie wiedział. Wiedział tylko, że jest nieszczęśliwy, nieszczęśliwy z Claire, nieszczęśliwy bez Laurie.

Kiedy wrócili do domu, drzwi prowadzące z salonu na balkon były szeroko otwarte. Poprzez wydęte na wietrze szafirowe zasłony dostrzegł na tarasie Claire. Rozmawiała wesoło przez telefon, co chwila wybuchając śmiechem.

Archie również musiał ją dostrzec, ale kiedy Sam postawił go na ziemi, pobiegł nie na balkon, ale przez wyłożony terakotą salon do kuchni, w której progu wyciągała do niego ramiona Isabel. Zapiszczał z radości, kiedy uniosła go wysoko w powietrze.

- Widziałem śwince! Widziałem śwince! - zaczął jej opowiadać podniecony, a Isabel zabrała go ze sobą do kuchni.

Kiedy Sam wyszedł na balkon, przypomniał sobie skąpane w słońcu krajobrazy, które Laurie pokazywała mu we Francji. Bardzo chciałby zobaczyć, nad czym teraz pracuje. Pomyślał o niej, o tym, jak maluje w hangarze na łódzie, na plaży. Ciepło, oto czego pragnął. Nie jałowość. Ciepło, witalność, kreatywność, to właśnie od początku go w niej pociągało.

Claire kupowała, a Laurie tworzyła. Zdaniem Sama na tym polegała podstawowa różnica między nimi. Claire była konsumentem sztuki, a Laurie jej twórcą. Laurie dawała, Claire brała.

Całe to gadanie żony o architekturze wnętrz... teraz rozumiał, że stanowiło jedynie artystyczną zasłonę dymną, za którą ukrywała swoje leniwe życie, pożywkę dla rozmów na przyjęciach, pretekst do zakupów...

- Och, jesteś - stwierdziła Claire, posyłając mu krótki, zdawkowy uśmiech. Skończyła rozmowę przez telefon.

- Już myślałam, że nigdy nie wrócicie. Miła wycieczka? Archie zadowolony?

Zupełnie, jakby odfajkowała pozycje na liście zakupów. Kiwnął głową w odpowiedzi.

Miała na sobie czarne stringi i okulary przeciwsłoneczne marki Diesel - poza tym była zupełnie naga. Na jej skórze błyszczała warstewka olejku do opalania, a tłuste od odżywki włosy szesała na tył głowy. Tatuaż w kształcie uśmiechniętej buźki wyszczerzał się do niego z jej kostki.

Zupełnie jak modelka wyciągnięta na billboardach przy drodze do Palmy, pomyślał Sam. Wszystko w jej wyglądzie było doskonale. A jednak wiał od niej chłód.

- Masz, spróbuj - w jednej ręce trzymała na wpół wypalonego papierosa, a w drugiej wysoką szklanekę. Bąbelki powietrza wydobywały się na powierzchnię mieszanki jakiegoś przejrzystego płynu, pokruszonego lodu i liści mięty.

- Nie, dziękuję - odparł. Popatrzył przez chwilę na białe żagle jachtów pływających po zatoce, a potem odwrócił się do niej przodem i oparł plecami o balustradę balkonu.

- Pomyślałam, że może podamy koktajle - powiedziała.

- Kiedy?

- Jak tylko przyjadą goście.

- Kto? - zobaczył, że na małym stoliku, pomiędzy paczką marlboro a telefonem, leży jej czerwony terminarz.

- Sean i Iris, Greta i Sabina. No i towarzystwo z klubu.

- Najwyraźniej wyczytała coś z jego twarzy, bo jęknęła:

- Och, Sam. Tylko mi nie mów, że zapomniałeś.

- Jak mógłbym zapomnieć ludzi, których nawet nie znam? - spytał krótko.

- Nie o nich mówię. Mówię o przyjęciu.

- Jakim przyjęciu?

- Tym, które dziś wydajemy. Wysłałam ci na ten temat dwa e-maile - dodała. - Dwa, bo spodziewałam się, że zapomnisz.

- A dlaczego po prostu mi nie powiedziałaś?
- Bo byłam zajęta.
- Czym? - To pytanie zabrzmiało dużo ostrzej, niż zamierzał.
- Organizowaniem przyjęcia! Nie wiem, czy wiesz, ale takie imprezy się organizuje. Trzeba wybrać jedzenie, alkohol i ustalić listę gości. A przy okazji, zaprosiłam też Paulę... I Antonię, i Xevi, one prowadzą to nowe spa w Soller. - Wyciągnęła z paczki i zapaliła kolejnego papierosa. - W końcu to ty poddałeś mi pomysł, żeby je zaprosić, kiedy powiedziałaś... Ale Sam jej nie słuchał. Kiedy po raz ostatni czuł się naprawdę szczęśliwy? Oto pytanie, jakie sobie teraz zadawał. Zupełnie szczęśliwy, nie częściowo, nie w życiu służbowym ani kiedy był sam z Archiem. Zupełnie szczęśliwy w życiu jako całości, a nie tylko w jakiejś jego części. To proste: kiedy żeglował z Laurie. A wcześniej? Równie proste: kiedy był z nią we Francji. Kiedy postanowił porzucić Claire. Nim się dowiedział o Archiem...
- ... i Alana Tricarda, który może cię zainteresować, ponieważ nie pracuje już dla Zones, a wiem, że szukałeś szefa kuchni dla...  
Wszystko, co zbudował po rozstaniu z Laurie, oparte było na kłamstwie. Tym kłamstwie, które zaczął sobie powtarzać trzy lata temu: że już mu na niej nie zależy. W rzeczywistości zdołał tylko stłumić swoje uczucia do niej. Leżały sobie uśpione, jak fundamenty wszystkiego, czym się stawał. Ale teraz zaczęły się na nich pojawiać pęknięcia. Wiedział, że im dłużej zostawi całą sytuację w zawieszaniu, tym większe prawdopodobieństwo, że zawali się w gruzy całe jego życie.
- ... czyli razem czterdzieści osób. Wiem, że będzie trochę ciasno, ale...  
Co powinien zrobić? Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, czego chce, a to nie było to samo. Chciał jechać do Laurie i... i zobaczyć, co będzie dalej...  
Chciał stąd jak najszybciej uciec...



Claire przesunęła okulary od słońca na czoło i popatrzyła na niego ciekawie.

- Nic ci nie jest?

- Nie - odparł.

- Znowu jesteś spięty - powiedziała to w taki sposób, jakby to robił specjalnie.

- Nie, ja...

- W zeszłym tygodniu jadłam lunch z Kaylą, a wiesz, jaka była przez ostatni rok zdołowana po rozstaniu z Andym. Lekarz polecił jej psychiatrę. Wiem, że to może trochę źle zabrzmieć, ale dzisiaj takie wizyty to w zasadzie norma. Bardzo wiele osób...

Sam uniósł obronnie rękę.

- O Boże! - zaniepokoiła się nagle. - Chyba nie masz pretensji, że jej o tym wspomniałam? Myślałam, że...

- Nie - uciał Sam. - Nie mam. I wcale nie czuję się spięty. - Mówił prawdę. Jego ataki paniki zniknęły bezpowrotnie, odkąd porozmawiał z Laurie podczas przyjęcia na jachcie. Jakby uznanie jej obecności i tego, co kiedyś między nimi zaszło, otworzyło jakiś zawór i zmniejszyło zbierające się w jego wnętrzu ciśnienie.

Claire zaciągnęła się papierosem.

- Więc o co chodzi?

- Nie będę na przyjęciu - powiedział niemal bezwiednie. I natychmiast znalazł wymówkę. - Mam umówione spotkanie.

Zdziwił się, jak łatwo przyszło mu to kłamstwo. Równie łatwo jak wtedy, gdy poznał Laurie, po czym zadzwonił do Claire i powiedział jej, że musi zostać we Francji dłużej, niż pierwotnie przewidywał.

Komórka Claire zaczęła przenikliwie dzwonić i wibrować na stoliku.

- Ale przecież jest niedziela! - zaprotestowała, ignorując telefon.

- Wiem.
- A to nie może poczekać? Nie możesz odwołać? Proszę... - nalegała.
- Nie.
- No to o której wrócisz? - spytała.

- Nie wiem.

I nie wiedział. Naprawdę. Nie miał pojęcia.

Wibracyjna bateria sprawiła, że telefon spadł ze stolika na terakotę balkonu. Dzwonek zamilkł.

Claire wydała pomruk złości i zaciągnęła się papierosem. I jeszcze raz.

- To, kurwa, takie do ciebie podobne - wybuchła nagle, podrywając się na równe nogi. - Jesteś moim mężem! Co sobie ludzie o mnie pomyślą, jeśli będę sama podejmować gości?

Jej atak tylko utwierdził go w decyzji.

- Nic ci na to nie poradzę.

- Wiesz co? Pierdol się, Sam - powiedziała, machając na niego ręką, jakby odganiała osę. - Pierdol się. Mam cię, kurwa, dosyć!

- Halo?

To nie był głos ani Sama, ani Claire.

- Halo?

Równocześnie spojrzeli na leżący na podłodze telefon i pojęli, że głos dobiega z niego.

- Halo? Claire, czy to ty?

Ze zmarszczonymi brwiami Claire podniosła telefon i sprawdziła na wyświetlaczu, kto dzwoni.

- Leonie, kochana - zagruchała w mikrofon, odwracając się do Sama plecami. - Doskonale wiedziałam, że tam jesteś. Podobał ci się nasz dowcip? Nasza udawana kłótnia?

Niecałą godzinę później Sam dotarł do Sa Costa i zaparkował porsche przed frontowym wejściem. Pomimo klima-

tyzacji czuł się rozpalony. Zerwał z szyi krawat i rzucił go na wierzch marynarki leżącej w poprzek siedzenia pasażera.

No proszę, pomyślał. Porsche, czarna skórzana aktówka na podłodze auta, szyty na miarę garnitur i krawat od Car-tiera, w które przebrał się przed wyjściem, żeby uprawdopodobnić swoją wymówkę. Oto Sam Delamere i jego wymarzona przyszłość: gładki, błyskotliwy styl menedżera, o jakim marzył, odkąd przeniósł się tu z Londynu. A jaka była prawda? Że to wszystko to bzdura. Zasłona dymna. Sposób ukrycia, jak bardzo czuje się nieszczęśliwy. Przepych... władza... sukces... nic nie znaczą, jeśli człowiek nie jest szczęśliwy.

Czuł jednak, że przyjazd tutaj to szaleństwo. Że oszalał. Bo to nie było racjonalne posunięcie. Brakowało mu informacji, na których podstawie mógłby podjąć decyzję. Nie miał pojęcia, dokąd go zaprowadzą działania, jakie podejmował, a raczej już podjął.

Musiał zobaczyć Laurie, tylko tyle wiedział na pewno. Jak ją zobaczy, wszystko samo się rozstrzygnie. A poza tym co gorszego mogło go spotkać niż to, co za sobą zostawił?

Wysiadł z samochodu, pozostawiając kluczyki w stacyjce. Nie zamykając za sobą drzwiczek wozu, ruszył do wejścia. Spróbował klamki, ale drzwi były zamknięte. Zadzwoił. Zastanawiał się, kto mu otworzy. Laurie? A może on? Ten James Cadogan, jej chłopak? Ciekawe, czy nadal tu jest? Może kąpią się teraz razem w basenie, on skacze z trampoliny, a ona go podziwia? A może są na górze, w sypialni, tulą się do siebie pod prześcieradłami albo całują się, biorąc razem prysznic?

Poczuł nagły przypływ zazdrości, taki sam jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył tego faceta, kiedy pojął, że Laurie jest z nim związana. Nie przyszło mu do głowy, że mogła sobie kogoś znaleźć. Nie mógł się nadziwić własnej arogancji. Czy naprawdę sądził, że skoro Laurie przyjechała tu pracować, to znaczy, że nikt na nią w domu nie czeka? Fakt, że

on nie mógł o niej zapomnieć, nie oznaczał automatycznie, że ona nie zapomniała o nim.

Mimo to nie zamierzał dopuścić, żeby obecność Jamesa stanęła mu na drodze. Poza tym nie miał pewności, na ile poważny jest ten związek. Bo Laurie nie wspomniała mu

O nim ani słowem. Tak plastycznie odmalowała swoje życie po rozstaniu, ale tę część płótna pozostawiła pustą. Co mogło oznaczać jedno z dwojga: albo James jest dla niej tak ważny, że nie chciała o nim mówić Samowi, albo tak mało ważny, że niewart nawet wzmianki.

Ponownie zadzwonił, ale nikt nie otwierał. Obszedł dom

I zszedł po usłanych sosnowymi szpilkami schodkach na niższy taras.

Przy basenie było pusto, powierzchnia wody zdawała się równie gładka jak napięta skóra bębna. Zraszacz posykiwał na trawniku, wyrzucając w powietrze maleńkie tęcze. Na chwiejnej drabinie stał ogrodnik Dante i przycinał wiśnię, która rosła nieopodal basenu. Kiedy usłyszał kroki Sama, odwrócił się, pomachał mu i przesłał uśmiech.

Sam podszedł bliżej i podał mu rękę, po czym wypytał go szybko po hiszpańsku. Dowiedział się, że Laurie zeszła na plażę, do hangaru na łódzie. A James? Anglik? Wczoraj odleciał do domu.

Ruszył szybko nad morze. James wyjechał. Nadzieja... Nadal mógł żywić nadzieję. Jednak wątpliwości pozostały. Wyjazd Jamesa nie oznaczał, że Laurie o nim zapomniała. A jeśli nawet, to... Mogło być i tak, że oczekiwała już od Sama wyłącznie przyjaźni. W najlepszym razie. Bo w najgorszym mogłoby się okazać, że zdołała już nieodwołalnie zamknąć ten rozdział przeszłości.

Kiedy schodził stromą ścieżką, spod nóg śmigały mu jaszczurki. Morskie ptaki nawoływały się żałośnie na niebie, a morze pobłyskiwało błękitem przez zarośla. Minał zakręt i zobaczył piaszczystą plażę otaczającą małą zatoczkę.

Na samym jej końcu, tuż przy skałach, stał hangar na łodzie. Ruszył biegiem po rozpalonym piasku, a z każdym krokiem nogi wydawały mu się cięższe, jakby wyciągał je z bagna. Ale nie zamierzał się teraz zatrzymywać. Bo gdyby się zatrzymał, na pewno by zawrócił.

Otworzył z rozmachem drzwi. Laurie stała po przeciwległej stronie drewnianej łodzi, ubrana w brudne dżinsowe szorty i starą szarą koszulkę. Odwróciła się, zaskoczona, z pędzlem w dłoni. Rude włosy zwinęła w węzeł, który przytrzymała na głowie ołówkiem. Nogi miała pochłapane farbą: szarą, czarną i błękitną. Wyglądała okropnie. A on nigdy w życiu nie widział równie pięknej kobiety.

Za nią stał obraz, nad którym pracowała. Wielkie szare płótno, przez które przewalały się ciężkie, atlantyckie fale. Malowała najwyraźniej z pamięci: wezbrane deszczem niebo stanowiło kontrast z widokiem, jaki rozciągał się przed jej oczami. Zakorkowana butelka unosiła się na grzywie jednej z oleistych fal.

- Sam... Przestraszyłeś mnie okropnie.

Piękno stworzonego przez nią obrazu nawet nie umywało się do jej własnego piękna. Była jak dzikie zwierzę, podglądane w naturalnym środowisku. Jej policzki pokrył najpierw róż, potem czerwień. To była głęboko intymna reakcja na jego obecność. Zupełnie jakby wyciągnął rękę i dotknął jej skóry.

- Co ty tu robisz? - zapytała.

Czy ją kocha? - zastanowił się. Tak. Teraz mógł to przyznać. Przestał z tym walczyć, tak jak walczył podczas przyjęcia na „Angel”, jak walczył podczas obiadu w Sa Costa, jak walczył codziennie, odkąd podjął decyzję, że zostaje z Claire.

Czy to była prawdziwa miłość? To określenie nic przecież nie znaczy... Istniały miliony odcieni miłości odpowiednie dla milionów różnych ludzi. Była miłość, jaką czuł do Archiego, do Rachel, do swoich rodziców i - tak - do Claire, również do niej. Wszystkie były prawdziwe, ale każda inna.

Miłość, którą czuł do Laurie, była spontaniczna, jak początek uśmiechu albo potrzeba, żeby cię ktoś przytulił. Nie miała nic wspólnego z obowiązkiem, odpowiedzialnością czy dumą. Była jak tancerka wyginająca się uwodzicielsko, zapraszająca, by się do niej przyłączył. Była jak wybuch życia, jak pełnia możliwości, jak obietnica. Była naturalna, instynktowna i czysta.

- Po co przyszedłeś? - powtórzyła.

Ruszył ku niej i zajrzał jej w oczy. Czuł zapach farby na jej ubraniu, czuł otaczające ich rozgrzane powietrze. Był odurzony.

- Po ciebie - odparł, pochylił się i wreszcie ją pocałował.

## Rozdział XVI

Stepmouth, lipiec 1953

Bill spulchniał grabiami wilgotną ziemię, zdyszany, ciesząc się wysiłkiem swych mięśni. To była ciężka praca. Czarne błoto przylegało do jego kaloszy niemal jak cement, ale nie zamierzał się skarżyć. Dobrze było znowu wyjść na dwór, po tylu dniach obserwowania, jak deszcz ścieka smutnie po szybach okien.

Ile miesięcy minęło, odkąd zabrał się do usuwania stąd chwastów? Cztery? Pięć? To był marzec, dzień, w którym Emily weszła do sklepu Vale'ów, szukając prezentu dla matki. Miał wrażenie, że od tamtej pory minęło wiele lat, tyle się w jego życiu zmieniło. Tamtego poranka szykował ziemię pod siew. Dziś wiosna dawno zmieniła się w lato i nadszedł czas zbiorów: wykopywał ziemniaki, buraki i marchewki i rzucał je na obłoczone sterty. Rozwój, oto czym były dla niego te ostatnie miesiące. Rozwój i wzrost.

Wiedział, że tylko cudem deszcz nie zniszczył wszystkiego, co tu zasiał. Słońce zaledwie trzy godziny temu przedarło się przez szare chmury i wypaliło niebo na błękitno; wcześniej lało przez ponad tydzień. Pogoda była jeszcze gorsza niż w maju, a w maju nikt nie sądził, żeby mogło być jeszcze gorzej.

W miasteczku nad drzwiami wszystkich pensjonatów pobrzękiwały ociekające wodą tabliczki z informacją o wolnych pokojach. Tylko bank nie ustawał w pracy, jak sęp obserwując niedomagające interesy mieszkańców. Sklep

Vale'ów miał więcej szczęścia niż inni, ponieważ w mniejszym stopniu polegał na przyjeźdnych, ale jego obroty również znacznie spadły.

Wszyscy teraz z nadzieją wyczekiwali sierpnia i powrotu turystów. Ale nie sposób było przewidzieć, co im ten sierpień przyniesie.

- Nie pamiętam takiego lata - poskarżyła się dziś rano matka Billa, kiedy wyszli z kościoła, a on pchał jej wózek po mokrych uliczkach.

Kazanie dotyczyło Noego i Potopu, bożego gniewu na ludzkie występki i bezbożności, a także kary, oczyszczenia i konieczności pokuty za grzechy.

Ale Billa niewiele ono obeszło. Zamiast słuchać, wspominał, jak poprzedniego wieczoru leżał nagi w łóżku Emily, a w kominku tlił się ogień. Miał ochotę zgrzeszyć znowu. I znów. I znowu.

Rzucił grabie na ziemię i wziął cynowe wiadro pełne świeżo wykopanych ziemniaków. Zadudniły jak werbel, kiedy wysypał je na stos wznoszący się koło ścieżki. Potem napił się wody z butelki, która stała obok.

Wyciągnął koszulę ze spodni i powachlował się jej szorstką materia, chłodząc spoconą skórę.

Nagle zerwał się wiatr, radosny jak śmiech dziecka. Bill spojrzął w miejsce, gdzie kiedyś rosły maliny, i zaczął wspominać ten dawno miniony letni dzień, kiedy jego rodzice i siostra gonili się beztriosko wokół krzewów.

Wtedy usłyszał wołanie Emily brnącej ku niemu powoli przez błoto.

Wcześniej ratowała resztki fasoli, którą posadziła tu, gdy tylko zaczęli ze sobą chodzić. (Pomyśl, ile zaoszczędzisz, jeśli sama wyhodujesz to, co ci będzie potrzebne w restauracji, powiedział jej wtedy, choć oboje dobrze wiedzieli, że to tylko pretekst, żeby spędzać razem więcej czasu).

Emily miała na sobie brązowe skórzane robocze buty, luźne czarne spodnie i luźną jasnopomarańczową koszulę z podwiniętymi rękawami.

Przeczesała palcami błyszczące



blond loki, które ostrzygła sobie modnie i niezwykle krótko tydzień temu, w łazience nad Sea Catch Cafe. Bill obserwował ją wtedy, leżąc wygodnie w gorącej kąpieli.

- Co robisz? - spytała, stając obok niego. Spojrzał na nią zaskoczony.

- No bo gapisz się nieruchomo przed siebie - wyjaśniła. Wskazała na grządkę fasoli. - Machałam do ciebie jak wściekła, ale zupełnie jakbyś mnie nie widział. Patrzyłeś przeze mnie na przestrzał, jakbym była duchem.

Duchem. Wreszcie to powiedziała.

Najwyższy czas dać sobie spokój. Nareszcie zrozumiał. Czas przestać żyć przeszłością. Poczucie winy, jakie w sobie dusił, że nie dane mu było ocalić ojca, cała uraza, jaką żywił za konieczność powrotu do Stepmouth... nie przyniosły mu nic prócz rozpacz. Duchy i wspomnienia... Jego matka żyła nimi od ośmiu lat, ale on zamierzał skończyć z tym w tej chwili.

- Nie wierzę w duchy - odparł. - Już nie.

I naprawdę tak myślał. Miał wrażenie, że jego życie dopiero się zaczyna. Oraz nadzieję, że z czasem pomoże matce poczuć to samo. Wszyscy troje powinni iść dalej. Cała rodzina. Razem.

Kiedy Emily się uśmiechnęła, w kącikach jej oczu powstały drobniutkie zmarszczki.

- Miałam nadzieję, że to powiesz.

Zawsze kiedy ją całował, czuł się tak, jakby go przywracała do życia.

Jakby przed jej przyjazdem był zamknięty w ciemnym pokoju.

Przyciągnął ją teraz do siebie i pocałował.

- Zobacz - powiedziała, gdy ją puścił. Patrzyła w górę. - Wrócili.

Bill obejrzał się. Dwa myśliwce przemknęły nisko nad wrzosowiskiem, a potem zniknęły w wale chmur zbierających się nad horyzontem. Dobięgl ich ryk silników odrzutowych.

- Myślisz, że to prawda, co mówią?

Bill nie musiał pytać, o co jej chodzi. Plotki na temat przelotów myśliwców nad wrzosowiskami od tygodni szerzyły się w Stepmouth, potęgowane przez ciągły deszcz. Personel pomocniczy z pobliskiej bazy RAF-u przychodził w weekendy do pubów w miasteczku i, tak samo jak w czasie wojny, przy piwie zdradzał najgłębsze wojskowe „tajemnice”. „Sianie chmur”. Takie określenie padało z ust pijanych pracowników RAF-u. Podobno odkryto sposób na sprowadzanie deszczu. W chmurach rozpylano ponoć jakieś chemikalia, żeby wywoływać burze i żeby deszcze zalały ziemię. Podobno zamierzano wykorzystać tę broń przeciw komunistom - miała spowodować pozrywanie tam i zalanie ich miast.

- Myślę, że to bzdury - odparł Bill. Przypomnił sobie własną służbę wojskową, stare mundury i broń, jakie mu wydano. - Nawet jeśli mają taką technologię, w co szczerze wątpię, dlaczego mieliby przeprowadzać testy właśnie tutaj? - Zaledwie dwa lata temu widział w kinie zdjęcia z wybuchu bomby atomowej na pustyni w Arizonie. - Wybraliby raczej jakieś odludne miejsce, aby nikomu nie stała się krzywda.

- Może chcą, żeby nam się coś stało? Może o to chodzi w tych testach? W każdym razie mój tata tak sądzi. Dzwonił do mnie wczoraj.

Bill prychnął.

- Czego się spodziewasz po kimś, kto wierzy, że pewnego dnia człowiek wyląduje na Księżycu? - zażartował. Ałun Jones powiedział mu dokładnie to samo, kiedy dwa tygodnie temu zabrał go na piwo. Rodzice Emily przyjechali wówczas z Walii sprawdzić, jak sobie radzi córka.

- I kto nie ma nic przeciwko temu, że bym się z tobą spotykała - dodała Emily, trącąc Billa w żebra.

- Racja - przyznał. - Więc może jeszcze nie do końca oszalał. - Przytulając ją, popatrzył znowu na niebo. - Ale i tak uważam, że te plotki to bzdura. Wymyśl chłopaków z bazy, żeby zrobić wrażenie na dziewczynach z miasteczka.

- A chcesz się dowiedzieć, jak zrobić wrażenie na pewnej konkretnej dziewczynie? - spytała Emily. Nim zdążył odpowiedzieć, złapała go za rękę i zaczęła ciągnąć pod górę, tam gdzie w rogu działki stała niewielka drewniana szopa.

Małe, brudne okienko osadzone w wypaczonych drzwiach pokrywały pajęczyny. Emily zdjęła buty i weszła do środka.

- Co robisz? - spytał.

- A jak sądzisz? - odparła ze śmiechem, ściągając spodnie i majtki. Zrobiła z nich prowizoryczną poduszkę, położyła się i wyciągnęła do niego ramiona. - Szybko - powiedziała, drżąc. - Musisz na mnie natychmiast zrobić silne wrażenie.

Wszedł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi.

Kochali się na podłodze, przetaczając z boku na bok, a słońce, które przeświecało przez dziury w ścianach, sprawiało, że ich skóra błyszczała jak rybia łuska. Kiedy skończyli, Emily leżała na nim, bez tchu, z ustami przyciśniętymi do jego szyi. Wzbity z podłogi kurz tańczył nad nimi w powietrzu, połyskując jak maleńkie fajerwerki.

- Boże, uwielbiam się z tobą pieprzyć - stwierdziła.

Nie przeszkadzało mu to słowo. Nie, kiedy wymawiała je w taki sposób. Zawierało w sobie zbyt wiele radości, żeby brzmieć wulgarnie.

- Ja też - odparł. Kiedy przypominał sobie, jak było w łóżku z Susan Castle, dziwił się własnej nieporadności. W ł ó ż k u : właściwie wszystko zawierało się w tym określeniu. Nigdy nie zrobili tego nigdzie indziej. Ani przy zapalonym świetle, jakby oglądanie własnej nagości mogło popsuć cały romantyzm.

O tak, teraz się temu dziwił, ale jeszcze bardziej dziwił się, że tak wiele lat upłynęło pomiędzy zniknięciem z jego życia Susan Castle a wkroczeniem w nie Emily. Jak zdołał je przeżyć? Nie potrafił zrozumieć. Jak mógł się obywać bez towarzystwa Emily, bez jej śmiechu, jej otwartości i determinacji? Krótko mówiąc, jak w ogóle mógł bez niej żyć?

Przepełniał go niewiarygodny optymizm. Przez cały dzisiejszy dzień chciał jej coś powiedzieć, ale czekał na właściwy moment. Ten moment.

- Muszę ci coś... - zaczęli równocześnie, po czym wybuchnęli śmiechem i oderwali się wreszcie od siebie.

- Ty pierwsza - zdecydował.

- Nie, ty.

- Ja chcę ci coś pokazać.

- A ja chcę ci coś dać.

- Co?

- To - odparła i pocałowała go bardzo, bardzo głęboko. - No dobrze. A teraz ty. Co mi chcesz pokazać?

- Musisz się najpierw ubrać...

Zmrużyła oczy, przyglądając mu się podejrzliwie.

- Dlaczego? Dokąd idziemy? Rzucił jej na kolana majtki.

- Zobaczysz.

- William?

Matka wołała go z saloniku. Wrócił właśnie z działki, a Emily czekała na niego w samochodzie. Spojrzał z irytacją na trzeszczący stopień, który zdradził jego obecność, uniemożliwiając potajemne zakradnięcie się do sypialni.

Wszedł do salonu i zobaczył, że matka ma gości: Edith Carver, która nadal ubrana była w czarną sukienkę, wkładaną wyłącznie do kościoła, oraz Gilesa Weatherly'ego, ich sąsiada prowadzącego sklep z artykułami żelaznymi. Edith siedziała przy stole i nalewała herbatę, a Giles stał w otwartym oknie, paląc fajkę. Pokój wypełniał słodki zapach wiśniowego tytoniu.

- Dzień dobry, Edith - powiedział Bill zadowolony z grymasu, jaki na jej twarzy wywołało to zbyt poufałe powitanie. - Giles.

- Witaj - odparł Giles, przesuwając kciukiem po gęstych czarnych wąsach.

Bill lubił Gilesa. Był to bezdzietny wdowiec, kilka lat starszy od matki Billa, którego żona umarła przed wojną na gruźlicę. Bardzo przyjaźnili się z ojcem i to on pierwszy przybiegł na odgłos strzałów tej nocy, kiedy Keith Glover obrabował sklep. Podczas procesu świadczył przeciwko Gloverowi.

Bill zauważył, że matka ma na szyi biały jedwabny szal, który podarowali jej wraz z Rachel na gwiazdkę.

- Ślicznie wyglądasz, mamó - stwierdził.

- To prawda - zgodził się Giles.

Pani Vale zarumieniła się lekko. Bill popatrzył na nią, potem na Gilesa, a potem znów na nią. Nagle przyszedł mu do głowy absurdalny pomysł, że być może pewnego dnia przestaną być tylko dobrymi przyjaciółmi. A zaraz potem nieco mniej absurdalna myśl, że ojciec pewnie czegoś takiego by sobie życzył. Żeby matka żyła dalej, tak jak zaczął to robić Bill. Czemu nie? - pomyślał. Zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Zresztą teraz wszystko wydawało mu się możliwe.

- Wiesz co, Giles? Powinieneś przyjść kiedyś do nas na obiad. Może namówię Emily, żeby ugotowała coś dla ciebie i mamy? - zaproponował.

- Byłoby fajnie.

Edith Carver odchrząknęła, mierzając matkę i Gilesa ostrym spojrzeniem. Czyżby szukała nowego materiału do plotek, czy tylko wyrażała swoją dezaprobatę? Bill nie potrafił określić. Zresztą zupełnie go to nie obchodziło.

- Naprawdę nie sądzę... - zaczęła protestować pani Vale.

- Wspaniały pomysł - stwierdził Giles. - Od wieków nie jadłem porządnego obiadu. - Spojrzał na matkę Billa, szukając aprobaty. Mosiężna dewizka od zegarka zwisająca z kieszeni jego brązowej, wełnianej kamizelki, rozbłysła w słońcu. - Laurel? - spytał.

- Oczywiście - zaczerwieniła się. - Tylko nie sądzę, żeby...

- To dobrze - ucieszył się Bill. - Zatem postanowione. Nie masz pojęcia, jaka uczta cię czeka - zwrócił się do Gilesa. - Emily jest doskonałą kucharką. Prawda, mamó?

Podszedł do niej i pocałował ją w czoło. Wiedział, że jest na niego zła za to, że zdradził Edith Carver, iż ta skandalizu-jąca Emily Jones jest przyjmowana w tym domu. Ale Emily przecież wcale nie była skandalizująca. Nie dla Billa. I jak podejrzewał, dla matki również nie, ponieważ starała się ją sobie ostatnio pozyskać na wszelkie możliwe sposoby. Im wcześniej inni przywykną do tego faktu, tym lepiej.

- Powinieneś się przejść do Sea Catch Café, Giles - ciągnął. - Zresztą nie tylko ty. To najlepszy lokal w mieście.

Giles roześmiał się.

- Nie ma to jak bezinteresowna rekomendacja, no nie? Uwaga skierowana była do matki Billa, ale odpowiedziała na nią Edith Carver.

- Ale bynajmniej nie najpopularniejszy, prawda? - stwierdziła lodowato.

- Tylko dlatego, że pewne małostkowe osoby z powodu dziwnych - i jeśli mogę się tak wyrazić - niechrześcijańskich uprzedzeń nie chcą dać mu szansy - odparował Bill.

- No doprawdy - zaprotestowała Edith Carver. Spojrzała na matkę Billa i nachmurzyła się. - Nawet pomijając brak rozwagi samej Emily Jones - ciągnęła - nie można przejść do porządku nad faktem, że nadal zatrudnia tego okropnego Glovera i...

- To, kogo zatrudnia, nie powinno pani obchodzić - przerwał jej Bill.

Zobaczył, że matka wpatruje się w niego nieruchomym wzrokiem. Jak dotąd udało mu się uniknąć rozmowy na temat pracy Tony'ego Glovera w kawiarni. I na pewno nie zamierzał pozwolić Edith Carver poruszyć dziś tego tematu. - Ani nikogo innego, wliczając w to również mnie - dodał znacząco.

Matka spojrzała w milczeniu na zegar. Wiedział, że sprawia jej zawód, ale nie czuł już dawnej wrogości do Tony'ego

Glovera. Nienawiść, tak, tę czuł nadal do Keitha, ale nie do jego młodszego brata. Obecność Tony'ego należało znosić, a nie cierpieć z jej powodu. Tak sobie postanowił. Emily była ważniejsza. Wiedział jednak, że matka nigdy tego nie zrozumie. Krępującą ciszę przerwał Giles.

- Dziwię się, że wróciłeś - powiedział. - Twoja matka mówiła, że wyszedłeś na całe popołudnie.

- Zapomniałem czegoś - wyjaśnił Bill. - A gdzie Rachel? - zapytał, żeby zmienić temat.

Nie sposób było wyczytać czegokolwiek z twarzy matki, była tak bez wyrazu jak twarz lalki. Rozmyślała o Tonym Gloverze. A jeśli nie o nim, to o jego bracie. Takie myśli wyłączały ją z rzeczywistości, tak jak wyłącza się światło. Wszystko przez tę plotkare, Edith Carver.

- U Anne - odparła w końcu, nadal na niego nie patrząc.

- Jasne - stwierdził. Po czym dodał: - Muszę już iść, Emily czeka na mnie w samochodzie.

Pobiegł na górę, przeskakując po dwa-trzy stopnie na raz, i wpadł do swojej sypialni.

Wyglądała raczej jak biuro kreślarskie niż jak miejsce, gdzie się snuje marzenia i śpi. Tego dnia, kiedy zaprosił Emily Jones na pierwszą randkę, wrócił do domu i przesunął łóżko pod wychodzące na rzekę okno. W miejscu poprzednio przez nie zajmowanym, na środku pokoju, stała teraz deska kreślarska.

Tak jak mu kazała, odgrzebał stare rysunki z uniwersytetu. Mosty, galerie sztuki i domy, które projektował w wolnym czasie podczas studiów, wisiały teraz na wszystkich ścianach pokoju. Kiedyś marzył o tym, żeby po skończeniu nauki zająć się architekturą. I właśnie architektura otaczała go teraz zawsze, kiedy szedł spać.

Do ściany nad łóżkiem przyczepione były dwie fotografie. Jedna przedstawiała Emily - zrobił ją na drugiej randce,

kiedy pojechali do pubu na lunch. Zdjął teraz to zdjęcie i schował do portfela, nagle czując, że musi je mieć blisko siebie. Na drugiej fotografii był pawilon kąpielowy, opuszczony budynek przy plaży, na który w maju zwróciła jego uwagę Emily. Powiedziała wtedy, że to okropne pozwalać umrzeć ambicjom.

Narzędzia kreślarskie spoczywały porządnie ułożone na nocnym stoliku, a na desce przypięty był rysunek, po który tu przyszedł. Pracował nad nim przez ostatnie kilka tygodni. Jeszcze go nie skończył, ale po prostu nie był w stanie dłużej czekać. Pora wydawała się idealna, żeby pokazać go Emily.

Wsadził pod pachę zwinięty rulon papieru i zbiegł na dół. Z każdym krokiem czuł, jak rośnie w nim napięcie.

- Wiesz co? - powiedział, kiedy już znalazł się obok Emily w samochodzie. - Rachel znowu jest u Anne.

To był ich prywatny żart. Rachel miała jakiegoś tajemniczego chłopaka. Zwierzyła się z tego Emily, a Emily powiedziała Billowi. Anne stanowiła tylko pretekst, pod którym wymykała się z domu. Bill bardzo chciał wiedzieć, z kim się spotyka siostra, ale jak na razie Emily powstrzymała go od wtrącania się. Poza tym Rachel i tak nie zdoła utrzymać tej tajemnicy do końca świata, a póki co powinni na nią po prostu bardziej uważać. I ona również powinna uważać na siebie.

- Powiedziała ci, kto to? - spytał.

Emily patrzyła na zwinięty rysunek, który trzymał pod pachą.

- Nie, nie pytałam. I ty też nie powinieneś - ostrzegła. - Dziewczęta w jej wieku lubią trzymać pewne rzeczy w tajemnicy. Sama taka byłam.

- I tylko popatrz, co z tego wynikło - zażartował.



- Dość tych sekretów - stwierdziła, odbierając mu rysunek. - Gdzie teraz jedziemy i co to jest?

Zacząła rozwijać papier.

- Zaczekaj - poprosił, delikatnie dotykając jej ręki.

- Obiecuję, że warto jeszcze chwilę poczekać. - Przynajmniej miał taką nadzieję. I modlił się o to.

Kiedy położyła rulon na kolanach, zapalił silnik i ruszyli główną ulicą w kierunku nadbrzeża.

Potem skręcili w prawo i przejechali przez most Nadbrzeżny do wschodniej części miasteczka, ale zamiast skręcić znów w prawo, w East Street, gdzie mieściła się Sea Catch Café, jak Emily (sądząc z jej zaskoczonego spojrzenia) najwyraźniej oczekiwała, Bill zatrzymał samochód przy pawilonie kąpielowym.

- Co my tu robimy? - spytała.

- Pokażę ci.

Wziął od niej rulon i wysiadł.

Zniszczony budynek miał plan prostokąta, długiego na czterdzieści metrów, a szerokiego na piętnaście. Zbudowano go na początku wieku, żeby przed wyjściem na plażę pruderyjni turyści mogli się w spokoju przebrać w śmieszne bawełniane kostiumy kąpielowe osłaniające ciało od szyi do kolan. W 1933 roku burza zerwała dach i zniszczyła wnętrze, ale już wcześniej budynek zaczął się chylić ku upadkowi. Ludzie przestali odczuwać potrzebę aż takiej prywatności. Stał się niemodny i nigdy nie zebrano dość funduszy na jego remont.

Emily prześlizgnęła się obok zardzewiałej beczki po ropie, która blokowała wejście, i podążyła za Billem do środka.

Przerdzewiałe rury zwisały ze ścian niczym liany, a wśród nich zawodził wiatr - jęczały zupełnie jak belki poszycia statku. Emily wsunęła rękę w dłoń Billa.

- Tu jest taki nastrój, że zaczynam chodzić na palcach

- szepnęła.

- Wkrótce przywykniesz - zapewnił.

Przemknęli pod ociekającymi wodą, przegniłymi krokwiemi, które dzieliły szare niebo na równe kwadraty.

- Coś okropnego - stwierdziła Emily.

Szli dalej, omijając potrzaskane dachówki, potłuczone butelki i sterty gazet, w które niegdyś opakowano ryby z frytkami, zmienione obecnie w papier-mâché. Wkrótce dotarli do korytarza biegnącego wzdłuż szeregu pozbawionych drzwi przebieralni. Tu Bill się zatrzymał.

Puścił rękę Emily, ukląkł na ziemi i rozwinął arkusz papieru, przytrzymując go na rogach kawałkami gruzu. Rysunek przedstawiał projekt przebudowy pawilonu. W pełni dopracowane szczegóły zaznaczone zostały tuszem.

Wiedział, że Emily stoi za nim i zagląda mu przez ramię. Wziął głęboki oddech, by uspokoić napięte nerwy.

- To tylko projekt, nic więcej - stwierdził, nie śmiać obejrzeć się na nią. - Poza tym wiem, że zaciągnięcie kolejnego kredytu to na pierwszy rzut oka głupi pomysł, skoro kawiarnia nie zarabia jeszcze na siebie. Ale to wina pogody. A zła pogoda w końcu minie, prawda? Zawsze mija. Mówił coraz szybciej, bojąc się jej milczenia, bojąc się tego, co może ono oznaczać.

- Ten budynek nie będzie drogi - ciągnął. - Naprawdę. Nawet jeśli uwzględnić wszystkie konieczne prace. Porównałem ceny. Inne kurorty nie są nawet w połowie tak popularne jak Stepmouth, a tam zapłaciłabyś dwa razy tyle za budynek tej wielkości i tak blisko morza i...

W końcu urwał, modląc się, żeby coś powiedziała. Ale milczała. Nadal nie śmiał się odwrócić i spojrzeć na nią. Zamiast tego dźgnął palcem swój projekt.

- Pomyślałem, że moglibyśmy zburzyć ściany w tej części

- powiedział, obejmując gestem całą przestrzeń przebieralni

- a potem podzielić ją od nowa. Moglibyśmy postawić tu ścianę - dodał pośpiesznie, wskazując najpierw na projekt,

a potem na przeciwległą część pomieszczenia - i zrobić tam kuchnię...

- Kuchnie? - w końcu przemówiła Emily.

- Tak, ponieważ w ten sposób nie zabralibyśmy miejsca na froncie budynku i moglibyśmy tam ustawić więcej stolików z widokiem na morze...

- Bill - przerwała mu. Położyła rękę na jego ramieniu, a jej głos brzmiał bardzo stanowczo. - Zwolnij trochę. Poczekaj.

- Ale...

- Czy to znaczy, że chcesz, żebym kupiła ten budynek? O tym mówisz?

- Tak. Nie. - W końcu się odwrócił i spojrzał na nią zakłopotany. Czy nie wyraził tego dostatecznie wyraźnie? - Nie ty. My. Myślałem, że zrozumiesz. Myślałem, że...

Czuł, jak jego zapach stygnie, zupełnie jak rozgrzany meteor, który uderzył o ziemię. Posunął się za daleko. Za szybko. Widział to w jej oczach.

Uklękła przy nim i popatrzyła na projekt, a potem na niego.

- Przepraszam - powiedział. Jego głos był niski, pełen przygnębienia. Zamknął oczy.

- Nie - usłyszał. - Nie przepraszaj. - Zaczęła go całować, pokrywać jego twarz setkami drobnych pocałunków. - Nie przepraszaj. Jesteś cudowny.

## Rozdział XVII

### Majorka, współcześnie

Laurie nic mogła otworzyć oczu. Uczucie, jakie nią owładnęło, było tak inne od wszystkiego, czego w życiu doświadczyła, że musiała sobie kilka razy powtórzyć w myślach, czemu tak się czuje, nim zdołała uwierzyć, że to prawda: Sam Delamere właśnie się z nią kochał.

Leżała niewygodnie na wznak w starej łodzi, wśród rozrzuconych poduszek. Sam pochylał się nad nią, wyciągając jej ręce ponad głowę. Oboje byli spoceni, oddychali szybko w rytmie fal uderzających o wybrzeże.

Powoli otworzyła oczy. Patrzył na nią. Nadal w niej był, ale już się nie poruszał. Czowała się tak, jakby była z nim sklejona, jakby powierzchnia jego nagiego ciała - równocześnie tak dobrze znana i taka obca - stopiła się z jej skórą. Uświadomiła sobie, że obejmuje go nogami, że wbija pięty w jego krzyż. Czowała, jak wali jej serce. Jego rytm wcale nie zwolnił po orgazmie, który przed chwilą wstrząsnął jej ciałem i zmusił do krzyku. Ostrożnie zaczęła sprawdzać, co jeszcze czuje jej ciało. Twarz jej płonęła, usta piekły słodko od szalonych pocałunków, potargane włosy opadły na twarz, a plecy piekły, otarte o dno drewnianej łodzi.

Ten pierwszy, niczym nieuzasadniony pocałunek Sama zadziałał jak iskra, wywołując niekontrolowany wybuch fajerwerków. Czowała się teraz tak, jakby cudem ocalała z tego wybuchu i przyglądała się Samowi poprzez dym.

Jakby czytając w jej myślach, puścił jej ręce i delikatnie odgarnął włosy z jej twarzy. Jego oczy wydawały się ogromne. Wypełniały całe pole widzenia i nie pozwalały myśleć.

Powoli zsunęła nogi z jego pleców. Kiedy z niej wyszedł, odczuła to tak, jakby zostali rozerwani. Usiadła i drżąc, wycofała się w róg łodzi na stos poduszek. On również usiadł, trzymając się burt, jakby potrzebował oparcia. Ich nogi splatały się ze sobą, siedzieli twarzą w twarz, a w gorącym, wilgotnym powietrzu unosił się zapach seksu i szum morza. Jej ciało nadal się trzęsło.

Sam pochylił się i ujął jej ręce, jakby chciał ją wyciągnąć z topieli. A potem ścisnął je tak, jakby to była lina ratunkowa.

- Czy to się naprawdę stało? - spytała, choć bardzo trudno było jej mówić. Miała wyschnięte gardło i nadal ciężko dyszała. - Powiedz mi, że to nieprawda. Że my nie... myślałam...

Co myślała? Nie miała pojęcia. Nie miała nawet pojęcia, czy był to początek czegoś nowego, czy po prostu kontynuacja dawnego związku. Wiedziała tylko, że zdarzyło się naprawdę i że nadal się dzieje. Głowę wypełniły jej setki pytań, żadne na tyle wyraźne, by ubrać je w słowa. Patrzyła na niego i marzyła, żeby znał wszystkie odpowiedzi.

- Nie przyszedłem tu jedynie po to - zapewnił. - Och, Laurie.

Przyciągnął ją do siebie, a ona poczuła, jak jej ciało na powrót z radością stapia się z jego ciałem. W jej głowie goniły się myśli, ale wszystkie prowadziły donikąd. Jakby próbowała pedałować na rowerze, który z ogromną prędkością pędzi ze wzgórze, a pedały nie stawiają żadnego oporu jej stopom.

Czemu tak cudownie czuła się przy nim nago? Dlaczego było to takie naturalne i właściwe? Oboje właśnie zdradzili swoich partnerów. Nie tylko fizycznie, ale również uczuciowo, duchowo, w każdy możliwy sposób i na każdym

poziomie... Pomyślała, że być może nadal unosi się na fali endorfin. Może za chwilę...

Ale nie chciała myśleć o przyszłości. Zamknęła oczy, przyciskając policzek do wilgotnych włosów na piersi Sama, wdychając jego zapach, słuchając bicia jego serca. Liczyło się tylko tu i teraz. Kiedy ponownie znalazła się w jego ramionach, miała wrażenie, jakby wróciła do domu. Sam znów ją całował, raz po raz. Leciutkie pocałunki, które zaczęły się w jej włosach, a następnie przesunęły na twarz. Jego usta badały każde załamanie jej skóry, jakby witały się z jej powiekami, skroniami, nosem, jakby ponownie brały ją w posiadanie.

- Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę - wyszeptała. Popatrzyli na siebie szeroko otwartymi oczyma, uśmiechając się jak idioci.

- No dobrze. Musimy teraz iść się wykąpać - powiedział, a ona roześmiała się, gdy sobie uświadomiła, że oboje spływają potem.

Musiał pomóc jej wyjść z łodzi, bo kiedy wstała, ugięły się pod nią nogi. Poszedł po swoje slipy.

- Och, do diabła z tym - stwierdził nagle i rzucił je z powrotem na podłogę. - Chodź.

Wyciągnął do niej rękę. Wybiegli na zewnątrz, na rozgrzany piasek.

Nadal panował okropny upał, a niemal nieruchome morze rozgrzane było promieniami słońca. Laurie biegła, trzymając Sama za rękę, póki nie znaleźli się w wodzie i równocześnie nie zanurkowali.

Chwycił ją natychmiast, gdy tylko się wynurzyli. Oboje roześmiali się, kiedy ich nogi sięgnęły dna morza.

- To zupełnie jak sen - westchnęła.

Objęła go i scałowała strumyki wody spływające po jego opalonym ramieniu. Teraz dopiero zrozumiała, jak bardzo pragnęła go dotknąć, wtedy, na jachcie - tak nagle zniknęło cierpienie, spowodowane odmawianiem sobie takiego doty-

ku. Miała ochotę krzyknąć z radości, że czuje się taka wyzwolona. Raz po raz całowała jego skórę, jakby próbując zaspokoić jakieś wewnętrzne pragnienie. Wkrótce ponownie oplótła go nogami, a on wziął ją w ramiona. Odsunął ją nieco od siebie, żeby na nią spojrzeć.

- Jesteś przepiękna - stwierdził. - Nigdy ci tego nie mówiłem, ale jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie.

Uśmiechnęła się, wyczytując z jego oczu, że to prawda. Położył palec na jej wargach, żeby nic nie mówiła.

- Kocham cię, Laurie. Byliśmy kiedyś razem. Nie potrafisz żyć, wiedząc, że gdzieś jesteś, ale nie ze mną.

Kiedy dotarły do niej wreszcie słowa, które od tak dawna pragnęła usłyszeć, okazało się, że właściwie nie mają żadnego znaczenia. Były jak pisemne potwierdzenie otrzymania pracy, którą już podjęła. Nie potrzebowała słów, żeby uwierzyć, że ją kocha, wyczuła jego miłość w chwili, kiedy odwróciła się i zobaczyła, że stoi w drzwiach hangaru.

- Ale... ale co z...? - Jej głowę ponownie wypełniły wątpliwości i strach. Szukała ich w jego twarzy. - Przecież masz rodzinę. Claire...

- I James - dodał.

Laurie pokręciła głową. Nie potrafiłaby opisać ogromnej różnicy pomiędzy tym, co czuła do Jamesa, a tym, co czuła teraz.

- Nie chcę Jamesa - szepnęła. - Kocham cię. Nigdy nie przestałam cię kochać. Nawet na chwilę.

Sam oparł czoło o jej czoło.

- Tak jak ja ciebie.

A potem poczuła pod wodą jego wzwód. Kiedy wchodził w nią powoli, fale delikatnie pieściły jej nagą skórę. Miała wrażenie, że jej ciało nic nie waży, a równocześnie była zupełnie przytomna, jakby się właśnie obudziła z bardzo długiego snu, jakby ich rozstanie było tylko jakimś koszmarem sennym. Kiedy kochali się w morzu, cały czas patrzyła mu

w oczy. Wiedziała, że mówił prawdę. Wiedziała, że to najważniejsza chwila w jej życiu, że niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość, ten moment stanowić będzie początek jej nowej drogi.

Dopiero później, kiedy podnieśli pogniecione ubrania z zapiaszczonej podłogi hangaru, Laurie przyszło do głowy, że ktoś mógł ich zobaczyć, że ktoś mógł ich widzieć z morza, ale wcale się tym nie przejęła.

Zacząła się przejmować dopiero, kiedy ruszyli stromą ścieżką do domu. Zamknęła na moment oczy, żeby zatrzymać jeszcze na chwilę czar tego popołudnia, zatrzymać to uczucie całkowitego połączenia z Samem, gdy całowali się i kochali.

Gdy znaleźli się na górze, serce biło jej szybko - nie tylko z wysiłku, jakiego wymagało wejście tutaj, ale i z powodu spóźnionego szoku wywołanego własną lekkomyślnością. Zatrzymała się koło eukaliptusów i odsunęła od Sama. Dante stał na drabinie tyłem do nich, przycinając drzewa. W tym tygodniu widział ją już w willi z Jamesem. Co by sobie pomyślał, gdyby się teraz odwrócił i zobaczył ją z Samem?

Dlaczego nagle zaczęła się martwić, co o niej pomyśli ogrodnik?

Dlaczego nagle obudziło się w niej takie poczucie przyzwoitości?

Przecież było już na to zdecydowanie za późno!

Sam skradł jej szybki pocałunek, jakby chciał przypieczętować ich porozumienie, ale Laurie wyczuła zmianę i w jego zachowaniu.

Zrozumiała nagle, że dzięki zapamiętanie, jakie ogarnęło ich na plaży, tutaj nie miało racji bytu.

Zatrzymała się przy wejściu na taras.

- Co teraz będzie? - spytała.

- Nie patrz tak na mnie - poprosił. - Wyglądasz, jakbyś się bała.



- Bo się boję. Jestem strasznie szczęśliwa i strasznie przerażona.
- Ja też, ale wszystko będzie... - Urwał i popatrzyli na siebie uważnie. - Uda nam się, zobaczysz.

Skinęła głową, zbyt przepelniona uczuciami, by się odezwać. Weszli w milczeniu do domu. Wszystko tu było równie doskonałe jak wtedy, gdy wychodziła stąd rano - nieskazitelna kuchnia, ustawiony na dywanie niski, wypolerowany do połysku stół. A jednak wszystko było inne, jakby ten znajomy salon stał się równocześnie obcy, ale i przepelniony jej uczuciami.

Podeszła do dwóch dużych, obitych na biało sof i spojrzała na oprawioną fotografię Tony'ego wiszącą na ścianie. Uśmiechał się, pokazując złowioną rybę. Odwróciła się plecami do tego wizerunku mężczyzny, którego nie dane jej było poznać, ponieważ miała wrażenie, że zdradziła go w jego własnym domu. A skoro ona tak się czuła, w takim razie jak musiał czuć się Sam?

- Wiesz, że Rachel jutro przyjeżdża? - spytała.
- Zaprosiłaś tatę? - odgadł od razu. - Ale nie powiedziałaś mu, czyj to dom?

Potwierdziła skinieniem głowy, a serce na moment zamarło jej ze strachu na samą myśl o przyjeździe ojca. Co najlepszego zrobiła?

- O Boże. To wszystko całkiem wymyka się spod kontroli.
- Nie możesz przełożyć jego przyjazdu? - spytał.
- A co z Rachel? W końcu jestem jej coś winna, nim... nim...?

Nie mogła sobie nawet wyobrazić nim co. Nim wysadzi świat Rachel w powietrze? Nim zrani swego ojca? Nim zawiedzie zaufanie wszystkich?

- Nie odwracaj się teraz ode mnie, Laurie. Nie po tym, co między nami zaszło.

- Nie odwracam się. Po prostu nie mam pojęcia, co...

- Będziemy musieli im o tym powiedzieć - stwierdził Sam. - Nie możemy po prostu uciec.

- Wiem.

- Może to nawet lepiej, że Rachel tu będzie. Może to będzie właściwsze. Poczekamy, aż wyjaśni swoje sprawy z twoim ojcem, a potem... potem... tak będzie lepiej dla Claire. Nie mogę jej powiedzieć już dziś, bo wydaje jakieś głupie przyjęcie. Powiem jej jutro, kiedy będzie tu Rachel, żeby... Żeby zaprowadzić porządek? - spytała w myślach Laurie. Wzmianka o Claire zaparła jej na moment dech w piersiach. Tyle ludzi było uwikłanych w tę sprawę. Tyle osobom będą musieli sprawić ból. Nagle doszła do wniosku, że to zbyt wygórowana cena. Nie przypuszczała, że egoizm jest o tyle trudniejszy i bardziej bolesny od altruizmu. Czowała się zupełnie tak, jakby podczas przeprawy przez rzekę natrafiła na ruchomy kamień i teraz nie wiedziała, co zrobić: wycofać się czy iść dalej.

- Co teraz będzie? Teraz, w tej chwili? - spytała.

Z jego twarzy mogła wyczytać swój własny strach. Nie chciała, żeby ich popołudnie dobiegło już końca.

- Muszę wracać. Ale tylko na trochę. Muszę załatwić kilka rzeczy, nim... nim... no, nim będę gotów.

Oboje wiedzieli, że będzie musiał porzucić wszystko, na co tak ciężko pracował. Rachel z całą pewnością nie pozwoli mu zostać w firmie, kiedy rozstanie się z Claire.

Odchrząknął.

- I muszę pomyśleć o Archiem. Przeraziła ją nagła niepewność w jego głosie.

- Sam, musisz w nas wierzyć - powiedziała. Podeszedł do niej i bez słowa wziął ją w ramiona. Zupełnie jakby siła jego uścisku mogła ją upewnić, że wierzy. A jednak przez cienki materiał koszuli czuła, że jego serce wali równie mocno jak jej własne.

Sam wysadził ją koło kawiarni na wybrzeżu w Sóller i powiedział, że jutro do niej przyjedzie. Pożegnanie okazało się trudne, zapewne z powodu ogromnego napięcia, jakie wiązało się z najbliższą przyszłością.

Ustalili, że Sam powie

O wszystkim Claire najszybciej, jak się da, a potem od razu przeniesie się do Laurie.

Kiedy bez entuzjazmu ruszyła chodnikiem, wzdłuż którego ciągnęły się kawiarenki pełne wygrzewających się w przedwieczornym słońcu turystów i kelnerów rozkładających papierowe obrusy na kwadratowych stolikach, miała wrażenie, że więź, która łączy ją z Samem, jest elastyczna. Że się rozciąga i napina. Z całych sił zapragnęła zmniejszyć to napięcie

i znowu znaleźć się przy nim.

Po południu, kiedy kochali się w morzu, czuła się taka bezpieczna. Jakby wszystko na świecie nagle znalazło się na swoim miejscu, jakby w końcu pogodziła się sama ze sobą. Czuła się lekka, szczęśliwa i wolna. Ale teraz, kiedy wchodziła do kawiarenki internetowej, przytłoczył ją ciężar tego, co zamierzali. Cały ich plan był taki nieprzemyślany. Żałowała, że nie poświęcili więcej czasu na podjęcie decyzji o przyszłości. Obietnica Sama, że powie Claire

O wszystkim w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, wydała jej się nagle złudna i zupełnie pozbawiona gwarancji.

Kupiła butelkę dietetycznej coli i usiadła w małym boksie. Chłodne, klimatyzowane wnętrze sprawiło, że zadrżała z zimna. Zaczęła żałować, że nie skorzystała z komputera w willi - w końcu Rachel pozwoliła jej go używać. Może jednak słusznie postąpiła, ulegając pierwszemu impulsowi? Może lepiej być teraz na jakimś neutralnym gruncie?

Postanowiła bowiem natychmiast napisać do Jamesa. Miała irracjonalną nadzieję, że jeśli będzie z nim szczerą

i zerwie to, co ich łączy, uczyni pierwszy krok na drodze do urzeczywistnienia swego związku z Samem.

Kiedy zalogowała się do swojej poczty, zaskoczyła ją ilość otrzymanych e-maili. Choć wiedziała, że przyjaciółki są na nią złe za tak długie milczenie, nie mogła się zdobyć, żeby otworzyć chociaż jeden. Owszem, czuła się winna, jednak tyle ją teraz od nich dzieliło. Zmieniło się przecież całe jej życie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mogłaby opisać w e-mailu do Heather czy Roz to, co zaszło na Majorce.

Natomiast musi spróbować opisać to Jamesowi. Otworzyła nową wiadomość i przez długą chwilę wpatrywała się w mrugający na ekranie kursor. Nie ma innego wyjścia. Musi napisać prawdę.

To zdumiewające, że rozstali się zaledwie kilka dni temu. Tak strasznie się zmieszala, kiedy zobaczyła go wtedy koło basenu. A potem, gdy Sam odszedł, poczuła się tak strasznie winna, że miała ochotę kazać Jamesowi natychmiast wyjechać, ale on nie dał jej na to szansy.

Miał całą listę miejsc, które chciał odwiedzić podczas tego krótkiego pobytu na Majorce: bar w Palmie, w którym podawali koktajle wychwalane przez kolegów, restaurację w Pollenę, eleganckie spa w drogim kurorcie Deia, dzień na plaży nudystów...

Doskonale się bawiła, jeżdżąc z nim po wyspie. Od przyjazdu prawie cały czas siedziała w willi Rachel i zupełnie nie znała Majorki. Zwiedzanie w towarzystwie Jamesa było takie bez troskie. Odpowiadał jej ten układ: on chciał wycisnąć jak najwięcej zabawy z każdej spędzonej tu chwili, a ona chciała mieć jak najmniej czasu na myślenie o Samie.

Bezsprzecznie bawiła się świetnie, niewykluczone, że dlatego, iż w ciągu tych trzech dni wypła więcej niż przez cały dotychczasowy pobyt na Majorce. Codziennie szaleli do późna w nocy, a potem wracali do willi taksówką i szli do łóżka. Kochali się kilka razy, ale Laurie była zbyt pijana, żeby się tym przejmować albo analizować swoje uczucia.

Dopiero ostatniego dnia zrobiło się trudniej. O dziesiątej rano robili zakupy na rynku w Inca - na jednym ze straganów kupiła wtedy torbę dojrzałych brzoskwiń. Usiedli potem na rozgrzanych słońcem stopniach starego kościoła i zaczęli jeść owoce.

- Tęskniłem za tobą - oświadczył nagle James. - W Londynie, wiesz. Nie mówiłem ci wcześniej, ale tęskniłem.

- Nieprawda - zaczęła się z nim droczyć.

- Serio. Przysięgam. To strasznie dziwne. Nigdy wcześniej za nikim nie tęskniłem, więc najpierw myślałem, że jestem głodny. No wiesz, bo to takie dziwaczne uczucie w żołądku. Dopiero potem zrozumiałem, że brakuje mi twojej obecności.

Laurie zaczęła się śmiać.

- To dobrze, że tylko tyle. Nie chciałabym, żebyś nagle utył.

- A teraz tęsknię za tobą jeszcze bardziej. Spróbowała obrócić w żart to jego pierwsze wyznanie uczuć.

- Wcale nie. Po prostu spodobały ci się wakacje.

Ale kiedy James nie odpowiedział jej żartem, zajrzała mu w oczy i odkryła, że mówi poważnie. Będzie za nią tęsknił.

Odwróciła się. Przecież nie było mowy o tym, że James się w niej zakocha. James był mężczyzną, który nigdy się nie zakochał, przynajmniej tak twierdzili wszyscy jego kumple. Nagle zrozumiała, że związała się z nim przede wszystkim dlatego - ponieważ wiedziała, że nie będzie to poważny związek. Ponieważ uważała, że James nie jest poważny.

Trącił kolanem jej kolano, przerywając tę pełną napięcia ciszę.

- Wrócę tu - oświadczył.

- Tak?

- Zadzwoń do Rachel i zapytam, czy mogę.

- Dobrana z was para kumpli - stwierdziła i wbiła zęby w brzoskwinie, żeby uniknąć ewentualnych pytań.

- Muszę się zacząć podlizywać twojej rodzinie.

Skurczyła się wewnątrz, nagle strapiona. Miała ochotę go zachęcić, powiedzieć, że będzie czekać na jego powrót, że dla niej też jest ważne, żeby spróbował dogadać się z jej rodziną. Ale coś ją przed tym powstrzymało.

Sam. Znowu Sam. Mimo że wtedy, na jachcie, jasno dali sobie do zrozumienia, iż nic między nimi nie może zająć. Mimo że zostawili przeszłość w spokoju. Sam nie był już dla niej kimś bliskim. Był tylko mężem świeżo poznanej kuzynki i musiała go sobie wreszcie wybić z głowy.

- Dobrze się razem bawiliśmy. Cieszę się, że przyjechałeś - powiedziała lekko.

James milczał przez chwilę. Zdjął okulary od słońca, i zmrużył niebieskozielone oczy.

- Pomyślałem, że... jak wrócisz i będziesz szukała mieszkania, to zawsze możesz wprowadzić się do mnie.

- Chcesz, żebym z tobą zamieszkała?

- Czemu nie? Mieszkaliśmy razem przez trzy dni i było fajnie.

- Czyli to była próba? Przyjechałeś się przekonać, czy będę dobrym współlokatorem?

- Nie. Przyjechałem, bo uważam, że jesteś słodka, i dlatego, że jak ci już mówiłem, tęskniłem za tobą. Nie chcę, żebyś siedziała na tej wyspie tylko z powodu braku mieszkania. Wolę, żebyśmy byli razem.

Tym razem brzoskwinia znieruchomiała w ręku Laurie w połowie drogi do ust. Tego stwierdzenia nie mogła już odparować jakąś żartobliwą uwagą. Obróciła się na stopniu i popatrzyła na Jamesa tak, jakby go widziała po raz pierwszy w życiu. Do tej pory zawsze traktowała go jak chłopca. Celowo nie brała go poważnie, ponieważ był od niej o parę lat młodszy. Ale teraz, kiedy wyznał jej swoje uczucia, zawstydziło ją to, jak niewiele poświęcała im uwagi.

Była taka naiwna. Brak zainteresowania z jej strony okazał się najlepszą taktyką, żeby zwrócić na siebie uwagę Ja-

mesa. Bo był nią poważnie zainteresowany. Na litość boską, przecież to dla niej przyjechał na Majorkę! I przez całe trzy dni zabawiał ją bez chwili przerwy tylko po to, żeby jej udowodnić, że mu na niej zależy. Nagle zrozumiała, że wcale się nie wygłupiał, kiedy kupił jej od Cyganki różę w restauracji. Ani kiedy małpował romantyczną arię na balkonie jednego z barów. Siedząc obok niego na schodkach kościoła, kiedy sok z brzoskwiń spływał im po brodach, zrozumiała, że przeżywa właśnie kolejną z wielu romantycznych chwil, których do tej pory po prostu nie zauważała.

Dosłownie odebrało jej mowę. Poczula się beznadziejnie wywiedziona w pole. Co jest z nią nie tak? James proponował jej stały związek i rozwiązanie wszystkich problemów. Czemu więc nie skakała z radości? Czemu nie była mu wdzięczna? Czemu nie wyrażała zgody? Przecież był spełnieniem jej marzeń! Wszyscy go kochali - i jego przyjaciele, i jej. Więc dlaczego nadal jest tak przywiązana do przeszłości? Chociaż Sam nie dał jej nic prócz bólu?

Weź się w garść, nakazała sobie. Wątpiła, czy zdoła powiedzieć coś właściwego, ale milczenie nie mogło już trwać ani chwili dłużej. Musiała coś powiedzieć, coś zrobić. Przerazona uśmiechnęła się i postanowiła go pocałować. Pochyliła się, po czym przywarła umazanymi brzoskwinia ustami do jego warg.

Ale gdy wrócili do willi, zrobiło się jeszcze gorzej. Kiedy delikatnie ją rozbierał, zrozumiała, że ten pocałunek był błędem. A ten pierwszy od jego przyjazdu seks na trzeźwo uświadomił jej, że James nie podchodzi już do tych spraw tak lekko jak kiedyś.

Potem leżał w milczeniu u jej boku, jakby upajał się tą chwilą. Zmrożona, wpatrywała się w krokiew sufitu i nie mogła się pozbyć wrażenia, że Sam jest tu z nimi i wszystko obserwuje. Spróbowała go sobie wyobrazić w łóżku z Claire, w tym samym łóżku, w którym teraz leżała z Jamesem, ale to tylko pogorszyło sprawę.

James westchnął i chciał ją pocałować, ale odsunęła się i przypomniała mu, że zaraz spóźni się na samolot.

Teraz, siedząc w kawiarence internetowej i patrząc na kursor migoczący na białym ekranie monitora, zrozumiała dokładnie, jak bardzo się oszukiwała. Przez cały czas kochała Sama. Wiedziała o tym od chwili, kiedy wrócili z wyprawy na morze i zobaczyła ich obu równocześnie.

*Kochany Jamesie*, napisała. Westchnęła i przesunęła dłońmi po twarzy, wyobrażając sobie jego uśmiech. Był taki przystojny. I taki odpowiedni. Dla kogoś innego. *Nielatwo mi o tym pisać...*

Później, kiedy wróciła do willi, zaczęła niespokojnie krążyć przy telefonie, czekając, aż Sam zadzwoni. Wyłamywała sobie palce, jakby to one ponosiły winę za c-mail, który wysiała do Jamesa. Opisała w nim całą historię swojego romansu z Samem oraz ich ponowne spotkanie. Była brutalnie szczera, w złudnej nadziei, że siła jej uczuć w jakiś sposób ją usprawiedliwi.

Jednak czekając, aż Sam się odezwie, nie mogła się dłużej oszukiwać ani udawać, że z całej sprawy wyjdzie jako porządna osoba. Powinna od początku być z Jamesem szczerą. Powinna powiedzieć mu prawdę o Samie, gdy tylko przyjechał na Majorkę, zamiast go oszukiwać i łudzić, że wprowadzi się do niego, jak wróci do Londynu. Zrobiła z niego idiotę i potraktowała jak dziecko. Wiedziała, że będzie wściekły, kiedy przeczyta jej e-mail. I będzie miał rację. Skrzywiła się na samą myśl o tym.

Nagle przyszło jej do głowy coś okropnego. A jeśli James zadzwoni do Rachel? A jeśli wpadnie w taką wściekłość, że powie jej o romansie bratanicy z Samem? Wiedziała, że prędzej czy później Rachel będzie musiała się dowiedzieć, ale przecież nie od Jamesa! Sama myśl o tym była nie do zniesienia.



Około dziesiątej wieczorem zaczęła odchodzić od zmysłów. Nie powinna była pozwolić Samowi odejść. Powinna była z nim jechać. Tylko w taki sposób mogła walczyć o ich wspólną przyszłość. Przepęniała ją takie poczucie winy w stosunku do Rachel i własnego ojca, że nie myślała jasno, kiedy Sam oświadczył, że muszą poczekać do jutra.

Przecież czekanie do jutra to cała noc, którą spędzi z rodziną. Masa czasu, żeby sobie uświadomić, jak wielką krzywdę zrobi synowi i żonie. Masa czasu, żeby się znowu poddać.

A jeśli będzie tak samo, jak trzy lata temu? Jeśli ponownie straci odwagę i nie powie nic Claire?

Laurie w panice wykręciła numer Roz.

- Wysłuchaj mnie, nim powiesz cokolwiek - poprosiła, gdy tylko Roz odebrała telefon. Wiedziała, że przyjaciółka wyczuje napięcie w jej głosie. Miała nadzieję, że jeśli natychmiast powie jej, co czuje, nie zostawi czasu na wyrzuty, że od tak dawna nie dawała znaku życia.

- Dobrze - odparła Roz. - Ale co się stało? Masz okropny głos.

- O Boże - zaczęła Laurie, czując, jak dławią ją łzy. - Nie mam pojęcia, co robić!

- Najpierw opowiedz mi, co się stało - poradziła przyjaciółka. - Od samego początku.

Ale pięć minut później, kiedy Laurie opisała swoją sytuację, Roz, zamiast ją pocieszać i uspokajać, czego Laurie tak bardzo potrzebowała, wpadła w furję.

- Ty cholerna idiotko!

- Roz, proszę cię, spróbuj zrozumieć - błagała Laurie. - Ja go kocham.

- Masz pojęcie, jaka jesteś żalosna?

- Ale...

- Raz ci nie wystarczył? Musisz się pakować w to samo po raz drugi?

Przecież to samobójstwo!

- Nieprawda... on też mnie kocha.

- No to gdzie teraz jest? Czemu do mnie dzwonisz, skoro ten Sam jest taki wspaniały?

- Pojechał... do domu. Jest teraz z Claire.

- I mówi jej o was?

- Nie, ona... ona właśnie wydaje przyjęcie.

- Przyjęcie! No oczywiście! - Sarkazm zawarty w tych słowach dotknął Laurie do żywego. - Ty sobie wyrywasz włosy z głowy z rozpaczy, a on się bawi na jakimś pieprzonym przyjęciu! Laurie, jak mogłaś znowu się w to wpakować! Myślałam, że skończyłaś z nim na dobre.

- Ja też tak myślałam.

- Kochanie, a może lepiej wróc do domu? - zaproponowała Roz miękko. - Tu są wszyscy twoi przyjaciele. Tu jest twoje życie. I twoja kariera. Po prostu wyjedź stamtąd.

- Nie mogę. - Laurie nie wspomniała Roz o tym, że jutro przyjeżdża na Majorkę jej ojciec. Ukryła twarz w dłoniach. Im bardziej starała się wszystko wyjaśnić, tym bardziej stawało się zawiłe.

Kiedy się rozłączyła, miała nerwy w strzępach. Doszła do wniosku, że Roz ma rację. Dlaczego miała się czuć w ten sposób? Dlaczego przyjęcie Claire było ważniejsze od faktu, że oboje z Samem właśnie zaczęli budować nowe życie? Dlaczego podał jej taką kulawą wymówkę?

Wyobraziła sobie, jak właśnie w tej chwili, u boku żony, z uśmiechem wita gości. Jakby się nic nie stało.

Kazała mu uwierzyć w ich związek. I sama w niego wierzyła. Zerwała z Jamesem. Z Jamesem, który czuł do niej dużo więcej, niż podejrzewała. Z Jamesem, który był gotów się z nią związać, żyć z nią. Odrzuciła go, zerwała z nim - brutalnie i bezwzględnie - za pośrednictwem e-maila, choć zdaniem Roz nikt nie zasługuje na coś takiego. A już na pewno nie James. A co ze swej strony zrobił dla ich związku Sam?

Zdeterminowana, zadzwoniła na jego komórkę.

- Halo? - odezwała Claire śpiewnie, takim tonem, że od razu wiadomo było, iż Sam nie wspomniał jej ani słowem, co zaszło. Była pijana, a sądząc z odgłosów w tle, przyjęcie trwało w najlepsze.

- Czy jest Sam? - spytała, udając, że nie poznała jej po głosie.

- Laurie, to ty?

- Eee... tak. O, cześć, Claire. - Twarz Laurie wykrzywił grymas. Była beznadziejną aktorką.

- Poczekaj, pójdę po niego. Chowa się w łazience i udaje, że bierze prysznic. - Claire starała się przekrzyczeć hałas. - Uwierzysz? Nie raczył się pojawić na własnym przyjęciu, a teraz ma pretensje, że wszyscy są wkurzeni i nie chcą z nim gadać!

Odgłosy zabawy stawały się coraz bardziej przytłumione. Wkrótce ich miejsce zajął dźwięk lejącej się wody. Sam, zapewne nagi, znajdował się zaledwie kilka metrów od Claire. No tak. Ona tu przeżywa męki, a on po prostu bierze prysznic.

- No, już lepiej - stwierdziła Claire, najwyraźniej mając na myśli poziom hałasu. - Cieszę się, że możemy porozmawiać. Powiedz, czy ten twój wspaniały chłopak jest jeszcze tutaj?

- Nie, nie. Wyjechał - wymamrotała Laurie. Puls walił jej w uszach i czuła, jak jeżą jej się włosy na głowie. Oddychała z trudem.

- Szkoda. Miałam nadzieję, że zjemy we czwórkę obiad. Rachel mówiła, że jest fantastyczny. To ona zaplanowała jego przyjazd, prawda? Strasznie się tym przejęła i denerwowała. Powiedz, było cudownie? Nic dziwnego, że się nie odzywałaś. Nawet chciałam do was jechać, ale udało mi się powstrzymać.

- Byliśmy... zajęci - odparła niemal szeptem, ale Claire nie zwróciła uwagi na jej ton.

- Nie wątpię. - Laurie usłyszała, jak kuzynka zapala papierosa. - Ale nie jesteś zła na mnie za to przyjęcie? Powinam cię była zaprosić...

- Nie, wcale nie. Niepotrzebnie robisz sobie wyrzuty.
- Uch. Sam siedzi tam całe wieki. Potrzebujesz od niego czegoś konkretnego?

Tylko całej reszty jego życia, chciała odpowiedzieć, ale natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Po policzkach zaczęły jej płynąć gorące, ciche łzy.

- Och, niezupełnie, nie chcę mu przeszkadzać. Jest późno, jesteście zajęci... tak w środku przyjęcia...

- No dalej... co się stało?

Co się stało? Claire nawet nie podejrzewała rozmiarów tego, co się stało!

- Chodzi o bramę wjazdową - skłamała. Nie była w stanie wymyślić nic lepszego. Wszystkie siły potrzebne jej były do zapanowania nad głosem. - Nie chce się otwierać. Zastanawiałam się... może Sam ma numer do Fabia?

- Och, daj spokój. Nie będziemy dzwonić do Fabia o tej porze. Dam ci Sama do telefonu.

- Nie, nie, na pewno jest zajęty... to może poczekać... Ale było już za późno.

- Kochanie? - usłyszała głos Claire, która najwyraźniej pukała do drzwi łazienki.

Kochanie. Laurie słyszała w tle szum prysznica. Wyobraziła sobie, jak Sam zmywa ze skóry jej zapach, i poczuła, że robi jej się niedobrze.

- Nie odpowiada. Pewnie myśli, że ktoś się dobija do łazienki, żeby się tam rznąć. Powiem mu, że dzwoniłaś. Nie martw się o bramę, na pewno ktoś ją rano naprawi. A teraz muszę zmykać, goście czekają.

I rozłączyła się. A Laurie wyłączyła komórkę i z okrzykiem wściekłości cisnęła nią o ścianę.

## Rozdział XVIII

Stepmouth, sierpień 1953

Nawet w takim dniu jak dzisiaj, kiedy deszcz dudnił o szybę witryny, pozostawiając na szkle wściekle, ukośne linie, Emily Jones wydawała się rozpromieniona i radosna jak letni poranek. Rachel stała za ladą w ciemnym kącie sklepu, układając na stos żółte ściereczki do kurzu, ale cała jej uwaga skoncentrowana była na nowej właścicielce Sea Catch Cafe, wyglądającej w ponurym sklepie jak jaskrawy, roztrzepotany motyl.

Zawsze kiedy widziała Emily, czuła dziwną mieszankę zazdrości, dumy i tęsknoty, a dzisiejszy dzień nie był wyjątkiem. Bo Emily miała w sobie coś niepowtarzalnego i choć wróciła do Stepmouth już kilka miesięcy temu, zdołała nadal zachować swój nowoczesny styl. W miasteczku nie było dziewczyny, która nie chciałaby wyglądać dokładnie tak jak ona. Dziś miała na sobie pilśniowy kapelusz, zawadiacko wciśnięty na blond loki, i płaszcz w kropki, takie same jak na parasolce. Jej szyję otulała jedwabna apaszka w goździki, policzki pokrywał lekki róż, a woń jej perfum dominowała nad zatechłą atmosferą sklepu, zagłuszając nawet zapach pasty do butów stojącej w pudełku obok Rachel. Zupełnie jakby wszędzie odciskała swą osobowość i zmuszała wszystkich do radości. Nic dziwnego, że Bill ślinił się do niej jak szczeniak na widok kości.

Rachel obserwowała, jak Emily z uśmiechem przesuwa dużą metalową puszkę z ciastem własnej roboty w stronę pani Vale.

- Nie musisz tu za każdym razem przynosić ciasta - protestowała matka Rachel, a jej ton był równocześnie pełen dezaprobaty i wymuszonej wdzięczności. - Już ci mówiłam, mogę sama coś upiec, jak będziemy chcieli sobie dogodzić...

- Ale ja od rana głowiłam się, kto może mi pomóc - przerwała jej Emily. - I nagle przyszło mi na myśl, że przecież taka mądra kobieta jak pani na pewno nie lubi, jak jedzenie się marnuje. Widzi pani, przy takiej pogodzie prawie nikt nie przychodzi na herbatę i moje ciasto ląduje w koszu. A to jest z kremem...

- I z czekoladą! - wykrzyknęła matka Rachel, unosząc wieczko puszki i zaglądnąjąc do środka. Zabrzmiało to tak, jakby ciasto posypane zostało trutką na szczury.

- Pani Vale, czy warto żyć, jeśli człowiek nie zrobi sobie czasem jakiejś drobnej przyjemności?

- Zapłacę ci za nie.

- Nie, nie, to prezent. A jeśli nie chce go pani zjeść, proszę przynajmniej spróbować je sprzedać. Możemy się potem podzielić zyskiem. My, kobiety interesu, powinnyśmy przecież trzymać się razem.

Emily mrugnęła do Rachel, która musiała ukryć uśmiech. Taktyka polegająca na okazywaniu pani Vale niepohamowanego entuzjazmu, zaczęła w końcu odnosić skutek. Emily zabiegała o nią bez chwili przerwy. Regularnie pojawiała się w sklepie z drobnymi upominkami, nigdy nie tracąc okazji, żeby podkreślić łączące ją z matką Billa i Rachel podobieństwa.

Szczerze mówiąc, Rachel nie знаła nikogo, kto stanowiłby większe przeciwieństwo jej matki. Ale Emily prowadziła mądrą grę, okraszając każdą rozmowę grzecznymi i pełnymi szacunku komplementami, które matka przyjmowała gład-

ko, zupełnie nie zauważając, że młodsza kobieta jej się podlizuje. W wyniku tych starań Laurel Vale ostatnio zmieniła nieco zdanie o ukochanej swojego syna, przynajmniej o tyle, że uznała jej istnienie.

- Przyjmę je jeszcze tym razem, żeby ci pomóc, ale żadnych prezentów więcej - ostrzegła teraz, lecz w jej oczach czaił się uśmiech.

- Jestem pani taka wdzięczna - odparła Emily, kiedy pani Vale postawiła sobie puszkę na kolanach i wyjechała na wózku ze sklepu, żeby ją zawieźć do kuchni.

- Zaczynasz zbierać punkty - stwierdziła Rachel, przechodząc za ladą i stając naprzeciw Emily.

Ta patrzyła nadal za matką Rachel.

- Jeszcze zmuszę tę starą wiedźmę, żeby mnie polubiła

- mruknęła do siebie. - O Boże! Słuchaj. Ja nie chciałam... twoja matka nie jest...

Rachel zachichotała. Emily była taka normalna, a to, że zawsze mówiła, co myśli, działało niewiarygodnie odświeżająco.

- Nie waż się powtórzyć bratu, że tak powiedziałam

- ostrzegła Emily z uśmiechem.

- Nie powiem. Poza tym i tak go nie ma.

- Wiem. Przyszłam do ciebie.

- Do mnie? - zdziwiła się Rachel, której to pochlebiło, ale w tym momencie zadźwięczał dzwonek u drzwi i do sklepu weszło dwoje dzieci. Emily cofnęła się, czekając, aż Rachel je obsłuży. Dzieci zamierzały kupić lukrecję i sprzeczały się o drobniki, podchodząc z ociąganiem do lady. Normalnie Rachel poczekałaby cierpliwie, a może nawet poczęstowałaby je cukierkiem za plecami matki, ale dziś nie była w nastroju. Chciała, żeby sobie poszły, żeby mogła porozmawiać z Emily w cztery oczy.

Kiedy dzieci zamknęły za sobą drzwi sklepu, ponownie uruchamiając dzwonek, Emily z powrotem podeszła do lady.

- Więc? - spytała Rachel.

Emily odetchnęła głęboko, nim się odezwała.

- Rachel, to takie trudne - powiedziała pełnym napięcia szeptem.

- Co? - zdenerwowała się Rachel. Nie potrafiła sobie wyobrazić rzeczy, która byłaby trudna dla Emily.

- Chodzi o to, że... że musisz powiedzieć Billowi o Tonym. Rachel poczuła, jak płoną jej policzki. Zupełnie się tego nie spodziewała. Spojrzała nerwowo na drzwi. Emily, wyczuwając jej strach, wyciągnęła rękę i dotknęła jej dłoni. Miała paznokcie pomalowane na jaskrawoczerwony kolor.

- Nie możesz tego dłużej ukrywać przed Billem. Nie chcę mu o tym sama powiedzieć, ale w końcu będę musiała...

Rachel pochyliła głowę i zajrzała w jej łagodne oczy.

- Proszę, nie. Och, Emily, nie...

- Zrozum, ta sytuacja robi się dla mnie zbyt trudna. Nie kłamię Billowi wprost, ale i nie mówię mu całej prawdy. Przecież zasługuje na to, żeby wiedzieć. Czuję się okropnie, że go oszukuję. A tylko ty możesz mu o wszystkim powiedzieć.

- Wiesz dobrze, że nie mogę. On się wścieknie, jak się dowie.

- Zaufaj mi. Bill się zmienił. Może i trochę się wścieknie, ale nie aż tak, jak myślisz. To twój brat. Przecież nie przestanie się do ciebie odzywać do końca życia.

Emily uśmiechnęła się, ale Rachel nie odwzajemniła tego uśmiechu.

Poczuła się opuszczona. Dotąd sądziła, że szefowa Tony'ego rozumie ich sytuację, ale nagle pojęła, że ona chce być teraz lojalna w stosunku do Billa. Że tylko Bill ma obecnie prawo do jej lojalności. I że dlatego nie stoi już po stronie jej i Tony'ego.

Zapadła się w sobie. Emily nie znała jej brata tak dobrze jak ona.

Widziała tylko miłego, romantycznego Billa, który cały czas starał się zrobić na niej wrażenie. Billa, który ją czcił, jakby była boginią. Nie miała pojęcia, jaki jest napraw-



dę. Nie miała pojęcia, że gdyby się dowiedział o Rachel i Tonym i o ich planach na przyszłość, zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żeby im przeszkodzić. Emily westchnęła.

- Wiem, że to wydaje się bardzo trudne, ale przemyśl, co powiedziałam, tylko o to cię proszę. A teraz muszę już iść.

Kiedy zniknęła w deszczu, Rachel ogarnęły wątpliwości. Może jednak Emily ma rację? - zastanawiała się, składając ścierki do naczyń. Może Bill się zmienił? Może zrozumiał, że Tony nie ma nic wspólnego z Keithem? I dzięki Emily nauczył się wreszcie wybaczać?

Poczuła iskierkę nieśmiałej nadziei, ale w tym samym momencie w drzwiach na zaplecze pojawiła się matka. I wtedy wszelka nadzieja Rachel zgasła. Nie wolno ufać Billowi. Jeśli dowie się o Tonym, powie matce, a wtedy ona, Rachel, na pewno nie znajdzie w tym domu zrozumienia.

Matka Pearl pochodziła z bogatej rodziny, choć wyszła za mąż za doktora Glaistera i przeniosła się do Stepmouth. Glaisterowie mieszkali w wiktoriańskim domu nad samym brzegiem morza - znajdujący się na jego tyłach ogród kończył się w zasadzie na plaży. Przychodnia, która zajmowała parter budynku, była ponura i surowa; na łuszczących się ścianach w kolorze musztardy wisiały podarte rysunki szkieletów i reklamy lekarstw. Podobnie jak całe miasteczko, Rachel doskonale знаła stojące tu drewniane ławki i zapach środków odkażających wypływający zza rozsuwanych drzwi gabinetu o intrygująco matowych szybach.

Ale w przeciwieństwie do większości mieszkańców miasteczka Rachel znała również ekstrawaganckie gusta matki Pearl, której królestwo rozciągało się na górze. Nikt by się ich nie spodziewał, patrząc na tę zimną poczekalnię. Staromodny żyrandol, pamiątka rodzinna, zwieszał się z wysokiego sufitu

nad podestem schodów, wszędzie pełno było ozdóbek i bibelotów, a w każdym oknie z lambrekinów zwisały kwieciste zasłony.

Okna dużej sypialni Pearl wychodziły na przystań, skąd dobiegał stały warkot łodzi rybackich, ale pomimo bliskości morza ten pokój zawsze wydawał się ciepły i przytulny. Rachel bawiła się tu od dziecka i знаła imiona wszystkich lalek i misiów usadzonych rzędem na półkach na książki.

Tego wieczoru, gdy stała za plecami siedzącej przy toalecie Pearl, znajome otoczenie nappełniło ją poczuciem bezpieczeństwa, którego ostatnio w ogóle nie czuła we własnym domu. Przyjaciółki patrzyły na swoje odbicia w lustrze. Pearl miała na sobie pikowany jasny szlafrok, a na głowie nowe, różowe wałki, które kupiła w rozpaczliwej nadziei przydania nieco życia swym cienkim prostym blond włosom. Rachel zakręciła ich pasma tak mocno, że blada skóra Pearl napięła się na policzkach i czole.

- Emily wspominała, że dostanie nowe żurnale z Ameryki - oznajmiła, wiedząc, że zrobi to wrażenie na Pearl. Zdążyła już zdać relację ze wszystkich szczegółów dzisiejszego stroju właścicielki Sea Catch Cafe. - Może będziemy mogły zamówić jakieś nowe wykroje? W każdym razie zapytam.

- Tak? A poprosisz i w moim imieniu?

Rachel kiwnęła głową i ponownie skupiła się na fryzurze Pearl, zadowolona, że znalazła sposób, by zrobić przyjaciółce przyjemność. Czuła się taka winna, że przez tyle czasu trzyma Tony'ego w tajemnicy przed nią. Tak tęskniła za bliskością, jaką kiedyś czuły. Kiedy ponownie zapadło milczenie, zebrała całą odwagę, żeby poradzić się przyjaciółki w sprawie, która dręczyła ją od wielu dni.

- Wiesz, jest taka dziewczyna - zaczęła, nawijając na wałek jej włosy z tyłu głowy. Pearl nuciła cicho, bawiąc się wielkim puszką do pudru. - Czasami przychodzi do nas

do sklepu. Nie mieszka tutaj, ale jest chyba w naszym wieku. Może nawet młodsza. W każdym razie, pewnego dnia przyszła i wyglądała okropnie. Ktoś mi powiedział, że pewnie, no wiesz... że zaskoczyła.

Rachel zdołała powiedzieć to z dostatecznym przerażeniem, by zwrócić uwagę Pearl. Przyjaciółka popatrzyła na nią w lustrze. Na policzku miała plamę białego pudru, jakby ktoś wcelował w nią śnieżką.

- Jest w ciąży? - wykrzyknęła. - W naszym wieku? To okropne. Z całą pewnością nie może być stąd!

- Nie, nie, to nie jest taka dziewczyna, jak myślisz. Pochodzi z dobrej rodziny, zupełnie jak my. Ale na pewno nie jest ani zameżna, ani nawet zaręczona. To okropne, prawda? Ja bym nawet nie wiedziała, że jestem w ciąży, a ty? No wiesz, gdybyśmy to zrobiły. Chociaż oczywiście wcale tego nie zrobiliśmy - dodała szybko. - No, ale zakładając, że coś takiego miało miejsce, to skąd byś wiedziała, że jesteś na pewno w... w ciąży?

- Nie miałabym okresu, a potem rano pojawiłyby się mdłości. Tata tak mówi.

- A co byś zrobiła na jej miejscu? Tak w teorii?

- Ja? Zabiłabym się, na pewno - odparła Pearl. - Możesz sobie wyobrazić, co by powiedzieli moi rodzice? Prędzej bym umarła, niż się im przyznała. Rachel uśmiechnęła się nerwowo. Znała rodziców Pearl od dziecka i mogła sobie wyobrazić, co mieliby do powiedzenia na ten temat. Z całą pewnością nie byłoby to nic przyjemnego ani dodającego otuchy.

- Gdyby coś takiego mi się przydarzyło, musiałabym stąd wyjechać - ciągnęła Pearl, zapalając się do tematu. - No bo wszyscy by się przecież dowiedzieli, no nie? Tego się nie da ukryć. Moi rodzice strasznie by się wstydzili, bo w całym mieście ludzie szepotaliby za ich plecami.

- A gdybyś wyszła za mąż?

- Zastanów się, kto się z tobą ożeni, jak już masz dziecko?
- Ten, kto ci je zrobi? - odważyła się zasugerować Rachel.
- No coś ty? Przecież nie mogłabyś do niego pójść, jakbyś już była w ciąży! To by nie miało sensu. Żaden mężczyzna, szczególnie porządny, nie ożeni się z dziewczyną, która spała z nim przed ślubem!

Rachel nie odpowiedziała. Tyle czasu umierała z ochoty, żeby powiedzieć Pearl o Tonym i parę razy omal jej się coś nie wyrwało. Ale dopiero teraz pojęła, co ją tak naprawdę powstrzymało przed zwierzeniami. Pearl by nie zrozumiała. Pod tym względem była taka sama jak Anne.

- Koło bazy wojskowej mieszkała kiedyś dziewczyna, która parę lat temu zaskoczyła - zaczęła opowiadać Pearl, opierając łokcie na toalecie. - Pamiętam, jak tata ją tu kiedyś przywiózł w nocy. Tylko nikomu nie mów. To tajemnica.

- A co się stało?

- Próbowwała sama pozbyć się dziecka.

- Coś takiego jest możliwe?

- Wyobraź sobie, że próbowała to zrobić drucianym wieszakiem na ubrania!

Rachel poczuła, że robi jej się niedobrze.

- Była w strasznym stanie, wszędzie pełno krwi. Zakrwawiła nam całą podłogę w kuchni. Słyszałam potem, jak tata mówił mamie, że ta dziewczyna chciała jechać do doktora w Exeter, żeby usunąć ciążę. Ale podobno to nie są prawdziwi lekarze, tylko szarlatani, i prędzej cię zabiją, niż ci pomogą.

- Och - wyrwało się Rachel. Nie spodziewała się, że Pearl będzie taka chętna do rozmowy i że dostarczy jej tylu drastycznych szczegółów.

- Tylko pomyśl - ciągnęła Pearl. - W takim przypadku albo trzeba się zabić, albo na zawsze stąd wyjechać. Szczególnie jeśli się nikogo nie ma.

Rachel w milczeniu pokiwała głową. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Ale gdybyś nie miała pieniędzy... - zapytała w końcu ostrożnie - ... gdybyś nie znała nikogo poza miasteczkiem... i gdybyś nie miała rodziny, do której mogłabyś wyjechać?

Pearl wzięła z toaletki magazyn i zaczęła go przeglądać.

- To wtedy pewnie umarłabyś z głodu albo skończyła jako prostytutka w jakimś wielkim mieście. Jak sądzisz, powinnam utlenić włosy? Albo zrobić się na rudo jak ty? Myślisz, że do twarzy mi będzie we fryzurze Emily?

Tej nocy deszcz wali! nieprzerwanie w świetlik pokoju Rachel. Był to tak rytmiczny i uspokajający dźwięk, że normalnie zasnęłaby w kilka minut, ale kiedy na dworze zaczęła się już szarówka, nadal czuwała, obserwując cienie gałęzi starego dębu przesuwające się po suficie.

Tęskniła za Tonym. Dziesiątki razy zaczynała do niego pisać, ale za każdym razem darła list. Myślała o nim, martwiła się, czy nie moknie i czy jest bezpieczny. Wyobraziła go sobie w łóżku, w szopie dziadka, właśnie teraz, w tej chwili, przy płonącym w piecu ogniu. To było takie niesprawiedliwe. Tony zasługiwał na coś więcej.

Gdyby tylko istniał jakiś sposób na to, żeby mogli być razem. Ale im dłużej myślała o rozmowie z Emily, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że traci właśnie bezpowrotnie ostatnią szansę na wspólną przyszłość.

Takie życie w tajemnicy było dla niej prawdziwą torturą. Czuła, jak oplata ją sieć kłamstw, tak gęsta, że niemal z nikim nie rozmawiała, bojąc się w nią zaplątać. Tylko Tony by to zrozumiał, pomyślała. Ale paradoksalnie jego zrozumienie przerażało ją najbardziej. Bo gdyby się z nim zobaczyła i porozmawiała, na pewno zauważyłby, że coś jest nie w porządku.

A przecież było nie w porządku. Bardzo, bardzo nie w porządku. Kiedy tylko zaczynała o tym myśleć, czuła się, jakby zanurzała stopę we wrzącej wodzie. Miała nadzieję, że pomoże jej rozmowa z Pearl, ale zyskała jedynie pewność, że wszystkie objawy, jakie u siebie zauważyła, świadczą o jednym. I nie mogła się już dłużej okłamywać.

Dlatego patrząc w sufit i otulając się po szyję kocem i chłodnym prześcieradłem, wreszcie dopuściła do siebie prawdę. Była w ciąży. Z Tonym. Czuła to całą sobą, jakby jakiś pasożyt wysysał z niej całą siłę. Zaczęła cichutko płakać. A jeśli Pearl ma rację? Jeśli Tony ją oszukał? Jeśli obiecał, że się z nią ożeni tylko po to, żeby zaciągnąć ją do łóżka? Jeśli to samo obiecał przed nią wielu innym dziewczynom? Ale przecież ją kochał! Była tego pewna. Sam ją o tym zapewniał. I chciał z nią być na zawsze!

Choć z całych sił starała się sobie wyobrazić, że Tony trzyma ją w ramionach, wiedziała, że wszystko uległo już zmianie. Co będzie, jeśli powie mu o dziecku, a on ją za to znienawidzi? Przecież na pewno nie chce mieć dziecka już teraz, prawda? W jego wieku... ma jeszcze przed sobą całą przyszłość. Jest młody, ma perspektywy. Co będzie, jeśli powie mu o dziecku, a on dojdzie do wniosku, że obrabowała go z tej przyszłości?

Musiałabyś się zabić, no nie? Pearl tak powiedziała. Z zimnym przerażeniem Rachel usiadła w pościeli i sięgnęła po stojący pod łóżkiem nocnik. Musi już świtać, pomyślała, wiedząc aż nadto dobrze, że poranne mdłości nieprędko miną.

Nagle usłyszała charakterystyczny trzask drzwi na dole. To Bill wreszcie wrócił do domu. Jęknęła cicho. Wiedziała, że dokładnie pod nią brat próbuje zakraść się do łóżka, nie budząc matki. I że spędził całą noc u Emily. Mogła sobie z łatwością wyobrazić rozmarzony wyraz jego twarzy. Nienawidziła go za to.

To niesprawiedliwe, pomyślała, cicho wymiotując do nocnika. Dlaczego Bill mógł wracać, o której chciał, choć wszyscy doskonale wiedzieli, co robi z Emily, a ona tkwi tu uwięziona i całkiem sama?

Godzinę później nadal była niespokojna. Zakradła się na dół, żeby opróżnić nocnik w wychodku na podwórku, nim zapach wymiocin dotrze do Billa czy matki. Potem zanurzyła palce w słoiku z proszkiem do mycia zębów i rozsmarowała go sobie na języku. Omal znowu nie zwymiotowała, ale był to jedyny sposób, by ukryć charakterystyczny zapach przed rodziną.

Bill wstał pierwszy. Pogwizdując, golił się nad zlewem w kuchni, a spuszczone szelki zwisały luźno z jego spodni. W ogóle nie wydawał się zmęczony, choć wiedziała dobrze, że spał zaledwie parę godzin.

Natomiast ona czuła się okropnie wyczerpana, gdy smażyła jajka na bekonie, walcząc z mdłościami. Kiedy usiedli do śniadania, zauważyła, że matka i Bill wymieniają zaniepokojone spojrzenia.

- Czy ty się dobrze czujesz, Rachel? - spytał Bill. - Jesteś strasznie blada.  
- Nic mi nie jest - odparła, ale nie śmiała na niego spojrzeć. Wzięła do ust kęs chleba. - Włączysz prognozę pogody? - Wskazała głową radio. -  
Deszcz pada coraz mocniej.

Najwyraźniej udało jej się odwrócić ich uwagę. Jednak z trudem zmusiła się do wyrażenia Billowi wdzięczności, kiedy bez słowa protestu zgodził się wziąć kolejną zmianę w sklepie, choć oczekiwał od niej przecież, że po zdaniu egzaminów będzie pracować więcej. To nie było sprawiedliwe, ale nie miała dość energii, by protestować.

Kiedy matka wyjechała za nim na wózku na korytarz, Rachel natychmiast wykorzystała okazję. Bezszelestnie podbiegła do zlewu i zwymiotowała śniadanie.

Szybko odkręciła kran, żeby spłukać dowody winy - silny strumień wody zadudnił wściekle o dno zlewu. Kiedy

popychała resztki jedzenia w kierunku odpływu, wyrwał jej się cichy jęk.

- Rachel?

Rachel oparła się o zlew i spojrzała na rysującą się w progu sylwetkę matki. Z rosnącym przerażeniem obserwowała, jak pani Vale w milczeniu zamyka drzwi, a potem sięga po przyczepiony do paska pęk kluczy i przekręca jeden z nich w zamku.

- Co robisz, mamó?

- Wymiotowałaś, prawda? - matka podjechała bliżej. Rachel cofnęła się przed nią i przywarła plecami do zlewu.

- Nie.

- Nie kłam.

Rachel patrzyła na swoje stopy, walcząc z mdłościami i strachem, jaki obudził w niej ten ton głosu.

- Obserwowałam cię - oświadczyła pani Vale.

Rachel odwróciła się do niej tyłem i zaczęła udawać, że zmywa. Ale kiedy matka odezwała się znowu, zamarła.

- Ja wiem, Rachel.

- Co wiesz? - Rachel oparła się o brzeg zlewu. Ledwie mogła mówić.

- Wiem, co ci jest.

Rachel poczuła, jak oczy wypełniają jej się łzami. Nie, powiedziała sobie. Nie wolno jej płakać. Nie przy matce. Bo jeśli się rozpłacze, tamta zyska pewność. Ale tkwiąca w niej nadal mała dziewczynka okazała się zbyt silna. Tak bardzo potrzebowała matczynego zrozumienia. I jej uścisku. I zapewnienia, że wszystko będzie dobrze.

- Spójrz na mnie! - warknęła pani Vale. Rachel zaczęła się trząść. - Spójrz na mnie!

Choć była przekonana, że niejedno potrafi ukryć przed swoją rodzicielką, zrozumiała, że tym razem poniosła klęskę. Najwyraźniej jej tajemnica się wydała. Kiedy się odwróciła w stronę matki, ta gwałtownie wciągnęła powietrze.



Nawet gdyby Rachel pozostało dość energii na walkę, nie było sensu dalej udawać.

- To nie tak, jak myślisz - wyjąkała.

- Jesteś w ciąży - syknęła pani Vale. - Każdy idiota to zauważy. Myślałaś, że cię nie słyszałam dziś rano? I wczoraj? I przedwczoraj? Myślisz, że jestem głupia? Że nie wiem, co się dzieje z moją własną córką?

Rachel czuła, jak po policzkach płyną jej łzy. Tak bardzo chciała, żeby matka ją zrozumiała, a tymczasem okazało się, że od dawna obserwowała jej cierpienia i wcale nie czuła dla niej współczucia, tylko pogardę. Ta myśl wywołała w niej jeszcze większą rozpacz.

Matka podjechała do niej bliżej.

- Kto ci to zrobił? Powiedz. Natychmiast mi powiedz.

- Nie mogę.

Pani Vale pociągnęła ją za rękę tak gwałtownie, że Rachel upadła na kolana obok wózka, wydając okrzyk bólu. Ich twarze znalazły się obok siebie. Rachel miała wrażenie, że matka zaraz ją uderzy, najwyraźniej jednak powstrzymała się w ostatniej chwili i westchnęła tylko głęboko.

Widać było, jak walczy, żeby odzyskać panowanie nad sobą. A opanowawszy się, odmówiła szeptem króciutką modlitwę.

Zapadła cisza. Rachel otarła łzy, przygotowując się na kolejny atak gniewu. Ale rodzicielka odgarnęła jej tylko delikatnie włosy z twarzy.

- Moja dziecinko. Nie powinnam na ciebie krzyczeć. Przepraszam.

Przepraszam - westchnęła i pogładziła ją po policzku. Rachel poczuła, jak coś w niej pęka. A więc jednak ją kocha. I rozumie.

- Och, mamó. Tak się boję.

- Czy on cię zmusił? - spytała pani Vale.

- Kto?

- Ten, kto ci to zrobił.

Rachel zeszywniała.

- To nie było tak, jak myślisz. Kocham go.

- Kochasz! - Współczujący ton nagle gdzieś zniknął. - A co ty wiesz o miłości?

- Dużo - odparła krótko, czując, że wracają jej siły. - Tony i ja...

Urwała, uświadomiwszy sobie, że zdradziła jego imię. Zobaczyła, jak w oczach matki wzbiera wściekłość, jakiej nigdy wcześniej nie widziała.

Chciała mówić dalej, powiedzieć całą prawdę, ale stchórzyła.

- Tony? Mówisz o Gloverze? Chcesz powiedzieć, że... chcesz powiedzieć, że to on ci to zrobił?

Rachel, która dotąd posłusznie klęczała, przesunęła się w tył, żeby wstać.

- Nie zrobił tego specjalnie. To nie jego wina. Zrobiliśmy to wspólnie.

Kochamy się.

Matka uderzyła ją nagle w twarz z taką siłą, że Rachel, która właśnie się podnosiła, straciła równowagę, upadła w tył na piec i uderzyła się mocno w ramię. Po czym wtuliła się w zimne, metalowe drzwiczki, zbyt

zszokowana, by uciekać. Nigdy wcześniej nikt jej nie uderzył. Z rozciętej, boleśnie pulsującej wargi kapłała na podłogę krew.

- Pozbędziesz się go - pani Vale nie krzyczała, ale to, co mówiła, brzmiało jak wyrok śmierci.

- Nie!

- Nie urodzisz tego dziecka. Rozumiesz?

- Nie, mamó, nie! Pobierzemy się i...

- Po moim trupie - wysyczała matka. Potem pochyliła się głęboko do przodu i złapała Rachel za ramię. Jej palce wbiły się w ciało córki. - Jak mogłaś zrobić coś takiego? Jak mogłaś to zrobić ojcu i mnie? Naszej rodzinie?

- Przepraszam! - Rachel szlochała tak głośno, chroniąc twarz przed spodziewanymi uderzeniami, że prawie nie zwróciła uwagi na bolesny jęk rodzicielki.

Nie wiedziała, ile czasu trwało milczenie. Kiedy wreszcie podniosła wzrok, zobaczyła, że pani Vale płacze. Ale kiedy ich oczy się spotkały, Rachel nagle zrobiła się czujna.

- Nie wolno ci nikomu o tym mówić. Ani Billowi, ani temu łobuzowi. To będzie nasza tajemnica, rozumiesz? - Kiedy Rachel złapała sens tej wypowiedzi, poczuła, jak coś się w niej kurczy. - Nikt się nigdy nie dowie. Pozbędziemy się go. Wszystko załatwię.

- Mamo, nie. Proszę, nie.

Próbowała się wyrwać, a jej rozpacz przeszła teraz w zimny strach. Ale matka najwyraźniej jej nie słyszała. Natomiast ujęła jej głowę w dłonie jak w imadło i przycisnęła do swego kolana.

- Moja dziewczynka. No już, cicho. Moja maleńka. To nie twoja wina. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Kiedy tylko matka zostawiła ją samą i pojechała otworzyć sklep, Rachel rzuciła się do ucieczki tylnym wyjściem. Myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej dostać się do Tony'ego. Nie zabrała nawet płaszcza, tylko wybiegła na oślep, w deszcz.

Kiedy dotarła na miejsce, Tony usuwał właśnie wodę z cementowych płyt przed szopą dziadka. Bez tchu padła mu na szyję. Mokre ubranie przylegało do jej ciała, a zęby szczękały z zimna.

- Co się stało? - zapytał przerażony, łapiąc ją za ramiona. Zajrzał jej w twarz i ostrożnie dotknął rozciętej wargi. - Kto cię uderzył?

- Dowiedziała się - wyszlochała Rachel. - Dowiedziała się!

- Kto? Kto się dowiedział?

- Moja mama! - Na wspomnienie tego, jak matka ją uderzyła, Rachel znów wybuchnęła płaczem. - Nienawidzę jej! Boże, jak strasznie jej nienawidzę! Chciałabym, żeby umarła!

- Dowiedziała się o nas? Jak? Kto jej powiedział?

Rachel otarła Izy. Musi być dzielna. Bo przecież tylko Tony mógł ją zrozumieć. Był jej ostatnią szansą. O Boże. A jeśli ją teraz porzuci? A jeśli jej nie zechce? A jeśli nie będzie chciał... co wtedy?

Czuła, jak jego ręce zaciskają się na jej ramionach, i zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy. Nie miała dokąd uciekać. Był jej ostatnią szansą.

- Tony, jest dużo gorzej. Dużo gorzej, niż myślisz.

- To znaczy?

- Dowiedziała się o dziecku.

Tony najwyraźniej wstrzymał oddech. Ale nie puścił jej ramion.

- O naszym dziecku? Chcesz powiedzieć, że jesteś...? Rachel kiwnęła głową. Cała się trzęsła.

- Chce, żebym się go pozbyła. Zakazała ci o nim mówić. I uderzyła mnie.

Ona... ona... - Tu Rachel znów wybuchnęła płaczem.

Tony objął ją mocno, przyciskając jej twarz do siebie.

- Tak mówiła? - zapytał.

- Och, Tony. Chciałam ci to powiedzieć zupełnie inaczej.

- Ciii. Nie płacz. No nie płacz. Zdaj się na mnie. Po prostu zdaj się na mnie.

## Rozdział XIX

### Palma, współcześnie

Laurie krążyła po labiryncie betonowych dróg wokół lotniska w Palmie, prowadząc czerwoną fiestę z wypożyczalni. Przyjechała tu z willi taksówką i początkowo zamierzała tak samo wrócić z ojcem, ale zmieniła zdanie. Głupio byłoby właśnie dziś zostać bez środka transportu. Dlatego zdecydowała się wypożyczyć samochód, pomimo przerażająco wysokich kosztów - będzie miała czym uciekać, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Była dopiero dziesiąta rano, ale według pracowników biura wynajmu samochodów miał to być najgorętszy dzień roku - upalny nawet jak na standardy Majorki. Już teraz słońce paliło nieznośnie. Laurie denerwowała się i zaschło jej w ustach. Miała wrażenie, jakby przez przypadek znalazła się w świetle reflektorów. Spojrzała na umieszczony w samochodzie termometr - było ponad czterdzieści stopni!

Jedynie palmy wydawały się nieruchome w tym upale. Wszystko inne, począwszy od chodnika po puste autokary na parkingu, drżało w rozgrzanym powietrzu. Popatrzyła na urlopowiczów wychodzących z klimatyzowanego wnętrza terminalu. Wahali się i kręcili w kółko jak dezorientowane owady, które nagle straciły poczucie kierunku.

Doskonale wiedziała, jakie to uczucie. Ale dziś musiała się skupić.

Minęła znak zakazu wjazdu, na skróty przejechała przez parking i zatrzymała samochód. Wyłączyła silnik, przeklinając panujący upał. Była cała spocona i czuła, jak

uda przylepiają jej się do czarnej tapicerki. Wzięła torebkę z siedzenia pasażera, wyciągnęła z niej chustkę i wytarła twarz i szyję. Im szybciej znajdzie się w środku, tym lepiej.

Ale chłodne powietrze terminalu nie ukoło jej zdenerwowania.

Sprawdziła na tablicy informacyjnej godzinę przylotu ojca - miała jeszcze czterdzieści minut. Tylko czterdzieści minut! A potem...

Nagle dotarła do niej cała groza sytuacji i przez chwilę miała wrażenie, że zemdleje. Wyciągnęła z torby butelkę i napiła się ciepłej wody mineralnej, ale to również jej nie uspokoiło. Przeczuwała, że popełnia właśnie straszliwy błąd.

Za przeszkloną ścianą przesuwawa się taśma bagażowa, otoczona tłumem zdenerwowanych podróżnych przepychających się do swoich walizek. Spokojnie zachowywali się jedynie pracownicy lotniska: ubrani w mundury, krążyli niewzruszenie, nie bacząc na panującą wokół krzątaninę i nagłać komunikaty wygłaszane co chwila po hiszpańsku przez głośniki.

Laurie czuła się jak w potrzasku. Nie miała dokąd uciekać. Jak, do diabła, zdołała się w coś takiego wpakować? O czym, u licha ciężkiego, myślała? Ojciec przylatywał na cały tydzień, przekonany, że spędzą razem spokojne wakacje. Kiedy rozmawiała z nim kilka dni temu, w żaden sposób nie przygotowała go na niespodziankę, jaka go tu czeka.

Wysłuchiwała za to cierpliwie jego uwag na temat kosztów podróży oraz tego, że będzie to jego pierwszy samotny wyjazd za granicę od śmierci matki. A słuchając, po prostu skręcała się w środku.

A teraz? Teraz było milion razy gorzej. Nie tylko z samego rana przyjechała Rachel, podniecona bliskim spotkaniem z bratem, ale na dodatek wydarzyła się ta sprawa z Samem. Laurie prawie nie rozmawiała z ciotką przed wyjazdem na lotnisko. Nie była w stanie spojrzeć jej w oczy. Istniała duża szansa, że za kilka godzin Rachel ją znienawidzi.

Tak samo jak ojciec.

Chciało jej się płakać. Jakim cudem dała się Rachel przekonać do czegoś takiego? W dodatku gorzej już się wszystko zbiec nie mogło. Czy Rachel naprawdę sądzi, że wystarczy, żeby Bill na nią spojrzął, a wybaczy jej to, co między nimi zaszło? A jeśli nawet jakimś cudem dogadają się i ucałują na zgodę, co powiedzą na wieść o Laurie i Samie? Czy to ich znowu nie rozdzieli?

I to będzie tylko jej wina. Powinna od początku zniechęcać Rachel do tego pojednania po latach, zamiast dawać jej nadzieję. Z przeraźliwą dokładnością przypomniawszy sobie, jak ojciec zareagował na samą wzmiankę o siostrze. On jej nigdy nie wybaczy, ponieważ prawda jest taka, że jej nienawidzi.

Stojąc samotnie w hali przylotów, Laurie poczuła pewność, że kiedy ojciec pozna rozmiary jej zdrady, zrealizuje swą groźbę i zerwie wszelkie kontakty również z nią. Choć była pewna, że ją kocha, dopiero teraz odkryła, jak niewiele o nim wie. Potrafił być na tyle uparty, żeby przez pięćdziesiąt lat zachować w tajemnicy istnienie swojej siostry. Co wskazywało, że był również zdolny nigdy więcej nie odezwać się do własnej córki.

Wróciła myślą do tej pierwszej kłótni, wywołanej telefonem Rachel, kiedy przyjechała do niego na niedzielny lunch. Miała wrażenie, że od tej wizyty minęły całe wieki. Nareszcie zaczęła rozumieć przyczyny wściekłości ojca. Wiele lat temu postanowił zerwać z rodziną i stworzyć własną. A przecież ona dokładnie to samo chciała zrobić z Samem. Sam. Żołądek Laurie ścisnął się na samą myśl o nim. Jakim cudem ojciec czy Rachel mogliby zrozumieć tę nieokiełznaną miłość, jaką do niego czuła? Ojciec nie należał do uczuciowych ludzi. Nigdy nie stracił w taki sposób miłości, więc jak miał zrozumieć, że córka jest gotowa poświęcić wszystko - nawet całą swoją rodzinę - żeby ją zachować?

A Rachel? Laurie nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, jak zareaguje Rachel.

- Och, Sam, gdzie ty jesteś? - szepnęła. Nie rozmawiała z nim, odkąd się wczoraj rozstali. Tak bardzo chciała znowu usłyszeć jego głos, tak bardzo chciała, żeby jej dodał otuchy. Ale milczał. Ani słowa, nawet po jej rozmowie z Claire! To też była jej wina. Kiedy rzuciła komórką w ścianę, telefon rozbił się na kawałki. Dziś sama nie mogła się nadziwić się tej huśtawce miotających nią wczoraj uczuć.

Gdyby Sam przyjechał zaraz po jej rozmowie z Claire, Laurie z pewnością by go uderzyła. Czuła się zdradzona, udreńczona zazdrością i poczuciem winy. Prześladował ją obraz jego nagiego ciała, tak niepokojąco blisko Claire. A po rozmowie z Roz była pewna, że ponownie zamierza złamać jej serce.

Jednak wraz z upływem nocy jej gniew zamienił się w rozpacz. Kiedy myślała o tym, że Sam jest teraz z Claire, współczuła mu. Spróbowała postawić się w jego sytuacji i doszła do wniosku, że to prawdziwy koszmar. A jeśli musi prowadzić grzeczne rozmowy z ludźmi, których nienawidzi, wiedząc, że Laurie na niego czeka? A jeśli czuje się schwyty w pułapkę? A jeśli jej rozmowa z Claire tylko pogorszyła sprawę?

Tyle było tych „a jeśli” krążących po jej głowie. Miała wrażenie, że jej mózg to komputer walczący z atakiem wirusów. Wysiłkiem woli opanowała narastającą panikę i zmusiła się do powrotu do kwestii praktycznych. Musi zaplanować swoje najbliższe działania. A to oznaczało przygotowania do wyjazdu - i to najprawdopodobniej pospiesznego.

Dlatego spakowała wszystkie swoje ubrania, zebrała rozrzucone po willi rzeczy i już o świcie zeszła do hangaru na



łodzie, żeby zlikwidować prowizoryczne studio. Będzie musiała uciekać. Niezależnie od tego, czy z Samem, czy samotnie, będzie musiała stąd uciec i zacząć żyć gdzie indziej, od nowa.

Pakując obrazy w panującym w hangarze półmroku, doszła do wniosku, że nie poradzi sobie z koniecznością samotnej ucieczki. Kochała Sama. Potrzebowała go i pragnęła. Pogładziła dłonią burtę łodzi, w której kochali się zaledwie wczoraj, wspominając jego dotyk, zapach, jego oddech. I przysięgła sobie, że pozbedzie się wszelkich wątpliwości. Bo wątpliwości to najlepsza droga do zniszczenia szansy na ten związek. Ale one wcale nie znikły. Należało przecież pomyśleć o Archie. Tak powiedział Sam i właśnie wtedy wyraźnie stracił pewność siebie. Czy go naprawdę zostawi? Czy poświęci się dla niej? A co ważniejsze, czy ona ma prawo go o to prosić?

Gdyby potrafiła zachowywać się bezwzględnie, byłoby jej łatwiej. Przecież dzieci są odporne i dochodzą do siebie po rozbiciu rodziny, więc Archie mu też nic nie będzie. Ale nagle dotarło do niej, że chłopiec zostanie na Majorce sam, tylko z matką, i że poczuje się odtrącony. A potem wyobraziła sobie pożegnanie Sama z synem i jej oczy wypełniły się łzami. Archie potrzebował Sama - wszyscy to widzieli.

W świetle wschodzącego słońca po raz ostatni popatrzyła na morze. Gwiazdy powoli blakły na jaśniejącym niebie. Przyglądała się, jak spokojne tańce morza i nieba zmieniają stopniowo kolor z rozmytego błękitu na blady oranż. Czowała w powietrzu zapowiedź upalnego dnia. Była taka szczęśliwa w tym domu, samotna, zatopiona w pracy. Ale już czas wyjechać. Wschody i zachody słońca, które tu namalowała, wydały jej się nagle jedynie przedstawieniem pory dnia, a nie prawdziwym aktem twórczym. Czowała się tak, jakby tylko trwała tu w zawieszeniu, cały czas czekając.

Teraz już wiedziała na co. Bo kiedy odzyskała Sama, willa Rachel przekształciła się w pułapkę, z której musiała uciekać. Musiała zmienić się w tę osobę, którą zamierzała być przy Samie, a była pewna, że w tej rodzinie nie zdoła tego dokonać.

Czuła nieprzewartą potrzebę ucieczki, jakby nagliła ją do niej jakaś wewnętrzna siła. Zaskakujące, że jej życie zatoczyło aż tak pełne koło. Zawsze sądziła, że pragnie mieć dużą rodzinę, a odnalezienie Rachel wzięła za zaspokojenie tej głębokiej potrzeby. Dopiero teraz rozumiała, że w rzeczywistości chciała kogoś dla siebie i że tego kogoś nie mogłaby jej zastąpić nawet największa rodzina. Poza tym okazało się, że stosunki z Rachel niosą ze sobą więcej problemów i zobowiązań, niż przewidywała. Tęskniła za własnym życiem. Ale z Samem. I z Archiem, jeśli będzie trzeba.

Zachowała się wczoraj jak idiotka! Tyle rzeczy pozostało niedopowiedzianych tego skomplikowanego, pełnego namiętności popołudnia. Tyle naprawdę ważnych kwestii nie poruszyli. Nie powiedziała Samowi, że jest gotowa uwzględnić w ich planach Archiego. Że zrobi wszystko, żeby pokochać jego syna jak własne dziecko, jeśli dzięki temu będą mogli być razem.

Na chwilę popuściła wodze fantazji. Wyobraziła sobie, jak przygotowuje Archiemu szkolny mundur, jak go odprowadza do szkoły. I jak urządza jego pokój. I jak zapewnia mu szczęście i poczucie bezpieczeństwa. A także, że ma z Samem własne dzieci. Rodzeństwo Archiego.

Kogo ja próbuję oszukać, pomyślała, wracając do rzeczywistości. Nigdy w życiu nie zmieniała pieluch, a zameżne przyjaciółki śmiały się z jej beznadziejnego skrepowania przy dzieciach. Nigdy nie poproszono jej na matkę chrzestną ani nawet o to, żeby popilnowała wieczorem jakiegoś znajomego dziecka. Więc niby jakim cudem miałyby się nagle stać dobrą matką? Claire może i ma wady, ale w porównaniu z Lau-

rie to święta. Poza tym jest prawdziwą matką Archiego. On do niej należy. Na pewno będzie o niego walczyć, tak samo jak Sam. Jakkolwiek by na to patrzeć, nie jest dobrze.

Kiedy wróciła na górę, do willi, nadal nie znalazła odpowiedzi na swoje wątpliwości, ale przynajmniej jednego była pewna. Kocha Sama. I tylko to się liczy. A jeśli będzie w niego wierzyć, z pewnością poradzi sobie ze wszystkim, co przyniesie im życie.

Kilka godzin później nie była już tego taka pewna. Serce zamarło jej na chwilę, kiedy w kolejce do odprawy paszportowej zauważyła ojca. Na głowie nosił nową panamę, krótkie rękawy jego koszuli miały starannie zaprasowane mankiety, a z kieszeni na piersi wystawał paszport. Odchylił przeciwsłoneczne nakładki na szkła okularów i czytał niewielki przewodnik po Majorce. Mogła się założyć, że właśnie planuje, co powiedzieć urzędnikowi sprawdzającemu paszporty.

Dla innych wyglądał po prostu jak turysta-emeryt, dla niej jednak był bardzo bliską osobą i zrozumiała nagle, jak bardzo za nim tęskniła. Do oczu napłynęły jej łzy, bo zamierzała przecież zranić go tak mocno. Zniszczyć jego zaufanie do niej. Czy naprawdę potrafi się na to zdobyć? - Tato - powiedziała, obejmując go kilka minut później. Zastanawiała się, czy wyczuł jej zdenerwowanie. Miała takie wrażenie, jakby jechała kolejką górską, która właśnie się zbliża do pętli śmierci. - Jesteś. - Laurie - odparł, całując ją w policzek. - Opaliłaś się. Wzięła jego torbę na kółkach i pociągnęła za sobą po błyszczącej podłodze hali. Tak się bała tej chwili, ale kiedy zaczął jej opowiadać o sprawach Wspólnoty Mieszkańców, o sąsiadach, których prawie nie знаła, i o tym, jak wspaniale udały się w tym roku truskawki, zapewne ze względu na

angielskie lato stulecia, zaskoczyła ją jego normalność i sprawiła, że jego przyjazd stał się tak boleśnie realny.

- Jak ci idzie praca? - zapytał, kiedy już zreferował najświeższe wiadomości.

- Och, całkiem dobrze. Przez parę ostatnich miesięcy namalowałam piętnaście obrazów.

- To sporo. Chętnie je obejrzę.

Laurie zawahała się przy drzwiach obrotowych. Chciała, żeby spojrzał jej w oczy, wyczytał w nich niepokój i wszystko naprawił. Ale on wziął jej milczenie za wstęp do przeprosin. Zdjął okulary. Zauważyła, jak wiele zmarszczek zebrało się wokół jego oczu.

- Sądzę, że powinniśmy oczyścić atmosferę, nim ruszymy dalej - stwierdził z westchnieniem, jakby go zmusiła do podjęcia tego tematu. - Widzisz, zdaję sobie sprawę, że kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, zareagowałem nieco za ostro, ale rozumiesz, bardzo się zmartwiłem twoim spotkaniem z Rachel. Ty jednak jak zawsze wykazałaś rozsądek i wyniosłaś się tutaj, żeby nabrać dystansu do całej sytuacji.

- Tato, ja...

- Wiem, że jest ci przykro, Laurie, nie musisz mi mówić. Wystarczy, że mnie tu zaprosiłaś. Nie powinniśmy byli się kłócić. Okropnie się potem czułem. No ale już przyjechałem i możemy spędzić razem urocze wakacje.

Laurie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie znalazła słów.

- No już. - Ucisnął jej ramię. - Nie mówmy o tym więcej. Chcę, żebyś mi pokazała te miejsca, o których tyle opowiadałaś.

I pociągnął ją za sobą w sam środek upalnego dnia.

## Rozdział XX

Stepmouth, 15 sierpnia 1953, godzina 18.30

Tony wyjrzał na deszcz. Nadal ani śladu Rachel. Na powrót przylgnął do obłazących z farby drewnianych drzwi garażu na Lydgate Lane, osłonięty wystającym nieco dachem z blachy falistej.

Woda przelewała się przez brzeg dachu i moczyła czubki jego najlepszych butów z czarnej skóry. Zawodzenie wiatru to wznosiło się, to opadało. W wąskiej uliczce brzmiało zupełnie jak wycie wilków.

Gwałtowne podmuchy zmusiły Tony'ego do mocniejszego naciśnięcia czapki na oczy.

To był zupełnie zwariowany dzień, a Tony obawiał się, że potem będzie jeszcze gorzej. Nie był przesądny, ale dziś musiał przyznać, że na coś się zanosí. Ewidentnie coś wisiało w powietrzu, dusznym i ciężkim. Od kilku godzin czuł ból w skroniach, a teraz dołączył się do niego jeszcze ból uszu.

- Ten dzień jest upiorny - stwierdziła Emily dwie godziny wcześniej, kiedy się z nią żegnał. - Im prędzej się skończy, tym lepiej.

Pocałował ją na pożegnanie w policzek, czego nigdy wcześniej nie robił. Popatrzyła na niego dziwnie, ale cokolwiek sobie pomyślała, zachowała dla siebie. Była dobrym przyjacielem. Omal jej o wszystkim nie powiedział.

Upiorny... Cóż, miała trochę racji. Dziś rano, o dziesiątej, niebo z błękitnego zrobiło się szare. W południe było już tak ciemno, że musieli włączyć w kuchni światło. Potem stali

w oknie, obserwując ze zdziwieniem wiszącą nad miastem ogromną chmurę o fioletowej podstawie. Miała kształt młota uniesionego do uderzenia.

Spojrzał teraz w niebo. Ale nawet jeśli chmura nadal tam była, zakryły ją kłęby innych, szarych. Zadrżał. Im szybciej Rachel tu dotrze, tym lepiej dla nich obojga.

Lęk, jaki czuł do tej pory, zaczął narastać. A jeśli coś się stało i Rachel nadal jest w sklepie z matką i Billem? Jeśli trzymają ją tam siłą? Albo jeśli zmieniła zdanie? Zatarł zmarznięte dłonie. Ile czasu ma jej jeszcze dać? Pięć minut czy mniej? A potem co? Ma iść do sklepu? Iść tam i zabrać ją siłą?

Zupełnie jakby usłyszała te dręczące go pytania, bo nagle pojawiła się na ulicy, ubrana w błyszczący zielony płaszcz od deszczu i żółty żeglarski kapelusz, który widział kiedyś w jej pokoju. Zataczała się pod ciężarem czerwonej torby podróźnej.

Pomachał do niej, a potem ruszył pędem w jej stronę, przeskakując ogromne kałuże. Wziął od niej torbę i poprowadził ją za rękę pod dach garażu. Tutaj objął ją i pocałował w mokrą twarz, tuląc się do niej.

- Nikt cię nie widział? - zapytał.

- Boję się.

Ja też się boję, chciał odpowiedzieć. Bo rzeczywiście się bał. Bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Bał się tej bezdennej przepaści, w jaką nagle zamieniła się ich przyszłość. Ale nie miało sensu mówić jej o tym.

Poczułaby się tylko jeszcze gorzej. Jeśli on również zacznie się wahać, mogą oboje wpaść w panikę. Więc musiał udawać, że jest silny. Za nich oboje. Za całą trójkę, pomyślał, wyczuwając jej brzuch, przyciśnięty do swego ciała i z całą wyrazistością świadom tego, co zawiera. Byli teraz rodziną. I groziło im niebezpieczeństwo.

- Udało ci się je zabrać? - spytał. Kiwnęła głową.

- Ale dalej się zastanawiam, czy to dobry pomysł...

- Nie mamy wyboru.

To była prawda. Całą noc nie spał, szukając jakiejś alternatywy dla planu, jaki wymyślili razem, kiedy mu powiedziała o dziecku. Ale innego wyjścia nie było. Bo matka Rachel nigdy nie zmieni zdania. Ani na temat Tony'ego, ani na temat dziecka. Więc nie mieli wyboru. Po prostu. Rachel nie mogła tu zostać, a Tony nie mógł dalej pracować dla Emily.

Pozostawała im tylko ucieczka.

Przykucnęła i otworzyła torbę. Pogrzebała w niej chwilę, aż wreszcie wyciągnęła pęk kluczy.

- No to zaczynamy - powiedziała.

Nawet w panującym mroku dostrzegł błysk w jej oczach. To, co zamierzali zrobić, było przerażające, ale też budziło w nich podniecenie. Tony rozejrzał się po ulicy. Zauważył jedynie niewyraźną sylwetkę przechodnia przemykającego pod ścianami budynków. Znajdował się kilkadziesiąt metrów od nich. Tony odszukał więc klucz od kłódki wiszącej na drzwiach garażu i po chwili znaleźli się w środku.

Jowett jupiter, nieskazitelny jak moneta prosto z mennicy, duma i radość Billa. Ale już nie na długo, pomyślał Tony, wdychając ciepłe, przesycone benzyną powietrze i podchodząc do samochodu.

Otworzył drzwiczki, włożył do środka torby, swoją i Rachel, a potem usiadł za kierownicą i popatrzył na deskę rozdzielczą. Nie różniła się znów tak bardzo od tej w vaux-hallu ojczyma, którym uczył się jeździć.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, a silnik od razu zaskoczył.

- Bill nas zabije, jak się dowie - stwierdziła Rachel, siadając koło niego.

- Najpierw będzie musiał nas znaleźć. - Tony włączył światła.

- Możemy jeszcze pojechać autobusem - w głosie Rachel zadrżała panika.

- Następny odjeżdża za...

- Nie. Kiedy odkryją, że uciekłaś, dojdą do wniosku, że jedziemy autobusem, zadzwonią na komisariat i policja nas zatrzyma.

- Ale...

Uściskała mocno jej rękę.

- Pojedziemy bocznymi drogami, przez wrzosowisko. Będą sobie mogli przeszukiwać trasę autobusu, ile będą chcieli. Bill zauważył, że nie ma samochodu, najwcześniej jutro rano, a wtedy my będziemy już daleko.

Wzięła głęboki wdech.

- Ale obiecaj mi, że wszystko będzie dobrze.

Skinał głową i wrzucił wsteczny bieg. Przynajmniej sądził, że wrzucił.

Obejrzał się przez ramię i puścił sprzęgło. Samochód skoczył gwałtownie do przodu, a silnik zgasł.

Popatrzyli razem na rączkę do zmiany biegów, a potem na siebie. Po raz pierwszy od wczoraj, od chwili, gdy Rachel przeszła przeprawę z matką, oboje wybuchnęli śmiechem.

- Nie ma to jak dobry początek - zażartował, wrzucił, tym razem naprawdę, wsteczny i powoli wyjechał tyłem z garażu na ulicę.

Deszcz lał chyba jeszcze bardziej niż przedtem, wałąc w dach samochodu tak mocno, że musieli do siebie krzyczeć.

- Jak myślisz, jak szybko tam dojedziemy? - spytała Rachel. Miała oczywiście na myśli Szkocję. A konkretnie Gretna

Green. Bo tam ją właśnie zabierał. W jedyne miejsce w Wielkiej Brytanii, gdzie mógł się ożenić z siedemnastolatką, nie mając zgody jej rodziców. I w ten sposób zapewnić bezpieczeństwo i jej, i dziecku. Taki właśnie był ich plan. A potem? Cóż. Może sprzedadzą samochód? Poza tym miał pieniądze, które zaoszczędził, pracując u Emily. Na początek powinny wystarczyć. Coś na pewno wymyśli. Więc się uda. Na sto procent. Potrafi zadbać o swoją żonę i dziecko jak żaden facet przed nim.

- Nie wiem - odparł, patrząc przed siebie. Światła samochodu z trudem wycinały drogę w ścianie deszczu. Ani on, ani Rachel nigdy nie wyjechali nawet poza granice hrabstwa, nie wspominając już o wyprawie do Szkocji. Nie wybiegał myślami poza zabranie samochodu i jazdę na zachód,



przez wrzosowisko, żeby zmylić pogoń. Dopiero potem zawróci na wschód, w kierunku Bristolu. - Pewnie kilka dni - wyraził przypuszczenie. - Po drodze kupimy sobie mapę.

Jechali powoli, bo nie mogli inaczej. Deszcz zalewał przednią szybę samochodu szybciej, niż wycieraczki nadażały zbierać wodę. Na końcu Lydgate Lane skręcili w prawo. Ulice były puste, zupełnie jak rok temu, kiedy uruchomiono maszt telewizyjny po drugiej stronie Kanału Bristolskiego i w miasteczku pojawił się pierwszy telewizor. Tony pamiętał, jak tamtego wieczoru tłoczył się wraz z kilkoma setkami innych ludzi w ratuszu, oglądając ten cud techniki. Wtedy uważał, że ta chwila zmieni cały jego świat. Ale naprawdę stało się to dopiero dzisiaj.

Chętnie by przyspieszył i jak najszybciej opuścił miasteczko. Może jednak lepiej było jechać właśnie w ten sposób, wzdłuż białych, drewnianych domków na Granville Road, równoległej do głównej ulicy? Zmniejszało to prawdopodobieństwo, że ktoś zwróci na nich uwagę, że ich rozpozna i wezwie policję. Bo uciekając w ten sposób, Tony złamał prawo i gdyby ich złapali, stanąłby przed sądem. W deszczu całe Stepmouth wydawało się dziwnie rozmyte, jakby naszkicowane węglem. Jakby niknęło we mgle.

Zapiął górny guzik starej, nieprzemakalnej kurtki wojskowej, po którą poszedł do matki zaledwie godzinę temu.

Kiedy wszedł do kuchni, stała przy piecu, mieszając w garnku. Sądząc po zapachu, był to gęsty rosół. Wychował się na takiej zupie.

- Wyglądasz, jakby przydał ci się ciepły posiłek. - Tylko tyle miała mu do powiedzenia, gdy odwróciła się od pieca na jego chrząknięcie. - Don mi mówił, że dobrze sobie radzisz, ale moim zdaniem schudłeś.

- Przyszedłem się pożegnać - odparł.

- To chyba trochę za późno? Nie ma cię w domu od pięciu miesięcy.

- Pożegnać na dobre.  
- Znowu kłopoty? - spytała z wyrzutem.  
- Nie takie, jak myślisz. - Zebrał się w sobie i dodał: - Zostanę ojcem.  
Cała krew odpłynęła z jej twarzy. Patrzyła na niego z otwartymi ustami.  
- Kim ona jest? - spytała wreszcie.  
- Nie mogę ci jeszcze powiedzieć - Tak postanowił. Ta wiadomość wywołałaby zbyt wiele pytań, a nie miał teraz na nie czasu. - Ale powiem  
- obiecał. - Napiszę do ciebie, jak tylko będę mógł.  
W jej oczach pojawiły się łzy.  
- Jesteś jeszcze za młody.  
- Nie, mam, wcale nie. Zostanę ojcem. I to dobrym ojcem.  
Przepraszam... - powiedział. - Przepraszam, że stało się inaczej, niż sobie życzyłaś...  
Gdy tylko wypowiedział słowo „przepraszam”, jej twarz wyciągnęła się, jakby była z gumy. Ukryła ją w dłoniach, a on podszedł do niej i przytulił tak, jak przytula się dziecko. Rozszlochała się na jego ramieniu.  
Minął zakręt, który doprowadził go do skrzyżowania na końcu głównej ulicy. Jak na razie wszystko szło dobrze: nie zobaczyli ani jednego samochodu, ani jednego przechodnia. Główna ulica biegła na lewo od nich, wzdłuż rzeki, aż do mostu Nadbrzeżnego, równym szeregiem domów i sklepów.  
Dwa domy dalej znajdował się sklep Vale'ów. W milczeniu patrzyli w jego słabo oświetlone, ociekające deszczem okna.  
Tony położył dłoń na kolanie Rachel. Drżała.  
- Jedź - powiedziała wreszcie.  
Przed nimi, za skrzyżowaniem, widać było wielki, kamienny garb mostu Południowego, prowadzącego do wschodniej części miasteczka. Ale Tony skręcił w prawo. Ruszyli pod górę stromej Barnstaple Road.

Oboje milczeli, póki nie wjechali na sam szczyt wzgórza Summerglade. Cienka warstewka wody pokrywała jezdnię, błyszcząc w świetle reflektorów jak olej. Tony spojrział we wsteczne lusterko. Mniej więcej kilometr stąd, jakieś dwieście metrów niżej, leżało Stepmouth. Domy tuliły się do siebie w nadchodzącym zmroku i duszącym deszczu.

Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś je zobaczy.

Pomyślał o bliźniakach, które znajdowały się niedaleko stąd, w Brookford. O tej porze matka pewnie położyła ich już do łóżka, może nawet powiedziała im, że brat wyjechał z miasta. Kiedy ją dziś odwiedził, dzieci wyszły gdzieś z Donem. Napisze do nich, jak tylko będzie mógł. Napisze do nich wszystkich, żeby wiedzieli, że jest bezpieczny i szczęśliwy.

A Keith? Do niego też powinien napisać. Żeby mu powiedzieć o Rachel. I że ma się od nich trzymać z daleka. Bo będą mieli dziecko, któremu Tony nigdy nie powie, co zrobił jego brat.

Skreślił w drogę biegnącą nad wybrzeżem, przez wrzosowisko.

- Nadal się boisz? - spytał Rachel.

- Tak.

Jechali teraz sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, środkiem wyboistej drogi. Tony doszedł do wniosku, że raczej nie ma szans napotkać tutaj kogokolwiek. Wiatr, bardzo silny na otwartej przestrzeni wrzosowiska, zaczął z całą mocą uderzać w samochód.

- Nie bój się - powiedział, uniesiony poczuciem niesamowitej wolności.

Spojrzął na ciemną sylwetkę Rachel. - To wcale nie jest koniec wszystkiego. To zaledwie po...

Dźwięk, jaki wydała, był cichy. Wcale nie krzyk, raczej oznaka zdumienia. Odruchowo nacisnął hamulec.

Kiedy w to uderzyli - w to coś, co na drodze przed nimi zauważyła Rachel

- poczuł, jak jego ciało wykręca się gwałtownie. A potem cały świat zapadł się nagle w czarną głębię.

## Rozdział XXI

### Majorka, współcześnie

Rachel stała w swojej sypialni w Sa Costa, pod obracającym się z szumem śmigłem wentylatora. Czuła się zupełnie jak nastolatka. Nie była taka zdenerwowana od czasu... od czasu powodzi. Oddychała z trudem i nie mogła sobie znaleźć miejsca. Nie miała pojęcia, co będzie. Bratanica miała odebrać Billa z lotniska i przywieźć go do willi. Już niedługo. Ubrała się w swój najbardziej przewiewny letni strój - cienkie spodnie z białego muślinu, tunikę bez rękawów, szytą ręcznie w Maroku na specjalne zamówienie, oraz sandałki z rzemyków - ale i tak było jej niemożliwie gorąco. Kochała ten upał. Ujęła w palce przód tuniki i potrząsnęła nim, żeby odlepić materiał od ciała, a srebrny wisiołek i bransoletka z breloczkiem, którą nosiła na szczęście, zadźwięczały cicho. Potem wsunęła zabłąkany kosmyk włosów, który powiewał w przeciągu, pod dużą, szylkretową zapinkę na karku. Nie mogła się powstrzymać, żeby ponownie nie otworzyć żaluzji i nie wyrzeć na podjazd. Nadal był pusty. Wszystko wydawało się takie nieruchome, nie było śladu morskiej bryzy i nawet ptaki zamilkły. Zupełnie jakby dom wstrzymał oddech, a wraz z nim całe jego otoczenie. Słysząc było jedynie syk zraszaczy pracujących pełną mocą w ogrodach. Widziała, jak ślad rozpylanej przez nie wody natychmiast znika z asfaltu, zupełnie jak odbicia stóp na mokrym piasku.

Odeszła od okna. Żaluzje poprzecinały pokój poziomymi pasami światła i cienia. Zbliżyła się do wykonanego we Francji łóżka z tekowego drewna. Cienka, czerwona narzuta z jedwabiu została odrzucona na bok, a znajdujące się pod nią płócienne prześcieradło z monogramem pokryte było oprawionymi fotografiami, które przyniosła tu z dołu.

Zrobiła to na prośbę Laurie, żeby Bill nie zorientował się, do kogo należy ten dom, póki córka sama mu tego nie wyjaśni. Wzięła do ręki fotografię zdjętą ze ściany w kuchni i palcami wytarła z kurzu jej szybkę. Nie pamiętała, kto zrobił to zdjęcie. Chyba Christopher. A może Nick?

Przedstawiała ją i Tony'ego tu, w willi, kilka lat temu. Tony przyciągał ją do siebie i obejmował ramieniem, a na ich opalonych twarzach gościły radosne uśmiechy. Wyglądali jak młodzi kochankowie, a nie dziadkowie, którymi przecież byli. Wtedy ani przez moment nie pomyślała, że niedługo zostanie zupełnie sama.

Przesunęła palcem po uśmiechu Tony'ego. Zaczęła się zastanawiać, czy dobrze robi, czując, jak puszczają jej nerwy. Tony zawsze tak stanowczo odcinał się od przeszłości. I był taki pewny, że to słuszna decyzja. Mogła się założyć, że nigdy jej nie żałował. A ona ciągle oglądała się potajemnie przez ramię na to, co za sobą zostawili.

Wiedziała, że mąż byłby na nią wściekły, gdyby się dowiedział, co chce zrobić, ale ta sprawa była dla niej zbyt ważna, żeby miała nadal stosować się do jego życzeń. W przeciwieństwie do Tony'ego, któremu nigdy nie zależało na tym, aby pokazać Billowi, jaki odniósł sukces, Rachel bardzo chciała udowodnić bratu, że jej mąż w niczym nie przypominał Keitha. Chciała również, żeby Bill zobaczył, jaki sukces odniosła z firmą, którą przekazała w zarząd Samowi. Dlaczego? Dlaczego nadal, po tylu latach, opinia Billa miała dla niej aż takie znaczenie? Dlaczego szukała jego aprobaty, skoro jej sukces i tak był oczywisty?

Ze względu na dumę - musiała przyznać sama przed sobą, kiedy ćwiczyła w myślach przemówienie, którym go powita. Bo była dumna ze swoich dzieci i chciała, żeby Bill je poznał. Żeby zobaczył, jak bardzo ustabilizowane i uporządkowane jest ich życie. Chciała mu udowodnić, że zachowuje się zupełnie inaczej niż kiedyś ich matka. Że wcale nie jest władczą niczym ferujący wyroki sędzia. Że z każdym członkiem rodziny łączy ją jakaś więź i że wszyscy pragną, by była częścią ich życia.

A przede wszystkim chciała dać Billowi do zrozumienia, że gdyby powiedział chociaż słowo, mógłby... mógłby stać się członkiem tej szczęśliwej, kochającej się i otwartej rodziny. Bo skoro ona nauczyła się kochać Laurie, to może Bill nauczy się kochać i szanować jej dzieci? W końcu oboje są już starzy. Z pewnością teraz, u schyłku życia, dobrze by było odnowić więzi rodzinne, na nowo się odnaleźć.

Miała wrażenie, jakby pustka, którą pozostawił po sobie w jej życiu Tony, jeszcze się pogłębiła w ciągu ostatnich tygodni. Tak bardzo cierpiała, tak bardzo za nim tęskniła. Czy czas spędzony z Billem jej pomoże? Może chociaż troszeczkę. Bo potrzebowała teraz każdej możliwej pociechy. Postawiła zdjęcie na stoliku przy łóżku. Usłyszała samochód, który minął bramę Sa Costa, nie zatrzymując się, i uświadomiła sobie nagle, że wstrzymuje oddech. Niedobrze, stwierdziła. Takie czekanie to klęska - z jej nadciśnieniem! Bez sensu jest tkwić tak w oknie i czekać, aż przyjadą. Zbyt niesamowite, zupełnie jakby czekała na powrót dawno utraconego kochanka.

Podczas poprzedniej wizyty w Sa Costa zauważyła, że Laurie zajęła sypialnię na poddaszu, dlatego kiedy otwierała drzwi tego pokoju, przeprowadzając ostatnią inspekcję domu przed przyjazdem Billa, oczekiwała widoku porozrzucanych rzeczy i ubrań bratanicy. Zamarła w progu na widok

spakowanych i ustawionych przy drzwiach bagaży oraz obrazów opartych starannie o drzwi szafy.

Co tu się działo? Widziała się z bratanicą dziś rano właściwie w przelocie, ale Laurie słowem nie wspomniała o tym, że się pakuje. Czyżby zdarzyło się coś złego?

Niemożliwe. Musi istnieć jakieś inne logiczne wytłumaczenie, pomyślała, wracając do swojego pokoju. Może Laurie po prostu chciała być taktowna? Może czuła, że lepiej będzie, jeśli Rachel i Bill zostaną na trochę sami? A poza tym bratanica ma przecież własne życie. Zapewne chce już wracać do domu, do Jamesa, pomyślała z ulgą. I tyle. Na pewno chodzi o Jamesa. Wielka szkoda, że chce wyjechać właśnie teraz, kiedy Rachel przygotowała dla niej niespodziankę: poprosiła mianowicie Antona, zaprzyjaźnionego handlarza sztuką, aby przyjechał pod koniec tygodnia obejrzeć jej obrazy. Przynajmniej w ten sposób mogła się odwdziżyć za wszystko, co Laurie dla niej zrobiła.

Niespodziewanie usłyszała jadący podjazdem samochód. Podbiegła do okna i popatrzyła, jak Laurie wysiada z samochodu, który zapewne wynajął Bill.

Drzwi od strony pasażera otworzyły się. Przytrzymując się ich mocno, z samochodu wysiadł starszy mężczyzna. Kiedy zdjął kapelusz i spojrzał na willę, Rachel musiała zasłonić sobie usta ręką, żeby nie zawołać go po imieniu.

To był szok, zobaczyć go po tylu latach. Kiedy wyobrażała sobie brata, kiedy mówiła do niego w myślach, zawsze widziała twarz młodzieńca. Przecież to już starzec, uświadomiła sobie, obserwując, jak Bill wachluje się kapeluszem. Rozpoznała rysy jego twarzy, jednak tak silnie odczuła nagle upływ czasu, że nie zdołała powstrzymać łez, które niepostrzeżenie zmoczyły jej policzki.

Oparła się o chłodną ścianę sypialni, z dala od okna, nie mając pojęcia, co robić. Dlaczego zachowuje się tak dziecinnie? Zupełnie jakby w jej domu znowu rządził Bill.

Laurie nalegała, żeby Rachel pozwoliła jej najpierw porozmawiać z ojcem. Żeby poczekała z ujawnieniem swej obecności, aż Bill się zadamowi. Jednak widok jej spakowanych rzeczy odebrał Rachel pewność siebie. Teraz kiedy brat rzeczywiście tu był, doszła do wniosku, że przekonanie go, by zapomniał o przeszłości, może okazać się dużo trudniejsze, niż sądziła. A jeśli nadal będzie trwać przy swej decyzji, że nigdy już się do niej nie odezwie?

Spojrzała na stojącą przy drzwiach toaletkę. Leżały na niej listy, które przez lata do niego pisała, przywiezione tu z Drey-cott Manor. Na palcach podeszła do mebla i zebrała je razem z wycinkami prasowymi.

Spojrzała na swe odbicie w wielkim lustrze, po raz piętnasty przyglądała włosy i poprawiała makijaż. Zastanawiała się, jak odbierze jej wygląd Bill. Przez tyle lat próbowała zachować młodość, ale wiedziała, że wcale jej się nie udało oszukać czasu. Widziała to wyraźnie w swojej twarzy. Pomyślała o tragediach, jakie przeżyła: o ojcu, powodzi, śmierci matki i Anny, a teraz Tony'ego. Tragedia za tragedią. To cud, że zdołała je przetrwać, a próbuje je ukryć pod makijażem! To przecież śmieszne. I bez znaczenia. To życie, pełne wzlotów i upadków, było przecież częścią niej samej. Przeżyła je, ponieważ zawsze miała nadzieję. Zawsze potrafiła przekonać samą siebie, że chociaż teraz jest ciężko, przyszłość na pewno okaże się lepsza.

Wzięła głęboki oddech i zmusiła się, żeby zmobilizować ostatnie rezerwy tej nadziei. Bill był tutaj. To oznacza, że wreszcie odzyska spokój i ostatecznie przepędzi duchy przeszłości.

Spojrzała na wycinki prasowe, które trzymała w ręku. Przypomniała sobie tę chwilę, kiedy po raz pierwszy przeczytała o powodzi w gazecie i zobaczyła listę ofiar. Wtedy to było takie straszne, ale dziś ledwie pamiętała połowę z tych ludzi.



Minęło już przecież tyle czasu. Gazety, które przechowała z takim pietyzmem, inni dawno wyrzucili do śmieci albo wyścielili nimi dno klatki królika. Ale dla niej to wydarzenie nie przestało się liczyć. Nie przestało być prawdziwe. Oczywiście, że nie myślała o nim codziennie, ale zawsze tkwiło gdzieś w jej wnętrzu: tragedia, od której uciekła. Właśnie, pomyślała, prostując się. Tak rozpocznie rozmowę z Billem. Od podziękowania. Będzie uprzejma i wspaniałomyślna. Zacznie od podziękowania za to, że kiedyś pomógł uratować jej życie. Tylko czy nie za późno na takie wyrazy wdzięczności? I to o pięćdziesiąt lat? Pięćdziesiąt lat. Czy naprawdę minęło aż tyle czasu? Zamknęła na chwilę oczy, słuchając szumu wentylatora, a ten dźwięk mieszał się w jej myślach ze wspomnieniem tamtej okropnej nocy, kiedy siedziała w samochodzie Billa na wrzosowisku.

## Rozdział XXII

Stepmouth, 15 sierpnia 1953, godzina 19.30

Było strasznie ciemno, ciemno jak w grobie, jak podczas nocy na morzu. Deszcz bębnił w okna, ściany i dach zupełnie jak tysiące maleńkich pałeczek perkusyjnych, zagłuszając powolne cykanie zegara. Kucnąwszy przed piecem, Bill namacał palcami główkę zapalniczki, a następnie potarł ją o draskę na dużym, kuchennym pudełku. Zapłonął fioletowy ogień i kuchnię wypełniło niepewne, żółtawe światło. Na ścianach zatańczyły cienie.

- Znalazłeś? - zawołała do niego z góry pani Vale.

Bill czuł zapach resztek potrawy z jagnięcia, stojących w garnku na kuchni. Jedli ją dzisiaj na kolację.

- Tak! - odkrzyknął.

Z szuflady kuchennego stołu wyciągnął garść świec oraz wojskową latarkę. Sprawdził, czy działa, po czym włożył ją do kieszeni. Potem zaczął zapalać świece, topiąc wosk na ich przeciwległych końcach i przylepiając je do spodków. Cienie wycofały się w kąty kuchni.

Powietrze napełnił zapach siarki i wosku.

Poszedł do przedpokoju i sprawdził bezpieczniki ukryte w skrzynce pod schodami, ale wszystko wydawało się w porządku. Miasteczko otrzymywało prąd z hydroelektrowni Watersbind. Zapewne zawinił gruz skalny naniesiony przez wodę do turbin, pomyślał.

Pani Vale czekała na niego na górze, w swojej sypialni. Siedziała przed toaletką ubrana w koszulę nocną i czarny, wydziergany na szydełku szal, zarzucony na ramiona. Właśnie zamierzała wziąć kąpiel, kiedy zgasło światło.

- Postaw ją na parapecie - powiedziała, obracając wózek w jego stronę. Uśmiechnęła się do Billa, uspokojona ciepłym światłem świecy, którą ze sobą przyniósł. - Nie znoszę ciemności.

Postawił świecę na oknie, a pani Vale podjechała bliżej i wyjrzała na zewnątrz. Główna ulica tonęła w cieniu gęstym jak wełna. Widać było świece i sztormówki pobłyskujące jak węgielki w oknach budynków po przeciwnej stronie ulicy. Zatem światło zgasło w całym miasteczku.

- Okropna noc - stwierdziła.

- Najgorszy sierpień w historii - odparł. Usłyszał to dziś po południu w radio. W ciągu ostatnich dwóch tygodni spadło szesnaście centymetrów deszczu, a spiker stwierdził, że większość upraw w hrabstwie została zniszczona. Rzeka wystąpiła z brzegów w Moxborough Valley, topiąc sześć cennych, srokatych kucyków, które pasły się na łąkach.

- Może należałoby iść do Pearl po Rachel? - spytała. - Nie podoba mi się ta pogoda. A chyba będzie jeszcze gorzej.

- Zaraz pójdę - obiecał, wyciągając z kieszeni latarkę i zapalając ją.

Był już ubrany do wyjścia: w kaloszach i płaszczu od deszczu. Zamierzał iść do Emily i sprawdzić, jak sobie radzi. Próbował już do niej zadzwonić, ale linia telefoniczna została uszkodzona.

Sprawdzał dziś wielokrotnie poziom płynącej pomiędzy ulicami rzeki Step. Była wzburzona i wezbrana, a jej wody podnosiły się powoli przez całe popołudnie. Przypuszczał, że jeszcze nie było się czym martwić, choć nurt rzeki znacznie pociemniał, niosąc teraz duże ilości błota. Ale jeśli będzie bez przerwy padać przez kilka kolejnych godzin, rzeka

najprawdopodobniej wystąpi z brzegów i zaleje zarówno jego podwórko, jak i podwórko Emily.

Miał nadal stertę worków z piaskiem, pozostałość schronu przeciwlotniczego, który razem z ojcem zbudowali podczas wojny. Dwa z nich przyciągnął pod tylne wyjście, tak na wszelki wypadek. Resztę zamierzał zawieźć na taczkach do Emily, która nie miała chyba własnych zabezpieczeń.

Zawiesił sztormówkę na drabinie prowadzącej do pokoju Rachel i wzdrygnął się na wspomnienie zniszczeń po powodzi, które jako dziecko widział w pobliskiej wiosce Ca-stleton po wielkiej burzy z 1933 roku. Pojechał tam z ojcem, na starym wozie, żeby dostarczyć powodzianom koce. Wezbrana rzeka Lox zmusiła wtedy mieszkańców do porzucenia domów, a potem zabrała cały ich dobytek. Nie chciał, żeby praca, jaką Emily włożyła w Sea Catch Café, poszła na marne tylko z powodu braku podstawowych środków ostrożności.

Zszedł na dół i wyciągnął pęk kluczy, żeby otworzyć boczne wyjście. W tej samej chwili drzwiami wstrząsnął grad uderzeń z zewnątrz. Bill zamarł. Hałas na moment ucichł, po czym zaczął się od nowa.

Szybko otworzył drzwi i poświecił latarką na zewnątrz. Serce zamarło mu na chwilę na widok, który ukazał się jego oczom. Jakiś człowiek - z początku nie mógł rozpoznać, kto to - opierał się o futrynę drzwi, najwyraźniej przytrzymując się jej, żeby nie upaść. Zwieszał nisko głowę; miał zupełnie mokre, czarne włosy i brudne paznokcie. A kiedy uniósł twarz, Bill zobaczył głębokie rozcięcie na jego wardze i wielki skrzep krwi na podbródku, wyglądający jak obrzydliwy robak. Mężczyzna nie mógł złapać tchu. Wyglądał, jakby brał udział w bójce.

- Jeśli szukasz tu pomocy, to się przeliczyłeś - oświadczył Bill, gdy tylko rozpoznał przybysza, którego najwyraźniej nie zaskoczyły jego słowa, ale nie ruszył się z miejsca.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale dyszał tak ciężko, że nic nie można było zrozumieć.

- Won - rzucił mu Bill i zaczął zamykać drzwi.

- Nie - wydyszał przybysz, szarpnął się do przodu i zablokował je stopą. - Musisz iść ze mną.

- Aż się zdziwisz... - Ale w tym samym momencie Bill zauważył, że po twarzy człowieka płyną nie tylko krople deszczu, ale i łzy.

- Rachel - wyszeptał przybysz. - Wypadek...

Bill Vale z niedowierzaniem zajrzał w oczy Tony'ego Glovera.

- Kto to? - zawołała pani Vale z piętra. - Bill, co się stało? O co chodzi?

Bill złapał Glovera, obrócił go i uderzył nim w ociekającą wodą zewnętrzną ścianę budynku. Jego głos stał się zimny i ostry jak brzytwa.

- Gadaj, co jej zrobiłeś!

Powieki Glovera opadły, zupełnie jakby miał zemdleć. Śmierdział benzyną. Z rynien wylewały się strumienie wody, zupełnie jak miniaturowe wodospady.

- Uciekaliśmy - wychrypiał Glover - samochodem... Uciekaliśmy. Bill zmarszczył twarz. Glover... uciekał z Rachel? Ale jakim cudem to...

- Dziecko... będziemy mieli dziecko...

Bill nagłym ruchem przycisnął latarkę do gardła Glovera.

- Gdzie ona jest?

Natarczywość tego pytania najwyraźniej pomogła Glove-rowi wziąć się w garść.

- Na wrzosowisku - odparł. - Zostawiłem ją tam i poszedłem po pomoc.

Byłeś najbliżej... - Glover najwyraźniej odzyskał już siły. Uwolnił się od chwytu Billa. - Nie rozumiesz? - warknął, cofając się. Potknął się przy tym i rozłożył ramiona, żeby zachować równowagę. - Rozbiliśmy się.

Rozbiłem samochód. Rachel jest nieprzytomna. I potrzebuje lekarza.

Natychmiast!

Ostatnie słowo przeszło w krzyk. Natychmiast.

Glover miał rację. Musieli działać natychmiast. Myśl o Rachel, nakazał sobie Bill. Tylko o niej. Zapomnij o wszystkim, co poza tym usłyszałeś. Rachel... nieprzytomna... na wrzosowisku... Zaczął rozważać, jakie mają możliwości. Po drodze mogliby wstąpić po ojca Pearl, doktora Glaistera. Ale doktor wyjechał na konferencję... Pearl tak mówiła, kiedy wpadła po południu do Rachel... Pozostawał doktor Barnard, który mieszkał w osadzie dwie mile na wschód od miasta. Ale ponieważ telefony nie działają, nie można sprawdzić, czy jest w domu... Przecież mógł wyjść na wizytę... a wtedy straciliby masę cennego czasu. Poza tym Rachel może potrzebować bardziej specjalistycznej pomocy, niż mógłby jej zapewnić małomiasteczkowy doktor. W takim wypadku trzeba się będzie jak najszybciej dostać do szpitala w Barnstaple...

Podjął decyzję. Należy najpierw dotrzeć do Rachel. Najszybciej, jak się da. Potem zdecyduje, co dalej, jak już będzie wiedział, w jakim siostra jest stanie: albo zawiezie ją do domu i poszuka lekarza, albo do Barnstaple na ostry dyżur...

- Lepiej się módl, żeby nic jej się nie stało - powiedział do Glovera.

Ten pokiwał głową w milczeniu.

- Mój samochód jest na Lydgate Lane. - Bill odwrócił się, żeby pobiec na górę po kluczyki, ale Glover pokręcił głową.

- Nie. Wzięliśmy go. Rozbiliśmy twój samochód. Przyjął to w milczeniu. Nie obchodził go teraz wóz. Niepokój o Rachel wyparł z jego umysłu wszystkie inne troski.

- Bill, odezwij się! - ponownie zawołała pani Vale. - Co się dzieje?

Jej głos dobiegał z bliższej odległości, zapewne podjechała wózkiem do szczytu schodów. Bill nie odwrócił się, by to sprawdzić. Jeśli jej powtórzy, co usłyszał od Glovera, będzie

się zamartwiać na śmierć. Lepiej ją okłamać, póki nie przekona się, co z Rachel. Popatrzył w oddzielającą domy alejkę i nagle wpadł na pomysł.  
- To Giles! - zawołał. - Jedzie do Lewisa Cooka zobaczyć jego nowy telewizor. Podwiezie mnie do Pearl!

I nie czekając na odpowiedź matki, pobiegł do sklepu po apteczkę, którą trzymał pod ladą.

- Rusz się - warknął do Glovera, zamykając drzwi domu.

- Ale bez samochodu... jak...?

Motor na pewno nie byłby odpowiednim środkiem transportu dla Rachel, ale obok niego stała zaparkowana dostawcza furgonetka marki Citroen, należąca do Gilesa Weatherly'ego. Sąsiad pożyczał im ją czasem przy dużych dostawach do sklepu. Bill na własne oczy widział, jak mniej więcej godzinę temu Giles poszedł do Cooka na piechotę, dlatego bez wahania sięgnął pod prawe przednie nadkole i wyciągnął zapasowe kluczyki.

Pomyślał o Emily. Sea Catch Cafe sąsiadowała z domem Cooka. Nagle bardzo zapragnął znaleźć się blisko niej.

- Wsiadaj - polecił Gloverowi, otwierając drzwiczki.

Kiedy Bill wyprowadził furgonetkę z podwórka na główną ulicę, w miasteczku na powrót zapaliły się światła. Uliczne lampy rozbłysły, nadając nagle realność szaleństwu ostatnich kilku minut. Miał nadzieję, że matka nie wygląda z okna. A jeśli wygląda, to stary dąb ukryje przed nią fakt, że obok niego siedzi Tony Glover. Nagle uświadomił sobie, że po raz pierwszy od czasu śmierci ojca opuścił dom, nie zamykając drzwi wejściowych na klucz. Złapał mocniej kierownicę. Jego dłonie były poplamione krwią Glovera.

- Opatrz sobie twarz - polecił, podając mu apteczkę. A ponieważ Clover nawet nie drgnął, rzucił mu ją na kolana.

- To nieważne - odparł Glover. - Tylko dojedźmy do Rachel.

Przyspieszając za skrzyżowaniem, Bill rzucił okiem w lewo, na most Południowy. Przez chwilę miał wrażenie, że most znajduje się pod wodą, że błyszczy jak melasa w świetle latarni, jakby rzeka przelała się przez niego i lada chwila miała zatopić ulice. To na pewno tylko złudzenie. Zwykłe złudzenie wywołane mrokiem i deszczem. Rzeka nie mogła wezbrać tak bardzo w tak krótkim czasie.

Podjeżdżając w gwałtownej ulewie pod wzgórze Summerglade, Bill myślał o matce, samej w domu, i o Emily, samej w Sea Catch Café. Żałował, że nie poszedł do niej wcześniej i nie sprawdził, jak sobie radzi. Ale worki z piaskiem mogły poczekać. Rachel była teraz najważniejsza. Silnik furgonetki protestował głośno, a miasteczko usuwało się powoli w dół. Kierunek myśli Billa nagle się zmienił. Dziecko. Dziecko. Dziecko. J e g o dziecko. Dziecko G l o v e r a. Ta myśl wciąż mu się wymykała. Jakby nie potrafił jej pojąć. Glover i jego siostra. Dziecko. I c h dziecko. Rachel uciekała z Gloverem. Więc to Glover był tym chłopakiem, z którym się widywała w tajemnicy? Czy Emily wiedziała? Czy dlatego nie chciała mu powiedzieć, kto to jest? I czy wiedziała też, że zamierzają uciec?

Wjechali na wzgórze i skręcili w prawo, w drogę przez wrzosowiska, tę samą, którą jechał z Emily pewnej gorącej, letniej nocy. Rzucił okiem na Glovera, na krew na jego twarzy, a potem na krew na swoich dłoniach. Wyobraził sobie, jak Tony biegnie do miasteczka, żeby sprowadzić pomoc. Pomyślał o Rachel, małej Rachel. Nie chciał zobaczyć jej krwi. Oddałby wszystko, żeby... żeby tylko nic jej się nie stało...

Nagle przestało mu przeszkadzać, że obok niego siedzi Glover. Nic go nie obchodziło, że Rachel chciała wyjść za niego za męża i mieć z nim dzieci. Mogła robić, co chciała, pod warunkiem, że nic jej się nie stało. O ile nic jej się nie stało... O ile nie była już...

- Tam - wykrzyknął Glover, wskazując przed siebie.



- Jezu Chryste - jęknął Bill. Wielki kasztanowiec leżał w poprzek drogi. Jowett jupiter, którego wraz z Richardem Homerem przez tyle miesięcy doprowadzali do porządku, wbił się głęboko w jego pień.

Pustkowie... nawet teraz, po ciemku, Bill był pewniczn, że właśnie tu Emily zabrała go tamtej nocy.

Ściskając w ręku apteczkę, Glover wyskoczył na drogę, nim furgonetka zdążyła się zatrzymać. Bill wdepnął hamulec i wysiadł prosto w wichurę. Ruszył biegiem za Gloverem w strumieniach rzęsistego deszczu i dogonił go jakieś trzy metry od wraku samochodu. Rachel leżała wtulona w gęste listowie drzewa, a obok niej stała otwarta torba, której zawartość - sweter, spodnie i koszule - została narzucona na jej ciało w pośpiechu, w szaleńczej próbie zapewnienia jej osłony przed deszczem.

Glover ukląkł przy niej w błocie, całując ją i szepcząc jej imię. Bill stał za nim i tylko patrzył. Jego siostra nawet nie drgnęła. Nagle dotarło do niego, że Glover płacze, rozpaczliwie, żałośnie. Wyciągnął z kieszeni latarkę i oświetlił mokre plecy Tony'ego oraz twarz Rachel. Miała rozcięte ucho, a prawy policzek siny i spuchnięty. Żadnego ruchu, nic. Bill wyciągnął rękę, żeby odsunąć Glovera.

Nagle zamarł. Ponieważ w tej właśnie chwili Rachel ocknęła się i otworzyła usta.

- Tony - to było pierwsze słowo, jakie wypowiedziała. Bill patrzył na nich. Dwoje ludzi, którzy tworzyli całość.

Bogu dzięki, nic się jej nie stało.

- Możesz się ruszać? - pytał Glover. - Możesz ruszać nogami?

- Tak. Jylko głowa mnie boli... i żebra... - w jej głosie zabrzmiała panika. - Ocknęłam się, a ciebie nie było... Wróciłam do samochodu... szukałam cię...

- Poszedłem po pomoc... Po twojego brata...

- Bill?

Bill otarł łzy z oczu i nachylił się tak, żeby mogła go zobaczyć. Dotknął dłonią jej zmarzniętego policzka.

- Och, Bill - wyszeptała, biorąc jego rękę w swoje dłonie i całując.

- Zawieziemy cię do Barnstaple - powiedział.

- Nie - spróbowała wstać. Bill i Tony pomogli jej utrzymać równowagę. - Chcę do domu. - Spojrzała poprzez deszcz na drogę. Kiedy podniosła na nich oczy, czaił się w nich strach. - Tu jest zbyt niebezpiecznie.

Bill obejrzał stłuczenia na jej twarzy. Nie wydawały się poważne. Być może doznała wstrząsu mózgu, ale z tym mógł sobie poradzić doktor Barnard. I miała rację co do drogi. Skoro już tu leżało zwalone drzewo, nie było żadnej gwarancji, że w ogóle dostaną się do Barnstaple.

- Dobrze - zgodził się więc. Kiedy odwiezie ją do matki, poszuka doktora Barnarda. - Wracamy do domu. - Tu spojrział na Glovera. - Wszyscy.

## Rozdział XXIII

### Majorka, współcześnie

W domu - oznajmił Archie z tylnego siedzenia porsche, kiedy Sam wyłączył silnik.

- Podobało ci się dzisiaj? - zapytał Sam, odwracając się do synka. - Dobrze się bawiłeś?

- Tak. Serwałem ryby.

- Obserwowałem - poprawił go Sam.

- Obserwałem ryby...

- Nie... - Sam znów zaczął go poprawiać, ale dał spokój, nagle znużony. - Albo tak, Archie: obserwaleś ryby.

Znajdowali się w podziemnym garażu pod budynkiem, w którym mieścił się ich apartament. Właśnie wrócili z wycieczki do Reserva Africana, parku zoologicznego dla zmotoryzowanych, położonego koło Porto Cristo. Sam wyłączył trzeszczące radio i patrzył przez pokrytą rozbitymi owadami przednią szybę samochodu na zbudowaną z pustaków ścianę garażu. Serce biło mu nierówno, tłukąc się w piersi jak uwięziony ptak. Specjalnie - żeby cały czas pamiętać o Laurie - miał na sobie to samo ubranie co wczoraj po południu. Na koszuli czuł lekki zapach jej perfum. Dlatego kiedy zamykał oczy - tak jak teraz - mógł udawać, że jest przy niej. Tak bardzo za nią tęsknił. Nawet coś tak prostego jak siedzenie razem w samochodzie wydawało mu się prawdziwym cudem. Ponieważ tyle trzeba było jeszcze zrobić, żeby to osiągnąć.

Wiedział, że Laurie szaleje pewnie z niepokoju, nie mając pojęcia, co się z nim dzieje. Chciał do niej zadzwonić, ale nie mógł. Nie przed rozmową z Claire i póki nie będzie miał jej do powiedzenia czegoś konkretnego.

A Claire nie była dziś rano w stanie umożliwiającym jakiegokolwiek rozmowy. Więc musiał cierpliwie czekać. I wypełnić czymś czas oczekiwania. Był tak zdenerwowany, że czuł mdłości.

- Tata...

- W porządku. Już. - Otworzył oczy i sięgnął do klamki. Wysadził Archiego z samochodu i poprowadził skapanym w blasku światełek parkingiem do windy. Po drodze liczył żółte, namalowane na miejscach parkingowych numery mieszkań, a potem nasłuchiwał szumu zjeżdżającej z góry windy. Kiedy czekali, Archie tarł butem o betonową posadzkę. Małe czerwone żaróweczki umieszczone w podeszwach jego adidasów zapalały się i gasły.

Te widoki i dźwięki... już teraz wydawały mu się wspomnieniem. Czy właśnie tym stanie się wkrótce dla niego to miejsce?

Kiedy winda wiozła ich w górę, na ostatnie piętro, wrócił myślami do dnia spędzonego z synkiem. W nocy spał na kanapie w pokoju Archiego, żeby uciec przed przyjęciem. A kiedy obaj z Archiem wstali, Claire właśnie szła do łóżka.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział.

- Potem - odparła, znikając w sypialni.

W salonie było aż sino od papierosowego dymu. Zaczął pomagać Isabel zbierać butelki i popielniczki.

- Niech pan idzie - poprosiła niania. - Niech pan zabierze Archiego na dwór.

Posłuchał i zabrał go w pierwsze miejsce, jakie mu przyszło do głowy: Reserva Africana. Przejechali powoli przez park zoologiczny, a synek stał mu na kolanach i krzyczał z radości na widok małp, które zeskakiwały z drzew na samochód. Potem pojechali na plażę, zjedli lunch i lody, po

czym zajęli się rysowaniem na piasku zebra i antylop patykami wyrzuconymi przez morze.

Same wspomnienia. Wspaniałe. Chociaż nawet na sekundę nie przestał myśleć o Laurie, o tym, co wczoraj zrobili i jak bardzo wszystko się przez to zmieniło.

Archie i Laurie... Laurie i Archie... to niemożliwe, żeby któreś z nich musiało stać się wspomnieniem. Pragnął mieć ich oboje. Na zawsze. Nie chciał z żadnego rezygnować.

Ponownie znalazł się w punkcie wyjścia, rozdarty pomiędzy rodziną a kobietą, którą kochał.

Claire... Czuł się winny, że chce ją opuścić. Ale czy naprawdę będzie to dla niej takie okropne, jeśli odejdzie? Jakoś nie mógł w to uwierzyć.

Pomyślał o zorganizowanym przez nią przyjęciu i o tym, że szła spać rano, kiedy on właśnie wstawał. Przecież ich drogi rozeszły się już dawno temu!

Przypomniawszy sobie własną determinację, kiedy trzy lata wcześniej wracał z Francji na Majorkę. Był wtedy zdecydowany porzucić wszystko dla Laurie. Zamierzał się uwolnić od Claire i wcale nie miał skrupułów, że zdradza Tony'ego i Rachel, że odrzuca przyszłość, jakiej dla niego chcieli. Zamierzał zostawić to wszystko i rozpocząć nowe życie u boku Laurie.

A jednak jego determinacja minęła w chwili, gdy dowiedział się o Archiem. Zawodziła go również i dzisiaj, ponieważ synek był teraz czymś więcej niż tylko bezkształtnym zbiorem komórek w brzuchu Claire. Chodził, mówił i trzymał Sama za rękę. A Sam nigdy nie zamierzał puścić jego dłoni.

Na elektronicznym wyświetlaczu windy zmieniały się numery mijanych pięter. Ścisnął mocniej rączkę Archiego.

Kto powiedział, że musi stracić synka, jeśli opuści Claire? Może będzie go mógł ze sobą zabrać? Nie rozmawiał jeszcze

O tym z Laurie, ale był pewien, że będzie gotowa zastąpić mu matkę. Jeśli go kocha, z pewnością nauczy się kochać i jego syna.

Jednak w głębi duszy wiedział, że to niemożliwe. Jeśli spróbuje odebrać Archiego Claire, żona zacznie walczyć z całych sił. Nie tyle ze względu na syna - choć Sam był pewien, że na swój sposób go kocha - ale przeciw mężowi. Dlatego że ją zostawi. Dlatego że ją porzuci. I dlatego że po raz pierwszy w życiu nie będzie mogła postawić na swoim.

A Rachel... cudowna, mądra i pełna zrozumienia Rachel, którą Sam kochał, która odwzajemniała jego miłość i która przyjęła go do swej rodziny i firmy. Rachel zwróci się przeciwko niemu natychmiast, gdy pojmie niebezpieczeństwo, jakie grozi jej rodzinie. Kukułcze jajo, tak będzie o nim myśleć. Kukułcze jajo, które próbuje jej ukraść ukochanego prawnuka. I które posiada pięć procent udziałów w jej firmie.

Sam westchnął. O czym on myśli? Że Laurie zostanie matką Archiego? Że Claire zacznie z nim walczyć? I że Rachel będzie jej w tym pomagać? Zwolnij, nakazał sobie. Za bardzo wyprzedzasz fakty. Jeszcze nawet nie zebrałeś się na odwagę, żeby powiedzieć Claire, że odchodzisz. Nawet nie wiesz, czy w ogóle znajdziesz dość odwagi, by jej o tym powiedzieć. Drzwi windy otworzyły się z cichym sykiem i Sam wyszedł wraz z Archiem na korytarz. Na ostatnim piętrze budynku znajdował się wyłącznie ich apartament. Popatrzył na białe drzwi wejściowe prowadzące do mieszkania.

- Archie - powiedział, klękając przed synkiem i biorąc go za ramiona. Chłopiec roześmiał się i zaczął się wykręcać, myśląc, że to jakaś zabawa.

- Nie, poczekaj - spróbował go uspokoić Sam. - Chcę, żebyś posłuchał. Synek zmarszczył brwi. Najwyraźniej wyczytał coś w oczach Sama, bo znieruchomiał.

- Gdyby tatuś musiał na trochę wyjechać... - zaczął Sam.

- Wyjechać?

- Tak, wyjechać. No wiesz, jak na wakacje albo...

- Wakacje? - Archie uśmiechnął się szeroko.

- Nie, nie pojedziemy na wakacje - zrezygnował Sam. Musi spróbować wyjaśnić mu to inaczej. - Czasami - zaczął - kiedy dorośli się kochają... czasami mamusie i tatusiowie...

- Chcę oglądać Shreka! - wykrzyknął Archie.

Sam puścił go i patrzył, jak biegnie do drzwi mieszkania. To bez sensu. Jest za mały, żeby zrozumieć. A skoro jest za mały, żeby zrozumieć, co ojciec chce mu powiedzieć, jeszcze mniej zrozumie, kiedy tata zniknie. Sam zawahał się. Może powinien spojrzeć na to z drugiej strony i czerpać pociechę z tego braku zrozumienia? Bo skoro jest za mały, żeby zrozumieć, to może jest i za mały, żeby pamiętać? Za mały, żeby obwiniąć?

- Mama! - krzyczał Archie, radośnie waląc piąstkami w drzwi.

Sam podniósł się. Zbyt mały, żeby pamiętać? Przy Rachel i Claire, które będą mu o tym bez przerwy przypominać? Niewielka szansa.

Drzwi otworzyła Isabel.

- Shrek! - krzyknął do niej Archie.

- Nie - zaprotestował Sam.

- Nie? - zdziwiła się niania.

- Nie. Chcę, żebyś go zabrała na spacer albo do sklepu z ciastkami, albo gdzie zechcesz. Zabierz telefon. Zadzwoń, jak będę chciał, żebyś wróciła. Idźcie natychmiast, dobrze?

Isabel wzięła torebkę leżącą na stoliku w przedpokoju. Zaskoczona, najwyraźniej przekonana, że ma to coś wspólnego z bałaganem, jakiego narobili przyjaciele Claire, minęła Sama, nie patrząc mu w oczy, i nacisnęła przycisk windy.

- Kocham cię - powiedział Sam, biorąc Archiego w ramiona i przytulając. Nie był w stanie spojrzeć mu w twarz.

- Ja też cie kocham, tata - odparł Archie, po czym pobiegł do Isabel. - Ciasteczko! - wykrzyknął, kiedy drzwi windy się otworzyły.

Sam wszedł do mieszkania i rozejrzał się uważnie po salonie. Na środku stała czarna, skórzana kanapa od Robina Daya, którą Claire sprowadziła tu z Londynu, puf marki David Design i szklany stolik do kawy projektu Merrow Associates. U sufitu wisiał „balowy” świecznik od Toma Dixtona, który przywiozła w zeszłym roku z targów meblowych w Mediolanie. Po prawej stronie, pod ścianą, stał robiony na zamówienie barek, a przed nim cztery stolki barowe od Azumiego, ze stali nierdzewnej i drewna orzechowego.

Znał nazwiska projektantów tych mebli nie dlatego, że interesowała go panująca ostatnio moda retro, która tak pociągała Claire, ale ponieważ tyle razy słyszał, jak żona przechwalała się nimi przed przyjaciółkami. Szukał w tym pokoju chociaż jednej rzeczy, którą sam by tu umieścił, chociaż jednego własnego wkładu w publiczny wizerunek swojej rodziny. Ale nic nie znalazł.

Jego rzeczy, rzeczy Archiego... tu ich nie było. Nawet ich zdjęć ani zdjęć brata czy rodziców Sama. Zwróciła na to uwagę jego matka, kiedy złożyła im wizytę, już prawie rok temu.

- Nie chcę zagrabić tego pokoju - wyjaśniła Claire, choć doskonale wiedziała, że salonik matki Sama wygląda jak galeria zdjęć rodzinnych. Zresztą za pomocą podobnej wymówki broniła się przed zabawkami Archiego.

- To jest pokój dorosłych - mówiła. - Nie chcę go zniszczyć.

Rzeczy Sama, rzeczy Archiego... znajdowały się gdzie indziej, ukryte. Rzeczy Sama w jego gabinecie. Rzeczy Archiego w pokoju dziecięcym. Oddzielone. Zasufladkowane. Czy oni sami też zostali zaszufladkowani w ten sposób?

Spojrzał na obraz olejny przedstawiający klasztor Świętego Bartłomieja, który oglądali wczoraj z synkiem. Dzieło z końca dziewiętnastego wieku, niepasujące do reszty pokoju, prezent od Tony'ego dla Claire. Na ten sam obraz patrzył



dziewięć lat temu, w jej ówczesnym mieszkaniu, kiedy po raz pierwszy się z nią przespał.

Zastanawiał się wtedy, jakie będzie jego życie za kilka lat. No cóż, teraz już wiedział. Zakochał się wtedy do szaleństwa w życiu Claire, chciał stać się jego częścią, częścią całej rodziny Gloverów. I to się ziściło.

Podciągnęli go do swego poziomu. Ale Sam Delamere, niegdyś indywidualista i marzyciel, nie pasował do tego pokoju tak samo jak ten stary obraz. Mieszkał tu teraz Sam Delamere, przedsiębiorca, który każdą swoją decyzją wpychał sam siebie głębiej do więzienia.

- Boże, ależ się czuję wypluta - stwierdziła Claire. Stała w drzwiach sypialni, ubrana w zielone jedwabne kimono w złote smoki. Włosy miała mokre po kąpieli.

- Dziwisz się?

- Och, Sam, nie zaczynaj - jęknęła. - Nie mam nastroju.

- Po czym dodała nagle: - Och!

- Co?

- Zapomniałam ci powiedzieć: Laurie dzwoniła wczoraj wieczorem, jak brałeś prysznic...

Natychmiast wpadł w panikę. A jeśli Laurie się rozmyśliła? Zdołał się jednak opanować. Kochał ją. Zawsze. A ona również nigdy nie przestała go kochać. Musiał dowieść, że jest wart jej uczuć.

- Czego chciała?

- Mówiła coś, że zepsuła się brama wjazdowa. Nie pamiętam dokładnie. - Claire rozejrzała się po pokoju. - Isabel!

- zawołała. - Znowu zabrakło odżywki do włosów - poskarżyła się Samowi. - Isabel! - zawołała ponownie, tym razem głośniejszym głosem.

- Wyszła - poinformował ją Sam. Czuł, jak na czoło występują mu krople potu, a serce wali jak młotem. Starał się nie myśleć o tamtych atakach... na pogrzebie Tony'ego... i potem w łóżku, z Claire...

- Dlaczego?

Zaczął oddychać bardzo powoli. Liczył w myślach: jeden hipopotam, dwa hipopotamy, trzy... Tamte ataki pojawiały się dlatego, że oszukiwał się co do Laurie. Ustały, kiedy porozmawiał z nią podczas przyjęcia na „Angel”.

- Dlaczego? - powtórzyła pytanie Claire.

Teraz nie oszukiwał się już co do Laurie. Już nie udawał, że nie chce z nią być. Nie wolno mu stchórzyć! Czy znowu ma być tak samo? Znowu ma ją zawieść?

- Bo kazałem jej zabrać Archiego z domu - wyjaśnił.

- Dlaczego?

Serce waliło mu teraz głośno. Archie... jego synek...

- Musimy porozmawiać.

- Słuchaj, jeśli ci chodzi o to, że Toby stłukł blat stolika, to nie masz się czym przejmować. Oddam go do naprawy.

- Nie chodzi o stolik.

Wyglądała tak, jakby mu nie uwierzyła.

- Świetnie - stwierdziła. - A pozwolisz, że się najpierw ubiorę?

- Oczywiście.

Wyszedł na balkon i wyjął marlboro z paczki, którą ktoś zostawił na stoliku. Nie palił od dnia, kiedy Claire powiedziała mu, że jest w ciąży, ale teraz zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. A potem zobaczył, że trzęsą mu się ręce. Jego oddech znów stawał się płytki.

## Rozdział XXIV

Stepmouth, 15 sierpnia 1953, godzina 20.17

Tony czuł na szyi oddech Rachel. Zdrętwiała mu ręka, którą obejmował ją z całych sił, ale wcale nie zmierzał jej cofnąć. Rachel żyła. Nie zabił jej podczas kraksy. A tak straszliwie się tego obawiał...

Znajdowali się teraz mniej więcej w połowie zbocza Summerglade, siedząc w trójkę na przednim siedzeniu furgonetki Gilesa Weatherly'ego. Pomiedzy ruchami wycieraczek deszcz zalewał przednią szybę tak gwałtownie, jakby chlustano na nich wodą z wiadra. Bill prowadził w milczeniu, skupiony i wpatrzony w drogę przed sobą. Cokolwiek myślał, zatrzymał dla siebie. Jeszcze na wrzosowisku wyciągnął z furgonetki koc i otulił nim szczelnie Rachel.

Po tej wyprawie po Billa Tony'ego paliły mięśnie, jakby je ktoś ścisnął w imadle. Twarz miał pooraną i zaczerwienioną od wichru i deszczu, a rozcięcie na szczęce pulsowało bólem w rytmie uderzeń serca. Nagle przed oczami pojawił mu się obraz matki Rachel, która czekała teraz na syna i córkę. Kiedy dojadą na miejsce - oczywiście wezwą policję. A potem...

Tony delikatnie położył rękę na brzuchu Rachel. Niech robią, co chcą, pomyślał. Miał zostać ojcem. Ojcem. To stąd czerpał siły, by dążyć naprzód, nim burza pokrzyżowała im plany. I dzięki temu potrafił się trzymać i teraz. Przetrwa tę noc i wszystko, co mu ona przyniesie. Wygra.

Nagle furgonetka zatrzymała się z poślizgiem.

- Co się stało? - zapytał Tony.

Ignorując jego pytanie, Bill gwałtownie zaciągnął ręczny hamulec i wysiadł z samochodu.

- Bill? - zawołała Rachel, ale również nie dostała odpowiedzi.

Pochyliła się do przodu, żeby zobaczyć, co robi Bill, i jęknęła. Widać bolały ją potłuczone żebra. Przed nimi, w dole, w ulewnym deszczu lśniły światła Stepmouth. Wyglądały zupełnie jak flotylla łodzi rybackich podczas morskiej burzy.

- Pójdę sprawdzić - szepnął jej w ucho Tony.

Kiedy wysiadł z samochodu, poczuł nie tylko gwałtowne uderzenie wiatru, ale również dziwny chłód w stopach. Pojął dlaczego, gdy spojrzał w dół: stał w samym środku strumienia wody, głębokiego po kostki i mknącego coraz szybciej po pochyłości w kierunku miasteczka.

Bill tkwił po drugiej stronie samochodu, napięty jak pies myśliwski, który wyczuł zwierzynę. Idąc za jego wzrokiem, Tony również zagapił się w milczeniu w przestrzeń przed sobą.

Od miejsca, w którym się zatrzymali, do skrzyżowania wyznaczającego początek miasteczka dzieliło ich jeszcze jakieś dwadzieścia metrów opadającej stromo w dół drogi. Tony chodził nią w obie strony tyle razy, że znał ją lepiej niż własne odbicie w lustrze.

Ale skrzyżowanie znikło. Czy raczej przestało być widoczne. W jego miejscu płynęła rzeka. Wezbrana, spieniona rzeka.

Z początku Tony sądził, że widzi ciąg dalszy strumienia spływającego po zboczach. Ale potem spojrzał w prawo. Most Południowy, choć nadal stał, był już na wpół zatopiony. Pełnił teraz funkcję nie tyle mostu, co tamy. Coś musiało zablokować jego przelot, a rzeka zrobiła to, co zawsze robi woda w takich sytuacjach: poszukała sobie innej drogi. Przełała się przez brzegi koryta jak krew z rozerwanej tętnicy i ruszyła tam, gdzie napotkała najmniejszy

opór. Stąd wielki, czarny wąż rzeki Step pełził główną ulicą, niecierpliwie okrążając ściany i drzwi szeregowych domków i zamykając w pułapce ich mieszkańców.

- Poczekaj tutaj - nakazał Bill.

Tony w milczeniu obserwował, jak brat Rachel biegnie do furgonetki i wsiada. Zazgrzytały biegi, a potem samochód zaczął się cofać pod górę, na wzgórze. Osłaniając oczy przed światłem reflektorów, Tony obserwował tę mozolną wspinaczkę: dziesięć metrów, dwadzieścia, jeszcze trochę... Czekał: nic. Minęło trzydzieści sekund, czterdzieści pięć... światła reflektorów przygasły, potem zgasły zupełnie... usłyszał trzaśnięcie drzwiczek... A potem obok niego z ciemności wynurzyła się męska postać.

- Moja matka i Emily. Musimy je stamtąd wydostać - oświadczył Bill.

Tony był tak zmęczony, że miał ochotę zasnąć nawet tu, na drodze. Nie zamierzał nigdzie chodzić. Zamierzał zostać przy Rachel, bez względu na sytuację.

- Dlaczego? - zapytał. - Nie lepiej poczekać do rana? Pójdziemy po nie, jak się rozwidni. W domu są bezpieczne. W przeciwieństwie do nas...

- Dlatego że tam na dole wkrótce zrobi się gorzej. Znacznie gorzej.

Popatrzyli na siebie, a potem Tony znów spojrzał na główną ulicę.

Dlaczego Bill sądził, że będzie gorzej? I na ile g o r z e j mogło się jeszcze zrobić? Partery wszystkich domów zostały już dawno zalane i zniszczone. Poza tym kim dla Tony'ego byli ci ludzie? I dlaczego miały go obchodzić ich przemoknięte kanapy?

- Zapomnij - zaprotestował.

Ale Bill go nie słuchał. Osłaniając oczy przed deszczem jedną ręką, drugą wskazał na most Południowy.

- Ten deszcz naniósł do rzeki mnóstwo śmieci... - wyjaśnił. - Gałęzie, liście, przewrócone drzewa... nawet kamienie...

Dlatego most się zablokował... Woda, która zalewa główną ulicę - ciągnął, obracając się i wskazując teraz prosto przed siebie - jest już głęboka na pół metra i zapewne niedługo podmyje fundamenty większości domów... To bardzo słaba konstrukcja... Mieszkałem w takim domu przez całe życie i dostatecznie długo studiowałem inżynierię, żeby wiedzieć... - Znowu wskazał na most. - Rzeka wylała też na drugi brzeg i płynie także po East Street. Czyli dom Emily jest dokładnie w takim samym niebezpieczeństwie...

Miał rację: w świetle latarni Tony widział wyraźnie czarną rzekę, wlewającą się do miasta po drugiej stronie mostu.

- Może Emily już się ewakuowała - wyraził przypuszczenie.

- Nie sądzę. W mieście nie wygląda to tak jak stąd. Nie, muszę mieć pewność.

- A co z Rachel? - spytał Tony. - Nie możemy jej tu zostawić!

- Prawdziwym zagrożeniem jest rzeka, a nie woda, która spływa ze wzgórza.

Tony zawahał się. Czyli tutaj jest bezpiecznie? No to może po prostu zostać na miejscu? Niby dlaczego miałby pomagać pani Vale? A Emily... lubił ją, to prawda, ale jego miejsce było teraz u boku Rachel. Otworzył usta, żeby wyrazić swoje zdanie.

- Rachel też tego chce - nie dopuścił go do głosu Bill. Tony znał ją na tyle dobrze, żeby uwierzyć. Był pewien, że gdyby miała dość siły, sama ruszyłaby na ratunek. Popatrzył na Billa z rezygnacją.

- To co mam zrobić?

- Rozdzielimy się - zdecydował Bill. - Tak będzie szybciej. Nie mam pojęcia, ile czasu nam jeszcze zostało.

- Dobra - zgodził się Tony. Z dwóch wypraw, proponowanych przez Billa, ta na East Street była dłuższa i z pewnością trudniejsza. - Pójdę po Emily - powiedział, nie dlatego, żeby coś Billowi udowodnić, ale dlatego, że pani Vale

była ostatnią osobą na świecie, którą chciałby teraz oglądać. Wolał nawet dłuższą drogę, byle tego uniknąć.

Bill nie odpowiedział. Zamknął oczy, najwyraźniej zastanawiając się nad decyzją. Potem pokiwał głową, jakby podsumowując jakąś wewnętrzną dyskusję.

- Nie. Nie masz dość sił, żeby przejść przez most Południowy - zdecydował. - Nie po tym biegu po pomoc... Tony?... Nigdy ci tego nie zapomnę...

Co chciał przez to powiedzieć? - zastanawiał się Tony. Że mu wybaczał? Czy raczej miało to być ostrzeżenie, że nie zapomniał o innych sprawach? Stali się sprzymierzeńcami czy pozostali wrogami? Nie było czasu pytać.

- Ja się przeprawię przez most - dokończył Bill.

- Ale co z twoją matką? Przecież nie może chodzić. Jak mam...

- Zorganizuj pomoc. Wyciągnij sąsiadów z domów, niech ci pomogą wynieść mamę. Powiedz im, co się stało z mostem. Każ im stamtąd uciekać, każ im porzucić domy i dotrzeć gdzieś wyżej.

Tony odwrócił się i pomachał ręką w kierunku furgonetki. Chociaż nie widział Rachel, wiedział, że na nich patrzy. Sam nie wierzył, że ją opuszcza. I to po tym, co już dzisiaj razem przeszli. Rozumiał jednak, że uratowanie pani Vale to jedyny sposób, jaki im z Rachel pozostał, żeby zdobyć akceptację jej rodziny. Dlatego zrobi to, ale nie dla tej kobiety, która go nienawidzi, tylko pomimo niej. Zrobi to dla siebie, dla Rachel i dla rodziny, którą wkrótce się staną. Wykorzysta daną mu szansę, żeby udowodnić Billowi, jego matce i wszystkim mieszkańcom miasteczka, którzy sądzili, że jest nic niewart, jak bardzo się mylą.

Ramię w ramię z Billem pokonali ostatnie dwadzieścia metrów zjazdu ze wzgórza Summerglade. Im bardziej zbliżali się do miasta, tym więcej widzieli oznak życia: sylwetki ludzi wyglądających z okien; psa, który rozpaczliwie starał

się płynąć pod prąd - rzeka obróciła go jednak i zniknął ze skowytem w jej nurcie. Dobięły ich też dźwięki: grzmot, poprzedzony suchym trzaskiem błyskawicy; ryk wody uwalniającej się spod mostu. Daleko, nad samym nadbrzeżem, Tony zauważył coś, co przypominało sterowiec. Niestety zaraz znikło.

Kiedy dotarli do skrzyżowania, żaden z nich nie zwolnił kroku. Razem weszli w lodowato zimną wodę.

- Która godzina? - krzyknął Tony.

- Dwadzieścia pięć po ósmej! - odkrzyknął Bill.

Tony przysięgł sobie, że za kwadrans dziewiąta wyjdzie z tej wody razem z matką Rachel i znajdzie jakieś bezpieczne miejsce. Że do tej pory będzie już po wszystkim.

- Odtransportuję ją w bezpieczne miejsce do za kwadrans dziewiąta - zawołał do Billa, jakby głośnie wypowiedzenie tych słów mogło w jakiś sposób wpłynąć na wykonalność czekającego go zadania. - Przysięgam. Zobaczymy się na wzgórzu. Powodzenia!

- Powodzenia!

Rozdzielili się. Bill ruszył w poprzek, przez wodę, a Tony wraz z nurtem w kierunku głównej ulicy.

Ukryty pod wodą bruk był śliski jak rybie łuski. Tony rozłożył ramiona, jak akrobata chodzący po linie. Kiedy ślizgał się i potykał, miał wrażenie, jakby się uczył jeździć na wrotkach. O uda ocierały mu się niesione wodą szczątki.

Po drugiej stronie skrzyżowania złapał się za narożnik domu stojącego na rogu głównej ulicy i Granville Road. Drewniane szyldy nad pubami Channel Arms i Smuggler's Rest trzepotały na wietrze, połyskując zapraszająco pod oświetlającymi je żarówkami. Nagle ktoś go zawołał. Uniósł głowę i zobaczył pana Tylera, nauczyciela, który niegdyś uczył go czytać. Wychylał się z okna na piętrze.

- Most - zawołał do niego Tony. - Zrobił się tam zator! Niech pan zabierze rodzinę na wzgórze! Bill Vale... on mówi, że tu jest zbyt niebezpiecznie!



Nie usłyszał odpowiedzi. Uderzył w niego nagły podmuch wiatru, wyjąc jak potępieniec. Przytrzymując się ceglanej ściany, Tony obszedł budynek i znalazł się na głównej ulicy. Po chwili dotarł do kolejnego budynku. Uczepił się futryny drzwi frontowych i zaczął walić w drzwi pięściami, raz za razem.

- Kto tam? - zapytał ktoś wreszcie przez otwór na listy. Tony przykucnął, zanurzając się w wodzie po pas. Przez szparę w drzwiach patrzyła na niego para przerażonych oczu.

- Tony Glover, czy to ty? - krzyknął ten ktoś, starając się przekrzyczeć wiatr.

Dzięki Bogu. To był Wilfred Lee. Matka Tony'ego знаła go jeszcze ze szkoły. Tony pospiesznie przekazał mu ostrzeżenie Billa na temat mostu, po czym wyjaśnił, że przyszedł tu po panią Vale. Nie zadając żadnych pytań, Wilfred zaoferował pomoc w przeniesieniu jej w bezpieczne miejsce.

- Tylko się ubiorę - powiedział. - Idź do niej, niech się przygotuje do wyjścia, a ja do ciebie dołączę.

Tony spojrział na drugą stronę ulicy. Woda zaczęła się już podnosić. Sięgała mu teraz do bioder.

Dokładnie naprzeciw niego znajdował się sklep Vale'ów, a po jego prawej stronie sklep żelazny Gilesa Weatherly'ego. Przed alejką rozdzielającą oba budynki stał wielki dąb, na który wspiał się w czerwcu, żeby zobaczyć Rachel. Solidność tego drzewa podziała na niego uspokajająco, choć widział, że pień zanurza się w wodzie i że alejka też jest już zalana.

W sklepie żelaznym było ciemno. Światło paliło się natomiast w oknie na piętrze, nad sklepem Vale'ów. Tony nagle zauważył w nim ciemny kształt głowy. Zapewne pani Vale. Czy go zauważyła? Uniósł rękę, żeby do niej pomachać, ale w tej samej chwili zgasła latarnia nad jego głową. W dół posypały się iskry.

Nagle w całym mieście zapadła ciemność. Towarzyszące temu uczucie osamotnienia było okropne, zupełnie jakby

rozmowa, którą przed chwilą odbył z Wilfredem Lee, stanowiła jedynie wytwór jego wyobraźni. Jakby był tu zupełnie sam.

Z początku miał wrażenie jakby patrzył przez gęsty smar, ale po chwili zaczął rozróżniać kształty - domy, okna, drzwi - gdy jego oczy nauczyły się wykorzystywać blade światło nocnego nieba. Wkrótce już tylko woda, w której stał, nadal wydawała się czarna jak smoła.

Najwyraźniej wysiadł prąd. Pomyślał o Donie. Czy miał dziś nocną zmianę w elektrowni? Miał nadzieję, że nie. Miał nadzieję, że ojczym jest teraz w jakimś bezpiecznym miejscu. Pomyślał o matce... i o bliźniakach... i o Rachel...

O wszystkich, których kochał...

Potem w oknie nad sklepem Vale'ów zobaczył światło świecy i przypomniał sobie, po co tu przyszedł. Tak jakby wszystko z powrotem zaskoczyło na swoje miejsce. Ile czasu upłynęło od rozstania z Billem? Pięć minut? Najwyżej dziesięć. Chciał to już mieć za sobą.

Postanowił potraktować światło świecy jak latarnię morską. Niech go zaprowadzi do domu. Zebrał się w sobie i zrobił krok na ulicę.

Natychmiast zauważył zmianę: woda sięgała mu już powyżej pasa, płynęła szybciej i zaczęła go ze sobą unosić.

Ruszył, jak mu się wydawało, po linii prostej, wyciągając w górę ramiona i opuszczając głowę. Ale z każdym krokiem woda spychała go dalej w głąb ulicy, szedł więc chwiejnie, ślizgając się, coraz bardziej po skosie. Trzy kroki... cztery... sześć... Kiedy dotarł na środek ulicy, był już dwa domy poniżej sklepu Vale'ów.

Woda płynęła tu znacznie szybciej i omal go nie przewróciła. Przez chwilę czuł, że obie jego stopy oderwały się od ziemi. Ale jakoś udało mu się nie upaść. Zrobił kolejny krok.

1 jeszcze jeden. Z trudem utrzymywał równowagę pod naporem wody. Jeden krok... drugi... jeszcze jeden i będzie...

Coś wyłoniło się przy nim z ciemności. Rzucił się na to i przytrzymał. Było solidne i zrobione z metalu. Wyprostował się i złapał oddech. Ponieważ znalazł się po tej samej stronie ulicy co sklep Vale'ów, nie widział już świecy w oknie. Jego prywatne światełko nadziei zgasło. Zaczął upadać na duchu.

Wpatrywał się w ciemność, póki nie stwierdził dokładnie, gdzie się znajduje: na przystanku autobusowym przed salą parafialną, tam gdzie w marcu pobił się z Bernie Cunninghamem. Porywy wiatru unosiły plakaty filmowe przyczepione do boku wiaty. Opadały potem na wodę jak długie, spragnione języki.

Popatrzył na drugą stronę ulicy, na ciemną markizę sklepu rybnego, która wydymała się na wietrze jak skrzydło. Obliczył, że od miejsca, w którym rozmawiał z Wilfredem Lee, dzielą go dwa domy. Poczul nagły przypływ paniki. Jaką pomocą będzie dla niego teraz Wilfred? Nawet jeśli uda mu się przedostać na drugą stronę ulicy, jakie mają szanse przenieść panią Vale w bezpieczne miejsce pod prąd?

Nie powinien był tu przychodzić.

Ale przyszedł. A skoro przyszedł, powinien dalej robić swoje. Zatem pod prąd. Pod prąd do sklepu Vale'ów. Wyciągnął się z całych sił i dosięgnął klamki drzwi sali parafialnej, rozpoczynając w ten sposób powolny proces przedzierania się obok dwóch budynków, które dzieliły go od domu Rachel. Mijając je, walił w okna i drzwi, ale odpowiadała mu cisza. W końcu dotarł do frontowego wejścia sklepu Vale'ów. Załomotał w drzwi, szarpał za klamkę, krzyczał w kierunku okna na górze. Nic. Tylko woda nadal napierała na niego i zaczynały go opuszczać siły. Ale nie zamierzał się poddać. Pomyślał o psie, którego zmyło na jego oczach. Najpewniej utonął, zniesiony na wybrzeże, a potem do morza jak śmieć. Ale Tony nie zamierzał skończyć w taki sposób.

Kiedy po raz ostatni uderzał w drzwi, nagle przypomniał sobie coś jeszcze: wielki pęk kluczy, który Rachel pokazała mu w autobusie. Klucze do okien, klucze do drzwi, frontowych i tylnych, a także do bocznego wejścia.

Oczywiście: boczne wejście. Czy Bill zamknął je na klucz, kiedy wychodził? Tony nie był pewien, ale postanowił spróbować.

Jeszcze dwie minuty i znalazł się przy nim.

Było szeroko otwarte. Głęboka do pasa woda, która zalała alejkę, zatopiła również parter domu. Wszedł do środka.

Panowała tu niesamowita cisza. Zupełnie jak we wraku statku, który w kinie przeszukiwał Robinson Crusoe. Zewsząd kapiała woda. Na drewnianej tralce, u podnóża schodów, stała przylepiona do spodka świeca. Dwadzieścia centymetrów niżej, na powierzchni wody, unosiły się słomiane podkładki na stół i czasopismo z Marilyn Monroe na okładce.

Na piętrze płonęło żółte światło. Tony ruszył w górę po schodach znajdujących się jeszcze nad wodą.

- Pani Vale? - zawołał, kiedy znalazł się na podeście. Światło pochodziło ze starej sztormówki zawieszanej na drabinie prowadzącej najpewniej do pokoju Rachel.

Żadnej odpowiedzi.

- Pani Vale? - zawołał ponownie.

Zamierzał właśnie zajrzeć do pokoju po lewej stronie, czyli frontowej sypialni, z której okna wyglądała pani Vale. Ale jego uwagę przyciągnęło nagle słabe, drżące światelko w pomieszczeniu po prawej. Ktoś tam był, ktoś krył się w ciemnościach, osłaniając płomień świecy dłonią.

- Pani Vale? - zapytał teraz cicho, nie chcąc jej przestraszyć. Wszedł do pokoju. Znajdujące się za nią okno wychodzące na rzekę wyglądało jak czarna pieczęć. - To ja. Tony Glover - wyjaśnił.

- Nie podchodź.

Po tym, co właśnie przeszedł - a być może z powodu tego, co właśnie przeszedł - zaskoczyła go nienawiść dźwięcząca

w jej głosie. Przemówiła do niego po raz pierwszy w życiu. Ale czy oczekiwał czegoś innego? Nakazał sobie zachować spokój.

- W domu nie jest bezpiecznie. Musimy się stąd wydostać. Bill mnie tu przysłał po panią.

- Kłamiesz.

Widział teraz, że siedzi koło deski kreślarskiej. Świeca, którą trzymała w ręku, rozbłysła, oświetlając na chwilę zawieszony na ścianie rysunek starego pawilonu kąpielowego.

- Przysięgam, pani Vale - nalegał. - Wilfred Lee z naprzeciwka spróbuje nam...

Coś wysunęło się z jej ręki i z grzechotem spadło na podłogę. Zobaczył mały, srebrny krzyżyk. Potem świeca zgasła i światło dobiegało tu teraz tylko z podestu za jego plecami. Górował nad nią jego monstrualnie powiększony cień.

- Wynoś się! - krzyknęła. - Myślisz, że nie wiem, po co tu przyszedłeś? - W jej głosie narastała panika. - Z powodu Rachel. Z powodu...

- Tak - potwierdził. - Przyszedłem tu z powodu Rachel. Ponieważ urodzi moje dziecko. Ponieważ ją kocham, a ona kocha panią.

- Żeby mnie uciszyć! Ponieważ wiesz, że do tego nie dopuszczę! To dziecko! Nigdy! To się nie stanie!

Spróbował odciąć się od tego, co mówiła. Za daleko zaszedł, żeby zawieść teraz Rachel.

- Pójdzie pani ze mną obojętnie, czy pani chce, czy nie.

Zastanawiał się, jak ją wydostać z tej sypialni. Trzeba chyba będzie ją wynieść. Do tego okna we frontowym pokoju nad sklepem. A potem poszukać pomocy. Może ktoś przyjdzie? Co z tym sterowcem, który chyba widział? Może już zaczęli wyciągać ludzi z domów przez okna na piętrze i przewozić w bezpieczne miejsce?

- Przyszedłeś tu, żeby mnie zabić, tak samo jak twój brat - krzyknęła, kiedy do niej podchodził.

- Nie - zaprzeczył - to nie... - Ale jej nieprzejednana nienawiść zaczęła udzielać się i jemu. Nagle zaczął się przeklinać za to, że uległ. Nie powinien był słuchać Billa. Powinien był zostać z Rachel, bez względu na wszystko. Powinien zająć się tylko nią, a reszcie rodziny Vale'ów pozwolić iść do diabła.

- Jemu się nie udało i tobie też się nie uda - wysyczała. Pogrzebacz w jej ręku zauważył dopiero w chwili, gdy świsnął mu nad głową, omijając twarz dosłownie o włos. Pospiesznie wycofał się na korytarz, potknął się i upadł. Ruszyła za nim na wózku i uderzyła ponownie. Oboje znajdowali się teraz u szczytu schodów. Kiedy Tony spróbował wstać, uderzyła raz jeszcze, ale tym razem okazał się szybszy. Złapał ją za ramię i zacisnął dłoń na jej dłoni. Teraz oboje trzymali pogrzebacz.

Nie sądził, że jest taka silna. Musiał wyęczać siły, żeby nie wyrwała mu pogrzebacza. Wyszczrzyła zęby, pluła na niego i syczała jak kotka. Drugą ręką złapał pogrzebacz w połowie długości i szarpnął mocno. Pani Vale zaczęła spadać ze schodów razem z wózkiem w tej samej chwili, kiedy wyrwał jej pogrzebacz. Wózek wykonał obrót, po czym uderzył w drewnianą poręcz. Naga stopa kobiety utknęła między tralkami, ale to kąś, pod jakim nachylona była jej głowa, wyglądał naprawdę niepokojąco. Patrzyła na Tony'ego nieruchomym, kamiennym wzrokiem.

I wtedy po raz pierwszy usłyszał ten dźwięk: narastające dudnienie, zbliżające się coraz szybciej. Jak pociąg, pomyślał. Jakby gnał na niego z ciemności towarowy pociąg. Podłoga zaczęła pod nim wibrować, a stopa pani Vale z trzaskiem uwolniła się spomiędzy tralek. Z przerażeniem patrzył, jak matka Rachel i jej wózek wpadają w czarną wodę, która zebrała się u stóp schodów.

## Rozdział XXV

### Majorka, współcześnie

Laurie otworzyła wielką lodówkę stojącą w kuchni Rachel i wyciągnęła dzbanek przefiltrowanej wody. Trzęsły jej się ręce, kiedy brała z kredensu szklanki, wrzucała do nich lód, nalewała wody i stawiała gotowe napoje na blacie barku. Wyczuwała obecność czekającej na górze Rachel.

Zupełnie jakby przesączała się tu przez podłogę.

Ojciec zdjął kapelusz i rozglądał się po wielkim salonie. Jak mogła tak straszliwie się przez niego denerwować, skoro kochała go tak mocno? Ale to pełne nostalgii uczucie, które wypełniło ją, gdy obserwowała go przy odprawie paszportowej przez niewątpliwie kuloodporną i dźwiękoszczelną szybę, znikło. Jego miejsce zajęła głęboka frustracja. Jakby sam fakt, że byli tu razem, wystarczał, żeby przestała być sobą i powróciła do takiej wersji samej siebie, z której dawno wyrosła.

Wszystko, co mówił, od beztruskich uwag na temat niebezpieczeństw spoufalania się z mieszkańcami wyspy, po bojową krytykę „piekielnego upału”, przyprawiało ją o ból głowy. Nie wspominając już o tym, że bez chwili przerwy krytykował jej sposób prowadzenia samochodu. Miała ochotę zatkać sobie uszy i zacząć krzyczeć, zupełnie jak dziecko.

Napiła się wody, której chłód przyjemnie ukoił jej wyschnięte gardło.

Musi być cierpliwa i zachować spokój,

nakazała sobie. Musi zachować równowagę. To przez nieczyste sumienie czuje się w ten sposób, a nie z powodu obecności ojca.

Umyła ręce nad zlewem, trzymając przez chwilę nadgarstki pod chłodnym strumieniem wody. Kiedy wycierała dłonie, zauważyła, że Rachel, tak jak ją o to prosiła, zabrała zdjęcia Tony'ego. Ale niczego jej to nie ułatwiło. Do tej pory była pewna, że będzie w stanie poradzić sobie z ojcem i znaleźć odpowiednią chwilę, żeby mu powiedzieć o Rachel.

Jednak naprawdę nie sądziła, że okaże się to aż takie trudne.

Najgorszy był fakt, że przyjechali do willi Rachel. Czowała się jak zdrajca. Wszystko, co ojciec powiedział od momentu, kiedy zabrała go z lotniska, każda jego lekko rzucona uwaga, tylko podkreślało jej zdradę.

- Mój Boże, naprawdę spadłaś na cztery łapy. - Aż zagwizdał z podziwu, przyjmując szklanekę wody z lodem. Słyszała grzechot kostek o szkło naczynia. - Teraz rozumiem, dlaczego się tu ukrywałaś. Ten dom jest fantastyczny.

- Tato, muszę ci coś powiedzieć. - Laurie położyła obie dłonie na blacie barku i zajrzała mu w oczy. Ale ku jej przerażeniu nie zwrócił najmniejszej uwagi na powagę w jej głosie. Roześmiał się i znów popadł w ten żartobliwy ton, którym zawsze się z nią droczył.

- Och, tak myślałem. Tak myślałem - stwierdził dobrotliwie. - Wyglądasz jakoś inaczej. Najwyraźniej pojawił się ktoś wyjątkowy. To dlatego mnie zaprosiłaś? Żebym zaaprobował twojego faceta? Umysł może mi już trochę zardzewiał, ale nadal potrafię odczytać pewne znaki.

Laurie nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Czy to aż takie oczywiste? - spytała z wymuszonym uśmiechem.

Ojciec uderzył otwartą dłonią w blat barku, bardzo z siebie zadowolony.



- Zastanawiałem się, czemu jesteś taka małomówna, i nareszcie mam odpowiedź. Nigdy nie widziałem, żebyś tak się denerwowała. Pewnie usychasz z miłości.

Laurie gestem wskazała drzwi na taras. Nie chciała mówić o Samie w domu, gdzie Rachel mogła w każdej chwili zejść na dół i usłyszeć jej wyjaśnienia.

Kiedy wyszli na zewnątrz, najpierw pokazała ojcu ogród. Jednak kiedy usiedli przy stole, w cieniu, zrozumiała, że tej rozmowy nie da się dłużej odwlekać.

- Więc gdzie jest teraz ten szczęściarz? - spytał ojciec i napił się wody. Coś w jego entuzjazmie sprawiło, że skurczyła się w sobie. Widać od dawna chciał odbyć z nią taką rozmowę. Zaczęła się zastanawiać, czy rozmawiał o jej samotności ze swoimi przyjaciółmi, czy sąsiedzi zadawali mu pytania na temat jej życia uczuciowego. Zjeżyła się wewnętrznie. Nie powiedziała mu nawet o Jamesie, a co dopiero o Samie. Czyżby ojciec uważał ją za beznadziejną starą pannę, której nikt nie chce? Właśnie dlatego nigdy nie rozmawiała z rodzicami o swoich sprawach osobistych. Ponieważ nie potrafiła sobie radzić z ich entuzjazmem. Albo rozczarowaniem. Albo z tym, że ją osądzają, udając, że wcale tego nie robią. Poza tym mówienie o sobie, szczególnie ojcu, było takie krępujące. Żałowała, że nie ma tu teraz matki.

Właściwie przez całe dorosłe życie podawała ojcu jedynie ocenzurowaną i wybieloną wersję prawdy o sobie, dlatego dziś poinformowanie go o związku z Samem wymagało pogwałcenia wszelkich zasad rządzących ich wzajemnymi stosunkami. Zamierzała pozbawić go złudzeń.

Zamierzała pokazać mu się jako osoba dorosła. To był zupełnie nowy obszar porozumienia, pełen pułapek i niebezpieczeństw. Już samo rozpoczęcie wyjaśnień oznaczało wejście na ruchome piaski. A jedyna szansa przetrwania to opowiedzieć wszystko jak najszybciej i jak najkrócej.

- Gdzie on teraz jest? - powtórzyła pytanie ojca. Zabrzmiało to zupełnie jak echo jej wczorajszej rozmowy z Roz. Ale musiała się zdobyć na odwagę. Ta sprawa była zbyt ważna, żeby kłamać. - Cóż, w tej chwili... zapewne... chciałby tu być i cię poznać. Natomiast prawda jest taka, że on... to znaczy Sam... jest teraz z żoną.

- Och... - twarz ojca zmarszczyła się boleśnie. Spojrzał na swoją szklanekę.

- Ale to tylko brzmi tak okropnie.

- Przecież... przecież możesz mieć każdego...

Choć wiedziała, że trudno będzie wyjaśnić tę sprawę ojcu, nagle doszła do wniosku, że to zupełnie niemożliwe.

- Zamierza opuścić żonę. To właśnie chciałam ci powiedzieć...

- Nie podoba mi się, że rozbijasz cudze małżeństwo - przerwał jej ojciec. - Stać cię na coś lepszego.

Zauważyła jego rozczarowanie. Wszystko szło nie tak. Pragnęła przecież, żeby polubił Sama, żeby go zaakceptował, a najwyraźniej już zdążyła stracić na to szansę.

Pokręciła głową, wściekła na siebie za nieudolność, po czym nachyliła się ku ojcu.

- Nie rozumiesz, widać źle zaczęłam. Widzisz, poznaliśmy się dużo wcześniej. To znaczy, już wcześniej byliśmy ze sobą związani. Trzy lata temu, nim mama umarła. Pamiętasz, napisałam do was wtedy kartkę, że się zakochałam. To chodziło o Sama. O tę samą osobę.

- I był już wtedy żonaty?

- Nie, nie był. Wtedy nie. Mieliśmy być razem, ale dowiedział się, że jego dziewczyna jest w ciąży...

- No tak, coraz lepiej! - wykrzyknął ojciec. - Laurie, w co ty ze mną pogrywasz? Czy tak spędziłaś całe lato? Uwodząc cudzego męża? Wiem, że to nie moja sprawa, ale moim zdaniem wpakowałaś się w duże kłopoty. Miał rację. Wpakowała się. W jego ustach romans z Samem wydał się nagle taki brudny. Zdenerwowała się jeszcze bardziej.

- Ale... ale... chodzi o to, że... myślałam, że wybiłam go sobie z głowy - wykrztusiła, postanowiwszy powiedzieć całą prawdę, nim ogarną ją wątpliwości. - Naprawdę tak myślałam. Miałam nawet kogoś innego, ale kilka miesięcy temu znowu spotkałam Sama i uświadomiłam sobie - oboje sobie uświadomiliśmy - że nasze uczucie wcale się nie skończyło. Rzecz w tym, że Sam popełnił błąd zostając z nią... z Claire. Nie powinien był się z nią żenić, ale uważał, że musi... Ze względu na dziecko...

- Ale już tak nie uważa?

- Och, tato, nie oczekuję, że mnie zrozumiesz. Sam i ja kochamy się i musimy być razem. To coś wyjątkowego. Bardziej niż wyjątkowego. To jest mężczyzna, z którym chcę spędzić resztę życia.

Bill Vale wyciągnął z kieszeni chusteczkę, wytrzepał ją i dopiero wtedy otarł twarz.

- Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? Jesteś pewna, że on czuje to samo? Przecież nie masz pojęcia, jakie naprawdę jest jego małżeństwo.

Małżeństwo to święty związek, Laurie. Oni sobie przysięgali. Poza tym czy jesteś pewna, że ten Sam naprawdę chce opuścić żonę, skoro w grę wchodzi dziecko?

- Tak sędzę... Mam taką nadzieję.

- Masz taką nadzieję?

- Chce. Jestem pewna, że chce. Niewykluczone, że właśnie teraz z nią rozmawia...

Widoczne przerażenie ojca sytuacją, w jaką się wpakowała, sprawiło, że nagle gdzieś jej się zagubiły wszystkie rzeczy, które kiedyś uważała za prawdziwe.

- Kocham go, tato. A on kocha mnie.

Czuła, jak zbiera jej się na płacz, jak dławią ją łzy. Starła się nad sobą zapanować, bo wiedziała, że jej płacz przeraziłby go jeszcze bardziej. Uniosła obronnie rękę.

- O Boże, o Boże - zaczął powtarzać ojciec. Odwrócił wzrok, czekając, aż weźmie się w garść.

Napiła się wody.

- A ten dom? - zapytał. - Należy do Sama?

Najwyraźniej starał się zbudować sobie jakiś obraz na podstawie otrzymanych informacji. Żałowała, że nie może cofnąć czasu i zacząć tej rozmowy jeszcze raz, od początku, inaczej. Miała mu jeszcze tyle do powiedzenia. Jego dobry humor znikł zupełnie, zastąpiła go wyraźna podejrzliwość. Rozejrzał się po ogrodzie, jakby oglądał go teraz innymi oczami.

- Nie - odparła. Równie dobrze mogła powiedzieć mu prawdę teraz.

Wzięła głęboki oddech. - Musisz mi obiecać, że nie będziesz zły...

Ojciec zmarszczył brwi.

- Chcesz powiedzieć, że to nie koniec niespodzianek?

- Widzisz - zaczęła. Boże, jakie to było trudne. - To jest dom Rachel...

i Tony'ego... Mieszkam u Rachel. A Sam to...

- Ten dom należy do Rachel? - wybuchnął ojciec. - Do mojej siostry? To próbujesz mi powiedzieć? Przecież mówiłaś, że to dom twoich przyjaciół! Mówiłaś... kazałaś... kazałaś mi jechać taki kawał drogi do...

- Tato, ty nic nie rozumiesz - przerwała mu Laurie błagalnie.

Ale wcale jej nie słuchał. Z trzaskiem odstawił szklanę na stół, gwałtownie wstał i ruszył przed siebie. Pobieгла za nim, ale dogoniła go dopiero po drugiej stronie basenu. Patrzył w dal, po prostu siny z wściekłości.

- Myślałam... Nie chciałam cię tak rozzłościć. - Czula, że to, co mówi, jest żalosne. Tak rzadko bywał na nią wściekły, że zupełnie nie potrafiła sobie z nim poradzić.

- Rozzłościć? Mnie rozzłościć? - Najwyraźniej dławila go furia. - Jak mogłaś mi coś takiego zrobić? Jak mogłaś mnie tak oszukać? A ja myślałem, że...

- Zrobiłam to dla Rachel - wtrąciła szybko Laurie. - Ona sądzi, że...

- Cokolwiek sądzi moja siostra, jest w błędzie - warknął.

- Ależ, tato, musicie sobie chyba wyjaśnić...
- Laurie, nie masz pojęcia, o czym mówisz i w co się mieszasz. Czy ty wiesz, kim on był?
- Kto?
- Tony Glover! To on wszystko zniszczył. Jego rodzina...
- Nie rozumiem - patrzyła, jak ojciec ociera sobie twarz. Oczywiście spodziewała się, że jakoś zareaguje, ale przecież nie w ten sposób. Wyglądał tak, jakby się miał rozplakać.
- To znaczy... uważam, że niezależnie od tego, co on kiedyś zrobił, chyba już... - Spróbowała być odważna. - Minęło pięćdziesiąt lat. Czy już nie czas zapomnieć o urazach? Tony nie żyje.
- To nie ma znaczenia - odparł zdławionym głosem. Dlaczego zareagował aż tak ostro? Rachel mówiła o ich zerwaniu w taki sposób, jakby spowodowało je jakieś głupie nieporozumienie, tak odległe w czasie, że pozbawione już wszelkiego znaczenia. Ale dla jej ojca ta sprawa najwyraźniej nadal była ogromnie ważna.
- Chociaż, z drugiej strony, powinien chyba zacząć się zachowywać jak osoba dorosła. Dobra, nakłamała, żeby go skłonić do przyjazdu tutaj, ale jej kłamstwo było niczym wobec faktu, że on okłamywał ją przez całe życie. Na temat istnienia Rachel. Oraz tego, o co się pokłócili.
- A co ma znaczenie? - spytała. - I dlaczego nie możesz tego przeboleć?
- Nigdy nie przypuszczałem, że będę ci musiał o tym powiedzieć.
- O czym?
- Mojego ojca, a twojego dziadka, zastrzelił Keith Glover
- wykrztusił.
- Laurie spojrzała na niego zdziwiona.
- Keith?
- Brat Tony'ego. Włamał się, żeby okraść nasz sklep, i zastrzelił twojego dziadka. A potem strzelił do twojej babci.

Dlatego była sparaliżowana. Dlatego nie mogła uciec podczas powodzi. Ponieważ przez Keitha Glovera jeździła na wózku. To on nas zniszczył.

- Ale przecież mówiłeś, że dziadek zginął na wojnie! Okłamywałeś mnie!

- Chciałem ci tego oszczędzić - głos ojca wyraźnie się załamał. Laurie w milczeniu słuchała, jak opowiada, w pełnych wściekłości wybuchach, w jaki sposób zostało zniszczone życie jego matki. I o tym, jakie potem wiodła godne litości „pół-życie” bez męża. Z powodu Keitha.

Zmusiła się do racjonalnego myślenia. Trzeba jakoś opanować sytuację.

Tylko jak? Tamte wydarzenia były naprawdę okropne. Widziała ból ojca i najbardziej na świecie pragnęła go ukoić.

Choć jedna rzecz zupełnie nie miała, jej zdaniem, sensu.

- Ale przecież nic możesz winić Tony'ego za to, co zrobił jego brat?

- Och, Laurie. - Odwrócił się do niej. Miał oczy pełne łez.

- Nigdy tego nie zrozumiesz. Nie chodziło tylko o to...

- urwał, próbując się opanować. - Chodziło o mamę... Tony... Zamilkł.

Laurie pokręciła głową w zdumieniu. Najwyraźniej to jeszcze nie było wszystko.

- Co chcesz mi powiedzieć? Co babcia miała wspólnego z Tonym?

Ale ojciec nagle zrobił się sztywny, zupełnie jakby się w sobie zamknął.

- Nieważne - uciał, ocierając ze złością oczy. Kiedy znów na nią spojrzął, nie znalazła w jego twarzy ani śladu łez. Ich miejsce zajął grymas wściekłości. - Musi ci wystarczyć to, że Rachel wybrała Tony'ego. Że wolała go od własnej rodziny.

Tyle lat tłumił w sobie uczucia... Zawsze sądziła, że ojciec jest prostolinijny i nieskomplikowany. Nie miała pojęcia, że myli się aż tak bardzo. Nie podejrzewała, że tkwi w nim aż taka gorycz.

- Tato, ale przecież nie można wybierać, w kim się człowiek zakocha. Z tego, co widziałam, Rachel i Tony byli razem szczęśliwi. To musiał być dobry człowiek.

Jednak do ojca nie przemówiła jej logika.

- Rachel i Glover odebrali mi coś. Coś, czego potem nie mogłem odzyskać. Dopiero kiedy poznałem twoją matkę, poczułem, że w ogóle żyję.

Laurie oparła ręce na biodrach. Była oszołomiona tym, co usłyszała. I tym potwornym upałem. Nie miała siły rozszyfrowywać uczuciowych zagadek ojca, stojąc w pełnym słońcu.

- I nigdy nie dasz Rachel drugiej szansy?

Miała wrażenie, że ojciec milczy całe wieki. Zmrużonymi oczyma obserwował horyzont.

- Gdzie popełniłem błąd? - zapytał nagle. Znow ją zaskoczył.

- To znaczy?

- Czy ja i mama ci nie wystarczaliśmy?

- Oczywiście, że tak.

- Więc po co spotykałaś się z Rachel? Dlaczego?

- Nie wiem - wyjąkała Laurie. Nie potrafiła podać żadnej przyczyny.

- Próbowaliśmy dać ci wszystko.

Laurie spojrzała na błękitną wodę wypełniającą basen. Na dnie widziała cienie, swój i ojca, jakby oboje tonęli. Nieostre. Całe jej życie stało się nagle nieostre. Odebrano jej wszystko, w co wierzyła. Oprócz Sama.

- Tato, nie wspomniałam ci o tym wcześniej, ale Rachel jest teraz w domu

- powiedziała nagle. Nie było sensu dłużej ukrywać przed nim prawdy.

Myślała, że będzie potrafiła kontrolować ich spotkanie, ale teraz czuła się zupełnie bezsilna. Tylu rzeczy nie wiedziała. Tylu rzeczy jej nie powiedziano. - Na górze. Chce z tobą porozmawiać. Powinieneś z nią to załatwić.

Ta informacja najwyraźniej go ogłuszyła. Odwrócił się i zagapił na nią z otwartymi ustami.

- O nie - odezwał się wreszcie. - To tak nie działa, Laurie. Nie można na siłę łączyć ludzi i tworzyć z nich szczęśliwe rodziny. To nie jest takie proste. Jesteś już dostatecznie dorosła, żeby rozumieć takie rzeczy. Twoje czyny mają swoje konsekwencje. Wszelkie czyny mają konsekwencje. I czasami słowa nie wystarczą, żeby je naprawić.

Laurie wiedziała, że ojciec chce ją w ten sposób zranić. I że chociaż to, co mówi, jest bolesne, powinna zachować spokój.

- Daj Rachel chociaż chwilę. Ona bardzo chce się z tobą zobaczyć - poprosiła. - Po śmierci Tony'ego tak naprawdę ma tylko ciebie.

- Ma jeszcze to wszystko - zaprzeczył, rozkładając szeroko ramiona. - No i ciebie.

- Nie, tato. Wcale mnie nie ma. Nie stoję po żadnej stronie.

- Nieprawda.

- Och, tato, proszę - ucięła niecierpliwie, nagle doprowadzona do rozpacz.

- Nie chcę ani widzieć tej kobiety, ani jej wybaczać.

- Świetnie - stwierdziła Laurie, poddając się wreszcie. Zrobiła, co mogła.

- Jestem już spakowana, wystarczy, że wsiądziemy do samochodu i odjedziemy. Jeśli naprawdę właśnie tego chcesz. Stoję po twojej stronie. Po prostu stąd wyjedziemy. Razem. Obiecuję.

Dotknęła jego ramienia, ale nic odpowiedział. Usłyszała, jak w domu zaczyna dzwonić telefon. Żołądek skurczył jej się gwałtownie. A jeśli to Sam? Spojrzała na ojca, a potem ruszyła w stronę tarasu.

- Laurie, zaczekaj!

Zatrzymała się i odwróciła. Na twarzy ojca malowała się żelazna determinacja. Minał ją bez słowa, bez jednego spojrzenia.

Telefon przestał dzwonić.



## Rozdział XXVI

Stepmouth, 15 sierpnia 1953, godzina 20.25

Bill wszedł do lodowatej wody, która zalewała skrzyżowanie. Poprzez odgłosy gwałtownej ulewy słyszał stłumione krzyki, ale nie potrafił określić, skąd dobiegają. Główna ulica wydawała się wymarła, wyjąwszy płynącą jej środkiem rzekę. Nikt nie uciekał w panice, nikt nie brnął przez wodę. Prócz Tony'ego Glovera nie widać było żywej duszy.

Może przesadził, panikując w ten sposób i posyłając Glovera w sam środek powodzi i świadomie narażając własne życie? Może wyciągnął zbyt daleko idące wnioski, bazując na domysłach i swym niepełnym inżynierskim wykształceniu? Czy to, co chciał zrobić, nie wystawi przypadkiem matki i Emily na większe niebezpieczeństwo, niż gdyby zostały w domu?

Możliwe, ale teraz musiał działać zdecydowanie. I pamiętać o strachu, zimnym pierwotnym strachu, który go ogarnął, gdy wysiadł z furgonetki i poczuł, jak lodowata woda obmywa mu buty.

To, co powiedział Tony'emu - że boi się o słabe fundamenty domów - było tylko jedną z obaw, które składały się na ten strach. Bo natychmiast pojął, że taka ilość wody spływającej ze wzgórza może świadczyć tylko o jednym: bagna i torfowiska powyżej całkowicie wyściły się wodą. Po czym zadał sobie pytanie, czemu w takim razie doliny East i West Step nie odprowadzały, jak zwykle, nadmiaru wody.

Przerazająca odpowiedź pojawiła się w jednej chwili: ponieważ zostały przepełnione.

Wyczerpały się ich możliwości transportowe, a deszcz padał dalej. Burza przybierała na sile. Przez niebo przetoczył się grzmot, zupełnie jak salwa z działa. I lał deszcz, nieustający deszcz, który nie miał gdzie spłynąć.

Decyzję o ewakuowaniu Emily i matki podjął na widok mostu Południowego. Było oczywiste, że jego przelot się zablokował - a przynajmniej częściowo zablokował - choć Bill nie mógł sobie wyobrazić nic na tyle wielkiego, by mogło tego dokonać. Może kilka różnych przedmiotów, nawet dziesiątki... chyba że wezbrane bliźniacze rzeki, pędząc w dół z wrzosowiska, zaczęły przewracać drzewa.

A skoro coś takiego stało się z mostem Południowym, to co w takim razie ze znajdującym się powyżej mostem w Watersbind? I z naturalnym zbiornikiem w miejscu, gdzie łączyły się rzeki? Nie wspominając już o szesnastu innych drogowych i pieszych przeprawach przez East i West Step na odcinku pomiędzy Watersbind a wrzosowiskiem? Czy most poniżej zbiornika też się zablokował? Czy woda ponad nim zaczyna wzbierać i szukać drogi ujścia?

Bill modlił się żarliwie, by odpowiedź brzmiała „nie”. Bo jeśli miał rację i w zbiorniku cały czas zasilanym przez deszcz nieustannie wzrastało ciśnienie, już wkrótce rzeka mogła nie tylko przelać się przez most w Watersbind, ale również go zerwać.

A jeśli tak się stanie... cóż, wtedy pomiędzy morzem a ogromną ścianą wody, która runie w dolinę, znajdować się będzie jedynie miasteczko Stepmouth.

- Która godzina? - zawołał Tony.

Bill spojrział na posrebrzany zegarek, który należał kiedyś do jego ojca. Światło latarni było zbyt słabe, żeby odczytać godzinę, więc wyciągnął z kieszeni płaszcz latarkę - zadowolony, że sobie o niej przypomniał, nim zamokła - i oświet-

lil tarczę z pękniętym szkiełkiem. Pękło przez Keitha Glovera, przypomniał sobie odruchowo. W dniu, kiedy brat Tony'ego zabił jego ojca.

- Dwadzieścia pięć po ósmej! - odkrzyknął.

- Odtransportuję ją w bezpieczne miejsce do za kwadrans dziewiąta - krzyknął Tony, ruszając główną ulicą. - Przysięgam. Zobaczymy się na wzgórzu. Powodzenia!

Jedno Bill musiał przyznać Gloverowi: na pewno nie brakowało mu odwagi. Udowodnił to, biegnąc po pomoc dla Rachel. I teraz również.

- Powodzenia! - odkrzyknął Bill z całym entuzjazmem, na jaki go było stać.

Natychmiast jednak znów zaczął się wahać. Bał się pomyśleć, jak zareaguje matka, kiedy zjawi się u niej Glover. Ale jaki miał wybór? Tony był przecież wyczerpany, a przeprawa przez most Południowy wymagać będzie nie tylko cudu, ale i wszystkich dostępnych sił. Iść z prądem, tak jak teraz Glover, musiało być dużo łatwiej. Zresztą na pewno szybko znajdzie jakąś pomoc. A może nawet nie będzie mu potrzebna? Bill miał głęboką nadzieję, że Giles Weatherly wrócił już do domu. Bo jeśli wrócił, na pewno zauważył niebezpieczeństwo i zabrał matkę Billa w jakieś bezpieczne miejsce.

Ale w przypadku Emily nie można było liczyć na takie szczęście, pomyślał, brnąc pod prąd w kierunku mostu Południowego. Emily za bardzo zależało na Sea Catch Café, żeby spakować manatki i uciekać tylko dlatego, że rzeka wylała. Jest na to zbyt zdeterminowana. I za bardzo ufa we własne siły. Wierzy, że poradzi sobie w każdych okolicznościach. Bill był przekonany, że nadal siedzi w kawiarni, walcząc zajadle z rzeką, podpira drzwi i rozpaczliwie wylewa wodę rondlem.

Wyłączył latarkę, żeby oszczędzać baterie, i uniósł ją nad głowę. Kiedy zbliżył się do mostu, woda zaczęła mocno napierać na jego uda. Zrzucił płaszcz, który krępował mu

ruchy, i przykucnął nisko, jak pies ciągnący sanki, obniżając w ten sposób swój środek ciężkości. Z całych sił zaczął sobie wyobrażać, że jest stabilny jak skała.

Ale im bardziej się zbliżał do mostu, tym bardziej rosła prędkość obmywającej go wody. Aż wreszcie - jakieś pięć metrów od przeprawy - siły jego i rzeki zrównały się. Z całych sił napierał do przodu na ryczącą wyzywająco wodę, ale nadal pozostawał w tym samym miejscu.

Czyli musi przejść bokiem. Skoro nie może dostać się na most, musi go okrążyć. Ruszył w prawo - w kierunku kamienistego zbocza wzgórza Summerglade. Poziom wody opadał z każdym krokiem: najpierw sięgała mu do pasa, potem do uda, aż w końcu brodził w wodzie zaledwie do kolan.

Wyszedł z wody w krzaki rosnące powyżej. Staął, dysząc ciężko, a wiatr przewiewał jego mokre ubranie. Zaczął kostnieć z zimna.

Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Trzeba było zapomnieć o przeprawie przez most, prąd okazał się zbyt silny. Chyba oszalał, próbując zrobić coś takiego. Musi ruszyć w górę doliny, oddalić się od miasteczka i przeprowić przez rzekę gdzieś wyżej.

Oświetlając sobie drogę latarką, ruszył najpierw w górę zbocza, potykając się i ślizgając na kamieniach, błocie i mokrej trawie, a potem z powrotem w dół, tam gdzie grunt się wyrównywał. W końcu przedarł się przez zarośla jakieś dwadzieścia pięć metrów powyżej mostu Południowego.

Normalnie rzeka płynęłaby parę metrów poniżej miejsca, do którego dotarł, ale dziś powierzchnia wody znajdowała się na poziomie jego stóp.

W ciemnościach wydawała się nieruchoma, jak kanał na mokradle.

Dopiero kiedy Bill oświetlił ją latarką, zobaczył, z jaką prędkością płynie. Z prądem mknęły śmieci, a gałęzie wychylały się z wody jak ręce tonących ludzi. Gałęzie z zielonymi liśćmi, pochodzące z drzew, które rzeka wyrwała ze swych brzegów...

Oglądany stąd most Południowy połyskiwał eterycznie, a jego wiktoriańskie latarnie zapalały w deszczu maleńkie tęcze. Widać było, że przelot tylko częściowo został zatarasowany gałęziami - woda nadal płynęła pod mostem. Zatem rzeka rozdzieliła się na dwie odnogi ze względu na ilość wody spływającej tu z Watersbind, a nie z powodu zablokowania przelotu.

Czyli zbiornik zaczął wylewać. Co oznacza, że jeśli tamtejszy most zostanie zerwany, woda runie w dolinę.

Bill nie pozostawił sobie czasu na rozważania. Rzucił latarkę na ziemię, ściągnął sweter i koszulę, po czym zanurzył się w lodowatym nurcie.

Gwałtownie wciągnął powietrze. Woda była tak zimna, że aż piekła go skóra. Popłynął w kierunku drugiego brzegu długimi, mocnymi ruchami ramion, a rzeka niepowstrzymanie znosiła go w stronę mostu.

Wiedział, że jeśli nie dopłynie na czas do brzegu, zostanie przyszpilony do śmieci blokujących przelot - jak mucha zaplątana w pajęczynie - a następnie zgnieciony, wypatroszony i utopiony. Albo prąd wciągnie go pod most i rozbije o głązy rozsiane w kanale po drugiej stronie.

Mijała kolejna sekunda. Woda waliła w most z rykiem przypominającym grzmot. Bill dotarł do drugiego brzegu. Wyciągnął ramiona, żeby się czegoś chwycić, ale nadal znosiło go w dół rzeki. Orał rękami po kamieniach i błocie. Nagły, paralizujący ból przeszył jego rękę, kiedy prawy kciuk wykręcił się i złamał. Niespodziewanie jego dłoń zamknęła się na czymś. Zacisnął ją jak imadło.

Woda waliła go w twarz, zalewała mu usta, oczy i uszy. Rzeka obróciła go i próbowała oderwać od uchwytu. Prawe ramię miał wygięte tak mocno, że lada chwila mogło się złamać. Ale nie puścił się, tylko powoli dołączył do prawej również i lewą rękę.

Korzenie drzewa. Złapał się korzeni drzewa. To one uratowały go przed wciągnięciem pod most. Chwycił kolejny korzeń, potem jeszcze jeden, aż wreszcie zdołał wyczołgać się z rzeki.

Upadł na twarz, gdy tylko pod kolanami poczuł stały grunt. Leżał na brzuchu i wymiotował gwałtownie, usuwając z żołądka wodę, którą przemocą napoiła go rzeka.

Ale nie było czasu na odpoczynek. Zmusił się, żeby wstać. Ryk wody był tu ogłuszający. Rozejrzał się, próbując określić, gdzie się znajduje. Stał zaledwie trzy metry powyżej mostu, a drzewo, którego korzeni się złapał, było dosłownie jego ostatnią szansą. Gdyby nie ono, już by nie żył. Stał w najwyższym położonym miejscu na tym brzegu rzeki. Ale ponieważ nie przestawało padać, wkrótce rzeka przerwie brzeg i tutaj, a potem zaleje resztę miasteczka.

Poprzez zasłone deszczu widział tarczę zegara na wieży kościoła Świętej Hildy. Wyglądała zupełnie jak księżyc w pełni, przesłonięty lekką mgiełką. Potykając się, Bill ruszył w kierunku rozciągającego się za mostem rozlewiska. Przed sobą widział jakby lustrzane odbicie tego, co zaszło po drugiej stronie mostu. Woda płynęła East Street dokładnie tak samo jak główną ulicą.

I była chyba równie głęboka: pół metra, może trochę więcej, może metr... Bill przypomniał sobie, jak Tony ruszył przez wodę, wybierając najkrótszą drogę do celu, i postanowił zrobić to samo. Nurt nie powinien tu być rwący, pomyślał. A najtrudniejsza część wyprawy - przeprawa przez rzekę - była już za nim. Teraz przez cały czas będzie szedł z prądem, a nie pod prąd.

Usłyszał krzyki. Przez ścianę deszczu widział ludzi, którzy brnęli mozolnie ulicami równoległymi do East Street, dźwigając swój dobytek. Próbowali się dostać w wyżej położone miejsca.

- Richard! - zawołał na widok przyjaciela, który prowadził Rosie i dziewczynki na wschód. - Widziałeś Emily?  
- Nie! - odkrzyknął Richard. - Bill, co się dzieje?  
- Nie zatrzymuj się nigdzie! - krzyknął Bill. - Oddalcie się jak najszybciej od rzeki!

Nie wiedział, czy Richard go usłyszał. Ruszył w przeciwnym kierunku niż przyjaciel, omijając nurt nowej rzeki, aż dotarł do miejsca, gdzie wlewała się w East Street. Dopiero tutaj ponownie wszedł do wody. Początkowo prąd nie wydawał mu się silny. Spojrzał w dół East Street - dom Emily był jakieś pięćdziesiąt metrów stąd. Co zrobi, jak już tam dotrze? Zdecydował, że zabierze ją stamtąd w dół rzeki, a potem skręcając w prawo, na wschód, odchodząc od głównego nurtu.

Prąd nagle stał się silniejszy, zaczął podcinać mu nogi. Serce Billa waliło ciężko o żebra. Pod jego stopami chwiały się płyty chodnika, podmywane przez wodę. Nagle coś uderzyło go w udo, a wtedy stracił równowagę i znalazł się pod wodą.

Ciemność. Chłód. Wokoło woda. Uszy wypełnił mu cały ocean. Miliony uciekających baniek powietrza.

Obracał się gwałtownie raz po raz, próbując stanąć na nogach. W głowie rozbrzmiewał mu wewnętrzny krzyk. Nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół. Coś miękkiego przesunęło mu się po twarzy i znikło.

Knykciami szorował po dnie. Wreszcie wy dostał się na powierzchnię. Głęboki wdech. Zdołał utrzymać się ponad wodą.

Mógł oddychać, ale nadal nic nie widział. Przez chwilę myślał nawet, że nie żyje. Że ciągle jest pod wodą. Że tylko wydaje mu się, iż może oddychać, bo opuścił ciało i nie potrzebował już tlenu.

Kolejny wdech. I następny. Walił rękami i nogami w wodę, jak pijak, który próbuje się podnieść. Potem wreszcie do jego mózgu dotarło to, co już wcześniej zrozumiało jego

ciało. Nic był pod wodą. Wcale nie umarł. Zasilanie, pomyślał. Znowu wysiadło zasilanie.

Usłyszał krzyk. Właściwie wrzask. Wołano jego imię. Oślepiło go światło, coś złapało go za nogę, potem za pasek. Jakiś głos zawołał:

- Ciągnij!

Woda z całą siłą uderzyła w twarz Billa, gdy zaczęto go ciągnąć pod prąd.

- Złap go za rękę! - rozkazał ten sam głos.

Poczuł czyjeś dłonie na nadgarstkach i pod łokciami. Czyjeś palce wbijały mu się w ciało. Paliły jego przemarzniętą skórę. Gdy go wyciągano z wody, krzyknął z bólu, bo kawałek gruzu rozorał mu skórę na żebrach. Znikąd pojawił się prostokąt światła, w który go szybko wciągnięto. A potem upadł na suchą, pokrytą dywanem podłogę.

Po chwili usłyszał inny głos, ciepły, tuż przy uchu, ten głos, którego nie spodziewał się już nigdy usłyszeć.

- Bill, Bill, mój najdroższy, Bill...

Leżał bez tchu w świetle świec i patrzył prosto w oczy Emily. Była przemoczona, na ramiona miała zarzucony ręcznik. Czuł, jak przenika go ciepło, jakby to, co zdarzyło się przed chwilą, było tylko snem, jakby oboje z Emily znajdowali się po prostu w jej łazience, a on przysnął w wannie i nagle ocknął się pod wpływem jej wzroku. Udało mu się usiąść i przyciągnąć ją do siebie.

Po czym powrócił do niego koszmar ostatnich wydarzeń.

- Musimy stąd iść - powiedział.

Uniósł głowę i wtedy przekonał się, że nie są sami. Patrzył na niego Giles Weatherly, blady i przemoczony. Obok stał jego przyjaciel, Lewis Cook, sąsiad Emily. Lewis trząsał się cały. Miał rozciętą i spuchniętą lewą skroń. Jego niebieski sweter w serek był podarty, jeden rękaw w ogóle zniknął. W ręku trzymał bosak, którym zdołał wyciągnąć Billa.



Skoro Giles był tutaj, to znaczy, że nie mógł pomagać Gloverowi przenieść matkę w bezpieczne miejsce. Czy Glover zdołał znaleźć inną pomoc? Czy matce nic nie groziło? Z trudem dźwignął się na nogi.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał, rozglądając się po nieznanym pokoju. Emily trzymała go za rękę, mocno splatając palce z jego palcami. Zauważył komodę i białą umywalkę, połyskującą w świetle świecy. I absurdalny widok - nowy odbiornik telewizyjny, ten sam, który przyszedł podziwiać Giles, stojący na środku łóżka.

- U mnie - odparł Lewis Cook. Był to krępy mężczyzna o gęstych, siwo-blond włosach, który prowadził pocztę, a poza tym należał do ochotniczej straży wybrzeża.

- Kawiarnia została zalana - dodała Emily. - Giles i Lewis przyprowadzili mnie tutaj.

- Doszliśmy do wniosku, że tu będzie bezpieczniej, bo mój dom stoi wyżej - wyjaśnił Lewis. - Ale poziom wody ciągle się podnosi.

- Proszę - do pokoju weszła Josephine, żona Lewisa, i zarzuciła na ramiona Billa koc.

Lewis podszedł do okna. Bez słowa Bill, Emily i pozostali stłoczyli się wokół niego. Krople deszczu, spadając, wydawały odgłos podobny do trzasku wyładowań elektrostatycznych. Niebo przecięła błyskawica. W powietrzu unosił się zapach torfu, drewna i błota.

Dopiero w tej chwili do Billa dodarło, że znajdują się na piętrze domu i że parter na pewno zalała już woda. Popatrzył w ciemność. Woda na East Street musiała być już głęboka na półtora metra. I rwąca. Miał szczęście, że nie zniosło go do morza.

W domach naprzeciwko nie było światła. Być może zasilanie powróci, jak już raz wcześniej. A może nie, jeśli teoria Billa na temat Watersbind jest słuszna. Być może wybetonowany kanał prowadzący wodę ze zbiornika do

hydroelektrowni wystąpi! z brzegów. A może zalana została sama elektrownia.

Po drugiej stronie ulicy w ciemnym oknie raz po raz pobłyskiwała latarka. Alfabet Morse'a. Bill odczytał wiadomość automatycznie, tak jak go nauczono w wojsku: SOS - *save our souls*, ratujcie nasze dusze - międzynarodowe wezwanie pomocy.

- To John Mitchell, ale nie zdołamy się do niego dostać - wyjaśnił Lewis, przekrzykując ryk wody. - Jest zdany na siebie, tak jak my.

Przez głowę Billa przemknęło wspomnienie: z tego samego okna John Mitchell wychylał się wiosną, żeby podlać rosnące w skrzynce żonkile. Czy to się naprawdę zdarzyło na tej samej planecie?

- Musimy się stąd jakoś wydostać - powiedział, czując, jak narasta w nim panika. No bo niby jak mieli się stąd wydostać? Jak miał stąd zabrać Emily, skoro woda płynęła teraz tak szybko, że z pewnością ich z sobą uniesie?

- Nie - zaprotestował Giles. - Musimy tu zostać. Tu jest bezpiecznie.

- Nawet jeśli woda jeszcze się podniesie - w co osobiście nie wierzę - zawsze możemy wejść na strych - zgodził się z nim Lewis.

- Nie rozumiecie. Most został zablokowany. I obawiam się, że to samo stało się z mostem w Watersbind - powiedział Bill. - Jeśli ten most... Nim zdołał wyjaśnić dokładnie, o co mu chodzi, głos zaczął mu drżeć. Odchrząknął, ale nic to nie dało. I nagle uświadomił sobie, że źródło drgań pochodzi z zewnątrz.

Pobiegł wyrzucić przez okno tylnej sypialni, ale stamtąd również widać było tylko płynącą wodę.

Kiedy wrócił do pozostałych, przez wycie wiatru i ryk rzeki dobiegł go narastający, dudniący hałas. Nie był to -grom, ponieważ nie umilkł, tylko stawał się coraz głośniejszy, co-

raz bliższy, jakby pędził na nich towarowy pociąg. Z gzymsu kominka spadł zegar i rozbił się na podłodze.

- Na ziemię! - wrzasnął Bill, chwytając Emily w ramiona i ciągnąc ją na podłogę.

Zupełnie jakby dom nagle ożył. Deski podłogi napinały się pod nimi jak mięśnie. Ściany jęczały. Sufit dygotał. Opadał z niego kurz. Płomienie świec zadrżały i zgasły. Pokój zalała ciemność, utkana gęsto jak aksamit. Bill zamknął oczy i przycisnął wargi do twarzy Emily, słuchając, jak nadciąga grzmot. To coś, co pędziło w ich stronę, nie zamierzało się zatrzymać. Most w Watersbind... a więc jednak miał rację. Zbiornik zerwał most i fala powodziowa za chwilę runie na miasteczko.

Zrozumiał, że zaraz umrze. Umrze przy boku Emily. Nie zdołał jej uratować, ale przynajmniej dotarł do niej na czas. Był zadowolony, że tu przyszedł, że nie wysłał tu Tony'ego. Emily zamiast matki - to był właściwy wybór. Wolał umrzeć przy jej boku, niż pozwolić jej zginąć w samotności. Przyciągnął jej głowę do swojej piersi, starając się jak najlepiej osłonić ją całym ciałem.

Otworzył usta, żeby się z nią pożegnać.

W tej właśnie chwili uderzyła w nich woda.

Ten hałas. Jakby runęła na nich lawina. Jakby ich pogrzebano żywcem.

Dom zakołysał się, niczym pod uderzeniem ogromnego młota. Kiedy wdarła się tu woda, całe powietrze nagle zostało wyssane z pokoju. A potem przez okna i drzwi zaczęły się wlewać kolejne fale. Zupełnie jakby byli na mostku tonącego okrętu. Bill z całych sił ścisnął Emily, gdy żywioł potoczył ich po podłodze, a potem walnął nimi w ścianę, jak parą szmacianych lalek. Krztusili się, tonęli, trzymając się w objęciach, a woda rzucała nimi po całym pokoju.

A potem nagle - koniec.

Otulony gęstą ciemnością Bill nie widział nic. Ręka ściskająca jego dłoń poruszyła się lekko.

- Emily? - zapytał.

Leżał na brzuchu, jak mu się wydawało, w kącie pokoju. Ścisnął mocniej jej rękę.

- Emily? - zapytał ponownie.

- Bill - odparła.

Poszukał w ciemności jej twarzy, jej ust...

- Żyjesz - stwierdził. Pocałował ją. Przeniknęła go radość, zupełnie jak promień słońca, który przedarł się przez chmury. - Czy nikomu nic się nie stało? - zawołał prosto w mrok.

Męski głos - Gilesa? - odpowiedział: - W porządku. Głos Josephine, pełen hysterii: - Lewis! Lewis, gdzie jesteś?

Cichy jęk dobiegający z drugiego końca pokoju: - Moja ręka... Nie czuję ręki... Ale Bill nie słuchał. Trzymał w dłoniach twarz Emily.

- Już po wszystkim. Już po wszystkim, słyszysz? Zbiornik wylał, ale już po wszystkim...

Na dłoniach poczuł dotyk jej rąk.

- Dawno powinnam ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham - szepnęła. - Powinnam ci to była powtarzać codziennie.

- O mój Boże. - Głos należał do Gilesa. - O mój Boże. Patrzcie.

Bill poczołgał się przez spienioną, brudną wodę w kierunku jego głosu. Rozróżnił kwadrat okna, szary na ciemniejszym tle ścian. Spróbował wstać, ale nogi nadal miał za słabe. Piekła go skóra. Wyczuł, że coś koło okna porusza się, przesuwa. Jak cień. Dosięgną! futryny i podciągnął się na niej.

Całe niebo przecinały błyskawice, oświetlając wszystko stroboskopowym światłem. To, co ukazało się wówczas jego oczom, Bill zapamiętał do końca życia. Rzeka płynęła pół metra poniżej okna. Goniły się po niej ogromne fale, jedna

za drugą, przełamując się, pieniać, formując gigantyczne grzebienie, kołując jak wielka, czarna masa.

Ale to nie one przyciągnęły jego uwagę, tylko domy po drugiej stronie ulicy, zmiażdżone i połamane, jak zęby boksera. Z dachów zostały zmyte dachówki, wykuszowe okna wyrwane. Okno, z którego dawał znaki John Mitchell - a właściwie całe górne piętro jego domu - zniknęło. Tak samo jak górne piętra domów sąsiadujących z nim po obu stronach.

Połowa East Street została całkiem dosłownie zmyta do morza.

- Niech Bóg ich błogosławi - powtarzał raz po raz Giles. Nagle, pod wodą, w górze ulicy zobaczyli dwa punkty światła, przesuujące się w ich kierunku.

- Ale to przecież nie może być... - zaczęła Emily, która stała teraz u boku Billa.

- To samochód - potwierdził krótko jej domysły Bill.

I rzeczywiście. Patrzyli zdumieni, jak płynie w ich stronę z nurtem, na wpół pod powierzchnią czarnej jak smoła wody, z zapalonymi reflektorami, które oświetlały mu drogę. Kiedy się z nimi zrównał, nagle zanurzył się gwałtownie i zniknął im z oczu, pozostawiając po sobie gejzer pęcherzyków powietrza.

Błyskawice zgasły. Wszystko na powrót otuliła ciemność.

Za ich plecami Lewis krzyknął z bólu.

Było tak ciemno, że Bill nie widział nawet dłoni, którą uniósł do twarzy.

- Już idę - zawołała Emily.

Nagle wszyscy zamarli. Znowu usłyszeli ten dudniący, narastający dźwięk. Bill zmarszczył brwi w zdumieniu. Przecież to niemożliwe. Przecież zbiornik w Watersbind już się opróżnił!

Szesnaście mostów, pomyślał nagle. Szesnaście mostów w dolinach East i West Step. Każdy z nich mógł się zablokować

tak samo jak most Południowy. I każdy z nich mógł zostać w każdej chwili zerwany...

Ściany zaczęły krzyczeć. Dudnienie przeszło w demoniczny ryk. Bill wołał imię Emily, ale nie słyszał własnego głosu. Brnął przez czarne jak studnia więzienie pokoju, kiedy podłoga uniosła się nagle w górę i załamała jak lód pod jego stopami. Na próżno próbował się czegoś złapać, modląc się o Emily.

Błyskawica znowu rozcięła niebo. W jej świetle nagle ją zobaczył, ciemną sylwetkę na jaśniejszym tle okna. Wyciągała ramiona, tak samo jak on. Rzucił się w jej stronę.

Ale jego ręce trafiły jedynie na twardą ścianę wody, która w tej właśnie chwili runęła do pokoju.

## Rozdział XXVII

### Majorka, współcześnie

Ty pieprzona dziwko!

Rachel odsunęła słuchawkę od ucha, bo po tym powitalnym wyzwisku nastąpiła lawina kolejnych. O co chodzi, do diabła? Nie mam teraz czasu na telefony od wariatów, pomyślała z irytacją. Za chwilę zejdzie na dół i po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat porozmawia z własnym bratem! Obserwowała z okna, jak Laurie i Bill rozmawiają przy basenie.

Bratanicy najwyraźniej wyjaśnienia nie szły zbyt dobrze. Wprawdzie nie słyszała, o czym mówią, ale z ich zachowania wyczytała, że chyba nadszedł właściwy moment na jej interwencję. Doszła do wniosku, że dość ukrywania się we własnym domu. Czas wziąć byka za rogi.

Właśnie ruszyła na dół, kiedy zaczął dzwonić telefon. Po co go w ogóle odbierała?

- Halo? - spróbowała jeszcze raz. - Czy może pani... Po czym nagle poznała głos Claire.

- Kochanie? Czy to ty?

Ale wnuczka nie odpowiedziała. Najwyraźniej miała atak hysterii.

- Claire, złotko, uspokój się - Rachel podniosła głos, starając się przebić przez jej gwałtowne szlochy. - Powiedz mi, co się stało? Czy coś z Archiem?

Obiema rękami ścisnęła teraz słuchawkę, a z jej umysłu wywietrzały wszelkie myśli o Laurie i Billu. Ogarnęło ją

przerażenie. Claire wprawdzie wpadała czasami w histerię, ale nigdy w aż taką.

- On ma romans! - wykrztusiła w końcu wnuczka. - On ma romans!  
- O czym ty mówisz, skarbie? - Rachel poczuła się tak, jakby spadała.

Jakby nagle zarwała się pod nią podłoga.

- O Samie! I o niej! - zawodziła Claire.

- O kim?

- O tej twojej ukochanej Laurie! O tej suce, która... która... Dzwonię, bo chciałam jej powiedzieć, że...

Rachel usiadła ciężko na łóżku. Jedna z fotografii ześlizgnęła się z narzuty i spadła na podłogę. Jej szkło rozbiło się z trzaskiem.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście, że jestem, kurwa, pewna! Sam mi właśnie o wszystkim powiedział!

Rachel słuchała przez chwilę, jak Claire zawodzi po drugiej stronie linii. Zatkąła sobie usta ręką, bo też zachciało jej się krzyczeć. Czuła coś - strach? - podniecenie? - wściekłość? - uczucie, które przenikało ją od stóp do głowy. Z całej siły trzymała się brzegu łóżka, kiedy Claire powtarzała, co powiedział jej Sam.

Tylko nie Sam. O Boże. Tylko nie Sam. Stanowili z Claire takie szczęśliwe małżeństwo. Przecież nie mógł jej zdradzić, po prostu nie mógł.

Z Laurie?

Nie, to nie mogła być prawda. Sam nawet jej nie lubi. Nagle przypomniała sobie wieczór, kiedy jedli tu razem kolację, a Laurie była taka milcząca. Czy Sam zachowywał się wtedy tak dziwnie, ponieważ ona tu była? Ponieważ był jej kochankiem?

A co z Jamesem? To nie miało sensu. Przecież Laurie podobno kochała Jamesa? Przecież James sam tak powiedział. Ale może był tylko dla Laurie przykrywką? Może Rachel się



pomyliła? W jej myślach przewijały się wszystkie sceny, kiedy widziała Sama i Laurie razem. Rozpaczliwie doszukiwała się w nich znaczenia.

- To nie może być prawda... - wymamrotała w słuchawkę. Ale nagle stanęły jej przed oczami starannie spakowane rzeczy Laurie, i pojęła, że to, co mówi Claire, jest prawdą. Bratanica wiedziała, że wszystko dziś wyjdzie na jaw! Wiedziała. Wiedziała, że będzie musiała wyjechać!

- Co ja mam robić? - zawodziła Claire.

To desperackie wołanie o pomoc gwałtownie wytrąciło Rachel z szoku i pozwoliło jej zebrać myśli. Musi jakoś opanować sytuację. To się nie może stać. Nie dopuści do tego. Była absolutnie pewna, że potrafi zakończyć tę aferę z Laurie, i to natychmiast. Przecież Sam był ojcem dziecka Claire! Co on sobie wyobraża? Że może tak po prostu odejść? Jeśli istotnie jest tak naiwny, to lepiej, żeby jeszcze raz rozważył swoją decyzję. Ma tutaj obowiązki. Przecież tylko ze względu na Claire zajmował taką pozycję w Ararat Holdings. Nie, Sam będzie musiał przeprosić żonę i naprawić wyrządzone szkody. Wszystkie małżeństwa przeżywają wzloty i upadki - Jezu, przecież ona sama wie o tym najlepiej! Sam i Claire na pewno zdołają się dogadać i żyć dalej razem.

A co z Laurie? Och, niech ją szlag. Niech zabiera swoje rzeczy i wynosi się stąd jak najszybciej. Nim zdąży bardziej narozrabiać.

- Claire, uspokój się - powiedziała stanowczo. Z całej siły starała się zapanować nad swoim głosem. - Kochanie, proszę cię, przestań płakać. Spróbuj wziąć się w garść. Załatwię to, obiecuję. Sam nie odejdzie od ciebie w ten sposób. Po prostu zostaw wszystko mnie. Czy on jest teraz z tobą?

- Tak, on... Rachel wstała.

- W takim razie za wszelką cenę zatrzymaj go w domu. Wszystko będzie dobrze.

Odłożyła słuchawkę. Instynkt macierzyński nakazywał jej biec natychmiast do Claire, objąć ją i pocieszyć. Jednak inna część jej jestestwa, silniejsza, napęczniała wściekłością, jakby miała zaraz wybuchnąć. Czuła, że w straszliwy sposób wszystkich zawiodła. Że nie zdołała ochronić własnej rodziny. A ponieważ była to wyłącznie jej wina, musi natychmiast wszystko naprawić.

Chwiejnym krokiem zeszła ze schodów do przedpokoju, nie bardzo wiedząc, co zamierza zrobić. Postanowiła, że powie Laurie prosto w oczy wszystko, co tylko przyjdzie jej do głowy.

I wtedy zobaczyła przed sobą Billa. Stał z rękami założonymi na piersi, zupełnie jak bramkarz w dyskotecce.

- Rachel - powiedział sucho na przywitanie.

Zamarła na ostatnich stopniach schodów. Ten tak bardzo znajomy dźwięk jego głosu wywołał w niej szok. W jednej chwili znikło gdzieś ostatnie pięćdziesiąt lat. Poczuli się przyłapani na gorącym uczynku, zupełnie jak kiedyś. Jego stanowczość, jego realność, jego postawa, choć przecież dawno już przekroczył siedemdziesiątkę, zdeprymowały ją zupełnie.

Poczuli, jak opuszcza ją cała dotychczasowa moc.

Nagle wszystko, co zamierzała mu powiedzieć, gdzie się ulotniło. Więzi splatające jej rodzinę, ten atut, który zamierzała przeciw niemu rozegrać, zupełnie się rozplynęły. Poczuli się bezbronna, jakby stanęła przed nim naga.

- Bill - odparła. Ich oczy spotkały się i nagle przerażająco wyraźnie przypomniała sobie ostatni raz, kiedy go widziała. Dziś jego spojrzenie było jeszcze twardsze niż wówczas.

- Posłuchaj mnie bardzo uważnie - zaczął Bill. Wyciągnął w jej stronę palec, jakby chciał ją nim dźgnąć. - Nie mam pojęcia, co to za grę tu prowadzisz ani jaki miałaś cel, namawiając Laurie, żeby mnie tu ściągnęła, ale ci nie wybaczyłem. I nie wybaczę. Dokonałaś wyboru. A to,

że owdowiałaś, nie znaczy, że możesz cofnąć czas.

Obezładnił ją lodowaty ton jego głosu, całkowity brak litości i współczucia. Serce zaczęło jej bić jak szalone.

- Wyszłaś za mąż za kłamcę. Jeśli pragniesz otrzymać przebaczenie, jeśli pragniesz się oczyścić w moich oczach, to sobie daruj. Nie jesteśmy już rodziną. Przestaliśmy nią być dawno temu, kiedy odeszłaś.

Od pięćdziesięciu lat nikt tak do niej nie mówił. Nikt nie śmiał jej atakować. Ani jej, ani Tony'ego, ani ich prawości. Nikt nie śmiał narzucać jej swojej woli, a już na pewno nie w jej własnym domu.

Zaczęła drzeć. Cała nadzieja, wszystkie wcześniejsze oczekiwania teraz ją opuściły. To było bez sensu. Nic się między nimi nie zmieniło. Była głupia, skoro myślała, że Bill z upływem czasu zmięknie. Jak mogła w ogóle mieć nadzieję, że jej wybaczy? Łudziła się, że kiedy się spotkają, przeszłość zostanie w jakiś cudowny sposób wymazana. Ale gdy stanęli w końcu twarzą w twarz, zobaczyła, jak pozbawione podstaw były takie złudzenia. Wszystkie marzenia o pogodzeniu się z bratem nagle rozsypały się w proch. Z upływem lat Bill stał się jeszcze bardziej uparty. Nie chciał jej i nie potrzebował. Nie zależało mu ani na przebaczeniu, ani na zrozumieniu. Będzie żył ze swą goryczą i nienawiścią aż do śmierci, tak samo jak ich matka. I tak samo jak ona będzie wierzył, że ma rację.

- To ty odszedłeś, nie ja - poprawiła go. Pokręcił głową, jakby chciał opędzić się od jej słów.

- Nie zamierzam dyskutować na ten temat. Już za późno.

- Więc po co tu przyszedłeś? Po co tu stoisz? - Chciała raczej zapytać, dlaczego ją dręczy.

- Dla Laurie. Żeby nie musiała mówić tego w moim imieniu.

- Ha! - wykrzyknęła Rachel. Nagle uderzyła ją cała ironia tej sytuacji, tego spotkania. Przez cały czas sądziła, że Laurie jej pomaga. A prawda była taka, że sprowadziła tu Billa, żeby ją jeszcze mocniej zranić. Ojciec i córka. Doprawdy, byli sobie warcami. Tak samo źli i samolubni. Tak samo ograniczeni i uparci. Nic dziwnego, że nazwał córkę imieniem ich matki.

- Uważam, że postąpiłaś podle, wciągając Laurie w tę sprawę - ciągnął Bill. - Wiesz, dlaczego przez tyle lat utrzymywałem twoje istnienie w tajemnicy? Żeby ją przed tobą chronić! Żeby się nie dowiedziała, co się stało z jej dziadkami. Ale powinienem się domyślić, że zrobisz coś takiego. Powinienem przewidzieć, że wykorzystasz jej dobre serce. Że nie przestałaś być samolubna i myśleć tylko o sobie. Jakie to żałosne, że musiałaś czekać aż do śmierci męża!

Rachel nagle straszliwie zateęskniła za Tonym. Nigdy wcześniej nie czuła równie wyraźnie, że go zdradza. Przecież zabiegała o Billa od chwili jego śmierci. Konspirowała za jego plecami i sama sobie zgotowała ten los. Tę karę.

Powinna była zaufać Tony'emu. Przecież ufała mu, kiedy żył, więc czemu przestała, kiedy umarł? Miał rację co do Billa. Spróbowała przywołać w myślach jego twarz. Pomyślała o zdjęciach, które zaniosiła na górę, żeby ochronić brata przed szokiem. Jak mogła? Przecież nie wstydziła się męża! Nigdy, ani przez chwilę. Powinna była zostawić zdjęcia na swoich miejscach!

- Dobre serce Laurie? Dobre serce Laurie? - wybuchła nagle wściekłością. - Jak śmiesz mówić mi coś takiego w moim własnym domu? Jak śmiesz zachowywać się tak, jakbyś tu rządził? Nie zamierzam tego znosić, szczególnie od ciebie! Tym bardziej że znowu się mylisz! Jak zwykle!

Należało mu uświadomić, co reprezentuje sobą jego własna rodzina, nim dobierze się do jej bliskich. Ruszyła po schodach w dół, zmuszając go, żeby się cofnął w głąb przedpokoju.

- I ty śmiesz mnie pouczać na temat Tony'ego po tym, co zrobiła twoja Laurie? - krzyknęła. - Chociaż wcale go nie znałeś? Nawet nie masz pojęcia, kim był! Jaki był dobry i miły, i uczciwy, i szczery! W przeciwieństwie do tej twojej obrzydliwej córki!

- O czym ty mówisz, u licha?

Rachel nagle zapragnęła krzyczeć co sił w płucach.

- Jeśli się zamkniesz chociaż na chwilę, zaraz ci wszystko o niej opowiem!

## Rozdział XXVIII

Stepmouth, 15 sierpnia 1953, północ

Owinięta szarym, wojskowym kocem Rachel siedziała na odwróconej skrzynce, a w rękę ścisnęła niebieski kubek z herbatą, która dawno zdążyła wystygnąć. Wstrząsały ją dreszcze, a zęby dzwoniły głośno. Patrzyła na drogę prowadzącą ze wzgórza Summerglade, niknącą w zupełnych ciemnościach jak w otchłani. Próbowwała się na niej skupić i modliła, żeby z ciemności wynurzył się Tony, ale widziała tylko krople deszczu kapiące z rozciągniętej nad nią brezentowej plandeki i bębniące w rozmokłą ziemię. Nie miała pojęcia, która jest godzina. Wiedziała tylko, że ten koszmar trwa i trwa, i trwa, i wcale się nie kończy. Miała wrażenie, że Tony i Bill zostawili ją samą w furgonetce już całe wieki temu. Siedziała tam przerażona, słuchając zawodzenia wiatru i deszczu, który walił o metalowy dach w tym samym rytmie, w jakim pulsował ból w jej piersiach. Kiedy w świetle błyskawicy zobaczyła ludzi, miała nadzieję, że jej męka dobiegła końca. Ale to był dopiero początek.

Choć nie widziała wyraźnie ubłoconego, przemokniętego tłumu, który mijał furgonetkę, zauważyła, że wiele osób jest rannych. Zaczęła walić rękami w szybę, krzycząc, żeby się zatrzymali i zaczekali na nią, ale nikt jej nie słyszał. Ryk wiatru zagłuszał wszystko. Zdesperowana wysiadła przez drzwi kierowcy.

Było tu tylko jedno źródło światła, pochodzące z niesionej przez kogoś latarki. Ale wkrótce po przyłączeniu się Rachel

do grupy słaby promień zamigotał i zgasł. Szła dalej po omacku, trzymając się czyjegoś mokrego płaszcza, a tłum powoli unosił ją na wzgórze Summerglade.

Nagle niebo rozdarła rozwidlona błyskawica i przez moment Rachel widziała rozgrywający się poniżej dramat, zupełnie jak przez szparę w kurtynie nieba. Ten widok ledwie była w stanie pojąć. Przez miasteczko mknęły niewyobrażalne masy wody.

Ocaleli ludzie dotarli jedynie do polany w połowie zbocza, w pobliżu punktu widokowego. Tu grupa zaczęła się rozpraszać. Ktoś, przekrzykując wycie wiatru i ryk wody, zaganiał ludzi przez bramę do starego wozu cygańskiego, gdzie Rachel kiedyś kochała się z Tonym. Czekali więc w ciemnościach, stłoczeni. Deszcz kapał przez dach zrujnowanego wozu, a kwaśny zapach błota mieszał się z zapachem pleśni. Nikt nie wiedział, co się stało. Tylko tyle, że zdołali uciec przed powodzią. W pudle pod jednym z siedzeń Rachel znalazła świecę i ktoś ją zapalił. W półmroku była w stanie rozpoznać kilkoro ze swych towarzyszy: pani Tamar od rzeźnika; Janet z lodziarni i jej dwie siostry. Pan Barry i stary pan Stebbing. Jeszcze jedna kobieta, zapewne z hotelu, cicho popłakując, tuliła w ramionach dziecko, a mała dziewczynka kwiliła u jej boku. Pan John, który potrząsał latarką pobłyskującą od czasu do czasu słabym światłem, zaproponował, że sam obejmie pierwszą wartę na zewnątrz. A tam zaczął nawoływać płaczliwie kolejnych ocalonych, by się do nich przyłączyli.

Nikt nie dociekał, dlaczego Rachel siedziała sama w furgonetce na stoku Summerglade. Odrętwienie i szok uciszyły jej towarzyszy. Wszyscy nasłuchiwali przez wycie wiatru głosów innych ocalonych albo nadejścia pomocy. Rachel z trudem mogła siedzieć prosto, tak bardzo bolała ją klatka piersiowa. Łzy niepostrzeżenie płynęły po jej policzkach, kiedy w milczeniu zanosila błagalną modlitwę do mściwego Boga, aby pozwolił jej się obudzić z tego straszliwego koszmaru.

Musiała minąć co najmniej godzina, nim pojawiła się pierwsza karetka z Barnstaple. Rachel nie miała pojęcia, kto zdołał podnieść alarm, ponieważ zdaniem pana Johna telefony w miasteczku nie działały, tak samo jak elektryczność. Potem nadjechało więcej karetek z bazy wojskowej, ale ich obsługa stwierdziła, że drogi są w takim stanie, że nie można ewakuować ocalonych. Dlatego samochody zatrzymały się koło wozu cygańskiego, a żołnierze rozciągnęli brezentową plandekę nad łąką, tworząc prowizoryczny obóz. Miła kobieta w szarym mundurze rozdała koce i gorącą herbatę.

Ze swojego miejsca, kiedy wiatr przycichał i brezent nie łopotał tak głośno, Rachel mogła usłyszeć innych ocalonych. Jednak pomimo migoczących lamp gazowych, które rozwiesiło wojsko, niewiele można było zobaczyć. Błyskawice przestały rozświetlać niebo, ale czasami reflektory samochodów rzucały strumień światła na drzewo albo żywopłot, przypominając jej, że znajduje się na wzgórzu Summerglade, że siedzi przy drodze, którą zna przecież jak własną kieszeń.

Lekarz, który wcześniej zabandażował jej żebra i oczyścił twarz, wysiadł z karetki stojącej za jej plecami tak nagle, że ją przestraszył. Badał właśnie pana Barry'ego, którego musiał uśpić i ułożyć na noszach. Rachel wiedziała, że inni są oburzeni takim potraktowaniem pacjenta, ale pan Barry tak bardzo wymyślał żołnierzom, że uciszenie go stało się koniecznością.

Pogłoski o tym, że RAF rozpyła coś w chmurach, żeby wywołać deszcz, które słyszała często w sklepie, najwyraźniej miały dużo większy odzew, niż sądziła. A pan Barry, któremu zaginął syn, uważał, że to wina wojska, i nie omieszkał wszystkich o tym donośnie poinformować.

Rachel współczuła udręczonemu lekarzowi. Chciała jakoś pomóc, ale znała z góry odpowiedź. Okazało się, że ma złamane dwa żebra i musi siedzieć nieruchomo, tym bardziej że jest również nieco zamroczone po uderzeniu w głowę



podczas wypadku. Zastanawiała się, czy straci teraz dziecko. Czuła, że brzuch ma posiniaczony i poobijany.

Ale nagle przestało to mieć znaczenie. Znaczenie miało tylko, czy Tony'emu się uda i czy do niej wróci... no i Bill, i matka. Dotarły do niej pogłoski o wielkich falach powodziowych... o przewracanych domach. Ale nie mogła w nie uwierzyć. Niby skąd o tym wiadano, skoro nadal było tak ciemno?

Czuła jednak tępy uścisk strachu. A jeśli taka fala uderzyła w jej dom, a matka nie zdołała się wydostać? Poczowała rozpacz na samą myśl o pani Vale, samotnej i przerażonej, uwięzionej w sypialni, tylko przy świetle świecy, bez możliwości ucieczki. Wróciła myślą do ich wczorajszej kłótni, do tego, jak z całego serca jej wtedy nienawidziła. Teraz wydawało się to takie odległe. A jeśli ta kłótnia będzie ostatnią rzeczą, jaką zapamięta jej matka? Jeśli już nigdy nie dowie się, jak bardzo córka ją kocha? Jeśli nigdy nie zrozumie, że Rachel kocha ich oboje, i ją, i Tony'ego?

A Tony? Jeśli porwała go powódź, albo jeśli jest ranny, czeka na pomoc i cierpi, to będzie wyłącznie jej wina. Przecież miało być inaczej, mieli już być daleko. Jutro, pojutrze albo za dwa dni dotarliby do Gretna Green i pobrali się. Przysięgliby sobie sobie na całą wieczność, a wtedy nikt by ich nie mógł rozłączyć ani odebrać im dziecka. Nawet matka.

Myśląc o ukochanych osobach, nie potrafiła sobie wyobrazić niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli. No bo przecież most

Południowy nie mógł zostać zerwany tak po prostu. Ani woda w dolinie nie mogła nagle aż tak przybrać. To było całkiem niemożliwe!

To przecież Stepmonth. Katastrofy nie zdarzają się w Stepmonth. To nie jest odpowiednie miejsce. Takie miejsca nie są niszczone w podobny sposób. Katastrofy zdarzają się zawsze za granicą, zawsze innym ludziom. O katastrofach mówi się w radiu, w wiadomościach. Przecież coś takiego nie mogło się zdarzyć w jej domu!

Teraz prześladował ją ten rzut oka na wzburzoną wodę. A jeśli ktoś zginął? Jeśli dlatego nikt tu więcej nie dotarł, bo wszyscy zginęli? Panika odbierała jej jasność myśli. Co będzie, jeśli nic nie zostało ze świata, który zaledwie wczoraj wydawał jej się tak zwyczajny i nudny?

- Czy coś wiadomo? - krzyknęła, łapiąc za ramię jednego z ratowników, którzy pojawili się tu niedawno. Popatrzył na nią spod ociekającego wodą ronda rybackiego kapelusza.

- Jeszcze nie - odparł, przekrzykując hałas. - Próbowaliśmy się tam dostać, ale utknęliśmy zaraz za wzgórzem. Jest za dużo wody. Robimy, co możemy. Powiadomimy was

O sytuacji, jak tylko sami stwierdzimy, co tam się dzieje. Nie martw się, maleńka, ten deszcz zaczyna wreszcie ustawać.

Ale Rachel nie czuła się uspokojona. Znów owładnął ją strach, ponownie zaczęła wpatrywać się w drogę, modląc się, żeby przyszedł nią Tony lub Bill. Nie miała pojęcia, ile czasu tak siedzi, ale podskoczyła, kiedy ktoś położył jej rękę na ramieniu. Odwróciła się, myśląc, że zobaczy policjanta albo żołnierza, ale to był Bill. Kubek wypadł jej z ręki na ziemię, a zimna herbata zalała przemokniętą spódnicę, kiedy skoczyła na równe nogi, krzywiąc się z bólu.

Bill był zupełnie mokry. Miał na sobie tylko podkoszulek i spodnie, a wyglądał tak, jakby pływał. Nie miał nawet butów.

Zauważyła, że jest cały podrapany i posiniaczony. Przytrzymał ostrożnie przed sobą lewą rękę i widać było, że bardzo cierpi.

Myślała, że się na nią wścieknie. Że rozprawi się z nią za to, że razem z Tonym ukradli jego ukochany samochód, albo, co byłoby jeszcze gorsze, wygłosi jej kazanie na temat ciąży. Ale w jednej chwili zapomniała o tym wszystkim, tak bardzo przeraził ją jego wygląd.

Wydała stłumiony okrzyk, a on wyciągnął do niej rękę.

- Dzięki Bogu - powiedział, przytulając ją mocno. - Trząśł się okropnie. - Dzięki Bogu, że żyjesz.

Zdjęła z ramion koc, zmusiła go, żeby usiadł na odwróconej skrzynce, i otuliła go mocno. Był zupełnie mokry, a twarz miał umazaną błotem.

- Tak się martwiłam - szepnęła. - Och, Bill, to takie okropne. Gdzie ty byłeś?

- O Boże! - nagle wybuchnął płaczem, kurczowo trzymając się jej spódnicy.

- Co się stało?

- Emily - wyszeptał. - Zaginęła.

Kiedy spojrzał na nią, miał czerwone oczy.

- Próbowałem ją złapać, ale nie zdołałem. Nie zdołałem

- jęknął i głos uwiązł mu w gardle. - Widziałem, jak zabiera ją woda. Nie zdołałem jej złapać.

Oparł głowę na piersi Rachel, która krzyknęła z bólu.

- Znajdą ją. Ktoś ją na pewno znajdzie. Nie martw się!

- Chciała, żeby jej głos zabrzmiał mocno. Żeby był wolny od zimnego strachu, który ją przenikał.

- Idę - oświadczył Bill, puszczając ją nagle i zrywając się ze skrzynki. - Idę jej szukać.

Rachel złapała go za rękę.

- Nie możesz. To zbyt...

- Puść! - krzyknął, uwalniając się z jej uchwytu.

- Co tam się dzieje? - zawołał ktoś.

Rachel zobaczyła, że w ich stronę biegnie dwóch żołnierzy. Złapali Billa.

- Nikt stąd nie odejdzie, póki alarm nie zostanie odwołany - oświadczył jeden z nich.

- Lekarz! - zawołał drugi. - Potrzebna pomoc medyczna!

Alarm odwołano dopiero kilka godzin później, tuż przed świtem.

Wkrótce ludzie ruszyli na wzgórze w towarzystwie kilku policjantów i żołnierzy.

Potem, kiedy ciemność przeszła wreszcie w szarówkę, wokół nagle znalazło się pełno ludzi, zaroilo się od karettek

i wozów strażackich, które z włączonymi syrenami i kogutami usiłowały utorować sobie drogę przez tłum, do rannych.

Rachel opuściła swoje miejsce pod plandeką. Nogi całkiem jej ścierpły. Zaczęła szybko kuśtykać przez tłum, szukając Tony'ego wśród przerażonych, udręczonych twarzy. Szlochała, patrząc na mijających ją ludzi.

A potem go zobaczyła. Podtrzymał go policjant. Ale żył. Jej Tony żył. Jego twarz była zupełnie szara, włosy miał przylepione do czaszki.

Koszula była w strzępach, a spodnie mokre i podarte. Kulał. Ale Rachel wydał się piękniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Przecisnęła się przez tłum i podbiegła do niego. Zarzuciła mu ręce na szyję i obsypała pocałunkami.

- Jesteś. Wróciłeś - mamrotała przez łzy. Nie obchodziło jej, kto ich zobaczy. Wszystko, co jeszcze wczoraj wydawało się takie ważne, dziś nie miało żadnego znaczenia.

Nim Tony zdążył coś powiedzieć, podbiegi do nich Bill i odepchnął ich gwałtownie od siebie.

- Gdzie jest mama? - zapytał.

Tony popatrzył na Rachel, a potem na Billa.

- Przepraszam - wyszeptał.

Patrzyła na niego w milczeniu, próbując zrozumieć, co chce jej powiedzieć. Wyraz jego twarzy świadczył, że to najgorsza z możliwych wiadomości.

- Co? - spytała wreszcie, cofając się.

- Nie zdołałem... Nie zdołałem do niej dotrzeć na czas.

- O czym ty mówisz? Gdzie ona jest? - Bill próbował go wyminąć, ale Tony złapał go za ramię.

- Nie. Już za późno.

- Co ty mówisz? - spytała Rachel.

- Wasz dom. Widziałem, jak się wali, kiedy nadeszła fala powodziowa. Próbowałem tam dotrzeć. Sklep. Wszystko znikło.

- Znikło? - wykrzyknęła Rachel.

- Nim uderzyła fala, zdołałem się wspiąć na ten wielki dąb koło waszego domu. Stamtąd mnie uratowali.

Bill kręcił głową. W niewyraźnym świetle świtu Rachel widziała, jak jego twarz pobiadła z wściekłości.

- Wszedłeś na drzewo? Skoro dotarłeś do drzewa, mogłeś dotrzeć i do mamy! Ty śmierdzący tchórze!

- Nie, Bill, nie - tłumaczył Tony. - Próbowałem, słowo honoru.

- Kłamiesz. Ty przecież ocalałeś, prawda? Ale jej pozwoliłeś tam umrzeć.

- Uspokójcie się - polecił policjant, którego zainteresował hałas. - Jestem pewien, że ten biedak zrobił, co mógł. Ma szczęście, że sam przeżył. Siedział na drzewie całą noc.

Rachel nie potrafiła uwierzyć w to, co usłyszała. Jej matka odeszła. A ona jej tego życzyła. Tak powiedziała wczoraj Tony'emu, przed samym wypadkiem. Że nienawidzi matki i chce, żeby umarła. Więc jeśli ktoś tu zawinił, to tylko ona.

- To tak, jakbyś ją sam zabił! - krzyknął Bill, przysuwając twarz do twarzy Tony'ego.

Przez łzy Rachel zobaczyła, jak Tony wzdryga się i cofa ostrożnie.

- Tony, Bill wcale tak nie myśli. - Stała między nimi, chcąc ich rozdzielić.

- Nie powinienem był ci ufać! - krzyczał Bill. - Powinienem sam po nią pójść! Jesteś taki sam, jak twój brat... ty... ty morderco! - I uderzył go pięścią w twarz.

Rachel wrzasnęła, kiedy Tony zachwiał się. Wtedy Bill rzucił się na niego i obaj upadli na mokrą drogę.

- Przestań! - krzyczała Rachel do Billa. - Przestań! Upadła na kolana obok nich. Obaj dyszeli ciężko, a Bill

dusił Tony'ego, trzymając za koszulę pod samym gardłem. Policjant próbował ich rozdzielić. Rachel raz po raz szarpała brata za ramię.

- Puść go, Bill! Puść go!

- Chciałem ją uratować, przysięgam - wykrztusił Tony.

- Kłamiesz! Masz to wypisane na twarzy.

Nadbiegło jeszcze dwóch policjantów i wreszcie zdołali ich rozdzielić.

- Wystarczy. Jeszcze chwila, a zostaniecie aresztowani. Bill wstał i otrzepał się. Przesunął dłońmi po włosach, a potem zacisnął je w pięści. Jego twarz wykrzywiał ból i wściekłość.

Tony nadal leżał na drodze. Włosy opadły mu na twarz. Dotknął policzka w miejscu, gdzie uderzył go Bill. Rachel popatrzyła na brata.

- Co ty robisz? - krzyknęła. - Przecież to nie jest wina Tony'ego!

Bill odszedł kilka kroków, a potem wrócił, próbując się uspokoić.

Następnie wyciągnął do niej rękę.

- Odejdź od niego, Rachel - powiedział. - Natychmiast.

- Nigdzie nie idę - wyszłochwała, pomagając Tony'emu wstać. - Na pewno nie z tobą. Jak mogłeś coś takiego powiedzieć?

Bill podszedł do niej bliżej.

- Natychmiast!

Przywarła do ramienia Tony'ego.

- Jeśli natychmiast od niego nie odejdziesz, przestaniesz być moją siostrą, rozumiesz? - głos Billa był lodowaty. - To przez niego pojechałem po ciebie, chociaż powinienem był zostać z mamą. Mogłem uratować je obie. I mamę, i Emily. Nie powinienem był jechać do ciebie. To wszystko przez twoją głupotę, twoją...

- Przepraszam - rozplakała się Rachel. - Przepraszam.

- No to chodź. Już.

- Nie! - wyszłochwała.

- W takim razie nie odezwę się do ciebie już nigdy w życiu. A potem odszedł. Rachel pobiegła za nim i spróbowała go złapać za ramię, ale ją odepchnął.

- Zostaw go! - zawołał Tony, doganiając ją i obejmując mocno. Przez łzy patrzyła, jak Bill przeciska się przez tłum i schodzi ze wzgórza z powrotem do miasteczka.

## Rozdział XXIX

### Majorka, współcześnie

Późnym popołudniem upał stał się niemal nie do zniesienia. Zupełnie jakby wszystko spalało się w niewidzialnym ogniu. Laurie, która zawsze intuicyjnie wyczuwała różne rzeczy, miała wrażenie, że atmosfera wokół pęcznieje agresją. Choć wszystko wydawało się tak niesamowicie spokojne.

Siedziała w jedynym zacienionym zakątku ogrodu, jaki udało jej się znaleźć, nad basenem, zanurzając stopy w ciepłej wodzie. Cień rzucał na nią ratanowy parasol, ale na niewiele się to zdało. Choć starała się siedzieć zupełnie nieruchomo, i tak czuła, jak całe jej ciało pokrywa się warstewką potu - całe, nawet opuszki palców. Zupełnie jakby właśnie ukończyła bieg maratoński. Jakby się dusiła.

Przez zmrużone powieki obserwowała otoczenie. Promienie słońca odbijały się od błyszczącej, nieruchomej tafli morza, jak paski aluminiowej folii, tak jaskrawe, że aż powodowały ból oczu. Daleko na horyzoncie majaczył żagiel jachtu. Wspominała dzień, który spędzili razem z Samem na żaglówce. Czuła się wtedy taka szczęśliwa. Taka czysta. A teraz?

Wyjęła stopy z wody i podciągnęła kolana, opierając o nie skroń. Sam nadal się do niej nie odzywał. Z początku myślała, że telefon, który rozdzwonił się w domu, był do niej, ale pewnie to ktoś do Rachel. Najwyraźniej zaczyna popadać w paranoję.

Przekonywała samą siebie, że właśnie w tej chwili Sam rozmawia z Claire. Może to dlatego czuje się teraz tak dziwnie? Piekły ją uszy. Przypomniała sobie nagle ten głupawy przesąd. Jak to było? Jak piecze lewe, to na miłość, a jak prawe to na kłótnię? Cóż, prawe ucho paliło ją żywym ogniem.

Dotknęła delikatnie małżowiny, jakby mogła ją nastawić na odbiór tego, co się o niej mówi. Czowała się taka bezsilna. I zdenerwowana. To przez tę rozmowę z ojcem. Kiedy w spokoju zaczęła rozważać słowa, które padły, coraz bardziej bolały ją jego cięte uwagi na temat małżeństwa Sama z Claire. Że tak naprawdę nie wie, jak wyglądają ich wzajemne stosunki. No i jego wątpliwości, czy Sam rzeczywiście opuści żonę.

Przypomniała sobie ślubne zdjęcie Sama i Claire, które zobaczyła zaraz po przyjeździe do willi. I jaka się wtedy poczuła zdradzona. Skupiła się wówczas na Samie, ale to przecież stojąca obok niego Claire wydawała się taka szczęśliwa. Szczęśliwa i radosna. Obserwując dwa motyle goniące się nad basenem, Laurie doszła do wniosku, że być może ojciec ma rację. Wiedziała, co czuł Sam i jak wyglądały sprawy z jego punktu widzenia, natomiast nie miała pojęcia, co to małżeństwo znaczyło dla Claire. W końcu przysięgali sobie, a przysięga małżeńska jest przecież święta. Kuzynka nie miała pojęcia, że Sam coś przed nią ukrywa i że nie wkłada w ich związek całego serca.

Trzy lata po zrobieniu tego zdjęcia nadal byli małżeństwem. Laurie zaczęła sobie przypominać chwile, kiedy widziała ich razem. W towarzystwie Claire drażniła się zawsze z mężem i próbowała grać mu na nerwach, a Laurie zaślepiała wtedy zazdrość i irytacja. Ale może był to po prostu sposób, w jaki okazywała Samowi uczucie?

Spróbowała sobie wyobrazić, że jest na jej miejscu. No tak, z całą pewnością załamałaby się na wieść, że Sam od niej odchodzi. Dla Claire będzie to zupełnie jak grom z jasnego nieba. Woląca sobie nie wyobrażać nienawiści, jaką



kuzynka do niej poczuje. I będzie miała do niej pełne prawo, bo w końcu Laurie kradnie jej męża. Tak to będzie wyglądać w oczach Claire. Z całą pewnością nie dostrzeże miłości, która nimi powoduje. Zobaczy tylko zdradę i kłamstwa.

Odkąd się tylko poznały, kuzynka dokładała starań, aby okazać jej przyjaźń. Żeby Laurie poczuła się z nimi dobrze, jak członek rodziny. A w zamian co dostała? Zamiast wdzięczności doczekała się zdrady.

Cisnięto jej w twarz wszystkie rodzinne uczucia, jakie starała się okazywać.

Laurie ukryła twarz w dłoniach. Czowała się taka wstrętna. Taka zbrukana. Wszystkie rzeczy dobre, czyste i szlachetne, jakie wiązała z miłością do Sama, gdy byli razem, nagle wydały jej się podłe. Przepęniało ją poczucie winy. Kiedy zrozumiała, że ojciec uznał go za zwykłego cudzołóżnika, poczuła się jak wyrzutek. Nikt nigdy nie dostrzeże prawdy o ich miłości, nikt, nie tylko Claire.

Ten związek był prawdziwą podróżą w nieznane. Wielkim ryzykiem.

Chryste, przecież nawet nie miała pewności, czy w ogóle będą potrafili razem żyć! Niewielu z jej przyjaciół znało Sama, a ci, którzy znali, jak na przykład Roz, nie ufali mu z powodu tego, co jej zrobił trzy lata temu.

Więc czy będą potrafili dostrzec magię, jaka tkwiła w ich związku? Czy raczej, podobnie jak rodzina, dostrzegą tylko dwoje wyrzutków, samolubnych i bezmyślnych? To takie niesprawiedliwe. Nie chciała przecież być samolubna. Chciała, żeby wszyscy byli szczęśliwi!

Zrozumiała jednak, że jej nadzieja to naiwność. Słowa ojca uświadomiły jej, że tak naprawdę nic nie wie. Spojrzała w kierunku willi, zastanawiając się, co tam się dzieje. Zupełnie nagle ojciec postanowił stawić czoło Rachel, a Laurie wołała go nie powstrzymywać. Nie śmiała im przeszkadzać, choć pragnęła wrócić do środka, zabrać swoje rzeczy i natychmiast się stąd wynieść.

Czytali chyba w jej myślach, bo dokładnie w tej samej chwili otworzyły się drzwi na taras. Wstała znad basenu

i włożyła buty. Ich rozgrzane podeszwy paliły ją w stopy. Ojciec i Rachel w milczeniu wyszli razem z willi. Laurie przyjrzała się im, osłaniając oczy ręką.

Ponury wyraz ich twarzy powiedział jej, że spotkanie nie wypadło zbyt dobrze. Jednak, co zaskakujące, ruszyli w jej kierunku razem, ramię w ramię, równym krokiem. I nawet z tej odległości widziała łączące ich rodzinne podobieństwo.

Ale kiedy wyszła im na spotkanie, obchodząc basen, aż się przestraszyła. Bo Rachel płakała. Gorzej, najwyraźniej przeżyła potworny szok, bo oczy miała przekrwione, a twarz pomarszczoną, jakby w ciągu tych dwudziestu minut postarzała się nagle o dwadzieścia lat.

Laurie poczuła się okropnie. Miała ochotę ją przytulić i pocieszyć. Przecież wiedziała, jak strasznie wściekły był ojciec. Czyżby wyładował się na Rachel? Czy to on sprawił, że wyglądała teraz jak żaloszny cień samej siebie? Jeszcze dziś rano była taka podekscytowana, teraz zaś sprawiała wrażenie wycieńczonej. Laurie spróbowała się do niej uśmiechnąć, ale Rachel uciekła wzrokiem w bok.

Pierwszy odezwał się ojciec.

- Nie powiedziałaś mi prawdy o Samie, Laurel - stwierdził. Nigdy nie nazywał jej Laurel.

Zaskoczona otworzyła usta i w milczeniu patrzyła raz na jedno z nich, raz na drugie.

- Nie powiedziałaś mi, że jest spowinowacony z moją siostrą - ciągnął. - Że jest żonaty z jej wnuczką.

Teraz, drżącym głosem, odezwała się Rachel.

- Czy to prawda?

A więc ojciec powiedział jej o Samie. W ten sposób się dowiedziała.

Dziwne, sądziła, że będą raczej rozmawiać o własnej przeszłości, a oni tymczasem rozmawiali o niej. Nic dziwnego, że piekły ją uszy.

- Rachel, nie chciałam... - zaczęła, ale wyraz twarzy-ciotki kazał jej zamilknąć. Poczowała nagły skurcz żołądka.

- Przyjechałaś tutaj, żeby być blisko Sama i... - ciotka zawahała się. -  
Ufałam ci - dokończyła wreszcie.

Laurie popatrzyła na nich oboje. Nie miała pojęcia, jak się bronić. W każdym scenariuszu, jaki przewidziała, zawsze po jej stronie stał albo ojciec, albo Sam. Nie przypuszczała, że ojciec weźmie stronę Rachel, że będzie taki cholernie moralny i taki opiekuńczy w stosunku do siostry. Poczula się osaczona.

- Ale... - wyjąkała.

- Ty oszustko - rzuciła Rachel i Laurie zrozumiała, że nie ma najmniejszego znaczenia, co teraz powie, bo i tak została już osądzona. Przeraziła ją pogarda dźwięcząca w głosie ciotki. Zwróciła się do ojca.

- Słuchaj, przepraszam, ale gdybyś był ze mną szczery i powiedział mi o Rachel, zamiast przez tyle lat ukrywać jej istnienie, wiedziałabym, kim jest Sam. Wiedziałabym, że jest ze mną spowinowacony, już wtedy kiedy się w nim zakochałam. Czyli trzy lata temu, we Francji.

- Był już wtedy związany z Claire - wytknęła jej Rachel.

- Być może... ale, Rachel, Sam jest wolnym człowiekiem, a nie twoją własnością.

- Ani twoją. Proszę, żebyś natychmiast opuściła mój dom. Żebyś stąd znikła, nim sprowadzisz jeszcze większe kłopoty.

Laurie przeraził jad zawarty w słowach ciotki.

- Och, Rachel. Naprawdę sądzisz, że po to tu przyjechałam? Żeby was unieszczęśliwić? Przecież wcale taka nie jestem!

- Doprawdy?

- Nie, to znaczy... nie chciałam, żeby to wypadło w taki sposób...

- Pozwolisz, że ci przypomnę, że Sam jest mężem Claire - ucięła Rachel. Nie miało sensu wyjaśniać jej czegokolwiek, ale Laurie postanowiła spróbować po raz ostatni.

- Tak, wiem. Jest też bardzo lojalny. Został przecież z Claire i stworzył Archiemu dom. Zrobił dla was wszystko, co mógł, ale kosztem własnego szczęścia. A wcale nie chciał, żeby tak się stało.

- Jak śmiesz! Sam był idealnie szczęśliwy, nim się tu zjawiłaś. Nie dostaniesz go, słyszysz? Nie pozwolę na to!

Laurie wiedziała, że Rachel mówi poważnie. Ale choć poczuła się jak zbity pies, nie zamierzała się poddawać. Musi bronić swego uczucia do Sama. Musi sprawić, żeby ją zrozumieli.

- Tato, przepraszam, jeśli postępuję wbrew twemu poczuciu przyzwoitości. Przepraszam też za to, jak postąpiłam wobec Rachel. Ale nie zamierzam przeproszać za swoją miłość. Nikogo. Nie chciałam, żeby tak się stało, ale się stało. I nie zamierzam rezygnować z własnego szczęścia tylko po to, żeby was zadowolić - urwała. Z wyrazu ich twarzy wynikało wyraźnie, że to droga donikąd. Nie mieli zamiaru wysłuchać jej i zrozumieć. - Wiecie co? To moje życie. Nie macie prawa się wtrącać.

- Ona ma rację, Rachel.

Powiedział to Sam, który wszedł chyba na taras przez dom. Jak duch wynurzył się nagle zza pleców Rachel i Billa, a Laurie nie miała pojęcia, jak długo stał i słuchał ich wymiany zdań.

Zdjął ciemne okulary. Jego twarz była wymęczona i poszarzała, gdy patrzył prosto na nią ponad ramionami Rachel i Billa. Nagle łzy, które zbierały się w niej od dłuższego czasu, znalazły ujście i rozpląkała się bezradnie.

- Och, Sam! - wykrzyknęła i pobiegła do niego.

Był zbyt wzburzony, by coś odpowiedzieć. Przytulił ją tylko na chwilę i pocałował w czoło. Natychmiast zrozumiała, że powiedział o wszystkim Claire.

- Sam, nie możesz tego zrobić - głos Rachel drżał mocno.

- Przykro mi, Rachel, ale ja już to zrobiłem - odparł niemal szeptem.

- Jak śmiesz... - zagrzmiała Rachel.

Sam wziął Laurie za rękę. Wiedziała, że kochał jej ciotkę i że zerwanie z nią było dla niego najtrudniejsze.

- Tato? - spytała, ocierając łzy. Ale ojciec odwrócił się do niej tyłem i włożył ręce do kieszeni spodni. Nawet nie spojrzał na Sama.

- Bill, zrób coś! - krzyknęła Rachel.

- Przecież ich nie powstrzymam. Doskonale wiesz, że nie dam rady. Właśnie ty powinnaś to wiedzieć najlepiej.

Rachel popatrzyła na niego zaskoczona.

- Jesteś gotowa? - szepnął Sam do Laurie. Był wykończony.

Kiwnęła głową.

- Sam, jeśli teraz stąd wyjdiesz, to koniec - ostrzegła Rachel. - Stracisz wszystko. Zostaniesz zwolniony. Zastanów się, nim...

Ale Sam uściskał dłoń Laurie. Odwrócili się od Rachel i szybko weszli razem do domu.

Kiedy znaleźli się w środku i przeszli przez salon do przedpokoju, Laurie rzuciła mu się na szyję i przytuliła mocno.

- O Boże, Sam, jakie to było okropne - poskarżyła się.

- To prawda.

- Nic ci nie jest? Tak się martwiłam! Ujął w dłonie jej twarz i zajrzał jej w oczy.

- Laurie, tak bardzo cię kocham. Pocałował ją, a potem odsunął od siebie.

- Jak poszło? - spytała. - I co z Archiem?

Sam pokręcił głową. W jego oczach widziała z trudem powstrzymywane łzy.

- Claire... ona... musiałem go jej zostawić.

- Kochanie, tak strasznie mi przykro.

Dlaczego wszystko było aż takie trudne? Nie miała pojęcia, co powiedzieć, żeby ukoić jakoś ból Sama.

- Nie potrafię tego znieść. Nie potrafię znieść myśli, że Archie będzie się wychowywał bez ojca... albo mówił „tato” do kogoś innego - zasłonił sobie dłonią oczy.

- Przecież to ty jesteś jego tatą - odparła stanowczo, odrywając mu rękę od twarzy. Zmusiła go, żeby na nią spojrział. - Cokolwiek się stanie, Archie zawsze będzie o tym wiedział. Dorośnie, znając prawdę. Nie tak jak ja. Będziemy go widywać. I opowiemy mu wszystko. Spróbujemy wyjaśnić. Sam ujął jej obie dłonie i splótł palce z jej palcami.

- Teraz za to mamy siebie - stwierdziła. Pokiwał głową.

- No to wynośmy się stąd - zaproponował. Pobiegli na górę i zabrali jej rzeczy.

- A co z obrazami? - zapytał Sam.

- Zostaw je tutaj. Namaluję inne. Po prostu stąd chodźmy. Kiedy znaleźli się na podjeździe, Laurie postawiła torby na ziemi.

- Którym samochodem jedziemy? - spytała. - Wypożyczyłam tę fiestę, ale możemy ją bez problemu zostawić...

Sam wyciągnął z kieszeni kluczyki od porsche i włożył je do stacyjki.

- To służbowy samochód. Nie pracuję już dla firmy, więc powinniśmy pojechać twoim.

Nie obejrzał się ani razu, idąc w stronę fiesty. Otworzył drzwiczki i rzucił bagaż Laurie na tylne siedzenie. Obserwowała go, zaskoczona jego odwagą i determinacją. Spojrział na nią ponad dachem samochodu.

- Nie pożegnałam się z ojcem. - Zawahała się, spoglądając na dom.

- Naprawdę chcesz tam wrócić?

Pokręciła głową i jeszcze raz spojrzała na willę. Czuła się winna, że opuszcza ojca w ten sposób. Pomyślała o tym, co jej opowiedział o przeszłości, swojej i Rachel. Przerazająca była myśl, że jej też nigdy nie będzie chciał wybaczyć. Ale

może, kiedy minie pierwszy szok, zrozumie, że nie miała wyboru, że musiała postąpić równie stanowczo i bezwzględnie jak on wiele lat temu. Że musiała walczyć o to, żeby stworzyć z Samem rodzinę - nawet jeśli to oznaczało, że zada ból ludziom, których kocha.

- Laurie? - zapytał Sam miękko.

Znów pokręciła głową i wsiadła szybko do samochodu, a Sam usiadł obok niej. W środku było potwornie gorąco. Pochyliła się i zaczęła całować Sama, raz po raz. Aż wreszcie przestała i zajrzała mu w oczy.

- Och, Laurie - powiedział i westchnął głęboko, opierając głowę na zagłówku. - Dlaczego tak długo zwlekaliśmy z tym, żeby być razem?

- Poczekaj - odparła ze zmęczonym uśmiechem, zapalając silnik. -

Przecież dopiero zaczynamy.

## Rozdział XXX

Stepmouth, 23 sierpnia 1953

W błękitne niebo wzbił się krótki dźwięk uruchamianej korbą syreny przeciwlotniczej. Było to ostrzeżenie dla mieszkańców, ale ostatnio syrena odzywała się tak często, że nikt w kolejce po żywność wydawaną przez Armię Zbawienia, w tym i Tony Glover, nawet nie drgnął. Wkrótce rozległ się dźwięk wybuchu. W oddali wzbił się w górę pióropusz dymu, a w powietrze poleciały kawałki gruzu. Dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś stał ratusz.

Kiedy znów podjęto prace, powietrze wypełniły okrzyki żołnierzy, przejmujący dźwięk gwizdka i ryk buldożerów. Gdzie nie spojrzeć, pełno było umundurowanych ludzi: żołnierzy, obrony cywilnej, RAF-u, Związku Automobilowego, Królewskiego Klubu Automobilowego i kobiecej służby ochotniczej.

Tyle jeszcze pozostawało do zrobienia. Sześćdziesięcioto-nowy głaz, który właśnie saperzy wysadzili w powietrze, stanowił zaledwie niewielką częśćkę z tych, jak szacowano, piętnastu tysięcy ton skał, które rzeka Step niosła do miasteczka podczas powodzi.

Od tamtej nocy minęło osiem dni. Wczoraj po południu mieszkańcy Stepmouth, w tym Tony i Rachel, zebrali się na cmentarzu Świętego Judy, na trawiastym zboczu od strony morza po prawej stronie przystani, gdzie odprawiona została msza za zmarłych.



Wiadomo już było, że w nocy 15 sierpnia w Stepmouth i okolicznych wioskach zginęło trzydzieści sześć osób. Najstarszą ofiarą była osiemdziesięcioletnia staruszka, najmłodszą - trzymiesięczne niemowlę. Cztery osoby zaginęły, choć w zasadzie było pewne, że nie żyją. W hołdzie ofiarom samotny szkocki kobziarz odegrał *Flowers of the Forest*, a smutna melodia popłynęła znad cmentarza w stronę wzgórz. Postanowiono zbudować pomnik, na którym wyryte zostaną nazwiska wszystkich ofiar. Swą wizytę zapowiedział książę Edynburga. Według gazet, tej jednej nocy spadło tu ponad dwadzieścia centymetrów deszczu, z czego aż połowa podczas oberwania chmury, które miało miejsce między siódmą a ósmą trzydzieści. Choć za to, co się stało, winę ponosiły wyłącznie siły natury, przemyślano o wysłaniu delegacji do Ministerstwa Obrony w sprawie rozpylania chemikaliów w chmurach nad wrzosowiskiem.

Przez cały tydzień przebywała tu ekipa telewizji BBC i na żywo relacjonowała wydarzenia. Powódź stała się pierwszą brytyjską katastrofą, którą retransmitowano do innych krajów, tak że cały świat poznał los ich miasteczka.

Stepmouth zmieniło się w ruinę. Ulice zablokował gruz, większość domów została poważnie uszkodzona lub porwana przez rzekę. Najbardziej ucierpiało samo centrum: tu połamane wybite okna zwisały smętnie z framug, a szczątki mebli blokowały wejścia do domów i poniewierały się w błocie, spiętrzonym między nadal stojącymi budynkami, na wysokość trzech metrów. Górne kondygnacje albo pełne były błota i śmieci, albo po prostu zostały zmyte do morza. Tam gdzie kiedyś stały dwu-, trzypiętrowe budynki, teraz sterczały samotne ściany ruin.

Ludzie z Londynu porównywali zniszczenia do tych, jakie w stolicy spowodowały niemieckie naloty w czasie wojny.

Katastrofa dosięgła również terenów położonych dalej w głębi lądu. Dziś rano Tony i Rachel przyjechali do Stepmouth wojskową ciężarówką, wraz z żołnierzami zakwaterowanymi w wiosce Brookford. Droga wiodła doliną rzeki West Step, a potem po stoku Summerglade do miasteczka. Przez całą dolinę ciągnął się brudny ślad wskazujący, do jakiej wysokości podniosła się woda. Prawie wszystkie piesze przeprawy i mosty zostały zerwane, również ten w Wa-tersbind, a to, że Bill zdołał przepłynąć rzekę już po uderzeniu fali powodziowej, graniczyło z cudem. Zniszczona została hydroelektrownia. W noc powodzi Don walczył tam z oddaniem, by zachować światło w mieście, póki woda nie zmusiła go do ucieczki. Aż dwóch jego kolegów nie zdołało się wydostać.

Tony dotarł wreszcie do lady kuchni polowej Armii Zbawienia.

- Jesteś Tony, prawda? - spytał jeden z pracujących tu mężczyzn.

- Zgadza się.

- Pobierasz żywność dla rodziny i... - Ubrany w mundur człowiek przejrzał leżącą przed nim listę. - Rachel Vale?

- Tak.

Mężczyzna napełnił butelkę Tony'ego świeżą wodą, a potem postawił na ladzie karton opisany: *Rodziny Glover i Vale (mieszkają razem)*.

Z ulicy, gdzie urodził się Tony, ocalały tylko trzy domy. Wezbrana rzeka West Step zmyła resztę, ale rodzina Tony'ego miała szczęście. Dom jego matki, która wraz z bliźniakami zamknęła się w sypialni na górze, przetrwał nietknięty.

Powódź przyniosła więc nie tylko zło, ale i dobro. Nieporozumienia Tony'ego z matką w obliczu tragedii poszły w niepamięć. Wrócił do domu w dniu, kiedy wody opadły, a matka wspaniale zachowywała się wobec Rachel i poma-

gała jej pogodzić się z tragedią. Oferowała też Rachel schronienie - przynajmniej do czasu narodzin dziecka.

Miało to sens. Teraz, po śmierci pani Vale, Tony i Rachel mieli szansę żyć razem w miasteczku. Rachel powinna tu zostać przynajmniej przez najbliższe dwa lata, które i tak będą zmuszeni spędzić osobno.

Bo powódź bynajmniej nie zabrała ze sobą powołania do wojska, które nadeszło pocztą czternastego. Tony musiał się stawić przed komisją lekarską w Barnstaple w następnym tygodniu. A potem czekają go dwa lata w wojsku. Zacznie się oczywiście starać o kwatery małżeńską, ale słyszał, że jest to rzadkość.

- To wam wystarczy na dwa dni - powiedział uprzejmie ochotnik z Armii Zbawienia, przesuwając karton w kierunku Tony'ego. - Dajcie znać, gdybyście potrzebowali czegoś jeszcze.

Jakaś rzecz w kartonie przykuła uwagę Tony'ego. Sięgnął do środka i wyciągnął coś, co wyglądało jak wielkie, żółte szpony.

- A to są...?

- Banany - przytaknął ochotnik. - Dostaliśmy je z darów, z Jamajki.

- Nigdy takich nie widziałem - zdziwił się Tony. - Tylko czarne. No wie pan, suszone.

- A tak wyglądają świeże.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego, a Tony odpowiedział uśmiechem. Świeże, pomyślał. Nowy początek. Świat się zmienia. Czuł to wszędzie wokoło.

- Tony! - to był głos Rachel.

Odwrócił się i zobaczył, jak idzie powoli w jego stronę główną ulicą. W przeciwieństwie do Tony'ego, który miał jeszcze dość ubrań u matki, Rachel ubrana była w za duże, czarne buty z darów, zbyt długie wełniane pończochy w prążki i zbyt ciepłą wełnianą sukienkę.

Jej zebra pod sukienką nadal były ciasno zabandażowane, żeby się zrosły. Powinna w zasadzie leżeć w łóżku, ale uparła się przyjechać wraz z nim do miasteczka. Żeby odwiedzić swoją przyjaciółkę Pearl, jak tłumaczyła. Żeby sprawdzić, czy nic jej nie jest.

Podziękowawszy mężczyźnie za ładą, Tony wziął karton i ruszył naprzeciw Rachel po nierównym bruku.

- Patrz! - powiedziała, kiedy się spotkali. Jej oczy płonęły, a buty pokryte były błotem. Wyciągnęła rękę, żeby mu pokazać, co znalazła. - To mamy - wyjaśniła.

Wiedział dobrze, co to jest: prosty srebrny krzyżyk, który pani Vale upuściła na podłogę sypialni Billa w noc powodzi. Oszupiał na jego widok w rękach Rachel. Nie miał pojęcia, jak go znalazła.

- Mówiłaś, że tam nie pójdziesz. - Miał na myśli jej dom. Powiedziała tak nazajutrz po powodzi, kiedy woda jeszcze się cofała, a oni patrzyli razem na pełne mułu rozlewisko w miejscu, gdzie kiedyś stały sklepy Vale'ów i Gilesa Weatherly'ego. Nic nie zostało z domu, gdzie wychowali się Rachel i Bill.

- Nie mogłam się powstrzymać - wyjaśniła. - Musiałam się pożegnać. Ale nie tak, jak wczoraj na mszy, tylko tam, gdzie to się stało. I wtedy go zobaczyłam, wisiał na słupie przystanku... jakby go tam dla mnie zostawiła... - Myślał, że się rozplacze, ale ona tylko się uśmiechnęła. - Tak się cieszę, że mam po niej jakąś pamiątkę. - Włożyła krzyżyk w jego dłoń. - Przechowasz go dla mnie? Zerwałam łańcuszek, kiedy go zdejmowałam, a ta sukienka nie ma kieszeni.

Spojrzał na stojący na ziemi karton. Miał wrażenie, że krzyżyk pali mu skórę żywym ogniem.

- Musimy iść - powiedział, wsuwając wisiołek do kieszeni spodni i podnosząc karton.

Ale Rachel się nie ruszyła.

- Wróćmy tam - poprosiła.

- Ale przecież tam nic nie ma.

- No to udawajmy, że jest. - Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego posiniaczonej twarzy. Jej oczy pełne były szalonej nadziei. - Tylko przez chwilę. Udawajmy, że jest normalnie.

- Jak?

No bo przecież to było niemożliwe. Normalność. Przecież zaczęła się już odbudowa. Na drogach prowadzących do miasteczka ustawiono blokady, żeby powstrzymać ciekawskich przyjezdnych. W poprzek doliny przerzucono, z pomocą rakiety, kabel elektryczny i przywrócono zasilanie. Burzono buldożerami naruszone powodzią domy, wielkie ciężarówki uwijały się po drogach wokół wzgórza Summerglade, wywożąc gruz, pracownicy komunalni zaczęli naprawiać zniszczone rury, a całe miasteczko wypełniał smród środka odkażającego rozpylonego przez straż pożarną jako ochrona przed zarazą.

- Pójdziemy na plażę - zaproponowała Rachel. - Tam będziemy słyszeli tylko fale. Pójdziemy tam i będziemy szli, póki miasteczko nie zniknie nam z oczu - dodała stanowczo.

- Dobrze - zgodził się, gotów zrobić wszystko, żeby tylko złagodzić jej ból.

Wzięła go pod ramię i ruszyli razem, w milczeniu, w kierunku wschodniej strony miasteczka. Nadbrzeże pokryte było naniesionymi głazami. Jego znaczna część została zmyta do morza jak mury zamków z piasku. Żołnierze pracowali tu w pośpiechu, wykorzystując odpływ; usuwali gruz, piach i błoto, by jak najszybciej zabezpieczyć nadbrzeże przed naporem morza.

Kanał rzeki, który niegdyś dzielił miasto na dwie połowy, został już oczyszczony i poszerzony, żeby nigdy więcej nie powtórzyła się podobna tragedia. Kamienie, z których zbudowane były oba mosty, Nadbrzeżny i Południowy, albo zostały zmyte do morza, albo utonęły w błocie.

Saperzy, przysłani, by pomóc w odbudowie, zdążyli już postawić dwa

mosty Bailey'a. Na zielonej, stalowej konstrukcji, która zajęła miejsce mostu Nadbrzeżnego, powiewała na wietrze brytyjska flaga ustawiona na stalowej beczce po oleju.

Choć Tony całym sercem współczuł Rachel, opanowało go teraz całkiem inne uczucie. Zrozumiał, że miał szczęście. Szczęście, że przeżył.

Szczęście, że jego rodzina - matka, Don i bliźniaki - przeżyli. Szczęście, że jego nowa rodzina - Rachel i dziecko - również. Szczęście, że nie zginęli, jak tyle innych osób, które znał od dziecka.

Wilfred Lee, z którym rozmawiał przez otwór na listy, nie przeżył nocy. Jego ciało odnaleziono następnego ranka, niemal zakopane w błocie, choć jego dom nie został uszkodzony. Tony zrozumiał, że Wilfred dotrzymał słowa i spróbował przeprowadzić się na drugą stronę ulicy, żeby pomóc mu ocalić panią Vale. I że został porwany przez prąd.

Zginął również najdawniejszy przyjaciel Tony'ego Pete Booth oraz jego rodzice. Kiedy druga - i jak już teraz było wiadomo, większa - fala powodziowa przeszła przez centrum miasteczka, ich niewielki szeregowy domek został po prostu rozdarty na strzępy. Ciało rodziców Pete'a odnaleziono w ruinach budynku, natomiast ciało samego Pete'a zaginęło.

Tony nadal miał nadzieję, że przyjaciel zdołał przeżyć.

Ale najgłębiej odczuł śmierć Emily. Według relacji przyjaciela Billa, Richarda Homera, to brat Rachel odnalazł połamane i okaleczone ciało Emily, które zostało zniesione na wybrzeże, w pobliżu miejsca, gdzie stał niegdyś pawilon kąpielowy. Nie wiadomo, po co Bill tam poszedł. Ale to on zaniósł jej zwłoki do kościoła.

I to właśnie o Emily myślał Tony na cmentarzu, kiedy grał kobziarz.

Gdy doszli do końca ulicy, odwrócił się i popatrzył na to, co pozostało z głównej arterii miasteczka. Nie była już prosta jak strzeł, tylko zwichrowana i pełna ruin. Na drugim jej

końcu nadal wznosił się stary dąb, a jego liście falowały miękko na lekkim, ciepłym wietrze.

Miał szczęście, że przeżył... Chryste, naprawdę miał szczęście.

W przeciwieństwie do pani Vale, której ciało odnaleziono jako jedno z pierwszych. Połamane i powykręcane, utknęło w gałęziach jaworu rosnącego na podwórzu. Załoga łodzi policyjnej, która uratowała Tony'ego, przez dwadzieścia minut próbowała ją ocucić, nim w końcu stwierdzono, że już nie żyje.

Tony znowu przypomniał sobie moment, w którym krzyżyk upadł na podłogę w pokoju Billa. I to, jak pani Vale krzyczała, żeby się wynosił. Kiedy matka Rachel zniknęła pod wodą u stóp schodów, a na zewnątrz narastał ryk, Tony otrząsnął się z transu i skoczył na równe nogi.

Nie miał czasu myśleć. Nie miał czasu myśleć o tym, co zrobił.

Wtedy właśnie w dom uderzyła pierwsza fala powodziowa. Stojąc na podeście schodów, widział, jak pokój Billa zostaje dosłownie oderwany od reszty budynku. Potem fala uderzyła i w niego, ciskając nim o ścianę. Lampa zamigotała i zgasła. Ale zdążył zlokalizować drabinę prowadzącą do pokoju Rachel...

Przedarł się przez wodę, a potem wdrapał się na górę i zamknął za sobą klapę na strych. Otaczała go ciemność. Szedł po omacku, po jęczących deskach podłogi, a krokwie pękały pod jego stopami. Na zewnątrz ryczała woda.

Potrafił myśleć tylko o tym, co Bill mu powiedział o fundamentach. Dom się zaraz pod nim zawali. Już czuł, jak pęka. Jeszcze chwila, a zniknie.

Błysk światła i wreszcie to znalazł. Biały kwadrat w ciemności - świetlik prowadzący na dach.

W tej samej chwili przypomniał sobie dąb, na który wspiał się tamtej nocy w czerwcu. Czy nadał stoi? Czy zdołał się oprzeć sile rzeki? Ten dąb to była jego jedyna szansa.

Kiedy otworzył świetlik, uszy napęłnił mu potworny syk. Woda - sięgająca już do drugiego piętra - pieniała się poniżej. Ale dąb stał. Tony skoczył na niego bez namysłu z załamującego się pod nim dachu i zaczął się wspinać po gałęziach - pół metra, metr - aż nie było już dokąd się wspinać.

Wtedy rozpiął skórzany pasek od spodni, wyciągnął go ze szlufek i przywiązał się nim do najbardziej solidnej gałęzi.

Myślał, że już po wszystkim. Rzeka powoli opadała. Ale potem w głębi doliny znowu zaczął narastać ryk. Pomyślał o Rachel, siedzącej samotnie w furgonetce. Modlił się, żeby znalazła się poza zasięgiem wody. Zabierz mnie, prosił w myślach. Zabierz mnie, ale ją ocal.

Słuchając narastającego ryku, popatrzył przez uginające się rozpaczliwie gałęzie na kłębiącą się poniżej czarną masę wody. To było jak koniec świata, jakby rozwarły się bramy piekła i pożerały wszystko, co znalazło się na ich drodze. Czarna odchłań pełna dusz potępionych. Jego dusza też teraz do nich należała. Umrze tutaj, samotny i przeklęty.

Stłumił rwące mu się na usta jęki i wycie. Zabił ją. Nie chciał - nie zamierzał - ale zabił. To był wypadek, krzyknął obronnie jakiś głos w jego głowie. Co z tego? Skutek był przecież ten sam. Zabił matkę Rachel, zupełnie tak samo, jak jego brat zabił jej ojca.

Straci ją. Wiedział, że straci Rachel, jeśli powie jej prawdę. Ryk osiągnął apogeum i druga wielka fala uderzyła go jak cios w tył głowy. Drzewo krzyknęło niemal ludzkim głosem, wygięte pod naporem żywiołu. Po czym wyprostowało się powoli, pociągając za sobą Tony'ego i wyniosło go ponad powierzchnię wody.



Znowu rozbłysły błyskawice. Poniżej dom drżał w posadach. Przez chwilę Tony sądził, że opadnie z powrotem na fundamenty i ocaleje, ale nagle zaczął się walić i znikać w szalonym nurcie poniżej.

Znikał i znikał, aż wreszcie całkiem pochłonęła go woda. Cały dom, a wraz z nim ciało pani Vale. Wszystko, co się tu stało, zostało starte z powierzchni ziemi.

Tony uczepił się tej myśli: nikt nie musi przecież wiedzieć, co tu zaszło. Powie Rachel i Billowi, że nie dotarł na czas. Będzie twierdzić, że jego noga nie pozostała w tym domu.

Dlaczego Rachel miałaby od niego odejść, skoro nie zrobił nic złego? Drzewo ponownie jęknęło, kiedy uderzyła w nie kolejna fala. Te plany nie miały sensu. Przecież i tak nie dożyje rana. A jeśli to był koniec świata, to spotka się ze swym bratem w piekle. Nawet się nie pożegnał z Rachel... Rachel... Niech to będzie jego ostatni obraz na tym świecie.

- Coś się stało, prawda? - spytała nagle Rachel. - Powiedz mi. Powiedz mi, o co chodzi.

Poczucie winy. To o to chodziło. I to właśnie wyczytała w jego oczach, kiedy zatrzymali się, a on zwrócił twarz w jej stronę. Poczucie winy, które narodziło się w momencie, kiedy okłamał ją i Billa - tyle że Bill go przejrzał. Od tej pory było coraz gorzej.

Nie bał się, że jego kłamstwo zostanie wykryte, bo to było praktycznie niemożliwe, ale nie chciał kłamać Rachel. Zatem musiał jej zaufać. Jeśli nie było go na to stać, to jaki sens miało to wszystko? Co to za miłość, która opiera się na kłamstwie?

Stali po wschodniej stronie miasta, na samym początku kamienistej plaży. Obszar pływowy pełen był wraków samochodów, wyglądających zupełnie jak wyrzucone na brzeg

puszki po konserwach. Zapewne znajdowała się tu większość pojazdów, których zaginięcie zgłoszono. Nisko nad falami morza przeleciał helikopter.

- Muszę ci o czymś powiedzieć. - Tony usiadł na szerokim, płaskim kamieniu. Kamień był rozgrzany słońcem i gładki jak stal, wypolerowany przez morskie fale.

- O czym? - usiadła obok niego.

Odstawił karton z żywnością i wyjął z kieszeni krzyżyk. Chciał to mieć już za sobą. Im prędzej, tym lepiej. Dla nich obojga. Zaufaj jej, nakazał sobie ponownie. Uwierz w nią. Uwierz, że ci wybaczy.

- Chodzi o twoją matkę. O to, jak umarła. O to, co między nami zaszło. Twarz Rachel nagle stała się dla niego zagadką.

- Jak to między wami? Przecież mówiłeś, że nie dotarłeś do niej na czas! Oczy wypełniły mu łzy, te same łzy, którymi płakał, siedząc na dębie w noc powodzi i czekając na śmierć. Tamte były jego pierwszym świadomym płaczem w życiu, a te drugim. Zaczął jej opowiadać prawdę o tym, jak dostał się do domu i jak pani Vale odmówiła pójścia z nim.

- Krzyczała na mnie. Krzyczała, żebym się wynosił. Krzyczała na mnie z powodu tego, kim jestem i dlatego, że się bała...

- Ale przecież ty jesteś Tony - powiedziała Rachel, biorąc go za ramiona i patrząc mu głęboko w oczy. - Mój Tony. Nigdy byś jej nie skrzywdził.

Właśnie wtedy - w tym zdaniu, w tej wierze, jaką pokładała w nim Rachel

- jego własna wiara w jej wybaczenie nagle umarła. N i g d y b y ś j e j n i e s k r z y w d z i ł. Oto w co wierzyła. Że nie mógłby tego zrobić. Jeśli powie jej prawdę - że walczył z jej matką i że zrzucił ją ze schodów - zniszczy tę wiarę. A wtedy czym Tonym się stanie? Nadal jej? Czy może innym Tonym, tym, za jakiego go uważała kiedyś, kanalią, na której widok przechodziła na drugą stro-

nę ulicy? Tym, który potrafi skrzywdzić? Tym, który już raz to zrobił? Prawda? Jaki sens miała prawda, skoro mogła tylko ich zniszczyć? Lepiej żyć z poczuciem winy, zdecydował w tym momencie. Za bardzo bał się ją stracić.

Więc znów zaczął kłamać, tak samo jak wtedy, kiedy łódź policyjna uratowała go z dębu, tak samo jak kiedy odnalazł Rachel i Billa w obozowisku.

Wymyślił inne zakończenie. Złagodził fakty, żeby Rachel łatwiej było je przełknąć.

- Twoja matka nadal była w pokoju Billa, kiedy uderzyła pierwsza fala - wyjaśnił. - Woda zabrała ją razem z całą tą częścią domu.

Rachel spojrzała na niego zaskoczona.

- Ale dlaczego od razu mi tego nie powiedziałeś? Dlaczego wolałeś skłamać?

No właśnie: już teraz jego kłamstwo zaczęło żyć własnym życiem. Już teraz zaczęło między nimi rosnać jak nasienie zła, które pewnego dnia rozdzieli ich i zmusi do rozstania.

- Ponieważ widziałem, jak umierała - odparł, wymyślając powód na poczekaniu, mieszając prawdę z kłamstwem, upiększając i improwizując, aż wszystko rzeczywiście zabrzmiało prawdopodobnie. - Patrzyłem, jak umiera twoja matka, i nie chciałem, żebyś wiedziała... Nie chciałem, żebyś wiedziała, że jej ostatnim uczuciem była nienawiść do mnie... Wolała umrzeć, niż mi zaufać...

- Ale ja cię kocham. To nie miałyby znaczenia. Wiem, że cię nienawidziła. Mówiłam ci, co powiedziała o dziecku, co powinnam z nim zrobić. Ponieważ jest twoje...

Już raz przyłapany, kłamał dalej.

- Myślałem, że jeśli powiem Billowi, jak blisko do niej dotarłem, tym bardziej mnie znienawidzi... za to, że ją tak przeraziłem w ostatnich chwilach życia. I że będzie się winił za to, że mnie do niej wysłał. Bo gdyby zrobił odwrotnie,

opuściłaby dom razem z nim. Myślałem, że oszczędzę mu tego poczucia winy... - mówił pospiesznie, chcąc, żeby mu teraz uwierzyła. - A ponieważ już przecież nie żyła, myślałem, że nie ma znaczenia, co powiem...

- Ale prawda zawsze ma znaczenie.

- Wiem. Dlatego teraz ci to mówię.

- A gdyby Bill też to usłyszał... może by nie odszedł. Gdyby wiedział, jak bardzo starałeś się ją uratować - mówiła coraz szybciej, myśląc na głos. - Gdyby przekonał się, że to nie była twoja wina, że umarła, tylko jej własna... Nie rozumiesz?

Poczuł ogromną ulgę. Więc nie zamierzała go opuścić. Uwierzyła w to, co jej opowiedział. A skoro ona uwierzyła... miała rację, czemu i Bill nie miałby uwierzyć? Przeklinał się w duchu, żałując, że nie opowiedział tej historii i jemu.

Ale skąd miał wiedzieć, że Bill nie kupi poprzedniej historii, tego, że nie dotarł do pani Vale na czas? I że uzna, że jego matka umarła przez tchórzostwo Tony'ego? Jakim cudem miał się tego domyślić, skoro stchórzył po raz pierwszy w życiu dopiero przed chwilą, kiedy nie powiedział Rachel całej prawdy?

Podniosła się z kamienia.

- Muszę mu o tym powiedzieć. Musi wiedzieć.

- Ale jak? - zapytał, również wstając. Nie widzieli Billa od tamtej awantury. Richard Horner przyszedł do nich dwa dni po powodzi i powiedział, że Bill mieszkał u niego, ale już wyjechał. I że nie zamierza wracać. Bo nic go tu nie trzyma. Tak podobno mówił.

- Przecież wróci - stwierdziła Rachel. Jej oczy błyszczały optymizmem. - Na pogrzeb mamy... na...

- A jeśli nie? - spytał Tony. - Jeśli naprawdę myśli tak, jak powiedział Richardowi?

- Wtedy to ja go odnajdę. - Znowu ten wyraz determinacji. - Znajdę sposób. A potem... potem do niego napiszę.

Powiem mu to, co mi opowiedziałeś. Zmuszę go, żeby zrozumiał...

Tony spojrział w dal, na nagi pas ziemi w pobliżu mostu Nadbrzeżnego, ubity przez buldożery. Po pawilonie kąpielowym nie zostało ani śladu.

Ruiny, które przetrwały wielką burzę z 1933 roku, poddały się w nocy 15 sierpnia. Przypomniał sobie rysunek, który widział w pokoju Billa na chwilę przed katastrofą. Brat Rachel miał rację, wyjeżdżając. Istotnie nic go już tu nie trzyma.

- A co ze mną? - spytał. - Czy potrafisz mi wybaczyć, że kłamałem?

- Przecież powiedziałeś mi prawdę. Jak mogłabym ci nie wybaczyć?

Objął ją i ponad jej ramieniem popatrzył na zrujnowane miasteczko.

Będzie mu ich brakować. Tych ludzi, którzy zginęli w powodzi. Ale, tak samo jak w przypadku Keitha, w swoim czasie nauczy się żyć bez nich.

Bo oboje z Rachel ocaleli. Nic tego nigdy nie zmieni. To w nich zostanie już na zawsze. A przed nimi leży przecież przyszłość, wielka i nieznana.

Wiedział, że ruszą w nią razem, trzymając się za ręce jak dzieci biegnące do morza.

## Rozdział XXXI

### Majorka, współcześnie

Rachel przecięła znajdujące się w centrum Palmy Costa de la Seu, gdzie jak zwykle stały rzędem żółte taksówki i eleganckie czerwone *galeras*, ciągnięte przez konie. Kierowała się w stronę gotyckiej katedry La Seu. Na szczęście upał dziś zelżał, a wiejąca o wpół do dziesiątej rano lekka morska bryza wydawała się taka odświeżająca po wczorajszej spiekocie. Zatrzymała się przy przejściu dla pieszych, przyglądając się, jak konie odganiają ogonami muchy. Tuż za nimi strzelały w powietrze nadbrzeżne fontanny.

Katedra wznosiła się majestatycznie na tle nieba. To dziwne, choć tak bardzo przywykła do jej widoku, zanim po raz pierwszy od lat weszła do środka, najpierw zatrzymała się na chwilę, żeby popodziwiać jej sylwetkę, zupełnie jak turystka. Zaskakujące, jak coś tak wielkiego może się z czasem stać elementem krajobrazu, którego na co dzień zupełnie się nie zauważa, pomyślała. Doszła dziś do podobnego wniosku już po raz drugi. Potrząsnęła głową, uśmiechając się z zakłopotaniem.

Spojrzała na zegarek. Miała się spotkać z Billem w katedrze już pięć minut temu, ale spóźnienie okazało się nieuniknione. Poza tym miała nadzieję, że taki samotnie spędzony poranek polepszy nieco nastrój brata. Choć niewykluczone, że pozostanie równie uparty i niekomunikatywny jak wczoraj.

To idiotyczne, że dotąd poważnie nie porozmawiali. Jednak kiedy szła tu chodnikiem, wdychając unoszący się z niewielkiego straganu zapach orzechów prażonych w cukrze i słuchając rytmu wybijanego przez ulicznego muzyka, czuła się niewiarygodnie pełna życia. Z niewiadomych przyczyn rozmowa z bratem, która kilka godzin temu wydawała jej się taka ważna, nagle zupełnie straciła na znaczeniu. Wróciła myślami do wczorajszej sceny. Z trudem mogła uwierzyć, że się aż tak załamała. Nie miała czegoś takiego w planach, zamierzała do końca pozostać panią sytuacji, ale atak, jaki na schodach przypuścił na nią Bill, po prostu przepełnił jej czarę goryczy. A kiedy zaczęła mówić o Laurie, nagle zerwały się wszelkie tamy.

Nie pamiętała dziś nawet, czy to, co mówiła, miało jakikolwiek sens. Gdzieś ulotniła się cała jej powściągliwość i opowiedziała Billowi wszystko. O swoich stosunkach z Laurie. O tym, jaka się poczuła przez nią zdradzona. O Samie, Claire i Archiem. O bólu, jaki czuła po stracie Anny. O tym, jak razem z Tonym adoptowali Claire. Aż wreszcie opowiedziała mu o Tonym, o ich małżeństwie i o przepełniającym ją poczuciu straty.

Opowiadała chaotycznie, bez ładu i składu, co chwila wybuchając nieopanowanym szlochem. Dopiero dziś, następnego dnia, zrozumiała, że ten wybuch był po prostu ostatnim porywem żalu. Jakby dopiero w tamtym momencie, na schodach, uświadomiła sobie w pełni, że Tony odszedł. Dziś była zaskoczona, że zajęło jej to aż tyle czasu.

Z początku Bill zachowywał się lekceważąco. Ale w miarę, jak jej rozpacz się pogłębiała, coraz mocniej czuł, że musi ją pocieszyć. Jednak nie próbował jej przerywać, póki sama nie skończy. Począł cierpliwie, aż odzyska panowanie nad sobą, i dopiero wtedy zmusił ją, by usiadła i wypić szklanekę wody. Potem obserwował ją uważnie, ze zbolą miną, aż

poczuła się lepiej. Po czym zaproponował, żeby wyszli na zewnątrz i porozmawiali z Laurie.

Biedny Bill. Musiał być zaszokowany jej wybuchem. Dziś rozumiała, że chciał jakoś załagodzić sytuację, jednak kiedy napadła na jego córkę, pojął, że to bezcelowe. Sytuacja całkiem go przerosła. A po odjeździe Laurie i Sama stał się cichy i zamyślony.

Zdołała go przekonać, aby przenocował u niej, i obiecała, że rano odwiezie go na lotnisko. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy, kiedy prowadziła go do pokoju gościnnego - była zbyt wzburzona i zażenowana swym wcześniejszym wybuchem. Natomiast Bill ani nie zamierzał o nim wspominać, ani przebaczyć jej przeszłości. I właśnie dlatego, ponieważ nie miała już kompletnie nic do stracenia, pospiesznie zebrała listy, które pisała do niego przez lata, i położyła je na łóżku w jego sypialni.

Po czym zostawiła go w willi samego i pojechała pocieszać Claire. Kiedy wróciła po tej okropnej wizycie, Bill już spał. Długo stała pod drzwiami pokoju gościnnego, wahając się, czy zapukać, aż w końcu na palcach poszła do siebie.

Dziś rano czuła się zupełnie wyczerpana brakiem snu. Kiedy zeszła na dół na śniadanie, Bill był już w kuchni. Przywitał się z nią chłodno, ale dość grzecznie, jakby była właścicielką pensjonatu. Oboje uciekli w obojętną uprzejmość. Nie miała pojęcia, czy przeczytał jej listy. Jeśli tak, niczego nie dał po sobie poznać. Kiedy razem opuszczali willę, uświadomiła sobie, że tak naprawdę w ogóle nie zna tego człowieka.

Ta obcość powstrzymała ją od zaproponowania mu swojego towarzystwa przy zwiedzaniu katedry. Zdecydował się na tę wyprawę przy śniadaniu, ponieważ miał sporo wolnego czasu przed odlotem do Anglii.

Zdecydowała się raczej wy-



korzystać okazję, żeby wpaść do biura Araratu i spróbować ograniczyć straty.

Musiała mądrze rozegrać sprawę nagłej nieobecności Sama. Nie było sensu niepokoić pracowników, strata Tony'ego wywołała w firmie wystarczające zamieszanie. Przez całą noc wierciła się i przewracała na łóżku, szukając jakiegoś sensownego rozwiązania, ale nie potrafiła oddzielić prywatnej wściekłości na Sama od strachu, że jego odejście zrujnuje firmę. Czy Ararat w ogóle przetrwa bez niego? Dała mu wszystko, a on odszedł tak, jakby to nic dla niego nie znaczyło...

Nie zdołała nic wymyślić, ale kiedy weszła do chłodnej, wyłożonej jasną wykładziną recepcji, na której ścianach pełno było błyszczących zdjęć hoteli należących do Araratu, nagle poczuła, że rozjaśnia jej się w głowie. Zupełnie jakby wróciła do domu.

O tej porze biura były niemal puste, jednak dość długo zmuszona była przekonywać nową recepcjonistkę, żeby wpuściła ją do biura Sama. Szczerze mówiąc, musiała użyć ostatecznego argumentu. Że jest właścicielką tej firmy.

Właścicielka firmy. Całej, wyjąwszy pięć procent udziałów Sama, w których sprawie jak najszybciej musi się spotkać z prawnikiem. Oparła rękę na biurku, patrząc na pokój, który tak mocno przypominał jej zięcia. Może po prostu nie ma sensu robić takiej tragedii? Może źle to wszystko rozegrała? Może powinna zachować wyskok Sama w tajemnicy? Powiedzieć ludziom, że wziął sobie dłuższy urlop, i kupić w ten sposób nieco czasu?

Nagle przypomniała sobie swoją poprzednią wizytę w biurze, zaledwie kilka tygodni temu, i to poczucie odrzucenia, jakie ją wtedy ogarnęło. Zrozumiała, że tak naprawdę poczuła wówczas zazdrość. Ta firma była jej dzieckiem, jej i Tony'ego - razem ją stworzyli i oboje kochali. Może mimo wszystko jeszcze nie czas się wycofać i przekazać Ararat

w cudze ręce? Może postępek Sama nie jest zupełnie pozbawiony dobrych stron? Może miał ją zwyczajnie pobudzić do życia? No bo czy naprawdę chciała już przejść na emeryturę?

Co mianowicie miałyby robić na tej emeryturze? Nie była już młoda, to prawda, ale wcale nie uważała się za staruszkę. W każdym razie jeszcze nie. Była w dobrej formie, więc czym u licha miałyby się teraz zajmować, jeśli nie pracą? W ciągu ostatnich miesięcy zdążyła odkryć, że skupianie całej energii na dzieciach i wnukach prowadzi donikąd.

Właściwie to nawet Claire wcale jej nie potrzebowała. Kiedy wczoraj do niej przyszła, wnuczkę zdążyło już pocieszyć grono przyjaciółek. Rachel zjawiała się u niej wściekła, gotowa walczyć o Sama w jej imieniu, ale kiedy posłuchała, co Claire opowiada komuś przez telefon, pojęła, że od dawna już prowadzili zupełnie osobne życie. I że wściekłość wnuczki wynika nie z odejścia męża, ale z faktu, że to nie ona odeszła pierwsza. Najwyraźniej była to kwestia zranionej dumy, a nie złamanego serca.

A Archie... biedny Archie spał. Nikt mu jeszcze nie wyjaśnił, co się stało. Siedząc za biurkiem Sama, w jego fotelu, Rachel doszła do wniosku, że jej rodzina przypomina gabinet krzywych zwierciadeł, które nawet nie udają, że odbijają prawdę. Natomiast ona sama potrzebuje czegoś rzeczywistego. Czegoś trwałego. Czegoś, na czym mogłaby się skupić. A to coś przez cały czas tkwiło przed samym jej nosem.

Pomyślała o Tonym. O wczorajszym uczuciu, że go zdradza. I o swojej rozpaczce po jego stracie. Czyżby wreszcie nadeszła ta chwila? Czy rzeczywiście pozwoliła mu odejść? I czy naprawdę zamierzała porzucić firmę, na której tak bardzo mu zależało?

Nie, do cholery, wcale nie chciała zrobić czegoś podobnego. Gdyby to ona umarła, Tony z pewnością skupiłby się

na pracy. Tak, pomyślała. Czas się obudzić i zacząć życie od nowa. To była jej firma. A jeśli Ararat czekają ciężkie czasy, jako jej szef będzie w stanie poradzić sobie ze wszystkim.

Pod strzelistym sklepieniem La Seu było chłodno i ciemno. Wokoło rozbrzmiewało szuranie stóp i przytłumione głosy turystów krążących po wielkim, cienistym wnętrzu, a także monotonne modlitwy mnichów.

Chwilę potrwało, nim znalazła Billa. Siedział na ławce w nawie głównej, niedaleko ołtarza, miał na nosie okulary o wąskich szklach i w skupieniu czytał przewodnik.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak niezwykłym osiągnięciem inżynierii jest ta katedra? - spytał zamiast powitania, kiedy przepchnęła się obok rozmodlonej zakonnicy i usiadła u jego boku.

Zapomniała już, że interesował się architekturą. Laurie jej powiedziała, że całe życie pracował jako nauczyciel. Zastanawiała się, ilu jeszcze marzeń nie zdołał zrealizować.

- Budowali ją ponad sto lat i przez cały czas musieli wzmacniać konstrukcję. Dlatego dodawali coraz to nowe przypory, ale się nie poddali. Zaskakująca wizja, nie sądzisz?

Poszła za jego wzrokiem w głąb nawy, gdzie cieniutkie kolumny wznosiły się na co najmniej dwadzieścia metrów w górę. Tam rozszczepiały się jak liście palmy i przechodziły w ożebrowanie sklepienia. Sądziła, że Bill nadal będzie zimny i nieprzyjazny, dlatego planowała jak najszybciej zabrać go z katedry i zawieźć na lotnisko. Ale panował tu tak pogodny nastrój, że poczuła, jak jej myśli odpływają w dal. Zupełnie jakby ta ogromna, spokojna przestrzeń uspokajała jej przemęczony umysł.

- Minęło już pięćdziesiąt lat, prawda? - powiedział w końcu.

Odwróciła się do niego.

- Dlaczego nie wróciłeś na pogrzeb? - spytała, nim zdołała sobie uświadomić, że to pytanie oznacza powrót do przeszłości.

Przez chwilę nie odpowiadał.

- Chciałem, ale okazało się to dla mnie zbyt trudne. Czułem, że wszystkich zawiodłem i że powrót będzie wyglądał jak... Sam nie wiem. Po prostu nie mogłem się na to zdobyć. Chciałem się uwolnić od tego miasteczka.

- Przez całe lata utrzymywałam kontakt z Richardem

- wyznała. - Między innymi dlatego wiedziałam, gdzie jesteś. Gdzie wysyłać listy... - dodała.

Bill w milczeniu zamknął przewodnik i położył go sobie na kolanach.

- Dlaczego Tony skłamał? - spytał. - Dlaczego powiedział, że nie dotarł na czas, żeby uratować mamę?

A więc przeczytał jej listy! Rachel poczuła nieśmiałą iskierkę nadziei.

- Myślę, że powiedział nam wtedy cokolwiek, bez zastanowienia. Był przerażony i wstrząśnięty tym, co zobaczył. Myślał, że w ten sposób będzie mi łatwiej. I tobie też.

- Ale rzeczywiście spróbował tam dotrzeć? I udało mu się? Czy to, co napisałaś w listach... to prawda?

Widziała, że dla Billa trudniejsza będzie świadomość, że próba ocalenia ich matki się nie powiodła, niż to, w co wierzył przez całe życie: że Tony Glover był tchórzem, który nawet nie spróbował do niej dotrzeć.

Miała ochotę ukarać go za tę jego zawziętość, za to, że ignorował ją przez tyle lat. Gdyby jej wtedy wysłuchał., gdyby otworzył i przeczytał chociaż jeden z jej listów, zamiast nieodmiennie odsyłać je do nadawcy, wtedy wszystko wyglądałoby dziś inaczej. Ale widziała, że wzajemne oskarżenia prowadzą donikąd.

- Tak, ale widzisz, mama nie chciała się ratować. A przynajmniej nie chciała, żeby uratował ją Tony. Zabił ją jej

własny upór, a nie powódź - wyjaśniła. - Nie chciała mu wybaczyć. Nie chciała zrozumieć, że chce jej pomóc.

- To ja powinienem był po nią pójść. Rachel westchnęła.

- To takie smutne, że oboje nadal czujemy się winni. Tony właśnie tego chciał nam oszczędzić. Obojgu.

- Dlaczego ty czujesz się winna? - Bill był zaskoczony.

- Ponieważ życzyłam mamie śmierci. Tuż przed powodzią okropnie się pokłóciłyśmy. Dlatego uciekłam z Tonym. Byłam na nią taka wściekła, że chciałam, żeby umarła.

- Przecież byłaś wtedy jeszcze dzieckiem i wpadłaś w kłopoty. Nie mogłaś przewidzieć, co się stanie.

- Tak sędzę.

- To ja byłem za nią odpowiedzialny. Rachel odwróciła się do niego.

- Bill, nie rozumiesz? Ty też nie powinieneś się czuć winny. Wybrałeś właściwie. Poszedłeś ratować Emily.

- Ale tam również zawiodłem.

- To był wypadek. Siła natury.

- Pozwoliłem mamie umrzeć.

- Och, Bill. Przecież ja wiem, że nie chciałeś, żeby umarła. Po prostu bardziej zależało ci na Emily, dlatego do niej poszedłeś. Emily była twoją przyszłością, a mama przeszłością. Wybrałeś właściwie, nie rozumiesz? Milczeli przez chwilę, a potem Bill wyprostował się i sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Wyciągnął portfel.

- Nigdy o niej nie zapomniałem, wiesz? - wyznał. Z jednej z przegródek wyjął niewielką brązową kopertę. W środku znajdowała się stara fotografia.

Rachel poczuła zdumienie, kiedy podał jej zdjęcie. Było tak zniszczone, że w półmroku panującym w katedrze przez chwilę nie potrafiła się zorientować, co przedstawia. A potem rozpoznała rysy Emily. Patrzyła na maleńkie zdjęcie, czując, jak ogarnia ją fala nostalgii.

- Była taka ładna, prawda? Ja chyba też się w niej trochę kochałam - uśmiechnęła się smutno do Billa. - Niewiarygodne, że jeszcze masz to zdjęcie. Co na to twoja żona?

- Nie wiedziała. Tak sędzę. Poza tym z nią było... inaczej. Byliśmy starsi. Tobie pierwszej je pokazuję.

Rachel pojęła, że w ten sposób uznał upływ czasu. W milczeniu oddała mu fotografię.

Westchnął i spojrzał raz jeszcze na twarz Emily, nim schował zdjęcie z powrotem do portfela.

- Nie wiem, dlaczego je trzymam. To głupie. Zawsze miałem wrażenie, że póki je przy sobie noszę, jakaś część jej duszy pozostaje przy mnie. Coś jak talizman.

- Była niewiarygodną optymistką, prawda? Byłaby... Rachel urwała. Nie wiedziała, co powiedzieć. No bo co by się stało, gdyby Emily przeżyła? Zapewne wszystko ułożyłoby się inaczej. Może nawet nie doszłoby do zerwania.

- Wiesz co? - stwierdził, rozpogadzając się, Bill. - Nie ma sensu żałować tego, co się nie wydarzyło. Dawno to sobie uświadomiłem. Gdyby Emily nie umarła, nie spotkałbym Jean. Byliśmy razem szczęśliwi.

Zapadła cisza.

- My też - powiedziała wreszcie Rachel.

- Wczoraj powiedziałem ci rzeczy, których żałuję. Wiem, że Tony był dla ciebie dobrym mężem. I wiem już teraz, że podczas powodzi starał się uratować mamę. Być może nie powinienem był odejść w ten sposób...

- Żałuję, że nie stało się inaczej. Żałuję, że musiałam między wami wybierać. Mogłeś spróbować go poznać.

- Wiem, ale póki go nie znałem, łatwiej mi go było winić. Och, zdaje sobie sprawę, że sądził, iż go nienawidzę. Ale to nieprawda. Emily uświadomiła mi, że wcale tak nie czuję. Gdyby nie powódź, kto wie? Może nawet bym się z nim zaprzyjaźnił? Przypuszczam, że byłem wtedy o niego zazdrosny.

- Zazdrosny? O Tony'ego?
  - Tak. Zazdrosny i wściekły. Zabierał moją siostrzyczkę, a to znaczyło, że zawiodłem.
  - Zawiodłeś? W jakim sensie?
  - Obiecałem ojcu, że zawsze będę się tobą opiekował. Tobą i mamą. I zawiodłem. Złamałem obietnicę. Pozwoliłem ci się związać z Tonym, a kiedy przyszło co do czego, oboje was porzuciłem.
  - Nie sądzę, żebyś złamał tę obietnicę - stwierdziła cicho.
  - Powiedz mi. Widziałas potem Keitha Glovera? Westchnęła.
  - Nie. Zginął w bójce w barze zaraz po wyjściu z więzienia. Nawet Tony nie zdążył się z nim zobaczyć.
  - Słyszałem o jego śmierci.
  - Nigdy nie powiedzieliśmy o nim dzieciom. O tym, co zrobił. Postanowiliśmy o nim zapomnieć. I o wszystkim, co się wtedy wydarzyło.
- Spojrzała na kolorowe promienie światła przesączone przez rozetowy witraż. Oczekiwała, że ta rozmowa będzie dużo trudniejsza. Ale tu, w tej wielkiej katedrze, ich uczucia wydawały się takie nieistotne. Zupełnie jakby ta budowla przyniosła im obojgu ukojenie. Jakby nareszcie się poddali. Jakby już dawno, w głębi duszy, sobie wybaczyli. Sięgnęła do krzyżyka matki, który nosiła na szyi. Rozpięła łańcuszek.
- Znalazłam go po powodzi - wyjaśniła, podając wisiołek Billowi. - Chcę, żebyś go wziął.
- Bill popatrzył na krzyżyk. Jego widok najwyraźniej go poruszył.
- Biedna mama. Oboje jesteśmy do niej dużo bardziej podobni, niż mamy odwagę przyznać - stwierdził, podnosząc na nią wzrok. W oczach miał łzy. Poczuli się tak, jakby znowu byli dziećmi.

- Ja nie jestem do niej podobna - odparła. - Całe życie starałam się być inna.

- Skoro ja potrafię przyznać, że jestem równie uparty jak ona, to ty nie powinnaś zaprzeczać, że lubisz rządzić

- oświadczył.

Nagle oboje się roześmiali.

Ale kiedy Bill znów na nią spojrział, jego twarz była poważna.

- Rachel, spróbuj nie popełnić tego samego błędu, co mama. Postaraj się nie skrzywdzić Laurie i Sama tak, jak ona skrzywdziła ciebie i Tony'ego. Rachel uniosła obronnie rękę, zła, że poruszył ten temat, akurat kiedy zaczęli się dogadywać.

- To coś zupełnie innego.

- Czyżby? Laurie to dobry człowiek. Uwierz mi. Jest taka jak jej matka. Bardzo wrażliwa. I zasługuje na szczęście. A z tego, co mówiła, wynika, że oboje z Samem bardzo się kochają.

Rachel westchnęła.

- Myślałam, że Claire i Sam są szczęśliwi - odparła.

- Myślałam, że to ideał rodziny.

- Nie istnieje coś takiego jak ideał rodziny. Przecież sama na pewno wiesz o tym najlepiej. I nie powinnaś się obwiniać za to, że nie dostrzegłaś prawdy. Ludzie okłamują swoje rodziny znacznie częściej niż innych ludzi. Nigdy nie sądziłem, że Laurie mnie tak oszuka. Nigdy nie sądziłem, że postawi mnie w takiej sytuacji.

Rachel rzuciła na niego okiem.

- Zmusiłam ją do tego.

Bill zacisnął w pięści krzyżyk ich matki.

- Daj im spokój, Rachel. Przebacz im, bo inaczej to cię zabije. Staniesz się stara i zgorzkniała.

Nie dodał „jak mama”, choć najwyraźniej miał to na końcu języka.

Poczuła, że już niczego nie wie na pewno. -

- Chciałam jak najlepiej.



- Nie wiesz, co jest dla kogoś najlepsze. Po prostu przyjmij ten fakt do wiadomości. Pogódź się z nim. Czy Sam, Laurie i Claire robią coś gorszego niż my wtedy?

- Przypuszczam, że nie. Położyła rękę na jego dłoni.

- Chodź. Powinniśmy już iść - powiedział.

Kiedy wyszli na zewnątrz, oślepiło ich słońce. Rachel włożyła ciemne okulary. Nie była pewna, co tak naprawdę między nimi zaszło. Czy rzeczywiście wyjaśnili sobie wszystko, czy po prostu oboje pogodzili się z faktem, że to niemożliwe. Ale niezależnie od tego, co zaszło, bez krzyżyka matki na szyi czuła się taka lekka. Jakby zdjęła z siebie odpowiedzialność za przeszłość.

Bill popatrzył na horyzont. Gdy poszła za jego wzrokiem, zobaczyła rząd rosnących wzdłuż drogi palm, przystań i białe jachty unoszące się na wodach zatoki. Zastanawiała się, czy Laurie i Sam są teraz razem na „Flight”. Wyobraziała sobie ich radosny śmiech, a ten obraz tak bardzo przypomniawszy ją samą i Tony'ego, że aż zatrzymała się u szczytu schodów. Nagle poczuła się wolna. Może Bill miał rację. Może powinna dać spokój przeszłości i swojej rodzinie. Może powinna się skupić na sobie.

- Bill, posłuchaj, czy naprawdę musisz wyjeżdżać? - spytała nagle. - Tu jest jeszcze tyle do obejrzenia. Za kilka dni muszę wrócić do pracy, ale... Bill odwrócił się do niej.

- Chcesz, żebym został? Powoli pokiwała głową.

Znów rozejrzał się wokoło, wciągnął głęboko powietrze do płuc, a potem wrócił do niej wzrokiem.

- Cóż, sądzę, że te parę dni nie zrobi mi krzywdy. Podał jej ramię, a kiedy je przyjęła, przycisnął lekko jej rękę do swego boku. Zeszli razem po białych, kamiennych stopniach, prosto w słońce.